

833  
A. Bądzkiewicz



WYPISY  
POLSKIE



Część średnia



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie





Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego“

# WYPISY POLSKIE

UŁOŻYŁ

ANTONI BĄDZKIEWICZ

CZĘŚĆ ŚREDNIA NA KLASĘ III i IV

WYDANIE CZWARTE

niezmienione

---

WYDANIE TRZECIE ZALECONE BYŁO DO UŻYTKU W SZKOŁACH  
OKRĘGU NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO

---

Przy końcu książki znajduje się DODATEK zawierający ustępy zalecone przez  
Okrąg Naukowy Warszawski do uczenia się na pamięć.

WARSZAWA  
Nakładem i drukiem M. ARCTA

1905

Cena w opr. kop. 60. 1/2



090887

Дозволено Цензурою  
Варшава, 14 Іюня 1904 года



# P R O Z A.

## I. Wieki.

Czytamy w księgach Starego Zakonu, że pierwsi ludzie żyli w raju t. j., że na najrozkoszniejszym miejscu ziemi pędzili życie swobodne i szczęśliwe, bez trosk i dolegliwości ciała i duszy. Ale ludzie ci zgrzeszyli, nie zachowali bowiem przykazania Bożego. Za to wypędził ich Bóg z raju, i odtąd w pocie czoła na utrzymanie życia pracować muszą.

Najstarożytniejsze narody świata, mianowicie Indowie, Persowie, Grecy i inni zachowali także tradycję o szczęśliwym i błogim życiu, jakie wiodli najpierwsi ludzie. Grecy opowiadali, że nie odrazu, lecz stopniowo postradali ludzie owo szczęście, a w miarę postępu w złem, w coraz większą popadali niedolę.

To pogorszenie się podzielono na pewne okresy, a każdy okres przezwano wiekiem.

Wieki te opisał Hezyod, najstarożytniejszy po Homerze pisarz grecki <sup>1)</sup>; po nim opiewał je Owidyusz <sup>2)</sup>, słynny z biegłości w wierszowaniu poeta rzymski.

### I. Wiek złoty.

Było to za miłościwego panowania Kronosa <sup>3)</sup>, bożka najstarszego po Uranosie <sup>4)</sup>. Naówczas ludzie żyli jak najszczęśliwiej. W pożyciu rodzinnem dzieci nie spr-

<sup>1)</sup> Żyjący w w. IX przed Chr. <sup>2)</sup> Żyjący za czasów Augusta. Ur. w r. 43 przed Nar. Chr. <sup>3)</sup> Kronos, albo Saturnus, syn Uranosa i Gery, jeden z Tytanów, który stracił ojca z tronu i sam po nim objął rządy. <sup>4)</sup> Uranos lub Niebo, najstarszy z bogów.

wiały rodzicom żadnego zmartwienia, kochały się wzajemnie, szanowały starszych, a czciły rodziców. Między ludźmi panowała święta zgoda i sprawiedliwość. Nikt nikomu krzywdy nie wyrządził, więc nie było ani procesów, ani sędziów i obrońców sądowych, ani wojska, ani fortec, ani owych okrutnych narzędzi, powymyślanych na zagładę rodzaju ludzkiego. Ludzie ówczesni wogóle nie znali, co to choroba, co lekarz, apteka; słowem, nie doznawali żadnych dolegliwości. Nikt się nie obawiał podwyższenia komornego, bo nie płacono wcale; cała ziemia jednym była pałacem. W miejscu posadzki zasłany był kobierzec wzorzysty niezwydłych kwiatów, a dachem pałacu było niebo rozkoszne, na którem we dniu wdzięcznie uśmiechało się słońce, a w czasie nocy spokojnej iskrzyły się tysiączne gwiazdy.

Wieczna wiosna panowała na ziemi. O żywność nikt się nie troszczył, wszystkiego rosło pod dostatkiem; pola rodziły bez uprawy, zboże uginało się pod ciężarem kłósów, a drzewa różne dostarczały nieustannie najcudniejszych owoców i świeżych bakalii. Rzeki płynęły mlekiem i boskim napojem, nektarem zwanym.

Lecz któż zdoła opisać błogostawioną dolę człowieka? Była ona tem szczęśliwszą, że człowiek wcale się nie starzał, zawsze był zdrów i wesół, a żyjąc sprawiedliwie, doznawał najwyższego szczęścia, bo spokojności sumienia.

Gdy nareszcie ci ludzie posnęli snem błogim, szczęśliwym, dusze ich sprawiedliwe bogowie uczynili duchami opiekuńczymi dla ludzi późniejszych.

Wiek ten cały, od kruszcza w rozumieniu ludzkim najszlachetniejszego, przewano wiekiem *złotym*, albo wiekiem Kronosa. Rzymianie rozumieli, że grecki Kronos jest ich Saturnus, więc nazwali ów wiek — wiekiem Saturna.

## II. Wiek srebrny.

Bogowie pogańscy ulegali tym samym słabościom, co ludzie. Bożek Kronos zestarzał się, a jednemu z jego synów, Zeusowi <sup>1)</sup>, zachciało się w miejsce ojca światem zawładnąć. Więc uczynił zasadzkę na ojca Kronosa, zwią-

<sup>1)</sup> Zeus, czyli Jowisz, jeden z najpotężniejszych bogów greckich, syn Saturna i Cybeli.

zał go i zamknął w ciemnej otchłani podziemnej, która się Tartaros zwała. Otchłań ta leżała tak głęboko pod ziemią, ile niebiosa wysoko nad ziemią, albowiem powiada Hezyod, «gdy rzucisz śpiżowe kowadło z nieba na ziemię, dziewięć dni i dziewięć nocy spadać musi, nim się na ziemię dostanie; tyleż czasu potrzeba, aby się do Tartarosu dostało».

W tej oto ciemnicy siedział ojciec Kronos, wtrącony przez własnego syna, Zeusa.

Za pierwszych lat panowania Zeusa zaczął się ów wiek srebrny, gorszy wprawdzie od złotego, ale lepszy od następnego, śpiżowego. Nasamprzód znikła wieczna wiosna, a nastąpiły cztery pory roku, z których upalne lato i ciężka zima nadzwyczaj dokuczały ludziom, przez Zeusa stworzonym. Trzeba więc było pomyśleć o cieplejszej odzieży i o schronieniu przed deszczem ulewnym, przed mroźnym śniegiem, lub nieznośnym upałem. Chronili się tedy ludzie po jaskiniach, a gdzie tych nie było, postawili sobie z drzew i chróstu coś naksztalt chaty. Ziemia bez uprawy także rodzić przestała, więc człowiek dla utrzymania życia rolę uprawiać musiał i ciężko pracować razem ze swem bydełkiem.

Sam człowiek ulegał rozmaitym słabościom; najnieznośniejszym było, że dziecię sto lat chować się musiało przy rodzicach, a doszedłszy tych stu lat, człowiek nie użył lat młodzieńczych, bo szybko się zestarzał i znów zdziecinniał. Tym sposobem na wieczne niemowlęctwo był skazany; wszystko czynił bezmyślnie, bo brakło mu wieku męskiego, w którym zwykle występuje samodzielnie i czynnie. Stąd też nie wznieśli się ludzie do żadnej moralności, i trafnie poeta grecki, chcąc nieudolność moralną opisać, powiada, że nie znali uczucia wdzięczności i pobożności.

Widząc tę nieudolność rodu ludzkiego, Zeus postanowił go zgładzić. Lecz cóż począć miał z duszami? Ludzie tego wieku znów tyle nie zawinili, aby zasłużyli na strącenie do piekieł, by umysł ich był niezdolny do dobrych uczynków; do niebios ich także przyjąć nie mógł, bo na to potrzeba sobie zasłużyć, więc zostawił ich dusze na ziemi; ludzie późniejsi przewali je *demonami*, i niekiedy im nawet cześć boską oddawali.



### III. Wiek śpiżowy.

Po zgładzeniu ludzi wieku srebrnego, Zeus postanowił stworzyć innych ludzi i uczynił to. Ale co to byli za ludzie, niech Pan Bóg broni! Byli to wielkoludy, bezbożnicy, jakich świat dotychczas nie widział. W nic innego nie dufali, jedno w swe siły ogromne, w śpiżową zbroję i w broń, śmierć zadającą. Nie było też krzywdy, którejby się nie dopuszczali; najprzyjemniejszą zaś dla nich było rzeczą — o lada przyczynę staczać krwawe boje, wyzywać do walki, lub popełniać mordy okrutne. O sprawiedliwości ani nie pomyśleli; nawet nie przypuścili, żeby coś podobnego na świecie istnieć mogło.

Pobożności nie znali nawet z nazwiska, bożków swoich za nic mieli, i do tego stopnia umysł ich dziki i swarliwy zapomniał się, że bogów do walki wyzywali.

Zeus, rozgniewany nieustannem bezprawiem tych wielkoludów, postanowił ich wygubić i taki dał wyrok: «Z własnej ręki niech zginie ród cały!»

I tak się też stało. Ludzie ci wzajemnie się pozabijali, a dusze ich niesprawiedliwe Zeus zamknął do ciemnego *Hadesu* (tak starożytni nazywali piekło), gdzie za swe sprawki cierpią męki rozmaite.

### IV. Wiek bohaterski.

I znów Zeus stworzył inny ród ludzki, który był daleko lepszy od ludzi wieku śpiżowego. Byli to bohaterowie w prawdziwym znaczeniu wyrazu, którzy wiedli owe słynne i wielkie boje pod murami Teb <sup>1)</sup> i Troi <sup>2)</sup>, i którzy czynami bohaterskimi zjednali sobie wiekopomną sławę. Przytem byli to ludzie bogobojni i pobożni, albowiem pobożność i prawdziwa rycerska waleczność idą zawsze z sobą w parze. Wielka część tych bohaterów poginęła w bojach i walkach zaciętych; inna część wymarła ze starości, dokonawszy dzieł godnych pamięci, bo użytecznych dla potomności. Niepoślednią bowiem

<sup>1)</sup> Teby, stolica Beocyi, jedno z najznakomitszych miast Grecyi starożytnej. <sup>2)</sup> Troja, czyli Ilium, stolica kraiku Troas w Azji Mniejszej na wybrzeżu morskiem od przylądka Lekton do Hellespontu, czyli cieśniny Dardanelskiej.

zasługą ich było, że wytracili szkodliwe, jadowite bestye' i że wygubili potwory ludzkie nastawające na życie i mienia ludzi spokojnych.

Zeus bardzo był zadowolony z bohaterów; więc gdy ród ich wymarł, przeniósł ich dusze na Wyspy Szczęśliwe. Tu pod panowaniem Kronosa, którego Zeus wypuścił z Tartaru i królem uczynił, zażywają dusze bohaterów owej błogości, która panowała w wieku złotym.

Wiek ten ubiegły nazwali Grecy wiekiem *bohaterskim*.

## V. Wiek żelazny.

Odtąd rozpoczyna się wiek żelazny, przezwany od kruszcu, który uważano za najgorszy. Albowiem ludzie tego wieku są po największej części źli, bezbożni i mało cenią prawa boskie i ludzkie. Niepocziwe dzieci, czego dotąd nie było, sprawiają rodzicom i nauczycielom zmartwienie; bliźni nie kocha bliźniego, cieszy się, skoro drugiemu źle się wie dzie, a nawet największą sprawia mu to radość, jeżeli sam się przyczynić może do ujęcia komu dobrej sławy, lub wtrącenia go w niedolę. W tym wieku nikt nie jest swego pewien: jeden drugiemu wydiera majątek i życie. Ludzie wiodą wojny bez przyczyny, zdobywają miasta, poczem następują mordy i rzeź okrutna. Wogóle jest to wiek, który żyje w nieszczęśliwym obłądnie, że zbrodnia uchodzi bezkarnie i że sprawiedliwość bogów jest uśpiona.

Więc człowiek brnie w kale grzechów i zbrodni, na nic się nie oglądając, ani dbając o to, co będzie później? co po śmierci? Rozum niby górę bierze, ale cóż po rozumie bez zacności? cóż po nauce bez uczciwości? Bo dopiero jedno i drugie razem stanowi prawdziwą wartość człowieka.

Przy takim prowadzeniu się ludzi, niepodobna, by pogański nawet bożek nie miał ukarać złości ludzkiej. Już teraz dręczą człowieka choroby, mór, głód i klęski przeróżne; już teraz męczą go noce bezsenne i wyrzuty sumienia. Lecz na tem nie dosyć; na ludzi niepocziwych spadnie jeszcze sroższa kara!

Otóż to są wieki opowiedziane porządkiem przez Hezydoda podanym. Owidyusz wylicza tylko cztery wieki, bo wiek bohaterski i żelazny uważa za jeden, nazywa-

jąc go wiekiem żelaznym. W legendzie tej widzimy myśl główną, która przez wszystkie snuje się wieki: że zawsze wierzono w bytność Boga, choć Boga wyobrażano sobie po pogańsku, i że wierzono w nieśmiertelność duszy.

Wiara ta istnieje od samego początku świata, przez wszystkie wieki i u wszystkich ludów; z niej też wypływa owo głębokie przekonanie ludów i narodów, że człowiek sprawiedliwy dostępuje po śmierci życia szczęśliwego, człowiek zaś bezecny, bez wiary i dobrych uczynków, odbiera zasłużoną karę.

*A. Mierzyński.*

## 2. P i a s t.

«Gość w domu, Bóg w domu», to stare polskie przysłowie i stare prawo życia, którego się święcie trzymano; a ta cnota, z której ojcowie nasi słynęli, znana jest u wszystkich, nawet najdzikszych i najsurowszych ludów, jakby na dowód, że wszystko, co piękne i szlachetne, od Boga jest, i wszystkie łączy narody w jedno bratnie grono. Jakoż tylko złością oddalamy się, dobrocią łączymy się wszyscy przed Stwórcą.

Kiedy w twe progi wstępuje gość, jest to bliźni, który w tobie i w domu twym położył wiarę i zaufał, że go za drugiego siebie uważać będziesz. A gospodarz, wdzięczny zaufaniu, daje gościowi pierwsze miejsce, i wszystko, co ma najlepszego w sercu, w uścisku serdecznym ofiaruje.

Jest w historii naszej podanie, które z ust do ust, z księgi do księgi przechodząc, każdemu pokoleniu było przestrogą i napomnieniem, że starzy uważali gościnność za pierwszą powinność obywatelską, a w młode serca wpajali wiarę, iż ta cnota (już ją nawet nie za cnotę, lecz za obowiązek poczytywano) zarówno ludziom, jak i Bogu jest miłą. W niej jest źródło miłości i pokoju między ludźmi: bo ten, któregoś po Bożemu w domu swoim przyjął i pocziwem sercem uraczył, będzie dla ciebie miły.

Za czasów pogańskich żył w Polsce, nad jeziorem Gopłem, pocziwy kołodziej, imieniem Piast, żonę miał nazwiskiem Rzepichę; oboje pędzili żywot, jak prawi chrześcijanie, choć chrześcijanami nie byli. Bo żaden



ubogi bez jałmużny nie opuścił jego domu, ani nie wydarzyło się nieszczęście w okolicy, któremuby Piast według możności nie starał się ulżyć. Nie było zbyt w jego skromnej chacie, ale Bóg tak zawsze sprawił, że Piastowemu sercu wystarczało, bo i swoi mieli dość i drudzy, jeśli głodni byli, nasycili się.

Mieli zaś syna małego; więc gdy zbliżyła się pogańska uroczystość postrzyżyn, gotował się na nią Piast i skromne czynił zapasy mięsa i miodu, aby sąsiadów, kto łaskaw będzie, było czem uraczyć.

Blizką była owa uroczystość, kiedy pewnego dnia przez Kruszwicę przechodzili dwaj pielgrzymi, a zapukawszy do bram księcia Popiela, zażądali od niego schronienia. Ale Popiel, iż był człowiek dumny i zły, nierad miał gości u siebie, bo zawsze knuł jakieś złe zamiary, kazał ich więc precz od zamku odegnać. Wtedy pielgrzymi przyszli przed dom Piastów i stanęli przed drzwiami.

Ostrzegła Rzepicha męża, że jacyś obcy stoją przed domem. Piast, jak to było jego zwyczajem, wyszedł na próg, i roztworzywszy ręce, jakoby niemi dom i serce swoje roztwierał, prosił pielgrzymów, aby raczyli przyjąć, czem chata bogata i rada. Wprowadziwszy ich do komory, pośpieszył do spiżarni, i nie bacząc, że mu może braknąć na postrzyżyny, ujął mięsa i miodu z naczynia i stawił je przed pielgrzymami, zapraszając uprzejmie, aby posilić się raczyli. Zabawili chwilę owi pielgrzymi, a gdy odchodzili, Piast prosił ich, aby nie zapomnieli, iż za dwa dni u niego święto rodzinne.

Był zaś pod ten czas głód w okolicy, i kiedy goście zebrali się u Piasta, mnóstwo zgłodniałego ludu stanęło przed domem i błagało posiłku. Piast otworzył wszystkim chatę swoją i z żoną począł wynosić co miał w spiżarni zapasów. Ale się frasował wielce, mówiąc do niej: — Bóg zdarzył tylu gości, czemże ja ich przyjmę? — a mamże z domu mojego wypuścić zgłodniałych? — Weź, co jest — odpowiedziała mu Rzepicha — obdziela się, jako będą mogli. — Wtem spojrzawszy ku drzwiom, ujrzała dwu owych pielgrzymów. Poszedł naprzeciw nim Piast i tak jak poprzednim razem zaprosił.

Rozpoczęła się uczta. Mnóstwo ludzi obsiadło stoły, ale nie zmieścili się wszyscy w chacie i wielu pozostało na dworze. Rzepicha zносиła mięso i miód i nastarczyć

nie mogła, a każdym razem, kiedy niosła naczynie z ja-  
dłem i napojem, Piast wzdychał, bo myślał, że to może  
już ostatnie, a tu tak wiele ludzi nie jeszcze nie jadło.  
Poszedł więc sam do spiżarni, i o cudo — patrzy, aż tu  
naczynia pełne tak, jakby z nich nie nadebrano. Nie  
może tego pojąć, więc sam ubiera miodu i ukrawa mięsa:  
spojrzy, a w naczyniu tyle jest, co było pierwiej.

Wtedy ujrzał, że to cud, i że Bóg, chcąc z serca jego  
zjąć strapienie, jakie ma każdy prawy, widząc biedne-  
go, któremu pomódz nie może, rozmnożył cudownie jadło  
i napój.

A wtem we drzwiach stanęli owi dwaj pielgrzymi. Ale  
jakże byli zmienieni!

Zamiast długich, ciemnych szat, mieli odzienie jasne  
i mieniące, twarz błyszczała młodością i niebiańskim bla-  
skiem; złote sploty włosów wiły się po szyi. Z ramion  
wystawały srebrzyste skrzydła.

Byli to aniołowie.

Padł na kolana Piast i czołem przed nimi uderzył,  
a oni do niego łagodnym głosem wyrzekną: — Wstań,  
pocziwy człowiecze! Iżeś nas w dom swój przyjął i z tym  
biednym ludem chciał się ostatnim chleba kawałkiem po-  
dzielić, zdjął Pan Bóg z twego serca smutek i dozwolił  
się tobie uradować gościnnem wszystkich przyjęciem.  
I każe nam tobie świetne dni zapowiedzieć, bo jako dzi-  
siaj, zapomniawszy o sobie, myślałeś o ludziach biednych,  
którzy od ciebie żądali posiłku, tak i ty i synowie i wnu-  
kowie twoi będą myśleć o sprawach całego narodu i kró-  
lować przez długie wieki, rozniósłszy sławę imienia jego  
między wszystkie w świecie narody.

Stało się, jak powiedzieli aniołowie, bo odtąd Piast wy-  
niesion był na tron. Ostatni z jego rodu, król Kazi-  
mierz Wielki, umarł 1370 roku.

*Zofia Węgierska.*

### 3. Cuvier i jaskółka.

Sławny Cuvier <sup>1)</sup> w późniejszych latach swoich lubił  
opowiadać następujący wypadek, który zwrócił uwagę  
jego na naukę historii naturalnej.

<sup>1)</sup> Cuvier.—znakomity naturalista francuski, zmarły w r. 1832, pia-  
stował wysokie godności: był parem Francyi, członkiem Akademii  
francuskiej i t. d.

W młodzieńczym wieku, wkrótce po skończeniu uniwersytetu, będąc bez zasobów, został nauczycielem dzieci hrabiego Héricy i z wychowawcami swymi zamieszkał w starym Fiquanville, w obrębie Cans. Okna pokoju Cuviera wychodziły na ogród; każdego więc poranku otwierał je, by odetchnąć świeżem powietrzem, nim się zaczęły lekcye z uczniami dosyć roztargnionymi.

Jednego dnia dostrzegł, że dwie jaskółki budują sobie gniazdko w kącie pod oknem. Sameczyk przynosił w dziobku mokrą glinę, samiczka urabiała ją, mieszając z okruciami siana i słomy, i z tej mieszaniny lepiała gniazdko. Kiedy lepianka już była skończona, obydwaj ptaszki starały się wysłać ją pierzem, wełną i suchymi liśćmi, po które latały do poblizkiego lasu. Raz odleciały i dopiero po paru dniach wróciły. Tymczasem zaszły ważne okoliczności: kiedy bowiem jaskółki tak mozolnie gniazdko swoje lepily, Cuvier uważał, że dwa wróble, siedząc w poblizu na kominie, zdawały się z wielką ciekawością śledzić postępy tej budowy. Jakoż wkrótce wyszedł na jaw podstępny cel tego śledzenia: ledwie bowiem jaskółki ze swej siedziby odleciały, czyhające na to wróble zajęły je natychmiast w posiadanie i tak się w niej rozgospodarowały, jakby we własnej dziedzinie. Cuvier widział następnie, że wróble nigdy razem nie odlatywały; jeden z nich zostawał na straży i grubym dziobem swoim bronił przystępu do gniazda.

Po upływie kilku dni prawi właściciele gniazda powrócili, lecz któż opisze ich zdziwienie, kiedy je przez obcych zajętem znaleźli! Zmartwiony sameczyk frunął do gniazda, chcąc przybysza wypędzić, ale wróbel swoim ostrym dziobem tak go przywitał, że nieszczęśliwy właściciel gniazda ze skrwawioną główką i wydartymi piórkami musiał powrócić do samiczki, która na zielonej gałęzi opodal siedziała.

Z ogniem w oku, drżący od gniewu i wstydu, przez kilka minut kłopotliwie z nią się naradzał. Później oba ptaszki rozwinęły skrzydełka i odleciały. Po jakimś czasie przyfrunęła wróbliczka do gniazda, i Cuvier domyślił się, iż sameczyk opisuje swej towarzyszce żywo i z drwinkami cały wypadek, bo temu opowiadaniu towarzyszyło jakieś dziwne świergotanie, które śmiało szyderczym śmiechem nazwaćby można. Jednakże stadło owo niewiele traciło czasu na gawędkę, ale wylatując naprzemian



znosiło zapasy żywności. Skoro to skuteczniły, usiadły na gnieździe i wystawiły swe dzioby, na obronę mniemanego prawa własności.

Wtem powietrze napełniło się szelestem, i całe stado jaskółek zaczęło dach obsiadać. Cuvier rozpoznał wśród niego właścicieli gniazda, którzy opowiadali nowoprzybyłym wyrządzoną im krzywdę. Wkrótce zgromadziło się na radę do 200 jaskółek. Kiedy gorliwie między sobą szczebiotały, jak mówcy w zgromadzeniu, dał się słyszeć pisk żaloszny na gzymsie pod oknem. Jednej jaskółce parlamentarne rozprawy wydały się pewno zbyt długimi, i zachciała upolować kilka much, które około wzmiankowanego gzymsu brzęczały. Właśnie tam wychowańcy Cuviera zastawili sidła i biedna ptaszyna wplątała nagle wysmukłą nóżkę w zdradzieckie pęty z końskiego włosia. Na pisk jej zleciało się około dwudziestu sióstr-jaskółek i usiłowało ją na wolność wydobyć; ale napróżno: każde wysilenie jeszcze mocniej ścisnęło więzy i powiększało cierpienia skrzydlatego jeńca. Nagle, jakby na komendę, wzbijają się jaskółki wysoko, kołują w powietrzu, spuszcza ją na dół i uderzają silnie dziobkami w sidła, krępujące ich siostrzyczkę, dopóki te po kilku takich uderzeniach nie pękły, a wyswobodzony ptaszek radośnie z towarzyszymi w górę nie uleciał.

Podczas całego tego zdarzenia, które się odbywało o kilka łokci tylko od okna Cuvier'a, nauczyciel nasz nie mógł wyjść ze zdumienia; wróble zaś, będąc również świadkami tego, co zaszło, nie ruszyły się nawet z przywłaszczonego gniazda, lecz tylko obronnie wystawiały groźne swe dzioby.

Naraz, cała chmura jaskółek rzuca się lotem błyskawicy na gniazdo; każda miała w dziobku trochę błota, którym na otwór gniazda bryznęły; tę samą robotę wykonywały następnie inne stada. Rozumne stworzonka zostawały jednak zawsze w pewnej odległości, aby uniknąć dziobów wróbli obłączonych. Te były tak oślepięte tym nagłym pociskiem błota, że o ratunku nie mogły pomyśleć. Tymczasem jaskółki ciągle dalej obrzucały gniazdo błotem, tak, że je zupełnie prawie pokryły, i gdyby nie rozpaczne wysilenia wróbli, które cokolwiek błota parę razy zrzuciły, otwór gniazda byłby już zasklepiony. Gromada jednak nieprześląganych jaskółek

usiadła na gnieździe i dziobami i łapkami tak długo rozrabiała, gniotła i przyciskała glinę nad otworem, aż im się udało szczelnie go zasklepić. Poczem uradowane ptaki wydały okrzyk zwycięstwa i zemsty.

Ale nie na tem koniec: ze wszech stron kwapiły się jaskółki, znosząc materyały na nowe gniazdo, które wybudowały na zasklepionym otworze dawniejszego, i we dwie godziny może po zasklepieniu wróble, wygnane jaskółki spoczęły w świeżem siedlisku.

Dzieło zemsty było już spełnione; nieszczęśliwe wróble nietylko że swój zabór powolną śmiercią odpokutowały, ale nadto podczas męczarni konania musiały jeszcze słuchać wesołego świergotania jaskółek, sprawczyń ich śmierci. Przez długi czas samica rzadko opuszczała gniazdo, zniosła 6 jajek, i kiedy je wysiadywała, pieczołowity samiec karmił ją obficie robaczkami. Po upływie dwu tygodni może, Cuvier dostrzegł, że samiec przez cały tydzień znosił mnóstwo owadów, zajrzał więc do gniazdka i zobaczył 6 żółtych dziobków, chciwie rozwartych, łaknących widać pożywienia. Od tej chwili spostrzeżenia nad powolnym wzrostem i rozwijaniem się piskląt stanowiły najulubieńsze zajęcie młodego nauczyciela. Żółte dziobki młodych jaskółek stały się z czasem czarne i świecące; nagie prawie ciała przystroili się miękkim, ładnym pierzem. Już zaczęły towarzyszyć matce w chwilowych wycieczkach; samiec zaś uczył je, jak muszki w lot chwytać, wysoko się wzbijać, jeżeli pogoda i gdy owady w górze się kręcą, lub znowu nisko skrzydełkami ziemi dotykać, kiedy burza albo deszcz się zbliża i muszki przed nią na ziemi schronienia szukają.

Tak przeszło lato, nastąpiła jesień; znowu całe stada jaskółek zebrały się na dachu zamku Fiquanville, odbywały jakieś posiedzenia i narady, a Cuvier z przyjemnością słuchał ich i starał się zrozumieć ich mowę. Jednego ranka wszystkie stada wspólnie odleciały, kierując swój lot ku wschodowi.

Następnej wiosny przyleciały dwie jaskółki wychudłe, z powydzieranem pierzem i usadowiły się w starem gniazdku. Cuvier poznał je odrazu; były to te same ptaki, nad którymi z takim zajęciem czynił spostrzeżenia roku zeszłego. Zaraz zaczęły gniazdko naprawiać, szpary w niem zalepiać, usłały wewnątrz miękkim suchym mchem i pierzem, jak zeszłego lata, i znowu jakąś wycieczkę

zrobiły. Nazajutrz po powrocie, kiedy radośnie uganiały się za muchami pod oknem Cuviera, zupełnie bowiem oswoiły się i do jego obecności przyzwyczyły, spadł nagle na samca jastrząb, krążący w górze, schwycił go w szpony i już chciał unosić; ale Cuvier strzelił do niego z fuzji, którą właśnie miał pod ręką, i jastrząb zabity spadł w ogród. Cuvier pobiegł uwolnić jaskółkę, ale biedna ptaszyna była bardzo pokaleczoną; drapieżca zapuścił głęboko szpony w jej bok, a parę ziarenek śrótu trafiło ją w piersi i złamało skrzydło. Dobry młodzieniec przewiązał jej rany jak najdelikatniej i przy pomocy drabiny położył ją w gnieździe; przez ten czas biedna samica latała wokoło i bolesne wydawała piski.

Przez trzy dni nie opuszczała gniazda, wylatując chyba za pożywieniem; Cuvier dostrzegł, że osłabiony samiec ledwie główkę podnosił, aby zjadać przyniesione mu owoady, i z każdym dniem widocznie opadał na siłach. Nakoniec jednego ranka przebudził Cuviera pisk jaskółki, która koło okna latała i skrzydełkami biła w szyby. Zjrzał do gniazdka i ujrzał, niestety, samca już nieżywego. Od tej chwili samiczka tęskniła, słabła, nie wylatywała już więcej, nie chciała przyjmować żywności, którą jej Cuvier podawał, i oczywiście z rozpaczy zdechła w kilka dni po sameu.

To małe zdarzenie wywarło silny wpływ na wzniosły umysł Cuviera i przyczyniło się może do tego, że wolne godziny od obowiązkowych zatrudnień poświęcał nauce historii naturalnej. Opowiedział później zdarzenie z jaskółkami księdzu Tessier, przybyłemu w odwiedziny do zamku Fiquanville. Potem wypadki ówczesne i przesładowania rewolucjonistów zmusiły Cuviera do szukania przytułku w Normandji i przyjęcia posady lekarza szpitala w Fécamp. Gdy poznano nadzwyczajne zdolności Cuviera, poruczono mu, aby uczniom medycyny, uczęszczającym do szpitala, wykladał historję naturalną, i poznajomiono go ze znakomitszymi badaczami przyrody: Jussieu i Geoffroi Saint-Hillairem. Z nimi, oraz z innymi uczonymi prowadził Cuvier korespondencję naukową, a później po głębszem i dokładniejszem poznaniu nauk przyrodniczych, został powołany do Paryża na katedrę anatomii porównawczej. Co odtąd dla historii naturalnej, a w szczególności dla zoologii uczynił, to każdy ukształcony człowiek wiedzieć powinien. T.



## 4. Rzeczka bez nazwiska

czasu powodzi w roku 1867.

Ulubiona moja rzeczko! nad brzegiem twoim, w cieniu zwieszających się wierzb, kalin, czeremch i gdzieś tam ocalonych sokór i dębów, ileż to spędziłem najmilszych godzin na rozmyślaniu o przeszłości, i na marzeniu o tem, co kiedyś będzie!

Droga przyjaciółko! lubiłaś rozmawiać ze mną to szmerem równego prądu, to głośniejszem pluskaniem, jakbyś rozumiała każde mocniejsze serca bicie... Rzeczko powiernico! nie poznaję cię teraz! huczysz, niesiesz żwir, gałęzie i występujesz z łożyska!...

Po jednostajności twego humoru nigdybym się nie domyślał, że cię uniesie taka namiętność, szal ambicyi, że się spiętrzysz, rozwścieczysz, zapienisz, i jak okiem sięgnąć, zatkniesz sztandar zdobywczy, choćby na jedną dobę, nie dłużej.

Otóż, psotnico, urwałaś kawał brzegu z tym ogródkiem, co żywił biednego wyrobnika, zatopiłaś łąkę i niesiesz siano z pokosów; żytnie i pszeniczne kłosa, biedne topielce, szamocą się z twemi falami i wyciskają lzy rodzinie, która stoi tam na wzgórkach i widzi przed sobą głód w jesieni, głód w zimie i żebraczą wędrówkę na wiosnę... Co też dokazujesz! Czy doprawdy chciałybyś tę uroczą, kwitnącą dolinę zamienić w bezbrzeżne jezioro?

Jak malarz kilku rzutami pędzla umie zrobić morze, tak i ty w mgnieniu oka robisz na tle tego szmaragdowego krajobrazu wyspy, przylądki, zatoki, cieśniny...

Udało ci się. Owa wioseczka, tam na pochyłości wzgórz, z bielejącym kościółkiem i murowaną karczmą wygląda jak port morski... Czemuż tak osamotniony? Nie widać lasu masztów, ani uwijających się łodzi. Zapewne rybicka ludność, korzystając z dobrego wiatru, wyruszyła na pełne morze, za połowem ryb.

Piękne to, piękne, romantyczne i malownicze!...

Ależ, rzeczko moja, upamiętaj się! fantazyja fantazyją, a rozsądek rozsądkiem... Chyba sama nie wiesz, co robisz? Nie każda poezya nada się do czynu, nie każdy czyn staje się poezją...

Patrz! tam zaskoczyłaś pasące się bydło i konie. Pa-

stuch w sam czas uczeplił się grzywy konia i dopadł suchego ładu, a to biedactwo rży, ryczy i biega, jak oszalałe, od brzegu do brzegu, a wszędy woda i woda... Młyn na cztery kamienie, który kołatanem rozweselał tę spokojną dolinę, milczy, jakby mu serce pękło, a młynarz z żoną i drobnymi dziećmi siedzi na dachu i woła w niebogłosy ratunku. Zapewne przewiduje, że i jemu zagraża los tej chałupy, pędzonej falami, co jak przedziurawione czółno przechyla się w jedną i drugą stronę i coraz się głębiej zanurza, aż w końcu trafi na pień podwodny i roztrzaska się w kawałki.

Powierzchnia tego improwizowanego morza ożywia się coraz więcej: tu fala unosi kilka dylów z zerwanego mostu; tam dalej widać poręcze, okiennice, pół okna; na kopie siana żegluj struchlały zając; obok wynurza się łeb konia lub krowy, unoszący się jeszcze nad tonią i parskający wodą; gdzie spojrzysz, kawałki drzewa, sprzęty gospodarskie, snopki ze strzechy, pokosy trawy i zboża.

Zniszczenie odbywa się bez hałasu, tylko w powietrzu drży odgłos dzwonów, gdzieś na gwałt bijących.

Rzeczko moja! z uroczej i pokornej stałaś się panią groźną i potężną. Nie dość ci własnego koryta; wydzierasz się na podboje rozległych łądów i w pysznem zarozumieniu drzesz się do morza, aby sięgnąć po sławę najpierwszej rzeki na ziemi... Ależ zastanów się: pędząc na oślep przez doły i góry, po gościńcach i zaroślach, po łąkach i rolach, nie szanując ani grobel, ani mostów, ani płotów, ani mieszkań i składów, tych dzieł pracy i przemysłu ludzkiego, porywając za sobą wszystko, co spotkasz w przechodzie, że te niegdyś jak lza przejrzyste kryształy twoje zbrukały się wirem, piaskiem, błotem. Wszystkie nieczystości padółu zagarnęłaś do siebie, i zdaje ci się, żeś ta sama jak dawniej, gdy dając wilgoć łąkom i ogrodom, obracając młyny i tartaki, rzeźwiąc spragnionych w upał żniwiarzy, dzieląc pustoty kąpiących się dzieci, byłaś najulubieńszem miejscem wieczornych schadzek, powiernicą słowików, zwierciadłem zórz porannych i zachodnich, odmian księżycy i wizerunkiem głębokich szafirów nieba, zasianego gwiazdami.

Niebaczna! cóżeś zrobiła z niezabudkami, jaskrami, liliami, wpatrującemi się z taką miłością w twoje jasne kryształy?

Wytargałaś je z korzeniem, rozniosłaś na cztery wiatry!

Gdzież się podziały słowicze gniazdeczka, z całą rodziną przyszłych poetów? Utopiłaś matkę z pisklętą... Piękna wdzięczność! Ojciec, jak długa wiosna, wyśpiwywał do ciebie długie nokturny; teraz osamotniony, osierocony, wynosi się daleko, daleko... Pożegnaj się już ze słowikami, nie usłyszysz ich w zaroślach twoich brzegów. Jedna tylko rybitwa, niespokojny duch, ślaniać się będzie nad tobą i piskliwym wrzaskiem napełniać powietrze... Nie lepiej wywdzięczyłaś się i tym stadkom kuropatw i przepiórek, co siedziały po kępinkach na błoni. Potonęły! potonęły!

Przyjdzie jesień, i myśliwiec, nałaziwszy się dzień cały, wróci do domu z pustą torbą... Ale na co tu jesieni! Jutro o wschodzie słońca nie usłyszysz ani wesołej ptaszków modlitwy, ani ich melodyjnych śpiewów miłosnych; za całe towarzystwo zostanie ci zniszczenie, pustka i zatruty wyziew wilgoci.

Rzeczko! usłuchaj rady starego przyjaciela: daj folgę swawoli i wróć do dawnego łożyska! Próżny rozgłos nie daje szczęścia. Pamiętasz, jak cię otaczano miłością, jak uwielbiano twoje wdzięki i przymioty? Chciałażbyś, żeby się lękano? Burze, spiętrzone bałwany, mielizny i wiry przystoją oceanom, nie tobie. Nie lepiejże wilzyć pobrzeżną murawę i kwiatki, niż je niszczyć i żywcem grzebać pod warstwą namułu? Do każdego kielicha i pączka, zwilżonego twą rosą, przyleci brzęcząca pszczołka, złotoskrzydły motyl, i napije się nektaru; każdy ptaszek, co dziobek swój w nim umoczy, odplaci ci za to piosenką; każdy przechodzień, zwabiony twoją rzeźwiącą czystością, zanurzy się w niej i pobłogosławi dobrej i zdrowej wodzie.

Płochy strumieniu! mniemałeś zrazu, że to nic nie szkodzi dogadzać kaprynowi, że to zabawka swawolić i hulać po łąkach, górach i kniejach, jak hula wiatr, lub śnieżna zadymka. A od tego kaprysu ile to ptaszków, ile kwiatów straciło życie, ile owoców pracy ludzkiej przepałoś marnie! Niebaczna rzeczko! zapomniałaś, czem jesteś.

Dokądże biegną twoje wody? Mów, dokąd?

— Do rzeki!

Do rzeki, mówisz; azaliż ci nie strach, aby ta potężna królowa strumieni nie nadużyła wód swoich, kiedy ją podsycisz swoim wylewem? Ty opadniesz, ona wzrośnie.

Rzeczko moja! Opatrzność przeznaczyła cię na dobroczyńcę tej okolicy; kazała ci użyźniać pola i łąki, stroić



zielonością brzegi, odświeżać powietrze, przygrywać dnio-  
wi i nocy muzyką fal szemrzących; czyż to nie lepsze,  
niż dzieło zniszczenia?

Czyń dobrze, czyń dobrze, ulubiony zdroju! Nie ła-  
twiejszego, jak przestać panować nad sobą i mimowolnie  
stać się współnikiem złego, które trudno odrobić.

*L. Siemieński.*

## 5. Piotr Wielki pracownikiem.

Wiele dzieci sądzi, że ponieważ rodzice ich posiadają  
majątek, więc one pracować i uczyć się nie powinny, że  
nawet praca poniżałaby ich godność. Że ci, którzy tak  
twierdzą, bardzo się mylą, to przyzna każdy głębiej za-  
stanawiający się nad obowiązkiem człowieka. Każdy jest  
przeznaczony do pracy; wszystko znajduje się w ciąg-  
łej, nieprzerwanej czynności. Pracą kształcimy się, do-  
skonalimy, pomagamy jeden drugiemu. Pracą istnieje  
i utrzymuje się postęp społeczności, a nawet najdrobniej-  
sza rzecz mądrym zrządzeniem Opatrzności ma swój po-  
żytek, ma swoje przeznaczenie; tak więc i każda nasza  
praca, byleby sumienna, musi być pożyteczną. Wielu  
wielkich ludzi rozumiało tę myśl i nie żałowało swych sta-  
rań i pracy, aby być pożytecznymi ludzkości. W ich lic-  
bie znakomite zajmuje miejsce cesarz rosyjski, Piotr I,  
czyli Wielki, który panował od roku 1689 do 1725. Mo-  
narcha ten siłą swego geniuszu poznał potrzeby swego  
państwa, przewyciężył prawie niezwalczone przeszkody,  
przekształcił kraj, oświecił naród, — słowem: panowanie  
jego stanowi epokę sławy, jakby nową erę dla cesarstwa.  
Życie Piotra W. było ciągłą pracą; może nas o tem prze-  
konać dzienny tryb życia tego monarchy.

Latem i zimą Piotr W. kładł się spać o godzinie 10-  
wieczorem, a wstawał o 3-iej rano. Wstawszy, chodził bliz-  
ko godzinę po pokoju, czytając różne dzieła, tłómacząc  
niektóre książki na język rosyjski, lub redagując arty-  
kuły do gazety. Żadna książka nie wychodziła wtedy  
z druku, nie będąc wprzód przejrzaną przez cesarza.  
O 4-iej zrana Piotr udawał się do admiralicyi, gdzie pra-  
cował na warsztatach okrętowych do 7-iej rano; potem  
zwiedzał różne budowle i roboty, przyjmował raporty,  
wydawał polecenia. O 9-iej udawał się do senatu i tam  
pracował do południa. Około 1-iej jadł obiad, składający

się z prostych, niewyszukanych potraw; po obiedzie spał godzinę, potem pracował w tokarni, układając różne modele aż do 4-ej lub 5-ej po południu. Następnie pracował z ministrami do 7-ej wieczorem, poczem szukał rozrywki albo w zgromadzeniu u siebie, lub u którejś z blizkich sobie osób.

Piotr I ubierał się skromnie, był oszczędny w wydatkach, ale hojnie nagradzał zasługi.

Jak bardzo nie lubił zmieniać trybu życia, z wyjątkiem ważnych okoliczności, podróży i t. p., może posłużyć dowód, że pewnego razu wyznaczył posłowi elektora brandeburskiego audyencyę o godzinie 4-ej zrana. Poseł nie przypuszczał, żeby monarcha wstawał tak wcześnie i sądził, że się nie spóźni, gdy przybędzie o 6-ej; lecz już nie zastał cesarza, który od dwu godzin blisko pracował na maszcie wojennego okrętn. Poseł miał ważne depesze i nie mógł układać się z ministrami, nie rozmówiwszy się poprzednio z cesarzem; zmuszony był zatem udać się do warsztatów okrętowych. Gdy dano znać Piotrowi o przybyciu posła, odpowiedział:

— Niech się pofatyguje tutaj, kiedy nie umiał zastać mnie w domu.

Nie było rady! Poseł musiał wdrapać się po sznurowych drabinach na wielki maszt, i tam Piotr, siadłszy na belce, przyjął od niego listy wierzytelne i wysłuchał zwykłych przy tem pozdrowień. Było to bez wątpienia najoryginalniejsze w świecie posłuchanie.

Zastanawiając się nad ogromem dzieła, dokonanego przez cesarza Piotra, należy podziwiać, jak mu na to starczyło czasu, zwłaszcza mając na uwadze, że początkowe wychowanie jego było bardzo zaniedbane, że wszystko, co umiał, winien był tylko sobie i swej pracy.

Wstąpiwszy na tron, pragnąc oświecić siebie i swój naród, Piotr I przedsięwziął podróż za granicę; ale że to czynił nie dla rozrywki, więc żeby nie tracić drogiego czasu na uroczystości i zabawy, podróżował pod nazwiskiem skromnego szlachcica. W orszaku młodych ludzi podążył przedewszystkiem do Holandyi.

Ten mały kraik, który dzięki żelaznej wytrwałości i pracy swych mieszkańców, stał się zamożnym, zamienił wydmy morskie i bagna w żyzne role i pastwiska, najwięcej zwrócił na siebie uwagę Piotra W. Tam on przekonał się dokładnie, czego mogą dokazać: praca, cierpli-

wość i nauka. Tam w miasteczku Saardam (o 4 mile od Amsterdamu) władca potężnego państwa pracował jako prosty cieśla na warsztatach okrętowych. Następnie zwiedzał różne kraje, pragnąc poznać fabryki i rzemiosła, i sam w nich gorliwie pracował, aby dać tem przykład swym poddanym, że żadna praca i żadne rzemiosło nietylko nie poniża, lecz owszem podnosi i uszlachetnia człowieka; przeciwnie zaś lenistwo hańbi i strąca w odmęt nędzy i wzgardy nietylko pojedynczych ludzi, lecz i całe narody.

W czasie jednej ze swoich podróży, Piotr zwiedzał w Istrii walcownię Müllera, i przez dzień cały pracując w fabryce, wykuł 18 szyn. Wieczorem, gdy nastąpiła wypłata, cesarz pytał: po czemu płacą od wykucia szyny? Odpowiedziano mu, że po 6 groszy, czyli trzy kopiejki.

— Więc należy mi się za 18 szyn 54 kopiejki,—powiedział Piotr.

Właściciel fabryki, dowiedziawszy się o znakomitem stanowisku robotnika, ofiarował mu 18 dukatów, lecz Piotr ich nie przyjął i rzekł:

— Nie potrzebuję twoich datków; zapłać mi tak, jak płacisz innym robotnikom, pracowałem nie lepiej od nich.

Otrzymaawszy należność, Piotr kupił sobie za nią nowe trzewiki, a obracając się do swego orszaku, rzekł:

— Pracowałem dziś w pocie czoła.

Potem pokazując im swoje zamulone ręce, dodał:

— Ja, choć wasz monarcha, pracuję i nie wstydzę się żadnego rzemiosła, by was zachęcić do pracy, bo od tego zależy pomyślność i wielkość naszej ojczyzny. Pracujcie, pracujcie niez mordowanie, a potomność uwielbiać i błogosławić was będzie!

## 6. Klemens Janicki.

(Powiastka na tle dziejowem).

W Wiśniczu <sup>1)</sup> na zamku gości huk! Snadź jakąś ucztę wyprawia jaśnie wielmożny wojewoda, bo huczno i dwornie zjechali się panowie senatorowie, kasztelanowie, starostowie i wielu innych magnatów. Aż się trzęsą mury

<sup>1)</sup> Wiśnicz, w wojew. Krakowskim, w b. pow. Czechowskim, leży u podnóża góry w obwodzie Bocheńskim.



wiśnickiego zamku, a i w czeladnych izbach ludno i rojno jak w mrowisku.

Wojewoda z Wiśnicza, Piotr Kmita, był to pan wielki i możny; w podziw wprawiały dostatki jego i bogactwa.

I dla kogóż to on wyprawia ten bal suty i wspaniały?

Oto, od godziny już łamią sobie głowy i Grześ kuchcik i Sołowij kozak i pajuk Walenty.

— Wiem już, na co to wszystko—rzecze Grześ—to pewno arcybiskup przyjedzie ze Lwowa.

— Prędej pan kasztelan krakowski—mruknie Sołowij.

A stary pajuk pokiwał głową i machnął ręką.

— Nic nie wiecie obadwaj—szepnie;—nie dla arcybiskupa, ani dla kasztelana ten bal w naszym dworze. Mnie się zdaje, że pan wojewoda spodziewa się dziś samego króla jegomości.

Aż na to wysunął się z dworu pan Szczeczuga, dworzanin pana wojewody.

— Nad czem tak radzicie?—zapytał.

— Ot, panie,—odpowie kozak—zgadujemy, dla kogo to pan wojewoda taką huczną wyprawia biesiadę.

Pan Szczeczuga uśmiechnął się i poważnie ruszył głową.

— Nie zgadnie z was ani jeden—rzekł.—Pan wojewoda i wszyscy tu zebrani panowie spodziewają się sławnego gościa: Klemens Janicki ma dziś wrócić z włoskich krajów.

— Klemens Janicki, Klemens Janicki! — mruknął pod nosem kozak Sołowij.—Jeździłem ja z panem dwa razy na sejm do Krakowa i poznałem wszystkich panów, ale żadnego Klemensa Janickiego nie widziałem.

— Bo Klemens Janicki nie pan żaden, lecz syn prostego chłopca ze wsi Januszy, która jest koło miasteczka Znina.

— Syn prostego chłopca!—krzyknął Grześ zdziwiony.

— Ale człowiek wielce uczony, — dodał pan Szczeczuga. — Janicki układa po łacinie takie cudne śpiewki, że człeka chwyta za serce, jakby śpiew słowika, albo skowronka na wiosnę.

— A skądże on się nauczył po łacinie? — zapytał się Sołowij.

Podparł się Szczeczuga i ozwie się:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Klemens, czyli Klimek Janicki pasł bydło za młodu, i raz siedział sobie przy drodze, gdy w sutej kolasie nadjechał ksiądz arcybiskup z Gniezna. Podobał mu się na oko chłopczyzna, bo był

ładny jak aniołek, z jasnymi włosami i niebieskimi oczyma. Ksiądz arcybiskup kazał stanąć kolanie i zapytał chłopczynę: co za jeden i jak się nazywa? Dowiedziawszy się zaś, że ma ojca kmiecia we wsi, posłał zaraz pajuka do starego Janickiego i rzekł do niego:

— Oddajcie mi w opiekę swego syna, ja mu przyszłość zapewnię.

Ucieszył się wielce Janicki, jak każdy ojciec, pragnący szczęścia swego dziecka, rad przystał na wszystko; ksiądz arcybiskup wziął z sobą chłopczynę i oddał go zaraz do szkół w Krakowie. Klimek zaczął się uczyć i wnet prześcignął w rozumie najpierwszych towarzyszków, a wkrótce potem począł już układać owe cudowne śpiewki łacińskie, co to aż sam król je czytał i radował się niemi niezmiernie. Już wtedy młody Klemens stał się głośnym, ale wnet dotknęło go nieszczęście. Jego opiekun i dobrodziej, ksiądz arcybiskup, rozstał się z tym światem, a Klemens miał zostać bez pomocy na świecie; zamierzał więc wrócić napowrót do wieśniaczej zagrody. Ale któż to w Polsce nie znajdzie pomocy i opieki, kto jeno na nią zasługuje?

Zaledwie ksiądz arcybiskup oczy zamknął, a już kilku panów wadziło się z sobą, bo każdy na swój koszt chciał brać Janickiego. Otrzymał nareszcie pan wojewoda pierwszeństwo i on nadal opiekował się Klemensem.

Tymczasem Klemens tak chciwie brał się do nauki, że już nie było mu się czego uczyć w kraju. Więc pan wojewoda, nie żałując pieniędzy, wyprawił go do obcych krajów, szczególnie do Włoch, gdzie było wtedy najwięcej ludzi uczonych.

Pojechał Janicki, ale po kilku latach i tam już uczeni musieli ustępować mu pierwszeństwa, a już co do tych śpiewek, to mu nikt nie mógł sprostać. Dowiedziały się o nim zagraniczne kraje, dowiedział się sam Ojciec Święty w Rzymie, więc też kazał ze złota zrobić koronę, i w mieście Padwie ukoronować Klemensa Janickiego, jako największego na wszystkie kraje poetę, co to układa pieśni i pisze dzieła.

— Więc syna prostego chłopca polskiego kazał sam Papież koronować?—zawołał Grześ kuchcik.

— Tak, tak, chłopcze!—rzecze pan Szczeczuga. — Ukoronowany w Padwie, wraca do swego miłego kraju i dziś jeszcze ma przybyć do dworu. Dlatego zebrali się pa-

nowie u naszego wojewody, aby tak sławnego człowieka powitać na swojej ziemi.

Zaledwo dworzanin skończył opowiadanie, aż tu zadudniła kolasa i z hukiem i stukiem zajeżdża przed zamek.

— Otóż i on!—zawołał pan Szczeczuga.

Patrzą wszyscy, a toć to młode paniątko, takie ładne i układne, jakby nie widziało nigdy nic na oczy, jeno same pańskie pałace. I któżby poznał, że to ten sam Klimek, który przed kilkunastu laty pasał bydło w Januszy koło Znina! <sup>1)</sup>

Staje kolasa przed gankiem, Klemens wysiada, aż tu otwierają się drzwi pałacowe, i naprzód postępuje z otwartymi ramionami j. w. wojewoda, a za nim pań i panów co niemiara. A wszyscy poważni i wspaniali, wszyscy w złocie i aksamitach, pierwsi po królu senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie.

Kłania się pokornie Janicki, a oni wszyscy wołają:

— Witaj nam, ukoronowany, witaj, Klemensie Janicki!

I witają go, ściskają, całują i prowadzą naprzód do komnat, na pierwszym sadzając miejscu. Rozpoczęła się zaraz wesola zabawa, zagrała muzyka od ucha, i wino płynęło, jak woda,—a wszystko to na cześć naszego Klemensa. Jemu aż lży się leją po ładnej twarzy z rozczulenia, wszystkim tedy serdecznie dziękuje. Długo w noc przeciągnęła się zabawa, a na całym zamku, i w pańskich komnatkach, i w czeladnych izbach, o nikim nie było mowy, tylko o naszym Klemensie.

Nazajutrz uczta miała na nowo się rozpocząć; ale zaledwo wstał z łoża pan wojewoda, już Klemens Janicki staje przed jego obliczem.

— A cóż tam ci tak pilnego? — rzecze pan wojewoda.

— Przyszedłem prosić cię, jaśnie wielmożny panie, abyś mi pozwolił odjechać na parę dni.

— Co? odjechać?—woła wojewoda zdziwiony:—czy ci się co nie podobało u mnie?

— O, nie, miłościwy panie! — odpowiada Klemens. — Miło mi tu siedzieć, ale dwanaście lat już nie byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem moich starych rodziców. Przebacz przeto, j. w. wojewodo, że tak prędko się oddalam, i pozwól mi zaraz odjechać.

<sup>1)</sup> Miasto pomiędzy jeziorami, w dawniejszem województwie Gnieźnieńskim.



A na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo tęskno puszczać cię tak prędko od siebie, ale trudno ci odmówić, kiedy w tak poczciwej jedziesz myśli. Zawsze to ojciec i matka starsi od obcych ludzi.

Pozwolił tedy na wyjazd p. wojewoda i swoją kolasę dał mu do drogi. Wyszli więc panowie pożegnać Klemensa, a jeden pyta: gdzie mieszkają jego rodzice? Janicki, nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, tym pięknym wierszem mu odpowiedział:

«Za znińskiem bagnem jest wieś przejezdna,  
Co się Janusza powszechnie zowie;  
Tamtędy niegdyś polscy królowie  
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;  
I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,  
Orze poczciwie grunt pradziadowski.

Wyjechał tedy we wspaniałej kolasie i w sukniach bogatych do owej lubej wsi rodzinnej, gdzie tyle drogich sercu jego pozostało pamiątek.

Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i choć zrąbane z wierzchu, krzewi się zawsze pod spodem, tak i pamiątki z lat dziecinnych i z miejsc rodzinnych żyją i korzenia się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczy się po drodze pańska kolasa, ale dla Klemensa to jeszcze niedość prędko; onby na skrzydłach orlich rad przelecieć przez góry i lasy i stanąć w ojczystym domku, i uściskać starych rodziców.

A cóż to widać tam w głębi między zielonemi sady? Skąd ten dym niebieski pnie się do góry? A! to już Janusza! Klemensowi serce bije, że mało pierś nie pęknie; on zna każdą ścieżkę, przypomina sobie każde drzewo, ledwie nie każdą trawkę.

A pod wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu siedzi jakaś staruszka, siwa i zgarbiona. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nic nie widzi. Słońce ogniście płonie na niebie, jasność dzienna otacza ziemię, ale nad biedną staruszką noc wiekuista; od dwu lat już zapadła jej na oczy ciemna zasłona i zakryła świat Boży — ona ślepa nieboga! Wsparła głowę na krzyżu i siedzi smutna. Wtem zbliża się do niej jakaś młoda kobieta i rzecze:

— Ej, matko Janicka! cóż to znowu tak siedzicie samotnie?

Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę.

— To ty, Zośko! — rzekła. — Wyglądam mego Klimka, jak zawsze, jak codzień.

— Cóż,—odpowiedziała Zosia—kiedy wasz Klimek jak na te nauki wyjechał, to nie wraca i nie wraca.

— Nie wraca!—jęknęła staruszka—ach, prawda! Jam sobie już oczy wypatrzyła, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się go. Ach! już podobno i ja pójdę za nim, i nie usłyszę więcej głosu jedyne go syna. Codzień chodzę pod ten krzyż i czekam, czy nie nadejdzie, i czekam nadaremno.

Stara jęknęła tak boleśnie, że aż się serce krajało.

— Ej, nie płaczcie, matko, — mówi Zosia i łyzy ociera z oczu.—Drugą noc już śni mi się wasz Klimek; ej, czy też on nie jest gdzie w drodze do nas?

Staruszka krzyknęła, bo właśnie zaturkotało na gościńcu.

— Zośko, Zośko, czy to nie on?—zawołała.

Spojrzała Zosia na gościniec i głową kiwała.

— E, gdzie tam! to jakaś kolasa wspaniała, wiezie jakiegoś wojewodę albo kasztelana.

Tymczasem zbliża się kolasa, aż nareszcie przystanąła. Młody pan w bogatych szatach wychylił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy, niewiasty?

Zosia nie poznała twarzy i nie poznała głosu, ale serce niewidomej matki zabiło jak młotem. Jak strzała zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku, synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i pada do nóg starej kobiecie i całuje jej kolana, i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja!—woła,—to ja, ja, twój Klimek!

I radość wielka i boleść sroga ścisnęły serce staruszki; mogła nareszcie przycisnąć syna do serca, ale zarazem musiała mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć tylko sercem, ale nie oczyma.

Rozrzewniona Zosia pobiegła co tchu do wsi, i wnet ukazała się cała gromada, młodzi i starzy, baby i dzieci; wszyscy biegną przypatrywać się Klemensowi, który w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak

bogate. Gdy przybyli na miejsce, ujrzeni, że stara matka trzyma syna w objęciach, a on klęczy u jej kolan.

Cóż za radość była we wsi całej! Klemens ścisnął się i całował wszystkich znajomych, a jak przedtem w bogatym dworze magnackim, tak teraz pod ubogą strzechą przyjmował serdeczną gościnę.

Miesiąc cały zabawił Klemens na wsi, i jako dobry syn, wystawił naprzód krzyż na grobie ojca, a ciemną matkę sprowadził do dworku ładnego, wszelkie potrzebne zabezpieczywszy jej wygody. Potem dopiero pojechał do Krakowa, gdzie młody król się żenił; Klemens ułożył na tę uroczystość tak piękne wiersze łacińskie, że wszystkich niemi za serce porывał.

Ale, niestety! niedługo miał się już cieszyć tym światem: podobało się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie. Zapadł nagle na ciężką chorobę i z łoża już nie powstał. Nadarmo słał król własnych swoich doktorów: nie podźwignął się już biedny Janicki. Siły go opuściły i okrutna śmierć przysunęła się do jego łoża.

Wkrótce zasnął na wieki.

W Krakowie był wielki płacz i smutek. Płakała Polska cała, a na wspaniałym jego pogrzebie wyroliło się wszystko, co żyło w Krakowie.

Taki to był żywot i skon Klemensa Janickiego, który z pod słomianej wyszedł strzechy, a rozumem i pieśniami swemi zasłynął nietylko w Polsce, ale w świecie całym. Umarło jego ciało, ale nie umrze nigdy pamięć i cześć dla niego, bo nie zaginą nigdy cudne śpiewy jego.

Stara niewidoma matka przeżyła syna, ale do samego końca żywota ukrywali przed nią przedwczesną śmierć syna. Rozstając się ze światem, biedna staruszka błogosławiła jeszcze synowi, który nie potrzebował już tego błogosławieństwa, bo jeszcze przed nią stanął przed tronem Najwyższego.

*J. S.*

## 7. Grota Łokietka w Ojcowie <sup>1)</sup>.

Przed kilku laty, podczas wakacji, wybierałem się do Warszawy. Ale, niestety! w sam dzień wyjazdu zaszła

<sup>1)</sup> Ojców, wieś o trzy mile od Olkusza, w pow. Olkuskim, gub. Kieleckiej.



przeszkoda z przyczyny nagłej śmierci matki mojego szkolnego kolegi, który wspaniałomyślnie na swój koszt obiecał pokazać mi stolicę królestwa.

Zawiedziony i smutny wróciłem do domu, patrząc z żalem na pasport zmarnowany, i z rozpaczyny położyłem się spać śród białego dnia. W parę godzin potem przebudziwszy się, wziąłem książkę, leżącą na stoliku, i otworzyłem ją. Nadpis rozdziału, który nawinął mi się na oczy, był: «Ojców».

Czarowna myśl zaświtała w mej głowie. Pasport mam i czegoż więcej trzeba? Więc do Ojcowca! Cały majątek, jaki wówczas posiadałem, składał się z pięciozłotowego papierka. Może to trochę za mało na podróż z Krakowa do Ojcowca, Pieskowej skały i Grodziska, ale siedemnastoletni student nigdy na takie dzieciństwa nie zważa.

Z tłumoczkim i kijkiem w rękę puściłem się pieszo ku Szycom, gdzie przenocowałem; potem, przez Wielką Wieś i Biały Kościół zstąpiłem w dolinę Ojcowską.

Uroczy ten wąwóz, z obu stron strzeżony przez skamieniałe olbrzymy skał, ze strumieniem, szybko pędzącym po głazach, do najwyższego stopnia rozmarzył młodzieńczą duszę. Co chwila zatrzymywałem się i pożerałem wzrokiem fantastyczne grupy skał, co chwila zakręcił doliny coraz piękniejsze nasuwał widoki. Ale zachwycenie moje dosięgło szczytu, kiedy nagle z pomiędzy tych skał białych wynurzyła się sześciokątna baszta ojcowskiego zamku, zwaliska nad przepaścią zwieszono i szczyt góry Chełm, panujący nad zameczyskiem.

Długi czas stałem oczarowany, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Wtem nagle ktoś z boku pozdrowił mnie wieśniaczem:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen! — odrzekłem, odwracając się.

Opodal stał włościanin wysoki, dobrze zbudowany i miłego wejrzenia.

— Panicz pewnie z Krakowa? — zagadnął.

— Z Krakowa, gospodarzu.

— I przyjechali obejrzyć naszą dolinę?

— Przyszedłem pieszo, bo na jazdę to u studenta trudno o pieniądze.

— A czy panicz trafią wszędy, bo jak nie, to trzeba przewodnika zgodzić.

— Cóż mi tam po przewodniku! — odpowiedziałem. —

Czy to ja nie potrafię dopytać się o drogę? Sam wszędzie znajdę.

— Ale nie do groty,— odrzekł włościanin; — tam trafić bez przewodnika niełatwo.

— A czy przewodnik dużo kosztuje? — zapytałem.

— Ha, trzeba mu będzie dać ze trzy złote.

— Ba, mój gospodarzu, — odpowiedziałem — łatwo dać temu, kto ma; ale ja się wam przyznam, że na całą drogę ledwie zebrałem pięć złotych. To o czymże wrócę?

Włościanin roześmiał się serdecznie, a potem rzekł:

— Dobrze, mój paniczku, kiedy macie tak mało pieniędzy, to już ja wam będę przewodnikiem, i nie dacie mi ani grosza. Dzisiaj i tak nie mogę nic robić, bo to mamy Wniebowzięcie Najświętszej Panny; właśnie wracam z kościoła.

W towarzystwie tedy poczciwego kmiecia natychmiast puściłem się w drogę. Nie będę wam opisywał, czytelnicy, ani ojcowskiego zamczyska, ani przepysznego widoku z góry Chełm na Kraków i Tatry, ani pustelni na Grodzisku, ni zamku w Pieskowej skale, opisy bowiem tych miejsc znane są powszechnie; ograniczę się przeto opowiadaniem o grotach Ojcowskich.

Przewodnik mój wspinał się przykrą skalistą ścieżką, a ja mimo utrudzenia, rażno za nim postępowałem. Nakoniec stanęliśmy u wniścia pieczary. Zasłaniała je gęsta krzewina, przez którą przeciskać się trzeba. Samo wejście także nie jest bardzo wygodne, ale za to wewnątrz wynagradza te małe trudy. Jaskinia ma kilkadziesiąt kroków długości, a trzydzieści kilka szerokości; wysokość jej, ile przy świetle rozpalonego łuczywa rozpoznać można było, wynosiła najmniej 10 sążni.

Cisza głęboka zalegała jaskinię, a trzask palącego się łuczywa i szelest ściekających kropel wody bynajmniej nie psuły harmonii spokoju. Siedząc na głazie, rozpatrywałem się po ścianach skalistych, którym migotliwe płomienie ognia nadawały ruch pozorny. Przewodnik dorzucał na stos gałęzi jałowcowych, a dym przyjemną wonią napełniał przestrzeń.

— Czy też wiecie, mój gospodarzu, że jeden z królów polskich szukał w tej jaskini przed nieprzyjacielem schronienia? — rzekłem, ciesząc się wrażeniem, jakie swoją erudycją wywrę na prostaczku.

— Ho, to nie w tej, mój paniczku! — odrzekł kmieć. —

Król Łokietek ukrywał się w innej pieczarze, na Chełmskiej górze. Ta zowie się Ciemną, a tamta Królewską.

— Jakto, to wy wiecie o królu Łokietku? — zapytałem zdziwiony.

— O, bo panowie myślicie, że się jeno z ksiązek można nauczyć rozumu! W tej jamie, to się ludzie chowali przed Tatarami, ale to już temu bardzo dawno. Tatarzy to byli wielcy okrutnicy: palili wsie, zabierali dobytek, a ludzi na miejscu zabijali. Ale wtedy cała dolina Ojcowska, wszystkie pola wedle skały Lubuszowej, Wielkiej Wsi, het, po sam Kraków, były zarosłe lasami. Więc jak się nasi chłopci pokryli w jamach, ani rusz ich znaleźć. Rozgniewani o to, zemścili się na Krakowie i wszystkich ludzi pozabijali, aż się Wisła krwią zafarbowała. A nasi przez dwa lata mieszkali w Ciemnej, bo się bali, żeby Tatar nie wrócił.

Z jaskini Ciemnej powędrowaliśmy do Królewskiej. Ta ostatnia leży nierównie wyżej. Przystęp do niej jest bardzo piękny. Rozpadlina skały, długa na kilkadziesiąt kroków, wysłana mchem aksamitnym, osłonięta z góry konarami drzew, wiedzie do wnętrza. Dłuższa ona od Ciemnej i zupełny brak światła różni ją od poprzedniej; do tamtej bowiem przez szczeliny wdziera się cokolwiek jasności. I tutaj zmuszeni byliśmy rozpać ogień, a ja, korzystając z usposobienia mego przewodnika, zagadnąłem go o króla Łokietka.

— Niby to panicz nie czytali o nim w książkach! — odrzekł włościanin.

— To prawda, że czytałem, ale samiście dopiero mówili, że nietylko z ksiązek można się nauczyć rozumu.

— Król Łokietek, mój panie,—odrzekł mi gospodarz—wedle tego, jak ja słyzałem między naszymi, był malutki, bo ledwie drugim ludziom sięgał do łokcia, ale za to bardzo krzepki. Miał taką szablę, co centnar ważyła, a przecież nią wywijał jak piórkiem. Otóż poswarzył on się z królem niemieckim, bo kazał kilku Niemcom pościąć głowy w Krakowie; z tego wyszła wielka wojna. Łokietek bronił się dobrze, ale cóż, kiedy na taką wielką siłę nie mógł sobie ze szlachtą poradzić! Przyszło w końcu do tego, że sam jeden został i błąkał się po lasach, a Niemcy go ścigali. Wreszcie zaszedł do nas i przez miesiąc całutki siedział w Królewskiej jamie. Chłopci się wnet o nim dowiedzieli, nosili mu jeść, a on się z nimi



tak pięknie obchodził, jakby z książętami. Więc też bardzo pokochali swego króla i umyślili go obronić od napastników. Rozbiegli się po różnych wsiach i zebrały się gromady; wtedy król wyszedł ze schówku i pociągnął z chłopami na nieprzyjaciela.

— No i jakże? zbili go?

— To się wie, że zbili, bo chłopów było bardzo dużo, a pozlatywali się do nich i żołnierze rozproszeni, więc już poszło łatwo.

— A potem?

— A potem, to już nie wiem, jeno tyle, że syn Łokietka, jak po ojcu został królem, to na pamięć tego, że się tu jego tatuś chowali, wystawił naprzeciw Królewskiej jamy zamek i przezwał go Ojciec, a potem ludzie przerobili to na Ojców.

Tyle dowiedziałem się od poczciwego włościanina, który oprowadzając mnie po całej dolinie, zaprosił potem na nocleg do swej chaty, uczęstował kwaśnem mlekiem i ziemniakami, i długo w noc przy blasku łuczywa, płonącego na kominie, o różnych rzeczach rozprawiał.

Na drugi dzień puściłem się z powrotem do Krakowa.

*Wł. Anczyce.*

## 8. Wieczność.

Wśród pól na górze stoi gmach starzec, co na grzbiecie spleśniałych murów dźwiga sześć wieków przeszłości, a pod boki swoje przytulił lichą mieścinę i z tęsknotą spogląda na przyległe płowieckie równiny i na jezioro Gopło. Gmach ten był warownią; odpierał on napady krzyżackie, był zamkiem książęcym i rozsyłał rozkazy na całe Kujawy; był aryańską świątynią i rozlegał się hasłem niezgody między braćmi jednej matki,—jest klasztorem i dzwoni na Anioł Pański, na Wieczny Odpoczynek wszystkiemu, co przeminęło i co przemija.

Gmach ten uważałem w młodości za niebotyczny, bom nie słyszał o Dawalagirze; uważałem za najwspanialszy, bom nie słyszał o Alhambrze; baszty w nim pozostałe po warowni obsadzałem sobie wtedy fantastycznymi postaciami rycerzy, a krużganki i resztki zamku zaludniałem zgrają dworzan.

A dziś?... Dziś dziwię się tylko, gdzie się podziała z myśli mojej ta panorama przeszłości, i że tylko w pamięci

pozostał klasztor, dźwięk dzwonów i siwy ksiądz Ignacy, któremu codzień służyłem do mszy, po której codzień mnie głaskał i mówił:

— Dobrze, chłopczyku, dobrze: kto z Bogiem, Bóg z nim.

Jeżeliście kiedy znali starca, który przeżył wszystkie swoje pamiątki i gasnący wzrok już tylko w niebie zataił, jeżeliście znali człowieka, którego nic nie wiązało do ziemi, nie dręczyły zgryzoty i nudy, łatwo sobie wystawicie, jakie było obejście się ze mną księdza Ignacego. Ile razy go odwiedzałem, a było to codzień, zawszem go widział jednakim, spokojnym, zawsze był ten sam. Kiedy mi rozповідаł, jak na puszczy przez lat 40 nie darły się suknie Izraelitom, zawsze sobie jego za przykład stawiałem; kiedy mi mówił o jakim świętym pustelniku, zawszem z niego brał podobieństwo; kiedy mi wysławiał starość, dobroć, zdrowie, wszędziem go widział, i czcilem mądrość w nim uosobioną.

W żywej mam dotychczas pamięci jego celę, a w niej proste białe sprzęty, zegar z kukułką, łapkę na myszy, dyscyplinę, wiszącą na kołku, i na drzwiach przyklepioną kartę drukowaną z napisem:

Bóg widzi, czas ucieka,  
Śmierć goni, wieczność czeka.

Na tej karcie zdawałem egzamin z abecadła, sylabizowania i czytania; jej napis był przedmiotem długich i licznych opowiadań, tłumaczeń o Bogu, czasie, śmierci i wieczności; szło mi to łatwo, bo ciekawe przytem opowiadał historye. Boga wystawiałem sobie tak, jak widziałem w obrazku; pojmovalęm czas, bom umiał liczyć na godziny, miesiące, lata i znałem się na zegarze; pojmovalęm śmierć, bo widziałem kilka pogrzebów; ale długo i żadną miarą nie mogłem sobie wystawić, co to jest wieczność.

Ksiądz Ignacy mówił mi nieraz, że wieczność jest bez granic; pamiętałem to wyrażenie, ale nie rozumiałem. Ale raz, w dzień pogodny na początku lata, zastałem nad wieczorem mojego nauczyciela w klasztornym ogrodzie, który, rozciągając się na pochyłości góry, wspaniały otwierał widok na daleką, równą, bujnemi zbożami okrytą okolicę. Ksiądz Ignacy siedział na ławce pod drze-

wem, mówiąc pacierze, i tylko skinieniem głowy odpowiedział na moje przywitanie. Stałem w milczeniu, by mu nie przeszkadzać; jakoż wkrótce po głośniejszem wy-mówieniu «Amen» i przeżegnaniu się, obrócił się do mnie i rzekł:

— No cóż, umiesz dobrze swoją lekcję?

— Umieć!—i wyrecytowałem szybko kilka deklinacji i kilkanaście wokabuł.

— Dobrze, dobrze, a Historya Święta jak idzie?

— O, pamiętam wczorajszą lekcję o Samsonie, o Ge-deonie i Salomonie.

— I cóż ten Salomon?

Był najmędrszy z ludzi.

— A cóż on powiedział?

— Powiedział, że na świecie wszystko próżność próż-ności.

— Tak, moje dziecko, i miał wielką słuszność. Przy naj-większej mądrości człowiek jeszcze bardzo mało wie, i wszystko, co wie, niczem jest w porównaniu do wiecz-ności.

— A, prawda! ksiądz mi obiecał dziś opowiedzieć cie-kawą historyę o wieczności.

— Będiesz uważał?

— O, jak najpilniej.

— Więc słuchaj!

Pamiętam, z jaką uroczystą powagą, z przestraszeniem nawet mojem, wziął mnie za rękę, poprowadził pod mur klasztoru i pokazał mi na ścianie kompas, pod nim umiesz-czoną we framudze klepsydrę, a pod tem u dołu napis:

«Numerus dierum hominis, ut multum centum anni, quas gutta aquae maris deputati sunt, et sicut calculus arenae, sic exigui anni in die aevi».

— Widzisz, mój kochanku, to są słowa Salomona i zna-czą, że dni ludzkie, choćby najdłuższe, są jako krople morza, jako rachuba piasku do dni wieczności; a że tak jest, powiem ci przykład tego.

Ten klasztor, widzisz, był przed kilkuset laty zamkiem książęcym; tu były mieszkania, tu baszty, tu kaplica, w której księżęta kujawscy codziennie słuchali mszy św., odprowadzanej przez zamkowego kapelana.

Kapelanem tu był pobożny, cnotliwy kapłan, szanowa-ny i lubiany od książąt i dworzan; ogłaszał im święte prawdy, Boskie objawiał tajemnice, a sam codziennie



i długo modlił się i rozmyślał nad prawdami religii; ale najczęściej dumał, myślał i zatapiał się w dociekaniu niepojętej wieczności. Lecz po wielu godzinach dumania zawsze tylko powtarzał: — O, niepojęty Boże! — Codzień jednak wracały mu te myśli, i to nie dlatego, żeby się bał wieczności, bo życie jego było pasmem cnót, ale że dusza człowieka jest nienasycona. W powziętych raz pragnieniach myślał i modlił się, błagał Boga, żeby mógł pojąć, poznać, zrozumieć choćby troszkę, co to jest i jaką jest wieczność. I coraz surowsze prowadził życie, coraz świętsze wypełniał cnoty, coraz goręcej się modlił, bo sądził, że może nie godzien, aby mu to było objawione.

Pewnego razu, kiedy nad wieczorem odmówił pacierz, a potem zajął się ulubionem rozmyślaniami i kiedy w uniesieniu modlitwy wyrzekł te słowa: — Wszak Zbawiciel nasz powiedział, że prawdy Twoje, Boże, objawisz maluczkiemu,—obił się o jego uszy śpiew melodyjny, który mu aż duszę przeniknął. Spojrzał w górę i widzi na gałązce drzewa, pod którym siedział, jakiegoś nieznanego ptaszka; malutki, świetnemi jaśniał kolory; zdał się chcieć usiąść mu na rękę, trzepotał skrzydełkami, otwierał ku niemu dziobek i zadziwiającem pieniem duszę jego napełniał. Kapłan powstał, sięgnął ręką i chciał uchwycić ptaszka, który zdawał się czekać na niego; już go z wierzchu otoczył ręką, już skupił palce do ujęcia, lecz ptaszek się wymknął, usiadł na przyległej gałązce i znowu zaczął śpiewać jeszcze piękniej, jeszcze milej i jeszcze głośniej. Kapłan postąpił za nim, i już miał go złapać, lecz ten znów uciekł, i tak z krzaka na krzaczek, z gałązki na gałązkę wabił za sobą kapłana aż na koniec ogrodu, za ogród, w pole. Kapłan był coraz pewniejszy, że go złapie, bo ptaszek coraz częściej i niżej przysiadał, a coraz rozkoszniej śpiewał, jednak ciągle uciekał dalej. Już się i zmierzchać zaczęło, a on ciągle gonił; aż wreszcie strudzony: — A! Bóg z tobą! — zawołał, kiwnął ręką i zwrócił się ku domowi. Zamyślony, coby to być mogło, z brzęcącym jeszcze w uszach śpiewem, nie zważał, gdzie jest, co się koło niego dzieje; idzie — wtem spojrzy przed siebie i stanął osłupiały: przeciera oczy i widzi koło siebie domy, których tu nie było; jakąś górę wysoką, jakiś gmach z krzyżami na dachu; słyszy donośny, gruby, poważny odgłos dzwonu, którego nigdy przedtem nie słyszał.

— Co to jest? — pyta sam siebie — czy to sen? Nie!... Dotyka się, czuje, ogląda się, cała okolica mu nieznana. Pyta przechodniów, co to za miasto: odpowiadają mu, że N. A zatem to samo miejsce, w którym mieszka! Idzie więc dalej pod górę i coraz większe przejmuje go zdziwienie. Spojrzał naokoło: położenie to samo, ale budowle, ale ludzie... a co za kościół! W zadziwieniu i odurzeniu prawie, nie wiedząc, co począć, gdzie się udać, spostrzega wejście do jakiejś przystawki; wchodzi, widzi dzwony, dzwoni więc. Na niezwykły o tym czasie odgłos dzwonów zbiegają się ludzie, a widząc księdza obcego, donoszą to rządcy kościoła, następnie przyprowadzają nieznanego.

— Ktoś jest, mój ojcze?

— Jestem tutejszy kapelan.

— Kapelan?

— Nieinaczej, kapelan zamku Kazimierza, księcia na Gniewkowie, Inowrocławiu, Brześciu i Sieradzu.

— Spocznijcie, ojcze! Was, widzę, Bóg dotknął na umyśle.

— Jakto? sądzicie, żem jest obłąkany? Nie masz przecie godziny, jak stąd wyszedłem; prowadźcie mnie do księcia, pana mojego.

— Tu niema żadnego księcia; tu jest klasztor, a ja jego rządcą.

— Prowadźcie mnie do kaplicy, prowadźcie mnie do mojej celi! — mówił szybko w coraz większem pomieszeniu.

— Celę na przytułek możesz znaleźć, mój ojcze, ale twojego mieszkania, ani kaplicy żadnej tu niema.

— Boże! co się dzieje ze mną?! — rzekł kapelan, padając na kolana.—Zgrzeszyłem zuchwałemi myślami...

I poschodzili się zakonnicy, z bojaźliwym uszanowaniem patrząc na klęczącego, który bił się w piersi i obfitemi zalewał łzami.

— Kiedyż to było, mój ojcze?

— Dziś, tu, stąd, przed godziną wyszedłem, zostawiwszy w zamku i księcia i dworzan i rycerzy. Wszakże dziś mamy środę, poświęcenie apostołów Piotra i Pawła?

— Nie, ojcze... Któryż teraz rok podług twojej rachuby?

— No, przecież wiadomo, że teraz rok Pański tysiąc dwusetny sześćdziesiąty.

— Na Boga, ojcze, uspokójcie się!... Teraz jest rok 1390. Innego księcia tu nie znamy, prócz króla Jagielly.

— Jagielly?! któż to jest?... co to znaczy? Alboż Piastowie już nie panują, alboż niema już książąt kujawskich?

— Wymarli wszyscy, wszak to już blisko półtora wieku od tego czasu, jak powiadasz, żeś tu mieszkał.

— Boże, bądź mi miłościw! zgrzeszyłem! Słuchajcie!

I opowiedział im swoje myśli, swoje modlitwy, swoje zdarzenie z ptaszkiem, a potem mówił:

— Teraz poznaję, o Wszechmocny Boże, że wieki są u Ciebie chwilą, są mgnieniem oka, przemijają, świat się zmienia, trony upadają, i nowe następują pokolenia, — a Tyś jeden zawsze i Twoje panowanie się nie kończy. Boże! za moją zuchwałość—błagam przebaczenia! A ty, ktokolwiek jesteś, jeśli masz moc, udziel go mi w imieniu Chrystusa i przyjmij moje wyznanie.

I nastąpiła uroczysta chwila. Przełożony wysłuchał go spowiedzi, i gdy mówił słowa rozgrzeszenia, gdy ucichło ostatnie pokutne uderzenie w piersi, usłyszano serdeczne westchnienie—i... kapelan już nie żył.

Wkrótce dzwon klasztorny obwieścił zgon jego i wezwał pobożnych do odmówienia: «Wieczny Odpoczynek!»

Gdy ksiądz Ignacy domówił tych słów, w tej samej właśnie chwili zadzwoniono w poważny dzwon klasztorny na codzienny «Anioł Pański». Mimowolne wzruszenie opanowało i starca i mnie, dziecko; powtórzyłem za jego przewodnictwem «Wieczny Odpoczynek», a on na odchodnym dodał:

— No, pojmujesz teraz lepiej, co jest wieczność? Ów ptaszek, to nasze myśli i chęci; owe wieki, — to chwile wieczności.

We dwadzieścia lat później widziałem znowu te same miejsca, słyszałem ten sam dzwon i odmówiłem: «Wieczny Odpoczynek!»—ale już na grobie księdza Ignacego...

I po nas tak będzie!

## 9. Ochrony Warszawskie.

W czasie, kiedy ubodzy wyrobnicy po całych dniach za domem pracować muszą na wyżywienie rodziny, biedne ich dziatki, pozbawione tkliwej opieki rodzicielskiej, pędzą smutno najpiękniejsze chwile młodocianego wieku. Zamknięte w zimie w ciasnych, chłodnych i wilgotnych mieszkaniach, więdną te biedne kwiatki; jałowa i zimna



strawa nie rozgrzeje zziębłych członków, troskliwa ręka matki nie otuli drżącego ciała; wyglądając przez zamazane szyby okienka, z płaczem wołają matkę, ale ona ich nie usłyszy, bo gdzieś daleko pracuje w krwawym poście na kawałek suchego chleba, którym za powrotem dzieci swoje nakarmi. W lecie przepędzają one całe dni na ulicy, na próżniactwie i swawoli, i jeżeli nie ulegną kalectwu fizycznemu, to towarzystwo ze starszemi zepsutymi dziećmi, widok gorszących scen szynkownianych, wyzdane klótnie zepsutych ludzi zawczasu skalają młodociane umysły, i najczęściej z owych samopas biegających dzieciaków wyrastają jeżeli nie zbrodniarze, to próżniacy, będący ciężarem sobie i społeczeństwu.

Gdy się patrzy na te wybladłe, cierpieniem i nędzą nacechowane twarzyczki, boleść i litość uciska serce. Stokroć więcej uczuwają ich niedolę ci, których Bóg dziećmi obdarzył, obawiają się bowiem, żeby ich dzieci nie uległy tak nieszczęsnemu losowi. Nie dziw więc, iż oddawna przemyślano, jakby zapobiedz fizycznemu i moralnemu kalectwu tych młodych istot, jakby zastąpić im starania i pieczę rodzicielską, jakby ich pokierować na ludzi pożytecznych Bogu, krajowi, bliźnim i sobie samym.

Szczęliwa myśl utworzenia ochron chlubę przyniosła naszemu wiekowi, rozwiązując to zadanie.

W ochronach tych zgromadzają się dzieci pod okiem doświadczonych przewodników, znających ich naturę, dzielących ich igraszki i zatrudnienia, a umiejących nawet wśród zabaw udzielać pożytecznych wiadomości. Tam młodociane umysły rozwijają się powoli i stopniowo, nabierają ochoty do nauki i pracy, i dzieci, opuszczając ochronę, zdolne są do oddania się obranemu zawodowi życia.

W ochronach wszystko zależy na przewodnikach: dlatego też dobroczynni ludzie, otwierający podobne zakłady, o to przedewszystkiem starają się winni, ażeby nauczyciele i nauczycielki, oprócz potrzebnych wiadomości, kochali dzieci, otaczali je pieczę rodzicielską, znali ich naturę, umieli się zniżyć do słabego pojęcia, a łagodnością zyskać serca. Inaczej cel będzie zupełnie chybiony.

Najpierwszą ochronę w Europie założyła kobieta, bo też tylko serce kobiety najpierwsze mogło uczuć nędzę opuszczonych dzieci. Imię Pauliny Krystyny, księżniczki Lippe-Detmold, która otworzyła pierwszą ochronę

w Niemczech w r. 1802, powinno jaśnieć w pamięci potomnych, obok imion największych dobroczyńców ludzkości.

Wnet za tym przykładem poczęły się szerzyć ochrony po Europie; zaprowadzono je w Anglii, Francyi i Niemczech. I nasz kraj nie pozostał w tyle. Powstały ochrony w Warszawie, a wkrótce Kraków, Lwów, Poznań i wiele innych miast, miasteczek, a nawet wsi, urządziły u siebie te arcypożyteczne zakłady.

Ś. p. Teofil Janikowski, zasłużony członek Towarzystwa Dobroczyńności, pierwszy dał popęd do założenia ochrony w Warszawie. Towarzystwo Dobroczyńności gorliwie zajęło się urzeczywistnieniem tego projektu i uprosiło Teofila Nowosielskiego, ażeby jego kierunek wziął na siebie. Nowosielski, zwiedziwszy zagraniczne miasta, znalazł najpraktyczniejszą ochronę pod względem prowadzenia dzieci, w Pradze Czeskiej, pod kierunkiem Jana Svobody. Na jej wzór urządził pierwszą warszawską ochronę, którą otwarto w dniu 3 sierpnia 1839 roku. Wkrótce potem powstały inne ochrony, tak, że dziś w Warszawie znajduje się 35 ochron dla przychodzących dzieci biednych rodziców w rozmaitych punktach miasta, nie licząc zakładów dla sierot chłopców i dziewczynek, oraz przytułków dla sierot po robotnikach i Instytutu św. Kazimierza, gdzie się również wychowują biedne dzieci.

## 10. Igrzyska Olimpijskie.

Był dawny zwyczaj u Greków odprawiać uroczystości nie tylko na cześć bogów, ale także i zmarłych znakomitszych osób i obchód ich publicznie uświetniać igrzyskami. Tym sposobem Achilles uczcił pamięć przyjaciela swego Patroklesa. <sup>1)</sup> Takie na cześć bogów lub na uświęcenie jakiej narodowej pamiątki obchodzone igrzyska odbywały się zwykle w miejscach poświęconych bogom, zaczynały się od ofiar i na ofiarach się kończyły. Było ich bardzo wiele, ale cztery z nich zaćmiły sławą wszystkie inne: *Pytyjskie*, obchodzone co cztery lata w maju

<sup>1)</sup> Achilles i Patrokles – bohaterowie eposu Homera «Iliady».

w Delfach <sup>1)</sup>, gdzie Apollo zabił strzałą smoka Pytona, skąd otrzymał przydomek *Pythios*; *Istmijskie* odprawiały się na przesmyku *Istmos* <sup>2)</sup> co trzy lata na cześć Posejdona, czyli Neptuna <sup>3)</sup>; *Nemejskie* co dwa lata na cześć Jowisza w argolskiem mieście Nemea; *Olimpijskie*, które były najślawniejsze i stały się głównym punktem zebrania całego narodu greckiego.

W Elidzie, zachodniej krainie Poloponezu <sup>4)</sup>, nad rozkoszną rzeką *Alfejos*, stał gaj odwieczny, około którego rozlegała się okiem nieprzejrzana równina. Okolica ta, z niewielką osadą tu zamieszkałą, nazywała się Olimpia, a najglówniejszą jej ozdobą była świątynia Jowisza Olimpijskiego, jedna z najwspanialszych greckich budowli, gdzie się znajdował ów majestatyczny posąg Jowisza, złożony ze słoniowej kości i złota, nieśmiertelne dzieło rzeźbiarza Fidyasza. Oprócz tego było w gaju kilka ołtarzy, poświęconych bogom i świątynia Hery (Junony).

Igrzyska same odbywały się w tak zwanem *Stadion*, co było metą dla ścigających się pieszo, i w *Hippodromie*, gdzie odbywały się gonitwy konne i wozowe; ostatni był przegrodzony od Stadyum długim murem. Meta ta, długości 539 stóp, otoczona była naokół amfiteatralnie wznoszącymi się siedzeniami dla widzów. Stadyum służyło następnie za miarę długości: 40 takich stadyów szło na jedną milę.

Powiadają, że już ów niezrównany grecki bohater, Herkules, postanowił tu na cześć Jowisza igrzyska, które jednak wśród późniejszych wojennych rozruchów poszły w zaniechanie. Dopiero *Ifitos*, król Elidy, wznowił te uroczystości, zwiedzane przez wszystkich Greków. W sto lat po Ifitosie, t. j. roku 776 przed Chrystusem, gdy ówczesny król Elidy, *Korojbos*, w owych igrzyskach jako najpierwszy zwycięzca sławą się okrył, zaczęto imiona zwycięzców zapisywać publicznie w księdze na ten cel sporządzonej. A ponieważ igrzyska powtarzały się regularnie co czwarty rok, późniejsi dziejopisarze zaczęli rachubę czasu stosować do tych uroczystości, i tym sposobem weszły w używanie *Olimpiady*, do cyklu-

<sup>1)</sup> Delfy, miasto w Focydzie w stronie południowo-zachodniej od góry Parnasu. <sup>2)</sup> Między morze Korynckie pomiędzy Helladą i Peloponezem. <sup>3)</sup> Neptun, brat Jowisza, bóg morza. <sup>4)</sup> Peloponez, południowa część Grecyi, łącząca się z Helladą, czyli właściwą Grecyą, między morzem Korynckim.



wej rachuby czasu służące; z nich za najpierwszą uznano olimpiadę z roku 776, t. j. w 100 lat po Ifitosie.

Z powodu tych igrzysk cała kraina Elis uważana była za świętą; nie wolno było na nią wstąpić z bronią w rękę, tem mniej najeżdzać. Jej mieszkańcy uważali się we wszystkich greckich wojnach za neutralnych, poświęconych jedynie służbie bogów i świątyń, oraz urządzaniu igrzysk. W czasie samych igrzysk nawet inne narody zawieszały działania wojenne, najzaciętsi wrogowie, złożywszy broń, śpieszyli jako bracia do wspólnej uroczystości. Oddaleni krewni i przyjaciele mieli tutaj sposobność uściskać się po długiem niewidzeniu; opowiadano sobie wzajemnie wydarzone przygody; tu zawierano związki handlowe i ściślejsze węzły przyjaźni; tu Grecy, uważając się za jedną wielką rodzinę, za jeden naród, radzili o dobru powszechnem przez wzajemne udzielanie sobie myśli, krzepili ducha narodowego, szerzyli oświatę.

Igrzyska te, od których jednak kobiety były wyłączone, trwały przez 5 dni. Były to gonitwy piesze i konne, skoki, rzucanie dyskiem, czyli krążkiem metalowym, zapasnictwo. Na końcu uroczystości, wśród głośnych okrzyków radości zgromadzonych widzów, obwoływano nazwiska zwycięzców.

Nagroda dla wszystkich zwycięzców była jedna, t. j. tylko różdżka oliwna; ale dana w obliczu całej Grecyi, przewyższała wartością i świetnością koronę księżęcą. Okrywała ona blaskiem chwały nie tylko tego, kto ją otrzymał, lecz nadto całą rodzinę, a nawet całe państwo, którego zwycięzca był członkiem. Dlatego też zwycięzców olimpijskich, powracających do rodzinnych progów, przyjmowano z największą radością, wśród tryumfu i chwały, i przez wdzięczność za osiągnięty zaszczyt podejmowano ich odtąd ze skarbu publicznego. Powiadają, że pewien sędziwy ojciec, widząc dwu synów na igrzyskach, ozdobionych tym wielkim zaszczytem, tak niesłychaną przejęty był radością, że pod wpływem tego nadzwyczajnego szczęścia, gdy wdzięczne dzieci pośpieszyły do niego z uściśnieniem i lud cały jednogłośnie wołał, że już go większa w życiu nie spotka radość—skonał w ich objęciu.

Jednakże dodać należy, że za najpierwszego zwycięzcę uważano właściwie tylko tego, który otrzymał palmę

w pieszej gonitwie. Mężowie z Elidy byli zawsze sędziami, a żaden cudzoziemiec nie mógł być przypuszczony do uczestnictwa w zapasach; dlatego każdy z zapasników przed rozpoczęciem walki stwierdzać musiał greckie pochodzenie swoje. Cudzoziemcom wolno było zajmować miejsce tylko między widzami.

Ale nie tylko same dowody zręczności i siły składano na igrzyskach: w godzinach wolnych od gimnastycznych ćwiczeń popisywali się także poeci, historycy, muzycy i inni mistrze ze swemi dziełami, a tym sposobem wszystko, co tylko jest pięknem, wielkiem i szlachetnem, co tylko geniusz w samotnej pracy ducha utworzył, stała się własnością całego narodu. Nie udzielano im wprawdzie nagród ale huczny oklask doświadczonych znawców i rozgłos szerzącej się ich sławy były sowitą dla nich nagrodą.

*A. Popliński.*

## II. T r y u m f.

Za czasów starożytnych wodzowie wojsk, jako najwyższą nagrodę za odniesione zwycięstwa nad nieprzyjacielem, otrzymywali wjazd tryumfalny do stolicy państwa. W Grecyi uroczystość ta nie była tak świetnie obchodzona, jak w Rzymie. Zwycięski wódz, uwieńczony wieńcem laurowym, wjeżdżał na wozie, zaprzężonym czterema końmi. Niesiono przed nim obrazy, na których były wymalowane odniesione zwycięstwa; niesiono także broń, zdobytą na nieprzyjacielu; za nim zaś postępowali żołnierze, także uwieńczeni laurami. W Atenach, jeżeli zwycięstwo było mniej ważne, wódz nawet nie wjeżdżał do miasta, noszono tylko przed nim obraz z wyobrażeniem zwycięskiej bitwy; poczem przez kilka dni obraz ten był wystawiony na widok publiczny, a nakoniec zawieszano go w świątyni Zwycięstwa na wieczną pamiątkę chwały zwycięskiego wodza.

W Rzymie za to obchód tryumfu był wspaniałą uroczystością, a stosownie do wielkości odniesionego zwycięstwa, senat udzielał wodzowi albo tryumfu wielkiego, albo też małego, który zwano *owacyą* <sup>1)</sup>. Admirałowie

<sup>1)</sup> Nazwa ta pochodzi od wyrazu *ovis* (owca), gdyż zaszczytzeni tym rodzajem tryumfu nie mogli ofiarować bogom białych byków,

flot rzymskich innego dostępowali tryumfu, niż wodzowie sił lądowych.

Z początku, kiedy Rzym był siedzibą ludu walecznego i zarazem miłującego cnotę oraz prostotę obyczajów, tryumfy były bardzo skromne; lecz gdy panowanie jego rozszerzyło się niezmiernie, a zdobycie bogatych prowincyi azyatyckich ogromne skarby przyniosło Rzymowi, wtedy wzrósł zbytek, i tryumfy zamieniły się we wspaniałe obchody, których ludność rzymska, cheiwa zabaw i uroczystości, niezmiernie łaknęła.

Wódz rzymski otrzymywał zaszczyt tryumfu, jeżeli z małą liczbą wojska wielkie odniósł zwycięstwo, lub jeżeli granice państwa znacznie rozszerzył. Ale nagrody tej nie otrzymywali ci, którzy odzyskali utracone prowincye, stłumili wewnętrzne rozruchy, albo też choćby największe zwycięstwo w domowej wojnie odnieśli. Nie udzielano także tryumfu tym, którzy odnieśli wprawdzie znakomite nad nieprzyjacielem zwycięstwo, ale okupili je wielkimi stratami wojsk rzymskich; pozwalano na tryumf także takim tylko wodzom, którzy najwyższą godność sprawowali, jak: dyktatorom, konsulom, dowódcom, mającym tytuł imperatorów.

Skoro tylko zwycięzca, powracając z wyprawy wojennej, zbliżył się ku stolicy, a pragnął dostąpić zaszczytu tryumfu, wtedy zatrzymywał się u bram miasta, i wysławszy list do senatu, oczekiwał skutku. Jeżeli odniósł wygraną na lądzie, wtedy posyłał do senatu listy uwiecznione laurem; jeżeli na morzu, to statek był przystrojony gałązkami wawrzynowemi. Wówczas senat rzymski udawał się na radę do świątyni Bellony, bogini zwycięstwa: kwestorowie <sup>1)</sup>, trybunowie <sup>2)</sup> i centuryonowie <sup>3)</sup> zaprzysięgali prawdziwość liczby poległych w bitwie nieprzyjaciół i Rzymian. Jeżeli wygrana albo cała wyprawa była tak znakomitą, iż zasługiwała na tryumf, wtedy

---

tylko owce. Zaszczyt owacyi był dozwolany tylko wodzom, którzy znaczne korzyści nad nieprzyjacielem otrzymali, ale wojny nie zakończyli, lub też jeżeli zwalczyli mniej potężnego nieprzyjaciela.

<sup>1)</sup> Urzędnicy, mający dozór nad skarbem; do nich należało płacenie żołdu żołnierzom.—<sup>2)</sup> Trybun, obrońca ludu przeciw potędze patrycjuszów, czyli szlachty rzymskiej; do urzędu tego była przywiązana rozległa władza.—<sup>3)</sup> Centuryon, setnik, naczelnik oddziału wojska, sto ludzi zawierającego.



senat wydawał dekret zezwalający. Następnie dekret ten przedstawiano zgromadzeniu ludowemu do zatwierdzenia, a to dlatego, że wódz tryumfujący po odprawieniu uroczystości zostawał naczelnikiem wojsk, w Rzymie załogą stojących. Czasami też, chociaż senat dozwolił, trybunowie, lękający się przewagi tryumfatora, zabraniali mu odprawienia tryumfu.

Kiedy już i senat i lud zatwierdzili tryumf, wyznaczano dzień, w którym on się ma odbyć. W dniu tym o wschodzie słońca wódz przywdziewał szatę tryumfalną, to jest togę purpurową, bramowaną złotem, wyszywaną w palmy, niekiedy białą w purpurowe pasy; potem ruszał z pola Marsowego, dążąc ku bramie Rzymu.

Naprzód szli liktorowie <sup>1)</sup> z pękami swemi, ustrojonymi w laury, dalej trębacze i muzycy, wygrywający marsze; następnie wiedziono okryte zasłonami purpurowymi ze złotymi frędzlami byki białe, których rogi były złoczone i przybrane we wstęgi i kwiaty; zwierzęta te były przeznaczone na ofiarę bogom za odniesione zwycięstwo. Prowadzili je ofiarnicy, do pasa obnażeni, trzymający w rękach topory; za ofiarnikami postępowali kapłani. Potem młodzieńcy nieśli łupy zdobyte na nieprzyjacielu; cięższe i większe wieziono na wozach pięknie przybranych. Poza temi wozami szły inne, na których były wyobrażenia miast i twierdz na wojnie zdobytych, wyrobione z drzewa lub wosku, a czasami ze słoniowej kości, z wypisaniem ich nazwisk; dalej wieziono obrazy rozpostarte, wystawiające bitwy i odniesione zwycięstwa; prowadzono także zwierzęta dzikie i płody tych krajów, które tryumfator do państwa rzymskiego przyłączył.

Za tym orszakiem postępowali: królowie zdobytych krajów, wzięci w niewolę, razem z żonami i dziećmi, książęta i wodzowie zwyciężeni, z głowami ogołonemi na znak niewoli i pokory.

Za nimi szli dowódcy legii <sup>2)</sup> i innych oddziałów mniejszych, którzy w odbytej wojnie udział mieli.

<sup>1)</sup> Liktorowie w Rzymie byli to słudzy publiczni, chodzący przed najwyższymi urzędnikami; nieśli w rękę pęki kijów leszczynowych, związanych rzemienieniami, w środku których sterczał topór na znak, że urzędnik, przed którym je noszono, miał prawo chwycić, wiązać, chłostać i śmiercią karać złoczyńców. Przed dyktatorami szło 24 liktorów, przed konsulami 12, przed pretorami czyli namiestnikami prowincyi 6.—<sup>2)</sup> Legia, oddział wojska złożony z 3 do 6 tysięcy

Następnie jechał sam wódz na wozie tryumfalnym, zrobionym z kości słoniowej, w piękne rzeźby wyrzynanej i przystrojonej złotem i srebrnymi ozdobami. Wóz ten ciągnęły cztery konie, zwykle białe, bogato okryte i w jeden rząd zaprzęgnięte. Sam wódz, odziany, jak mówiliśmy, pyszną szatą, uwieńczony wawrzynem, trzymając w rękę gałąź tego drzewa, stał na wozie, przybrawszy wspaniałą postawę i jechał wśród okrzyków i oklasków ludu niezliczonego. Za nim siedział niewolnik, który wołał co czas jakiś: «*Hominem memento te!*» t. j. «Pamiętaj, że jesteś człowiekiem».

Za wozem tryumfalnym szło wojsko; naprzód jazda, potem piechota, wszyscy zaś mieli na głowach laurowe wieńce i idąc, wydawali okrzyki na cześć zwycięzcy.

Orszak ten, postępując bardzo wolno, ciągnął od bramy miejskiej przez najwspanialsze ulice Rzymu aż do Kapitolium<sup>1)</sup>. Przybywszy tam, wódz modlił się do bogów i kazał zabijać zwierzęta na ofiarę, poczem dawał wspaniałą ucztę dla senatorów i przedniejszych urzędników państwa. Po ukończeniu jej, wśród odgłosów muzyki i okrzyków ludu, odprowadzano tryumfatora do domu.

Wódz, przypuszczony do zaszczytu tryumfu, miał przywilej ukazywania się na widowiskach publicznych w wieńcu wawrzynowym i zasiadania na krześle z kości słoniowej.

Admirałowie obchodzili przyznany im tryumf nie na wozie, lecz na statku wojennym, przystrojonym w laury, purpurę i złoto; płynęli na nim po Tybrze aż do podnóża Kapitolu.

Mały tryumf, czyli owacya, różniła się tem od wielkiego tryumfu, iż wódz szedł piechotą, przy odgłosie pischczalek; czasami zaś wjeżdżał konno; używał tylko szaty białej, obszytej wokoło purpurą, a senatorowie, patrycyusze i dygnitarze wojskowi szli przed nim do Kapitolu, gdzie składał ofiarę.

pieszych i kulkuset jazdy; dzieliła się ona na kohorty, centurye, co odpowiadało dzisiejszym dywizjom, batalionom i kompaniom.

<sup>1)</sup> Kapitolium była to twierdza na wzgórzu Kapitolijskiem w Rzymie, zbudowana przez Tarkwiniusza Starego, w 139 lat po założeniu Rzymu. Tu była świątynia Jowisza kapitolijskiego, zawierająca niezmiernie skarby, w której wodzowie składali Jowiszowi dzięki za odniesione zwycięstwo i część łupów dawali w ofierze, a w wielkich przysionkach dawali ucztę po obchodzie tryumfu.

## 12. Igrzyska cyrkowe i gladyatorowie rzymscy.

Uroczystości ustanowione przez Greków i Rzymian na cześć bogów, odbywały się nie tylko w poświęconych im świątyniach. Zabawy publiczne, trwające niekiedy po kilkanaście dni, urządzano w obszernych arenach czyli szrankach, które w Grecji przybrały nazwę: «hipodromów» i «stadyów», a w Rzymie «cyrków».

Tarkwiniusz Stary urządził pierwszy cyrk w dolinie między wzgórzami Awentynu i Palatynu. Była to prosta budowla drewniana, zawierała cztery rzędy stopni, ustawionych w amfiteatr w owalnym ogrodzeniu.

Po uroczystym pochodzie i złożeniu ofiar bogom, lud ustępował ze szranek, robiąc miejsce zapaśnikom, walczącym bez broni, szermierzom z krążkami, biegaczom, gladyatorom, oraz szermierzom, którzy stawali do walki z drapieżnymi zwierzętami.

Pod następcami Tarkwiniusza, Rzym liczył już piętnaście cyrków, po większej części kolosalnych wymiarów i przyozdobionych z nadzwyczajnym przepychem. Główniejsze były: wielki cyrk Tarkwiniusza, mogący pomieścić do dwudziestu tysięcy widzów; cyrki: Aleksandra, Flaminiusa, Heliogabala, Karakalli, Castrensis, Domicyjana, Flory, Intimus, Juliusza Cezara, Nerona, Sallustyusza i Koloseum. Cyrk największy ze wszystkich, zaczęty przez Cezara Wespazyana po jego powrocie z wojny judejskiej, a ukończony przez Tytusa, nazywał się właściwie Amfiteatrem Flawiana, od imienia rodu Wespazyana.

Cyrki takie, jak nasze dzisiejsze teatry, budowane były według ogólnego planu; różniły się tylko wymiarami i przyozdobieniem. Miały pospolicie kształt eliptyczny czyli owalny: dwie strony boczne i trzecia stanowiąca łączące je półkole, były podstawą stopni, urządzonych w amfiteatr; czwarta zaś strona, która tworzyła jak gdyby głąb cyrku, składała się z ponumerowanych portyków, zamkniętych żelaznymi kratami. Pod arkadami tych portyków (carceres) znaku rozpoczęcia gonitwy oczekiwały rydwany, czyli dwukołowe wozy. Z pod owych to sklepień, opatrzonych kratami, wypuszczano lwy i ty-



grysy przeciw uzbrojonym szermierzom, lub chrześcijanom, skazanym na rozszarpanie. Długi mur (spina circi), mający przeszło cztery łokcie grubości, a około dwu i pół wysokości, przedzielał szranki, na dwie, mniej więcej równe części. W cyrku Karakali, najpiękniejszym co do proporeyi, spina wznosiła się do 340 stóp od strony karceresów, a około 60-u od znajdującej się naprzeciw nich bramy tryumfalnej. Szranki miały długości blisko 1,000 stóp, a szerokości przeszło 80. Dwie mety w kształcie pół okrągłym stały po obu stronach spiny w odległości 7 stóp; ścigający się wozami, chcąc otrzymać nagrodę, powinni byli te mety okrążyć siedm razy.

Wyobraziwszy sobie kształt architektoniczny hipodromu, łatwo pojąć trudności i niebezpieczeństwa takich wyścigów wozowych. Odłamki potrząskanych wozów, skrwawione ciała woźniców, poranione lub zabite konie—często tamowały drogę, ale wtedy najwięcej uwydatniała się zręczność ostatnich współzawodników, których wozy w szalonym pędzie zostawiały na piasku szranków długie ślady krwi, niby wstęgi purpurowe.

W pośrodku spiny czyli grzbietu cyrkowego wznosiła się maleńka świątynia, lub obelisk poświęcony słońcu, przyczem stały posągi: Neptuna, Kastora i Polluksa <sup>1)</sup>, Cybeli <sup>2)</sup>, Fortuny <sup>3)</sup> i Zwycięstwa.

Szranki z drobnego piasku, posypane niekiedy proszkiem cynobru i zielonego popiołu, z początku były oddzielone od widzów tylko żelazną kratą, umieszczoną przed najniższym stopniem; ale wściekle skoki tygrysów i rozpaczliwe miotania się słońców, usiłujących nieraz wyrwać lub skruszyć tę zaporę, skłoniły Cezara do obmyślenia czegoś bezpieczniejszego; kazał więc wykopać naokoło szranek fosę (euripus) 10 stóp głęboką i szeroką, którą przed zgromadzeniem się widzów napełniano wodą.

Nie wszystkie jednak cyrki rzymskie były w ten sposób zabezpieczone. Szranki niektórych były tak zbudowane, że za pomocą kanałów, dawały się zamienić w obszerne sadzawki, po których odbywano wyścigi na ło-

<sup>1)</sup> Kastor i Polluks, zwani w mitologii greckiej Dyoskurami, synowie Jowisza i Ledy.—<sup>2)</sup> Cybela, córka Nieba i Ziemi, żona Saturna.—<sup>3)</sup> Fortuna w mitologii była wyobrazicielką złych i dobrych losów; przedstawiano ją z dwoma wiosłami i związanymi oczyma.

dziach; były to jednak wyjątki. Jako przykład wymienię cyrk Flaminiusza, w którym August kazał przedstawiać walkę krokodylów, lub pokazywał Rzymianom sprowadzone z Tebaidy <sup>1)</sup> krokodyle.

Ze wszystkich rzymskich cyrków najmajestatyczniejszym był bez wątpienia cyrk, zwany Koloseum; okazałe ruiny tej budowy przetrwały do dziś dnia, jako pomnik potęgi państwa rzymskiego, opierający się sile wieków.

Owal Koloseum ma 1641 stóp obwodu; jego zewnętrzny okrąg, wysoki przeszło na 120 stóp, składa się z czterech rzędów arkad jednych nad drugimi, w stylach: doryckim, jońskim i korynckim; ośmdziesiąt marmurowych kolumn dźwigało najwyższą galeryę. Szranki czyli arena, przeszło 200 stóp długa, a 140 szeroka, mogła być dowolnie przemieniana w jezioro, dla przedstawienia igrzysk niby morskich, lub walki krokodylów i hipopotamów.

Na stopniach amfiteatru mogło się mieścić dziewięćdziesiąt tysięcy widzów. Drzwi (vomitoria) i korytarze dolne tak były obszerne i tak umiejętnie rozmieszczone, że jedna godzina wystarczała na zapełnienie lub pełne opuszczenie cyrku przez tę ogromną liczbę publiczności.

Wielka zasłona (velarium), rozciągnięta za pomocą sznurów i masztów, chroniła od słońca lub deszczu zarówno widzów, jak i aktorów owych krwawych igrzysk.

Cezar zajmował w cyrku osobne miejsce, zwane *pulvinar*, urządzone pospolicie po lewej stronie karceresów, naprzeciw pierwszej mety. Z tego to miejsca dawał znak rozpoczęcia widowiska, rozwijając pewien rodzaj płaszcza z białej wełny, zwany *mappa*.

Zwycięzcy igrzysk wychodzili bramą tryumfalną. Nie wolnicy, stanowiący służbę cyrkową, wynieśli ranionych i zabitych drzwiami *dapilaria*, umieszczonemi nawprost pulvinaru; dwoje innych drzwi znajdowało się po obu stronach karceresów; temi drzwiami wchodzili w szranki zapaśnicy i gladyatorowie.

Wyścigi piesze, konne lub wozowe, stanowiły główne tło igrzysk cyrkowych.

<sup>1)</sup> Tebaida, nazwa Górnego Egiptu, od imienia starożytnego miasta Teb.

Pieszo ścigali się zwykle młodzi Kreteńczycy, jako odznaczający się w ćwiczeniach tego rodzaju.

W wyścigach wozowych (missus), jakieśmy wyżej powiedzieli, zwycięzca winien był objechać spinę siedm razy; niewolnicy, stojący przed dwoma małemi ołtarzami, umieszczonemi u obu końców spiny, liczyli każdy kurs, a pierwszy ze współzawodników, który za siódmym razem przybył do mety przed innymi, otrzymywał nagrodę.

Cztery wozy, przedstawiające tyleż fakcyi, rozróżnionych kolorami: czerwonym, niebieskim, białym i zielonym, tworzyły misye. Cesarz, konsulowie, rycerze i lud oświadczałi się często każdy za inną fakcyą, a popierając je z zaciętością, dawali powód do groźnych zamieszek, wypływających z entuzyazmu, posuwanego nieraz do szaleństwa. Ta nazwa fakcyi i ów antagonizm kolorów przetrwały aż do czasów Justyniana. Pod jego panowaniem zdarzyła się krwawa bójka trzymających stronę zielonych, ze zwolennikami niebieskich, w której poległo czterdzieści tysięcy ludzi. Wypadek ten usunął na zawsze fakcyę z igrzysk cyrkowych.

Lud rzymski, który prawie czwartą część swojego życia przepędzał na stopniach Koloseum, nabierał upodobania w coraz krwawszych widowiskach. Siłacze, mocujący się bez broni, i szermierze krążkowi już nie mogli go zadowolnić. Dlatego później najulubieńszem dla Rzymian widowiskiem była walka gladyatorów i zażarte szarpanie się między sobą rozmaitych drapieżnych zwierząt, które puszczano w szranki jednocześnie. Igrzyska tego rodzaju cieszyły się powodzeniem aż do czasów Nerona; ten zaś, coraz okrutniejszy w prześladowaniu chrześcijan, kazał ich rzucać w cyrku na pożarcie lwom i tygrysom.

Walka zwierząt odbywała się pospolicie przy schyłku dnia już po odbytych wyścigach i zapasach gladyatorów. Była ona niby wesołą, chociaż okrutną krotochwilą ze śpiewkami, kończącą widowiska teatralne.

Podobne walki wzbogacały kupców afrykańskich, których statki zawijały do Ostyi <sup>1)</sup>, obładowane libijskimi <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Ostya, port przy ujściu Tybru do morza. — <sup>2)</sup> Libia, tak zwano dawniej północny pas Afryki od zatoki Arabskiej do oceanu Atlantyckiego.



lwami, asyryjskimi <sup>1)</sup> tygryсами, słoniami i wielbłądami z Heptanomidy, krokodylami Nilu i hipopotamami z Bizaceny <sup>2)</sup>. Recya <sup>3)</sup> i Apeniny dostarczały wilków i niedźwiedzi. Dostawa była korzystną, ale dostawcy nie zawsze mogli napelnić żywym mięsem klatki, czyli karceresy Koloseum. Lwy i tygrysy bardzo często rozszarpały się wzajemnie w szrankach, trzeba więc było wiele pieniędzy na zastąpienie poległych żywymi.

Wszakże okrutne upodobanie ludu już nie zadawało się widokiem stosu pozagryzanych zwierząt. Chciał on silniejszych wzruszeń. Chciał przede wszystkim przypatrywać się konaniu człowieka, trzeba mu było rozpaczliwej walki szermierzy, skazanych na bój z dzikimi zwierzętami, jako jeńcy wojenni, lub przestępcy kryminalni. Krzyki bóleści, szpony tygrysie, zapuszczane w drgające ciała ofiar, ryk lwów, chrzęst łamanych kości — to były najpożądańsze widowiska, to najmilsze uciechy ludu rzymskiego.

Rzym tak dalece rozmiłował się w podobnych rzeziach, że nawet płacił wolnym ludziom, którzy się sprzedawali, ażeby potem, ćwicząc się w rzemiośle szermierzy, dowodami niesłychanej odwagi i zręczności podczas publicznych uroczystości odzyskać utraconą wolność.

Niebezpieczeństwo, które odurza i zarazem pociąga, niezadługo wprowadziło w szranki trzecią klasę szermierzy zwierząt: młodzieńcy, synowie najznakomitszych rodzin rzymskich, ulubieńcy Augusta, stawali do walki obok płatnych szermierzy, którzy ich wyuczili swego niebezpiecznego rzemiosła.

Neron, niesyty chwały, którą pozyskał jako pierwszy woźnica w swoim państwie, Neron, flecista i śpiewak, sam w końcu wstąpił w szranki, aby pokazać ludowi, że był zarówno wprawnym łucznikiem, jak pięknym tancerzem.

Komodus, «Herkules rzymski», ów gladyator przebrany za cezara, walczył w szrankach więcej niż siedmset razy.

Naumachie, czyli przedstawienia potyczek morskich,

<sup>1)</sup> Asyryja właściwa — jest to dzisiejszy Kurdystan we wschodniej stronie Turcji azjatyckiej. — <sup>2)</sup> Bizacena, nazwa południowej części okręgu kartagińskiego. — <sup>3)</sup> Recya (Raetia) u starożytnych Rzymian obejmowała przestrzeń od dzisiejszego Tyrolu do stoku Alp południowych.

odbywały się zwykle w wielkim cyrku (diis magnis); a obszerność jego *eurypu* (rowu przedzielającego publiczność od szranków) pozwalała z łatwością zamienić arenę w jezioro. Lecz zabawa ta, wprowadzona w czasie pierwszej wojny punickiej w celu zaprawienia marynarzy do obrotów wojennych, nabyła rzeczywistej wartości dopiero pod Klaudyuszem i Neronem.

Klaudyusz urządził na jeziorze Fucyno walkę dwu fakcyi, rodyjskiej i tyryjskiej. Każda z nich miała po dwanaście okrętów.

Skazani na śmierć, znajdujący się w liczbie walczących, gdy przechodzili przed cezarem, pozdrawiali go słowy: «Ave, imperator, morituri te salutant».

«Ave vos!»—odpowiadał Klaudyusz, kłaniając się wzajemnie.

Neron kazał zrobić szeroki przepok w górze, oddzielającej jezioro Fucyno od rzeki Lyra, dla wielkiej nau-machii, którą wyprawiał ludowi. Trytony <sup>1)</sup> i Syreny <sup>2)</sup> mechaniczne, oraz flota tryremów (statków o potrójnym rzędzie wiosel), na której płynęło blisko 20,000 walczących, ukazały się w tem widowisku. Walka, która rozpoczynała się o wschodzie słońca i trwała do nocy, była jedną z najkrwawszych. Uroczystość kosztowała nie-mało złota i nadwerężyła skarb, ale złudzenie było zupełne.

Prześladowania chrześcijan za Nerona i jego następców, prześladowania, rzucające codzień nowe ofiary kłom i szponom potworów Koloseum, słowem, era męczenników za wiarę, były dziełem polityki, egzekucyami śmierci, podciągniętymi pod formę widowisk. Nie możemy więc liczyć ich w poczet zwyczajnych igrzysk cyrkowych. Zresztą, cóż powiedzieć o owych rzeziach, w których rzucano bezbronne ofiary na pastwę dzikich gości karceresów?!

Ze wszystkich igrzysk najciekawszemi, najwięcej zajmującemi i najulubieńszemi były walki gladyatorów. Wprowadzili je do Rzymu Etruskowie, a ukazały się po

<sup>1)</sup> Tryton, syn Posejdona i Amfitryty, był bożkiem nawałności morskich i miał pałac złoty na dnie morza. Włosy jego były zielone, łuski lśniły czerwonym ogniem, za uszami miał skrzydła i roz-wartą szeroką gębę z kłami wystającemi. — <sup>2)</sup> Syreny, greckie boginie, były to przecudne dziewice z rybiemi ogonami, które uroczym śpiewem nęciły ludzi.

raz pierwszy w czasie obchodu pogrzebu ojca Markusa Brutusa. Jeńcy wojenni, nieposłuszni niewolnicy i przestępcy kryminalni brali w nim udział.

Później, gdy ten rodzaj religijnej ofiary stał się publiczną rozrywką, warunki gladyatorów uległy całkowitej zmianie. Do jeńców galijskich <sup>1)</sup>, do północnych barbarzyńców zaczęli się łączyć gladyatorowie ochotnicy (auctorati), którzy za znaczne sumy sprzedawali swoją osobę handlarzom szermierzy, obowiązując się względem nich taką przysięgą: «Przysięgam narażać się na żelazo, ogień, łańcuchy, uderzenia, na śmierćadaną mieczem i być posłusznym mojemu nabywcy».

Handlujący szermierzami byli to dawniejsi gladyatorowie, później wyzwoleni, którzy zaprawiali ochotników w swoim zawodzie, ucząc ich teorii i praktyki walk, a nawet pokazując, jak trzeba umierać z wdziękiem.

Zgromadzenie uczniów gladyatorskich zwało się familią.

Najbogatsi z takich przedsiębiorców posiadali ogromne szkoły, w których żywili i kształcili swoich uczniów, aby ich później odprzedać rządowi lub zamożnym panom; i oni bowiem w pewnych zdarzeniach wyprawiali dla ludu widowiska. Zapaśnicy uprawiali się tam początkowo mieczami drewnianymi; ćwiczenia gimnastyczne rozwijały ich zręczność i siłę; pożywny a umiarkowany pokarm wpływał także niemało na wzmocnienie ciała. Podobne szkoły okazały się tak skutecznymi w kształceniu siły fizycznej, że wkrótce sami cesarowie zaczęli się nimi zajmować, przyjmując na siebie najwyższy kierunek, dozór zaś powierzali najznakomitszym dygnitarzom państwa, z tytułem: «curator».

Do najsłynniejszych należały: szkoła w Kapui <sup>2)</sup>, w Rawennie <sup>3)</sup> i Ludus Aemilius w Rzymie.

Gladyatorowie wchodzili w szranki parami, przedsię-

<sup>1)</sup> Galią zwano kraj, rozciągający się od pasma Pyreneów aż do Renu i Włoch północnych; dzielili ją na dwie części: Gallia transalpina, t. j. zaalpejska, gdzie było główne Gallów siedlisko, prawie w granicach dzisiejszej Francji, i Gallia Cisalpina, przedalpejska, w dzisiejszych Włoszech północnych. — <sup>2)</sup> Kapua, miasto dziś wiele podupadłe, nad rzeką Volturno, w północnych Włoszech, było niegdyś stolicą Kampanii, jednym z najpiękniejszych miast Italii, współzawodniczącym z Rzymem. — <sup>3)</sup> Rawenna, miasto w prowincji Romanii, leży o milę od morza Adryatyckiego.



bierca oglądał ich broń, aby się przekonać, czy nie jest uszkodzoną, a po kilku nieszkodliwych bójkach, dokonanych na próbę, odgłos trąb dawał hasło rzeczywistej walki.

Gdy który z gladyatorów upadł raniony, lud wołał: «Habet!» i jeżeli chciał, aby ranionego zaraz dobito, wznosił ręce, pochylając wielki palec ku ziemi; jeżeli zaś pragnął ocalić mu życie, wznosił podobnie ręce, z tą tylko różnicą, że wielki palec trzymał prosto. W ostatnim razie przenoszono ranionego do spolarium, gdzie jeżeli lekarze oświadczyli, że rana jest śmiertelną, lub że wyzdrowienie nieprędko nastąpi i nie wróży pożytku z pacyenta, natychmiast go doduszano.

Nieszczęśliwego, który wydobywał się żywym z tej jaskini śmierci, odsyłano do szkoły (ludi), do której należał.

Igrzyska gladyatorów, zniesione przez Konstantyna, przetrwały jeszcze do panowania Honoryusza i Flawiusza, który po porażce Alaryka pod Polencyą wyprawił Rzymowi ostatnią walkę gladyatorów.

### 13. Rycerstwo.

Gdy państwo rzymskie ostatecznie runęło, na zwaliskach jego usadowiły się ludy nawpół dzikie, przybyłe ze Wschodu. Miały one zaledwie mętne wyobrażenia o Bogu, duszy i sprawiedliwości i nie wierzyły prawie w nic, wyjąwszy siłę. Stopniowo tylko i powolnie łagodziły się ich obyczaje, i to w miarę, jak dzika ich natura korzyła się przed promieniem prawdziwej wiary.

Był jednak cały niemal okres dziejowy, w którym człowiek rządził się nie boskimi lub ludzkimi prawami, lecz własną jedynie wolą, nie uznając nad sobą żadnej władzy. Były to czasy niesłychanego ucisku, ciemnoty i zabobonu; słaby, gnębiony przez silniejszego, nigdzie nie znajdował sprawiedliwości; sądy nie miały prawie żadnej powagi, gwałt panował wszechwładnie.

Wtedy właśnie, gdy taki zamęt społeczny rozszerzał się po całej Europie, w łonie tej samej niesfornej społeczności powstało rycerstwo, którego właściwie nie znaly ludy starożytne, i które w naszych czasach również można poczytywać za umarłe.

W wiekach średnich, rycerz był to mąż wielkiego serca, który widząc szerzące się dokoła bezprawia, postanawiał sobie nieść pomoc wszystkim uciśnionym, a gdy nie było władzy, któraby wymierzała sprawiedliwość, sam chciał tę sprawiedliwość według własnego sumienia wymierzać.

Z czasem rycerstwo utworzyło zbrojne bractwo, jakby jeden zakon, którego członkowie w każdej chwili byli gotowi przelewać krew własną za wiarę i w obronie niewinności, za kraj rodzinny, swojego króla i za cześć niewieścią.

Przy wstępowaniu do takiego rycerskiego bractwa, odbywał się obrządek, nazywany pasowaniem, który polegał na tem, iż przyszły rycerz składał przysięgę, że wierne zawsze będzie zachowywał rycerskie ustawy; a przyklęknąwszy na jedno kolano przed innym rycerzem, który pozyskał już rozgłos i sławę, otrzymywał od niego lekkie uderzenie mieczem po ramieniu.

Każdy rycerz przybierał sobie pewne godło według upodobania i dewizę; z kolei czasu powstały z tego herby, które do dziś dnia przetrwały, utraciwszy jednak pierwotne swe znaczenie.

W miarę, jak rozwijało się rycerstwo, społeczność europejska przyjmowała zupełnie inną postać. Gwałty nie zawsze już uchodziły bezkarnie, i w obyczajach wstępowała ogląda, wyrabiało się poczucie sprawiedliwości, a zarazem poczucie obowiązków, od których żaden ucziwy człowiek nie może się usuwać. Dzięki szlachetnym rycerzom, szlachetniała cała społeczność, a praca, osłonięta od ucisku, coraz świetniejsze poczynała wydawać owoce; nauki zakwitały, zamożność wzrastała, duch ludzki, poczuwszy się swobodniejszym, tworzył prawdziwe cuda.

Okres, w którym kwitło rycerstwo, obejmuje najświetniejsze karty dziejów ludzkości; w owych to czasach szlachetność, prawość, niezłomna wierność swemu godłu i sprawie raz podjętej, zalecające prawdziwe rycerstwo, wysoko je postawiły w opinii całej społeczności. Sami monarchowie, duchem tym przejęci, za zaszczyt poczytywali należeć do rycerskiego bractwa; tak naprzykład Franciszek I, król francuski, był pasowany na rycerza przez Bayarda, o którym niżej kilka słów powiemy.

W chwilach spokoju, gdy wojna nie powoływała ryce-

rzy pod sztandary, odbywały się tu i owdzie w Europie świetne rycerskie igrzyska, zwane turniejami. Wspaniała to była zabawa, o której my dziś zaledwie z ksiązek możemy powziąć jakie takie wyobrażenie.

Historya przechowała nam nazwiska i opisy bohater-skich czynów wielu rycerzy. Tak w Hiszpanii słynał swojego czasu Cyd, u nas Zawisza Czarny, we Francyi Bayard.

Ten ostatni, przewany rycerzem bez strachu i zarzutu, urodził się w roku 1476, w zamku Bayard, niedaleko Grenobli; rodzinne jego nazwisko było Piotr du Terrail. Młodość swoją przepędził Bayard częścią na dworze ksiądz Sabaudzkich, częścią przy boku króla francuskiego, Karola VIII. Już w ośmnastym roku swego życia odznaczył się w bitwach z Włochami pod Ludwikiem XII; ścigając nieprzyjaciela, sam jeden wpadł do Medyolanu, gdzie został wzięty do niewoli; jednakże Ludwik Sforza, który sam był znakomitym rycerzem, natychmiast powrócił mu wolność. W roku 1501 Bayard pobił Hiszpanów w Apulii we Włoszech i schwytał ich wodza, a gdy ten mimo danego słowa umknął, Bayard, pojmuwszy go powtórnie, zabił w pojedynku. W czasie tej samej wojny Francuzów z Hiszpanami Bayard bronił raz znowu sam jeden przejścia przez most na rzece Garigliano przeciw całemu pułkowi nieprzyjaciół; w roku 1512 nie dozwolił rabunku w mieście Brescia, które zdobył, a ofiarowaną mu za to nagrodę 2,500 dukatów podarował córkom swej gospodyni na posag. W roku 1513 walczył przeciw Anglikom w Pikardyi i odniósł nad nimi niejedno zwycięstwo; w pamiętnej jednak klęsce pod Guinegate dostał się do niewoli jedynie dlatego, iż nie chciał razem z innymi uciekać z placu boju. Wypuszczony na wolność bez okupu, był mianowany dowódcą pułku tak zwanego zbrojnych królewskich ludzi, a potem wielkorządcą prowincyi Delfinatu; ofiarowanej sobie jednak pensyi nie przyjął.

Rycerz ten nigdy nie ubiegał się za majątkiem, żył zawsze nadzwyczaj wstrzemięźliwie i wszystko, co miał, rozdawał ubogim. W twierdzy Mézières z oddziałem swoim sam jeden wstrzymywał napady wojsk cesarza niemieckiego i tym sposobem uchronił od ich napadu Paryż. Uradowana stolica powitała go w swych murach jako wybawcę, a król dał mu kompanię stu zbrojnych.



Był to zaszczyt, którym odznaczano tylko książąt krwi królewskiej. W roku 1523, gdy znowu wybuchła wojna pomiędzy Francją a Włochami, Bayard walczył również mężnie i tu został śmiertelnie ranny przy moście nad Sesją. Gdy zdradziecki konstabl Bourbon, dowodzący wojskiem nieprzyjacielskim, ubolewał nad jego nieszczęściem, umierający Bayard powiedział mu:

— Nie nade mną, ale nad sobą raczejbyś ubolewał, że walczysz przeciw własnemu krajowi!

Najznakomitszy ten rycerz francuski zmarł 30 kwietnia 1524 roku. Zwłoki jego przewieziono do Grenoble; po drodze nawet nieprzyjaciele oddawali im królewskie honory.

Podaliśmy tu krótki przebieg żywota Bayarda, aby wam, młodzi czytelnicy, dać obraz prawdziwego rycerza. Z tego wnosić możecie, ile trzeba było mieć enoty, nieskazitelności, szlachetności i męstwa, aby godnie piastować dostojęństwo rycerskie. To też jeżeli rycerz zhańbił swe imię tchórzostwem, nieszczemnością lub zbrodnią, za to skazywany był na śmierć, a kat zdierał mu publicznie na rusztowaniu zbroję, oręż druzgotał w kawały, a przed śmiercią, na domiar hańby, w twarz ręką uderzał.

## 14. Walka Dawida z Goliatem.

W czasie kiedy Dawid zajął ważne stanowisko na dworze króla Saula, Filistyni zebrali wielkie wojsko i wydali wojnę Izraelitom. Chęć obrony kraju i ludu przywróciła przytomność walecznemu Saulowi. Zebrał więc żołnierzy i na ich czele stanął naprzeciw obozu Filistynów, Dawida zaś, jako bardzo młodego, odesłał do ojca.

Mała tylko dolina dzieliła obydwie wojska, które patrzyły na siebie, czekając zaczepki.

Wtem wystąpił z obozu filistyńskiego człowiek nadzwyczajnego wzrostu i siły niezmiernej, imieniem Goliat. Na głowie miał przyłbicę miedzianą, okrywał go pancerz łuszczysty, zasłaniał się puklerzem, nosił miecz za pasem i ogromny oszczep w rękę.

Ten człowiek straszliwy stanął w dolinie i wołał do Izraelitów:

— Czemuście wyszli ku nam w tak wielkiej liczbie? Obierzcie lepiej jednego człowieka, niech odbędzie ze mną pojedynek. Jeżeli mnie pokona i zabije, będziemy niewolnikami waszymi; jeżeli ja go przemożę i zabiję, wy nam służyć musicie.

Mówił tak jedynie dla urągania wojsku izraelskiemu, bo wiedział dobrze, iż nie mają równego jemu. W ten sposób przez dni 40 rano i wieczorem powtarzał urągania swoje, a żołnierze Saula ledwie patrzeć na niego śmieli.

Lecz Bóg gotował mu zwycięzcę. W wojsku było trzech braci Dawida. Ojciec, niespokojny o nich, powiedział do Dawida, który z dworu królewskiego wróciwszy, pasł znowu trzody:

— Weź dziesięć serów dla rotmistrza i dziesięć chlebów dla braci; pójdź do obozu i zapytaj, jak się dzieciom moim powodzi.

Dawid poszedł.

Chociaż Saul obiecał wzbogacić tego, któryby Goliata zwyciężył, uwolnić dom jego od podatków i dać mu własną córkę za żonę, nikt nie chciał z olbrzymem się mierzyć; król więc zniecierpliwiony, wojsko swoje szykował do boju.

W tę właśnie chwilę przyszedł Dawid do obozu. Przy nim wystąpił raz jeszcze Goliat i urągał Izraelitom.

Na ten widok podniosła się dusza Dawida i zawołał:

— Ja zabiję tego człowieka, ja odejmę tę hańbę od Izraela!

Śmieli się z niego bracia, ale słowa jego doszły do króla, który kazał mu stanąć przed sobą. Dawid przyszedł i powiedział:

— Niech nie upada serce niczyje, ja pójdę i spotkam się z tym Filistynem.

— Nie podążasz!—zawołał król—tyś mały i młodziutki, tamten mąż ogromny i dojrzały.

— Pasał sługa twój — odpowiedział Dawid — trzody ojca swego; przyszedł lew i niedźwiedź i porwał barana, goniłem go i wydierałem mu zdobycz z paszczęki. Rzucił się na mnie, ujmowałem go za gardło i dusiłem w ręku. Tak będzie i z tym Filistynem. Bóg, który mnie wyrwał z paszczęki lwa i niedźwiedzia, z rąk jego wyrwać mnie potrafi.

— Idź więc!—zawołał król.—Niech Bóg będzie z tobą!

To mówiąc, obłókł go we własne suknie, włożył hełm na głowę jego, okrył go pancerzem i miecz swój do boku mu przypasał. Tak ubrany, Dawid próbował, czy będzie mógł zbrojno chodzić, bo nie był przyzwyczajony do takiego ubioru; ale spróbował, powiedział do króla:

— Nie mogę.

Zdjął więc suknie i zbroję, i został w swej pasterskiej odzieży; wziął kij, procę i pięć kamyków z potoku, włożył je do torby i tak wyszedł przeciw Goliatowi.

Olbrzym spojrział na niego z góry i powiedział:

— Czyż ja pies, że na mnie z kijem wychodzisz? — i przeklinając go przez bogi swoje, mówił: — Chodź tu, a wydam cię twojemu ptactwu i robakom!

Nie uląkł się Dawid i rzekł śmiało:

— Ty idziesz do mnie z mieczem, z oszczepem, z puklerzem, a ja idę do ciebie w imię Boga; wyda cię Bóg w ręce moje; zabiję cię, utnę głowę twoją, a ciało oddam ptactwu i robactwu, żeby wiedziała ziemia, że jest Bóg w Izraelu.

Usłyszawszy te słowa, Filistyn zbliżył się z zajądłością ku Dawidowi; pośpieszył i młodzieniec, pobiegł ku niemu, a ująwszy kamyk z torby, rzucił go z procy. Naraz kamień utkwiał w skroni Goliata; olbrzymowi wzrok się zaćmił i padł twarzą na ziemię. Widząc to, Dawid przybiegł, stanął nad nim, a nie mając miecza, własne Goliata żelazo wyjął mu z za pasa i leżącemu uciął głowę.

Obaczywszy Filistyni, że poległ najmocniejszy z nich, zaczęli uciekać. Gonili ich Izraelici, wydając krzyki radosne, zabili wielu i odpędzili ich za granice swoje, a wróciwszy, zabrali ich obóz. Dawid zaś wszedł do miasta z tryumfem, niosąc na końcu miecza głowę olbrzyma. Tak zaniósł ją do przybytku Pańskiego. Na pamiątkę zaś swego zwycięstwa ów śpiewak urodzony, ów bohater młodziutki, ułożył pieśń w tych słowach:

«Błogosławiony Bóg mój, który nauczył rękę moją bitwy, palce moje wojny! Miłosierdziem On mojem i ucieczką, schronieniem i zbawcą. Bóg mój tarczą moją, w Nim miałem nadzieję, On podda mi lud.

«O, Panie! cóż to jest człowiek, że mu się objawiasz? Czemu syn człowieczy, że go sobie ważysz? Człowiek podobny nicości, dni jego mijają jako cień.

«Panie! nakłoń niebios i zstąp; dotknij się gór, a pój-



dą dymem; błysnij piorunem, a rozstąpią się; wypuść strzały Swoje, a zatrwożysz ziemię.

«Spuściłeś Swe ramię z wysokości, wyrwałeś mnie i wybawiłeś z ręki ludów obcych, których usta mówiły kłamstwo, a prawica czyniła nieprawość.

«Boże! pieśń nową zaśpiewam Tobie! na harfie o dzieściu strunach grać będę; Tobie, który wybawiasz królów, któryś odkupił Dawida, sługę Twego, i wyrwałeś go od miecza.

«Synowie obcych, jako szczepy młode, córki ich piękne i przystrojone, jako sprzęty kościelne, spiżarnie ich pełne, owce płodne, woły tłuste, niema wyłomu ani przejścia w ich ogrodzeniach i mówią: «Błogosławiony lud, który ma to wszystko».

«Błogosławiony lud, którego Bóg jest Panem».

(Z dzieła «Pismo Święte» przez autorkę «Pamiętki po dobrej matce»).

## 15. Budowa i poświęcenie świątyni Salomona.

Przez całe siedm lat budowano słynną świątynię Salomona. Przepych jej, piękność i kunsztowne roboty były tak zadziwiające, że sława tego gmachu rozeszła się po świecie, i policzony był przez niektórych między siedm dzieł ręki ludzkiej, które *siedmiu cudami* starożytnego świata zwano.

Świątynia ta miała postać czworobocznego, podłużnego grodu, który zawierał w sobie trzy obwody podobnego kształtu, a coraz mniejsze. Pierwszy obwód był otwarty nawet dla obcych, drugi tylko dla Izraelitów, do trzeciego jedynie kapłani i Lewici mieli przystęp; bo w środku jego wznosił się sam kościół, także czworoboczny i podłużny, na wzór przybytku, postawionego niegdyś na puszczy, ale daleko większych rozmiarów. Świątynia była oparta od wnijsćcia na dwu słupach z miedzi, z których jeden zwano *Jakim* (niech utwierdzi), a drugi *Booz* (w nim moc); dzieliła się na dwie części: na *Święte* i na *Święte Świętych*. W pierwszej, dokąd tylko kapłani wchodzić mogli, stał ołtarz kadzideł, stół na chleby ofiarne i dziesięć świeczników, wszystko ze

szczerego złota. W drugiej części, przedzielonej od pierwszej złotolitą zasłoną, był ołtarz *wyrocznicą* zwany i postacie dwóch Cherubinów ze szczerego złota; pod ich rozłożonymi skrzydłami postawić miano arkę przymierza ze wszystkimi izraelskimi świętościami. Do tego miejsca raz tylko na rok sam wielki kapłan mógł wchodzić; było ono całe blachami złotymi wybite, równie jak *Święte*, a światło dzienne wchodziło oknami z góry.

Z trzech stron świątyni były zabudowania, dochodzące do połowy jej wysokości; tam w skarbcach złożono wszystkie skarby kościelne. Przed drzwiami i przed wspomnianymi słupami, w obwodzie przystępnym dla kapłanów i lewitów, stał ołtarz całopalenia i wielka umywalnia, mormem miedzianem zwana, w której się oczyszczali kapłani przed przystąpieniem do spełniania obrzędów; oraz stały inne sprzęty i naczynia z wodą. Ten obwód, zwany *sienią kapłanów*, równie jak dwa inne większe, *Izraela* i *obcych*, miał czworo drzwi, po jednych z każdego boku, i różne zabudowania, jako to: izby, przedsionki, krużganki, w których mieszkali mieniający się w służbie kapłani i lewici. Tutaj też ustawiano zbywające sprzęty i naczynia; tutaj wreszcie przechadzały się i modliły osoby, przychodzące do świątyni, a kapłani odbywali sprawy urzędu swego.

Cały ten święty gród w najmniejszych szczegółach i ozdobach swoich tak był bogaty i starannie wykończony, iż godnym był Boga o tyle, o ile dzieło ręki człowieka godnem być może Tego, którego Imieniu był poświęcony. A gdy już ku potrzebom i piękności jego nie brakowało, Salomon umyślił obchodzić uroczyste podwyższenie owej pierwszej wielkiej świątyni, na cześć Boga prawdziwego przez ludzi wzniesionej. W rocznicę poświęcenia arki przymierza na puszczy, w święto namiotów, czyli kuczek, wezwał zgromadzenie ludu do Jerozolimy. Gdy się zebrał tłum niezliczony i wszystkie przygotowania poczyniono, król ze starszymi pokoleń i z kapłanami udał się do domu Dawida po arkę. Wzięli ją na barki kapłani i z wielką okazałością wnieśli do świątyni. Co kilka kroków były składane ofiary *zapotkajne*, dźwięk strun muzycznych rozlegał się daleko, jako i głosy wielbiących Pana psalmem Dawida, chóry zaś ludu całego powtarzały te słowa: «Wyznawajmy Pana, bo dobry, bo wieczyste miłosierdzie Jego».

Skoro arkę złożono w *Świątym Świątych*, pod skrzydłami złotych Cherubinów, mgła napelniła gmach cały i tym znakiem okazał Bóg, że ofiarę Jemu uczynioną łaskawie przyjmuje. Uradowany Salomon stanął w sieni kapłanów, obok ołtarza całopalenia, na wzniesieniu, i błogosławił ludowi, będącemu wewnątrz i zewnątrz świątyni; potem ukląkł na oba kolana, wyciągnął ręce ku niebu i taką wyrzekł modlitwę:

«Panie Boże! nie masz podobnego Tobie ani na niebie w górze, ani na ziemi nízko; Ty strzeżesz przymierza i miłosierdzia dla tych, którzy przed Tobą są z czystym sercem; Tyś ziścił Dawidowi wszystko, coś mu przyrzekł. Usta Twoje obiecały, ręce wykonały, jako ten dzień świadczy. Teraz więc spełnij, coś powiedział ojcu mojemu: Nie będzie odjęty mąż z rodzaju twego od stolicy Izraela, jeśli synowie twoi strzedz będą prawa mego, jakoś ty uczynił. Utwierdźże Panie, tę mowę Twoją! Wiem dobrze, iż nieba ogarnąć Ciebie nie mogą, daleko mniej ten dom, którym Ci zbudował; jedynie też na to jest wyniesiony, abyś wejrzał na modlitwę sługi Twego, abyś wysłuchał próśb, które dziś wylewa przed Tobą. Niech oczy Twoje we dnie i w nocy otwarte nad tym domem będą! niech o cokolwiek sługa Twój i lud izraelski prosić w nim będzie, wysłuchaniem zostanie! Jeśliby kto skrzywdził bliźniego i tu by przyszedł, gotów przysiądz przeciw niemu, Ty osądź go, Panie! niech przewrotność jego na własną głowę spadnie! Ty pomścij się za sprawiedliwego. Jeżeliby uciekł lud Twój przed nieprzyjacielem, a czyniąc pokutę i wzywając tu Imienia Twojego, modliłby się, wybaw go i odpuść grzech jego! Jeśli zawartem niebo będzie i dżdżu dla złości ludzkich nie wyda, skoro modląc się w tym domu, uczynią pokutę, spuść deszcz na tę ziemię, którąś nam dał w posiadłość. Jeśli się zawezmie głód, mór, zaraza, szarańcza, jeśli plaga jaka lub choroba na którego człowieka z Izraela przypadnie, skoro pozna ranę serca swego, wyciągnie ręce do Ciebie w tym domu, zlituj się nad nim! Daj każdemu według potrzeb jego, jako ujrzysz w sercu, bo Ty znasz serca wszystkich synów człowieczych. Jeśli cudzoziemiec, posłyszawszy o wielkiem Imieniu Twojem, przyjdzie z dalekiego kraju i modlić się będzie, uczyn to wszystko, o co Cię wezwie, żeby się nauczyły narody ziemskie bać Imienia Twojego, jako Izrael się boi. Jeśli



nareszcie zgrzeszy lud Twój przeciwko Tobie, a Ty wydasz go w ręce nieprzyjaciół, i oni go zawiodą w niewolę,—skoro lud Twój modlić się będzie, wspomniawszy na ten dom, przebacz mu grzechy jego i wróć do ziemi, którąś dał ojcom naszym; albowiem Tyś lud izraelski obrał sobie za dziedzictwo, jakoś Mojżeszowi powiedział. Teraz zaś oblecz zbawieniem kapłanów Twoich i nie odwracaj oblicza od pomazańca Twego».

Skończył modlitwę, Salomon powstał i wielkim głosem tak jeszcze błogosławił zgromadzonej rzeszy:

«Błogosławiony Pan, który spełnił wszystko dobre, jako przez Mojżesza obiecał! Nie upadło jedno słowo Jego! Niechże tak będzie z nami, jak był z ojcy naszymi! Niech nakłoni serca nasze ku sobie, abyśmy chodzili drogą Jego, strzegli przykazań i obrządków. Niech wiedzą wszystkie narody, że On sam jest Bóg, a niemasz prócz Niego».

To powiedziawszy, Salomon i cały Izrael ofiary przed Bogiem czynił: dwadzieścia dwa tysiące wołów i tysiąc dwieście owiec w siedmiu dniach zabito w sieni kapłańskiej; pożywał ich szczątki lud wesoło; a gdy święto minęło, gdy każdy wrócił do siebie ze spokojnem i obojętnym sercem, każdy jeszcze się weselił w domu i świętował przez dni siedm z pozostałą w domach rodziną, błogosławiąc Boga i króla.

*Z Klem. Hofmanowej.*

## 16. Miecz Damoklesa.

Dyonizyusz, przy zdolnościach wojennych i politycznych, miał wady, które ściągnęły na niego ogólną nienawiść. Obok niepohamowanej dumy, chciwości, okrucieństwa, nie oszczędzającego nawet najbliższych krewnych, był tak jawnym bezbożnikiem, że zdawał się dlatego tylko uznawać bogów, aby ich przy lada sposobności najotwarciej znieważać.

Raz, wracając przy pomyślnym wietrze z Lokrów do Syrakuzy, po złupieniu sławnej świątyni Prozerpiny, zawołał:

— Patrzcie, przyjaciele, jak nieśmiertelni bogowie sprzyjają żegludze świętokradców!...

Innym razem, potrzebując pieniędzy na prowadzenie wojny przeciw Kartagińczykom, zabrał posągowi Jowi-

sza olimpijskiego płaszcz szczerozłoty, mówiąc, że był «za ciężki na lato, a za chłodny na zimę.» Natomiast kazał mu uszyć sukienny, który, jak utrzymywał, będzie dobry na wszystkie pory roku.

Później kazał odjąć bożkowi Eskulapowi złotą brodę, dając za powód, że nie wypada, aby syn pozwalał sobie mieć brodę, kiedy jej ojciec (Apollo) nie zapuścił.

Podobnież kazał pozabierać ze wszystkich świątyn srebrne i złote stoły, a ponieważ podług zwyczaju Grecyi, były na nich napisy: «Łaskawym bogom», Dyonizyusz mówił, że właśnie chce z ich łaski korzystać.

Za takie świętokradztwa obywatele cierpieć go nie mogli, to też pomimo swojej wielkości, Dyonizyusz na łonie bogactw i pozornych uciech wiódł życie nieszczęśliwe, bo niepokozone ciągłemi podejrzeniami i obawą zasłużonej zemsty.

On też sam, najdowcipniej, przy zdarzonej sposobności, odmalował swoje dręczące położenie.

Jeden z pochlebnych dworzan, imieniem Damokles, zwykł był niez mordowanemi pochwałami wynosić pod niebiosą bogactwo, zaszczyty i rozkosze Dyonizyusza, powtarzając, że nie było i nie będzie szczęśliwszego na świecie człowieka.

— Jeżeli tak sądzisz, Damoklesie,— rzekł pewnego dnia Dyonizyusz — muszę ci dać zakosztować mojej szczęśliwości.

Na te słowa, rozpromieniła się twarz dworaka. Tymczasem Dyonizyusz rozkazał przygotować wspaniałą biesiadę, do której posadził go na przepysznym łożu, pokrytem drogimi kobiercami, gdzie zwykle sam siadał. Stoły zastawione były złotemi i srebrnemi półmiskami, nalewkami, puharami; najwyszukańsze wonności łączyły swój zapach z zapachem świeżych kwiatów, a niewolnicy znosili coraz wyborniejsze potrawy i wina, usługując biesiadnikowi z zadziwiającą szybkością i najgłębszem poszanowaniem. Damokles tonął w rozkoszach, uważając się za najszczęśliwszego z ludzi, kiedy wypadkiem podniósłszy oczy w górę, ujrzał ostrze miecza, zawieszonogo prostopadłe nad swoją głową na pojedynczym końskim włosie!

Na ten widok krew zastygła mu w żyłach; wspaniałe przyozdobienie sali, delikatne potrawy, blask złota, srebra i drogich kamieni, usłużni niewolnicy, musujące wino,—

wszystko znikło z przed jego oczu; widział tylko zawieszony nad sobą miecz i czuł zagrażające mu w każdej chwili niebezpieczeństwo.

Nareszcie, pełen obawy, zerwał się od stołu, oświadczając, że nie chce być dłużej tak szczęśliwym, i odtąd przestał nudzić Dyonizjusza swemi przesadnemi pochwałami.

## 17. Archimedes.

Mąż znakomity, słynny nauką, której poświęcił całe swoje życie, urodził się w mieście Syrakuzach w Sycylii, 287 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Pochodził z dostojnej rodziny, albowiem Hieron tyran, czyli rządcą Syrakuz<sup>1)</sup>, był blizkim krewnym uczonego Sycyljczyka; otwartą mu więc była droga do dostojności i godności. Pomimo to Archimedes nie piał się do urzędów i o dostojności nie dbał, albowiem ukochawszy naukę, oddał się jej z największem poświęceniem.

Matematyka, geometrya i mechanika zajmowały wyłącznie Archimedesą, pracował nie tylko z zamiłowaniem, lecz z namiętnością, i zwykle całe dni przepędzał w osobnym pokoju, nigdzie nie wychodząc, a bardzo często zdarzało się, że zupełnie zapominał o posiłku, tak, iż domownicy prawie przemocą wyciągali go z ustronia, przymuszając do przyjęcia pokarmu. Mnóstwo też prawd odkrył w matematyce, które do dzisiejszego dnia przetrwały i na nich oparła się dalsza nauka.

Fizyka, chociaż wówczas nie stanowiąca osobnej gałęzi nauki, także zajmowała Archimedesą; i w niej także poczynił ważne odkrycia. On to odkrył środek ciężkości, naukę o drażkach i wiele innych praw statyki.

Jednego razu król Hieron, zaprosiwszy Archimedesą do siebie, pokazał mu koronę, przez złotnika świeżo przyniesioną, i prosił, ażeby za pomocą swej nauki doszedł, czy była z czystego złota, lub też jaką część innych przymieszanych kruszców zawierała.

Chemia nie była wówczas znaną, trudnem więc było spełnienie Hieronowego żądania; długo też mędrzec rozmyślał napróżno nad tem, jakby zagadnienie rozwiązać;

<sup>1)</sup> Syrakuzy, najznakomitsze niegdyś miasto Sycylii, położone na południowo-wschodniem wybrzeżu tej wyspy.



nareszcie pewnego dnia, siedząc w wannie, a czując, iż ciało jego daleko jest lżejszem w wodzie, aniżeli w powietrzu, wpadł na myśl, że każde ciało, zanurzone w wodzie, o tyle jest lżejszem, ile waży woda, przez nie z naczynia wypchnięta, że więc tego sposobu będzie mógł użyć do sprawdzenia próby złota w owej koronie.

Ucieszony tem odkryciem, zapomniał, że był w kąpieli i wybiegł na ulicę, wołając z radością: «Eureka! eureka!» (znalazłem, znalazłem).

Po tem odkryciu poczynił jeszcze mnóstwo innych, szczególnie też w mechanice, a pomiędzy innemi wynalazł tak zwaną od jego imienia śrubę Archimedesesa. Za jej pomocą można bez wielkiej pracy i natężenia wypróżniać miejsca napełnione wodą, lub wypompować ją z okrętów, do których się przypadkiem dostała.

Raz, kiedy rozmawiał z Hieronem o mechanice, w zapale rozprawy zawołał: «Daj mi punkt, na którymbyś mógł oprzeć podpórę, a ziemię z miejsca poruszę». W istocie, powiada jeden ze starożytnych autorów, Archimedes podnosił za pomocą dźwigni swego wynalazku wielkie okręty i puszczał je w morze, chociaż to podanie nie zdaje się być podobnem do prawdy. Tak przez naukę, niez mordowaną pracę, niemało zasłużył się Archimedes nietylko ziomkom swoim, ale całemu ówczesnemu światu ucywilizowanemu.

Wkrótce atoli wiadomości tego wielkiego męża zajaśniały w całym blasku, gdy niósł swe usługi rodzinnemu miastu. Już miał z górą lat 70, kiedy w roku 212 przed Nar. Jezusa Chrystusa Rzymianie postanowili zagarnąć pod swoje panowanie Syrakuzy, i stoczywszy kilka pomyślnych bitew, wpędzili Syrakuzan do stolicy i oblegli ją. Strwożeni klęskami mieszkańcy miasta upadli na duchu, a zwątpiwszy o możliwości obrony, postanowili poddać się nieprzyjacielowi. Wtem Archimedes, stanąwszy pośród nich, ognistemi słowy zachęcił do obrony, obiecując ze swej strony pomoc.

Wkrótce rozpoczęło się oblężenie. Rzymianie, biegli w sztuce wojowania, popierali je od lądu i morza, jednak wszystkie ich usiłowania rozbijały się o męstwo Syrakuzan. Machiny, wymyślone przez Archimedesesa, niszczyły oblężnicze wieże Rzymian i szkodziły okrętom. Niektórzy historycy, jak Dyon i Dyodor Sycylijski, twierdzą, iż mędrzec ten, ustawivszy znaczną ilość zwiercia-

deł wklęsłych, za pomocą nich spalił flotę rzymską. Chociaż to jest niepodobieństwem, ażeby tak wiele ogromnych zwierciadeł można było zebrać i ustawić, jak również wierzyć nie można, ażeby podczas działania promieni zwierciadeł palących, flota rzymska stała nieruchomo, czekając, aż ją ogień w popiół obróci, zawsze jednak opisy te dowodzą, że geniusz Archimedeses był wielki i niemałe usługi przyniósł Syrakuzanom w obronie miasta.

Nakoniec po długim a daremnym oblężeniu, nieprzyjacieli, znużony zaciętą obroną, zwolnił w natarczywości i porzucił tylko na otoczeniu miasta wkoło.

Syrakuzanie, czując się swobodniejszymi, postanowili uroczyste odprawić nadchodzące święta Dyany, i opuściwszy mury, zaniechali zwykłej ostrożności. Dowiedział się o tem wódz rzymski Marcellus, postanowił więc skorzystać z błędu oblężonych i za jednym zamachem zdobyć Syrakuzy.

O północy zebrały się zastępy Rzymian, a Marcellus, chcąc je zachęcić do zdobycia miasta, przyrzekł wydać życie i mienie mieszkańców Syrakuz na łup żołnierzom, nakazując tylko, ażeby Archimedeses oszczędzili.

Niespodziewany napad Rzymian najzupełniej się powiodł; zaskoczeni zniemacka mieszkańcy, słaby zaledwie stawiali opór, lecz i ten wkrótce przełamano, a rabujący zdobywcy rozbiegli się po całym mieście, siejąc spustoszenie i śmierć.

Jeden z żołnierzy wpadł do mieszkania Archimedeses, a ujrawszy go zagłębionego nad figurami matematycznymi, zapytał: «Kto jesteś?» Starzec nie dosłyszał zapytania, a żołnierz, gdy na powtórne pytanie żadnej nie odebrał odpowiedzi, ugodził mieczem wielkiego męża i pozbawił go życia.

Śmierć Archimedeses wielce Marcellusa zasmuciła. Wyszukał on krewnych mędrca, pozostałych po rzezi, i bogato obdarzył, wydał im ciało zabitego, aby je przystojnie pochowali, i swoim kosztem pomnik na grobie z gołdami matematycznymi wystawił.

Tak to i nieprzyjaciel umiał ocenić w przeciwniku swym naukę i pracę.

Archimedeses pozostawił po sobie drogocenne dzieła, które później w rozmaitych wiekach wydawano w przekładach z greckiego na język łaciński, niemiecki i francuski. Odkrycia, jakie poczynił w geometryi, mianowicie

co do wymiaru figur walcowatych i kulistych, tak go ucieszyły, iż prosił, ażeby na jego grobie wyryto wyobrażenie tych brył. Żądaniu temu stało się zadość, a nawet Cycero, sprawując urząd kwestora w Sycylii, po tych osobliwych godłach poznał grobowiec Archimidesa.

## 18. Zburzenie Kartaginy <sup>1)</sup>.

Z wiosną roku 146 przed Chr. rozpoczął Scypio działania przeciw Kartaginie na nowo. Zdobył on naprzód część miasta przy porcie leżąca, potem wdarł się do samego środka, gdzie coraz bardziej szerzący się głód osłabiał siły obrony. Zwrócił się naprzód przeciwko twierdzy, ale chcąc się do niej dostać, musiał przedtem walczyć sześć dni i nocy.

Była to ze strony Kartagińczyków rozpaczliwa walka, podobna do walki w nowszych czasach mieszkańców Saragossy <sup>2)</sup> przeciw Francuzom.

Rzymianie musieli zdobywać jeden dom po drugim, jedną ulicę po drugiej, ponieśli ciężkie straty i mogli do twierdzy dostać się jedynie przez spalenie całej części miasta. Gdy się nareszcie wdarli, zjawili się parlamentarze, błagający o życie 50,000 mężów i niewiast, szukających w mieście przytułku. Scypio zgodził się na ich prośbę, wyłączając jednak wszystkich zbiegów.

Kiedy Rzymianom otwierano bramy zamku, zbiegowie ci, wraz z naczelnym wodzem Hasdrubalem i niektórymi Kartagińczykami w liczbie 900 schronili się do świątyni Eskulapa, na skale zbudowanej. Tam bronili się czas niejaki, gdy jednak Hasdrubal potajemnie opuścił ich i błagał zwycięzcę o łaskę, podpálili budynek i zakończyli życie w płomieniach; żona Hasdrubala przeniosła także śmierć nad niewolę i rzuciła się z dwojgiem swych dzieci w ogień.

Miasto samo stało się pastwą płomieni, przez 17 dni się srożących. Przez cały ten czas żołnierstwo rzymskie

<sup>1)</sup> Kartagina, głośne miasto w dziejach starożytnych, położone w Afryce północnej, w okolicy dzisiejszego Tunisu, na półwyspie małej zatoki morza Śródziemnego. W końcu istnienia państwa kartagińskiego liczyła, jak twierdzą starożytni, 700,000 mieszkańców. <sup>2)</sup> Saragossa, warowne miasto w prowincyi Aragonii. Przy oblężeniu jego przez Napoleona I 1809 r. Polacy wielką okryli się chwałą.



rabowało pałace się domy i zabierało w niewolę nie-  
szczęśliwych, chcących siebie lub swoje mienie uratować.  
Zabrano także dzieła sztuki i niewielką już liczbę na-  
czyń ofiarnych, resztę bowiem Kartagińczycy przetopili  
przedtem na broń. Scypio oddał pierwsze sycylijskim  
miastom, z których je niegdyś Kartagińczycy zabrali,  
drugie odesłał do Rzymu.

Wszystkie budynki, oszczędzone przez ogień, kazał zbu-  
rzyć, a Kartagina stała się odtąd na długo kupą gruzów.  
Opowiadają, że Scypio płakał na widok pałacego się mia-  
sta i powtarzał słowa Homera:

«Kiedyś nadejdzie dzień, w który święty Ilion padnie,  
Pryamus sam i lud włóczęgią władającego monarchy».

Przewidywał on w upadku Kartaginy przyszły los swo-  
jej własnej ojczyzny.

Tak znikł gród stary i sławny, a resztki jego ludności  
zagięły w masie niewolników rzymskich. Co do losu  
Hasdrubala, to zdania starożytnych dziejopisów są po-  
dzielone. Albo sam on sobie zadał śmierć, dowiedziaw-  
szy się, że ma być prowadzony w kajdanach podczas  
tryumfu, albo też umarł w więzieniu, uświetniwszy wprzód  
rzeczywiście tryumf Scypiona. Na gruzach Kartaginy  
wygłosili komisarze senatu rzymskiego straszliwe prze-  
kleństwo na każdego, ktoby miasto na nowo odbudował.  
Ziemie kartagińskie uznano za prowincję rzymską, a Uty-  
kę wyniesiono do godności stolicy tej nowej posiadłości  
afrykańskiej.

*z Szlosera.*

## 19. Dąbrówka.

Już po dwakroć przeniknęło Polskę światło wiary z bliz-  
kiego sąsiedztwa niektórych nawróconych słowiańskich  
narodów. Na początku X wieku, wiele morawskich ro-  
dzin, unikając okrucieństwa pogan Hungarów <sup>1)</sup>, którzy  
część Wielkiej Morawii opanowali, osiadło w Polsce. Rzecz  
do prawdy podobna, że około tegoż czasu wielu duchow-  
nych, schroniwszy się do Wielkiej Chrobacyi <sup>2)</sup>, gdzie te-

<sup>1)</sup> Węgrów. <sup>2)</sup> Wielka Chrobacya rozciągała się około gór Kar-  
packich; zachodnia część zwała się Białą Chrobacyą, a wschodnia  
Czerwoną Chrobacyą, czyli Rusią Czerwoną.

raz województwo Krakowskie, otrzymało pozwolenie zbudowania sobie na Kleparzu <sup>1)</sup> kościoła pod nazwą Św. Krzyża, gdzie odprawiali nabożeństwo dla schronionych Morawców. Znajdowali się też po miejscach odludnych pustelnicy, bądź przybyli z obcych krajów, a żarliwi w nawracaniu pogan, bądź przez nich z ludzi miejscowych do wiary i życia osobnego nakłonieni; spokojna a uboga świątobliwość ich życia zasłaniała od zazdrości prywatnych, a roztropna panująca władza od napaści i prześladowania. Wsparte nauką i pobożnością, chrześcijaństwo przechodziło z leśnych tajników do miejsc okolicznych, a nakoniec pokazało się i u dworu. Ci tedy ludzie, bądź duchowni, bądź świeccy, mianowicie którzy z zagranicznych krajów byli w służbie książęcej, albo dla handlu przybyli, mając łatwy do monarchy przystęp, poczęli odkrywać mu powoli błędy, płonność i niegodziwość pogańskich obrzędów, przekładać naukę wielbienia prawego Boga, utwierdzać naostatek nadzieją, że Bóg chrześcijański, poznany przez niego, uszczęśliwi dom książęcy i cały naród męskim potomstwem.

Nakłoniony do przyjęcia wiary, Mieczysław zapragnął pojąć w małżeństwo córkę księcia czeskiego, Bolesława I-go, którego z powodu zamordowania brata, św. Wacława, okrutnym zwano, a siostrę Bolesława II-go, Pobożnym zwanego. Imię jej było Dąbrówka, czyli według pisarzy czeskich i śląskich Dobrowa, albo u kronikarzy naszych i niemieckich Dobronika, enót znakomitych pełna.

Poselstwo, wyprawione po tę żadaną oblubienicę, od Mieczysława do Czech, i obowiązki przez teścia na nowożeńca włożone, ażeby pierwej wiarę przyjął, opisuje szeroko Długosz <sup>2)</sup>. Według pisarzy dziejów morawskich i czeskich przybyła Dąbrówka do Polski w towarzystwie wielu kapłanów słowiańskich dla przepowiadania Polakom wiary w języku rodowitym. Nie mamy też pewnej wiadomości, kiedy ta pani ślub wzięła z Mieczysławem, czy zaraz po swoim do Polski przybyciu, czy potem, gdy wiarę i chrzest przyjął. Odprawił się ten obrządek w mieście Gnieźnie i razem wesele, jak chce Długosz, 5-go marca r. 965, w niedzielę czwartą postu,

<sup>1)</sup> Kleparz, przedmieście Krakowa. <sup>2)</sup> Jan Długosz, znakomity kronikarz, czyli dziejopisarz w. XV-go.

którego to dnia wielu znakomitszych Polaków, umyślnie na to wezwanych, chrzest z monarchą przyjęło.

Kroniki czeskie świadczą, że Mieczysław przyjął Sakrament z rąk niejakiego kapłana czeskiego, Bohowida, i że mu ojcem chrzestnym był Dobiesław Persztyn, jeden ze szlachty morawskiej, który w urzędzie marszałka dworu z Dąbrówką do Gniezna przybył. Uprzedził tę uroczystość rozesłany po całym państwie wyrok książęcy, ażeby wszystkie bałwany z ich bożnicami popsuto i ogniem strawiono. Zniesiono też wszystkie obrzędy, igrzyska i święta, ku czci bożków ustanowione, i duchowieństwu pogańskiemu, wróżbitom, czarnoksiężnikom, tudzież innym tego rodzaju guślarzom zabroniono bawić gmin zwodniczemi bałamuctwy.

Ponieważ we wszystkich prawie znaczniejszych miastach znajdowały się bożyszcza, ich ołtarze i poświęcone im gaje, a rozkazy monarchy w przywykłym jeszcze do dawnych ofiar narodzie wykonywano opieszale, przeto Mieczysław wyznaczył dzień siódmy marca, do którego wszyscy włościanie i obywatele miast wszystkie posągi połamać i w blizkich wodach zatopić mieli.

Stało się zadość woli książęcej, a starożytna owa pamiątka zburzenia bogów pogańskich przeszła aż do czasów Jagiellońskich. Albowiem pisze Długosz, świadek naoczny, że po niektórych miastach w niedzielę środopostną gmin pospolity, wetknąwszy na tyki posągi Dziewanny i Marzanny, ciągnął je na saniach, i w przyległych bagniskach zatopiwszy, śpiesznie do domów powracał.

Mieczysław, oczyściwszy z bałwochwaltwa naród, nową jakoby winnicę na oczyszczonem z nieużytecznych zarośli polu zakładać i szczepić umyślił. Do ugruntowania przyjętej wiary w świeżo nawróconym kraju, dla nauki mieszkańców i dla jawnego już i ciągłego tejże wiary na potem wyznawania potrzeba było ludzi zdanych. Na ten koniec Mieczysław ufundował, jako powszechne niesie mniemanie, dziewięć kościołów po różnych miastach swego państwa; w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruszwicy, (skąd potem do Włocławka, pod imieniem katedry kujawskiej, był przeniesiony), w Smogrze (który naprzód do Byczyny w powiecie Bregeńskim na Śląsku, potem do Wrocławia dla okazałości miasta się przeniósł), w Płocku czyli Mazowszu, Chełmie, Kami-



nie <sup>1)</sup> i w Lubuszu <sup>2)</sup>. Te ufundowane albo raczej rozpoczęte wspólnie z żoną swoją kościoły opatrzył rozmaitym sprzętem, dobrami i dochodami. Zostały one podzielone na dyecezye: dwa pierwsze z nich król poddał pod władzę arcybiskupom, a inne siedm biskupom. Do urzędzenia zaś rozpoczętego od Mieczysława dzieła przysłany był w charakterze legata od Jana XIII-go, papieża, kardynał Idzy, biskup tuskulański. W celu osadzenia nowozałożonych katedr sprowadzano różnemi czasy uczonych i pobożnych ludzi, częścią z Włoch, częścią z Niemiec; trwało to potem prawie przez cały wiek póki naród nie znalazł na łonie własnem mężów zdatnych do rządu kościelnego.

Jaka zaś była w pierwiastkach chrześcijaństwa gorliwość Polaków w przedsięwzięciu utrzymywania przyjętej wiary, zostało świadectwo tego w dziejach narodowych. Gdy kapłan zaczynał czytać Ewangelię podczas mszy, szlachta, zebrana do kościoła w niedzielę, miała zwyczaj dobywać szabel z pochew do połowy, jakoby na znak gotowości obrony czytanego słowa Bożego; dopiero po odśpiewaniu na chórze: «Chwała Tobie, Panie!» znowu je wkładano.

Te usiłowania Mieczysława z Dąbrówką ku rozkrzewieniu religii nieba uwieńczyły pożądanym potomkiem męskim. W r. 967 urodził im się syn, któremu na chrzcie nadano imię dziadowskie po matce Bolesława, wielkość sławy oznaczające.

Po śmierci żony swojej Dąbrówki, zeszedł w r. 977, Mieczysław, odprawiwszy sześćioletnią żałobę, poślubił synowi Bolesławowi w Gnieźnie Judytę, córkę Gejzy, księcia węgierskiego, urodzoną z pierwszej jego żony Soralty, księżniczki siedmiogrodzkiej.

*z A. Naruszewicza.*

## 20. Przyjęcie chrztu św. przez Włodzimierza

W. Ks. Kijowskiego.

Lubo Włodzimierz wychował się u babki swojej, Olgi, mimo to jednak pozostał poganinem, bo oczywiście Olga

<sup>1)</sup> Kamin v. Kamień na Pomorzu, na wybrzeżu morskiem <sup>2)</sup> Lubosz (Lebus), miasteczko dziś w Marchii Brandeburskiej nad Odrą, około Frankfurtu, należało dawniej do Wielkopolski.

nie mogła nań wyrzeć takiego wpływu, jaki miały inne otaczające go osoby, oddane całkiem bałwochwalstwu.

Na początku panowania jego widzimy nawet, że był dość gorliwym obrońcą wiary ojców swoich: wznosił nowe posągi pogańskie na wyniosłościach poza pałacem książęcym (teremy) i zezwalał na prześladowanie pierwszych ruskich chrześcijan.

Oto co w tym względzie mówi stary kronikarz Nestor <sup>1)</sup>: Włodzimierz czynił wyprawę na Lachów i zajął miasta: Przemyśl <sup>2)</sup>, Czerwień <sup>3)</sup> i inne, które i dziś do Rusi należą; zwyciężył Wiatyczan i nałożył na nich daninę od pługa, jak to i ojciec jego robił. Skoro książę wrócił do Kijowa i wespół z towarzyszami broni chciał ofiarę bogom czynić, starcy i bojarowie rzekli do niego:

— Rzućmy losy na chłopów i dziewice; na kogo padnie, tego zarzniemy na ofiarę.

W tym czasie żył w Kijowie pewien Wareg, który przyjechał z Grecyi, a był wiary chrześcijańskiej; miał on syna pięknego fizycznie i moralnie. Na tego to Warega padł ów los fatalny. Wysłañcy od ludu przyszli do staro Warega i powiedzieli:

— Padł los na twego syna, podobało się bogom wziąć go do siebie, chcemy go więc przynieść na ofiarę.

Wareg odpowiedział:

— Wy nie macie bogów, ale bałwany, drzewo, które dziś jest, jutro zgnije; bogi wasze nie jedzą, ani piją, ani mówią, bo urobiły je ręce ludzkie z drzewa. A jest przecież Bóg jedyny, którego Grecy chwają i cześć Mu oddają, Bóg, który stworzył niebo i ziemię, gwiazdy i księżyc i słońce i człowieka i przeznaczył mu życie na ziemi. A wasi bogowie co zrobili? Oni sami są zrobieni! Nie oddam przeto syna mego czartom!

Wysłañcy opowiedzieli tę mowę ludowi; wtedy tłumy chwyciły za broń, poszły do domu Warega i rozłamały parkan, go otaczający. Wareg stał z synem na progu.

— Oddaj syna bogom!—wrzasnął tłum do niego.

Ten zaś odpowiedział:

— Jeżeli oni istotnie są bogami, to niechaj przyślą któ-

<sup>1)</sup> Nestor, pierwszy kronikarz słowiański, zmarły 1136 r. <sup>2)</sup> Przemyśl, miasto w Galicyi, w prezydencji lwowskiej. <sup>3)</sup> Czerwień, znaczne miasto w W. Ks., które udzieliło całej krainie imienia «Czerwieńskiej»; z czasem nazwę tę zmieniono na *Ruś Czerwoną*.

regobądź boga, aby wziął mojego syna; 'wam po co troszczyć się o to?

Wściekły krzyk był odpowiedzią tłumowi, który rzucił się na nich i zamordował.

Ale niedługi był tryumf pogan: wypadki, podobne do wyżej wspomnianego, nie mogły nie wywierać głębokiego wpływu na wyższe umysły, a w tej liczbie i na samego Włodzimierza. Z natury łagodny i miłosierny, nie mógł obojętnie poglądać na krwawe ofiary, a słysząc, z jaką wytrwałością znosili chrześcijanie męczarnie i nawet śmierć za wiarę swoją, z jaką mocą odpychali pogaństwo, mimowolnie zmuszony był zwątpić o świętości bogów swoich. Myśl, że one w istocie są tylko drzewem bez wszelkiego życia i mocy zaczęła go niepokoić. Należało przypomnieć sobie nauki, niegdyś w dzieciństwie dawane mu przez babkę, i zrozumiał nakoniec, że jest Bóg prawdziwy, jedyny, który wszystko stworzył.

Zdecydowany porzucić pogaństwo, długo nie wiedział, jaką ma przyjąć wiarę: która z nich najlepsza? Wskutek tego rozkazał przywołać przed siebie kapłanów rozmaitych religii: mahometańskiej, żydowskiej, rzymskokatolickiej i greckiej, i począł się ich rozpytywać. Każdy z nich jednakowo namawiał Włodzimierza, by przyjął wiarę jego, chwając ją, a potępiając inne.

Ale książę był ostrożny: nie wierzył słowom chwalczym, a zaciekawiony najbardziej opowiadaniem Greków o ich wierze, wysłał posłów ruskich do obcych krajów, by ci, zobaczywszy na miejscu każdą wiarę i wszelkie jej obrzędy, po powrocie powiedzieli mu, czy w istocie wiara grecka jest tak piękna, jak o niej głoszą.

Posłowie ruscy skrupulatnie wypełnili rozkazy wielkiego księcia i za powrotem nie mogli się odchwalić nabożności Greków i wspaniałości ich liturgii.

— Raz zakosztowawszy słodczy, mówili do księcia, nie zechcesz więcej pożywać gorzkich owoców.

Jakoż Włodzimierz, usłyszawszy to zdanie, postanowił przyjąć od Greków wiarę Chrystusową.

Włodzimierz mógłby się być ochrzcić we własnej stolicy, gdyż od czasów Olgi była tu cerkiew grecka; ale on chciał otoczyć blaskiem i przepychem ten uroczysty czyn swojego życia, albo raczej, chciał, że tak powiem, wywalczyć wiarę chrześcijańską. Zgromadziwszy zatem liczne



wojska poszedł na zdobycie greckiego miasta Korsunia <sup>1)</sup>. Mieszkańcy zamknęli się w mieście i mężnie się bronili. Włodzimierz kazał powiedzieć im:

— Jeżeli się nie poddacie dobrowolnie, to chociażby trzy lata stać tu będę.

Obleżeni nie usłuchali go. Naówczas wielki książę kazał robić nasypy dokoła miasta; ale mieszkańcy, podkopawszy mury, wynosili wewnątrz miasta nasypaną ziemię.

W tym czasie jeden z mieszkańców Korsunia, imieniem Anastazy, wypuścił do obozu ruskiego strzałę, na której było napisano:

«Na prawo od ciebie jest studnia, od niej do miasta idzie rura; odkop tę studnię i wstrzymaj wodę!»

Włodzimierz natychmiast kazał kopać i w istocie odszukał rurę i zatrzymał wodę; wówczas obleżeni, dręczeni pragnieniem, musieli się poddać.

Gdy W. książę wszedł z wojskiem do miasta, wysłał posłów do cesarzów Bazylego i Konstantyna i kazał obwieścić im te słowa: Zdobyłem sławne miasto wasze; wiadomo mi, że macie siostrę dziewicę: jeżeli jej nie wydacie za mnie za mąż, to i ze stolicą waszą będzie to samo, co się z Korsuniem stało.

Obaj cesarze, wielce zafrasowani, rzekli:

— Nie przystoi chrześcijanom wydawać sióstr swych za niewiernych; jeżeli się ochrzczisz, to będziesz miał i siostrę naszą, i królestwo niebieskie, i z nami wspólnie będziesz współwiernym; jeżeli zaś nie zechcesz chrztu przyjąć, to nie możemy wydać za ciebie siostry.

Włodzimierz odrzekł na to:

— Powiedźcie cesarzom waszym, żem gotów chrzest przyjąć, gdyż już dawno poznałem zasady wiary waszej, i mnie się ona podoba, również jak i liturgia wasza.

Cesarze, usłyszawszy to, ucieszyli się wielce; posłali siostrę swą Annę, którą prawie przemocą zmusili do tego kroku. Wsiadła ona na okręt, pożegnała krewnych i z płaczem odjechała.

Skoro cesarzewiczówna przybyła do Korsunia, Włodzimierz ochrzcił się, a następnie wziął ślub z Anną.

<sup>1)</sup> Korsuń było to niegdyś miasto w Chersonesie Taurydzkim, to jest w dzisiejszym Krymie.

## 21. Zdobyćcie Jerozolimę przez Krzyżowców w roku 1099.

Za nadejściem wiosny Tankred, Rajmund z Tuluzy i Robert z Normandyi wyrwali się z nierozsądnego odpoczynku, aby iść na Jerozolimę; inni się udali za nimi, zdobywając po drodze kilka miast.

Zdobyte grody stawały się jabłkiem niezgody między książętami, którzy pragnęli w nich panować. Ułożono się, że należeć będą do tego, kto pierwszy zatknie w nich chorągiew; każdy przeto starał się wyprzedzać innych i pierwszy wejść na wyłom. Przybywszy w okolice Bajrutu <sup>1)</sup>, Tyru, Sydonu <sup>2)</sup>, Krzyżowcy otrzymywali żywność od muzułmanów, byleby nie niszczyli ich grodów, a emir Ptolemaidy <sup>3)</sup> pod przysięgą obiecał wydać im twierdzę, skoro zdobędą Jerozolimę.

W Lidda, gdzie św. Jerzy poniósł męczeństwo, krzyżowcy ustanowili biskupa; Tankred zaś zatknął krzyż na wałach miasta Betleem o tej godzinie, o której Chrystus tu się narodził.

Kiedy wojownicy krzyża zbrali się, aby przystąpić do oblężenia grodu świętego, przekonali się, że przeszło dwakroć sto tysięcy osób z pomiędzy nich zginęło. Wielu powróciło na Zachód, lub się zatrzymało po rozmaitych miastach; nie więcej przeto wyruszyło pod Jerozolimę nad pięćdziesiąt tysięcy. W miarę jak się zbliżali ku niej, ożywił się dawny zapal, umilkły nieprzyjaźnie; a gdy z wysokości Emaus spostrzegli gród proroków i Chrystusa, okrzyk: «Jeruzalem, Jeruzalem!»—przebiegał szeregi z ust do ust. Wszyscy padali na kolana, dziękując Bogu, lub całowali ziemię, po której stąpali może patriarchowie, a może sam Odkupiciel. Każdy błagał o przebaczenie, każdy płakał za swoje grzechy, każdy powtarzał okrzyk: «Bóg tak chce!»

Zaraz zaczęło się oblężenie, chociaż oblegający mieli ogółem nie więcej niż 20,000 piechoty i 1,500 jazdy. Je-

<sup>1)</sup> Bajrut, miasto w dawniejszej Fenicyi, pomiędzy Sydonem i Trypolisem. <sup>2)</sup> Sydon i Tyr, dwa najznakomitsze miasta Fenicyi. <sup>3)</sup> Ptolemaida, zwana inaczej Saint Jean d'Acre, port nad morzem Śródziemnym w Syryi, w prowincyi Karmelu.

rozolimy zaś bronilo 60,000 wojowników, pod dowództwem emira Iftikara, w imieniu fatymickiego kalifa Egiptu.

Tu się zaczynają dzieje, opiewane przez poetę włoskiego, Tassa. Krzyżowcy cierpieli okrutne boleści pragnienia; flota genueńska, która wiozła żywność, była po większej części schwyтана i spalona; brakowało pieniędzy na zapłatę robotnikom, użytym do prac oblężniczych; zabrakło też i drzewa; ale nie odwagi! Sami baronowie pracowali nad sypaniem okopów. Po ich ukończeniu oblegający odbyli procesyę naokoło grodu świętego, jak Jozue pod Jeryho, nawiedzając sąsiednie miejsca najpamiętniejsze, i każdy błagał o odpuszczeniu win, aby mógł stać się godniejszym wnijsćia do grodu świętego. Wtedy Tankred i Rajmund, nieubłagani nieprzyjaciele, na widok góry Odkupienia, uściskali się i przebaczyli sobie nawzajem.

Po tym pobożnym obrzędzie wydano rozkaz do walnego szturmu, i Krzyżowcy zdobyli Jeruzalem w piątek (15 lipca 1099 r.) o godzinie trzeciej po południu, tej właśnie, o której Jezus skonał na górze Kalwaryi.

Niesłychane okrucieństwo, jakiego doświadczyło miasto, zdobyte szturmem, skalało tryumf; wymordowano 70,000 żydów i muzułmanów; rzeź była tak wielka, że chrześcijanie brodzili we krwi aż po kostki.

Kto zatkał krzyż, chorągiew, zawiesił tarczę lub inny znak na pałacu lub baszcie, był uważany za ich właściciela, i nikt nie śmiał tam wejść, gdy tymczasem inne domy rabowano.

Lecz gdy rozjuszeni, stanęli u grobu świętego, oręż wypadł im z rąk, i padłszy na twarz, bili się w piersi, wylewając łzy rozrzewnienia i żalu.

Zdobyte bogactwa rozdzielono między zwycięzców, lecz znaczną część odłożono dla ubogich, sierot i na kościoły. Szlachetny Tankred, który napróżno opierał się rzezi, zatkał chorągiew swoją na meczecie Omara i znalazł tu ogromne skarby, w tej liczbie 20 świeczników szczerozłotych i 120 srebrnych, lampę wspaniałą i wiele innych bardzo kosztownych sprzętów, które hojnie rozdawał wojownikom.

Jerozolima, oczyszczona z trupów, zmieniła religię i rząd, Frankowie, uznając konieczność ustalenia swego panowania, zamierzili podźwignąć tron Dawida i osadzić na nim króla. Jednomyślny ich wybór padł na Godfryda,



który podczas wyprawy odznaczył się nadzwyczajną walecznością. Wykonał on przysięgę na grobie świętym, że będzie szanował honor i sprawiedliwość; ale nie chciał włożyć korony królewskiej tam, gdzie Jezus Chrystus nosił koronę cierniową.

*Leon Rogalski.*

## 22. Kazimierz Wielki.

Kazimierz Wielki był wzrostu wysokiego, włosów gęstych i kędzierzawych, brody długiej. Mówił głośno, lecz nieco zająkliwie. Wsławiły go bardziej dzieła w pokoju znakomite, niżeli wojenne sprawy, a przeto z tamtych zasłużył sobie bardziej na imię Wielkiego, a mianowicie z budowy wspaniałych i pożytecznych gmachów, wzniesienia zamków i miast, opasywania ich murami, prowadzenia wewnętrznego w kraju gospodarstwa i innych godnych mądrego króla czynów. Zjednął sobie prócz tego miłość powszechną we wszystkich stanach — hojnością, sprawiedliwością, łaskawością, łatwym dla każdego przystępem i, jak na króla przystało, bogatem i wspaniałym w domu i podróżach obejściem.

Inni mniemają, że z postaci i wzrostu nadano mu imię Wielkiego, przeciwnie jak ojcu jego Łokietkowi; ale mylą się na źle zrozumianych wyrazach łaciny. Dzieła tego króla, których szacowne ślady dotąd widzimy, każą sprawiedliwiej stosować to imię do jego zasług i przymiotów wielkich, aniżeli do wzrostu, nie mającego znaczenia bez wielkości duszy. Albowiem ten monarcha, potargawszy ową matnię dawnych zwyczajów i szkodliwego prawodawstwa, zgubną dla drobniejszych obywateli, albo zachował prawa jasne, czyste, dla wszystkich stanów stosowne, albo je poprawił, lub nowe utworzył. Skarg i prośb uboższych ludzi nietylko cierpliwie słuchał, ale im dzielnie zaradzał. Za jego panowania nie zbytkowali dziedzice dóbr, ani się pastwili nad pracowitem wieśniactwem. Znał dobrze kmieć, do roli zrodzony, powinność poddanego i stan swój, lecz nie czuł się bydłciem.

Z tego powodu nazwali swego pana *królem chłopków*, że ich ciemnić nie dopuszczał. Ludzi, zabranych w czasie wojny lub napadów nieprzyjacielskich w niewolę, własnym kosztem wykupował. Surowości w karaniu wi-

nowajców rzadko używał, lecz publiczne wystęпки i łotrystwo ostro karciał. Polskie królestwo, dawniejszemi wojnami i klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone, uczynił ludniejszem przez osadzanie na prawie niemieckiem wsi i miasteczek, do których w znacznej liczbie garnęli się obcy, przynęcani łagodnością praw i nadzieją własności dla siebie i potomków swoich. Całe Podgórze <sup>1)</sup> Ruskie i Małopolskie, tudzież inne miejsca pograniczne, różnych teraz rzemieślników pełne, są to osady pierwiastkowe tego dobroczynnego króla.

Nigdy Polska tylu zamków i miast murowanych nie widziała, jak za Kazimierza Wielkiego. On zamek krakowski przyozdobił i wzmocnił, który potem następni królowie na inny kształt, wiekom późniejszym właściwszy, przemienili. On w mieście Krakowie, w rynku, sklepy różne dla kupców zbudował, a za miastem zwierzyniec założył. Długosz powiada, że ten król, zastawszy Polskę ukleconą z lepianek i drzewa, zostawił kamienną i ceglana, i że od tego dopiero króla zaczęli Polacy nabierać upodobania do gmachów i mieszkań murowanych.

*Z Adama Naruszewicza.*

### 23. Mikołaj Wierzynek.

Do jakiego stopnia wzmogła się kraju pomyślność za Kazimierza Wielkiego i urosło bogactwo, przekonać się możemy z powieści o Wierzyнку. Był to rajca krakowski, pochodzący z rodziny niemieckiej, ale zdawna w Polsce osiadły i w służbach w nowej ojczyźnie zasłużonej. Dziadowie jego zdawna już byli szlachtą polską herbu Łagoda i mieli otwartą drogę do wzrastania w zamożności.

Kazimierz uczynił Wierzyńka zawiadowcą skarbu swojego, to jest podskarzim, a razem marszałkiem. Obsypywany darami króla, w przedsiębiorstwach szczęśliwy, kupiectwem, fabrykami i handlem zboża szybko przyszedł Mikołaj do bogactw naówczas niezmiernych.

Po śmierci cesarza, Jana Luksemburczyka, syn jego i następca, Karol IV, wstąpił na tron czeski i cesarski razem, za niego zaś poszła Anna, księżniczka Jaworska

<sup>1)</sup> Część dawnego województwa Krakowskiego i ziemi Przemyskiej, przed górami Karpackimi.

na Śląsku, dziedzicka jedyna książąt mazowieckich, wnosząc w ten sposób w dom jego dziedzictwo Mazowsza.

Wtedy Kazimierz ugodził się z Karolem IV, ustępując mu przyległych Śląskowi księstw, Świdnickiego i Jaworskiego, a wziął za to Mazowsze, powracając je tym sposobem do korony pod zwierzchnictwo (r. 1355). Było to pierwsze tych monarchów zaprzyjaźnienie.

Gdy w r. 1363 Kazimierz pogodził Ludwika, króla węgierskiego, z cesarzem Karolem IV, przyjaźń ta, szacunkiem cnót wzajemnych podniesiona, bliższego zapragnęła połączenia. Wtedy owdowiały cesarz prosił Kazimierza W. o rękę wnuczki jego Elżbiety, księżniczki pomorskiej. Dał mu ją Kazimierz, naznaczając gody w Krakowie.

Ten związek cesarza niemieckiego z księżniczką polską najlepiej maluje nam, do jakiego znaczenia i potęgi przyprowadził był Kazimierz tę słabą niedawno koronę, skoro tak potężni monarchowie szukali z nim przyjaźni w związkach małżeńskich.

Kazimierz chciał uczcić ten związek z cesarzem, obchodząc gody z wielką uroczystością. Zaprosił królów: Ludwika węgierskiego, Piotra cypryjskiego i Woldemara duńskiego, książąt: Ottona bawarskiego, Bolesława świdnickiego, Władysława opolskiego i Ziemowita mazowieckiego, oraz wielu innych książąt i duchownych znakomitych.

Zjechali już do Krakowa wszyscy ci panowie, kiedy Bogusław, książę pomorski, z narzeczoną córką swoją Elżbietą przyjechał w towarzystwie Woldemara, króla duńskiego. Cesarz Karol zbliżał się z Czech, przez Śląsk obróciwszy drogę. Kazimierz wysłał naprzeciw niego do Bytomia liczny orszak panów, którzy cesarza przez Będzin i Olkusz do Krakowa prowadzili. Na milę od miasta czterej królowie z książętami i mnóstwem ludu wyjechali konno na przyjęcie cesarza. Kiedy już byli kilkaset kroków od siebie, cesarz zsiadł z konia i szedł naprzeciw królom pieszo, chcąc tem ich zebranie uczcić. Pozsiadali i oni, i zeszli się pieszo, ściskając dłonie wzajemnie. Uroczysty był to obraz, dotąd nie widziany w Polsce, a rzadko i w całej Europie: tylu razem panujących w jedno zebranych grono! Szczęście i pokój ludów w takim przyjacielskiem uściskaniu się i spobratnieniu wycisnęły samym monarchom łzę radości, a lud zebrany umiał ocenić ten dar niebios i swoje łzy radości połączyć ze łzami monarchów.



Wsiadłszy na koń, zmierzali królowie do Krakowa drogą, obleżoną tysiącami ludu zbiegłego na to widowisko. Przed murami miasta spotkał monarchów ksiązę Bogusław, przedstawiając cesarzowi przyszlą małżonkę; a była to dziewica precudnej urody i przymiotów serca i duszy znamienitych. Dołożył Kazimierz starania, aby tak znakomitych gości, dla samej narodu swego sławy, podjąć wspañiale. Jakoż nie brakło mu środków po temu, gdyż miał skarb oszczędnością i dobrem gospodarstwem zamożny, a zamek królewski, choć znacznie od następców Kazimierza przebudowany, był i naówczas wspañiałym i lśniącym od bogactwa.

Miasto Kraków, ta starożytna ksiąząt i królów stolica, siedlisko handlu i kunsztów Polski południowej, rozległością i wspañiałemi budowlami należało wówczas do pierwszych w Europie. Posiadając wiele ogromnych gmachów, łatwo pomieściło dwory tyłu panujących. Przysłał i papież legata swego na ten zjazd monarchów.

Nie brakło Polsce bogactw ze wszystkich części znajomego wówczas świata, bo dostarczali ich Wenetowie i Genueńczycy, jedyni panowie zamorskiego handlu.

Mikołaj Wierzynek dozorował opatrzenia wszystkich potrzeb zgromadzonych monarchów. Oprócz przepychu w podejmowaniu panujących, wystawiano codzień uczy dla ludu po ulicach i rynkach.

Trzeciego dnia po zjechaniu się monarchów odbyły się zaślubiny cesarza w kościele katedralnym. Arcybiskup gnieźnieński, Jarosław, błogosławił nowożeńcom.

Dwadzieścia dni trwały gody na zamku i nieustanne biesiady, turnieje i rozliczne igrzyska. Król wyznaczył wnucze posagu sto tysięcy czerwonych złotych, a obdarzając zebranych gości bogatemi podarunkami, przepychem i hojnością świat zadziwił, jako też i wspañiałością tronu swojego.

Wtedy dumny bogactwy swemi Mikołaj Wierzynek zapragnął też mieć w domu swoim na uczcie zebranych królów i ksiąząt. Znając gościnność i bogactwa Wierzynekowe, Kazimierz pozwolił mu na to, a monarchowie nie odmówili również i przybyli.

Wierzynek zastrzegł sobie usadzanie podług swojej woli monarchów do stołu, a gdy mu to pozwolono, na pierwszym miejscu usadził pana swego, Kazimierza, za nim cesarza, dalej królów: węgierskiego, cypryjskiego

i duńskiego, po nich księżęta, stosownie do znaczenia i potęgi. Zdziwili się monarchowie wspaniałości domu i zastawie stołów, ale Wierzynek przewyższył oczekiwania samego Kazimierza, gdy przy końcu biesiady począł rozdawać podarunki, wynoszące przeszło sto tysięcy czerwonych złotych. Gdy wszystkich obdarował, ozwał się Kazimierz z pretensją: dlaczego o nim zapomniał? Wtedy Wierzynek ozwał się:

— Zaprawdę, od poddanego zaniejszy należy się tobie podarunek, królu! Ty zbogaciłeś ziemię naszą, kraj do wielkiej przyprowadziłeś potęgi, a nasz naród do czci u postronnych ludów,—odbierz więc to, co ci się sprawiedliwie należy!

To rzekłszy, położył u stóp króla wieniec z kłosów pszenicznych i gałązek oliwnych spleciony, a wszystek był ze złota i drogich kamieni.

Ucieszyli się monarchowie z tak wspaniałego przyjęcia mieszczanina krakowskiego i podarunków hojnych, a dwudziestego dnia zjazdu, przyrzekłszy sobie przyjaźń wieczystą, pożegnali się z żalem prawdziwym.

*Józef Aleksander Starża.*

## 24. Bohaterstwo „królika litewskiego”.

W miasteczku *Punie*, od Krzyżaków Pullen, albo Pillenem zwanem, położonem nad brzegiem Niemna, o siedm i pół mil od Trok, przed wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej był wielki drewniany zamek, mocno obwarowany, a pamiętny za Olgerda bohaterską obroną Litwinów przeciw Krzyżakom. O tej obronie zachowali nam pamięć Długosz, Strykowski i Kojalowicz.

*Margier*, dowódzca załogi, «królikiem litewskim» od dziejopisów pruskich zwany, widząc, że zamek, oblężony przez wojska niemieckie, pod kierunkiem samego W. Mistrza, Teodoryka z Altenburga, Ludwika, margrabiego brandeburskiego i Filipa, hr. Namur, nie mógł się utrzymać,—postanowił oddać im gruzy i popioły. Było to w roku 1336. Na odgłos groźnej wyprawy Niemców, prócz żołnierstwa zbrojnego schroniło się tu od ich srogiej napaści 4,000 okolicznych mieszkańców z żonami, dziećmi i majątkiem. Po kilkodniowym szturmie Krzyżacy, opatrzeni w rozliczne maszyny wojenne i bom-

bardy, zburzyli większą część wałów; reszta, zachwiana z gruntu, co chwila runąć miała. Litwini dzielnie się bronili, rozpacz dodawała im męstwa, we dnie walczyli z bohaterską odwagą, w nocy naprawiali wyłomy.

Wkrótce rowy, otaczające twierdzę, chociaż 50 stóp szerokie, a 26 głębokie, zapełniły się trupami obłożonych i oblegających; co większa zaś, zabrakło już zdolnych do walki, bo wszyscy prawie obrońcy zamku, ranami okryci, upadli na siłach. Ale duch męstwa ożywiał te rycerskie dusze, nawet w chwili, kiedy nie pozostawało nadziei odsieczy i kiedy wieszczka pogańska, ukryta w głębi warowni, której się codzień radzono, coraz większą tajemnicą okrywała swoje przepowiednie.

Wtem, jednego dnia, gdy wojska oblegające bardziej się zbliżyły do wałów, Krzyżak Werner Randorf, dowodzący łucznikami, rozdawszy trzydziestu z nich sześćset strzał ognistych, gęstemi wystrzały zapalił w różnych miejscach rozwalone ściany zamku Puńskiego.

Margier, widząc, że już ostatnia chwila nadeszła, wierny powziętemu postanowieniu, roznieca ogromny stos drzewa pośród zamku, i rzuciwszy nań zgromadzone sprzęty i dostatki, zasila niemi podnoszące się płomienie. Potem, poświęcając na ofiarę bogom dzieci, starców, niewiasty i rannych, sam ze stu rycerzami w pień ich wycina i zwłoki krwią niewinną oblane, rzuca na ogień. Stara owa wróżka pogańska, skostniałą swą ręką ująwszy topór, sama jedna stu ofiarom głowę ucięła.

Tymczasem pożar cały gród obejmuje kłębamii ognia i dymu. Krzyżacy zaś z powodu trudności przystępu wstrzymują się na chwilę od walki. Wtedy pozostali rycerze litewscy, korzystając z zamętu, zaczynają sami siebie zabijać i trupami własnymi palący się stos dopełniać. Wpadają wreszcie Niemcy, rozjuszeni bitwą, a chciwi bogatych łupów, na wyłom. Lecz już sam tylko Margier ogromną swą postacią zagrządza im przejście, walczy ze wściekłością, i mnóstwo nieprzyjaciół położywszy trupem, nasycony ostatnią zemstą, znika wśród płomieni z przed oczu zwycięzców.

W podziemiu zamkowym była jego żona ukryta z dziećmi, czekając z odwagą podobnegoż losu, jako ostatniej ofiary dla kraju i swych bogów. Margier zabija żonę i dzieci mieczem, zboczonym krwią nieprzyjaciół, i sam nakoniec przebiwszy się nim, dokonywa z podziwieniem



nieprzyjaciół a uwielbieniem potomności wiekopomnej obrony zamku Puńskiego.

Krzyżacy, nie znalazwszy ludzi, konie tylko i bydło zabrali, a zawiedzeni w nadziei łupu, ostatki ścian rozwalonych zamku z ziemią zrównali.

*Michał Baliński.*

## 25. Wielka wojna północna.

Za Karola XI Szwecya zajmowała pierwsze miejsce w północno-wschodniej Europie: posiadłości jej ogarniały prawie wszystkie brzegi morza Bałtyckiego; najlepsze porty handlowe na tem morzu: Stralsund, Szczecin, Ryga i Rewel należały do niej. Wkrótce jednak ci zwycięzcy Szwedzi zmuszeni byli wystąpić w obronie swoich własnych posiadłości nadbałtyckich przeciw połączonym siłom Rosyi, Polski i Danii.

Po śmierci Karola XI na tron szwedzki wstąpił syn jego, Karol XII (1696—1718), człowiek młody, zajęty polowaniem i innymi rozrywkami i z tego powodu nie wydający się niebezpiecznym. Sprzymierzeńcy jednocześnie rozpoczęli działania wojenne w różnych punktach: August II (król polski) obległ Rygę, Piotr W.—Narwę, a Fryderyk IV (król duński) napadł na księcia Holsztyńskiego.

W ten sposób zaczęła się *wielka wojna północna* (1700—1721). Ale młody król szwedzki, ku ogólnemu zdziwieniu, okazał wielkie zdolności wojenne, przytem odwagę i energię. Szybko przeprawił się na wyspę Zelandyę, obległ Kopenhagę i rzucił taki postrach na Duńczyków, iż Fryderyk IV czempredziej zawarł z nim pokój w Trawendalu, odstąpił od przymierza z Piotrem i Augustem i rzekł się pretensyi do Szlezwigu. Następnie Karol z niewielkim, lecz walecznym i dobrze wyćwiczonym wojskiem udał się do prowincyi Nadbałtyckich i prawie niespodzianie znalazł się pod Narwą, którą oblegała armia rosyjska. Rosyane byli pobici, ale Karol nie ścigał ich i niezwłocznie zwrócił się przeciw swemu trzeciemu nieprzyjacielowi, Augustowi.

Nastąpiła już silna zima, ale nie wstrzymała ona Karola i jego armii, przyzwyczajonej do ostrego klimatu. Król przykładem swoim zachęcał żołnierzy do znoszenia wszelkich przykrości i niewygód.

Przestraszony taką szybkością przeciwnika, August chciał wejść z nim w układy, ale Karol nie chciał o nich słuchać: przeszedł Dźwinę zachodnią, rozproszył wojsko saskie i opanował Kurlandyę.

Tak więc wszyscy trzej nieprzyjaciele byli zwyciężeni, i Karol mógłby być zawrzeć bardzo korzystny pokój; lecz na nieszczęście, pragnął się okryć sławą wojenną. Wskutek łatwego zwycięstwa pod Narwą, uważając Piotra za słabego przeciwnika, głównie zwrócił swe siły przeciw Augustowi II, którego chciał koniecznie zrzucić z tronu. Wszedł więc do Polski i przepędził w niej 5 lat, odnosząc łatwe zwycięstwa nad Sasami i Polakami. W końcu część polskich magnatów i szlachty odstąpiła Augusta, i czyniąc zadość życzeniu króla szwedzkiego, wybrała na tron jednego z wojewodów polskich, Stanisława Leszczyńskiego. Karol, ścigając Augusta, wkroczył nawet do samej Saksonii, i na mocy pokoju w Altranstadzie (1706 r.) zmusił go do zrzeczenia się tronu polskiego. Prócz tego August musiał wydać Szwedom Patkula, którego Karol kazał oddać na tortury.

Po zawarciu tego pokoju król szwedzki postanowił skończyć z Piotrem. Okoliczności jednak się zmieniły, bo gdy Szwedzi walczyli w Polsce, Piotr zebrał nowe wojsko, wyćwiczył je i sam zaczął zdobywać fortece szwedzkie. Między innymi opanował rzekę Nową i przy ujściu jej wznosił własną fortecę, przy której wkrótce wybudował nową swą stolicę, Petersburg (1703 r.). Nadto w zatoce Fińskiej zjawiała się flota rosyjska.

Karol miał zamiar iść prosto na Moskwę, lecz z Białej Rusi skręcił na południe do Ukrainy, w celu połączenia się z hetmanem Mazepą, który zdradził Piotra i obiecał Karolowi zbuntować wszystkich kozaków małoruskich.

Generałowie rosyjscy cofali się przed Karolem, niszcząc po drodze zapasy zboża; Szwedzi więc zmuszeni byli iść przez kraj spustoszony i cierpieć brak wszystkiego. Prócz tego zawiodła ich rachuba na Kozaków, którzy pozostali wiernymi Piotrowi, tak, iż Mazepa, przyprowadził z sobą tylko bardzo mały oddział wojska. Korpus szwedzki generała Lawenhaupta, śpieszący z Inflant na pomoc królowi z zapasami wojennymi i artykułami żywności, pobity był przez Piotra na drodze pod wsią Leśną i stracił cały obóz. Prócz tego zima była jedna z najostrzejszych, i wielu Szwedów wyginęło od mrozu.

Generalowie szwedzcy doradzali królowi, aby się cofnął, ale uparty Karol nie chciał ich słuchać. Z nastaniem wiosny obległ on Połtawę, lecz na pomoc oblężonym przybył Piotr i wydał Szwedom stanowczą bitwę, w której oni zostali zupełnie pobici (1709); Karol ledwo uniknął niewoli i z kilkuset żołnierzami i oficerami uciekł do Turcyi, gdzie zatrzymał się w m. Benderach.

Po bitwie pod Połtawą August wzmocnił przymierze z Piotrem, powrócił do Polski i zmusił Stanisława Leszczyńskiego do ucieczki. Piotr zaś robił dalsze podboje w prowincjach nadbałtyckich i w Finlandyi.

Tymczasem Karolowi udało się podburzyć sułtana tureckiego do wojny z Rosyą. Podczas tej wojny Piotr popełnił taki sam błąd, jaki zrobił Karol na Ukrainie; mianowicie spuścił się na pomoc hospodara mołdawskiego, Kantemira i wszedł w głąb mołdawskich stepów; pomoc okazała się mało znaczącą, i Piotr z całym wojskiem otoczony został nad Prutem przez pięć razy silniejszą armię turecką. Na szczęście wielki wezyr, dowodzący tą armią, nie był przychylny Karolowi XII i zgodził się zawrzeć pokój, na mocy którego Piotr miał zapewniony wolny odwrót za zrzeczenie się swoich podbojów nad brzegami morza Azowskiego (1711 r.).

Karol, po zawarciu pokoju, nie chciał porzucić Turcyi i namawiał sułtana Achmeta do nowej wojny. Nakoniec sprzykrzył się Achmetowi do tego stopnia, iż ten kazał mu opuścić Bendery. Pomimo to, Karol przepędził jeszcze kilka miesięcy w Turcyi. Dopiero wieść o utracie prawie wszystkich posiadłości swoich na południowym brzegu morza Bałtyckiego skłoniła go do wyjazdu z Turcyi.

Z nadzwyczajną szybkością przejechał Niemcy i niespodzianie przybył do Stralsundu.

Szwecya, znękana wojną z licznymi nieprzyjaciółmi, do których przyłączyły się jeszcze Hanower i Prusy, znajdowała się wówczas w bardzo smutnem położeniu i pragnęła pokoju, ale Karol dalej prowadził wojnę. Postanowił on odebrać Duńczykom Norwegię, i w zimie roku 1718, nie zważając na wielkie mrozy, obległ pograniczną fortecę norweską Frydrychsham. Tam, oglądając pewnego razu przykop, padł od kuli; w późniejszym czasie rozeszła się pogłoska, że zginął z ręki zdrajcy.



## 26. Henryk IV.

Na Henryku III wygasła starsza linia domu Waloa (Valois); najbliższe prawo do tronu miał dom Burbonów, mianowicie Henryk Nawarski. Protestanci ogłosili go królem, lecz katolicy ani chcieli o nim słyszeć. Paryż, kilkakrotnie oblegany za Henryka, za nic w świecie nie chciał poddać się heretykowi, a Filip II, król hiszpański, pomagał katolikom wojskiem i pieniędzmi. Nie widząc innego sposobu opanowania Paryża, Henryk przeszedł na katolicyzm (1593 r.). Jakoż naówczas stolica mu się poddała.

Henryk IV, który panował od r. 1593 do r. 1610, przy wstąpieniu na tron zastał Francję w opłakanym stanie. Państwo obarczone było ogromnymi długami, (więcej niż 300 milionów liwrów); przeszło milion ludzi zginęło podczas wojen religijnych; handel i rolnictwo upadły zupełnie; bandy rozbójników trapiły kraj. Pojedynki do tego stopnia rozpowszechniły się między szlachtą, iż wytepliały kwiat młodzieży. Naczelnicy zaś prowincyi, korzystając z zamieszek w stolicy, starali się zrobić niezależnymi i przywrócić czasy feudalne; zewnętrzna potęga Francyi upadła.

Henryk IV wziął się energicznie do naprawy złego. Nasamprzód zaspokoił on hugenotów (protestantów) wydaniem tak zwanego *edyktu nanteńskiego* (1598 r.), na mocy którego otrzymali oni wolność wyznania i prawo trzymania własnych załóg w kilku miastach. Następnie król zwrócił główną uwagę na dochody państwa i poruczył zarząd skarbu towarzyszowi swych walk, księciu Sully, człowiekowi mądrymu i uczciwemu. Sully zaprowadził ścisłą oszczędność w wydatkach, miał wielkie staranie o rolnictwie, zmniejszył podatki, płacone przez wieśniaków, osuszał błota i t. d. Sam Henryk zaprowadził na swym dworze tryb życia oszczędny i umiarkowany.

Od czasu Franciszka I szlachta francuska zaczęła coraz bardziej garnąć się do dworu dla wesołego przepędzania czasu; Henryk po większej części powyproważał szlachtę z powrotem na wieś, radząc jej zająć się gospodarstwem i opiekować włościanami. Z tego powodu lud prosty był przywiązany do króla; ale magnaci i szlach-

ta nie lubili go. Duchowieństwo katolickie było również nieprzychylnie Henrykowi za jego tolerancję dla protestantów. Nawet druga małżonka króla, Marya Medicis, należała do niezadowolonych. Nakoniec Henryk IV zginął z ręki fanatyka Rawaljaka wtedy właśnie, gdy dla podniesienia zewnętrznej wielkości Francji gotował się do wojny z domem Habsburskim.

## 27. Święty Kazimierz.

Święty Kazimierz był synem Kazimierza III, króla polskiego i Elżbiety austriackiej, córki cesarza Alberta II, którą Marcin Kromer w historii swojej nazywa najpobożniejszą i najświętobliwszą onego czasu królową. Przyszedł na świat w Krakowie dnia 5 października roku Pańskiego 1458 i od kolebki był wychowany, jak się po tak świętobliwej matce spodziewać można było, najpobożniej. Piszą też, iż w miarę jak wzrastał w lata, wzrastał i w enoty chrześcijańskie, budując wszystkich, a zacnej matce największą stając się pociechą.

Otoczony świetnością jednego z pierwszych w świecie ówczesnych dworów, żadnej jednak nie przywiązywał wagi ani do uciech, ani do zaszczytów światowych. Będąc synem królewskim, mając królem brata, a później i sam na króla węgierskiego powołany, zwykł mawiać, iż wszystko to sobie za nic ceni w porównaniu z koroną niebieską, do której jedynie wzdycha. Od najmłodszych lat stroniąc od płochych zabaw, właściwych młodzieży, za jedyną uważał rozrywkę i najwyższą uciechę spędzać długie godziny na modlitwach przed ołtarzami Pańskimi. A gdy jego ochmistrzowie przekładali mu, iż wypadało, żeby się niekiedy innymi zajęciami rozrwał, odpowiadał, że dla niego bytność w kościele zastępowała i przechadzki, i dworskie zabawy, i świetne łowy, którym inni książęta z wielkiem upodobaniem się oddawali.

Miał tak wielkie do Męki Pańskiej nabożeństwo, że gdy o tajemnicach z życia Chrystusa Pana rozmyślał, lub gdy mu kto o tem wspominał, a nawet na sam widok wizerunku Ukrzyżowanego, w serdecznych łzach się rozpływał i w zachwycenie wpadał.

Podobnież, i to od samego dzieciństwa, miał największe do Przenajświętszej Maryi Panny nabożeństwo. Miłość i cześć, jakimi był dla Niej przejęty, objawiały się w nim w taki sposób, iż sam jego pod tym względem przykład najskuteczniej pobudzał drugich ku uwielbieniu Boga Rodzicielki: Nazywał Ją zawsze swoją najdroższą Matką. Zwykle mało mówiący i nieśmiały, gdy szło o cześć Królowej Niebieskiej, wybuchał w świętym zapale, trafiał do serc najzimniejszych i w sposób uderzający, poruszający drugich, wyrażał swoje wzniosłe dla Niej uczucia.

Pozostawił tego wiekopomny dowód w precudnym hymnie, przez niego ułożonym do Przenajświętszej Maryi Panny, który sam codziennie odmawiał, a który po dziś dzień zachwyca wszystkich Matki Bożej wielbicieli. Hymn ten jest złożony z sześćdziesięciu strof, zupełnie tej miary wiersza, jak następująca, od której pieśń się rozpoczyna:

Póki żyję, niech Maryję  
 Co dnia wielbi dusza;  
 Niech pamięta na Jej święta,  
 Jej się życiem wzrusza.

Umierając, prosił nawet, aby napisany hymn ten złożono na jego piersiach w trumnie, co też uczyniono, a w sto dwadzieścia lat po jego śmierci, gdy ciało do byto nienaruszone, znaleziono i pieśń tę wcale nieuszkodzoną, jakby tylko co tam włożoną była.

Gorliwość jego o dobro Kościoła i dusz wiernych zbawienie odpowiadała jego wysokiej pobożności. Duchowieństwo kraju całego, jak podziwiała w młodym księżęciu wzór najwyższej doskonałości chrześcijańskiej, tak też i znachodziło w nim wysokiego, bo przy boku samego króla postawionego poplecznika, który wszystkie najważniejsze sprawy Kościoła jak najgorliwiej i w duchu Bożym przed nim popierał.

Lecz przedewszystkiem jednała królewiczowi powszechne uwielbienie jego miłość dla ubogich, których prawdziwie był ojcem. Niedosć, że hojnemi jałmużnami wspierał ich, starając się, aby datki jego dochodziły do najodleglejszych miejsc państwa; niedosć, że w pałacu jego przystęp dla nich był otwarty w każdej porze nie tylko we dnie, lecz i w nocy, a dworzanie jego mieli



rozkaz obchodzić się z biednymi, jak z najpożądańszymi dla królewicza gośćmi; lecz prócz tego, nawiedzając ich w mieszkaniach własnych, gdy leżeli złożeni chorobą, długie trawił przy nich godziny, najniższe oddając im usługi. Napróżno robiono mu uwagę, iż w tem niejako przebierał miarę, i utrzymywano, że w podobnych usługach spełniał czynności niewłaściwe młodzieńcowi królewskiego rodu.

— Niemasz nic zaszczytniejszego,—odpowiadał wtedy— nic lepiej odpowiadającego wysokiej godności książąt panujących nad oddawanie usług Chrystusowi Panu w osobie ubogich. Co do mnie, służyć im poczytuje sobie za największy zaszczyt.

Uczyniwszy ślub czystości, przeżył w niej aż do śmierci. Strzegąc bowiem tej świętej cnoty jak najstaranniej, ciąglemi niemal postami trapił ciało, ostrą nosząc pod książęcemi szatami włosienicę. Zmysły, a szczególnie wzrok, na bacznej zawsze trzymał wodzy. Sypiał zwykle na gołej ziemi przy łóżku swoim, bogato zasłanem. Często w nocy obchodził kościoły po mieście i nieraz wśród zimy widziano go tam przed zamkniętymi drzwiami modlącego się, leżącego krzyżem, i spotykano bosemi nogami brodzącego po śniegu.

Gdy starszy brat jego, Władysław, został królem czeskim, a więc samego już Kazimierza korona polska czekała, zdarzyło się, że dnia pewnego dworzanie wspomnieli mu o tem, sądząc, że mu się przez to przypochlebia; lecz Święty odpowiedział:

— Królestwa tego nie jestem łakomy, bo Pan Bóg stworzył mnie na inne, które Chrystus męką swoją zgotował. Dość mi będzie, abym nad sobą samym i nad mojami zlemi skłonnościami panem być umiał.

Wszakże inne postronne narody, znając wielkie świętego Kazimierza przymioty, życzyły go sobie na króla. Węgrzy, niechętni Maciejowi Korwinowi, królowi swojemu, którego w końcu wygnali, Kazimierzowi ofiarowali koronę. Opierał się temu długo, lecz wreszcie za wyraźnym rozkazem ojca, przyjął to berło; udał się był nawet do Węgier i ze znaczną siłą wojenną przeszedł granicę.

Podług wszelkiego podobieństwa Kazimierz, poparty wolą całego narodu, byłby Macieja, swojego współzawodnika, łatwo pokonał. Lecz gdy się dowiedział, że Pa-

pież, Sykstus IV, niechętnie na tę wojnę patrzył i widział w niej szkodę dla chrześcijaństwa, a i samego świętego księcia niepokoiło sumienie, iż na tron przez innego zajęty, musiałby się wdzierać—cofnął się ze swoją wygraną i wrócił do Krakowa. W końcu i Kazimierz Jagiellończyk, ojciec jego, był z tego zadowolony.

Tak tedy spełniły się najgorętsze tego świętego królewicza życzenia: już odtąd w życiu jedynie wyższej pobożności mógł się oddać najswobodniej. Żył jeszcze lat dziesięć, coraz większy w świątobliwości czyniąc postęp. Przebywał w różnych miastach królestwa, i wszędzie pobyt jego był prawdziwym dla mieszkańców miast tych i okolic błogosławieństwem Bożem.

W roku 1484, przybywszy do Grodna, już od niejakiego czasu zwątlony na zdrowiu, przepowiedziawszy dzień swojej śmierci, zatrzymał się tam i coraz bardziej na siłach upadać zaczął.

Wkrótce potem, według swego zwyczaju, rozplywając się w słodkich łzach nad rozmyślaniem Męki Pańskiej, krzyż święty do piersi rzewnie przyciskając, poszedł do nieba. Umarł w Grodnie dnia 4 marca roku Pańskiego 1484, mając lat dwadzieścia pięć.

Po śmierci zasłynął wielu cudami i jest jednym z głównych Patronów świętej cnoty czystości.

*Z «Żywotów Św.» ks. Prokopa.*

## 28. Święta Teresa

(Autobiografia).

Święta Teresa, jedna z największych i najcudowniejszych sług Bożych, jakimi Kościół i pleć niewieścia się zaszczyca, rodem z miasta Awilli w Hiszpanii, przyszła na świat w roku 1515. Rodzice jej, oboje zacnego pochodzenia, cnotliwi i bogobojni, z młodu zaraz pobudzali córkę do pobożności. Lecz podobno z większą korzyścią naszą będzie, kiedy własnymi słowami tej Świętej lata jej dzieciństwa i pierwszej młodości opowiemy.

«Łaski przyrodzone, jakimi mnie Bóg obdarzył (mówi święta Teresa w opisie życia swojego), i sposób, w jaki mnie wychowano, powinny były uczynić mnie dobrą, gdyby złość moja nie była stanęła na przeszkodzie.

Ojciec mój bardzo lubił czytanie ksiąg pobożnych i miał ich kilka w języku hiszpańskim, abyśmy i my, dzieci, mogły je także czytać i rozumieć.

Matka wtórowała dobrym chęciom ojca dla nas, a troskliwość jej o to, żebyśmy się codzień modliły, sprawiła, że już od szóstego, czy siódmego roku miałam w sobie uczucia pobożne, które tem chętniej w sercu żywiłam, żem w rodzicach miała cnót wszelkich przytomne przykłady. Ojciec był wielce miłosierny dla ubogich i chorych, rzetelny w słowach (przekleństwa ani obmowy nikt z ust jego nigdy nie słyszał), w całym postępowaniu jego wszystko było uczciwe i chwalebne. Matka także była niewiastą cnót wielkich, ale skutkiem osłabienia zdrowia wpadła w przykre niedołęstwo. Chociaż niezwykłą miała urodę, tak mało przecież dbała o swoją piękność, że nie dożywszy nawet lat trzydziestu trzech, ubierała się zawsze, jakby najsędziwsza osoba. Umysł jej był łagodny, dowcip bystry. Życie, licznymi cierpieniami przeplatane, skończyła po chrześcijańsku.

Było nas dzieci kilkoro; wszystkie poszły w ślady rodziców prócz mnie, chociaż ojciec z pomiędzy córek, mnie kochał najbardziej. Nim zaczęłam obrażać Boga, zdawało się, że mam dużo dowcipu, i z boleścią wspomnieć mi przychodzi, jak źle użyłam danych mi zdolności. Lubo bardzo kochałam wszystkich moich braci, jednak szczególnie jeden serce moje pozyskał. Równego prawie byliśmy wieku i czytaliśmy razem Żywoty Świętych. Przyszła nam ochota prowadzić życie pustelnicze, i zaczęliśmy robić sobie cele i komórki w ogrodzie; lecz cośmy trochę kamieni sklecili, to nam się z wielkim naszym smutkiem rozwały.

Dawałam jałmużnę ubogim, ale mogłam dać bardzo mało. Chodziłam na osobność dla odmawiania pacierzy, a mówiłam ich dosyć, bo matka nauczyła mnie różańca. Kiedym się bawiła z dziewczętami mego wieku, za największą miałam uciechę przebierać się z nimi za zakonnice, i jak sobie przypominam, czułam w sobie chęć do tego stanu. Skończyłam lat dwanaście, kiedy mnie matka odumarła. Czując stratę, jaką poniosłam, rzuciłam się cała we łzach przed obraz Najświętszej Panny i modliłam się do niej, aby mi odtąd była za matkę. I nie omyliłam się na tej prośbie, w prostocie serca wyrzeczonej, gdyż zawsze we wszystkich potrzebach dozna-



wałam Jej macierzyńskiej opieki, aż nareszcie powołać mnie raczyła do służby swojej, lubom nie zawsze trwała w dobrych chęciach, jakie wtedy okazywałam.

Muszę wyznać, co mi najwięcej zaszkodziło, a może to wyznanie moje będzie nauką dla ojców i matek, żeby dziatkom swoim nic nie dawali zdrożnego.

Matka moja była najzacniejszą kobietą; przecież wszystkie jej dobre przymioty nie zrobiły tyle zbawiennego wrażenia na mnie, ile mi szkody przyniosła jedna jej wada. Lubiła niezmiernie czytać romanse, ale bez wątpienia to jej czytanie nie było dla niej tak szkodliwe, skoro mimo to miała należne staranie o domu i o dzieciach. Ja zaś biorąc się do tych książek, zapominałam o wszystkich swoich obowiązkach.

Ojciec był temu bardzo przeciwny; trzeba było zatem ukrywać się przed nim; a że z wielkim gustem bawiłam się podobnem czytaniem, wkrótce nabożeństwo moje znacznie ostygło. Sądziłam, że nie było nic złego spędzać kilka godzin dnia i nocy na tak niewinnej zabawie, i nie było dla mnie większej uciechy, niż kiedym się dorwała jakiej jeszcze mi nieznaney powieści. Zaczęłam także ubierać się z wielkiem upodobaniem i starać się o to, żeby się wydać jak najlepiej.

Miałam troskliwe staranie o rękach i włosach, polubiłam pachnidła i tym podobne marności; mimo to, naprawdę, nie było we mnie żadnych złych chęci. Wszelako kilka lat trwałam w tej płochości.

Ojciec, człowiek wielce roztropny, nie przyjmował w dom swój nikogo prócz swoich synowców a moich bratanków,—dałby Bóg, aby był i przed nimi drzwi zamknął! Bo teraz dopiero poznaję, z jaką to krzywdę naszą (gdy zwłaszcza wstępujemy w wiek, w którym sposobie się mamy do enoty), przestawać z osobami, co nietylko nie wiedzą, ile godnemi są pogardy świeckie próżności, ale jeszcze zachęcają nas, żebyśmy się w tych próżnościach kochały. Owi bratankowie mało co starsi byli ode mnie; byliśmy zawsze razem, lubili mnie bardzo, radzi podzielali ze mną rozmowy; opowiadali mi nieraz szaleństwa swoje, a ja słuchałam ich chętnie i to było dla mnie bardzo szkodliwe.

Gdyby mnie ojcowie i matki o radę pytali, powiedziałabym im, żeby nie dopuszczali do swych dzieci innych osób, prócz takich, z których obcowania skorzystać mo-

zna; bo skłonność nasza od początku łatwiej wiedzie do złego, niżeli do dobrego.

Wiem to z własnego doświadczenia. Miałam starszą siostrę, bardzo pobożną i cnotliwą; przecież nie naśladowałam jej, a wiele złego przejęłam od jednej płochej krewnej, która często u nas bywała. Pokochałam ją mocno, nigdy dosyć nagadać się z nią nie mogła, ponieważ ona dostarczała mi najwięcej przedmiotów do rozrywek i bawiła mnie zawsze opowiadaniem swoich zabaw, których duszą była próżność.

Ojciec i starsza siostra niechętnem okiem patrzali na przyjaźń moją ku owej krewnej i przyganiiali mi ją nieraz; ale uwagi ich były daremne, a trudno było przez wzgląd na pokrewieństwo zamknąć dom przed nią. Straciłam niemal zupełnie bojaźń Boga; została mi tylko bojaźń świata, przeciw której nawet już wykraczać zaczęłam. To jedynie stało mi się obroną, iż z przyrodzenia nie byłam skłonną do złego i brzydziłam się niem w duszy.

Ojciec mój dość podejrzliwie patrzył na moje postępowanie, wskutek czego oddał mnie do klasztoru, który był w naszym mieście. Chowano tam córki szlacheckie, ale nie lepsze ode mnie. Stało to się tak tajemnie, że nikt z rodziny o niczem wprzód nie wiedział; dano potem za powód zamęście mojej starszej siostry i że nie mając matki, sama w domu zostać nie mogłam.

Pierwszy tydzień w klasztorze był mi niezmiernie przykry. Po tygodniu uczułam się już spokojniejszą; poznałam płochość mego postępowania, i było mi niemal lepiej, niż w ojcowskim domu. Zakonnice upodobały mnie sobie. Bóg mi bowiem udzielił z młodu tej łaski, że gdziekolwiek byłam, lubiono mnie zawsze. Nie czułam w sobie wprawdzie powołania do duchownego stanu, ale patrzyłam ze słodyczą na te zacne panny, gdyż wiele było w tem zgromadzeniu pobożności, cnoty i porządku.

Jedna z zakonnice sypiała w tym samym pokoju, gdzie mnie z innymi pannami umieszczono. Była to osoba prawie święta. Mówiła pięknie i w budujący sposób o Bogu, a ja słuchałam jej z upodobaniem. Opowiadała mi, jak jedno to zdanie, wyczytane w Ewangelii: «Wielu jest powołanych, a mało wybranych», — skłoniło ją do obleczenia sukni zakonnej. Wyliczała nagrody, obiecane tym, którzy wszystko porzucą dla Boga. Owe zbawien-

ne rozmowy zaczęły wyganiać złe nałogi z myśli i serca mojego, a zmniejszać wstręt do życia klasztornego.

Półtora roku bawiłam w tym klasztorze i skorzystałam niemało. Powoli zaczęłam nabierać ochoty do sukni zakonnej, byle w innym klasztorze, gdzie miałam przyjaciółkę i dokąd mnie większa skłonność ciągnęła. Atoli nic pewnego nie postanowiłam. Wtem Bóg, który lepiej czuwał nade mną, zesłał mi ciężką chorobę—ta mnie zmusiła wrócić do ojca. Wyzdrowiawszy, pojechałam do siostry, po drodze wstąpiłam do stryja. Był to człowiek wielce pobożny, starzec owdowiały, i zatrzymał mnie u siebie dni kilka. Głównem jego zatrudnieniem było czytanie ksiąg pobożnych, a najmiłsza rozmowa o Bogu. Czytywałam z nim razem, a te rozmowy i czytania sprawiły, że znowu odezwał się we mnie duch pobożności, iż równie silnie, jak w dzieciństwie, poczęłam nabierać chęci do klasztoru.

Przez całe jednak trzy miesiące miotana byłam ciągłą walką. Zły duch straszył mnie przykrościami zakonnego życia.

Było wtedy, zda mi się, w duszy mojej więcej bojaźni, niżeli miłości. Nareszcie czytanie pobożnych książy, a osobliwie listów św. Hieronima, umocniło mnie w przedsięwzięciu.

Wiele cierpiałam jeszcze, gdy mi przyszło wychodzić z ojcowskiego domu. Żal ciężki mnie opanował. Miłość Boga nie była jeszcze tak mocna w duszy mojej, aby pokonać przywiązanie do ojca i do rodziny. Ale dał mi Zbawiciel moc zwyciężenia wreszcie samej siebie.

Wstępując do zakonu, obiekając suknię, uznałam pomoc, jakiej Bóg udziela tym, którzy gwałt sobie czynią, ażeby Mu służyć.

Nikt nie wiedział, co w mojem sercu się dzieje, wszyscy myśleli, że wielka w niem radość. I prawda, skorom się ujrzała w klasztornej odzieży, Bóg przemienił oschłość duszy na rzewność; uczułam słodkie wesele, które trwa aż dotychczas. Z upodobaniem wzięłam się do spełniania wszelkich powinności zakonnych; zamiatałam krużganki i cele o tych samych godzinach, które poświęcałam dawniej próżności i zabawie, a myśl, żem się pozbyła na zawsze owych zwodnych uciech, napępiała mnie radością. Wiem z doświadczenia, że Bóg ludziom przychodzić raczy w pomoc, i ktokolwiek ma chęć zro-



bienia czegoś dla Niego, choć walczyć mu trzeba z trudnościami, niech się nie waha i bierze się mężnie do dzieła, bo skoro z miłości Boga podjęte, Bóg niezawodnie rękę Swoją wszechmocną poda».

## 29. Marcin Kromer

historyk, biskup warmiński.

Za czasów Jagiellońskich, jak i późniejszych, wszystkim dostojenstwa posiadali ludzie pochodzenia szlacheckiego, w ich też rękę spoczywały sprawy państwa; synowie zaś stanów niższych, tylko zostając księżmi, mogli spodziewać się, że dojdą do jakiegoś znaczenia.

Marcin Kromer, syn mieszczanina, jest jednym z tych, którzy nie urodzeniem, lecz własną pracą i zasługą wynieśli się wysoko.

Miejscem urodzenia Kromera było miasto Biecz, dzisiaj uboga i licha miejscina w Galicyi, w obwodzie Sandeckim położona. Niegdyś przecież był to gród piękny i rozległy, tak, że go drugim nazywano Krakowem. Obronne mury Bieczy<sup>1)</sup> rozsypały się w gruzy, mnóstwo świątyń i domów znikło bez śladu; stoi tylko pomiędzy nędznymi budynkami dom piętrowy, w którym nasz historyk urodził się w roku 1512.

Dokoła Bieczy niewiele się zmieniło; okolica górzysta, prześliczna, tak, że część tę kraju ogrodem Galicyi zowią; widoki precudne a coraz nowe, wybrzeża rzeki Ropy malownicze. Jakże więc Kromer nie miał tego wdzięcznego ukochać zakątka, jak nie miał o nim aż do śmierci pamiętać?

Rodzic Marcinka snadź był człowiek rozsądny, skoro po ukończeniu szkół w Bieczu wysłał syna do Akademii krakowskiej; widno i to, że chłopiec okazywał zdolność i chęć do nauki, gdy w 16-ym roku życia wstąpił do tej skarbnicy nauk. We dwa lata potem zyskał stopień *bakalarza*, co nie znaczy bynajmniej nauczyciela wiejskiego, lecz stopień naukowy, akademicki, udzielany po ścisłym

<sup>1)</sup> Biecz, nad rzeką Ropą, w wojew. Krakowskim, słynne niegdyś z zamożności i pięknych gmachów miasto, zwane Parva Cracovia (małym Krakowem).

egzaminie na dowód, że się chleba w akademii darmo nie jadło.

W owych czasach mnóstwo ubogiej młodzieży uczyło się w Krakowie. Wam, przyjaciele moi, rodzice dostarczają wszystkich potrzeb do życia: jedzenia, mieszkania, odzieży, książek; wówczas zaś było dużo biedaków, żyjących jedynie z Opatrzności Bożej. Więc jedni po klasztorach znajdowali pożywienie, inni u litościwych mieszczan krakowskich; odzież zaś miewali z łaski różnych dobrodziejów. Trzynaście burs, czyli domów, z miłosiernych ofiar lub przez zacnych ludzi zbudowanych, dawało mieszkanie tej młodej a chciwej nauki rzeszy. Chodzili także ubodzy studenci po domach, czytając ewangelie, lub śpiewając pieśni święte, a za to dawano im po kilka groszy na papier i książki. Zwykle też nazywano ich *pauprami*, czyli ubogimi. Nie krzywdziło jednak takie życie nikogo, jeżeli tylko do nabycia nauki szukał wspomnienia u bliźnich. Moźni panowie świeccy i duchowni opiekowali się młodzieżą. Taka też opieka dopomogła Kromerowi dojść do wysokiego znaczenia w kraju.

Naprzód biskup Choiński wziął go w swą pieczę, a gdy Marcin ukończył akademię, oddał go do kancelaryi państwa i swym sekretarzem uczynił; widząc zaś, że młodzieniec ma i rozum i rozsądek i biegłość w naukach, a wielką znajomość łaciny i greczyzny, wysłał go do Włoch, gdzie w akademii bolońskiej doszedł stopnia doktora prawa, a w rzymskiej, kędy do seminaryum wstąpił, takąż w naukach teologicznych godność pozyskał.

Tymczasem biskup Choiński umarł, ale Marcin bez opieki nie został, bo zajął się nim Gamrat, biskup krakowski. Po powrocie do ojczyzny, Kromer, chociaż nie był jeszcze wyświęcony na księdza, otrzymał z łaski biskupa probostwo.

Wkrótce po przybyciu Kromera, król Zygmunt I szukał człowieka zdolnego a cnotliwego, którego chciał posłać do Wilna, aby tam przy królewiczu Zygmuncie sekretarzował, a zarazem chronił młodziana od zepsucia i pochlebstw dworaków. Gamrat, mający wielkie łaski u króla, miejsce to wyrobił Kromerowi, który też zaraz zyskał względy królewicza. Pokochał Zygmunt August ks. Marcina i gdy wstąpił na tron, nie tylko nadał mu kanonię wiślicką i probostwo rohatyńskie, ale wnet, poznavszy jego rozum, używać go począł do najważniejszych poselstw.

Naprzód tedy w roku 1542 pojechał Kromer z rozkazaniamonarchy do Rzymu, aby nowo obranemu papieżowi hołd królewski złożyć; tam swym rozumem i wiadomościami tak się umiał głowie Kościoła przypodobać, iż papież raz rzekł do niego:

— Powiedz mi, kanoniku, czem ci mogę okazać mój szacunek?

— Ojczy święty, odpowiedział Kromer, z łaski mego króla mam tyle, iż mi niczego żądać niepodobna.

Piękna ta odpowiedź jasno okazuje, że posiadał nie tylko naukę, ale także i cnotę.

Gdy wrócił z Rzymu, król powierzył mu uporządkowanie archiwum państwa, w wielkim nieładzie zostającego. Kromer nie tylko wywiązał się pięknie z tego polecenia, ale znalazłszy tyle nagromadzonych skarbów przeszłości, powziął myśl napisania dziejów ojczystych i dokonał tego z wielkiem powodzeniem. Do tego czasu pisano historję tak, iż czytanie jej tylko dla uczonych było dostępne. Marcin pierwszy spisał ją tak, aby każdy mógł zrozumieć dzieje swego kraju, więc też i księęę jego w ciągu 40 lat pięć razy przedrukowano.

Alić niedługo kanonik mógł się zabawiać piórem; król potrzebował wysłać nowe do cesarza niemieckiego poselstwo, a w takim razie bez Kromera obejść się nie mogło; bo chociaż wielkim panom zwykle powierzano urząd posłów, toć Kromera rozum tam rej wodził, a tego najwyższe urodzenie zastąpić nie mogło. Wiedział o tem Zygmunt August i nie zawiódł się na wyborze, bo cesarz Ferdynand tak Kromera polubił, iż mu przed innymi pierwszeństwo dawał, chętnie z nim obcował, a nawet woził z sobą po Niemczech, Węgrzech i Czechach. Zdarzyło się raz nawet, iż naczelnik poselstwa, Radziwiłł, chcąc upokorzyć księdza nieszlachcica, rozsiadł się tak na ławie, by dla Kromera miejsca nie starczyło; ale cesarz, widząc to, rzekł do Marcina:

— Siadaj, kanoniku, także, boście oba zarówno monarszymi posłami.

Nie na tem jednak skończyło się poselstwo, bo mądry król, oceniając zręczność i rozsądek Kromera, słał go raz wraz to do Ratysbony <sup>1)</sup>, to do Frankfurtu nad Menem,

<sup>1)</sup> Ratysbona (Regensburg), miasto nad Dunajem w Bawaryi. Do roku 1806 tu się odbywał sejm Rzeszy niemieckiej.



to na koncylium trydenckie, a wszędzie mąż uczony z korzyścią działał dla ojczyzny.

Na owem koncylium trydenckiem przebywał ciągle Hozyusz, biskup warmiński, który dla ważnych spraw do swej dyecezyi powrócić nie mógł, król więc uczynił Marcina zastępcą czyli koadjutorem biskupa. Wzbraniał się Kromer objąć tę godność, bo znał złość ludzką, ale na rozkaz papieża urząd ten objąć musiał. Tutaj dopiero zakosztował goryczy i cierni. Kanonicy warmińscy, nie radzi obcemu, a sami pragnący urzędu koadjutorskiego, nie zważali ani na mądrość, ani na zasługi Kromera: podburzyli nań świeckie urzędy i domagali się, aby go usunąć z zastępstwa, twierdząc, iż przypuszczenie nieszlachezca do tak wysokiego stopnia grozi zgubą Rzeczypospolitej. I trwały te zatargi i niegodziwe zabiegi, aż dopiero surowy rozkaz króla Stefana Batorego zamknął usta niesfornym.

To samo jednak powtórzyło się, kiedy po śmierci Hozyusza król ofiarował Kromerowi biskupstwo warmińskie, a Grzegorz XII papież zatwierdził go na tej godności. Lecz i tym razem żelazna wola Batorego niechętnych przemogła. Mimo tych przykrości, Kromer starał się o dobro dyecezyi, o zmniejszenie w latach głodu podatków i wiele dobrodziejstw dla swych owieczek czynił.

Za ciernie i głogi spotkała go przecież świetna nagroda, gdyż w r. 1580 na sejmie cały senat i izba poselska uchwały publiczne podziękowanie Kromerowi za napisanie dziejów krajowych. Hołd ten publiczny współziomków osłodził mu doznane cierpienia i zatarł wspomnienie wielu chwil przykrych.

W r. 1589 umarł Kromer w Heilsbergu, przeżywszy lat 79. Majątek zebrał znaczny, i część jego zapisał krewnym, a resztę na kościoły: w Bieczu, Wiślicy, Kielcach, Frauenburgu i Krakowie. Pierwszy też z rodaków uczcił zasługi Mikołaja Kopernika, któremu w katedrze frauenburskiej w r. 1581 pomnik wystawił. Na łożu śmiertelnem nie zapomniał Kromer o swoim ukochanym Bieczu, przeznaczając fundusze na podniesienie murów miejskich.

Człowiek ten uczony, jeżeli miał jaką wadę, to może tę, iż się pysznił z nadanego przez króla szlachectwa, a nawet silił się na dowiedzenie, że ze szlacheckiego stanu pochodzi. Błąd ten jednak znajduje wymówkę w tem, iż w owych czasach przesady silnie panowały, a nie-

szlachcic nie miał żadnego pośród szlachty znaczenia, chociażby ją przymiotami rozumu i serca, oraz głęboką nauką przewyższał.

Oprócz historyi, napisał Kromer z górami dzieł dwadzieścia, a między temi nieco poezyi łacińskich, boć to była moda wieku, w którym żył, iż każdy wykształcony człowiek usiłował się popisywać wierszami w mowie dawnych Rzymian.

Jedyne pamiątki, jakie po tym mężu znakomitym pozostały, są jego dzieła i dom w Bieczu, w którego murach mieści się dzisiaj urząd powiatowy.

*W. L. Ancyce.*

### 30. Łomonosow.

Życie Łomonosowa jest nadzwyczaj nauczające i przedstawia bardzo wiele ciekawych przygód.

Michał Łomonosow, syn Bazylego, urodził się w r. 1711, w odległym, północnym, mało zaludnionym zakątku Rosyi, w gubernii Archangielskiej, niedaleko miasta, zwanego Chołmogory, nad Dźwiną północną, we wsi Deniśówce. Ojciec jego był wieśniakiem w dobrach rządowych, z rzemiosła rybakiem, nie posiadał żadnego wykształcenia, nawet nie pojmował jego ważności i potrzeby, lecz często przedsiębrał dość odległe wyprawy za połowem ryb na morze Białe i ocean Północny. Młody Michał zwykle towarzyszył swemu ojcu w tych wycieczkach.

Widok morza i zjawisk natury obudzał wielką w nim ciekawość; pragnął wszystko poznać, zrozumieć, zbadać, wypytywał się zatem ojca i starszych o niezrozumiałe dla siebie rzeczy, lecz i oni, równie ciemni, nie mogli mu tego wytłómaczyć.

Raz jednak ktoś mu powiedział: że to wiedzą uczeni, którzy całe życie nad książkami siedzą i pracują, że powinien do nich się udać, a ci go we wszystkim objaśnią.

Wtedy Michałowi jakby z oczu spadła zasłona; zapragnął nagle nauki, żeby poznać to wszystko, co mu było nieznane i niezrozumiałe. W tym celu udał się do miejscowego proboszcza i prosił, żeby go uczył, ten zaś, czyniąc zadość życzeniu chłopca, nauczył go czytać i pi-

sać. Proboszcz, ukończywszy ten wstępny kurs nauki, dał mu do czytania trzy książki, wszystkie, jakie posiadał w swojej bibliotece, to jest: psalterz, gramatykę słowiańską i arytmetykę, wierszem napisaną. Łomonosow przeczytał te książki kilka razy i zawsze z wielką uwagą, tak, że je umiał na pamięć; lecz powzięte z nich wiadomości były dla niego niedostateczne, pytał się więc: gdzie się można więcej nauczyć? Odpowiedziano mu, że w Moskwie, w której wtedy znajdował się jedyny naukowy zakład: Akademia duchowna, a właściwie tylko seminaryum.

Odtąd główną myślą Łomonosowa było dostać się do Moskwy.

Rodzice, dziwiąc się temu zamiłowaniu syna do książek i pragnąc go od nich oderwać, postanowili go ożenić; lecz młody Michał, mający dopiero lat 17, uciekł z domu rodziców w 1728 r., i to wśród ostrej zimy, bez pieniędzy, żywności, a nawet bez ciepłego ubrania, i pośpieszył do Moskwy, nieznaney mu nawet, zarówno z odległości, jak z położenia. Byłby pewnie umarł z głodu i zimna, przechodząc przez bezludne przestrzenie gubernii Archangielskiej, gdyby szczęściem kupcy, jadący z transportem ryb do Moskwy, nie znaleźli go na drodze nawpół żywego, nie przywrócili do życia i nie zabrali z sobą w dalszą drogę.

Przybywszy do Moskwy, Łomonosow przedewszystkiem wypytywał się przechodniów, gdzie się znajduje Akademia, a stanąwszy przed wskazanym gmachem, prosił przełożonych o przyjęcie do zakładu.

Był to prawdziwie osobliwy widok: młodzieniec, nędznie ubrany, zgłodniały, błagający ze łzami o pomoc i naukę.

Pomimo to z początku odmówiono mu, ponieważ należał do stanu włościańskiego; dopiero na prośbę jednego z profesorów przyjęto chłopca.

Pięć lat przepędził Łomonosow w Akademii, uczył się nadzwyczaj pilnie, nawet raz na egzaminie nietylko odpowiedział dokładnie z kursu swej klasy, lecz i z następnej.

Jakże go za to wynagrodzono? Oto skazano go na 24 godziny aresztu w ciemnej izbie o chlebie i wodzie za *przekroczenie przepisów* szkolnych.

Lecz ta kara bynajmniej nie zmniejszyła gorliwości Łomonosowa do nauki.



Następnie wysłano go do Kijowa, gdzie przez rok słu-  
chał wykładu matematyki, fizyki i filozofii. Po powro-  
cie do Moskwy był wysłany razem z kilku seminarzy-  
stami dla dalszego kształcenia się do Petersburga. Aka-  
demia nauk w Petersburgu w 1736 roku wysyłała kilku  
zdolnych młodzieńców do zagranicznych uniwersytetów.  
Łomonosow prosił, żeby i on mógł być w ich liczbie, lecz  
odmówiono mu, ponieważ nie był szlachcicem.

Jednego dnia stał Łomonosow smutny na wybrzeżu  
Newy i patrzył na odjazd trzech swoich kolegów; okręt  
już miał odpłynąć, a matka jednego z odjeżdżających  
młodzieńców rzewnie płakała i rozpaczała, nie mogąc  
przenieść rozstania się z dzieckiem na czas może bardzo  
długi. Synek podobnież nie miał wielkiej ochoty do po-  
dróży. Widząc to, Łomonosow powiedział matce, że chę-  
tnie pojedzie, zamiast jej syna, byle się tylko na to zgo-  
dziła. Z początku nie chciała wierzyć, ale gdy Michał  
powtórnie jasno swój zamiar przedłożył, przyjęła go z naj-  
wyższą radością i o mało w uczuciu wdzięczności nie pa-  
dła mu do nóg.

Łomonosow szybko skoczył na statek i odpłynął.

Za granicą Łomonosow wstąpił do uniwersytetu  
w Marburgu (w Hessen-Kessel), gdzie przez lat kilka  
pod kierunkiem sławnego profesora Wolfa kształcił się  
w naukach, mianowicie: w fizyce, chemii i metalurgii,  
zwiedzał zakłady górnicze we Frejburgu (w Saksonii)  
i w Harcu.

W Rosyi panowała wtedy synowica Piotra Wielkiego,  
Anna Joanówna. Cesarzowa ta prowadziła wojnę z Tur-  
cją, a znakomity wódz jej, feldmarszałek Münich, pobił  
armię turecką i zdobył fortecę Chocim <sup>1)</sup>.

Wiadomość o tem zwycięstwie doszła i do Łomonoso-  
wa i natchnęła go zapalem poetyckim; wtedy to napisał  
odę na wzięcie Chocima, którą przesłał Akademii nauk  
w Petersburgu.

Utwór ten, napisany gładkim, pięknym wierszem, miał  
niezmierną wziętość na dworze cesarzowej Anny, gdzie

<sup>1)</sup> Chocim—twierdza w Besarabii, o trzy mile od Kamieńca po-  
dolskiego, na prawym brzegu Dniestru. Miasto to ważne zawsze  
zajmowało stanowisko w wojnach Polski z Muzułmanami i zasłyne-  
ło w dziejach dwoma zwycięstwami, nad Turkami odniesionemi:  
w r. 1625 (Karol Chodkiewicz) i w r. 1673 (Jan Sobieski).

przez pewien czas o niczem nie mówiono, tylko o tych nieporównanych wierszach; zachwycano się niemi, chciało widzieć ich autora i troskliwie się wypytywano, kto on jest.

Nie chciano wierzyć, żeby syn chłopca rybaka mógł tak doskonały utwór napisać; pisano po niego do Marburga, lecz już go tam nie znaleziono.

Podczas swej bytności w Marburgu, Łomonosow mieszkał w skromnym domku pewnej ubogiej wdowy, mającej córkę Krystynę. Między młodymi zawiązało się wkrótce serdeczne przywiązanie, i następnie Łomonosow zaślubił Krystynę.

Prowadząc na wzór studentów niemieckich życie hulaszce, pobierając szczupłą płacę od rządu, i do tego bardzo nieregularnie, Łomonosow przy zwiększonych potrzebach i wydatkach popadł w długi, a ścigany przez wierzycieli, porzucił żonę i uciekł z Marburga do Holandyi, by stamtąd dostać się do Petersburga.

W drodze, w pobliżu Düsseldorfu, spotkał się z werbownikami pruskimi, którzy z powodu jego silnej budowy i wzrostu wysokiego podstępem uprowadzili go do twierdzy Wesel, i chcąc nie chcąc Łomonosow został żołnierzem w wojsku króla Fryderyka Wilhelma I. Niezadowolony ze służby w armii pruskiej, Łomonosow ratował się ucieczką; pogoń już go dościgała, a wtedy niechybnie byłby jako zbieg rozstrzelany, ale rącząc w biegu dopomogła mu przebyć granicę i dostać się do Holandyi. Tutaj poseł rosyjski, hrabia Gołowkin, ułatwił mu powrót do kraju w 1741 roku, a w następnym roku Łomonosow sprowadził żonę i córkę z zagranicy.

Było to w początku panowania córki Piotra Wielkiego, cesarzowej Elżbiety. Monarchini ta mianowała go adjutantem, a następnie w 1746 roku profesorem fizyki i chemii przy petersburskiej Akademii nauk. Obowiązki te pełnił chlubnie aż do swej śmierci, która nastąpiła w 1765 roku w Petersburgu, w 54 roku życia.

Po powrocie z zagranicy Łomonosow pracował niezmiernie; działalność jego na polu nauki była wszechstronną i ogromną.

Pisał ody, z których głównie zasługują na wzmiankę: oda pochwalna Piotra Wielkiego, na cześć wstąpienia na tron Elżbiety Piotrówny, Rozmyślenia o wielkości Boga, Naśladowanie z Hioba, w których znajdują się ustępy

bardzo piękne, pełne wdzięku i mocy. Oprócz ód, Łomonosow pisał tragedye, ale to są najslabsze jego utwory; pisał także mnóstwo naukowych rozpraw z fizyki, astronomii, chemii, metalurgii, w których przebija się wielkie zamiłowanie autora do nauk przyrodzonych.

Oprócz tego Łomonosow napisał pierwszą gramatykę rosyjską, która miała 12 wydań i aż do 1802 roku była jedynym przewodnikiem do nauki języka rosyjskiego; również napisał retorykę, teorię wierszowania i przy końcu swego życia historję rosyjską do Jarosława I. Język rosyjski niezmiernie wiele zawdzięcza Łomonosowowi, którego zasługi zarówno ocenili współcześni, jak i potomność. Cesarzowa Elżbieta okazywała mu wiele względów i darowała folwark Karawoldaj nad zatoką Fińską położony; to samo czynił jej następca, Piotr III, a małżonka i następczyni ostatniego, cesarzowa Katarzyna II, pragnąc uczcić tak znakomitego męża, osobiście odwiedzała Łomonosowa w jego mieszkaniu.

W mieście Chołmogorach wystawiony jest pomnik na cześć tego uczonego poety, zwykle zwanego ojcem literatury rosyjskiej.

### 31. Benjamin Franklin.

Życiorysy zacnych mężów są nakształt zwierciadła — każdy się w nich przeziiera, a widząc chwalebne czyny, i ciekawość zadowala, i lepszym być pragnie. Zdaje się, iż żyjemy i obcujemy z tymi, których życie czytamy; wchodząc z nimi niejako w poufalość, niepostrzeżenie sami wchodzimy na drogę ich cnót.

Młodym zwłaszcza i wrażliwym umysłem obrazy takie przynoszą nieobliczone korzyści: ciche cnoty domowe i przymioty zacnego, acz skromnego życia w ognisku domowym, zarówno jak wzniosłe czyny społeczne—miłości, bohaterstwa, poświęcenia, hartu ducha, siły woli, wytrwałości i energii w pracy: wszystko to odbija się w umyśle młodocianym i niezatarte po sobie zostawia ślady.

Do rzędu takich osobistości, które przedewszystkiem młodzieniec poznać powinien, należy bez wątpienia Benjamin Franklin. Życie jego czyste, nacechowane wielką miłością ludzkości całej; jego samozaradność i pracowitość, skutkiem której znacznej dorobił się fortuny; je-



go niewyczerpane pomysły, skierowane do uszczęśliwienia ziomków swoich; wreszcie charakter dziwnie ujmujący, łatwy w obcowaniu z ludźmi—wszystko to stać się powinno wieczystym wzorem dla każdego, kto pragnie, równie jak on, uzacnić życie swoje i pocziwe u ludzi zostawić po sobie wspomnienie.

Urodzony w r. 1706 w Bostonie, Benjamin Franklin był siedemnastym dziecięciem niezamożnego mydlarza. Choć od dzieciństwa okazywał wielką chęć do czytania, przecież rodzice wskutek niedostatku, tylko rzemiosła uczyć go mogli. W dziesiątym roku życia sposobił się u ojca, potem u nożownika; ale te prace jedynie mechaniczne nie mogły zająć czynnego umysłu młodego Franklina i przeszkadzały mu do nabywania nauk, do których coraz więcej czuł chęci. Ojciec przeto, wyrozumiawszy jego skłonności, umieścił go u drukarza.

To było wprowadzeniem go na właściwą drogę. Benjamin z chęcią czytał, co tylko dostał do ręki; w mnóstwie innych znalazły się przecież dwa dobre dzieła, których wrażenie na zawsze w jego umyśle zostało: «Życie sławnych ludzi» Plutarcha i «Myśli o projektach» przez autora «Robinsona Kruzo». Pierwsze podało mu wzory do naśladowania, drugie nauczyło go cenić nadewszystko pomysły i wynalazki pod względem korzyści, jakie w zastosowaniu ludziom przynieśćby mogły. Pierwsze uczyniło go cnotliwym, drugie użytecznym.

Franklin nie opuszczał sposobności do czytania, która się w drukarni nastęrczała, a wzbogaciwszy umysł, zapragnął sam być pisarzem. Rozpoczął od zbioru ballad, które miały niejaka wziętość, chociaż, jak później sam mówił, były to «prawdziwe pieśni ślepego». Pomyślniejsze były jego usiłowania w prozie i artykuły umieszczane w gazetach, które wydawca pod drzwiami swemi znajdował, nie mogąc się o ich autorze dowiedzieć. Franklin miał wtedy najwyżej lat 15. Jako prosty drukarzyk w Bostonie, Filadelfii i w Anglii doznawał przykrych kolei losu, które tu pomijamy. W tym czasie, aż do powrotu jego do Ameryki w r. 1726, nie nie zwiastowało jego świetnej przyszłości; ale życie jego wewnętrzne objawiało ową ciągłą czynność umysłu, ową moc woli, żywość uczuć, a nawet zmienność usposobień, które go popychały do coraz nowych czynów, nowych doświadczeń. Tak, widząc morze, pałał żądzą do marynarki;

usiłując przyswoić sobie sposób pisania Addisona, póty pracował nad peryodami «Spectatora», których myśl w pamięci zachował, dopóki ich własnymi jego nie oddał wyrazami. Kiedy zajął się nauką Pitagorasa, zalecającą pokarmy roślinne, wtenczas żył tylko samym ryżem i ziemniakami, dopóki nie znalazł ryby w szczupaku, co poznać mu dało, że według prawa natury stworzenia żyjące pozerają się wzajem.

Wszakże w ciągłych tych próbach i zmianach umysł jego nieustannie się hartował i dojrzewiał, a wróciwszy do Ameryki, ułożył sobie wyborny plan postępowania nadal, który ciągle udoskonalał. Odtąd zaczął się ów wzór życia czysty, mądry, pracowity i miłujący ludzkość, z którego przedewszystkiem współobywatele korzyść odnieśli i za który mu następnie zapłacili najszczerzą czią i miłością.

W Ameryce naówczas wszystko jeszcze było do zrobienia. Franklin, gdy się ożenił, gdy założył drukarnię i gdy dla siebie przyzwoity byt zabezpieczył (r. 1730), cały poświęcił się dobru ludzkości. Sam wydawał pismo bardzo pożyteczne i wielką wziętość u ludu mające p. t. «Almanach pocziwego Ryszarda», a jednocześnie ogłaszał drugie pismo peryodyczne dla klas wyższych w przedmiotach, ogółu kraju dotyczących; utworzył w Filadelfii korpus pompierów i towarzystwo ogniowe; za pomocą składek założył szkołę dla ubogich i kolegium dla bogatszych, domy przytułku i szpitale dla chorych; zawiązał towarzystwo naukowe i towarzystwo moralności, czytelnie, stowarzyszenie przeciw napadom Indyan; ułożył plan ustawy, regulującej stosunki kolonii z metropolią, t. j. z Anglą i t. d.

Franklin odbył już kilka ważnych misyi, ale znowu w jeszcze ważniejszych sprawach był wysłany do króla angielskiego. Postępowanie Franklina w tych nader drażliwych okolicznościach było pełne rozważli i taktu. Wróciwszy do kraju, ciągle wspierał ziomeków radą cnotliwą i roztropną. Następnie w r. 1776 był wysłany do Paryża, gdzie kilka lat jako pełnomocnik przebywał. Szacunek powszechny, przyjaźń Maryi Antoniny, towarzystwo z ludźmi najznakomitszymi uprzyjemniały mu życie.

Gdy wiek i wzmagająca się słabość zapowiadały mu blizki koniec życia, zapragnął powrócić, aby umrzeć w rodzinnem mieście.

Obrany po dwakroć prezydentem zgromadzeń prowincjonalnych, w r. 1778 rozpoczął życie prywatne i wtedy jeszcze założył dobroczynne towarzystwo *Opieki nad więźniami*, tudzież *Kompanię Pensylwańską* dla zniesienia handlu niewolnikami. Nękany cierpieniami fizycznymi, był zawsze spokojny, łagodny i wyrozumiały dla wszystkich; zawsze zajęty, dobrem rodaków, zawsze dziękujący Bogu, że do niskiego stanu od losu przeznaczony, tyle mógł być użytecznym. Z uśmiechem powitał śmierć, która przypadła w dniu 17 kwietnia 1790 r.

Kongres amerykański postanowił, aby *każdy mieszkaniec przez dwa miesiące nosił po nim żałobę*, którą i we Francji *przez trzy dni* noszono.

Oprócz tych praktycznych i filantropijnych czynności należy nadmienić, iż był wynalazcą konduktorów, zabezpieczających budowle od uderzeń pioruna, co samo jedno jużby mogło imię jego uwiecznić.

W obyczajach Franklin był słodki, uprzedzający i szlachetność z patryarchalną prostotą łączący. Myśl jego, pismo lub mowa były zawsze proste, dowcipne, wesołe i moralne zarazem, głębokie i naiwne, przekonujące bez krasomówstwa.

Sam sobie napisał nagrobek następujący: «Tu leży oddane na pastwę robakom ciało B. Franklina, drukarza, jak okładka starej książki, której karty powydzierane, tytuł i złozenia wytarte; ale dzieło nie zginie, gdyż wierzy, iż wyjdzie nowe jego lepsze wydanie, przejrzane i poprawione przez autora».

## 32. Grzegorz Piramowicz.

Każde głębsze zastanowienie się nad powołaniem autora przekonywa nas, że nie wielość dzieł, nie rozgłośnia, roznoszona częstokroć najemnymi usty sława, lecz pożytek choćby jednej pracy, szczerze umiłowanie dobra ludzkości i poświęcenie wszystkich chwil życia tym zasadom otwierają wrota do szacunku współczesnych i do uwielbienia potomnych.

Łatwo się domyślić, że ustęp ten prowadzi do odświeżenia w pamięci zasług człowieka, który życiem i przykładami popierał uznane przez siebie prawdy, którego imię łączy się z powszechną czcią i uwielbieniem.



Grzegorz Piramowicz urodził się we Lwowie r. 1735 z rodziców Ormian, trudniących się kupiectwem. Oddany do szkół jezuickich, wkrótce zwrócił na siebie uwagę członków tego zgromadzenia, upatrujących chciwie i wszędzie zarodków talentu i wyższego usposobienia, aby je zakonowi przyswoić. Już w połowie swego zawodu szkolnego obrał stan duchowny i ku niemu skierował wszystkie swoje usiłowania. Przełożeni zakonu ocenili wkrótce znakomite jego usposobienie do kierowania umysłami młodzieży i dar udzielania nabytych wiadomości, — a poznawszy się raz na tych niezwykajnych przymiotach, w celu podania szerszego pola do działania, wprowadzili skromnego młodego zakonnika w najpierwsze obywatelskie towarzystwa.

Z początku niechętnie zastosował się młodzieniec do życzeń swoich przełożonych; chciał on pracować nad sobą, zebrać jak najwięcej skarbów z tej niwy, z której jedni kłosa, inni kąkał zbierają, ale zakosztowawszy raz słodczy towarzystw, tak podzielił czas, że mu go i na uczęszczanie do wielu znakomitych domów i na naukę wystarczało.

Wkrótce zakon osiągnął to, do czego dążył. Potoccy wybrali Piramowicza, aby towarzyszył trzem młodzieńcom ich rodu po Europie. Przyjął chętnie ten obowiązek, bo pragnął poznać więcej świata, niż go widział z okien kolegium.

Kilka lat spędzonych we Francyi i Włoszech przyniosły Piramowiczowi wiele światła i wewnętrznego zadowolenia. W Rzymie towarzysze zakonni, przekonawszy się o jego głębokiem naukowem usposobieniu, obrali go mistrzem teologii moralnej i uprosili, że przez jakiś czas w ich kolegium nauki wykładał. Tak więc, choć nie po raz pierwszy, o mury grodu cesarów obily się pełne trafności słowa Polaka, i nauki jego z dziwną łatwością wykładane, przyjęły się w umysłach dzieci Tybru i Adryatyku.

Ale najmiłszym kwiatem, zebrany na obcej ziemi, była serdeczna przyjaźń, jaka związała go jednością zdań i uczuć z Ignacym Potockim. Piętnaście lat różnicy wieku było między nimi, znikła ona jednakże przy jednakich usposobieniach. Ignacy Potocki w różnych kolejach losu ani na chwilę nie zapomniał o Piramowiczu, a Piramowicz nikomu chętniej i szcze-

rzej nie poświęcał swoich serdecznych uczuć i przysług.

Po powrocie z Rzymu osiadł Piramowicz w kolegium lwowskim i obok obowiązków nauczyciela, oddał się z całym zapalem powołaniu kaznodziei.

Mówił bez przygotowania, jasno, prosto i rzewnie; porwał słuchaczy słodyczą, wymową i uczuciem, które wygłaszał, dlatego też każdy rozumiał go i uwielbiał. Codzień wzrastała jego sława; do powiększenia jej, acz z innego już względu, przyczyniła się niemało opieka chrześcijańska, jaką otoczył chorego opata Rzewuskiego, któremu towarzyszył w podróży jego za granicę. Gdy po zgonie opata Piramowicz w końcu 1772 r. wrócił do kraju, ciężkie zmartwienia spotkały go zaraz na wstępie: rozkaz Watykanu, który zniósł jezuickie zgromadzenie, nie mógł być przyjęty przez niego obojętnie. Prawie większa część członków tego zakonu ujrzała się nagle ogołoconą nie tylko ze wszelkich widoków, ale i ze środków utrzymania się. Przykry to był widok patrzeć na tych niegdyś tak potężnych ludzi, posiadaczy najbogatszych klasztorów, najrozleglejszych włości, wyrzucanych z siedzib i krzątających się około znalezienia przytulku.

Nigdy znikomość potęgi ziemskiej nie przemówiła wyraźniej i nie przedstawiła się widoczniej. Ci sami, którzy niegdyś z cel klasztornych rządili światem, których głos rozlegał się od Indyi do brzegów oceanu Północnego, od ziemi Kolumba do piaszczystych pustyń Afryki, jednym wyrokiem zgniecieni, w cichem poddaniu się wyższej woli wyrzekli się znaczenia, bogactw, wpływów i rozbiegli się szukać schronienia. Zaprawdę, dzień ogłoszenia bulli papieskiej, znoszącej zakon Jezuitów, będzie kiedyś jawnem świadectwem, że pokora zakonna nie była czezą u nich marą.

Piramowicz zapragnął naprzód w cichem i spokojnem życiu szukać ulgi w cierpieniach i zwrócił się do rodziny, sądząc, że będzie mógł z części majątku, na niego przypadającej, spokojne i niezależne prowadzić życie. Ale szczere wylanie się ojca na usługi innym, jego uprzejmość i gościnność, nadwreżyły do tego stopnia majątek, że rachunek wykazał bardzo szczupłe fundusze, które między liczną rodziną rozdzielone być musiały.

Gdy więc Piramowicz rozmyśla, dokądby się obrócić,

przyjaźń uprzedza jego chęci: Ignacy Potocki wzywa go, aby objął plebanię w dziedzicznym jego miasteczku, Kurowie <sup>1)</sup>).

«Zawakowało u mnie probostwo — pisze do niego — niebardzo intratne, ale na porządne utrzymanie plebana wystarczające. Byłbym szczęśliwy, gdybyś je chciał przyjąć; moje owieczki znalazłyby godnego i czulego pasterza, a ja posiadałbym skarb najdroższy: miałbym obok siebie ukochanego przyjaciela.»

Można sobie wyobrazić, że Piramowicz nie wahał się ani chwili z przyjęciem wezwania. Odpisał z serdecznym podziękowaniem dziedzicowi Kurowa i niebawem pośpieszył do objęcia nowych obowiązków.

Jakaż była jego radość, gdy przybywszy do Kurowa, zastał wszędzie dowody troskliwej ręki swojego przyjaciela! Śliczny nowy dworek ze starannie urządzonym ogródkiem czekał już na niego, a sam dziedzic, na czele sąsiednich właścicieli i sędziwych kmiotków, przyjął go w progu chlebem i solą, symbolami uprzejmej życzliwości, od wieków zwyczajem uświęconemi.

Rozpłakał się kapłan przy tych oznakach współczucia i tyle tylko mógł powiedzieć:

— Bóg widzi, jak pragnę być dla was użytecznym!

Słowa te, wyrzeczone w tak uroczystej chwili, stały się fundamentem jego czynów, któremi imię swoje z cichego ustronia do potomnej podał pamięci.

Wielkie, święte są obowiązki plebanów! Przebiegając myślą rozmaite stopnie i posady członków społeczności ludzkiej, trudno podobno upatrzeć dla wzniosłej duszy stosowniejsze stanowisko nad stanowisko pasterza wiejskiego ludu, ale zarazem trudno nie przyznać, jak wiele wymagań do tego skromnego stopnia jest przywiązanych.

Lud nasz przechowuje w sercach żywą wiarę i wiele szlachetnych usposobień; potrzeba tylko prostym wykładem nauk religijnych umysł jego rozwinąć, do cnót przykładami zachęcić i czułą ojcowską troskliwością otoczyć. Można śmiało zaręczyć, że gdy ten lud wiejski słyszy w świątyni Pańskiej wzory moralności i rodzicielskie rady i napomnienia; gdy widzi, że ten, który mu głosi

<sup>1)</sup> Kurów, m. gub. Lubelskiej, pow. Nowo-Aleksandryjskiego (Puławskiego), odległe o 4 mile od Lublina.



Boskie prawidła, prowadzi życie czyste, sprawiedliwe; że brzydzi się wszelkim występkiem; że wszystkich zarówno, bogatych i ubogich, jednym sercem obdziela; że z jednaką chęcią śpieszy do pałacu i do ubogiej chatki, niosąc wszędzie pociechę i słowo Boże,— tam pewnie dobre ziarno nie padnie między chwasty, ale owszem bujne wyda owoce.

Piramowicz, rozpatrzywszy się w nowo obranem siedlisku, poznał, że mu wiele do czynienia pozostaje, że zastał serca swoich parafian leżące odłogiem albo zarosłe chwastami, że wiele trzeba podjąć pracy, aby te odłogi uprawić i chwasty oczyścić. Nie wziął się raptownie do dzieła, jak to niektórzy zwykli czynić, ale rozważnie, z cierpliwością zaczął używać lekarstw, które stopniowo siły i czerstwość przywracają.

Oświecać lud naukami religijnymi i opiekować się nędzą, kalectwem, niedolą, to były dwa najgłówniejsze cele szlachetnego kapłana; nie spuścił ich nigdy z uwagi.

Nawiedziło którego z włościan nieszczęście, zgorzały mu stodoły, albo zaraza wymiotła oborę, ksiądz pleban stawał pomiędzy płaczącymi, uspakajał, obiecywał miłosierdzie Boże, a tymczasem fura z plebanii wiozła zboże do komory pogorzelca, albo parobek prowadził krowę lub wołu.

Dotknęła jaką chatę choroba, już ksiądz pleban wiedział o tem, i choćby to było o północy, w słoty i zimna, śpieszył pomiędzy cierpiących nieść ich duszom pociechę, a środkami lekarskimi pomoc w dolegliwościach.

Jeżeli dowiedział się o jakiej niezgodzie, o kłótni między sąsiadami lub rodzeństwem, dopóty przedstawiał, łagodził, pracował, dopóki skłócenie nie podali sobie rąk do zgody.

Trąfiło się raz, że zaraz po zbiorach ogień zniszczył niezamożnemu dzierżawcy wszystkie zabudowania. Spłonęły skrętnie nagromadzone zapasy zboża, inwentarze i sprzęty, a na domiar niedoli dziedzic zagroził wyrzuceniem z dzierżawy, jeżeli zaległego czynszu nie opłaci. Dowiedziawszy się o tem, Piramowicz jedzie do owego dziedzica, płaci mu wymagany czynsz, i z kwitem w rękę śpieszy uspokoić nieszczęśliwego. W progu małego dworku dowiaduje się, że ten od rana nie był w domu, i że

go ciągle szukają. Natchnienie Boże prowadzi go ku rzece, trafia na ślad, idzie za nim i znajduje ojca licznej rodziny blizkiego kresu rozpaczy. Gromi małą jego ufnosć w Bogu, zachęca do wytrwałości i wręcza kwit na opłacony czynsz dzierżawny i niewielką sumkę na kupno inwentarza. Biedny człowiek, tak cudownie wyrwany z nędzy, chce mu upaść do nóg, ale wstrzymuje go Piarowicz, przyciska do piersi i mówi:

— Synu, ja tylko wypełniam rozkaz Niebieskiego Ojca, ja tylko jestem Jego sługa.

Niedość na tem: widząc, że obareczony liczną rodziną, nie jest w możności dać dzieciom przyzwoitego wychowania, zajął się umieszczeniem najstarszej córki przy dworze, sąsiadującym z Kurowem, głośnym z tyłu czynów obywatelskich, a syna własnym kosztem oddał do konwiktu księży Pijarów w Warszawie.

Raz dowiedział się, że dwaj bracia z wioski, w pobliżu Kurowa położonej, nie mogą się pogodzić przy podziale ojcowizny, że ani starsi gospodarze, ani wójt, ani nawet rządcą, administrujący majątkiem dziedzica, nie znajdują środka, aby spory załatwić. Ksiądz proboszcz przywołał ich do siebie, wyrozumiał, o co idzie, udzielił rady; ale wszystkie zachęcenia do zgody okazały się bezskutecznymi. Obydwaj chcieli koniecznie posiadać to, co tylko jednemu dostać się mogło. Wyczerpawszy wszystkie usiłowania, kapłan w końcu rzekł:

— Słuchajcie: a gdybym temu, który weźmie tę podług was gorszą część, odbudował na pustce własnym moim kosztem chałupę i na zapomogę dał tę parę jałowic, które właśnie chłopiec poi u studni, czy pogodzilibyście się wtedy?

— Albo my chcemy, żeby ojciec dobrodziej szkodował?

— Powiedzcie tylko, czy się pogodzicie; mnie milej będzie patrzeć na waszą zgodę, aniżeli na te jałowice i na kilkadziesiąt złotych w szkatułce.

Bracia spojrzeli po sobie, a młodszy rzekł:

— Wiesz co, Bartku, nasz ojciec dobrodziej, to niby św. Marcin, co to o nim organista w Świątki nam rozpowiadał. Nie bądź taki twardy, bo to grzech ciężki byłby takiego świętego ojca nie posłuchać albo brać od niego. Ot tak: dodaj mi jeszcze pięć owiec, dwie brony i wóz, to ja wezmę pustkę.

— Dodam, tylko nie żądaj krzywdy naszego ojca i do-brodzieja.

— A niech mnie Bóg święty broni!... No, daj ci Boże szczęście!

— I tobie.

I skłonili się do nóg szanownego sędziego, on ich po-błogosławił, w długiej i pięknej mowie wystawił im, jak miłą jest Bogu miłość między ludźmi, a zwłaszcza mię-dzy rodzeństwem, i bracia odeszli zupełnie pojednani.

Dano mu znać, że ekonom w jednym z folwarków, do-dóbr kurowskich należących, ociemniał. Był to człowiek poczciwy, rzetelny, pracowity, ojciec ośmiorga drobnych dziatka, żyjących tylko z jego pracy. Położenie biedaka było okropne; funduszków nie miał żadnych, kalectwo nie pozwalało mu pracować, a tak licznej rodzinie potrzeba było dać utrzymanie. Chciał udać się o pomoc do serc litościwych, ale Piramowicz uprzedził go, wyjednał u czei-godnego dziedzica Kurowa parę włók gruntu, a na imie-ninach jedynej jego córki Krystyny, wystawiwszy zebranym gościom w czułych słowach przykre położenie bie-daka, wyciągnął rękę z tacką po składkę. Ofiary posy-pały się hojnie; z zebranego funduszu, dodawszy drugie tyle z własnej kieszeni, wystawił na darowanym gruncie domek i gospodarskie budowle i wprowadził ociemnia-łego z jego rodziną w zagrodę, która miała być dla nie-go schronieniem na całe życie i zapewnić jego dzieciom kawałek chleba. Starszych synków wziął do założonej przez siebie w Kurowie szkółki; do nauki reszty dzieci wysyłał dwa razy na tydzień jednego z celniejszych swych uczniów i opiekował się całą rodziną, dopóki mie-szkał w Kurowie.

Odgłos takich czynów szybko bardzo rozległ się po ca-łej okolicy, a czuła, troskliwa i pracowita opieka, jaką Piramowicz otoczył pogorzalców Kurowa po okropnym pożarze, podwoiły uwielbienie. Ignacy Tański przetłó-maczył wówczas z angielskiego ułamek powieści Gold-smitha pod tytułem: «Dobry pleban». Mnóstwo osób z różnych stron przysłało Piramowiczowi, imiennie i bez-imiennie, tę powieść, jako jego własny (jak się wyra-żali) obraz; lecz skromny i wyższy nad publiczne hołdy kapłan, zebrał wszystkie razem nadesłane mu egzempla-rze, i napisawszy na wierzchu: «Przyjaciół grzeczna prze-stroga», ukrył je na zawsze przed ludzkim wzrokiem.



Ale rozum, nauka, a nadewszystko dobre i cnotliwe chęci nie mogły długo pozostać w ukryciu. Ruch umysłowy objawiał się wtedy coraz żwawiej, wynajdując środki czynnego i użytecznego postępu. Utworzona Komisya Edukacyjna zajęła się gorliwie wielkiem swoim powołaniem; w skład jej weszli mężowie głośni z zasług i prac użytecznych. Piramowicz był wezwany na sekretarza. Nie bez żalu, że opuszczać musi na czas jakiś swoje ciche ustronie i miłych sercu parafian, wybrał się Piramowicz do Warszawy, wynagradzając sobie tę przykrość chęcią stania się użytecznym dobru powszechnemu. Starania około parafii i probostwa powierzył bratu swemu Stanisławowi, i z sercem pełnem nadziei wstąpił po raz pierwszy w zawód publiczny.

Stolica wrzała naukowem życiem. Stanisław August, czując, że nic więcej zrobić nie może, pragnął przynajmniej uchodzić za przewodnika postępującej oświaty, a przykład króla wielki wpływ wywarł na ogół. Nawet owe czwartkowe obiady, wyniesione pod niebiosa przez pochlebców, a zmieszane z błotem przez krzykaczów, miały swój użytek. Chęć należenia do liczby tych, którzy w tych zebraniach mieli udział, przyświecająca każdemu z młodych pracowników, była silnym bodźcem zachęty, a któż nie wie, jakie podobne chęci zwykły rodzić owoce? Piramowicz, zaproszony uprzejmie przez samego Stanisława Augusta do uczestniczenia w tych zebraniach, podobał się z dowcipu i szlachetnego sposobu myślenia. Tysiące dowcipnych anegdotek i odznaczających wyższego człowieka zdarzeń i odpowiedzi krążą jeszcze do dziś dnia pomiędzy ludźmi, pamiętającemi dawne czasy. Ale nie tu miejsce nad niemi się rozszerzać.

Komisya Edukacyjna rozwijała szybko swe plany. Piramowicz nieraz dni i noce trawił przy pracy, układając i rozbierając projekty, przepisy i postanowienia, i obok tego jeszcze biorąc czynny udział w «Towarzystwie do ksiąg elementarnych». Stanisław Potocki powiada, że Piramowicz tak dzielnie i skutecznie od początku do końca do tej wielkiej pracy należał, że jemu znaczna część zasługi przyznaną być winna.

Kiedy każdy ze znakomitych mężów brał na siebie część ogólnego ciężaru, Piramowicz podjął się napisać dzieło dla szkół o *wymowie*. Wydał tom pierwszy i drugi; trzeci tomik wyszedł już daleko później za staraniem

następcy Grzegorza i Stanisława Piramowiczów, księdza Pieńkowskiego, proboszcza w Kurowie, a późniejszego biskupa lubelskiego.

Po roku 1795 powrócił Piramowicz do Kurowa. Parafianie przyjęli go z otwartemi rękoma, on powitał ich z serdecznem rozrzewnieniem. Doznane w ostatnich latach cierpienia moralne wywarły szkodliwy wpływ na jego zdrowie; chorował ciężko, a potem do wszystkich dolegliwości przywiązała się jeszcze nadzwyczajna słabość oczu. Nie mógł nic sam czytać i używać musiał uczniów ze swej szkoły, którzy mu kolejną różną dzieła, nawet w obcych językach, czytywali. Pisał sam, mając przy sobie jednego z tych uczniów, który go przestrzegał, gdzie ma wiersze pisma przynosić i poprawiał rękę, gdy krzywo wiersz zaczynała.

W sędziwym już wieku, na usilne żądanie dziedziców Międzyrzeca, Piramowicz zdał rządy parafii Kurowskiej na brata swego Stanisława, a sam przeniósł się do Międzyrzeca. Żal rozstania się z ukochanemi swemi, jak nazywał, owieczkami osładzała nadzieja, że i w innym miejscu potrafi być również użytecznym. Ale za ledwie podał projekt założenia szpitala, gdy nagle w dniu 29 grudnia 1801 r., tknięty apopleksją, zakończył życie, pełne cnót chrześcijańskich.

Piramowicz był bardzo małego wzrostu, a głowę miał w stosunku do reszty figury dużą i nieforemną. Twarz jego, pomimo rysów dość grubych, umilona zawsze słodyczą i właściwą charakterowi wesołością, była bardzo przyjemną. Patrząc w tę twarz i czytając na niej wyraz wzniosłej i szlachetnej duszy, zapominało się o niekształtnej budowie ciała.

Oprócz dzieła o *wymowie* napisał i wydał *Naukę obyczajową dla ludu wiejskiego*, książkę nader użyteczną, *Dykeyonarz starożytności*, przerobiony z francuskiego, *Instrukcyę dla nauczycieli szkół początkowych*, która potem przerobiona i powiększona przez Józefa Lipińskiego, wyszła z druku 1817 roku, i zaczął pisać *Książkę użyteczną dla ludu*, ale pracy tej, nadzwyczaj pożądanej i wielkie rokującej nadzieje, równie jak i dzieła o wymowie nie dokończył. Stanisław Potocki w mowie, mianej o Piramowiczu, świadczy, że rękopis ten istnieje, może więc kiedy zajmie się kto uzupełnieniem tego dzieła i podaniem go do druku.

Szereg tych prac literackich powiększają <sup>1)</sup> jeszcze liczne mowy, miewane w różnych okolicznościach i sprawozdaniach z całorocznych działań Komisji, ale są to rzeczy mniejszej wagi; gdyż rzeczywistych zasług Piramowicza szukać należy nie w drukowanych foliach, lecz w czynach miłości bliźniego.

*Antoni Wieniarski.*

### 33. Ks. Gabryel Baudouin

i Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Na ciemnym tle dziejowem zeszłego stulecia występuje szczupły zastęp mężów, jaśniejących blaskiem tem żywszym, im głębsze ciemności zaległy wówczas widnokrąg publicznego życia. Wśród tych mężów rycerskiego ducha i męskiego hartu, dziwnie uroczo zarysowuje się łagodna i spokojna postać księdza Baudouina, zbierającego opuszczone dziatki, budującego im wspaniały przytułek uźbrany przez siebie groszem.

Piotr Gabryel Baudouin, urodzony dnia 5 kwietnia 1689 r. we Francji, w mieście Avesnes, w departamencie du Nord, nie naszej ziemi jest synem, ale obywatelstwo nasze pozyskał tą miłością swoją, jaką ukochał najbiedniejszych naszej ziemi: opuszczone dziatki; pozyskał je wreszcie swem działaniem kapłańskim, szerząc i podtrzymując ducha chrześcijańskiego, którego brak tylu nieszczęść stawał się powodem.

Pierwszą zapowiedzią przyszłego powołania Baudouina był zamiar wstąpienia do zakonu Kartuzów, po odbyciu tak zwanych nauk wyzwolonych. Wuj jego, także zakonnik, odwiódł go od tego zamysłu, wskazując inne zawody, w którychby mógł pożyteczniejszy służyć krajowi. Dusza jego żadna jednak była poświęcenia się; życie klasztorne było dla niego naprzód ideałem ofiary; i z całą gorącością młodego ducha chciał przyjąć ten stan wyrzeczenia się samego siebie.

Wuj swoim rozumowaniem ostudził w nim ten zapal,

<sup>1)</sup> Ostatniemi dopiero czasy dr. A. Wisłocki zebrał całkowitą działalność literacką Piramowicza; wylicza on 57 rozmaitej treści dzieł, broszur lub rękopisów, które głównie się stosują do olbrzymiej, niezmordowanej jego pracy w Komisji Edukacyjnej.



pokazał inne obrazy poświęcenia w życiu społecznem i skłonił do obrania stanu wojskowego.

Ale żołnierka nie odpowiadała usposobieniu duszy Gabryela, łagodnej i cichej. Wkrótce więc zamienił mundur żołnierski na sukienkę duchowną, wstępując do zgromadzenia księży Misyjonarzy w Paryżu (dnia 10 kwietnia r. 1710).

Nie znamy szczegółów z siedmiu pierwszych lat pobytu jego w zgromadzeniu; wiemy tylko, że był w Wersalu czas jakiś, a następnie wysłany do miasta Autun, pełnił obowiązki profesora teologii w seminaryum miejscowem.

Od roku 1717 rozpoczyna się druga połowa życia Baudouina, którą na naszej spędził ziemi, i tutaj zapoznajemy się z nim bliżej.

Miejscem jego służby i pracy był dom zgromadzenia księży Misyjonarzy warszawskich. Kolejno spełniał tu obowiązki profesora teologii, dyrektora seminaryum, prokuratora i asystenta.

Oprócz tego, wyuczywszy się wkrótce po swem przybyciu do Polski języka krajowego, oddawał się usłudze parafialnej.

Niezadługo ksiądz Gabryel w Warszawie zaświecił cnotami i bogobojnością swoją i najznakomitsze osoby szukać u niego poczęły porady i pociech religijnych.

Ale próżność nie zajrzała nigdy do pokornego jego serca. W ubogiej swej i połatanej sutannie, z tym samym duchem niósł pańskim pałacom słowo ewangeliczne, z jakim biednym i cierpiącym podawał pociechę lub grosz miłości.

W życiu domowem ściśle pilnował się reguły zgromadzenia, a wspólne obowiązki domowe spełniał z pilnością najmłodszego brata; w późnym nawet wieku, gdy już był dygnitarzem i wysłużonym w zgromadzeniu, przełożony, aby go skłonić do przyjęcia małej jakowej na stare lata wygody, musiał się uciekać do rozkazu.

Zajmując się posługą parafialną, wiedział, jakich zbrodni dopuszczają się niekiedy wyrodne matki, opuszczając własne dzieci. Zarządzenie złemu, ochronienie niewinnych ofiar było nieraz przedmiotem jego rozmyślań.

Przypadkowe spotkanie zwłok dziecięcia, porzuconych nieopodal pod płotem, żywiej wstrząsnęło jego umysłem i przyspieszyło urzeczywistnienie myśli, którą w duszy

piastował. Wzruszony Baudouin staje przed przełożonym, ze łzami opowiada, co widział, i przedstawia mu zarazem swój zamiar utworzenia domu dla podrzutków, prosząc o zatwierdzenie i błogosławieństwo dla swojej myśli.

Fundusz na wzniesienie takiego zakładu zależał całkowicie od publiczności; odezwaniem się do jej miłosierdzia, jałmużną, myślał ks. Baudouin zrobić wszystko.

Na przeprowadzenie podobnej myśli trzeba było przede wszystkim miłości i pokory: miłości, któraby podtrzymywała do wytrwania w ciągłym proszeniu, i pokory, któraby swą tarczą chroniła serce proszącego od obojętności, zimna, niechęci, a niekiedy i szyderstwa dających i niedających.

Ks. Baudouinowi nie zbywało na tych cnotach <sup>1)</sup>, kwesta więc szła dobrze, i w roku 1732 za zebrany grosz mógł już kupić dom przy Krakowskim Przedmieściu (dziś Karasia), w którym umieścił Siostry Miłosierdzia, poruczając im macierzyństwo nad opuszczonymi dziećmi. Liczba mieszkańców nowego zakładu wzrastała szybko, bo ks. Baudouin przyjmował nie tylko dzieci podruczone, ale brał je i od rodziców uciśnionych nędzą; dom więc wkrótce okazał się za szczupły.

Potrzeba wywołała nowy plan i ks. Baudouin postanowił wybudować obszerniejszy dom dla swoich sierot, uciekając się znowu do miłosierdzia ludzkiego.

Zaledwie zacny kapłan zebrał tyle, iż było czem rozpocząć nową budowę, wziął się zaraz do położenia fundamentów szpitalnych (r. 1754), resztę zostawiając Opatrzności. Zakupiwszy tylko plac i część materiałów, silny ufnością w Bożą opiekę, rozpoczął budowanie nowego gmachu na wielką stopę,

Robotników ściągał do swojego dzieła nie tylko zapłatą, ale żarliwem słowem i łzą gorącą, którą z oczu wywoływało mu wspomnienie wielkiej boleści ludzkiej, sieroctwa. I poczciwi robotnicy chętnie nieśli pracę rąk swych na wzniesienie nowego przybytku miłości.

<sup>1)</sup> Z jaką miłością i pokorą odbywał swą kwestę ks. Baudouin, najlepiej przekonywa powszechnie znany fakt spokojnego zniesienia zniewagi, wyrządzonej mu przez rozgniewanego gracza. Ten, który na prośbę o jałmużnę otrzymał policzek, a jednak z pokojem i łagodnością umiał ponowić swą prośbę za sierotami, zaprawdę dobrym był kwestarzem.

Dziwnie silnym jest człowiek, gdy o sobie zapomni; dziwnie potężny głos jego, gdy płynie z piersi, rozgorzałej miłością.

Ks. Baudouin pociągnął wszystkich do swego dzieła: królewicz Ksawery kładzie pierwszy kamień szpitalnych fundamentów; pierwsze w kraju rodziny widzimy w liczbie dobroczyńców zakładu—a obok nich ubodzy robotnicy składają swój grosz wdowi, pracę swoją.

Bez żadnej rachuby naprzód, albo raczej z rachubą na Opatrzność Bożą i miłosierdzie ludzkie, ksiądz Baudouin prowadził budowę, i nie zawiódł się. Ofiary przyływały ciągle. Zjechał naprzykład samego króla Augusta III z licznym orszakiem panów na obejrzenie nowo powstającego gmachu przyniosło kilkakroć sto tysięcy złp., gdyż każdy z obecnych za przykładem króla podpisał się wówczas na liście ofiarujących.

Po trzech latach stanął gmach obszerny, przeznaczony nietylko na schronienie podrzutków, ale nadto na szpital dla chorych i na czasowy przytułek dla biednych.

Roku 1761 August III, opatrzywszy dostateczniejszem uposażeniem nowy zakład, przeznaczył go na szpital główny miasta Warszawy. Na sejmie koronacyjnym roku 1764 dobra Kręczki, Umiastowo, Klimonty i Falki, przeznaczono na podniesienie zasobów szpitalnych.

Opiekunami szpitala, podług erekcyi, byli królowie polscy, biskupi, których jurysdykcyi duchownej podlegała Warszawa (wówczas poznańscy), i wizytator zgromadzenia księży Misyjonarzy.

Wizytator mianował rektora szpitala i podług potrzeby go zmieniał. Rektor kierował całym zarządem szpitala; trzech kapłanów zajmowało się usługą religijną; siostry miłosierdzia trudniły się kuchnią, bielizną, odzieżą, utrzymaniem porządku i ochędóstwa domu całego. Kapłani również jak siostry miłosierdzia, usługi swoje odbywali bez wynagrodzenia pieniężnego.

Ks. Baudouin był pierwszymrektorem; i na tem stanowisku, wśród ciągłej pracy około biednych i cierpiących doczekał się śmierci. Dopiero na kilka dni przed zgonem siedmdziesięcioletni już starzec, gdy się czuł znacznie osłabionym, zaprzestał swych prac i złożył urząd rektorski. Widocznie widział zbliżający się koniec swego użytecznego żywota.

Wieść o jego chorobie rozeszła się szybko po mieś-



cie; odtąd drzwi szpitala nie zamykały się przed natłokiem odwiedzających i proszących o ostatnie pożegnanie.

W mężu bożym gasła już siła życia, lecz dawnym płomieniem gorzała jeszcze miłość Boga, ku któremu szedł, i miłość braci, których opuszczał. Drżącym słowem ukrzepiał, drżącą ręką błogosławił wszystkich, szczególnie swoje sieroty, otaczające jego łożo. Dnia 10 lutego 1768 roku skonał bez boleści.

*Ks. Nowodworski.*

### 34. Anegdoty historyczne.

Pewnego razu dworacy Filipa Macedońskiego radzili mu, aby skazał na wygnanie człowieka, który źle o nim mówił. Filip im odpowiedział:

— Nie zrobię tego, bo będzie o mnie mówił jeszcze gorzej.

Innym razem namawiano go, aby ukarał niewdzięczność mieszkańców Peloponezu, którzy go publicznie wyśmieli na igrzyskach olimpijskich. Filip rzekł:

— Jeszcze gorzejby uczynili, gdybym wyrządził im krzywdę, skoro się naśmiewają po tyłu dobrodziejstwach. I nie posłuchał doradców.

Nieprzyjaciele sławnego Epaminondasa, wodza tebańskiego, chcąc go upokorzyć, dali mu urząd *telearka*, który zależał na doglądaniu czyszczenia i zamiętania ulic. Nie obraził się wcale, a pełniąc nowy swój urząd z całą godnością, umiał pokazać tym, co go dotknąć i na pośmiewisko wystawić chcieli, że żadne stanowisko nie poniża człowieka, ale człowiek może każde podnieść.

Agezylaus, jeden z najcnotliwszych królów Lacedemonii, rozkazał umierając, aby nie malowano jego wizerunku, ani wznoszono mu posągów.—Jeżeli czyny moje na pamięć potomności zasłużyły, dodał, będą one prawdziwymi i trwałymi pomnikami mojej chwały; a jeżeli przez całe życie nic nie uczyniłem dobrego, to mi obrazy i posągi nie pomogą.

Jenerał francuski Laroche-Jaquelin, bohater Wandei <sup>1)</sup>, tak przemówił przed bitwą do swoich żołnierzy:—Jeżeli pójdę naprzód, ruszajcie za mną; jeżeli się cofnę, zabijcie mnie; jeżeli polegnę, pomścicie mnie.

Kazimierz Sprawiedliwy, ksiązę sandomierski, w młodszym wieku bawiąc się w grę z dworzaninem swoim, Janem Konarskim, ograł go. Rozgniewany Konarski uderzył księcia, a obawiając się kary, uciekł. Pojmany w ucieczce, jako winny obrazy majestatu, został skazany na śmierć. Lecz ksiązę, pan cnotliwy a sprawiedliwy, rzekł łaskawie:—Nie uczynię tego, aby o rzecz tak małą człowiek rycerski, którego ramię przydatne być może, ginąć miał marnie. Raczej go uważam godnym mej łaski za to, że mnie, zrodzonego z krwi królewskiej, napomniał, abym się nie bawił takimi rzeczami, które osobie mojej nie przystoją.

Filip, król macedoński, zastawszy Dyogenesa <sup>2)</sup> na cmentarzu, spytał się, coby tam robił? On rzekł:—Szukam kości twojego ojca, ale ich rozeznąć nie mogę, gdyż wszystkie, które tu znajdują, są jednakowe.

Młodzieniec pewien, oddany do szkoły Zenona filozofa <sup>3)</sup>, gdy po długim przeciągu czasu do domu ojca swego powrócił, ten pytał go począł, czegoby przez lat tyle się nauczył. Młodzieniec mu odpowiedział, iż przy sposobności da dowód swojej nauki. Ojciec, rozgniewany o to, zaczął bić syna. Ten, cierpliwie wszystko zniósłszy, rzekł nakoniec:—Otóż widzisz, mój ojcze, żem się między innymi rzeczami i tego nauczył, że gniew ojcowski cierpliwie znosić należy.

Aleksander wielki z osobliwszem był zawsze uszanowaniem dla Arystotelesa, nauczyciela swego, i mawiał, iż

<sup>1)</sup> Wandea, prowincya we Francyi zachodniej nad zatoką Gaskońską, na południu rzeki Loary. <sup>2)</sup> Dyogenes, mędrzec grecki, żyjący w IV w. przed Chr.: zasady swojej filozofii praktycznej wyrażał niekiedy w arcydziwacznych formach. <sup>3)</sup> Zenon, założyciel szkoły stoików, żył między 340 a 260 r. przed Chr.; głównym celem jego filozofii było utrwalenie cnoty.

mu większą był winien wdzięczność, niż ojcu; gdyż ojciec dał mu tylko życie, ten zaś nauczył go, jak żyć należy.

Piękny przykład miłości ku rodzicom dał nam Bolesław Krzywousty, gdyż przez pięć lat po śmierci ojca swego, Władysława, w żałobie chodził. Nosił zawsze wizerunek ojca na swoich piersiach, a ile razy nań spojrzął, mówił: — Niech mnie Bóg zachowa, ażebym co nieprzystojnego sławie i czci ojca mego popełnił.

Zygmunt I, chcąc syna swego Zygmunta Augusta wprawić do przyszłego władania całym krajem, jeszcze za życia swego powierzył mu rządy Litwy. Po pierwszych chwilach pobytu młodego króla w Wilnie kilku przybyłych stamtąd panów, dla przypodobania się ojcu, wynosiło pod niebiosa pierwsze dobre czyny synowskie. — Zostawcie i przyganie jakie miejsce — odpowiedział król, nie lubiący pochlebstwa.

Sławny hetman koronny, Stanisław Koniecpolski, pogromca Tatarów, Turków i Szwedów, jeden z pierwszych wojowników, którzy otaczali tron Zygmunta III, miał wymowę przytrudną i często się jękał. Rycerstwo nasze z tego powodu mawiało o swym ukochanym wodzu: Pan Stanisław wprzód uderzy, nim wymówi.

Tenże Koniecpolski, obaczywszy na polu bitwy żołnierza bez pancerza i źle uzbrojonego, począł go strofować.

— Moje to będzie nieszczęście, gdy zginę, odrzekł śmiało zaczepiony wojak.

— Prawda — przemówił surowo hetman — ale gdy tak nie dbasz o życie, masz pamiętać iż winienesz szanować je dla wodza, któryby rad was nietylko nie ranionych, ale i nieśmiertelnych oglądał. Nie powinno być ciężkiem żelazo, skoro jest ochroną życia. Wolę ja, że długo będziesz zwyciężał, niż żebyś prędko zginął. Nie ciężą jeleniowi rogi, ale go zdobią; a zbroja żołnierza i zdobi go i bezpieczeństwo mu daje.

Gdy Jan III odjeżdżał pod Wiedeń, postrzegł, że jego żona, trzymając małego synka za rękę, płakała. Spytał się więc jej o przyczynę. Ta rzecze:



— Bolesno mi, że to dziecię jeszcze nie jest w stanie z tobą razem dobić się zwycięskich laurów.

Jenerał Bernadotte, później wyniesiony na króla szwedzkiego, był za Rzeczypospolitej ambasadorem francuskim w Wiedniu. Przypomniano sobie u dworu, że zaczął swoją karierę wojskową jako prosty żołnierz w pułku hrabiego de Béthuzy, który emigrował wskutek wypadków rewolucyi i właśnie zamieszkał w Wiedniu. Chcąc jenerała upokorzyć i trochę mu dokuczyć, minister baron Thugut na świetnem zgromadzeniu odezwał się do niego:

— Panie ambasadorze, mamy tu byłego oficera francuskiego, który dawniej doskonale znał pana.

— Czy mógłbym zapytać o jego nazwisko?

— Hrabia de Béthuzy.

— O! i ja znam go dobrze. Był moim dowódcą: miałem zaszczyt być prostym szeregowcem w jego pułku i miło mi zaświadczyć, że głównie jego dobroć i zachęta zrobiły mnie tem, czem jestem. Żałuję, że obecnie moje stanowisko nie pozwala mi go przyjąć w pałacu ambasady francuskiej; ale proszę pana, panie ministrze, oświadczyć hrabiemu, że dawny jego żołnierz zachowuje zawsze dla niego szczere uczucia uszanowania i wdzięczności.

Zapewniają, że minister nagle uciał rozmowę.

August II, przypatrując się pałacowi pewnego senatora, który był piękny i obszerny, a miał przy sobie zbyt małą kuchnię, spytał się go o przyczynę.—Najjaśniejszy panie! odpowiedział właściciel, ta mała kuchnia postawiła ten wielki pałac.

Ostroróg, wojewoda poznański, mawiał: Nie grzesz, a nie żałuj; nie łaj, a nie przepraszaj; nie daj, a nie wdzieraj.

Tales z Miletu <sup>1)</sup>, jeden z siedmiu mędrców greckich, z wielką przytomnością umysłu odpowiadał szybko na każde pytanie. Przytaczamy tu kilka z takich odpowiedzi.

<sup>1)</sup> Milet, miasto nad rzeką Meandrem, w starożytności było jednym z najpiękniejszych w Karyi, w Azji mniejszej.

Zapytano go: co jest najstarszem?... odpowiedział: Bóg, ponieważ był od wieków.

— Co jest najobszerniejszem? Przestrzeń, ponieważ wszystko obejmuje.

— Co jest najtrwalszem?—Nadzieja, bo choć wszystko utracimy, ona nam jeszcze pozostaje.

— Co jest najszybszem? — Myśl, bo w mgnieniu oka przebiega świat cały.

— Co najsilniejszym? — Konieczność, bo pokonywa wszelkie przeszkody.

— Co najłatwiejsze?—Dawać innym rady.

— Co najtrudniejsze?—Znać siebie samego.

— Co najmędrsze?—Czas, bo uczy wszystkiego i wszystkiego dokonywa.

Jefferson, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, podaje następujące zasady życia, których, jak sam mówił, najściślej trzymać się usiłował.

1. Nie odkładaj na jutro, co masz zrobić dzisiaj.
2. Nie proś innych o to, co sam zrobić potrafisz.
3. Nie rozporządzaj pieniędzmi wprzód, aż je masz w rękę.
4. Nie kupuj nic, czego nie potrzebujesz, dlatego tylko, że tanio.
5. Duma kosztuje nas więcej, niż głód, pragnienie i zimno.
6. Nikt nigdy nie żałował, że mało jadł, pił lub mówił; lecz iluż oplakiwało swe obżarstwo i gadatliwość!
7. Czyń każdą rzecz chętnie, a nie ci przykrem nie będzie.
8. Najwięcej cierpienie naszych pochodzi z obawy nie-szczęść, które mogą się nie zdarzyć.
9. Bierz rzeczy, jak są,—t. j. sądz ludzi z dobrej strony.
10. Gdyś rozgniewany, przerachuj do *dziesięciu*, zanim mówić zaczniesz; gdyś uniesiony, przelicz i do *stu*, a nie popełnisz, ani głupstwa, ani występku.

### 35. Warszawa za Władysława IV.

Za Władysława IV Le Laboureur (w podróży marszałkowej de Guébriant) tak opisuje Warszawę <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Jan Laboureur, historyk francuski, dodany do poselstwa, które odwoziło w r. 1644 do Polski Maryę Ludwikę Władysławowi IV, opisał podróż marszałkowej de Guébriant w dziele p. t. «Relation du voyage de la reine de Pologne». Paris, 1647.

Jest to miasto nieotoczone murem, powiększane dość bezładnie gmachami panów znaczniejszych i osób dworskich. Domy te są po większej części z drzewa, widzieć atoli można niektóre z cegły, w tyle ich nietylko są ogrody, ale widać lasy i pola. Rzeka Wisła, ćwierć mili francuskiej szerokości mająca, płynie pod miastem. Tu się wznosi wspaniały zamek królewski, pokoje są pięknie rozporządzone i ubrane w sprzęty największej ceny, obicia zaś królewskie, najpiękniejsze nietylko w Europie, może i w Azji. Wielu tu znajdziesz bogatych kupców. Miasto, po większej części brukowane, wzrasta i upiększa się codziennie, i w kilku latach Krakowowi równać się będzie. Wiele jest kościołów, lecz te nie są znakomite z wspaniałości, oprócz atoli kolegiaty św. Jana. Ta zbudowana z kamienia; królestwo mogą iść do tego kościoła gankami zamku. Mają także kaplicę w zamku, gdzie widzieć można obrazy najslawniejszych malarzy. Król ma dwa wiejskie pałace, jeden o pół mili od miasta, Ujazdów, drugi (dziś pałac Kazimierzowski) na przedmieściu. Ten wielu obrazami ozdobny; z jednej strony ma rzekę, z drugiej ogród tak piękny, jak tylko klimat dozwala.

Odsyłamy czytelnika do pomienionego dzieła: jaka wspaniałość, jakie bogactwo, jaka grzeszność i obyczajność panowały naówczas u dworu i w narodzie! Przedniejsze wypisy z dzieła tego, wytłumaczone po polsku, znajdują się w Pamiętniku Warszawskim 1803 roku. Nie mogę atoli przenieść na siebie, bym nie przytoczył z tego dzieła opisanie domu marszałka koronnego Kazanowskiego. W te słowa mówi Le Laboureur o jego wspaniałości:

«Przed wyjazdem swoim marszałkowa de Guébriant chciała odwiedzić przedniejsze domy królestwa. Gdy przybyła do marszałkowej Kazanowskiej, mąż pani tej, wzór doskonałej grzeszności, mimo trapiącej go podagry, znieść się kazał ze schodów. Trzystu uzbrojonych hajduków w szyku stanęło na dziedzińcu. Wokoło marszałka widziano więcej niż pięćdziesiąt młodej szlachty, ubranej w żółty atłas, z krótką powierzchnią suknią z niebieskiego atłasu; otaczali go poważniejsi przyjaciele, ubrani do przepychu.

Marszałkowa Kazanowska, córka p. Służki, wojewody nowogrodzkiego, miała około siebie mnóstwo młodych



panien, przystojnie ubranych. Bardziej jeszcze zadziwiłiśmy się nad wspaniałością, kiedyśmy weszli do domu. Włochy, później przez nas zwiedzane, co do przepychu i smaku, nie mają nic, coby z domem Kazanowskiego porównać można.

Wyznaję, że byłem zachwycony, a raczej, że w śnie do oczarowanego przeniesiony byłem pałacu. Bo lubo dom zbudowany jest w kwadrat, architekturą włoską, nie obiecuje jednak podobnych dziwów we środku. Sześć dużych sal ciągnęły się jedna po drugiej, każda z niej prowadziła do ubocznych pokojów. Wszystkie obite makatami ze złota i srebra, jakich tylko najbogatsze kraje wschodnie dostarczyć mogą; w niektórych stały łoża ze złotej nastrzępionej lamy; świetny blask ich zdawał się przewyższać promienie wschodzącego słońca. W pomniejszych gabinetach widzieliśmy zbiory najrzadszych ciekawości; stoły okryte naczyniami ze złota, srebra, bursztynu i drogich kamieni. Pan domu mniej je wystawia dla przepychu, lecz raczej, żeby mieć stąd powód ofiarowania ich odwiedzającym go znaczniejszym osobom.

Prosił on marszałkowej de Guébriant, by sobie co wybrała, a lubo ta wymówiła się od tego, oboje Kazanowscy przysłali kilka drogich sztuk wyrabianych z bursztynu.

Co mnie więcej jeszcze nad te wszystkie wspaniałości zadziwiło, to dwu karzełków, stojących jak gdyby na straży przy dwojgu psiąt tak małych, że nie przechodziły wzrostu myszy. Oboje spoczywały w małym koszyku na usłanych poduszeczkach, woniami napełnianych; za najmniejszym ruszeniem zrywały się te psiąta i szczykały z wielkim gniewem, lecz jedno skinienie karzełka zwracało je do koszyka.

Po obejrzeniu tych wszystkich ciekawości i po godzinie rozmowy, weszliśmy do wielkiej sali. Wśród tej był wytrysk srebrny, rzucający wody pachnące. Zastawione cztery stoły, na dwadzieścia osób każdy; złociste czary napełnione były konfiturami suchymi, tak pięknymi, jakich we Włoszech nie zdarzyło mi się widzieć. Kredens wspaniała i bez szacunku prawie, już to dla złota, już dla wybornej w rozmaitych kształtach roboty; wspomnę tylko Bachusa naturalnej wielkości, siedzącego na beczce srebrnej. Pięćdziesięciu szlachty pokojowców roznosiło napoje w kryształowych kubkach na złotych miseczkach. Dwudziestu czterech skrzypków przygrywało przy wieczerzy.

Gdy wszyscy wstali od stołu, zaczęły się tańce; marszałkowa Kazanowska tańczyła z p. Służką, bratem swoim, podskarbin litewskim; margrabia Myszkowski z żoną swoją, za nimi cała kompania. Nie widziałem nigdy poważniejszego, gładszego i przyjemniejszego tańca. Tańczono wkoło; w pierwszym okręgu same tylko były ukłony, dalej takt powolny, znów damy, prowadzące koło, śpieszniejszym krokiem zwracały się w środek, jak gdyby uciekały przed goniącymi ich kawalerami. W wielu domach z równem upodobaniem patrzałem na ten rodzaj narodowego tańca. Rozumiałem, że Polacy nie umieli innego, lecz w Radziejowicach u krajczego koronnego Radziejowskiego, przekonałem się, że równie doskonale tańczyli francuskie, włoskie, jako też i polskie tańce».

*J. U. Niemcewicz.*

### 36. Trzęsienie ziemi w mieście Karakasie <sup>1)</sup>.

Dzień 26 marca r. 1812 w mieście Karakas był nadzwyczaj gorący: w powietrzu była zupełna cisza i ani jednej chmurki na niebie. Już od pięciu miesięcy w całej prowincyi Wenezueli panowała bezprzykładna susza, a na 90 mil dokoła nie spadła ani jedna kropla dżdżu. Nic zgoła nie zapowiadało zbliżającej się okropnej katastrofy. Był to Wielki Czwartek, i wszystek lud zebrał się w kościołach, kiedy 7 minut po czwartej po południu dało się ucuć pierwsze uderzenie.

Trwało ono od 5 do 6 sekund i było o tyle silne, iż spowodowało ruch wszystkich dzwonów na dzwonicach. Wnet potem nastąpiło drugie uderzenie, trwające od 10 do 12 sekund, które wprawiło ziemię w ruch falowaty, nakształt wody, przechodzącej w stan wrzenia.

Już myślano, iż niebezpieczeństwo przeszło, kiedy dał się słyszeć przerażający huk podziemny, podobny do uderzenia piorunu, i po nim zaraz dało się ucuć mocne wstrząśnienie pionowe, trwające od 3 do 4 sekund, które potem przeszło w falowanie cokolwiek dłuższe. Uderzenia jego szły w kierunkach przeciwnych i krzyżują-

<sup>1)</sup> Jest to najważniejsze miasto w Wenezueli, ma 50,000 mieszkańców i uniwersytet. Wenezuela odznacza się od innych państw Ameryki południowej dobrobytem i oświatą.

cych się z sobą i były tak gwałtowne iż całe miasto runęło od nich w gruzy. Większa część jego mieszkańców została pogrzebana w zwaliskach swoich domów i kościołów.

Z tych ostatnich miała wyjść procesya, i natłok ludzi w nich był tak wielki, że podają na 3 do 4 tysięcy liczbę tych, co zginęli pod ich sklepieniami, które się zapadły.

Kościoły św. Trójcy i Alta Gracia, które miały wysokości przeszło 150 stóp i których sklepienia podpierały filary grube na 12 do 15 stóp, zamienione zostały w kupy rumowiska, wysokie na 5 do 6 stóp i podobne do kopców piasku.—Ich kamienne masy starte były w proch tak zupełnie, że w gruzach niepodobna było znaleźć szczątków dawnych rzeźb, gzemów, kapitelów i innych ozdób architektonicznych.

Ogromne koszary, leżące na północy od kościoła św. Trójcy, znikły prawie zupełnie. Cały pułk piechoty, który stał w nich naówczas pod bronią, mając udać się w paradzie na procesyę, z wyjątkiem kilku, którzy zdawali uciec, zginął pod ich zwaliskami.

Po krótkiej chwili, dziewięć dziesiątych części tego wielkiego i wspaniałego miasta, jednego z najpiękniejszych w Ameryce południowej, zostało zburzonych do szczytu. Mała ilość budynków na pozór ocalałych, jako to na ulicy św. Jana, była tak uszkodzona, iż nie mogła nadal służyć za mieszkanie.

Mniej cokolwiek zniszczenia widać było w częściach miasta zachodniej i południowej, między wielkim placem miasta i leżącym za nim wąwozem. Tutaj pozostał ogromny kościół katedralny, który ochroniły od wypadku jego olbrzymie kamienne podpory.

Podają liczbę zabitych od tego trzęsienia na 9 do 10 tysięcy, a jak zwykle w takich razach, było jeszcze więcej pokaleczonych. Po dniu pełnym grozy nastąpiła noc cicha i pogodna, trzęsienia ustały zupełnie; tuman kurzawy, podnoszący się nad zwaliskami i zaciemniający widnokrąg nakształt grubej mgły, opadał na ziemię; księżyc w pełni oświecił swoim bladem światłem obraz niewypowiedzianej klęski. Resztki ludności z jękiem i płaczem błąkały się pomiędzy zwaliskami pełnymi trupów, z pośród których dawały się słyszeć jękliwe wołania o pomoc ranionych i pozostałych jeszcze przy życiu. Ciśniono się i starano rozpoznać po ulicach i miejscach,



przed kilku godzinami dobrze znanych, a które teraz uległy tak straszному przeobrażeniu.

Wszystkie okropności zniszczenia, które wskutek takiej plagi dawały się widzieć przedtem gdzieindziej, jak np. w Lizbonie, okazały się tu jakby zebrane razem.

Po przebyciu takiej straszliwej plagi wzięto się przede wszystkim do ratowania pokaleczonych i zagrzebanych żywcem. Udało się wyciągnąć z gruzów przeszło 2000 tych nieszczęśliwych. W braku pomieszczenia, złożono ich za miastem, nad brzegami rzeczki Guayra, pod cieniem drzew; ale pośród tego ogólnego zniszczenia brakło wszystkiego: nietylko narzędzi chirurgicznych, ale wszystkich naczyń i sprzętów, łóżek i bielizny, i nareszcie zapasów żywności; wszystko pogrzebane było w gruzach. W braku rydłów i motyk rozkopywano je rękami.

Nawet wody zabrakło, bo wszystkie źródła i studnie w części znikły, a w części zostały zawałone ziemią; musiano tedy nosić wodę z płynącej daleko pod miastem rzeczki, przy wielkim braku naczyń.

Po ciężkich trudach, poniesionych dla zachowania przy życiu tych, którzy przeżyli ów dzień zniszczenia, wzięto się do ostatniej posługi tym, którzy padli jego ofiarą. Niepodobna było grzebać, jak należy, tak niezmiernej ilości trupów, i lękano się szkodliwych wyziewów od ich zgnilizny; ułożono przeto na zwaliskach miasta stopy drzewa i palono ciała zabitych przez kilka dni. Po tej straszliwej klęsce ogarnęła wszystkich pozostałych wielka trwoga i jak to zwykle bywa w wielkich nieszczęściach, nawróciła ich do Boga. Widziano tedy wszystkich bez wyjątku korzających się w rzewnych modłach, widziano zaciętych wrogów, po wielu latach nienawiści rzucających się sobie w objęcia i darowujących sobie wzajemne urazy; widziano ludzi ku powszechnemu zdumieniu wyjawiających swoje złodziejskie rzemiosło przed ogółem, który miał ich przedtem za ludzi uczciwych, oraz znoszących swoje łupy, nagromadzone od lat wielu i od czasów niepamiętnych, a pokryte zasłoną nieprzeniknionej tajemnicy. Zgoła wszyscy weszli w siebie, na groźne widowisko jakby powszechnego sądu i kary.

Potem wszystko znowu wróciło do swego zwyczajnego trybu: nowe życie zaczęło kiełkować i rozwijać się na

ogromnym świeżym grobie, a świat znowu i tam, jak wszędzie, zaczął kręcić się po dawnemu swojem zwyczajnem kołem.

*Strojnowski.*

### 37. L w ó w.

Lwów, niegdyś stolica Rusi halickiej, leży w głębokiej kotlinie, ze wszech stron otoczonej górami, nad małą rzeczką Pełtwią. Założycielem jego był Lew, książę Halicki, od którego też imienia miasto Lwowem nazwano. Zbudowawszy tu dwa zamki, jeden na szczycie wysokiej góry, wówczas *Łysą*, a dziś *Zamkową* zwanej, drugi u stóp jej w dolinie, gęstym zarosłej borem, oba drewniane, książę Lew przeniósł tutaj stolicę swoją z Halicza. Nowa stolica wzrastała i zaludniała się szybko, a mieszkańcy otrzymali od księcia liczne przywileje.

Kazimierz W., prawem dziedzictwa objąwszy Lwów wraz z ziemią Halicką i przyłączywszy ją do Polski, zburzył oba zamki drewniane, górny i dolny, a w miejsce ich postawił murowane, warowne. Szczyłek tego Kazimierzowskiego muru pozostał jeszcze do dziś dnia na szczycie góry zamkowej. Król ten obdarzył miasto nowemi łaskami i przywilejami, tak, iż wzrastając w ludność i zamożność, stało się ono wkrótce ogniskiem handlu, rozciągającego się aż do krańców Wschodu.

Po śmierci Kazimierza W., następca jego Ludwik, król węgierski, zagarnął był chwilowo Ruś Halicką i do węgierskiej korony przyłączył; ale córka jego Jadwiga, już jako królowa polska, pod niebytność Jagiełły, zajętego nawracaniem pogańskiej Litwy, wyprawiwszy się zbrojnie na Ruś, odzyskała ją wraz ze stolicą ziemi halickiej, Lwowem, który już odtąd nieprzerwanie do Polski należał.

Królowie polscy przyczyniali się kolejno do jego wzrostu przez różne nadania i przywileje. Wszelako Lwów dawny niewiele był do dzisiejszego podobny. Było to miasto małe, ujęte w ramy podwójnego muru, zamykającego czworobok dosyć foremny, oddzielony od przedmieść rozciągającymi się za murem wałami i fosą.

W nowszych już czasach zburzono warownie, na miejscu wałów miejskich zasadzono drzewa i urządzono przechadzki, dotąd jeszcze wałami zwane. Cztery bramy większe, a dwie mniejsze prowadziły do miasta. Ponad

murem miejskim wznosiło się siedemnaście baszt warownych, a każda powierzona była obronie jednego z cechów rzemieślniczych.

Za miastem, na szczycie góry zamkowej wznosił się poważny i wspaniały zamek, który zdaleka o mil dzie sięć widny był w około. Gdy królowie zjeżdżali do Lwowa, tam miewali swoje mieszkanie.

Wspaniałe krużganki obiegały dokoła wewnątrz zamku; ponad nim obronne jeżyły się baszty. U podnóża góry był drugi zamek dolny. Ten, oprócz pomieszkań dla dworu królewskiego i różnych urzędów, zawierał archiwę grodzkie i zbrojownię. Oba zamki były warowne, a zwłaszcza górny, który z samego już położenia swego nieprzystępny był i trudny do zdobycia.

Podczas napadów nieprzyjacielskich i oblężeń, na które Lwów po wielekroć bywał narażony, bronili miasta zazwyczaj mieszczanie: złożona z nich załoga miejska nieraz dzielnie zadania swego dopełniała. Dawnemi czasami niemal corocznie zapędzały się na Ruś hordy Tatarów, często aż pod sam Lwów zapuszczając zagony swoje. Później Turcy, Kozacy, Szwedzi, po wiele razy Lwów oblegali, palili i niszczyli.

Pamiętne są w jego obronie zwycięstwa Jana Sobieskiego i Stanisława Jabłonowskiego. Pokazują dotąd jeszcze na wzgórzach pod ogrodem Jabłonowskich tak zwane szańce tureckie.

Szwedzi, pod wodzą Karola XII opanowawszy miasto, zrabowali je do szczytu. Był to cios dla Lwowa największy, po którym nie mógł już wrócić do dawnej świetności.

We Lwowie było niegdyś czterdzieści kościołów. Najdawniejszym z nich i najokazalszym jest katedra obrządku łacińskiego, której budowę rozpoczął był jeszcze Kazimierz W., a dokończył Władysław Jagiełło. Wspaniała ta świątynia jest w stylu gotyckim: wysmukłe i lekkie filary wybiegają w górę, splatając się ostrołukami gotyckiego sklepienia. Po bokach kościoła część kaplic przypiera do głównej nawy, jakoto: kaplica Zamojskich, Buczackich, i t. d. Z pomiędzy pomników zwracają szczególnie uwagę grobowce: Michała Buczackiego w spiżowej płaskorzeźbie przedstawiający rycerza w pełnej zbroi; Stanisława Żółkiewskiego, ojca sławnego hetmana poległego pod Cecorą; Jana Zamojskiego i Tarnowskie-



go, arcybiskupów lwowskich. Obok katedry stoi przytykająca do ulicy Halickiej kaplica, *Ogrójcową* zwana, prześlicznej budowy w stylu Odrodzenia.

Po kościele katedralnym najpiękniejszym jest kościół OO. Bernardynów, w którym spoczywają zwłoki błogosławionego Jana z Dukli. Jest do tego przywiązana legenda, odnosząca się do czasów najazdu Chmielnickiego. Kościół jezuicki, fundowany przez Jabłonowskich, zawiera groby tej rodziny. Najnowszy wreszcie z kościołów lwowskich, dominikański, zbudowany jest na wzór kościoła św. Piotra w Rzymie; cerkiew wołoska, z ciosowego kamienia, w stylu bizantyńskim, z trzema pozłocistymi kopułami i piękną wieżą, zwraca na siebie uwagę wspaniałością budowy, aczkolwiek wewnątrz potraciła już dawne rzeźby i ołtarze. Metropolitalna cerkiew św. Jerzego jest to przepyszna budowa w stylu włoskim; wewnątrz jednak kościoła nie odpowiada jego piękności zewnętrznej.

Lwów może się tem pochlubić, że liczy stosunkowo więcej zakładów dobroczynnych, niż inne wielkie nawet miasta; ma nadto uniwersytet, politechnikę, bibliotekę zakładu Ossolińskich, liczne i piękne ogrody i wiele wspaniałych gmachów.

*Władysław Zawadzki.*

### 38. Rzeszów i jego okolice.

W pół drogi między Lwowem a Krakowem, na lewym brzegu Wisłoka, przez który prowadzi most z ciosowego kamienia, wznosi się miasto Rzeszów, dziś stolica obwodu, którego rozległość wynosi przeszło 80 mil kwadratowych, a zajmuje części powiatów pilźnieńskiego i sandomierskiego. Położone na głównym gościńcu, ma znaczne przed innymi miastami korzyści i liczy obecnie około 60000 mieszkańców <sup>1)</sup>. Zdobę je kilka starożytnych gmachów, jako to: kościół farny, kościół bernardyński, takiż sam niegdyś pijarski, dalej nieco za miastem, na zachód, piękny i dobrze niegdyś obwarowany zamek książąt Lubomirskich, gdzie dziś sąd kryminalny.

Prócz szkół gimnazjalnych i realnych, są tu także

<sup>1)</sup> Dziś Rzeszów liczy 15000 mieszkańców.

szkoły dla dziewcząt <sup>1)</sup>). Żydzi stanowią większą część tu-tejszych mieszkańców i trudnią się handlem, jako też pieczętarstwem i złotnictwem, ale wyroby ich są najczęściej z podłego złota, skąd pospolicie zowią je złotem rzeszowskiem <sup>2)</sup>).

Samo miasto leży w polistej równinie, odsłaniając zewsząd oku podróżnika białe, schludne swe domy. Ledwie tu i owdzie ujrzysz opodal lekkie wzgórze; toż samo lasy są dość oddalone, a jedne z najdawniejszych ciągną się około Łańcuta, o parę mil stąd odległego.

Okolice Rzeszowa tak ta, która dzisiejszy obwód jego stanowi, jako i owa, z którą dawniej to miasto jedno ziemstwo składało, łączy w sobie różne cechy naszej ziemi i jest z niejednego względu wielce ciekawa. Kiedy w jednej stronie około Przeworska, ku wschodowi, ciągnie się pasmo najżyźniejszych płaskowzgórzy, na których urodzone ziarno dla swej osobliwej ciężkości od dawna przenoszone było nad inne, niedaleko, w stronie przeciwnej, około Kolbuszowej przez Sokołów, Leżajsk, aż za drugi brzeg Sanu, przeciąga się pas piaszczysty, podobny do tego, który przez część Śląska i Krakowskiego ku Pomorzu przechodzi. Znajduje się w nim pełno konch, skorup, a niekiedy odłamy granitu, co naprowadza ziemioznawców na myśl, że ten zasep uformował się wskutek gwałtownego ścieku wód morskich. Brodząc temi piaskami pośród lasów szpilkowych, przypomni ci się Mazowsze z całym wyrazem swojej rodzimej fizjonomii.

Z południa wreszcie podnoszą się coraz wznioślejsze góry, najrozmaitszym lasem okryte, odsłaniające na wszystkie strony najpiękniejsze widoki, a przedewszystkiem na Karpaty, ten główny typ kraju naszego.

Właściciele Rzeszowa w różnych czasach nie z jednej byli rodziny, chociaż się Rzeszowskimi nazywali; później przechodziła ta majątność do różnych rodzin.

Miasto było ludne i dobrze zabudowane. W roku 1263 Mikołaj Spytek de Bobrek Ligieza, kasztelan sandomierski, opasał je wałami i parkanem z basztami. Miało trzy bramy: murowaną, dębową i zamkową.

<sup>1)</sup> Dziś szkoły te nie istnieją; jest w Rzeszowie gimnazjum wyższe, szkoła wyższa i seminarjum nauczycielskie męskie.

<sup>2)</sup> Dziś przemysł ten ustał.

Miało zresztą jarmarki, podobne do jarosławskich i prowadziło znaczny handel.

Po Wisłoku, który już od wsi Staromieścia pod Rzeszowem był splawny, chodziły do Gdańska rozmaite statki, jako to: szkuty, półszkutki, lichtany mniejsze i większe, wreszcie tratwy, klepki, wańczosy i t. p., jak to widać z ustawy z roku 1589, która przeczyszczenie tej rzeki nakazywała. O zamożności miasta świadczy i to, że ustawa radziecka z roku 1591 nakazują krawcom rzeszowskiemu kupować sukno na odzież od własnych sukienników; a tylko wtedy, gdyby im ci nie dostarczali potrzebnej ilości, wolno im było, opowiedziawszy się w sądzie, udawać się do sukienników obcych. Był tu także szpital dla wojskowych, założony roku 1605 przez Mikołaja Ligięzę, i bank pożyczkowy dla ubogich. Żydzi tu-tejsi byli doskonałymi złotnikami i pieczętarzami, a towary swoje wywozili do Wiednia, Sztokholmu, Berlina i Petersburga. Jeszcze niedawno był jeden żyd rzeszowski nadwornym królewskim pieczętarzem w Kopenhadze, drugi w Sztokholmie, dwaj zaś inni dostarczali kamieni rzadszych i droższych dworowi cesarskiemu w Petersburgu.

Zakon Pijarów rzeszowskich miewał w swoim zgromadzeniu ludzi światłych i zasłużonych krajowi. Dostyć jest wspomnieć, że między nimi znajdował się czas jakiś Stanisław Konarski, a uczony Pijar rzeszowski, Bielecki, pomagał Liesganigowi w pierwszym pomiarze Galicyi i ułożeniu dokładnej mapy tego kraju.

Lud w tych okolicach jest dorodny, krzepki i przemysłny. Pełno tu jest garbarzów, tkaczy, sukienników i rękodzielników wszelkiego rodzaju, a stąd w ogólności mieszkańcy mają się tu lepiej, niż w wielu innych stronach Galicyi. Ubiorem zwykłym włościanina jest biała płótnianka w formie żupana i czapka z czarnymi barankami i wysokim wierzchem, a około Rzeszowa czworograniastym, karmazynowym, który to kolor za najciemniejszy uchodzi.

Po kształcie tych czapek rozpoznają się mieszkańcy różnych miejsc, czy który jest od Sokołowa, Głogowa, Sędziszowa lub też Tyczyna.

*August Bielowski.*



### 39. Dolina śmierci.

Wydostawszy się z gąszczów dziewiczego lasu Jawy <sup>1)</sup> i wszedłszy na niewielkie wzgórze, strwożony wzrok wędrowca ogląda straszliwy obraz spustoszenia. Jak oko zasięgnie, rozpostarła się dolina płaska, bezludna, pusta, bez żadnego śladu roślinności, spalona słonecznym skwarem. Śmierć tylko zamieszkała w tej krainie, zasianej szkieletami i nawpół spróchniałymi kośćmi. Po ich składzie łatwo się domyśleć, że tam tygrys padł nagle w chwili schwywania swojej ofiary, tu ptak drapieżny na jego trupie temuż samemu uległ losowi. Wszędzie porozrzucane stopy chrabąszczy i innych owadów niezwykłych.

Słusznie więc zastosowano do miejsc tych miano Doliny śmierci. Mniemaniem krajowców zgubną tę własność zawdzięcza ona jadowitym wyziewom z roślin trujących, a ten fenomen wzbudza tem większą trwogę, iż dotąd na te gwałtowne jady żadnych zaradczych środków wynaleźć nie można było.

Lecz w rzeczy samej jest to działanie wyziewów kwasu węglowego, który, skutkiem swej ciężkości, bardzo powoli miesza się z wyższymi warstwami atmosfery. Gaz ten więc zadaje śmierć nieuchronną wszelkiemu żyjącemu stworzeniu, które nisko przy ziemi nim odetchnie. Tylko człowiek, chodzący z głową ku niebu podniesioną, może przebywać bezkarnie to złowrogie pustkowie, bo duszące wyziewy nie dosięgają jego oddechu.

Nie zazdrośćmy więc mieszkańcowi tych precudnych rajów, ani drzew chlebobajnych lub mlekiem płynących, ani palm rozkosznych i ich słodkich owoców, ani tej mnogości kwiatów nad wszystkie pięknych i wspaniałych, ani uroczego południowych mórz blasku, bo w tych lasach majestatycznych, bogatych rozlegają się wycia szakali, panter, tygrysów.

Po obszernych błoniach, porośłych tysiącami gatunków suchych traw i liści, kaktusów i aloesów, uwzorowanych

<sup>1)</sup> Jawa, najurodzajniejsza i najpiękniejsza z wysp Wielkich Sundzkich na oceanie Indyjskim; wyspa ta przynosi olbrzymie dochody Holendrom.

we wszystkie kolory, pod pysznym kwiatem ślizga się wąż także ze śmiertelnym jadem.

Nad brzegami rzek wspaniałych i w morskich toniach czatują kajmany, aligatory, krokodyle i inne żarłoczne potwory, a gdy urwiesz dojrzały owoc, lub z drzewa mlecznego płynu utoczysz, nie wiesz, czy słodki pokarm, czy śmierć straszliwą do ust twych niesiesz; kiedy zaś zapachem znęcony, pod cieniem ukwieconego drzewa zechcesz odpocząć, może cię woń ta na śmierć umorzyć. Tak to drogo są opłacone wszystkie te przepychy, dostatki, wygody i rozkosze!

O ileż pewniejsze i bezpieczniejsze są te przyjemności i potrzeby do życia, które człowiek zmuszony jest sam sobie z trudem utworzyć w uboższych ziemiach sfery umiarkowanej. Tu on walczy z surową naturą, ujarzmia ją i zmusza, by mu posługiwała; tam rozkoszna natura chociaż go darzy, ale i gnębi. Tu zwierzęta leśne są jego sługami, niewolnikami, tam panami. I tam człowiek musi bojować, staczać walki na śmierć lub życie, lecz bojowanie to, czysto fizycznej natury, zabezpieczyć mu może tylko żywot zwierzęcy, a moralnie, unysłowo ani na krok jeden nie posunie go wyżej. I twarz jego nie ozdobiona wyrazem rozumu i myśli, i ciało, często szpetniejsze od zwierzęcego; a w niejednej krainie tych wspaniałych części świata, wśród tych cudnych piękności przyrody, ludzie wyglądają, jak gąsienice, żyjące na różach.

*Gor...*

## 40. U p a s.

Wspaniałym jest widok gór Jawy, wytworzonych przez wulkaniczne wybuchy. Europejczyk, zwiedzający tę wyspę, nie może jej przyrównywać do żadnej z okolic swego lądu. Lasy jej także całkiem odrębny noszą charakter; zapuszczamy się w nie ciekawie, lecz z pewnym rodzajem trwogi. Wkoło palm wyniosłych srożą się ciernie i kolce, trzciny z ostrym liściem, przerzynającym jakby noże, a w gęstwinie straszne pokrzywy groźnie się podnoszą. Wszystko zdaje się odpierać ciekawego, co pragnie puszczyć tych zbadać tajniki. W dodatku, ogromne czarne mrówki napastują wędrowca niebezpiecznym uką-

szeniem, niezliczone roje skrzydlatych owadów ścigają go i dręczą. Jeżeli go ciekawość uzbroi w nadludzką odwagę i przebrnie przez te niebezpieczeństwa, które jakby przednie strażę wartują u wejścia do lasów, napotka nową zaporę. Ogromne kępy bambusów, jak ręka grubych, wysokich na stóp pięćdziesiąt, z korą tak twardą, że jej najsilniejsze cięcia siekiery nie podolają, tamują mu dalszą drogę. Gdy i tę przeszkodę zwycięsko ominął, to już wstępuje pod majestatyczne sklepienia prawdziwego dziewiczego lasu. Widzi pnie obrzymie, pęki świetnych kwiatów, kolumnady z figowych i laurowych drzew; z gałęzi na gałąź przeskakują różnych gatunków małpki, i drażniąc się z przechodniem, rzucają nań owocami.

Głębiej, z omszonej skały schodzi orangutang z marsowatym i smętnym obliczem, i podpierając się kijem, w gąszcz się zanurza. Zdaleka słyhać wycie hijen i tygrysów. W dalszym pochodzie nieustraszony podróżny spotyka drzewo nad inne wystrzelone, półkulistą koroną powiewające dumnie ponad roślinami, które wokół niego pokornie się grupują.

Lecz biada człowiekowi, jeżeli skóry jego dotknie płyn mleczny, obficie zawarty w korze tego drzewa, łatwo pękającej: na ciele jego natychmiast wystąpią bąble i bolesne wrzody. Jest to bowiem drzewo upas, którego strasznej trucizny używają do strzał swoich mieszkańcy wysp morza Południowego. Jad ten zabija gwałtownie; choćby tylko zakłuć palec, wnet twarz brzęknie, sinieje, występują plamy, a białko oka żółknie, zjawia się drżenie, konwulsje i śmierć w kwadrans przychodzi. Zbierają ten jad z największą ostrożnością. Okrywszy sobie głowę, ręce i całe ciało, jeszcze doń nie przystępują zblizka. Przytwierdzają stalowe ostrza do wydrążonych bambusów, i do dwudziestu takich rynien wbijają naokoło drzewa w korę. Po kilku dniach, gdy żywica trująca spłynęła i zakrzepła, odrywają bambusy, zatykają starannie i chowają do użytku. Utrzymują, iż sam wyziew drzewa już sprawia spazmy i odrętwienie, że przechodząc pod niem z odkrytą głową, włosy się postrada, że ptaki w locie nad niem słabną, a który na gałęzi przysiadzie, wnet ginie.

*Gor ...*



## 41. Sandomierz <sup>1)</sup>.

Z Pokrzywnicy najwyborniejszą drogą przejeżdża się do Sandomierza. Miasto to leży na wysokiej górze, wśród pięknej równiny z jednej strony, z drugiej oblewa je Wisła. Dzięki świątyniom i od nich wzbijającym się wysoko wieżom, wiele zniszczonych wewnątrz miast naszych nosi zdaleka pozór dawnej wspaniałości.

W dziejach ważnem jest miejsce Sandomierza. Nim o nim wspomnę, nim wspomnę ostatnie zdobycze, krwawe zapasy, smutny nakoniec i opuszczony stan jego dzisiejszy, nadmienię pokrótce, w jakim kwiecie i zamożności widzieli to miasto opisujący go dawni pisarze.

Póki berło polskie przechodziło dziedzictwem w pokoleniu Piastów, Sandomierz był mieszkaniem synów lub braci królewskich. Jakoż po Krakowie przyjemniejszego położenia wybrać nie mogli.

Andrzej Cellari i Stanisław Sarnicki tak o nim mówią: «Położenie Sandomierza jest jedno z najprzyjemniejszych i najżyźniejszych w Polsce. Kazimierz Wielki i inni królowie przebywali w nim dla rozkoszy miejsca i zdrowego powietrza. Tu z wyniosłej góry widać rzekę San, wlewającą się w Wisłę; wesołe, rozciągle równiny, gaje, liczne włości, sady ogrodowych drzew tak są gęste, iż mniemasz zdaleka, że potężne to miasto wśród wielkiego zbudowane jest lasu. Żyzne niwy wydają wszelkiego rodzaju plony; gruszki, jabłka, śliwy, wiśnie, brzoskwinie, orzechy, nie ustępujące włoskim; winogrona obfite i do jedzenia smaczne, wina atoli z nich są cokolwiek cierpkie.

Tej piękności położenia, tej żyzności ziemi nowych dodaje powabów obyczajność i grzeczność mieszkańców. Znajdziesz tu sławnych lekarzy, wybornych muzyków, ludzi w naukach biegłych; mnóstwo szlachty, dla magistratur stołecznego miasta mieszkającej tu ciągle, wesołe, zamożne i gościnne duchowieństwo; do tego ryb, miodu, łososi, zwierzyny i innych przysmaków obfitość nie do wiary. Natura i sztuka uczyniły gród ten silnym. Zamek królewski zbudowany na wyniosłym i stromym

<sup>1)</sup> Pisano przed rokiem 1828.

wzgórku; przystęp do niego jest trudny. Kolegiata i kościół jezuicki, wspaniałe za miastem kościoły świętego Jakóba i świętego Pawła, otoczone pięknymi drzewy: wszędzie postać miasta ludnego i zamożnego».

Takim był Sandomierz aż do czasów Władysława IV.

Kilkowiekowe dzieje tego miasta pełne są smutnych wspomnień i wypadków tragicznych.

W XIII wieku i później, i już za naszych czasów, okropne dotknęły go klęski! W r. 1214 Tatarzy napadli na miasto, duchowieństwo i mieszkańców w pień wycięli. W r. 1259 opanowali je powtórnie; lecz przez wiele dni i nocy napróżno dobywając zamku, sztucznym nakoniec podstępem weszli weń, wszystkich mieszkańców wyrznęli lub potopili w Wiśle. Rzeź w zamku tak była okropną, iż krew, potokami zlewając się z Wisłą, zaczerwieniła jej nurty. W r. 1287 znów miasto napadli Tatarzy, lecz napróżno kusili się o gród; zostali odpędzeni ze stratą. Tenże sam los i Czechów napotkał.

W roku 1655 Szwedzi wydarli miasto Polakom, ale w następnym roku, dnia 20 marca, Polacy odzyskali je napowrót. Lecz nieprzyjaciel, wychodząc, zostawił pod zamkiem założone prochy, które, gdy już nasi weszli, zapalił i okropną sprawił klęskę. Kochowski, naoczny świadek, tak opisuje ten czyn zdradliwy:

«Czarnecki, dobywszy miasto Sandomierz, smutny spoglądał na gmachy, ogniem splonione; dobytec atoli zamku odkładał na dzień następujący. Tymczasem prócz żołnierzy mnóstwo ludu z okolic, przynęcone bogatemi łupami, które Szwedzi przechowywali w zamku, do Czarneckiego garnąć się zaczęło. Synkler, dowódca szwedzki, przelekniony tem mnóstwem, wstydząc się jednak w obecności prawie króla swego spokojnie twierdząc tę oddać Polakom, zebrał wśród czarnej nocy ile było statków i niepostrzeżony, oddalił się nurtem rzeki. Za ledwie za pierwszą zorzą część wojska weszła do zamku, gdy podłożone przez Szwedów prochy, zapalone lontami, wieżę z okropnym hukiem w powietrze wysadziły. Pięćset Polaków straciło tam życie; rozdarte członki na ostrych skałach znalazły mogiłę. Z zamkiem splonęły wszystkie archiwa województwa, skąd strata niezmierna, a później źródło nieskończonego pieniactwa».

Takie są Sandomierza i jego okolic żalosne i chlubne razem pamiętki. Nie dziw, że miasto, wytrzymawszy tyle

upadku i zwalisk, wystawia smutne widowisko. Widać jeszcze w zamku okropne podsad szwedzkich wyłomy, zniszczony kościół pojezuicki, zniszczony dawny wspólny ratusz, w walących się domach rzadki mieszkaniec, wszędzie ubóstwo, opuszczenie, głucha cisza i smutek. Dlatego więcej niż inne miasta, Sandomierz czeka szczęśliwej przyszłości. Jedna katedra świadczy o dawnej jego zamożności. Jest to świątynia obszerna, bogato ozdobna, mająca wiele uwagi godnych malowań: szczególnie zaś w kilkunastu dużych obrazach ułożenie i rysunek życia Chrystusa Pana, acz cokolwiek suche, pełne są szlachetności i uczucia. Mniej już piękne obrazy wyrażają rzeź Sandomierza przez Tatarów.

*J. U. Niemcewicz.*

## 42. Grota bazaltowa na wyspie Staffa.

Staffa jest jedną z wysp Hebrydzkich, należących do Szkocyi; mieści się pod 57-m stopniem szerokości północnej, o 15 mil od wyspy Mull.

Celtyckie nazwisko tej wyspy jest *An-na-vine*, albo *Fi-ne*, co według jednych ma znaczyć grotę harmonijną, według innych, grotę Fingala. Często się zdarza, iż wiatry albo morze wzburzone dostają się do głębi groty przez bazaltowe słupy, z natury w kształcie piszczałek organowych ułożone, i tym sposobem tony cudownej harmonii wydają. «Są to arfy Eola cieniów Fingala» — mówią mieszkańcy, którzy do Fingala, ojca Ossyana, wiele cudownych przywiązują podań.

Cała wyspa Staffa jest jedną masą lawy i bazaltu. Brzegi jej są urwiste i ze wszystkich stron niedostępne, wyjąwszy bardzo małe miejsce nad wysepką *Boo-Sha-La*. Ze wszystkich stron widać niezmiernie kolumnady bazaltowe, a na pierwszy rzut oka, zdaje się, iż wszystkie z głębi morza nagle powstały.

We wszystkim, na co oko spogląda, panuje taka regularność, że podróżny łatwo uwierzyć może, iż wchodzi do wielkich gmachów, ręką człowieka budowanych. Długie sklepienie, w pięknej proporcji wznoszące się, kolumny proste, węgły wciśnięte i wystające, których końce niezmiernie są czyste, sędzić każą, iż je dłuto zręcznego artysty wyrabiało; albowiem ta grota nie jest niską,



jak zwyczajne podziemia; nie znajdzie się w niej też żadnego kamienia, żadnego odłamu, któryby nie był przyzmatycznym; wszystkie mają symetrię i są regularnie ciosane.

Całość zdaje się być wielkim gotyckim kościołem, którego nawa wystawiaćby mogła dwa rzędy słupów połączonych kościoła, jakby od pożaru zczerniałego. Tło grotty jest ciemne i zakończy się jakoby chórem kaplicy.

Przystęp jest bardzo posepny i ma postać czarnych marmurowych wschodów, przez jakieś podziemne wstrząśnienie zrujnowanych. Wielkie słupy rozciągają się, jak długi mur, a z jednej strony, w środku, skład ich podobny jest do ciemnego konfesonału. Ta dziwaczna rozpadlina słupów tak dalej się ścieśnia, że w części najgłębszej ma tylko szerokość krzesła, i dlatego nazwano ją *krzesłem Fingala*. Wierzch tego sklepienia składa się ze złamanych kolumn, które dość regularnie sklepione, wystawiają obłąk w gotyckich budowlach.

Sklepienie to składa się z kolumn, które się oddzieliły w równych prawie odstępach, a których jedna część została w zawieszeniu, druga zaś, spadając, została wolną, obszerną przestrzeń jaskini. Bazalty są ściśle spojone przez materię wapnistą cytrynowego koloru, który się z kolorem żelaznym cieniuje. W wielu miejscach galerii kamienie mieniają się w barwach żółtych i pomarańczowych, gdy morze jest spokojne. Piękna przezroczystość wody podwaja skutek tej bogatej różnaitości kolorów.

Wyspa jest własnością rodziny Macdonaldów i przynosi 300 franków rocznego dochodu, raczej z rybołówstwa, niżeli z gruntu. Część zewnętrzna sklepienia jest płaszczyzną, pokrytą bardzo cienką warstwą ziemi rodzajnej, która uprawiona, zaledwo niejakié żdźbło owsa wydała. W środku wyspy widać jeszcze szczątki chaty. Krowy i konie bardzo drobne, i wszystkie czarne, pasą się wkoło; pasterze wszyscy mają smutne wejrzenie. Ponieważ okropne burze nawiedzają tę wyspę przez trzy części roku, pasterze nie mogą na niej mieszkać, lecz tylko z wyspy Jona przybywają tamże wśród lata. Całym ich widokiem, nieco samotność ożywiającym, są tylko owady i różné ptactwo na wyspie, szczególnieij około brzegów krążące.

### 43. Gniezno <sup>1)</sup>.

Leży w dolinie nad jeziorem, Jelonek zwanem. Wjeżdża się do Gniezna przez ulice lice, nieludne i opuszczone; są one wąskie, krzywe, a domy po większej części drewniane; żydostwo jak wszędzie, liczne i brudne, mieszka osobno, na ulicach rzadki przechodzień. Cała pycha miasta tego jest w katedrze, cała wartość we wspomnieniach.

Wypocząwszy ledwie chwilę po drodze, udałem się do tej świątyni. Równie ona wspaniała jest z wierzchu, jak wewnątrz i w najlepszym utrzymana stanie. Cały ten ogromny gmach pokryty jest miedzią, wspaniałe wieże, boki murów wysadzone gdzieniegdzie ułomkami bardzo pięknej rzeźby. Wchodzi się przez pyszne spiżowe podwoje; są one gładko ulane, z rzeźbą wypukłą w małych czworogranach. Każdy czworogran wyraża inny czyn życia jakiegoś świętego; nie jestem dosyć mocny w legendzie, bym rzeźbę tę mógł poznać. Pokazujący mi ją kapłani nie umieli jej wytłómaczyć; robota atoli piękna. Kościół jest ogromny, większy nierównie od kościoła świętego Stanisława w Krakowie, i jak on po obu stronach liczne mający kaplice, po większej części z grobami arcybiskupów gnieźnieńskich.

Świątynia ta na dawność swoją jest zbyt odświeżoną i nie ma tej posępnej powłoki wieków, która wzbudza uszanowanie i w święte dumanie pogrąża. Cztery ogromne pozłacane słupy z nakryciem wznoszą się nad ołtarzem i nad trumną srebrną, zawierającą zwłoki świętego Wojciecha.

Zgiąłem kolana przed tym świętym i poetą; lecz jakie były uczucia moje, gdy kilkunastu księży stanęło przed grobem tym i jęło śpiewać chórem pieśń starożytną «Boga Rodzica». Pienie tej prostej, lecz tkliwej melodyi, przy zwłokach kapłana, które przed blisko dziewięciu wiekami złożył obok podwojów Bolesław Chrobry, goetyckie napisy, gdzien rzucił oczy, posągi, leżące na prochach tych, którzy tu żyli; głęboko serce moje przejęły.

<sup>1)</sup> Pisano przed rokiem 1828.

Skończyły się pienia, a smutny dźwięk i zamyślenie moje trwało jeszcze. Weszliśmy potem do kapitułarza; są tu portrety arcybiskupów: Gembickiego, Macieja Łubieńskiego i innych. Piękny obraz śmierci świętego Stanisława ozdabia tę salę.

Tam złożona jest głowa świętego Wojciecha w złotem zamknięciu z pięknymi wyrzyciami, ozdobionem dwudziestu kilku szafirami, po większej części tak wielkimi, jak jaje kurze. Przez kryształ widać tylko wierzch zezerniałej czaszki świętego Wojciecha.

*J. U. Niemcewicz.*

#### 44. Rzeki znikające.

Cuda przyrody obcych stron świata, rozgłaszane przez tysiące opisów, rozchodzących się w tysiącach dzieł, dzienników, znane są i podziwiane powszechnie. Liczni podróżnicy wszelkich narodowości śpieszą je obejrzeć, aby się ich pięknnością i wspaniałością nasycić. Ani koszta wielkie, ani niebezpieczeństwa rzeczywiste nie odstręczają często i nas Polaków od podobnych wycieczek.

Ale cuda przyrody własnego naszego kraju, chociażby najdziwniejsze i w niczem nie ustępujące obcym, mimo że leżą tuż pod ręką, są dla nas obojętne, nieznanne, i mijamy je z ową apatją, świadczącą, że duch w nas zupełnie się jeszcze przebudził, że w wielu rzeczach umiemy tylko marzyć i naśladować obcych z dziwną pochopnością.

Zarzut podobny moglibyśmy udowodnić licznemi bardzo przykładami; na teraz zaś zrobimy tylko pytanie: czy czytelnicy słyszeli o rzekach krajowych, znikających zupełnie pod ziemią? Jest to zjawisko godne uwagi; i u obcych zajmowano się niem bardzo pilnie.

Każdemu, kto się uczył geografii, wiadomo, iż Tygr w Mezopotamii <sup>1)</sup> znika w głębinach ziemi na trzy dni drogi; że Droma w Normandyi wpada w wielki otwór, 10—12 stóp średnicy mający i t. p. Lecz niech nam kto wyliczy takie fenomenalne rzeki w Polsce! Posiadamy o nich tylko bardzo niepewne wiadomości.

<sup>1)</sup> Mezopotamia, czyli Międzyrzecze, prowincya wschodnia Turcyi azyatyckiej.



Dzielimy się jednak i tem, cośmy z niewielu naszych podróżopisarzy krajowych zebrać zdołali.

Najlepiej u nas poznaną rzeką znikającą jest *Baba*. Bierze ona początek niedaleko Olkusza w Krakowskiem, będąc zrazu strumieniem, z kilku źródeł górskich powstającym; tylko na wiosnę i w jesieni wody przepelniają łożysko, ciągnące się wśród piasków, jakimi, na podobieństwo małej pustyni, zawiana jest okolica olkuska. Pod piaskami temi rozciągają się pokłady ziemi niebieskawej, sypkiej i miłkiej, noszącej u naszych górników nazwę *kurzawki*. Ziemia ta składa się z gliny i piasku i ma własność nabierania w siebie wody, jak gąbka; połyka więc Babę, która przepływa temi pokładami i zatapia w drodze srebrodajne kopalnie olkuskie, zrzadzając tym sposobem niezmiernie szkody.

Nie mniej godne uwagi zjawiska tego rodzaju przedstawia rzeczka *Orzycz*. Bierze ona początek w Prusach, a do Królestwa wchodzi pod m. Chorzele w Przasnyskiem. Od wsi Długokąty płynie pod ziemią znaczny kawał i dopiero za Grzebskiem na wierzch się wydobywa. Zdaje się, iż okoliczne błota wypijają wodę tej rzeki, wogóle bardzo mało zbadanej.

Najciekawszą jednak w tym względzie jest rzeka *Huczwa*. Mały grzbiet wyniosłości, ciągnący się około miasta Tomaszowa w Lubelskiem, wyrzuca dwa źródła; wschodnie rodzi Huczwę, zachodnie Wieprz. Pierwsza, to jest Huczwa, płynie przez wsie Podhorce, Zimno i miasto Łaszczów, nabrzmiewając okolicznemi strumieniami. Od młyna w Dobuszkach do młyna w Tyszowcach rzeka toczy się w szerokiej nizinie, mającej średnio szerokości około wiorsty. Nizina ta między dwoma ładami trwałemi jest jednym niedostępnem bagnem; na niej bowiem całej płynie jakby *kożuch* z ziemi czarnej, tłustej na jedną stopę gruby, a pod nim dopiero, w średnim przecięciu na trzy stopy, jest grunt twardy. Przedział ten zajmuje prawie czysta woda, w której ryby obficie znajdują się mają, igrając wśród podwodnej zieleni, między którą kryją się także żaby i ślimaki. Gęste otwory w wierzchniej skorupie, nie zamarzające nawet w najcięższe mrozy, dodają powietrza tym podziemnym mieszkańcom. W dalszym ciągu Huczwa nie przedstawia nic szczególnego.

*Adam Wiślicki.*

## 45. Jeziora kwieciste.

Godną jest niezawodnie uwagi nietylko naturalisty, ale i podróżnika roślinność niektórych jezior i stawów. Do ciekawszych w tym względzie należy jezioro Bałundycie, położone w południowej grupie jezior gubernii grodzieńskiej, w powiecie kobryńskim. Jest ono przeszło pół mili rozległe i przedstawia tę osobliwość, iż woda jego latem pokrywa się cała kwieciami i stanowi jakby jedną gęsto zarosłą i pięknie ubarwioną łąkę. Lecz biada człowiekowi lub zwierzęciu, któreby tam swoje kroki niebacznie zaniosło. Śmierć czeka je na dnie tej kwiecistej otchłani.

Z tego to zapewne nawet powodu powstało ludowe powiedanie, które Mickiewiczowi posłużyło za temat «Świtezianki». Nadto z jeziora wydobywają się zaraźliwe wyziewy, a woda nie może służyć za napój bydłu, które dostaje od niej niebezpiecznej choroby i pada. Z tego względu woda, posiadająca tak charakterystyczne własności, zasługuje na badanie mikroskopijne i chemiczne.

Nie mniej piękne, lubo nieszkodliwe zjawisko uważaliśmy w stawie, należącym do dóbr Złotego Potoka w Krakowskiem. Przezroczystość jego wody tak jest wielka, że zimową porą, gdy lód pokryje powierzchnię, a słońce świeci, promienie jego oświetlają dno, pokryte najżywszą roślinnością, wśród której rybki i żabki w swobodnym igrają ruchu. Okoliczność ta naprowadza na wniosek, iż staw ten zasilany jest od spodu bijącymi żywo źródłami.

## 46. Łowicz i Arkadya <sup>1)</sup>.

Łowicz, nad rzeką Bzurą, pamiętnym jest w dziejach naszych. Jarosław Bogorya, arcybiskup gnieźnieński, w 1341 r. był jego założycielem, i państwo łowickie, należące oddawna do prymasów polskich, nowem nabyciem włości powiększył, zamek wybudował i miasto murami obwiódł. Sam Łowicz i otaczające go szeroko ni-

<sup>1)</sup> Pisano przed rokiem 1828.

wy i lasy były niegdyś własnością książąt mazowieckich, służąc ku ich łowom i wiejskiemu mieszkaniu. Zabójstwo, popełnione w zapalczywości gniewu przez Konrada, księcia mazowieckiego i kujawskiego na jednej z osób duchownych, przeniosło obszerne te włości w ręce arcybiskupów gnieźnieńskich.

Łowicz jest jednym z najpiękniejszych i najlepiej zabudowanych miast w okolicach tutejszych. Dawny zamek, przez Bogoryę Skotnickiego zbudowany, otaczają wylewy rzeki Bzury. Wspaniałe gmachy te przyozdobił był arcybiskup Mikołaj Dzierzgowski. Widziano tam niegdyś wizerunki wszystkich królów naszych, od Lecha aż do Zygmunta III. Drugi jest za miastem przez Jakóba Uchańskiego wzniesiony.

Gmachy te, opuszczone dzisiaj, ze wszechmiar zachowania są godne. Katedra zawiera pamiątki wspaniałości najwyższych u nas kapłanów. Spoczywają tu zwłoki wielu z nich wpośród ozdobnych gmachów; najokazalsze Firleja i Uchańskiego, arcybiskupów. W kaplicy Tarnowskich widać w ołtarzu Mękę Pańską z białego marmuru, w wypukłej rzeźbie pięknie wrytą. Po całej świątyni wiele wizerunków i grobów. Kościół ten otaczają mieszkania kanoników i bursa dla ubogich studentów, uczących się muzyki.

Niewielki, lecz piękny kościół mają księża Misyonarze z ogromnym klasztorem i seminaryum.

Tam arcybiskup Krasicki umieścił portrety wszystkich prymasów, aż do księcia Poniatowskiego. Są to kopie malowania jednej ręki. Kościół Dominikanów obrócony na skład wojenny; u Bernardynów umieszczono seminaryum ubogiej młodzieży, sposobiącej się na nauczycieli, tudzież szkołę elementarną, gdzie uczą wybornym systemem Pestalozzego.

Od dawnych czasów Łowicz jest sławny jarmarkami swojemi.

Dotąd w objazdze mojej, blisko mil dziewięciu (prócz Kujaw i innych niektórych części), wszędy smutnie uderzały oczy moje piaszczyste pola, Nieludność, ubóstwo. Jakiż podziw, jakie omamienie, gdy wynurzywszy się z oceanu piasków, z miejsc nędznych i spustoszonych, ujrzałem się raptem wśród szczęśliwych, iż tak rzekę, błoni, gajów i gmachów wspaniałych Grecyi: gdym się, mówię, ujrzał w Arkadyi.



Ciemne naokoło lasy, przezroczystych wód roztoczone kryształą, zachwycającą zielonością swą smugi; tu z ciosanego głazu wspaniała świątynia, tam pod łąkami z kruszcowego na poły wodociągu wymykający się, bijący z łoskotem spad wód pienistych, dalej jak gdyby za Acherontu jeziorem, las ciemny, i wśród drzew ciemnych, wiekuistych pamiątki, groby lubych a utraconych już osób: wszędzie cicha posępność i jakiś smutek religijny. Jak pod pogodnem Auzonii niebem, znajdujesz tam posągi nieznające przykrycia, kolumny, niezmierne trójnogi i wazy spiżowe. Tu na wyniosłej podstawie, pięknej rzeźby popiersie Eskulapa, przy nim niezmierna z marmuru czara do ofiar, dalej ułamek gzymsu Minerwy, znów całkowicie zachowany grób dwu bliźniąt; o kapitel koryncki opiera się amfora od wina, co rozweselało niegdyś tych, których już dzisiaj i pyłu nie masz.

Chceszże dążyć dalej ciemną i ciasną ścieżką?

Znajdujesz wpojone w mury grobowe tablice, posągi i posągów ułamki, i tę sterczącą kolumnę, na której posiadające ją najdawniejsze narody: Egipcyanie, Grecy i Arabowie, zostawili napisy swoje. Nic bardziej nad te napisy nie dowodzi niestałej rzeczy ludzkich kolei. Te ciężkie nawet głazy, niegdyś głęboko w swą rodowitą ziemię wpojone, porwane z niej, odmieniały miejsce, jak ziemia ta odmieniała panów, zdobiących przed dwunastu wiekami Ateny, lub szczęśliwe wyspy greckie na Archipelagu. Te szczątki nie spodziewały się, by niebo sarmackie jaśniało nad niemi, by bluszcze nasze obwijały się o marmury z Paros i okrywały je. Wspaniałości greckie i rzymskie tu, w polskiej Arkadyi znajdziesz nie naruszone: cyrkus czyli obwód do gonitw wozowych, obeliski z granitu, porfirowe kolumny, spiże i marmury zdobiące wokoło, w innej stronie amfiteatr z ciosowego kamienia stoi do użycia gotowy, tak że powatpiewasz, czyli lud rzymski wyszedł z niego, czyli dopiero ma się zgromadzić!

Nie jest ta piękna kraina bez poświęconego bogom przybytku: przybywa się do niego ciemnym gajem, i przez to, struktura wspaniałego gmachu, niespodzianie stawiająca się przed oczy, tem przyjemniej zadziwia. Z drugiej strony oblewa ją czyste i szerokie jezioro. Wewnętrzne ozdoby odpowiadają wspaniałości gmachu. W suficie jutrenka, skreślona pędzlem Norblina, otwiera

światu podwoje; posągi z marmuru i spiżu najprzedniejszej greckiej rzeźby, popiersia, wazy, obrazy, perskie makaty, pajęczę Indów szale nadobnym rozporządzeniem nowych dodają powabów. Półdnie tylko dochodzi tam światło, a gdy gospodyni dotyka klawiszów organów, słodka smętność ogarnia duszę przechodnia. Podwoje wspaniałego przybytku otwiera się kluczem osadzonym dużemi dyamentami.

Grób na kępie z piękną nader i tkliwą do wejścia statuą leżącą świętej Cecylii. Świątynia wieczności w innym wznosi się miejscu: idź oglądaj ją, jeżeli lubisz smutek.

Ostatniem dziełem właścicielki, a raczej końcem poematu, gdyż całą Arkadyę poematem nazwać można, jest dom Filemona i Baucis. Powierzchnia onego jest zupełnie wiejska, lecz wewnątrz znajdziesz tam wszystko, co smak dobry powziąć, a dostatki przysposobić mogą. Przezroczyste ściany z potężnych kryształów; w kryształową konchę zlewa się źródło odmłodzenia, kwiaty barw najpiękniejszych przeglądają się w niem; muślinowe opony wnoszą się do góry, jak dym palących się woni; dwóch konsularnych mężów, opuściwszy elizejskie schronienia, w kurulnych siedząc krzesłach, używa tych wszystkich rozkoszy.

*J. U. Niemcewicz.*

## 47. Zofijówka <sup>1)</sup>.

Humań <sup>2)</sup> posiada ogrody, podobno jedne z najprzyjemniejszych w świecie. Każdy zgadnie, iż mówię o Zofijówce.

Szczesny Potocki miewał często piękne i wielkie pomysły. Wiemy o gmachach, które wznosił w Tulczynie; powiedzmy o utworzonych przez niego pod Humanem ogrodach.

Potocki zastał Humień tak, jak inne miejsca, ogołocone z gajów i lasów; lecz zastał też pod miastem dolinę pełną granitów i źródeł obfitych. Natychmiast powziął za-

<sup>1)</sup> Pisano przed r. 1828. <sup>2)</sup> Humień miasto powiatowe gub. Kijowskiej, nad rzeką Humanką; o ćwierć mili od miasta leży słynny ogród Zofijówka, uczczony poematem Stan. Trembeckiego.

mysł utworzenia tu dla Armidy swojej miejsca, jakie sztuka, praca i złoto najpiękniejszym i najrozkoszniejszym uczynić mogą? Zwołano kilka tysięcy poddaństwa do wydobywania źródeł, zakładania sztucznych jezior, zwożenia i sadzenia drzew, tarcia i ogładzania granitów. Puste skały i stepy przemieniły się różdżką prawie magiczną w najprzyjemniejsze ustronie.

Tyłu opisywało rymem i niewiązaną mową te cuda, iż ja ogólne tylko wrażenie i uczucia moje wyrażę. Przezroczyście, obszerne wód kryształę, wspaniałe tychże wód spady, wysokie na czterdzieści łokci wytryski, chłodne i pięknie zasadzone gaje, pyszne przysionki, obeliski, kolumny, podstawy z granitu — oto, co wszędzie uderza. Na pięknych, na dziesięć łokci obszernych kwaterach zasadzone najkrańsze i najświeższe kwiaty; jaskinie pełne świeżości i chłodu: wszystko to zajmuje i zachwyca. Oranżerye odpowiadają i piękności miejsca i bogactwu właściciela; osobne gmachy na ananasy, osobne na figi, banany, a inne na rozmaite egzotyczne rośliny i drzewa.

Zdaje się, że ród najkrańszych ptaków z dalekich stron przyszedł umyślnie zamieszkiwać i zdobić te piękne gaje. Nie zdarzyło mi się nigdzie w Polsce tak pięknych widzieć ptasząt: są ponsowe, jak kardynały, są pomarańczowe z czarnem, zwane ewa; są błękitne, zielone. Mnie małem, że właściciel wielkim kosztem sprowadził je z daleka; lecz oprowadzający mnie ogrodnik powiedział, że są krajowe.

Sławny spad wody, zamykający wstęp do przysionku z kolumnami granitowemi, nie odpowiedział oczekiwaniu mojemu. Mnie małem, iż woda tu leciała z góry, w kształt dużej, przezroczystej szklanej tafli; przeciwnie, spieniony, wrzący zakrywa go potok. Śliczne ścieżki, drzewa i wody więcejby miały jeszcze powabów, gdyby obok tych ścieśnionych skałami piękności, wzrok po obszernych smugach i trawnikach mógł się rozciągać. Ale niema tam nigdzie obszernych przestrzeni!

We wspaniałej jaskini, ochłodzonej szmerem wody, przy dętej muzyce, Szczęsny dawał obiady dla dobranego towarzystwa.

Na marmurowym głazie, postawionym nad ciekącym w cieniu strumieniem, te są rymy wyrte:



«Płyn, strumyku, szybkim biegiem!  
 Te na zawsze rzucaj cienie,  
 Z kwiecistym żegnaj się brzegiem,  
 Śpiesz skrapiać dzikie kamienie.  
 Tak szczęśliwy dzień uchodzi,  
 Choć zbyt rzadki dla człowieka:  
 Ledwo się go ujrzeć godzi,  
 Tylko błysnie i ucieka».

*J. U. Niemcewicz.*

## 48. Jezioro smołowe na wyspie Trynidad.

Do nadzwyczajnych osobliwości natury liczy się jezioro ze smoły ziemnej czyli asfaltu (Pitch-Lake) na wyspie Trynidad, należącej do posiadłości angielskich w archipelagu Mniejszych Antyllów. Jezioro to leży o 36 mil angielskich na południe Puerta de Espana.

Zachodni brzeg wyspy, na przestrzeni jakichś mil 20, jest zupełnie płaski, lasem zarosły, a chociaż od strony morza zaledwie kilka domów widać, kraina to dobrze zabudowana i uprawna. Liczne strumienie, wpadające do zatoki Pasia, ułatwiają spław cukru, w tych stronach wyrabianego; ładują go na okręty, które stoją na kotwicy przy ujściu rzeki i strumieni.

Za zbliżeniem się do Naparima, wybrzeże uśmiecha się miłszym widokiem: tu zieleni się gaj przepyszny, tam ciągną się daleko plantacje trzciny cukrowej; drzewa kokosowe i palma królewska, pierzastym liściem powiewająca, upiększają i ożywiają krajobraz; gdzieś tam bielą się zgrabne budynki, zielonym kobiercem osłonięte, a samo wybrzeże, wycięte w niezliczone zęby i załomy, podnosi się w górę falistemi stokami.

Chociaż ta część wyspy Trynidad jest bardzo piękna, niepodobna w niej długo mieszkać cudzoziemcowi, gdyż zgubne wyziewy szerokich i głębokich bagnisk zatrują powietrze.

Przy Point la Brea widać masy smoły ziemnej, które sterczą między drzewami jak czarne skały, a ciągną się aż do morza. Pod wioską la Brea znaczna przestrzeń kraju jest zalana smołą, która szeroko weszła do morza i utworzyła ławę pod wodą. Jezioro asfaltowe czyli smołowcowe, z którego wypłynęły te wszystkie masy,

leży obok niewielkiego wzgórka, na 80 stóp nad poziomem morza, od którego odległe jest o trzy ćwierci mili, a drożyna, stężałą smołą pokryta, prowadzi od brzegu morskiego do jeziora.

Droga ta idzie przez las, na którego brzegu zaczynają się granice jeziora smołowego. Na pierwszy rzut oka wydaje się ono pokrytem wysepkami, drzewem i krzakami; po bliższym jednak przyjrzeniu się, widać zaraz, że to są warstwy stężałej smoły ziemnej poprzecinane rozdołami na pięć i sześć stóp głębokimi, a pełnemi wody. Smoła ziemna u brzegu jest zupełnie stwardniała i zastygła. Idąc jednakże ku środkowi jeziora i omijając doły z wodą, czuć dobrze, jak się ciepło zwiększa, jak smoła coraz to miększa; podeszwy nie mogą już wytrzymać gorąca, a w samym środku jeziora roztopiona smoła wre i kipi. W czasie pory deszczów, kiedy jezioro wodą bywa zalane, można przez nie przechodzić, ale w porze letniej, mianowicie w środkowych lata miesiącach, większa jego część jest niedostępna.

Wielokrotnie już próbowano zmierzyć głębokość tej smoły, ale nigdy jeszcze dna niedosięgnięto. Średnica tego jeziora w przecięciu ma blisko półtorej mili angielskiej, a to jeszcze najszczególniejsza, że znajduje się na niem do dziesięciu wysepek, ściśle smołą oblaných, na których gęsto rosną drzewa, krzewy i zioła rozliczne.

Jeżeli staniemy spokojnie przez czas jakiś na jeziorze, niedaleko od jego środka, to zobaczymy, jak powierzchnia powoli zapada się z nami i tworzy się kotlina; a gdy już tak się zagłębimy, że ramiona równają się z powierzchnią jeziora, to czempędzej należy wyskakiwać, jeżeli chcemy ująć straszliwej śmierci w potokach wrzącej smoły. Niedawno bowiem takie było zdarzenie, że z okrętu wojennego wysłano beczki na ład dla napełnienia ich smołą, którą chciano przewieźć do Anglii; beczki więc zatoczono na jezioro i już je napełniać zaczęto, ale niezadługo strażę oznajmiły o zbliżeniu się okrętu rozbójniczego; wszystkich więc ludzi wezwano na pokład, żeby się puścić w pogoń za rozbójnikami. Gdy powrócili zabierać beczki, znaleźć ich nie mogli, bo wszystkie znikły w smole.

Odpyw smoły ziemnej z tego jeziora jest wielki i nieustanny, i cały ten kraj dokoła jest nią oblaný, prócz

jednej zatoki Grapo, bronionej od tego stromem wzgórzem. Godnem jest nadto zastanowienia, że jak daleko ludzka pamięć sięga, nie słyszano tam nigdy o żadnym wybuchu wulkanicznym, gdy tymczasem niewyczerpane źródło w środku jeziora ciągle smołę wylewa. Stężała smoła tak wygląda, jakby wygotowaną była na wielkim ogniu, a potem nagle ostudzona; tam jednak, gdzie smoła ta jest płynną, powierzchnia jej wydaje się zupełnie gładka i równa.

Robiono już próby rozmaite, żeby dociec, czy ta smoła ziemna nie da się zastosować do jakiego korzystnego użytku. Admirał Cochrane wysłał do Anglii dwa okręty, smołą tą naładowane, gdzie po wielolicznych doświadczeniach przekonano się, że dla uczynienia jej użyteczną potrzeba domieszać do niej tak znaczną ilość oleju, że koszt przeniósłby o wiele cenę zwyczajnej smoły drzewnej, w Anglii wyrabianej. W nowszych czasach zaczęto używać smoły ziemnej z Trynidad na pokrywanie dachów i wylewanie chodników, a w tym względzie użytecznością przewyższa ona wszelkie inne asfaltowe mieszaniny.

Na przestrzeni czterdziestu mil angielskich na południe od jeziora smołowego leży Point du Cap, południowo-zachodni cypel wyspy. Na tym cyplu widzieć się daje inna osobliwość, nowy wybryk natury, który, zwiedzając wyspę Trynidad, także obejrzyć należy. W tem miejscu znajduje się mnóstwo wulkanów, szlam wyrzucających; największy z nich ma w przecięciu do 150 stóp średnicy. Wulkany te leżą na płaszczyźnie i tylko o cztery stopy wznoszą się nad poziom, ale szlam w ich kraterach ciągle się przewraca i gotuje. Niekiedy dawniejsze kratery zastygają i nikną, ale niebawem zjawiają się obok inne, nowe. Szlamu w nich zgruntować niepodobna, lecz nie wybiega on za krańce krateru.

## 49. Ogrody pływające w Meksyku.

Wszystkie prawie warzywa, spożywane w Meksyku, uprawiane są na *chinampas* (czynampas), które Europejczycy nazywają ogrodami pływającymi. Dwojakiego są one rodzaju: jedne ruchome, często w dół i w górę



wody wiatrem poruszane i te nazwać można prawdziwie pływającymi, ale liczba ich codzień się zmniejsza; drugie stale umocowane na brzegu.

Dowcipny pomysł tych «chinampas» sięga końca XIV stulecia, a myśl do tego podała sama natura. Na gliniastych mieliznach i ławach jezior Xochimilcho (Choczymilcho) i Chalco (Czalko) wody, opadając peryodycznie, zostawiają smugi i pasy ziemi, które pokrywają się trawą i mocno powikłanymi korzeniami. Masy te, pływające długi czas do góry i na dół za każdym wiatru powiewem, tworzą niekiedy grupy małych wysepek. Plemię Azteków, zbyt ubogie i niezaradne, aby wznieść sobie jaką siedzibę lub zdobyć rolę na lądzie stałym, zaczęło uprawiać te kawałki gruntu, które przypadkowo dostały mu się w ręce i o których posiadanie nikt się dotychczas nie zgłaszał ani spierał.

Najdawniejsze chinampas były na podstawach torfowato gliniastych, sztucznie połączonych; na nie Aztekowie nanieśli ziemi i potem uprawiali. Takie pływające wyspy dają się napotkać po całym Meksyku. Humboldt opisuje te ogrody w Quito, na rzece Guayaquil; miały one około trzydziestu stóp długości, pływały na samym nurcie rzeki, i były zasadzone bambusem i innymi roślinami, których korzenie gruzłowate, krótkie, kolankowate usposobione są do wikłania się i wiązania. Widzieć je także można na małym jeziorze, zwanem Lago di Agua Solfa w Tivoli, złożone z siarki, węgla wapna i pozostałości rośliny *Ulfa thermalis*; płyną one w różne strony za lada wiatru powiewem.

Przemysł Aztekańskiego plemienia do wysokiej doskonałości doprowadził te niewielkie smugi rodzajnej ziemi, z ław rzecznych i nadbrzeży wyrzuconej. Pływające ogrody, które Hiszpanie w wielkiej zastali liczbie, a które i teraz widzieć można na jeziorze Chalco, były rodzajem tratew, utworzonych z trzciny, sitowia i różnego zarosła, jako też z kolczastych krzewów. Indianie pokrywali to warstwą rodzajnej ziemi, przesiąklej saletrzanem sody, a grunt ten był mniej lub więcej urodzajnym, odpowiednio do tego, jak często nasypy te ponawiano. Gdy grunt ten polewają wodą z jeziora, to sól znika z niego.

Często na takich chinampas bywają chaty Indian, uprawiających owe pływające ogrody, które można po-

suwać lub przeprowadzać za pomocą długich tyk z jednego brzegu na drugi.

Dziś jednak takie ogrody bywają stale przytwierdzone, a że ich udanie się zależy od stosownej odległości między jeziorami wody słonej, spotkać je można wzdłuż Vega, na bagnistych wodach między jeziorem Chalco a jeziorem Tezcuco. Każdy chinampas tworzy zazwyczaj prostokąt trzysta stóp długi, a dwadzieścia kilka szeroki, i oddziela się od sąsiedniego wązkim rowkiem. Na tych chinampas sadzą groch, kartofle, karczochy, bób i rozmaite inne warzywa; brzegi ich zwykle obsadzają kwiatami, albo też małym płotem drzew różanych. Wycieczka na czólnie pomiędzy temi pływającymi ogródkami jest nadzwyczaj miła, a czarowny widok tworzą szczególnie chinampas na Istalco i jeziorze Chapala.

T.

## 50. Wyspy pływające, czyli sploty na stepach.

Do różnaitości, które znamionują roślinność krain stepowych, należy roślinność wodna w głębi jarów, a na wysokości otwartych pól i stepów roślinność futorów, które są tem na stepie trawnym, czem oazy na pustyni, to jest ogniskami skupionej roślinności o wyniosłym pniu, znamionującej już w całej pełni naturę krain stepowych.

Można nieraz czólnem lub saniami jechać milę i więcej wszere i wzdłuż tych ogromnych stawów, porośłych oczeretami; a są stawy, które od wierzchowiny grobli zajmują dwu i trzymilową przestrzeń. Osobny to tedy świat, co się tą wodną roślinnością okrył i nawpół z wód wychyla. Wieków potrzeba było na to, aby się z korzeni roślin wodnych utworzyły wyspy i ostrowy, osobne prądy rzek wśród wód stojących, które nie porastają trzcina, ale się niby lasem przewijają kręto, dzieląc wielkie oczerety na międzyczecza i kępy, na las nieprzebyty, lub odlewając wielkie zatoki odkryte, które *halawami* nazywają.

Do najosobliwszych zjawisk i widoków należą tak zwane *sploty*. Są to pływające wyspy i ostrowy, które się już pokryły lasem rozrosłych dębów i olch, niekiedy tak

wielkie, że na nich pasą się stada bydła i koni. Widziałem, że na pomniejszych spławach przewożono, jak na tratwach, ludzi i bydło z jednego stawu na drugi, popychając się kulami po dnie stawu. Największe też ostrowy, a nawet takie, które drzewami porosły, wiatr pędzi po zwierciadle wód; — stąd wróżą na pogodę lub słotę. Kiedy pływająca wyspa od tego lub owego brzegu odbiła lub przybiła do grobli, odmienia to całą fizyognomię okolicy, i te pływające wyspy należą niewątpliwie do największych osobliwości natury.

Siadłszy w łódkę, można jak w wielkiej puszczy jeździć i błądzić po całych dniach w tym lesie oczeretów, w którym swobodnie żyją i gnieźdzą się nieprzeliczone stada wodnego, błotnego i trzciniowego ptactwa. Na rzędy też tych stawów przypadają wielkie i małe ciągi ptactwa, a zachodni kraniec Podola i Wołynia jest wielkim pogranicznym szlakiem różnych dzielnic wędrownego ptactwa, które stadami w przelocie spuszcza się na zwierciadło wód i w każdej prawie porze roku na tych stawach znajduje żer i bezpieczną gospodę. Pożary oczeretów na głuchej jesieni lub zimą należą również do osobliwych zjawisk tych krain. W lesie oczeretów, gdy je opuści ptactwo, snują się wilki i lisy, podchodząc nieraz ku wsiom i zagrodom, gdy się stawy lodem pokryją.

*W. Pol.*

## 51. Alhambra <sup>1)</sup>.

... Stanęliśmy u bramy. Brama ta jest umieszczona w sklepieniu, wyźłobionem w kształt serca, a budował ją kalif Asusuf Abul Hagiag, który panował nad Grenadą w r. 1348 po narodzeniu Chrystusa Pana. Z powodu dwu symbolów na niej umieszczonych jest ona przedmiotem czci mahometan i ciekawości podróżników. Na zewnętrznej arkadzie wyrzeźbiona jest ręka z wyciągniętymi ale złączonymi ze sobą palcami; na wewnętrznej widać klucz.

Ręką ta w symbolicznym maurytańskim języku zna-

---

<sup>1)</sup> Alhambra, dzielnica miasta Grenady, leżącego w południowej Hiszpanii.



czy odczynienie uroku od złego oka, klucz zaś przypomina strofkę Koranu, zaczynającą się od wyrazu: «Otworzył...»

Prosty jednak lud, nie wdając się w filozoficzny wykład Koranu, nadał tej ręce i temu kluczowi inne zupełnie znaczenie, i znane było Grenadzie proroctwo, że:

«Kiedy ręką ujmiesz klucz, Alhambra dostanie się pod obcą władzę».

Ręka nie ujęła wprawdzie klucza, ale Maurów wypędzono z Hiszpanii, i wątpić należy, żeby kiedykolwiek wrócili do starożytnego pałacu swoich kalifów.

Pod tą bramą znajduje się ołtarz, poświęcony Najśw. Pannie Maryi. Po zdobyciu Grenady przez Ferdynanda Katolickiego pierwszą mszę odmówiono przed tym ołtarzem, a to właśnie w tej chwili, w której kalif Boabdil ze szczytu góry, nad miastem panującej, wydał owo westchnienie, które zjednało tej górze aż po dziś dzień zachowaną nazwę «westchnienia Maura».

Matka kalifa, słysząc to jego westchnienie i widząc łzy w jego oku, rzekła wówczas do niego:

— Płacz, jak kobieta, nad stratą Grenady, kiedy nie umiałeś jej, jak mąż, czynem bronić.

Przeszedłszy przez tę bramę, znajdujemy się w głównym podwórzu, gdzie przedewszystkiem uderza oczy nie gmach maurytański, bo Maurowie zwykli ukrywać swoje skarby, ale niezgrabny pałac zbudowany przez Karola V.

Jaki powód mógł skłonić zwycięzcę pod Pawią do oszpecenia w ten sposób najpiękniejszego pomnika zwycięzcy z pod Guadalety? Karol V, który posiadał państwo tak rozległe, że w niem słońce nigdy nie zachodziło, mógł dla zbudowania sobie mieszkania wynaleźć jakiegobądź inne miejsce, aniżeli ową Alhambrę, tylu pięknymi uświęconą pomnikami. W takim razie nie byłby potrzebował burzyć znacznej części tych cudnych budowli, co ani jemu, ani pałacowi nie przyniosło szczęścia, bo gmach Karola V dotychczas stoi niewykończony, i jak się zdaje, nigdy już wykończony nie będzie.

Maurowie, jak już to powiedziałem, lubili życie codzienne pędzić w ukryciu, i dlatego wszelkie ich gmachy bywają szczelnie zamknięte, tworząc nieprzerwany szereg murów. Obchodząc Alhambrę naokoło, zaledwie daje się widzieć dwa albo trzy okna, na zewnątrz wychodzące.

Trudno dojrzeć można drzwi wchodowe, i dochodzimy do nich o kilka już tylko kroków, a jeszcze niepewni jesteśmy, czy nie potrzeba nam będzie dostać się do wnętrza gmachów Alhambry, jak do owych klasztorów chrześcijańskich, na Wschodzie budowanych, za pomocą koszyka, bloka i powrozu.

Drzwi jednakże owe istnieją naprawdę i prowadzą do wielkiego ogrodzenia, któremu nadano aż trzy nazwy: *dziędzińca mirtów*, *dziędzińca łaźni* i *dziędzińca fontanny*, zwanego inaczej dziedzińcem lwów.

Raz się tam dostawszy, zdaje się podróżnikowi, że odmłodził o pięć wieków i znajduje się w zaczarowanej krainie Wschodu.

Przeszedłszy przez dziedziniec łaźni, podróżnik dostaje się na podłużny czworoboczny obszar, otoczony wkoło galeryą, na 128 kolumnach wspartą. Miejsce to zowie się «dziedzińcem lwów». Posadzka z mlecznego marmuru, rozesłana pod stopami przychodnia, podpira białe marmurowe kolumny; galerye, przez nie dźwigane, zdobią prześliczne arabeski. Na środku tego przepyszego dziedzińca jest ogromna czasza z alabastru, wsparta na barkach dwunastu lwów alabastrowych; z tej czaszy wybiega druga mniejsza, prześlicznie rzeźbiona.

Niegdyś, kiedy gmachy te zamieszkiwali Maurowie, jasne kryształowe wody wytryskiwały z czaszy górnej, spadały w dolną, a przebiegłszy wnętrzem cielska lwów, wylewały się przez ich paszcze do obszernego wodozbioru, wyłożonego czarnym marmurem. Tu w ulubionym swym pałacu, kalifowie Zachodu, otoczeni mędrkami, słuchali ich uczonych rozpraw, lub alegorycznych powieści bajarzy, z dalekiego Wschodu przybyłych; tu brzmiały melodye urocze, łączące się ze szmerem wód srebrzystych; tu nauki i sztuki miały swój przybytek na łonie wyznawców Proroka, gdy tymczasem rycerstwo chrześcijańskie, w grubem pogrążone barbarzyństwie, staczało srogie walki pomiędzy sobą i tylko w krwawych zapasach szczyt chwały i zatrudnienie godne mężów widziało.

Nie żądajcie ode mnie, abym wam opisywał wszystkie te cuda, znane pod nazwą «ambasadorów», «dziedzińca łaźni», «sali dwu sióstr». Tylko pendzel genialnego malarza zdolny odtworzyć wszystkie te przepychy; pióro podróżnika jest na to niewystarczające. To jakby sen z Tysiąca i jednej nocy, i Alhambra pozostanie wiecznie

dla Hiszpanii tem, czem Herkulanum i Pompeja są dla Włoch; pozostanie skamieniałą pamiątką zagasłego świata, gdzie pod każdą arkadą zdaje się stawać przed podróżnikiem cień ogorzałego Maura, broniącego wejścia do siedziby swoich władców.

Na nieszczęście Alhambra, jakkolwiek zdawałaby się dziełem geniuszów, była tylko przez ludzi zbudowaną, a arcydzieła ręki ludzkiej są śmiertelne, jak sam człowiek. Kiedyś proch tych cudnych gmachów zmiesza się z prochem tych, którzy je budowali. A może ten czas nawet nie jest bardzo od nas daleki. To cudo wyobraźni ludzkiej, ten sen wprowadzony w ciało, jak gdyby za dotknięciem laski czarodziejskiej, to arcydzieło budownictwa, któremu nadano nazwę dziedzińca lwów, nosi już na sobie cechy zniszczenia; mury chylą się i rozpadają powoli i byłyby już runęły na ziemię, gdyby nie podtrzymywały ich żelazne podpory, które im w ostatnich czasach przydano.

Niechaj więc długo pozostaną celem uwielbienia podróżnych, a kiedy runą w gruzy, niechaj nikt o odbudowaniu ich nie myśli!

Bo nawet trup znośniejszym jest od mumii.

## 52. Wieliczka <sup>1)</sup>.

Wracam z Wieliczki zdumiona; nie! kto tam nie był, wyobrazić sobie tych dziwów nie potrafi; to świat zupełnie inny. Ale będę się starała, kiedy nie można miejsca tego słowami wystawić, opisać przynajmniej odwiedziny jego.

Sama Wieliczka, lubo dosyć porządne miasteczko, nie objawia przecież niczem skarbów, ukrytych w jej łonie: ktoś nieświadomy mógłby przejechać przez nią, nie domyśliwszy się niczego, również jak przechodzimy nieraz koło mędrca, nie zgadując po jego małoznaczącej twarzy, jakie bogactwa dusza jego mieści.

Pod stopami mieszkańców spokojnej prostej Wieliczki jest ogromny przestwór, jakby miasto drugie, i blisko tysiąc ludzi, o tyleż łokci w głąb ziemi zagrzebanych,

<sup>1)</sup> Wieliczka, miasto w b. prezydencji krakowskiej, o milę od Krakowa—z największemi w świecie kopalniami soli.



kopie skarby, istotnie potrzebniejsze od złota; bo wszyscy, bogaci i ubodzy, zwierzęta nawet są ich uczestnikami: skarby, więcej korzyści przynoszące od sławnych min Potozu. I to już więcej, niż od siedmiu wieków! Dowiedzioną bowiem jest rzeczą, iż mimo podania gminu, który św. Kunegundzie odkrycie soli w Wieliczce i Bochni przyznaje, kopalnie te znane już były przed 1105 rokiem, i Krzywousty już w tym czasie Benedyktynom Tynieckim dochód na nich zapewnił.

Po obu stronach gór Karpackich ciągnie się ogromny pas soli, blisko 200 mil długi, a na kilkadziesiąt szeroki,— utwór i skarb, któremu podobnego na całej kuli ziemskiej dotąd nie odkryto.

W ciągu tego pasa, gdziekolwiek sięgnąć, wszędzie sól dostrzedz można; w niektórych miejscach rzeki mają z niej łoże, a sterczące skały pokazują się z wody; w innych miejscach, miasta, wsie, gaje stoją na stałej powierzchni, czasem tak mało ziemią pokrytej, że fundamenty na domy w soli kuć trzeba.

W całym tym pasie jest kopalni 58; najdawniejsze w Siedmiogrodzkiej ziemi, przez Rzymian zaczęte; naj-sławniejsze zaś w Wieliczce; w całej nawet Europie ona pierwsze miejsce zajmuje, tak dla czystości i ilości soli, jako też dla wspaniałych robót podziemnych.

Otrzymawszy od dyrekcji górniczej pozwolenie i przewodnika, oświadczywszy, że nie chcemy iść schodami, tylko na linie się spuszczać, w przyjemnym, z pięciu osób złożonem towarzystwie, poszliśmy do otworu kopalni, miejsca, które na szopę wygląda.

W środku jest otwór w kształcie ogromnej studni, i nim zstępują robotnicy i ciekawi. Zajrzawszy w tę ciemną głębinę, którą ma się przebyć, mimowolny dreszcz przechodzi; pióro, podane do zapisania nazwiska swego, w księdze ku temu sporządzonej, drży zlekka w rękę, a długie płócienne koszule, w które przyoblekają podróżnych dla oszczędności sukien, zdają się być przypomnieniem ostatniego śmiertelnych ubioru.

Jednak przemaga ciekawość, i każdy mówi śmiało: «Muszę się tam spuścić».

Ludzie tameczni zabierają się do pracy; konie, których nie widać, obracają wielkie koło, gruba lina okręca się około walca i wychodzi z otworu napowietrzny powóz, w który wsiąść trzeba; są to szelki z powrozów, zache-

pione u węzłów liny, w niejkiej od siebie odległości, po trzy lub cztery w jednym rzędzie.

Ten powóz staje: otwór studni zasłaniają deskami, naprzód siadają chłopcy ze światłem, przy nich górnik z laską w rękę, dla utrzymania równego kierunku, w wyższych rzędach podróżni. Siedzenia bardzo wygodne i pewne, zwłaszcza, iż każdy trzyma się liny rękami. Gdy wszyscy usadowieni, rozsuwają deski, dają znak, żeby konie ruszyły, i lina się spuszcza. Nie można opisać miłego uczucia w czasie tej podróży; jest w niem coś idealnego, w podobieństwie do owych snów przyjemnych, kiedy się marzy, iż szybkim lotem powietrze porzemy: ani przyjdzie myśl bojaźni, żalu tylko się doznaje, czując, że już pęd wolnieje, że już grunt blisko i wysiadać trzeba.

Bo tylko do pierwszego piętra na linie spuścić się można; do dwóch drugich trzeba iść schodami, albo po drabinach; należy zaś wiedzieć, że tu wszystko przeciwnie, niż na ziemi: najwyższe piętro pierwszem się zowie, najniższe ostatniem.

Stanąwszy i wysiadłszy bez szkody, zabraliśmy się do pieszej podróży; znikło wnet słabe światło dzienne, które przez otwór widać trochę było, i uczułam, że już zupełnie jestem pod ziemią, że innem oddycham powietrzem, na innym jestem świecie.

Jakoż prawdziwie wszystko tu odmienne, a wszystko jednostajne; natura, tak wszędzie rozmaita, w tem miejscu zawsze ta sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają: czy na ziemi dzień jasny, czy noc ponura, czy wiosna tchem wieje, czy skwar słoneczny dopieka czy dżdże jesieni wskroś przejmują, czy mróz ściał wszystko—tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione, tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe.

Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów, tu jeden wiecznie: wszystko co widzisz, czego się dotykasz, po czem stąpasz nawet, jest solą; bo ściany ogromne tych długich ulic, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stosy bałwanów, czyli beczek, te góry okrucichów, wszystko to jednego rodzaju, jednego koloru, wszystko z soli.

Ludzie tu także zupełnie odmiennie wyglądają; naprzód migające się światło lamp i kagańców, rzucając głębokie

ienie, nadaje im inną barwę i wyraz ostrzejszy. Postać robotników, których nogi, ramiona i piersi nagie, a to, żeby soli gdzie chować nie mieli; kagańce wszędzie poprzyczepiane, nawet do tacek, któremi sól wożą, wszystko jakąś nową zupełnie krainę wystawia; i dobrze powiedziano, że tu Dante do swego piekła mógł być szukać obrazów.

Prawdziwie, będąc tu, nie można się obronić od pewnego odurzenia; umysł jest to zdziwiony, to przejęty, nieraz wątpić gotowy, czy rzeczywista prawda, czy uludne marzenie jest przed nim? Idzie się ciągle i idzie, godzinę, drugą, trzecią i szóstą, to wązką, to szeroką galeryą, to wygodnemi schodami, to na dół, to w górę, zdaje się, że to królestwo nocy granic nie ma.

O! jakże dobroczynnym darem Opatrzności wydaje się tu światło! samo kieruje, prowadzi w tej otchłani, a na myśl o wygaśnięciu jego włosy na głowie powstają; chciałabym tu zamknąć na czas jakiś dzieci, gardzące światłem nauk: a zręcznem przystosowaniem tego, co pod ziemią i na ziemi bez oświecenia się dzieje, wpoić w nie wstręt do ciemnoty.

Ale gdzie umysł największego doznaje zdziwienia, gdzie najwięcej ocenia światło, to w miejscu, a raczej w otchłani, *Kloską* zwanej. «Tam stanąwszy na moście, gdy spojrzysz w górę, nie możesz dojrzeć szczytu tej niezmiernej wysokości; gdy oczy spuścisz na dół, lękasz się na widok bezdennej przepaści; a kiedy przewodnicy twoi rozbiegną się, jeden stanie przy tobie, drugi wejdzie na górę, trzeci na dół się spuści i rozpalą nowe ognie, i rozniecą swe pochodnie, dziwisz się, że wyżej coraz więcej przestrzeni spostrzegasz, a jak w bajkach wrózek, tak ci się wydaje, że rośnie przed tobą świat czarnoksięski, że już końca jego niema».

Podobnie dziwnego uczucia się doznaje, zobaczywszy w tem podziemnem państwie, lecz nie na samym dole, dość obszerną sadzawdę. Jeziorem ją zowią i dają przydomek szczególny: *Przykos*; złożona jest z wód, które przesączaając się z powierzchni ziemi, przez pokłady piasku i gliny, sprowadzone są w to miejsce kanałami, dla ochrony robót górniczych.

Jezioro to więcej jest głębokie, niż obszerne, woda jego brunatna i słona; zwykle wożą po niem podróżnych na dość wygodnym promie.



Piękną jest także sala, *Łętów* zwana, gdzie bywają iluminacye, a nawet i bale; bo kiedy osoby panujące zwiedzają te kopalnie, wszystkie galerye, sale, korytarze Kloska są rzesisto oświecone; odgłos muzyki rozlega się po ogromnych sklepieniach, i obecni są w zachwyceniu. Żałuję mocno, żem na podobną nie trafiła chwilę, lubo zdaje mi się, że wielość światła, ludzi, osób wystrojonych, musi to miejsce podziemne i szczególne czynić podobnem do naszych mieszkań zwyczajnych; a wtedy, jeśli na blasku zarabia, na oryginalności traci.

Godną widzenia jest jeszcze kaplica, niedaleko głównego wchodu będąca, opiece św. Antoniego oddana; cała, jak wszystko, w soli wykuta; ołtarz, posągi Świętych, filary, kazalnica, wszystko z soli; jest tu równie posąg Augusta II, z jednej bryły zrobiony; ale przez długi napływ wilgotnego z zewnątrz powietrza, nikną we wszystkich twarzach znaczniejsze rysy, i z osób robią się słupy. Co to może ręka czasu!... W tej kaplicy odprawiają mszę św. w dzień św. Kunegundy, a tak, jeśli ją ukrzywdzili dziejopisowie, odejmując jej zaszczyt odkrycia tych kopalni, ma w tym odwiecznym zwyczaju wynagrodzenie. Raz tylko na rok odbywa się w tej kaplicy nabożeństwo, gdyż zupełną jest bajką, ażeby tu robotnicy mieszkać mieli; codzień wieczorem wychodzą i spuszcza ją się rano; w święta niama nikogo.

W opisach Wieliczki dawnych i późniejszych (a było ich już bardzo wiele) czytać można różne polskie nazwiska *szyb*, czyli *okien* kopalni, uczczone pamiątką wielkich królów, sławniejszych mężów; ja ani jednego dostrzedz nie mogłam, wszędzie obce napisy, a nawet w obcym języku; przecież jedna kaplica nosi imię Zygmunta.

Czy te kopalnie doczekają skończenia świata, czy też zawałą się wkrótce? — tego sami uczeni przewidzieć nie umieją; powtarzają jednak wszyscy, że tu trzeba starannie podpierać wiszące sklepienia. Z dawnych szybów już niektóre się zapadły. Teraz, zdaniem znawców, lepiej sobie radzą niżli przedtem; niegdyś podpierano galerye basztowaniem z drzewa, czego jeszcze w wielu miejscach widać ślady, było to i kosztowne i na przypadek ognia niebezpieczne; teraz zostawiają ogromne filary z soli, odpowiadające takim słupom w piętrach niższych.

Trzeba chyba jakiego Samsona, ażeby jeden z tych filarów uchwycił i obalił, lub też trzęsienia ziemi, które-

go Wieliczka jeszcze nie doznała. Natomiast już kilka razy kopalnie te uległy pospolitszemu, ale niemniej okropnemu nieszczęściu: pożarom. Sama imaginacya wzbrania się od wystawienia sobie tego, co tam dzieć się musiało w tych straszliwych chwilach; jak trudny ratunek, jak niepodobna ucieczka; jak ten ogień samowładnie rozpóścierać się musiał po tych ogromnych galeryach, wszędzie wybuchać i pożerać wszystko!

A jak powiada Bielski: «W r. 1510 w Wieliczce, w górach solnych, jakiś górnik ogień zapuścił, czem się wielu ludzi podusiło; a gdy się żaden ku ratunkowi tam spuścić nie ważył, Andrzej Kościelecki, żupnik natenczas, z wielkiem sercem wdał się w to niebezpieczeństwo; za nim Seweryn Betman, rajca krakowski, mający 90 lat, który Kościeleckiego, już dymem prawie zaduszonego, ożywił, i potem, za czerstwością obudwu, ogień ugaszon i zawaleniu się gór zabieżało».

Lecz czyste powietrze kopalni wzbudza apetyt, nie można tam bawić dłużej nad pięć lub szeć godzin; zabraliśmy się więc do powrotu; dobrze, że są przewodnicy, bo nic łatwiejszego jak zbłądzić w tym labiryncie, i mówiono nam (czemu snadno uwierzyć), że kilka lat trzeba uczęszczać do tych sklepień, chcąc się z niemi obeznać zupełnie; do samego końca wszystko tu inaczej niż na ziemi.

Doszedłszy do otworu, wsiedliśmy znowu w napowietrzny wóz; daleko milej iść na dół, niż w górę, i dość przykrego doznałam uczucia, gdy nas zaczęły podnosić. Ależ za to jakaż była radość, gdyśmy wysiedli, gdy nas ogarnęło ciepłe, żywotne powietrze, gdy jasność dnia uderzyła oczy, i ludzie w zwyczajnej okazali się postaci i barwie!

Dziękowałam Bogu, że nie w ziemi, ale na ziemi żyć mi przeznaczył. Przez kilka godzin nic nie widziawszy prócz brunatnej soli, niepewnego światła i okropnych ciemności, niebo zdało mi się błękitniejsze, drzewa i pole zieleńsze, wszystko piękniejsze!

I obiad przedziwnie smakował, chociaż nagła i gwałtowna burza głużyła nas prawie swoim łoskotem.

Jak dziwno było pomyśleć sobie, że prostopadle pod stopami naszymi robotnicy spokojnie kują sól, nie słysząc bynajmniej grzmotów i wiatru!

*Kl. Hoffmanowa.*

### 53. Źródła mineralne.

Najsilniejsze źródła oleju skalnego biją w tych miejscach, gdzie się znajdują pokłady soli, ilu solnego i łupków bituminowych. Pierwotnie olej skalny, czyli tak zwana kipiączka, jest ciemno-brunatny lub zielony, i dopiero pod wpływem powietrza atmosferycznego czernieje i gęstnieje, przeistacza się w tak zwaną ropę, a w końcu przechodzi w stan stały i staje się smołą ziemną. Najczęściej wydobywa się z ziemi sam i gromadzi się na powierzchni czystej wody niektórych źródeł; w tym razie trzeba go tylko zcerpywać.

Nieraz jednak kopią się studnie w pokładach ilów łupkowych i solnych, bogatych w bitum, żeby z wytryskującą wodą wydobyć olej skalny na powierzchnię ziemi.

Najobfitsze źródła znajdują się w Nahujowicach, w obwodzie Samborskim i w Słobodzie, w obwodzie Stryckim.

W Słobodzie jedno źródło wydaje w przecięciu tygodniowo 1000 centn. czystego oleju skalnego. Prócz tego zasługują na wspomnienie źródła w Węglówce, Krośnie, Ropience, Tyrawie solnej, Starosoli, Popielach, Drohobyczu, Truskawcu, Staruni, Peczyniżynie, Kosmaczu i w wielu innych miejscach wzdłuż całego Podgórze.

Źródła siarczane, powstające albo z pokładów rodziwej siarki, albo z roztwarzania się gipsu pomiędzy pokładami gliny i ilów solnych, nie trzymają się wyłącznie tylko okolic podgórszych; owszem, jawią się na całej przestrzeni kraju od Jakobeny na Bukowinie aż po okolicę Poniewieża na północo-wschodzie. W dzisiejszej Galicyi, w której liczą do 40 źródeł siarczanych i solno-siarczanych, należą do głośniejszych: źródła w Swoszowicach, w Bochni w ile solnym, w Samoklęskach, silne zdrojowiska w Truskawcu w rodzimej siarce, nareszcie w Rozdole, Jurowcach, Szkle, Lubieniu, Niemirowie i w Żabokrukach.

W okręgu Krakowskim słyną zdroje siarczane krzeszowickie. Wyżej ku południo-wschodowi jawią się źródła siarczane w Solcu nad Wisłą w gub. Radomskiej, na Litwie w okolicach miasteczek Widze i Święciany. Zamyka nakoniec to pasmo źródeł siarczanych szereg



zdrojowisk, ciągnących się od Poniewieża ku Dźwinie na Papiany, Poswol, Birże, Schönberg, Barbern, Smerdon i Balden.

Najsilniejsze szczawy wytryskają z pokładów wapienia amonitowego, poczynając się na stokach Karpat w dolinie Dunajca. Nie przewyższają one temperatury atmosfery letniej więcej, niż o 8 do 12 stopni Reaumura. Słyną jako zdrojowiska lekarskie, a ich wody są rozsyłane daleko za granicę.

Do najgłośniejszych należą źródła: w Szczawie i w Szczawnicy, w Białej Wodzie, Roztoce, Piwnicznej, Krynicy, Samoklęskach i Żmigrodzie. Szczawy Iwonickie odznaczają się nadto częściami jodu i bromu. Źródła w Burkucie w obwodzie Kołomyjskim i w Dorna Kandreny na Bukowinie mogą być uważane za ostatnie ogniwa tego łańcucha źródeł szczawów na północ-zachodzie. W Goździkowie, w gub. Radomskiej, znajdują się także źródła szczawów żelazistych, które jednakże ostatniemi czasy zaniedbano.

Zdroje żelaziste nie ustępują co do ilości źródłom siarczany, a biją nietylko wzdłuż całego Podgórze obok źródeł solnych, lecz przechodzą dalej ku wschodowi i zjawiają się nawet na Wołyniu.

Oprócz słonych cieczy, spotykanych gęściej dopiero na południowych krańcach stepów, zasługują tu na baczniejszą uwagę jedynie źródła saletrzone w Kamieńcu Podolskim. Z cieplic najwięcej znany jest zród ciepły w Jaszczurówce w Tatrach przy Zakopanem w obwodzie Sandeckim.

Ze zdrojowisk lekarskich solnych do najznakomitszych liczą, oprócz kilku źródeł solnych na Podgórzu, źródła słone w Busku, gubernii Radomskiej, w Ciechocinku, gubernii Warszawskiej, w Birsztanach, gub. Kowieńskiej i w Druskienikach, gub. Grodzieńskiej. Źródła w Busku zajmują pierwsze miejsce pomiędzy zdrojowiskami lekarskimi kraju, potem idą ciechocińskie. Wody birsztanckie są przezroczyste, bezwonne, słono-gorzkiego smaku; biją kilku źródłami tak obfitemi, że z każdego z nich można otrzymać na minutę do 4 wiader, czyli na dobę 5,760 wiader.

*Luc. Tatomir.*

54. Żmujdz<sup>1)</sup>.

Oto już jestem na Żmujdzi. Co za różnica tej strony! Na Żmujdzi obfitość i byt błogi. Cała Litwa, wyjąwszy nadniemeńskie okolice, przedstawia widok ponury, tęskny, jednostajny. Drogi na Litwie po większej części są piaszczyste, chłop jedzie po nich na małym, przeraźliwie skrzypiącym wózku i charkliwym krzykiem popędza wyędniałe szkapsko. Lasy litewskie są karłowate i doskonałą tworzą harmonię z tutejszym ludem.

Na Żmujdzi zaś droga szeroka albo przebiega równie, mieniając się falami zasianego zboża, albo się wije pomiędzy wyniosłymi starożytnymi drzewami, które, jak lud powiada, pamiętają jeszcze czasy Kiejstuta. Chłop na Żmujdzi rzeźki, wesoly, barczysty, albo ochoczo i bez przymusu trudni się na polu robotą, albo, założywszy cztery mocne mierzynki do ogromnej bryki, naładowanej lnem lub siemieniem, jedzie do Rygi lub Mitawy. Rzadko kiedy zobaczysz go smutnym, zawsze z wypogodzoną twarzą, z piosenką na ustach wita złą lub pomyslną dolę.

W Litwie domy chłopskie niskie, nędzne, dymne, bardziej do legowisk drapieżnych zwierząt, niż do mieszkań ludzkich podobne; małeńkie otwory, deszczułkami zasłaniane, zastępują miejsce okien. Na Żmujdzi zaś po większej części dają się widzieć mieszkania pospółstwa piękne, wysokie, z ogromnymi oknami, z kominem na dach wyprowadzonym; szczególnie w powiecie Telszewskim około pruskiej granicy.

Każdy dom dzieli się na dwie połowy: jedna zawiera izbę gościnną (seklicze) i mały alkierzyk, zwany bokówką. Obie te izby są nader czysto utrzymane, wymoszczone, wymyte; stolowanie<sup>2)</sup> pozatykane rozmaitemi polnemi i ogrodowemi kwiatami, podłoga potrząśnięta tatarakiem lub jedliną. Na ścianach wiszą obrazy, nędznie wodnemi farbami malowane. Drugą połowę domu zajmuje piekarnia: tu się mieści cała czeladź, tam w zimowej porze przyprowadzają owcę lub kozę, niekiedy i świ-

<sup>1)</sup> Żmujdz, kraj starej Litwy, pomiędzy Prusami a Kurlandya, wzdłuż morza Bałtyckiego. — <sup>2)</sup> Stolowanie — powała, strop, sufit.

nię z prosiętami. Piekarnia (grinicze) bywa pospolicie bez podłogi i ma okna takiej samej wielkości, jak i gościnnna izba, lecz szyby w nich są drobne. Przed każdym domem jest ogromny dziedziniec, opatrzony sztachetkami (zigrysy); na środku dziedzińca rosną ogromne drzewa lipowe lub jesionowe.

Cała Żmujdz, z pozoru sądząc, najpiękniejszy przedstawiała widok oku podróżnego; wszędzie po drodze napotykają się ogromne, porządnie zabudowane sioła; przy każdym domu wiejskim znajduje się ogródek owocowy i wznosi się drewniany krzyż, sztandar wiary, znak pobożności tego ludu. Przy drogach także są krzyże, a najczęściej widzieć się zdarza ogromne słupy z szopką na wierzchu, a w niej umieszczony posąg św. Jana Chrzciciela, patrona dyecezyi żmujdzkiej. Krzyże po drogach tak są gęste, iż jeden od drugiego w odległości kilkudziesięciu kroków stoi. Słusznie tę stronę nazwać można krainą krzyżów i księży, gdyż każda w państwie rosyjskiem dyecezya katolicka większą część księży liczy rodem ze Żmujdzi.

Nigdzie niema tak uprzejmego, tak gościnnego i tak pobożnego ludu, jak na Żmujdzi. Wieśniak, jadący drogą, przed każdym zatrzymuje się krzyżem, zdejmując czapkę i przynajmniej «*Ojciec nasz*» zmówi; każdego też, kogo tylko na drodze spotka, pozdrawia słowami: «*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*» Kto zaś powie: «Dzień dobry». «Dobry wieczór», lub podobnie, miany bywa za poganina i grubo złajany. Kędy tylko pojedziesz na Żmujdzi, wszędy napotkasz lud dobry i ochoczy, każdy ci się nastęrczy za przewodnika, każdy ci ofiaruje w swoim domu gościnność, każdy się z tobą, czem ma, podzieli, nie żądając za to żadnej nagrody, a jeżeli mu jaką dać zechcesz, nie przyjmie.

O! witam cię rodzinna ziemi, mlekiem i miodem płynąca! Palestyno moja! Witam cię, drogi, rodzinny mój domku Pokiewicza! w tobiem ja ujrzał, i po raz pierwszy dziecinnym uśmiechem powitał świat ten, tak niedyś dla mnie piękny, tak wesoły!

*Ludwik z Pokiewia (Jucewicz).*



## 55. K i j ó w.

W czasach wiekami oddalonych, Grecy, handlujący na Czarnem morzu, byli pierwszymi założycielami Kijowa. Osiedli w nim potem Słowianie, rządzeni przez książąt swego rodu.

Niektórzy z dziejopisów dla bogactw, handlu, ludności i przemysłu równali Kijów z Carogrodem. Bolesław Chrobry zagarnął Kijów pod berło swoje. Miasto położone nad potężną rzeką, sięgało przez rzekę Desnę wewnętrznych krain moskiewskich, a Dnieprem — morza Czarnego i Azyi. Tak obszerny handel, pogodne i umiarkowane niebo, żyzna ziemia, w płody rolnicze i najwoborniejsze owoce obfitująca, łagodność rządu, bliskość Carogrodu, stolicy państwa i handlu wschodniego, mogły uczynić Kijów tak możliwym, jakim go wystawiają dawni dziejopisarze.

Łatwo temu uwierzymy po tej wielkiej liczbie świątyń, lśniących się złocistymi wieżami, tej Złotej Bramie, po tych gmachach, tych warownych basztach, po tem nakoniec mnóstwie przemysłnego ludu, który napełniał cały obszerny obwód tak zamożnego grodu. Dawną wielkość i świetność poświadczają dzisiejsze zwaliska, wysokie naokoło wały, potężna brama z ostatkiem dawnej jeszcze pozłoty, tak wyniosła, że najtężej wypuszczona strzała dosięgnąć jej szczytu nie mogła, wszędzie sterczące zabytki świątyń. Między niemi kościół św. Zofii, budowany niegdyś sposobem greckim, z wielkim nakładem i pracą. Pomost w nim z mozaiki; lazur i złoto lśnią się jeszcze w sklepieniach, w przysionkach, w gmachu samym; kolumny z porfiru, alabastru, marmuru.

Ostatki wspaniałości zostały w kościele św. Michała, ze złocistą wieżą i chórem, wysadzonym mozaiką. Ponad grodem wznosi się zamek, niegdyś wspaniały, dziś ledwo godzien imienia zamku.

Dzisiejszy gród w innym jest miejscu, poniżej nad Dnieprem, i żadnego śladu dawnej wielkości nie okazuje. Zniknęła ona pod orężem Połowców, Chrobrego, Gedymina i sąsiadujących zblizka najezdniczych narodów.

## 56. E t n a.

Etna jest to wulkan największy w Europie, przedmiot podziwu, uświęcony przez podania religijne w świecie starożytnym, przez poetów greckich nazywany filarem nieba. Leży u wschodnich brzegów wyspy Sycylii i ma krater, podnoszący się na bardzo szerokiej podstawie: średnica jej wynosi około 5, a całkowity obwód u podnóża przeszło 20 mil.

Na stokach Etny leży 65 osad, w których niedawno liczone 300,000 mieszkańców. Cała góra ograniczona jest zewsząd przez głębokie wąwozy, w których płyną dwie rzeczki. Etna przedstawia amfiteatr, szeroko rozwarty ku morzu i mający spadły strome wewnątrz, a lekko pochyłe na zewnątrz. Po tych spadach stromych wchodzi się na szczyt, zakończony płaszczyzną, zwaną Piano del Lago, którego wysokość nad poziom morza jest 9,100 stóp.

Tutaj stoi starożytny pomnik, przypisywany filozofowi greckiemu Empedoklesowi, który skoczył do krateru Etny, aby go uważano za bożka, i zwany Torre del Filosofo, oraz budynek zwany Casa Inglese, zburzony przez niezmierną ilość kamieni, spadłych podczas wybuchu r. 1863.

Wybuchy Etny powtarzają się co trzy lub cztery lata i najczęściej zdarzają się na jej pochyłościach z bocznych kraterów, już to dawniejszych, już świeżo powstających, mniej więcej daleko od głównego środkowego stożka. Jeden wybuch tego wulkanu w roku 1755 był wodny. W roku 1832 cały stożek dawny zapadł się, a w miejscu jego utworzył się nowy krater, mający 1,200 stóp w średnicy, który potem jeszcze się rozszerzył.

Opiszemy tu wybuch Etny w r. 1865.

Od 22 grudnia 1864 r. ogromne kłęby dymu i pary, wychodzące z głównego krateru, zapowiadały blizki wybuch; w nocy zaś ostatniego dnia roku dało się czuć lekkie trzęsienie ziemi. 30 stycznia 1865 r. dały się czuć dwa nowe wstrząśnienia: jedno o południu, drugie o godzinie pół do piątej po południu, i wreszcie trzecie, najgwałtowniejsze ze wszystkich, o godzinie pół do jedenastej wieczorem. To ostatnie ograniczyło się wyłącznie

północno - wschodnią stroną góry. W Luwina było ono tak silne, iż wystraszeni mieszkańcy puciekali ze swych domostw i nie śmieli do nich wracać przez całą noc.

Wnet po tem ostatniem wstrząśnieniu nastąpił wybuch i ujrzano smugi ognia, podnoszące się nad stroną północno-wschodnią góry w okolicy, obfitującej w bogate winnice. W okolicy tej wybuchów nie było już oddawna. Od godziny 4-ej zrana dawały się czuć małe poruszenia gruntu, które potem ustały zupełnie w całej okolicy. Po ukazaniu się płomieni lawa wystąpiła gwałtownie przez świeży otwór i rozlała się szerokim potokiem w kierunku półn.-wschod., paląc i niszcząc wszystko przed sobą.

Ognisty potok przedzierał się przez lasy, objęte dookoła pożarem, i zapełniał wszystkie, leżące mu na drodze rozpadliny i wklęsłości góry, wydając kiedy niekiedy straszne huki, podobne do wybuchów min prochowych i wstrząsające całą górę; pochodziły one zapewne od spotkania się gorącej lawy z wodami w źródłach i studniach. Mnóstwo drzew, ściętych przez lawę, płynęło, paląc się na jej powierzchni i mieszając się z kawałkami zastygającej i rozpadającej się skorupy, a uderzając się o siebie, wydawały dźwięk metaliczny.

Potok, wnet po wyjściu swoim z góry, przebiegał do 20 stóp na 1 minutę, ale następnie, wolniejac w biegu, posuwał się już tylko o 6 do 1 $\frac{1}{2}$  stopy na minutę. 2-go lutego rozciągnął się przeszło na milę, mając szerokości od 1,000 do 1,500, a grubości miejscami od 30 do 60 stóp. Doszedłszy do jednego z dawnych stożków, rozdzielił się na dwoje; jedna jego odnoga poszła bardzo powolnie na zachód, druga, obróciwszy się w kierunku przeciwnym, rzuciła się w ciasną i głęboką dolinę. Tutaj lawa, spadając z wysokości 150 stóp, utworzyła ognistą kaskadę. Potok jej, rwąc okrywającą go skorupę, walił ją pogruchoaną w ogromne głązy, które spadając w głąb parowu z ognistym pod nią płynem, ciskały w górę chmury iskier, dopóki nie napełnił całego parowu i po wyrównanej w taki sposób płaszczyźnie uszedł jeszcze dalej powoli około pół mili. Dnia 6-go lutego potok wschodni zatrzymał się nareszcie na pokładzie dawnej lawy, na wysokości 2,400 stóp nad poziomem morza. Potok zachodni rozdzielił się na dwoje i posuwał się jeszcze dni



kilkanaście. Obie odnogi wypuszczały z siebie dalsze małe rozgałęzienia.

Ten straszny wybuch, odznaczający się szczególnie niezmierną ilością wyrzuconej lawy, wydobył się nie z któregokolwiek z dawnych kraterów, lecz odkrył dla siebie całkiem nowe drogi. Od krateru stożka, zwanego Monte Frumento, cała góra rozpadła się w kierunku północno-wschodnim na długości około  $\frac{1}{3}$  mili i powstała w niej szczelina, szeroka przeszło na 30 stóp. Lawa, trysnąwszy z tej szczeliny, utworzyła na niej sześć nowych stożków, które w przeciągu kilku dni, mianowicie do 6-go lutego, podniosły się od 150 do 200 stóp. Pierwszy z nich, stojący najwyżej, miał dwa kratery w połowie swej wysokości; inne wznosiły się za nim dalej, znacznie niżej, tworząc obwód eliptyczny.

W początkach wybuchu, lawa musiała wystąpić tak z rozpadłego boku Frumento, jak i z całej dalszej rozpadliny góry. Okazywały to najdowodniej z jednej i drugiej strony olbrzymie jodły i inne drzewa, całkiem w węgiel obrócone. Ale następnie pomienioną rozpadlinę w znacznej części pozatykały kawały zastygłej lawy, i miejscami tylko była otwarta, przedstawiając głębokość rozmaitą, ale wszędzie bardzo znaczną: w niektórych miejscach nie widać było wcale jej dna. Cały wybuch ześrodkował się w siedmiu nowo powstałych kraterach.

Widok, jaki przedstawiały wtedy te świeżo rozwarte paszcze Etny, był pewnie najwspanialszym i okazywał w najwyższym stopniu twórczą potęgę naszej planety. Trzy kratery wyższe i bliższe od Monte Frumento wyrzucały tylko kamienie i popioły; cztery niższe rzygały potokami lawy wrzącej; stożki, wznoszące się nad niemi, coraz rosły i uzupełniały się z ich wyrzutów; ze wszystkich wznosiły się chmury dymu: z czterech niższych dym był prawie bezbarwnym i tylko czerwiecił się od płomienistej lawy; z trzech wyższych był czarny i mieszał się z ogromnemi masami również czarnych popiołów; ze wszystkich wreszcie dawały się słyszeć huki podziemne: wyższe wydawały po dwa i trzy razy co minuta silne uderzenia, podobne do grzmotów; z niższych dawały się słyszeć uderzenia tak częste, iż zliczyć ich było niepodobna; naśladowały one bicie tysiąca kowalskich młotów o kowadła. Łatwo było wtenczas pojąć, iż właśnie

takie huki, rozlegające się z wnętrza Etny podczas jej wybuchów w starożytności, mogły naprowadzać na myśl istnienia w jej niedostępnych i tajemniczych głębiach jakiejś kuźni Cyklopów.

Dokoła nowo rozwartych paszcz wulkanu przestrzeń, przedtem lesista, była teraz zawałoną jakby przez zgłiszczą świeżego, ogromnego pożaru. Ziemia była wszędzie okryta grubą warstwą popiołu, który wiatr poukładał w pagórki podłużne, podobne do wydm piaszczystych na brzegach morza. Wszystkie drzewa połamane i pogałacane przez spadające głązy i bomby wulkaniczne, zagrzebane były mniej więcej pod temi popiołami. Tu i ówdzie wystawały z nich zeschłe i ogołoczone z liści gałęzie, które niegdyś wieńczyły wierzchołki drzew ogromnych. Wszędzie wreszcie, ale szczególnie w bliskości rozpadliny głównej i stojących na niej stożków, grunt był popękany we wszystkich kierunkach, i z tych szpar, jak i z samych kraterów, wydobywały się ciągle dymy, pary i rozmaite gazy. W wyziewach ich dawał się też czuć zapach spalonych drzew, traw i innych roślin. Główna rozpadlina, z której nastąpił cały wybuch, była zawsze wyraźna, chociaż wszędzie prawie zawałona popiołem i kamieniami.

Świeżo wyrzucone potoki lawy, już tężejące i okryte jeszcze gorącą i dymiącą się skorupą, przedstawiały widok niemniej ciekawy niż przedtem, kiedy jeszcze biegły i płonęły ogniem. Przestrzeń, na której się rozlały, przedtem w większej części zarosła lasami, przedstawiała teraz jakoby powierzchnię skamieniałych w falach wód. Wpółśród niej wznosiły się tu i ówdzie, jak wyspy, dawne wyniosłości, okryte pękami zielonych drzew, które z tego powodu ocalały wpółśród tej ognistej powodzi. Czarna i świecąca się powierzchnia tych świeżo zastygłych law przedstawiała, to podobieństwo nierównych schodów, to rozmaite ostre wyniosłości, to jakby sploty pokręconych kolumn. Niepodobna było chodzić po tych gruzach, które zresztą jeszcze niekiedy zmieniały swoje położenie wskutek parcia wrzącego płynu, pod nimi zamkniętego.

Niekiedy tu i ówdzie odkrywała się wpółśród nich głęboka rozpadlina i przez nią powoli występowała na wierzch lawa, jak gęsta smoła, zastygająca w postaci sopla, albo rozlazłszy się, tworzyła podobieństwo guza

lub bani. Od parcia tego wrzącego płynu, skorupa jego tężejąca, pękając w rozmaitych miejscach, wydawała dźwięk, podobny do szczęku łamanych kling stalowych. Przez wszystkie wreszcie powstające w niej szpary, razem z wychodzącymi i wnet tężejącymi soplami, wydobywały się dymy, pary i rozmaite gazy.

Wybuch ten Etny oddziałł bardzo na wszystkie dymice (fumarolles), źródła gazowe, których mnóstwo się znajduje na stokach tego wulkanu i w całej Sycylii. W ciągu całego poprzedzającego roku, szczególnie zaś w roku 1863, kiedy lawa podnosiła się aż do brzegów głównego krateru Etny, czynność wszystkich leżących dokoła niej dymic była bardzo podniesiona. Oczywiście masy gazów, napelniające wewnątrz wulkanu, wypędzone były gwałtownie na zewnątrz przez wszystkie jego kominy boczne, kiedy lawa podniósłszy się, zatkała jego komin główny. Następnie podczas ostatniego wybuchu, kiedy ten przebił dla siebie nowy szeroki otwór, przez który góra wyrzuciła wszystkie rozpierające ją lawy i gazy, ujście tych ostatnich przez wszystkie jej otwory boczne musiało znacznie się zmniejszyć, a miejscami nawet ustało zupełnie.

Powyżej opisany wybuch Etny trwał z górą pięć miesięcy. Skutkiem niego powstał jeden z największych pokładów lawy, który z kolei legł na pochyłościach tej góry i zmienił dość znacznie jej widok zewnętrzny. Zmiana ta okazała się szczególnie w zniszczeniu tam bardzo znakomitego kawału lasu, mianowicie od 100 do 130 tysięcy wielkich i pięknych drzew, co przy ogólnem wyniszczeniu lasów w Sycylii, było stratą nader dotkliwą.

Wybuch ten, pod każdym względem, był najznaczniejszym ze wszystkich wybuchów Etny od lat pięćdziesięciu. Sławne wybuchy tego wulkanu r. 1832 i 1852, które ściągnęły do Sycylii mnóstwo uczonych badaczy z całej Europy, bez wątpienia były daleko mniej znaczne i mniej godne uwagi.

*Strojnowski.*



## 57. Halicz <sup>1)</sup>.

Wstępując w obwód ziemi Halickiej, nie masz nic takiego, coby uderzyć i szczególnym jakim powabem zatrzymać zdołało wędrowca; żyzne równiny i pogodny błękit—oto wszystko, co wita na wstępie. Ale zaledwie szum Dniestru w uszach się odbije, zaledwie spojrzy oko na okoliczne wzgórza i panującą nad niem górę halicką, a już ci dalej posunąć się trudno, już niepodobna oprzeć się tajemnemu pociągowi i nie śpieszyć do szczytu, gdzie nieznacznie, zdała zaledwie widzialne gruzy rozkazującym do siebie wabią skinieniem.

Jakoż niepłonna to ułuda: szczyt Halicza rzetelną podróżnemu odplaca się rozkoszą. Pełna tu dla oka na przód odsłania się okolica.

Z południa brunatne Karpaty są punktem oparcia dla oka; miło stąd wpatrywać się w te chmur ogromnych kształty, które lubo nieruchome, zda się, że się rozstąpią i piękne Węgier odsłonią niebo. Od zachodu kraśne płaszczyny, gęsto ruskimi ubarwione sioły, przytykają ku wschodowi do wzgórz rozmaicie upiętrzonych.

Dniestr, niby wstęga, w rozmaite wije się zakręty, a u brzegów jego, jakby do onej wstęgi przypięte obrazy, wznoszą się tu góry, tam lasy, tu sioła i niwy, tam błyszczące miasteczka z mnóstwem drobnych przedmiotów, cieniujących niejako cały ów obraz wspaniały.

Niechętnie odrywa się oko od tego widoku, nieprędko do bliższych zwraca się przedmiotów, jakby się obawiało przebudzić rozjaśniony umysł pochmurnem jakim wspomnieniem.

Jakoż długo wpatrujemy się w te szczyty, nim się wzrok zwróci do jego zabytków. U podnóża góry gwarzy Dniestr fala, tamże mizerna miejscina słabem odzywa się życiem, na wierzchołku świszcze wicher po rozpadłych szczątkach omszonych gruzów. Tu dopiero myśl tęskna wstępuje do łona, tu oko szuka czegoś, a mimowolnie rodzi się pytanie: gdzie jest ów Halicz, zamożna

<sup>1)</sup> Halicz, miasto bardzo starożytne, założone wedle podania przez książniczkę Halę jeszcze za czasów pogańskich; było stolicą księstwa Halickiego.

ziem obszernych stolica i bogata udzielnych kniaziów i królów niegdyś siedziba?

U stóp góry mizerna mieścina — dzieło nowszych czasów. A więc garstka gruzów na górze, to cały zabytek dawnego grodu, jedyne resztki stolicy Rusi Czerwonej, od której Galicya dzisiejsza nazwę swą wywodzi.

Ruś Czerwona, dzisiejsza Galicya, jako część dawnej Polski, nosiła nazwę województwa Ruskiego i dzieliła się na ziemie, te zaś na powiaty: Halicki, Trembowelski i Kołomyjski. Każdy z tych powiatów miał swoje stołeczne miasto, każdy w ich nazwach przekazał nam dziejów pamiątki. Herb ziemi Halickiej: kawka czarna w koronie złotej z rozciągniętymi skrzydłami w polu białym.

Dziś Halicz leży w obwodzie Stanisławowskim. W miasteczku mieszkają po większej części żydzi; właściwy im ruch handlowy stanowi życie miasteczka.

Lud Halicza silny jest i urodziwy. *Kołomyjki* śpiewają tu w czasie uczt i godów weselnych, i ten sam lud, uginający się pod brzemieniem pracy, korny i posłuszny, na swoich ucztach i godach jest nie do poznania: z pieśnią w ustach, z błyszczącym od radości okiem hasający parobek zdaje się szydzić ze wszelkiej niedoli i samą tylko wysysać słodycz z łona ukochanej swej matki — ziemi rodzinnej. Zresztą lud ten charakteryzuje poczciwość; jest gościnnie i uczynny, a dzielny w boju.

J. B.

## 58. Warotryski samorodne w Islandyi.

Wyspa Islandya, na północnym krańcu świata mieszkalnego położona i do lodów podbiegunowych przymarzła, przedstawia badaczowi natury wiele ciekawych zjawisk. Do nich liczą się wulkany, które daleko naokół oświecają islandzkie śniegi, a szczególnie warotryski samorodne (gejzery), wyrzucające wodę wrzącą przeszło na 50 łokci w górę. Napęlnia ona całą okolicę kropelkami pary, a ta w postaci deszczu spada na ziemię. Tuż koło tych ukropowych wodotrysków, w których tameczni mieszkańcy zwykle sobie pożywienie gotują, znajduje się mnóstwo jezior, ale w nich woda jak lód zimna. Tam to przebywają owe śnieżnej białości łabędzie.

Największy wodotrysk, który tu szczegółowo opisać za-

mierzamy, leży o 10 mil od wulkanu, a o 3 od wsi Szalholt, uważanej za stolicę wyspy, bo w niej zamieszkuje biskup. Źródła tego wodotrysku zajmują przestrzeń, mającą pół mili w średnicy, i leżą częścią w dolinie, częścią na pochyłości, a częścią na samym prawie wierzchołku małego pasma gór. Liczba ich wynosi około 500.

Wybuchy tego warotrysku są dosyć częste, a niekiedy tak silne, że widać jak para się rozprasza na trzy przeszło mile wokoło. Zwykle są krótkotrwałe, z nierównymi przestankami. W tych przerwach można się do nich bezpiecznie zbliżyć i oglądać je wszechstronnie. Gdy się ma rozpocząć wytrysk, na kilka minut wprzód daje się słyszeć łoskot, do wystrzału z działa podobny, który ostrzega ciekawych o grożącym niebezpieczeństwie.

Patrząc na niego z pewnej odległości, gdy nie jest w ruchu, rozeznać go można tylko po wyziewaniu pary. Zbliżka spostrzegamy dopiero wał, otaczający jego wylot, który nam jeszcze zasłania to, co się wśród niego znajduje. Stanąwszy wreszcie na samym wale, spostrzegamy wytryskową paszczę, w której tak jak w kotle ciągle wre woda, jak kryształ przezroczysta. Wodociąg ten nie jest zawsze pełny: czasem w nim woda tak się zniża, że samą gardziel wodociągu obaczyć można; a wtenczas porównywając najokazalsze dzieła ludzkie z tem, które wydaje natura, widzimy dopiero, że to są karły wobec olbrzymów. Wyobraźmy sobie kanał, czyli wodociąg, może na 80 stóp głęboki, a z pewnością 8 do 9 średnicy mający, ciskający tak silnie wodę wrzącą do góry, że w jednej sekundzie 75 stóp przebiega! Jest to siła nie do pojęcia, o wykonaniu czegoś podobnego ani myśleć można. Niczem są wobec tego maszyny parowe!

W wodzie tego warotrysku, jak w Karolowych Warach (Karlsbad), jest wiele kamieni rozpuszczonych, które, skoro woda ostygnie, osiadają na wszystkim, co jest po drodze. A jak w miasteczku czeskiem kładą do wody uzdrawiającej rozmaite przedmioty, i te po niej jakim czasie pokryte skorupą wapienną wyjmują, tak w Islandyi otrzymują mech i inne miejscowe rośliny, kamieniem krzemienistym powleczone. Takim też osadem jest cały obwód tego wodotrysku wyłożony i ten krzemienisty pokład wzrasta ciągle wwyż i wszędy.

Jeden z badaczy, który był bardzo blisko wału, otaczającego gardziel wodotrysku, zbadał okoliczności, to-



warzyszące jego prądowaniu. Powiada on, że słup tego strumienia wody jest niekiedy błękitny, a czasem zielonawy; lecz skoro się rozpadać zaczyna, gdy się rozgałęzia, znikają barwy pomienione, a para nabiera śnieżnej białości.

Zachwycający jest to widok tego niby drzewa wodnego! Główne konary rozpadają się do sta odnóg, odnogi na tysiące gałęzi, gałęzie na niezliczone mnóstwo gałązek i różdżek, a wszystko to ma postać najpiękniejszej płaczącej brzozy, tylko ją jeszcze przewyższa swoją wytwornością, swoją olbrzymią wielkością i wspaniałością.

R.

## 59. Polesie <sup>1)</sup>.

Jeśli jaki kraj cichy, jeśli jaki spokojny, to Polesie. Kiedy przez którą wieś nie idzie gościniec pocztowy albo trakt kupiecki, to prócz pospolitego odgłosu wsi, który jest jakby jej oddechem, nic nie słychać obcego, nic nie widać cudzego. Wszystkie świty jednakowo siwe, wszystkie chustki jednakowo białe i sosny jednakowo zielone, i chaty jednakowo niskie i nieforemne, i ten sam zawsze dym czarny ponad ich dymnikami się wzbija. Jednakże jak dwu liści jednakowych na krzaku, tak dwu wiosek zupełnie jednakowych w Polesiu nie znajdziesz: tam cerkiew wyższa z ciemnymi galeryami dokoła, owdzie las gęstszy, tu chat więcej, wszystkie podobne jak siostry rodzone,—a dwu niema jednakowych zupełnie, jak dwu twarzy ludzkich.

Spojrzyj ponad to jeziorko, co ciche i spokojne położyło się u stóp wzgórza, zajętego przez dwór pański. Jest to jedna z najpiękniejszych wiosek wołyńskiego Polesia, co go otacza. Gdy zjedziesz z pagórka, po którym droga się wije, widzisz przed sobą wieś, rozsypaną nad brzegiem jeziora, za niem dwór bieleje, a od przyjazdu twego stara trzykopolna cerkiew; na wzgórku stojąc,

<sup>1)</sup> Polesie, są to obszerne, płaskie obszary, po obu brzegach Prypeci, wpadającej do Dniepru. Wielka ta zapadlina jest przerwana mnóstwem rzek i rzeczułek, do Prypeci wpadających, i na wiosnę stanowiących niby jedno olbrzymie jezioro. Północna część zowie się Polesiem litewskim, południowa wołyńskim. W ostatnich latach znaczne obszary Polesia zostały osuszone.

pogląda na okolicę. Droga idzie spadzisto ponad jezior-kiem aż do karczmy, która wieś rozpoczyna.

W oddaleniu naokoło jednaki las sosnowy, mniej wię-cej zniszczony, niższy lub wyższy, ogradzający każdy widok na Polesiu, piasek, błoto kępiaste, przez które są-czy się rzeczulka okryta trzcinami, a nad tem niebo po-chmurne.

Przez wieś ciągnie się ulica błotnista, gdzieniegdzie przedzielona od chaty do chłopskiego gumna dróżką, paździerzem lub wiórami i trzaskami wysłaną. Ulicę otaczają naprzemian chaty, chlewy, gumna całe i poza-walane, zwieszane, w węglach rozparte, ze słupami po-chylonemi, z dachami zapadłemi lub zaczynającemi się dopiero kleić, między niemi kawałki tynu (płotu z dębo-wych szczepów) i starego ogrodzenia z kołków i chró-stu. Tu i owdzie z zagrody błada jarzębina wychyla się na ulicę, stara grusza wygląda, lub długi żóraw od stu-dni kołysze się nad głową przechodnia.

Z przodu chat niskich, pokrytych nieszczelnie dranicami już czarnemi od dymu, zaledwie do krokwi przymo-cowanemi, widzisz tylko pod skopem wystającym niewy-godną przyźbę, często składającą się z położonej pod ścianą kłody, odartej z kory; niskie drzwi od dziedziń-ca, zniżone jeszcze wysokim progiem, niedopuszczającym wejścia do sieni, blisko stojącej kałuży, małe okienka złożone z umyślnych szyb okrągłych, zielonych, do dna butelek podobnych. Rzadko nieforemne szybki bielsze, z cienkiego szkła pospolitego, kupione z gotowem oknem na jarmarku, zastępują pospolite okienka krągłoszybe. Nad okopconym dachem wysokim wznosi się dymnik drewniany, czarny od dymu, w kształcie trąby lub czwo-rogrannego słupa. W zimie, a często i w innych porach roku, niedość dymnika na wypuszczenie dymu, zebrane-go pod dachem chaty; ciśnie się on wszystkiemi szczeli-nami, okny, drzwiami, ścianami i dachem, tak, że się zda-je, jakby chata wewnątrz płonęła i za chwilę płomień miał się ukazać. W takiej to atmosferze smolnego gę-stego dymu sosnowych drewek, pary, śwędu, żyje zwy-czajnie Poleszuk.

Środek chaty dowodzi tego samego ubóstwa czy nie-dbalstwa: sień błotnista, po której świnie się przechadza-ją, zarzucona grabiami, przygotowanem na zimę łuczy-wem, drwami olchowemi, drabinami i ułamkami soch

i bron popsutych; z niej wejście do jedynej izby z piecem, ławami naokoło, ciemnej, małej, dymnej, bez podłogi. W środku stół jeden, dzieża, matka chlebotajna, w rogu izby na ławie pod świętym obrazkiem, czasem jeszcze kołyska dziecięcia i krośna tkackie. Nie znajdziesz nic zbyt kownego, nie nad najpierwsze potrzeby życia, żadnego wspomnienia, żadnego uczucia przywiązanego do przedmiotu.

Jest to jeszcze stan ludu pół-dzikiego, nie myślącego o niczem nad zaspokojenie pierwszych swych potrzeb zwierzęcych. Za ledwie dziecinne młynki na rowach i ogródki przed chatami, w których złoci się nagietek, czasem malwa kwitnie i mak czerwony jaśnieje, dowodzą, że tu dzieciom i młodym wolno się czasem bawić. Niedługo jednak i dziecię, zaczynając od pastuszkowania, rzuca już swoje zabawki na zawsze; dziewczyna, poszedłszy za męża, nie sadi kwiatów, nie stroi się w kwiatki.

O! jak lżej, swobodniej nad jeziorkiem, niż w tej chacie smutnej i brudnej. Na wzgórzu masz dom dziecka, który wiankiem otoczyły topole, przeglądające się w wodzie, ostawiony śpichlerzami, gumnami, stertami i stogami siana. Wśród drzew widać i gołębnik, i żóraw studni, i próżnujący wiatrak z tyłu na pagórku, któremu lasy wiatr kradną, odpoczywa większą część roku.

Dalej, na drugim brzegu wyniosłym, cerkiew czarna, stara, krzyż koło niej i dzwonnica milcząca, — cerkiew, której jeszcze życie wraca, kiedy pieśnią jej ściany się rozlegą, dzwony uderzą, lud ją przepelni. Od niedzieli do niedzieli milcząca, głucha, patrzy na wioskę, jak starszka na dzieci, co się grzebią w piasku.

W oddaleniu na żółtem polu, wśród zagonów chłopskich jest cmentarz wiejski pogarbiony mogiłami, nad którymi stoją czarne krzyże, podwójne, potrójne, od drobnych, które nastąpisz nogą, do wysokich, jak sosny, proste i malowane, z męką i bez męki.

Teraz pytaj, jak ci ludzie żyją, którzy w tych chatach mieszkają, w tej cerkwi się modlą, na tym leżą cmentarzu. Życie to smutne, a jednak nawyknieniem lekkie, byleby Bóg rodził, byleby ich zbyt obfity połów ryb głodem nie straszył, bo wierzą w przysłowie: kiedy się ryba łowi, żyto nie rodzi. Łatwo wytłumaczyć tę przypowieść: ryby najlepiej się łowią, gdy wiele



wody, a niskim gruntem Polesia zalewy grożą neurodzajem.

*J. I. Kraszewski.*

## 60. Vasco de Gama.

Od niepamiętnych czasów bogate i uroczne Indye dostarczały przepysznych swych płodów mieszkańcom wybrzeży morza Śródziemnego.

Ofir, kraj nieznan, który w czasie budowy świątyni jerozolimskiej dostarczał Salomonowi, za pośrednictwem Tyryjczyków, złota, kości słoniowej i drogocennych drzew, leżał na morzu Indyjskim, a o wiele wprzód przed Salomonem potężne ludy Asyryi i Egiptu, za pomocą żeglarzy Fenicyan, zaopatrywały się w przedmioty zbytku z tej błogosławionej krainy.

Złoto, perły, drogie kamienie, wonne kadzidła, aromatyczne korzenie zbogacały kupców, handlujących niemi, a żądania z każdym rokiem wzrastały.

Kiedy rozwinęła się potęga Grecyi, gdy wyrósł Rzym olbrzym, zwiększyły się jeszcze bardziej potrzeby przedmiotów zbytkowych, i dopiero wędrowni ludów północnych, a później niszczące najazdy Arabów, mieczem i ogniem szerzących naukę Mahometa, przez parę wieków wstrzymywały rozwój handlu z Indyami.

Później zakwitnął wspaniały kalifat w Bagdadzie; potęga Arabów owładnęła całym wybrzeżem afrykańskim i sięgała do Pirenejów.

Kupcy arabscy, mający łatwiejsze stosunki z Indyami, przyjęli na siebie spadek Fenicyan i zaopatrywali Europę w płody odległego Wschodu. Z kolei nastąpili Wenecyanie i Genueńczycy i niezliczone statki kupieckie, pod opieką siły morskiej tych dwu rzeczpospolitych, owładnęły handlem indyjskim.

Towary prowadzono zwykle karawanami do brzegów mórz Kaspijskiego i Czarnego, a z tego do Konstantynopola, lub też do wybrzeży syryjskich, skąd je właśnie Wenecyanie i Genueńczycy zabierali i rozwozili do portów europejskich.

Droga ta była odległa i mozolna, przechodziła przez mnóstwo państw udzielnych; książęta, w nich rządzący, nakładali na towary wysokie cła, które z tego powodu,

gdy doszły do miejsca przeznaczenia, były niezmiernie drogie.

Z przyczyn wyżej opisanych i dla usunięcia uciążliwości odległej drogi było rzeczą bardzo korzystną wynaleźć inną, wprost do Indyi, morzem. Więc też w końcu XV wieku, dwa najznakomitsze podówczas narody morskie, Hiszpanie i Portugalczycy, poczęli się krzątać około wyszukania drogi morskiej, wiodącej do tych bogatych krain i od wielu lat wysyłali już swe okręty ku wybrzeżom Afryki zachodniej, w celu robienia odkryć.

Henryk, królewicz portugalski, syn króla Jana, zwany Żeglarzem, dawał tym odkryciom zachętę i wszelkie ułatwienia. Pan ten odważny i wytrwały, z gorączkową ciekawością wypytywał się kupców izraelskich i arabskich o nieznane wyspy i pobraża zachodnio-afrykańskie.

Przebywając najchętniej w zamku swym nadmorskim, wstępował na wysoką wieżę i z jej szczytu tęskny wzrok zapuszczał w nieprzejrzone przestrzenie oceanu. Dusza jego wydzieraa się w nieznane krainy, które radby co najrychlej zbadać i światłem nauki ewangelicznej obdarzyć.

Przecież wykonaniu pomysłów królewskich sami Portugalczycy stawali na przeszkodzie: gruba nieświadomość, przesady i bojaźń przez długi czas paraliżowały genialne plany Henryka.

Wierzono powszechnie w owym czasie, że żaden żeglarz nie zdoła przedrzeć się do równika, że morze tam gotuje się od gorąca, a żar słoneczny drewniane okręty w popiół obróci.

Królewicz przecież nie dał się temi baśniami odstraszyć; wysłane przezeń okręty w roku 1418, pod dowództwem dwu jego dworzan, Gonzaleza i Vaza, odkryły wyspę Porto-Santo, a w następnym żyzną i czarownej piękności Madeirę.

Obie wyspy były pokryte lasami nieprzebytymi. Portugalczycy podpalili lasy Madeiry, które przez lat 7 płonęły; po ich wygaśnięciu ziemia, użyźniona popiołami, okazała się przewyborną do uprawy i dziś jeszcze słynie ze swej urodzajności.

Tak Porto-Santo jak i Madeira stały się osadami portugalskimi; ale przez lat kilkanaście dalsze odkrycia nie miały miejsca, chociaż bowiem Henryk nalegał i nie szczędził pieniędzy, nie mógł wszakże wyszukać odważnych

ludzi, którzyby zaczęte dzieło dalej prowadzili. Dopiero w roku 1432 wypłynął nowy okręt pod dowództwem Gilianeza na czynienie nowych odkryć. Okręt ten trzymał się wciąż brzegów Afryki. Udało mu się opłynąć przylądek Bojador, o czym dotąd marzyć nie śmiano.

Na prośbę królów portugalskich, papież wydał bulłę, mocą której darował im wszystkie krainy, jakie na drodze do Indyi Wschodnich odkryją.

Wtedy puszczono się na nowe odkrycia, wzdłuż zachodniego brzegu Afryki, kilkakrotnie wysiadając na brzegi. Zdarzało się, że mieszkańcy tych wybrzeży napadali na śmiałych żeglarzy; jednak wystrzały z ręcznej broni były dostatecznymi, aby ich odpędzić.

W roku 1442 okręty, powracające z wypraw morskich, wprawiły w największy podziw mieszkańców Lizbony, przywożąc kilkunastu murzynów i znaczny ładunek złotego piasku.

Ustały wówczas wszelkie szemrania, przeciwne wyprawom, owszem, jęto się z zapalem do uzbrajania nowych.

W roku 1444 odkryto przylądek Biały, we dwa lata później przylądek Zielony, oraz wyspy tegoż nazwiska. Henryk Żeglarz, umierając w roku 1460, miał tę pociechę, że dowiedział się o odkryciu Gwinei, a zarazem o zajęciu lądów afrykańskich ku wschodowi, co wróżyło, że upragniona droga morska do Idyi Wschodnich odkrytą nareszcie zostanie.

Śmierć króla Henryka powstrzymała dalsze odkrycia; całe panowanie Alfonsa V nie posunęło ich na krok dalej; żeglarze przecież przepływali teraz z całą swobodą równik, co niemałe miało znaczenie.

Dopiero Jan II nanowo podźwignął z zapomnienia plany Henryka Żeglarza. W roku 1486 Bartłomiej Diaz, nieustraszony żeglarz, dosięgnął kończyn południowej Afryki po wytrzymaniu gwałtownych nawałnic, i przylądek na granicy Atlantyku i Oceanu indyjskiego leżący, nazwał z tej przyczyny przylądkiem Burz. Król, po wysłuchaniu sprawozdania Diaza, zmienił nazwę przylądka Burz na przylądek Dobrej Nadziei; spodziewał się bowiem, że odkrycie jego jest zapowiedzią blizkiego znalezienia drogi morskiej do Indyi, który to cel we dwanaście lat później śmiały żeglarz, Vasco de Gama, szczęśliwie osiągnął.

Niezmierną ważność, jaką ma powyższy przylądek pod



względem handlu z Azją, uznali pierwsi Holendrzy; z tego powodu opanowali go i przez wzniesienie warowni zabezpieczyli sobie posiadanie tego miejsca. Zostawał on w ich posiadaniu aż do roku 1806, w którym przeszedł w posiadanie Anglii.

Vasco de Gama urodził się w małym nadmorskiem miasteczku Sinez, z rodziny szlacheckiej. Jego nieustraszona śmiałość i niewzruszona wytrwałość, w wielu okazanych zdarzeniach, ściągnęła uwagę króla Emanuela. Z rozkazu monarchy objął on dowództwo czterech nowo uzbrojonych okrętów, ażeby, opłynawszy przylądek Dobrej Nadziei, dostać się drogą morską do Indyi.

Vasco de Gama, otrzymawszy z rąk króla sztandar ozdobiony krzyżem, wstąpił na pokład admiralskiego okrętu, noszącego nazwę Archanioła Gabryela. Na pokładzie czterech statków znajdowało się 160 majtków i żołnierzy: broni, zapasów i amunicyj nie żałowano. Okręty opuściły port w dniu 9 lipca 1497 roku.

W owym czasie nie znano jeszcze peryodycznych wiatrów, panujących na morzach zwrotnikowych, z tego powodu wybrano najniepomyślniejszą porę do przebycia Atlantyku. Admirał, wystawiony na pastwę burz, widział słabe swe statki w rozproszeniu, nieraz dotkliwym uszkodzeniem dotknięte; kłopoty te zwiększyły kilkakrotnie bunty osady, żądającej powrotu do ojczyzny. Gama stałością i siłą pokonał te przeszkody, dosięgnął szczęśliwie kończyny afrykańskiej i opłynął wschodni brzeg tej części ziemi, gdzie dotąd nie dotarł żaden Europejczyk.

W wielu miejscach Portugalczycy lądowali, ażeby zaopatrzyć się w wodę; wszelako krajowcy występowali przeciwko nim nieprzyjaźnie i tylko król Melindy przyjął żeglarzów gościnnie.

Od niego otrzymał admirał biegłego retmana, obznajmionego dokładnie z żeglugą po Oceanie Indyjskim. Statki przezeń prowadzone przerznęły siedmset mil środkiem tego morza, o którego istnieniu nic w Europie nie wiedziano, i w dniu 19 maja 1498 roku zarzuciły kotwice w przystani Kalikut na wybrzeżu malabarskiem.

Hindusowie, zamieszkujący półwysep wschodnio-indyjski, stali już wówczas na wysokim stopniu wykształcenia, mianowicie rękodziela i handel kwitnęły pomiędzy nimi.

Vasco de Gama rozkazał natychmiast zawiadomić Za-

morina, króla wybrzeży, o swoim przybyciu. Szczęśliwym zdarzeniem znajdował się podówczas w Kalikucie Maur, umiejący po hiszpańsku. Ten na prośbę admirała doniósł królowi, że przybysze należą do potężnego narodu na zachodzie i życzą sobie z jego poddanymi wejść w stosunki handlowe.

Na polecenie owego Maura, Zamorin zaprosił admirała, a leżąc na przepysznych wezgłowiach, przyjął go przyjaźnie i zażądał, by mu wręczył listy króla Emanuela portugalskiego.

Przyjęcie to obudziło zazdrość kupców mahometańskich, którzy prawie cały handel indyjski w swych rękach bez najmniejszych przeszkód dzierżyli; starali się więc odważnego przybylca, a dla nich niebezpiecznego współzawodnika znieśliwić potwarzami przed sułtanem. Mówili zatem, że obcy wcale nie są wysłańcami króla portugalskiego, ale korsarzami, i pochycili siedmiu majtków europejskich, którzy w zaufaniu w przyjaźń Hindusów na ląd wysiedli, skłoniwszy Zamorina, aby ich pilnie strzedz polecił.

Na odgłos tego gwałtu, Vasco kazał czatować na rybaków indyjskich: uchwycono ich dwudziestu i zaprowadzono na pokład eskadry.

Wówczas admirał rozkazał ściągnąć kotwice i rozpiąć żagle, udając, że odpływa. Środek ten wywarł pożądane skutki; sułtan wydał siedmiu schwytyanych, usprawiedliwiając się i tłómacząc ze swego postępku i dołączył list przyjacielski do króla Emanuela. Wtedy admirał wypuścił porwanych rybaków, zatrzymując z nich czterech, ażeby obejrzeni kraje zachodnie i swemu władcy o nich dokładne przywieźli wiadomości.

Z powrotem Vasco de Gama odwiedził znów gościnnego króla Melindy, który go równie przyjaźnie jak pierwszym razem przyjął i mnóstwem bogatych podarunków obdarzył. Żegluga tym razem poszła bardzo pomyślnie, opłynięto przylądek szczęśliwie, przebyto ocean Atlantycki i nakoniec statki zarzuciły kotwice w przystani Lizbońskiej w dniu 29 sierpnia 1499 roku, po dwuletniej przeszło nieobecności.

Na wieść o powrocie wyprawy, niezliczone tłumy ludu płynęły ku przystani, aby dzielnych żeglarzy powitać i dowiedzieć się od nich wątku cudownych przygód, których doświadczyli. Ze stu sześćdziesięciu ludzi osady

okrętowej, powróciło za ledwie pięćdziesięciu pięciu; ale tych król wspaniale wynagrodził.

Vasco de Gama zamknął się na tydzień w klasztorze, przez Henryka Żeglarza wybudowanym, i czas ten spędzał na ćwiczeniach duchownych, ażeby Bogu za szczęśliwe powodzenie trudnego przedsięwzięcia podziękować. Król mianował go hrabią i admirałem mórza wschodnich, przeznaczając trzy tysiące dukatów rocznej pensyi, co przy ówczesnem znaczeniu monety stanowiło ogromne uposażenie. W rodzinnym herbie jego zamieszczono część herbów państwa, a wszystkie miasta całego kraju współubiegały się w uroczystościach, wyprawianych na cześć bohatera.

*Z «Księgi odkryć geograficznych».*

## 61. Odkrycia podbiegunowe. John Franklin.

Wszystkie odkrycia od czasów Kolumba odbywały się w strefie gorącej, a raz tylko w podróży Cooka dokoła ziemi sięgały granicy odwiecznych lodów. Mniej głośnie niż poprzednie, już w końcu XV wieku rozpoczynają się wyprawy w owe niegościnnie ziemie, w owe niezmierne obszary lodów północnych, w których żeglarze co krok napotykały zawady, cierpienia, niebezpieczeństwa i śmierć samą. Charakterystyczną wszakże i wielce pocieszającą cechą tych wypraw podbiegunowych stanowi to, że nie przedsiębrane dla zysków materyalnych, a jedynie w celach naukowych, miały cały szereg ofiarników nauki. Niebezpieczeństwa i śmierć poprzedników nie odstraszały następców, i tylko dzięki tym poświęceniom, dzisiejsza nauka geografii nieocenionemi wzbogaciła się skarby.

Pierwszą pobudką do szeregu wypraw było poszukiwanie przepływu północno-zachodniego. Okręty, pragnące się dostać na ocean Spokojny, muszą odbywać długą i pełną niebezpieczeństw żeglugę albo około przylądka Horn w Ameryce, lub też około przylądka Dobrej Nadziei w Afryce. Starano się więc wynaleźć inną, krótszą i bezpieczniejszą drogę, i w tym celu marynarze zwrócili swoje statki ku Ameryce północnej, mniemając, iż tam upragniony przepływ znajdą.

Pierwsze usiłowania w tym względzie czynili Wenecya-



nie, bracia *Cabot*, i w r. 1497 odkryli wyspę Newfoundland. Następnie w r. 1500 Portugalczycy, bracia *Cortereal*, zapuścili się ku północy; ale po odkryciu Labradoru obydwaj zniknęli bez śladu. Za panowania królowej Elżbiety, Marcin *Frobisher* odbył w latach 1576—81 cztery podróże, jedną po drugiej, szukając północnego przepływu.

W pięć lat później żeglarz angielski, *Gilbert* z Dewon-szajru, puścił się ku północy, ale wraz ze swym okrętem stał się ofiarą bałwanów morskich.

Los Gilberta nie odstraszył innych żeglarzy, i we dwa lata potem John *Davis* udał się na wyprawę podbiegunową (1588). Odkrył on kawał ziemi, jego imieniem dziś zwany, a także wniósł do zatok *Baffina*.

Na początku XVII wieku pojawił się przedsiębiorczy marynarz, Henryk *Hudson*, który postanowił bądź co bądź znaleźć przepływ północno-zachodni. W r. 1607 wypłynął z Anglii i przybił do brzegów Grenlandyi pod 73 stop. szer. półn., stąd udał się ku Szpicbergowi i dotarł do 81 stopnia. Lecz brak żywności zmusił go do powrotu. W drugiej równie niepomysłnej podróży, osiągnął tylko przylądka północnego (*Nordcap*), najodleglejszej na północ kończyny Europy. W trzeciej wyprawie, odbytej w r. 1610, Hudson popłynął na półn.-zachód, ku wyspie *Résolution*, odkrytej przez *Davisa*; stąd puściwszy się na zachód, odkrył cieśninę *Hudsonską*.

W parę lat potem wyprawił się *Wiliam Baffin* i dotarłszy do cieśniny *Davisa*, odkrył wiele zatok, z których największa jego otrzymała nazwisko. Nie była to jednak zatoka, jak się później pokazało, ale wielki kanał, wiodący do przesmyku *Smitha*, a następnie do przepływu *Kennedego*, który we dwa wieki później odkrył *Kane*.

Cieśninę *Beringa*, oddzielającą Azyę od Ameryki, odkrył żeglarz tegoż nazwiska w roku 1728, a istnienie jej utwierdziło mniemanie, że i przepływ północno-zachodni niezawodnie istnieć musi.

Parlament angielski, pragnąc koniecznie dopiąć odkrycia upragnionego przepływu, wyznaczył w r. 1743 nagrodę 20,000 funtów szterlingów za dokonanie tego dzieła przez zatokę *Hudsonską*, a 5,000 funtów temu, kto się dostanie do 110 stop. dług. wschod., licząc od południka *Ferro*. Nagroda ta zachęcała wielu; z pomiędzy nich *Samuel Hearne* i *Aleksander Makenzie* puścili się lądem amerykańskim ku wybrzeżom morza *Lodowatego* i pierw-

szy odkrył rzekę *Miedzianą*, drugi zaś rzekę *Makenzie* i dosięgnął brzegów oceanu *Lodowatego*.

Po bezskutecznej pierwszej wyprawie kapitana *Rossa* wyprawił się *Edward Parry*, odkrył cieśninę *Wellingtona* i przebył stopień 110, co zapewniało żeglarzom nagrodę 5,000 funtów st. Śród niesłychanych niebezpieczeństw, nieopisanych mrozów, zmuszony przepędzić zimę (1820) i po 84 dniach ujrzawszy dopiero słońce; uznał *Parry*, że wynalezienie przepływu jest tym razem niepodobnem.

Kapitan *Jakób Ross*, który z podróży w roku 1818 tak niepomyślnie wyszedł, umyślił jeszcze raz spróbować szczęścia. Podróż jego, kilka lat trwająca (1829—33), należy do najważniejszych, jeżeli nie pod względem zdobyczy naukowych, to przynajmniej pod względem walki z przyrodą północną i tych nieopisanych trudów, jakie tylko w krainie lodów napotykać można. Z wyprawy tej zanotujemy, że w r. 1851 synowiec kapitana, *Jakób*, zrobił ważne odkrycie: odkrył biegun magnetyczny (pod 70°5' szer. półn., a 79°21' dług. wsch.).

We dwanaście lat po powrocie *Rossa*, dwaj żeglarze, *J. Franklin* i *Crozier*, popłynęli na północ w celu szukania, jak zwykle, przepływu północno-zachodniego. Poprzedni żeglarze odkryli już wprawdzie wiele, ale należało miejsca dotąd niezbadane przejrzeć i sprawdzić odkrycia, poczynione przez innych żeglarzy. Okręty, zbudowane mocno, urządzone wybornie, opatrzone żywnością i opałem na trzy lata, wypłynęły szczęśliwie: ale wraz z osadą, ze 138 ludzi złożoną, zaginęły bez śladu. Tyle tylko wiadziano, że zimę roku 1845 na 46 przepędził *Franklin* na wysepce *Bechey*, leżącej obok przylądka *Riley*, występującego z obszernej wyspy, noszącej nazwę *Północny Devon*, przy wnijsciu do przepływu *Wellingtona*.

Kapitan *Ommaney* znalazł tu w kilka lat później groby trzech ludzi, do okrętu *Franklina* należących. Poszukiwania dalsze wskazały, że *Franklin* zwiedzał kanał *Wellingtona* w całej długości i dopłynął aż do 77° szerokości północnej.

Gdy upłynęły dwa lata od czasu, jak *Franklin* opuścił ojczyznę, a żadnej o nim nie miano wiadomości, rząd angielski urządził kilka wypraw, w celu szukania zaginionych okrętów. Poszukiwania te rozpoczęto równocześnie



w kilku punktach. Żeglarze w czterech kierunkach udali się ku biegunowi: od cieśniny Beringa, od przepływu Lankastra, od odnogi Hudsonskiej dla przepatrzenia wybrzeży amerykańskich, położonych pomiędzy rzeką Miedzianą i Makenzie; nakoniec od przylądka Bathurst dla zbadania wybrzeży Banks. Dwie ostatnie wyprawy z niezmordowaną gorliwością przejrzały wybrzeże północno-amerykańskie i odkryły wiele wysp (w r. 1854).

Doktór *Rae*, dowodzący wyprawą lądową, dowiedział się w zatoce Pelli od Eskimosów, że przed czterema laty widzieli oni około 40 białych, którzy z wyspy króla Wilhelma zmierzali ku rzece Rybnej, ale poumierali w drodze. Anglicy owi starali się wytłómaczyć Eskimosom za pomocą znaków, że okręty ich uwięzły w lodach, a wszyscy, z wyjątkiem swego naczelnika, byli w stanie opłakania godnym i cierpieli wielki niedostatek żywności. W kilka dni potem Eskimosi znaleźli na stałym lądzie amerykańskim zwłoki trzydziestu białych, a potem jeszcze pięciu na blizkiej wysepce.

Dr. *Rae* niezupełnie wierzył Eskimosom, gdyż lud ten, dla przypodobania się białym, częstokroć zmyśla, opowiadając to, co tamci pragną słyszeć. Skierował się wszelako ku wskazanej stronie, a gdy się dostał na miejsce, przekonał się, że ich opowiadania bezzasadnymi nie były. Znalaziono u Eskimosów, tam przebywających, wiele przedmiotów, które niewątpliwie należały do osad okrętów Franklina, jako to: kompas, lunety, strzelby, łyżki i widelce srebrne, na których wyryte były cyfry kapitana i jego towarzyszów.

Z przedmiotami temi udał się dr. *Rae* do admiralicyi angielskiej, gdzie zadziwiono się niezmiernie tem niespodziewanem odkryciem, gdyż mniemano, że Franklin zginął nierównie dalej ku północy.

Gotowano już nową wyprawę, kiedy kapitan *Mac-Clintok*, powróciwszy ze swojej podróży, wyjaśnił zagadkę zniknięcia Franklina.

Przed powrotem bowiem d-ra *Rae*, wdowa po Franklinie wraz z przyjaciółmi zmarłego, przy pomocy rządu angielskiego, zakupiła okręt i powierzyła dowództwo jego kapitanowi *Mac-Clintok*. W dniu 1 lipca wypłynął on z Anglii i przepłynął kanał Baffiński. Lody zamknęły go już w dniu 18 sierpnia, ale za to na wiosnę 1858 r. 25 kwietnia już podniósł żagle. Przepłynawszy prze-



pływ Lankastra, a następnie księcia Regenta, dostał się do cieśniny Bellow. Dalsza żegluga stała się niepodobną, gdyż lody znów zamknęły przejście. Przezimowano u wybrzeży Bootia, a równo z wiosną rozpoczęto poszukiwania potrójne, puszczając się wzdłuż brzegów saniami. Kapitan Mac-Clintok zwiedził tym sposobem wschodnie, Hobson zachodnie wybrzeże półwyspu Bootia, aż do wyspy króla Wilhelma, nakoniec kapitan Joung zwiedził zachodnie wybrzeże kraju księcia Wallii.

U Eskimosów, których podczas swej wyprawy Anglii często napotykali, widziano wiele przedmiotów, do Franklina należących; nakoniec dowiedziano się z pewnością, że jeden okręt pochłonęło morze, drugi zaś zgruchotany był o lodowe wybrzeże. Ludzie, znajdujący się na nich, wsiedli na statki i skierowali się ku wielkiej rzece, a na drugi rok znaleziono ich kości.

W kilka dni później, inni spotkani Eskimosowie twierdzili, że jedna z ich kobiet zwiedzała okręt ze swym synem w roku 1847 i że o pięć dni drogi stąd mogą szczałki statku napotkać. W dniu 25 znaleziono kościec ludzki, wyraźnie do Europejczyka należący.

Szcześniejszym jeszcze był w swoich poszukiwaniach kapitan Hobson, znalazł bowiem pismo, które w kilkunastu wierszach zamykało całą historję cierpień towarzyszy Franklina.

Oto jego treść:

«Dnia 28 maja 1847 r., okręty Erebus i Terror zimuja pod 70° 65' szer. półn., a 98° 23' dług. wsch. od Greenwich. Zimą 1846 r. na 47 przepędziliśmy na wyspie Bechey, zwiedziwszy poprzednio kanał Wellingtona i powróciwszy około zachodnich wybrzeży wyspy Kornwalis. Kapitan John Franklin dowodzi wyprawą». *Gm. Gore, porucznik.*

A dalej dopisano inną ręką: «Dnia 25 kwietnia 1848 r. okręty Erebus i Terror opuszczone były o 5 godzin w północno-zachodniej stronie, gdyż od 12 września 1846 r. uwięzione były w lodach. Oficerowie i osada, składająca się ze 105 ludzi, wylądowała pod 69° 37' szer. półn., kapitan John Franklin zmarł 11 czerwca 1846 r. ...» Podpisano: *F. R. Crozier, kapitan.*

Natychmiast po przywiezieniu tych dokumentów przez Hobsona, kapitan Mac-Clintok udał się na wskazane miejsce i znalazł rozmaite przedmioty, które wymownie świadczyły o pobycie w tem miejscu wyprawy Franklina przed

jedenastu laty. Tuż przy brzegu spoczywała łódź, wybornie do żeglugi rzecznej urządzona. W niej pomiędzy rozmaitemi przedmiotami znaleziono dwa kościotrupy ludzkie, otulone w płaszcze i futra. Obok dwie dubeltówki, każda miała jedną lufę wystrzeloną, a drugą nabitą z odciągniętym kurkiem. Obok tego znajdowała się tu pewna ilość zegarków, odzieży, amunicyi, pugilaresów i t. p. Zwrócenie sań przodem ku okrętom wskazywało, że nieszczęśliwi rozbitkowie zamierzali powrócić do statków, kiedy ich nagle śmierć zaskoczyła.

Mac-Clintok po 70 dniach powrócił do okrętu i wkrótce odjechał; do kraju przybył 20 września 1859 r. Tym sposobem wytrwały ten żeglarz objaśnił Europę o losie wyprawy Franklina.

Za to wyprawy, przedsiębrane w celu dowiedzenia się o Franklinie, całkiem inne rozwiązały pytanie, odkryły bowiem przepływ północno-zachodni, którego od trzech wieków nadaremnie szukano.

Mianowicie, wycieczki lądowe po wybrzeżach północnych Ameryki okazały, że ta część ziemi nie dosięga bieguną północnego, jak przedtem mniemano, i nie ma związku z Grenlandją. Podczas wypraw morskich ku biegunowi, kapitanowie: *Belcher*, *Kellet* i *Pullen* zapuszczali się z jednej strony od zatoki Baffińskiej na zachód w liczne cieśniny, rozdzielające wyspy archipelagu północnego; z drugiej strony *Collinson* i *Mac-Clure*, przebywszy cieśninę Beringa, dążyli ku wschodowi. *Collinsona* zwróciły lody i nie dozwoliły dalej żeglować; wszelako we trzy lata później, przebywszy szczęśliwie mnóstwo niebezpieczeństw, odkrył on przepływ zachodnio-północny przez nieznaną dotąd *cieśninę Wiktoryi*.

Tymczasem *Mac-Clure*, na statku *Investigator* dopłynął do przylądka Parry na wyspie Banksa i znalazł drugi przepływ przez również nieznaną *cieśninę księcia Wallii*, dzielącą wyspę Banksa od krainy ks. Alberta. Stąd udał się ku przepływowi Melville, gdzie musiał przezimować, robiąc nieustannie wycieczki. Wtedy przekonał się, że cieśnina ks. Wallii łączy się z przepływem Melville, a następnie z kanałem Barrowa i Lankastra, a więc i z zatoką Baffińską. Ponieważ lody nie dopuściły przepłynąć przez cieśninę ks. Wallii, przeto *Mac-Clure* wrócił, okrążył przylądek Nilsona i wpłynął do cieśniny Banksa. Z powodu zapór lodowych przezimował w zatoce

Mercy, gdzie przez dwa lata zostawał, nie mogąc uwolnić się od lodów. Tym sposobem odkrył drugi przepływ północno-zachodni przez cieśninę Banksa do zatoki Melville.

Ponieważ lody nie puszczały, przeto Mac-Clure postanowił okręt opuścić i już zabierał się to wykonać, gdy niespodziewanie porucznik *Pim* przybył na pomoc i przewiózł wszystkich na wyspę Melville. Mac-Clure w czasie pobytu w zatoce Mercy zakopał puszkę blaszaną, zawierającą opis podróży; tę właśnie znalazł kapitan Kellet i wysłał porucznika Pim na pomoc Mac-Clurowi.

Osady obydwu statków zostawały jeszcze przez jedną zimę, zamknięte przez lody w zatoce Melville, dopiero w rok później powróciły na okręcie «Gwiazda Północna».

Towarzystwo geograficzne angielskie, jeszcze przed powrotem kapitana Mac-Clure, przyznało mu wielki medal złoty; skoro zaś wrócił, admiralicya mianowała go kapitanem marynarki królewskiej; królowa nadała mu godność baroneta—parlament zaś przyznał mu nagrodę 5,000 funtów szterlingów, a drugie tyle osadzie Inwestygatora.

*Z «Księgi odkryć geograficznych».*

## 62. Tunel pod górą Cenis.

Wiecie już z geografii, że ogromny łańcuch gór, rozłożony między morzem Adryatykiem, Lombardya i równinami Rodanu, nosi nazwę Alp, stanowiących najrozleglejsze pasmo wyniosłości w Europie. Zajmują one 4,500 mil kwadratowych powierzchni i mają sto mil długości, a szerokości, szczególnie od wschodu, czterdzieści. Góry, z jakich pasmo to jest złożone, rozmaitej są wyniosłości; niektóre dochodzą do 13,000 stóp nad poziom morza, a wszystkie są przedzielone dolinami, rozpadlinami i przepaściami, przez które przejście jest niezmiernie utrudnione. Trudność ta jeszcze bardziej się zwiększa przy przejściach przez grzbiety gór, porośniętych lasami lub okrytych wiecznym śniegiem; dlatego nim drogi w nich jako tako były urządzone, trzeba było wielkie robić okrażenia i poświęcać dni całe na przebycie jednej wiorsty odległości. Z czasem, w miarę zwiększania się stosunków między ludźmi, zaczęto urządzać wygodniejsze drogi i w tym celu rozsadzano prochem skały, mu-



rowano tarasy, budowano mosty kamienne i skaliste, długie galerye, przeznaczone do zabezpieczenia tych dzieł pracy ludzkiej od zasypywania śniegiem i kamieniami, z gór spadającemi.

Drogi te można też bez wahania policzyć do najśmielszych dzieł pracy ludzkiej, a ostatnia przez górę Cenis wybudowaną była w roku 1805 przez Napoleona I dla połączenia Sabaudyi z Piemontem.

Po zaprowadzeniu kolei żelaznych, droga ta, jakkolwiek bardzo dogodna, już była za długą, górę bowiem Cenis trzeba było bardzo okrażać, wznosić się coraz wyżej i wyżej, później spuszczać się ku dołowi; nie mogąc więc jej usunąć, postanowiono przebić przez nią tunel i urządzić kolej żelazną, mającą połączyć Turyn z Genewą. Było to przedsięwzięcie niezmiernie śmiałe, wyrachowano bowiem, że tunel taki musiałby być długim na 40,000 stóp, co wynosi prawie ośm wiorst, wgrzebać się więc w tak wielką głębokość, mając nad sobą górę na 11,000 stóp wysoką, zdawało się niepodobieństwem.

«Jak tego dopełnicie?—powiadano.—Z początku wszystko pójdzie łatwo, ale gdy tylko wgrzebiecie się na pół wiorsty, powietrze, nie mające przewiewu, zacznie się psuć samym oddechem robotników i ci żadnym sposobem bez odświeżenia go dalej roboty prowadzić nie będą mogli. Jeżeli i tę przeszkodę usuniecie, to bez wprowadzenia wielkiej liczby robotników, praca potrwa przeszło 100 lat; to cokolwiek za długo czekać na jej dokończenie. Jeżeli zaś dla przyśpieszenia ukończenia tunelu rozpoczniecie kopać naraz z dwu stron sobie przeciwnych, któż zaręczy, że oba przekopy zejdą się z sobą na jednej linii? Jeżeli chybią o parę sążni, o co bardzo łatwo, cała robota na nic się nie zda i to po kilkudziesięciu latach jej prowadzenia. Wreszcie któż zaręczyć może, że w takiej głębokości nie napotkacie na jakie rozpadliny, przepaści nieprzebyte, na źródło wielkie lub nawet całe jeziora? Cóż wtenczas z przeszkodami temi zrobicie? Myśl więc przebicia góry Cenis jest niepraktyczną, a w każdym razie niepewną do wykonania i za długą, bo w najlepszym razie przynajmniej sześćdziesięciu lat wymagająca».

Były to zarzuty bardzo logiczne i niemałej wagi. Ale ci, co ten pomysł powzięli, niełatwi byli do zrażenia się i na każdy zarzut odpowiadali:

— Nauka jest potężną siłą, ona wszystkiemu zaradzi; do niej się udamy o pomoc, a pewno nas nie zawiedzie.

Dla odświeżenia powietrza, użyjemy powietrza ściętnionego, to jest takiego, które zajmując pokój, może być pomieszczone w niewielkiej skrzyni. Powietrze to rurami wpuścimy do robotników w tunelu, a pęd jego nadawać będzie ruch maszynie ze świdrami dla wybierania otworów w przekopywanej skale. Tym sposobem ułatwimy robotnikom oddychanie i zyskamy siłę do poruszania maszyny, otwory zaś, wiercone przez nią, napełniać będziemy prochem, aby wskutek rozsadzania skał, robota śpiesznie postępowała. Wyziewy stąd powstałe to samo powietrze ściętnione będzie wypędzać z tunelu; jeżeli kopiąc, napotkamy przepaście, zarzucimy na nie mosty; jeziora zaś spuścimy, a źródłom ułatwimy odpływ, słowem, na każdą przeszkodę znajdziemy środek w nauce. Co do czasu potrzebnego na ukończenie całej pracy, skrócimy go do lat trzynastu, a sądzimy, że to nie będzie zbyt długo dla dzisiejszego pokolenia.

Na takie dowodzenia, poparte naukowemi wywodami, nie było co odpowiedzieć. Zabrano się więc do przygotowania narzędzi, maszyn i przyrządów, ściętniających powietrze, a w rok później d. 14 listopada 1857 r. przystąpiono do przekopu z dwu stron, to jest od Francji i Włoch zarazem. Jakkolwiek przygotowania te są niezmiernie ciekawe, dla szczupłości jednak miejsca, niepodobna ich przedstawiać. Pomijając narzędzia i maszyny, przedewszystkiem musiano się zająć wytknięciem linii, po jakiej przekop ma być prowadzony, aby połączenie ich z dwu stron dobrze wypadło i nic nie zostało skrzywionem. Pierwsze w tym celu roboty nie udały się. Musiano bowiem linię przeprowadzać przez wyniosłości, na które nawet dzika koza wdrapać się nie mogła. Mgły przytem i śniegi wieczyste niezmiernie przeszkadzały robotce; nic więc dziwnego, że linia źle wypadła. Zabrano się na nowo do pracy, którą szczęśliwie ukończono i przystąpiono wreszcie do samego przebijania tunelu.

W końcu roku 1871, dnia 26 grudnia zrobiono ostatni wyłom wobec mnóstwa ciekawych, z obu krajów przybyłych, a dzień 10 lutego 1872 r. oznaczono na przejście pierwszej lokomotywy przez tunel pod górą Cenis, mający zbliżyć do siebie dwa narody: Francję i Włochy.

Przedsięwzięcie to, tak szczęśliwie dokonane, wraz z ka-

nałem Suezkim, łączącym morze Śródziemne z Czerwonem, stanowiąc zaszczyt dla dzisiejszej ludzkości, dowodzi zarazem potęgę nauki, która połączona z pracą i usilnością ludzką, prawdziwe stwarza cuda.

Z «*Przyjaciela Dzieci*».

### 63. Tunel podmorski w Calais.

Tunel dwumilowy przez Alpy już jest ukończony, ale przemysł ludzki, nie poprzestając na tem zdumiewającym przedsięwzięciu, powziął myśl śmielszą, której urzeczywistnienie nie zdaje się być nieprawdopodobnem. Jak wiadomo, Francję od Anglii przedziela cieśnina morska, zwana Kaletańską. Statek parowy w ciągu sześciu godzin przebywa ją z zupełnem dla siebie bezpieczeństwem; ale zdarzają się wypadki rozbicia, a często burzliwość morza utrudnia niezmiernie przeprawę, czasami nawet tamuje wszelki ruch statków przewozowych.

Skutkiem tego niejednokrotnie robiono już projekty połączenia Francji z Anglią za pomocą kolei żelaznej podziemnej przez cieśninę Kaletańską.

Myśl tę podniósł przed kilkunastu laty angielski inżynier, Alison, po dokładnych studyach na miejscu czynionych. Obszerna jego rozprawa opiera budowę tego olbrzymiego dzieła na następujących danych.

Największa głębokość morza pomiędzy Dover a Boulogne wynosi 300 stóp, średnia 126 stóp. Grunt morza ścisły, w całej swej długości posiada spójność, odpowiednią projektowanej budowie. Długość tunelu wynosiłaby 28 mil ang. czyli 45,061 metrów, z tych 35,398 m. pod gruntem morskim, reszta pod lądem stałym. Alison nadaje tunelowi kształt kulisty, 25 stóp w przecięciu pod podwójną kolej lub dla większego bezpieczeństwa, projektuje położenie dwu rur obok siebie dla każdej pary szyn, lubo urządzenie wentylacji o wiele w tym razie musiałoby zwiększyć wydatki.

Alison zapuszcza swój tunel na 18 stóp pod powierzchnią: a ponieważ ta głębokość nie zabezpieczyłaby go od przesiąkania wody, twórca projektu wnosi, aby na kilka stóp pod tunelem zbudowany był kanał z cegły, dokładnie wyasfaltowany, do odprowadzenia zbierających się wód.

Wentylację tunelu ułatwią rury, z pomocą maszyn pa-



rowych, ustawionych w odstępach przynajmniej po trzy mile angielskie, czyli, że podczas budowy 10 takich maszyn musiano użyć do wprowadzenia świeżego powietrza.

Wspomniane rury, po ukończeniu budowy, posłużyłyby mogły do oświetlania podziemnej drogi. Koszt budowy oblicza Alison na 6 milionów funtów szterlingów (57 milj. rubli).

Gdyby użyto 10 maszyn do wiercenia tunelu, w przypuszczeniu, że każda z nich posunie robotę na 7 metrów dziennie, wszystkie wykonałyby 70 mil angielskich w ciągu roku. Cały więc tunel mógłby być ukończony we dwa lata; razem zaś z ułożeniem szyn, zabudowaniem wież do oświetlania i t. p., tunel byłby oddany w lat cztery do publicznego użytku.

Nakład 150 milionów franków i 4 lata pracy nie są zbyt wielkie w porównaniu z tak olbrzymim przedsięwzięciem.

Główna atoli trudność leży w wykonaniu projektu, który jakkolwiek dziś, przy rozwoju nauki inżynierii, nie może być uważany za niepodobny do urzeczywistnienia, tyle przecież w spełnieniu tego najśmielszego naszych czasów przedsięwzięcia przedstawia trudności, że zaledwie daje nadzieję, aby zamiary te mogły być w czyn wprowadzone.

W takim oto stanie był projekt wykonania tego olbrzymiego przedsięwzięcia przed kilkunastu laty; w ciągu lat ostatnich myśli tej ani na chwilę nie porzucali Anglicy, ani Francuzi. Przekonano się wszakże stanowczo, że pierwszy pomysł tego wielkiego projektu należy się Francuzom. Przypomniano, że jeszcze w r. 1867 na wystawie powszechnej w Paryżu były plany, przedstawiające tunel Kaletański.

Twórcą tych planów był Tomasz de Gamond. Zdolny ten i niezmordowany inżynier poświęcił 35 lat życia i całe mienie swoje rozpoznaniu tej kwestyi: badał brzegi i dno morskie, badał pokłady ziemi, któredy mogłyby przechodzić tunel; porównał wreszcie wszystkie projekty i plany połączenia Francyi z Wielką Brytanią. Z pomiędzy wszystkich tych planów, których było niemało (że wspomniemy tu o projekcie zbudowania olbrzymiego mostu ponad cieśniną, oraz o projekcie zatopienia tak wielkich cylindrów metalowych, żeby w otworach mogła przechodzić kolej),

pomysł przekopania tunelu stanowczo otrzymał pierwszeństwo.

Oprócz wspomnianego de Gamond'a gorliwie zajęli się tą sprawą angielscy inżynierowie; z badań ich okazuje się, że tunel da się wywiercić w grubym, jednolitym, pokładzie kredowym, który się ciągnie pod cieśniną. Warstwy pokładu tego na pobrzeżu angielskiem wynoszą 140 metrów, na francuskim 230; a ponieważ głębokość dna morskiego, jak się ostatnimi czasy przekonano, nie przewyższa 54 metrów, tunel przeto, wywiercony o 100 metrów poniżej powierzchni morza, da grubość warstwy ziemi ponad tunelem 46 metrów, nie licząc powłoki z cegieł i z cementu.

Zupełnie więc bezpiecznie można będzie przejeżdżać ten tunel równie jak każdy inny, w górze przekopany.

Co do czasu wykonania tych olbrzymich robót, obliczono tak jak dawniej, że w ciągu lat czterech zupełnie mogą być ukończone. Burton, inżynier angielski, zbudował już maszyny, wyłącznie do tego celu przeznaczone, które w pokładach kredowych mogą na godzinę wywiercić przeszło 1 metr otworu, mającego 7 stóp ang. w średnicy. Wedle obliczeń, dwie takie maszyny, jedna z Calais, druga z Duwru spotkałyby się ze sobą w ciągu lat dwu, rozszerzenie zaś otworu i inne prace drobniejsze zajęłyby jeszcze dwa lata.

Dotychczas jednak rzecz cała pozostała w projekcie, widocznie muszą być przeszkody innej natury, które opóźniają wprowadzenie w czyn tego wielkiego przedsięwzięcia.

## 64. List Jasia do rodziców.

(O potędze pracy).

*Najukochańsi rodzice!*

Dawno już nie pisałem do Was, gdyż byłem w drodze. Pomyślawszy sobie, że więcej poznam świata i ludzi, gdy pójde pieszo i że mi nawet przyjemniej będzie w piękny czas letni w ten sposób wędrować, puściłem się piechotą z Krakowa i uszedłszy mil 58, w przeciągu czterech tygodni stanąłem przed 10-ma dniami w Wiedniu. Nie żałuję tej podróży, bom już przez samo patrzenie czegoś się nauczył.

Inny tu już świat, moi najdrożsi! Na każdym kroku widać wiele ludzkiej pracy i nauki, i żal tylko człowieka opanowywa, że u nas niemało jeszcze brakuje, żeby wsie i miasta przyszły do tej zamożności i do tego porządku, co tutaj.

Już wszedłszy na Śląsk, ujrzałem znaczną różnicę. Wsie porządnie zabudowane, z białymi, schludnymi domkami, aż wabią ku sobie. Obok domu są porządne zabudowania gospodarskie, sad i ogród warzywny; podwórko należycie ogrodzone; wewnątrz chat skromnie, a czyściej, aż miło: podłoga z desek czysto umyta, toż samo stoły i ławy, skrzynie i stołki, łóżka, zasłane bielutką pościelą, na ścianach obrazy Świętych, tu i owdzie zegar ścienny, komoda, naczynia fajansowe i t. d. Porządek wzorowy panuje również w oborach, stajniach, stodołach.

Pracują oni pewnie dwa razy tyle, co u nas, a przecieź dobrze wyglądają, bo gospodarz dba równie o ludzi, jak o bydło robocze, uważa przy pojeniu, nie przeciąża w upały, chroni w czasie mrozów, dogląda, czyści i daje odpoczynek.

Gospodynie też tutejsze chodzą starannie około gospodarstwa domowego. Z drobiu ciągną wielką korzyść, wypasają wieprzki, uprawiają warzywa w dobrym gatunku, przędą len i konopie; a już, co mi się najbardziej podobało, to ta czystość w gospodarstwie mlecznem. Nabiał stoi w piwnicy w czyściutkich polewanych garnkach, a każdy garnek przykryty, muchy tam nie wpadają, ani się nie naprószy, jakto u nas nieraz się dzieje.

Lecz dość już o gospodarstwie! Należałoby raczej napisać Wam coś o tym wielkomiejskim huku i stukaniu, który mnie tu w Wiedniu otoczył. Wielkie miasto—to istny ul, w którym się roją pszczoły na wszystkie strony. Ten śpieszy za zarobkiem, jak pszczoła za miodem; tamten, zarobiwszy, powraca uśmiechnięty do rodziny; ten idzie pieszo, ów powozem dąży; tamten dźwiga ciężar na plecach, inny znów pcha go w taczkach przed sobą; tłoczą się, popychają, mówią, krzyczą, gwar i hałas, — całe miasto brzęczy doprawdy, jak ul. Obok pszczoł kręcą się także tu i owdzie trutnie z założonemi rękami, obdarci lub ozdobnie ubrani, rozglądają się na wszystkie strony, czy im miód sam do ust nie wpadnie. Ale te brzydkie stworzenia nikt nie widzi w tłumie pracowitych.

Takim się wydaje każde wielkie miasto, takim też jest



i Wiedeń. Odkładając na inny czas opis osobliwości historycznych i ozdób miasta, wspomnę obecnie, że wielka tu jest ilość fabryk i handel bardzo rozległy; koleje łączą się z rozmaitych stron, z rozmaitych też krajów przybywają rzemieślnicy i kupcy. Na wystawach i w ogromnych magazynach widziałem takie rzeczy, których sobie przedtem ani wyobrażałem — osobliwe, kunsztowne, piękne i drogie. Znalazłszy tu kilku Polaków rzemieślników, trzymam się ich towarzystwa i zwiedzam z nimi rzeczy godniejsze widzenia. Najwięcej przyglądam się temu, co się mego rzemiosła tyczy, to jest stolarskiej robocie w domach i pałacach, przepysznym meblom, materyałowi, używanemu do robót i ulepszonym narzędziom.

Lecz gdzieżbym ja był w możności opisać Wam wszystko, co tu można zobaczyć i czego się nauczyć! Co spotykam ważniejszego, to zapisuję w książeczkę, tak, jakże mi to, najdroższy Ojczy, polecił; więc gdy za wolą Bożą, powrócę, to przeglądając książeczkę, będę mógł niejedno Wam opowiedzieć. Tu tylko tyle jeszcze napiszę, że dopiero teraz coraz jaśniej widzę, do czego to może doprowadzić praca i nauka.

Gdy się przypatruję wyrobnikom, rzemieślnikom, przemysłowcom, to dopiero się uczę, jak trzeba pracować i jak mało jeszcze u nas jest pracy w porównaniu z krajami zachodnimi.

Mój Boże! U nas oddają zwykle takich do rzemiosła, którzy się w szkołach nie chcieli uczyć i nie okazywali chęci do pracy; a tutaj oddają do umyślnych szkół przemysłowych i handlowych młodzieńców, którzy mają być przyszłymi rzemieślnikami lub kupcami. Dlatego też, gdy ci młodzieńcy wezmą się potem do rzemiosła lub handlu, prowadzą je roztropnie i pilnie, wynajdują ulepszenia w swym zawodzie i dochodzą do znacznych majątków. Mówiono mi tu o kilku takich, co mieli tylko dziesięć zdrowych palców, gdy swe rzemiosło rozpoczynali, a dziś są krociovymi bogaczami. Praca w połączeniu z nauką przysporzyła im tyle dobrobytu; dlatego też szanują pracę i wysoko ją stawiają, jako jedną z godności ludzkich.

U nas można się jeszcze spotkać z tak ograniczonymi ludźmi, którzy uważają pracę za 'nieszczęście człowieka i pogardzają tymi, co pracą zarabiają na życie własne i rodziny. Jaki taki, przyszedłszy na stolarstwie, krawiectwie, uprawie roli, lub na handlu do znaczniejszej

fortuny, nadyma się i chce się wydawać czemś innem, niż jest w istocie, tak, jak gdyby to pocziwy zarobek rzemieślnika lub kupea hańbił godność człowieka, lub plamił jego sumienie. Gdy ten i ów dorobi się majątku, już przestaje się zajmować tą pocziwą pracą ręczną, która mu majątku przysporzyła, wstydzi się hebla, igły lub łockia, bawi się w pana i myśli, że mu wolno gnuśnieć w lenistwie, bo zarobiony majątek na wszystko wystarczy.

Chciałbym ja takich próżniaków zaprowadzić do miast tutejszych; przekonaliby się, że tu krawiec, który swoim krociowym majątkiem mógłby dwunastu takich jak oni zakasować, siedzi w pracowni od rana do wieczora, bierze miarę i wcale się tego nie wstydzi. Tak samo postępuje tu każdy. Widzę ja to na każdym kroku i teraz chlubię się, że jestem rzemieślnikiem, a nie próżniakiem i niedołęgą; coraz większą czuję ku Wam wdzięczność za to, żeście mnie do pracy przysposobili i wołam z całego serca: «Cześć pracy i nauce!»

Tem pięknem hasłem, które się stało przewodnikiem moich kroków i całego życia na przyszłość, kończę już ten list i całuję z synowską wdzięcznością Wasze ręce i nogi, moi najdrożsi Rodzice.

Kochający Was całym sercem syn

*Jan.*

## 65. List Zygmunta Krasinśkiego do syna Władysława.

(Karność i posłuszeństwo).

*Frankfurt nad Menem, 1858.*

Mój drogi Adziu! Szkoda, że przyznając się do winy, nieraz już powtarzanej, nie opisujesz mi jej szczegółów; bo tem jednym mogłeś ulgę przynieść przykrości, przez nią mi sprawionej. Ze szczegółów dopiero mógłbym osądzić, czyś bardziej, czyś mniej winien; o ile pokusa, która cię uwiodła, była silną, o ileś mógł lub nie mógł (choć zawsze można, jeśli jest siła) jej się oprzeć.

Innym razem proszę cię o takowe szczegóły, a teraz zważ, drogi chłopcze mój, jak często zapadasz w te same błędy i grzechy. Trzymaj się, pilnuj się; pomnij, że na dziś jedyną i rzeczywistą godnością twoją, powagą

i zasługą twego stanowiska jest *karność i postuszeństwo*. Skoro się ich wyrzekasz, natychmiast sam się tem poniżasz, zasługując na poniżenie, to jest na karę. Przyjdzie czas kiedyś, że godnością, powagą i zasługą twą będzie umieć rozkazywać; lecz nigdy nie potrafiś tego drugiego rodzaju godności osiągnąć, jeżeli nie przystaniesz rozumem, wołą, a nie zgodzisz się czynem z tą *pierwszego rodzaju godnością* twoją, na dzisiaj zwaną: *postuszeństwem*.

Co ci piszę, nie jest prawdą moją, zdaniem mojem, ale jest prawdą wszystkich miejsc i wieków i zdaniem mądrości przedwiecznej o stosunkach ludzkich na świecie.

## 66. List Jana do rodziców.

(O spółkach i stowarzyszeniach w Delitsch).

Już Wam wspomniałem w przeszłym liście, że są tu między rękodzielnikami różne spółki i stowarzyszenia. Zajęły mnie one bardzo, a przypatrując się blisko ich działaniu, nabyłem przekonania, że zespolenie sił pojedynczych daje wielką potęgę działaniom przemysłu i handlu.

Syn dawniejszego burmistrza tutejszego, nazwiskiem Szulce, który pracował długo nad swoim wykształceniem i z wielką wytrwałością przemyśliwał nad polepszeniem losu rękodzielników w swej ojczyźnie, dał pierwszy popęd do zawiązywania tych spółek i stowarzyszeń, udzielając rad i przepisów zgłaszającym się do niego z różnych miast rzemieślnikom. Jeszcze w r. 1848 rozpoczął od tego, że namówił szewców miejscowych, ażeby się połączyli w stowarzyszenie, celem hurtownego zakupywania skóry. Pierwsze próby okazały się tak pożytecznymi, że niebawem w całych Niemczech rozpoczęto zawiązywać podobne stowarzyszenia. Mówiono mi, że dziś jest w Niemczech około 3000 stowarzyszeń, z których połowa zajmuje się szerzeniem oświaty, druga zaś połowa ma na celu rozwój przemysłu i handlu.

Jak wzajemna obrona i ratunek w obywatelskich strażach ogniowych, tak tu wzajemna pomoc w pracy jest główną podstawą. «Jeżeli sam czemu podołać nie możesz — mówił Szulce — to złącz się z innymi, którzy tego samego co i ty pragną. Wiele drobnych sił w zespoleniu staną się jedną wielką potęgą». O ile potrzeby



rękodzielników są rozmaite, o tyle dają one powód do zawiązywania rozmaitych stowarzyszeń. Wymienię tu najważniejsze.

1. *Stowarzyszenia*, czyli *kasy zaliczkowe*, t. j. stowarzyszenia, dostarczające rękodzielnikowi, za poręczeniem innych towarzyszków, pieniędzy na mały procent, których potrzebuje na zakup materiału, narzędzi i t. p. Członkowie stowarzyszenia wnoszą do wspólnej kasy drobną część swego zarobku, która pozostaje im jako oszczędność po opędzeniu potrzeb życia. Z tych drobnych części tworzą się znaczne kapitały i te właśnie kapitały służą do udzielania pożyczek oprocentowanych. Procent, opłacony przez pożyczających, powiększa kapitał członków stowarzyszenia. W uczciwy sposób korzystają więc stowarzyszeni, a korzystają też i ci, którzy zaciągają pożyczki, bo biorąc je na niewielki procent, unikają lichwiarzy i oszustów.

Tak więc wzajemną pomoc przynoszą sobie rękodzielnicy, z których każdy z osobna nie ma znaczniejszego majątku, lecz wszyscy razem wielkimi rozporządzają kapitałami. Zresztą każdy z członków nawyka do sumienności i akuratności, które są pierwszą podstawą wszelkiego przemysłu i handlu.

Szulce przeglądał rachunki 500 takich stowarzyszeń i przekonał się, że brało w nich udział 170,000 rękodzielników, którzy złożyli około 5 milionów talarów i tyle mieli wiary, że zdołali od ludzi zamożnych dokończyć jeszcze w ciągu roku przeszło 17 milionów; a rozpożyczając te pieniądze przeważnie na trzymiesięczny termin, kasy udzieliły drobnych pożyczek w ciągu roku tyle, że suma ich dochodziła do niesłychanej liczby 67 $\frac{1}{2}$  miliona talarów! Jakaż to przysługę oddano przez to przemysłowi krajowemu! Iluż biednych rękodzielników ochroniono od lichwy i nędzy, dając im tani kapitał i sposobność do pracy!

2. *Stowarzyszenie do zakupowania surowych materiałów*. Łączą się tu rzemieślnicy wspólnego rzemiosła w celu hurtownego zakupowania wspólnymi siłami potrzebnych im materiałów surowych, maszyn i drogich narzędzi. Jednego rzemiosła ludzie łączą się także w tak zwane *Stowarzyszenia magazynowe*, t. j. wtedy, gdy sprzedają we wspólnych magazynach wyroby członków, które ci sporządzili we własnych warsztatach; albo w tak

zwane *Stowarzyszenia produkcyjne*, mianowicie wtedy, gdy nie tylko sprzedają, ale i sporządzają wyroby we wspólnych warsztatach i na wspólny rachunek.

3. *Stowarzyszenia spożywcze*. Są to takie stowarzyszenia, w których członkowie łączą się dla wspólnego, hurtownego zakupowania przedmiotów, służących im do zaspokajania codziennych potrzeb życia. Stowarzyszeni, kupując np. w większych ilościach mąkę, masło, mydło, świece, naftę, cukier, kawę, mięso i t. p. przedmioty, mogą je taniej swym członkom sprzedawać niż kupiec, który na sprzedaży szuka zysku i z zysku tego żyje sam wraz z całą rodziną.

4. *Kasy dla chorych*, czyli *stowarzyszenia bratniej pomocy*, które mają na celu udzielać w razie potrzeby stowarzyszonym pomocy lekarskiej i lekarstw.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że obok wielkich fabrycznych warsztatów, drobni rękodzielnicy mogą się dźwigać i rozwijać swój przemysł tylko za pomocą stowarzyszeń. Widzę ja to tutaj w Delitsch na żywych ludziach. Niema u nich wielkich dostatków, ale niema i biedy, jest mierna zamożność i grosz, oszczędzony na wypadek nieszczęścia. Czy myślicie, że robotnicy, którzy stracili np. swój dobytek w czasie pożaru, poszli w świat o żebraczym kiju? Bynajmniej. Nazajutrz znajdą współczującą pomoc u stowarzyszeń, do których należą. Żałować będą bez wątpienia straconego majątku, lecz nie doznają ani na chwilę nędzy. A nie potrzeba do tego składek i upokarzającej jałmużny: dadzą im tylko natychmiastową sposobność do dalszej pracy, udzielą materiału i narzędzi, pożyczą na opędzenie pierwszych potrzeb rodziny—i oto wczorajszy pogorzelec będzie mógł już dziś stać przy warsztacie i odrabiać to, co mu wczoraj wydarł nieubłagany żywioł.

J. S.

## 67. List Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Kochany Waławie! Już więc puszczonej zostałeś tak młodo między ludzi, zupełnie tobie nieznanym i tak daleko od starania i dozoru mego. Ale wymagały tego okoliczności. Ten, na którym cały los życia matki, cała

jej przyszłość spoczywa, ten musi koniecznie umieć i znać wiele, ażeby potrafił zadosyć uczynić swemu przeznaczeniu.

Gdzież lepiej, jak w stolicy, możesz się wydoskonalic w tych naukach, do których od dzieciństwa tyle okazujesz ochoty i zdolności? W Warszawie jest możność ćwiczenia i oświecania młodzieży. Cóżby było za nie-szczęście moje, gdybym wskutek śmierci męża pozba-wiona sposobu do życia, utrzymująca się jedynie pracą rąk własnych, nie miała dać ci dobrego wychowania; jużby żadnych dla mnie nie było w tem życiu widoków, boś ty jest nas wszystkich jedynym celem. Obdarzony wielką zdolnością, bogaty w chęć dobrą, pobożny, szlachetnie myślący, pracowity, wiem, że przy takiej zręczności nabycia nauk ozdobisz się niemi; za tą pomocą dojdiesz kiedyś do ucziwego, do zaszczytneho kawałka chleba i podzielisz się nim z matką.

Takimi od śmierci ojca pocieszałeś mię obietnicami; miłe są one dla mnie i wierzę im zupełnie. Już minęły te czasy, kiedy wyłącznie ludzie urodzeniem i majątkiem znakomici rozbierali godności, zaszczyty, urzędy; dziś uznano, że cnota, światło, dobre wychowanie, na równym stopniu dwu ludzi postawić mogą, choćby jeden z nich w chacie, drugi w pałacu się rodził. Nie wątpię więc, że i mój syn dosłuży się kiedyś ucziwej, a może i znakomitej posady i odda mi stokrotnie owe zachody, ową często i w nocy pracę, która miła dla mnie, jego zawsze korciła i korci.

O! wierzaj mi, kochany Waclawie! jeśli tylko ciągle cnotliwym i pilnym będziesz, wypłacisz mi się sowicie z długu wdzięczności, który tak serce twoje napelnia, który nawet, jak mówisz, ciążyłby ci nieco, gdybyś nie miał pewności uiszczenia się z niego. Za trochę trudów i pracy nabędę szczęścia i chluby, krajowi przysposobię użytecznego obywatela, sobie byt błogi zapewnię. Któż kiedy lepsze kupno zrobił?

Ale jakież mimowolny strach serce moje ogarnia!... Pókiś wraz ze mną w naszym mieszkał miasteczku, póki za każdym powrotem ze szkoły mówić z tobą mogłam i trafiać do tego serca, które niekiedy w szkole niewiele żywiołu dla siebie spotyka, póty byłam zupełnie spokojna, zdawało mi się, żeś już dojrzały, że cię nic zmieni, zepsuć nie potrafi.

Teraz wszystko niebezpieczeństwem mi się wydaje. Na



osobności, z czterema innymi uczniami, prawie bez dozoru, w tak wielkiem mieście, z tak małym dochodem, — drzę cała... Przypominają mi się owe chwile, kiedyś sam chodzić zaczynał, kiedyś truchlała, żebyś nie upadł. Lecz jakże ówczesne obawy drobne były w porównaniu do tej, której dziś doznaję!... o ileż większe niebezpieczeństwa tobie dziś grożą!... Pokrzepiam się jednak nadzieją, że z temi zasadami prawdziwej pobożności, którą serce twoje od dzieciństwa wzmacniałam, z temi zasadami czci, która nas wszystkich jest cechą, z tym chlubnym celem, jakiś sam życiu twojemu naznaczył, nie zbłądzisz i dojdiesz do pożądaney mety, chociażbyś przeszkody na drodze spotykał.

## 68. List Ignacego Krasickiego.

(Zapraszając znajomego do siebie na wieś).

*Wielmożny Mości Dobrodzieju!*

Dziwisz się W. Pan, iż ja się na wsi nudzę; a ja się dziwię, że się W. Pan w mieście bawisz. Kto z nas dobrze sądzi? Podobno obadwaj. Rzeczy zależą od sposobu, którym je bierzemy. Najnieszczęśliwszy jest stan tych, którzy ustawicznie pragną tego, czego nie mają.

Niektórzy, chcąc środek utrzymać między wieśniactwem a dworszczyzną, bawią latem na wsi, a zimą w mieście. Zgoda i na to; kto się jednak sam zabawić zdoła, obejdzie się bez tego podziału. Tak ja trzymam o W. Panu, tak spodziewam się, że raczysz i o mnie sądzić, świadomy mojego sposobu myślenia. Żebyśmy jednak przekonali niedowiarków, przyjeźdź do mojej wsi na zimę, a jam W. Pana gotów odwiedzić śród lata w mieście.

Zostaję najzyczliwszym i najpowolniejszym  
W. Pana Dobr. sługą I. K.

## 69. List Juljana Ursyna Niemcewicza do Jana Śniadeckiego.

(Zaproszenie na uroczystość odsłonięcia pomnika Kopernika).

*Z Warszawy d. 19 kwietnia 1830 r.*

Po długich staraniach i zachodach ukończyliśmy wreszcie posąg Kopernika i 5 lub 6 maja zamysłamy odsłonić

go na widok publiczny. Uroczystość ta nie byłaby zupełną, gdyby równie głośny po świecie astronom, ten, który u Polaków naukę tę wskrzesił, ustalił i pomnożył, gdyby, mówię, Jan Śniadecki obecnością swoją dnia tego uświetnić nie raczył. Zapraszam więc imieniem całego Towarzystwa Przyjaciół Nauk J. W. Pana, abyś nam bytności swej na ten dzień nie odmówił, pewny, że nie tylko Towarzystwo, ale publiczność całą, mnie zaś najwięcej uszczęśliwisz.

## 70. List Zygmunta Krasieńskiego do dzieci.

(Majestat i piękno wszechświata).

*Paryż, 1857.*

Drodzy obaj! Dziękuję za listy wasze i opis widoku, nieraz oglądanego przeze mnie. Znam te oceany białości nieskończonej, leżące pod stopami; znam te mgły, udające bezmiar mórz, to cichych, to wzburzonych; — a gdy ich dno się rozmyka, znać w ich głębiach wydartą niemi z przed oczu okolicę. Z pod tych obszarów, świat zalewających, wyglądają wtedy doliny, wzgórze, lasy, a po chwili znów ich niema — znikły zalane potokiem srebrzystym, który przesuwają się nad niemi, jak mara jakaś senna, jak płaszcz z muszliny, przejrzystego zrazu a coraz bardziej gęstniejącego; aż znów nic nie widać, prócz jednej śnieżnej równiny w dole i jednego przestworu błękitnego w górze. I człowiek nie wie sam, kędy jest. Czasem przyjdzie mu na myśl, że już w niebie, bo są chwile, w których taki widok coś nadziemskiego ma w sobie. — Czy nie tak, moi drodzy? Przyroda nosi piętno Bożej myśli i tem samem jest pięknoscią. Ilekroć taką piękość ujrzycie oczyma, dziękujcie w duszy Panu, że świat taki stworzył, z którego o jego wiekuistej piękności domyślać się możecie. Powiedzcie zawsze z cicha ustami: «Dziękuję Ci, Panie!» a pomyślcie sobie: «jeżeli tu na naszej ziemi takie cudne niekiedy bywa piękno, cóż to się dzieć musi po tych wszystkich słońcach, gwiazdach mlecznych, wiszących ponad głową naszą, o których Pismo mówi, że *«enarrant gloriam Domini!»* <sup>1)</sup> I tak jest. Każdy z tych światów jest jednym

<sup>1)</sup> Wygłaszają chwałę Pana.

dźwiękiem w ogólnej pieśni wszechświata, jedną iskrą w ogólnem rozświetleniu niebios, palącą się i zarazem opowiadającą chwałę Boga.

Otoczeniście nią wszędzie: i tu, i tam, i przed grobem, i po grobie. Gdziekolwiek jesteście i być możecie—tam chwała Pańska świeci wokół was, i brzmi, i śpiewa...

## 71. List Zygmunta Krasieńskiego do Konstantego Gaszyńskiego.

(Pożegnanie przyjaciela).

*Wiedeń, 1838.*

Oh! to słowo «żegnam cię» ma w sobie coś zatrutego... I dotychczas byliśmy rozdzieleni, teraz będziemy niby odmurowani jeden od drugiego. Bądź co bądź, pamiętaj, że cię kochał szczerze i że nie powinienes nigdy zapomnieć o pierwszym przyjacielu, którego miałeś na wstępie do życia. Bóg świadkiem, że lzy mi gorzkie w oczach stoją; chciałbym przynajmniej rękę ci uścisnąć.

Bądź szczęśliwy, o ile ziemia obca szczęście ci przynieść zdoła. Szukaj pociechy w świecie duchowym, bo w innym prawdziwej nie znajdziesz. Serce własne jest czarą, z której pić możemy szczęście, — szczęście wzniosłe, szczęście cnoty i piękności. Uczucie religijne pielęgnuj i karm w sobie; ufaj w Boga naddziadów, On cię nie opuści, On nigdy serc podobnych twemu nie opuszcza.

Weź błogosławieństwo przyjaciela—weź je. Każda dusza ma prawo drugą pobłogosławić w godzinie uroczystej rozstania.

Raz jeszcze żegnaj mi... albo raczej, nie! Nie chcę tego słowa wymawiać. Owszem — do widzenia! A gdybym umarł przed obaczeniem ciebie, módl się za moją duszę i powtarzaj: «do zabaczenia!» ale na tamtej, lepszej stronie grobu.

Dusza twoja zapewne uczuje uścisk, który ci dają w tej chwili!...

## 72. Opatrzność.

Chodź, pójdziemy w pole, rozmawiać o dziełach Boskich.



Weź garść piasku, policz ziarenka, spuszcza je po jednemu na kolana.

Sprubuj zliczyć listki trawy tej łąki, albo liście tego drzewa; nie możesz ich zrachować, są niezliczone. Trudniejsze jeszcze do zliczenia są inne dzieła Boga!

Czarna jodła rośnie na wysokich górach, a jasna wierzba zwiesza gałęzie nad wodą.

Chmiel zarzuca długie swe gałązki koło wysokiej tyki, dąb zapuszcza w głębi ziemi twarde swe korzenie, walczą z burzą.

Każdy listek ma kształt inny, na każdej roślinie inny owad mieszka.

Patrz na te ciernie, ubielone kwiatami, patrz na te zioła, co depeesz; nie uprawiał ich człowiek, ani ręka jego te ziarna posiała.

Jedne rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne jeszcze w głębi lasów, lub na bezludnych wyspach; rosą wszędzie i okrywają całe łono ziemi.

Ale któż to wszędzie życie im daje? Kto wichrom ich nasiona powierza? Kto przysypuje je ziemią, dżdżem i rosą orzeźwia? Kto je słodkim wiatru powiewem ochładza, wonią i barwą bogaci? Kto roztacza lekkie i przezroczyście listki?

Jakim sposobem z czarnego łona ziemi róża swój szkarłat, lilia białość wyciąga? Jakim sposobem małe ziarenko duży krzak w sobie zamknąć może? Skąd zna każda roślina porę sobie właściwą? Wszystkie rozłożone są porządkiem, każda wie swoją godzinę i wstaje z kolei.

Stokrotki i fiołek najbardziej się śpieszą, skoro wiosna nadejdzie, wychodzą z ziemi i jakby mówiły: jesteśmy! Goździk wygląda większego ciepła, astry jesieni czekają.

Kto w roślinach przechowuje życie podczas tęgiej zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia skostnieje?

Drzewa wtedy są ogołocone, smutne i suche, jak kości na cmentarzu. Kto w nie tchnie nowe życie, czyje tchnienie nagie konary liściem i kwiatem odziewa?

A to wszystko małą jest częścią dzieł Boga, próbką cudów Jego.

Ale czyż potrzeba ci mówić o Bogu, kiedy wszystko o Nim przemawia?

Każda łąka jest jakby księgą otwartą, na każdym kwiatku wryta o Nim nauka.

Każdy strumyk mowę ma swoją, każdy wiatru powiew.

Wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył; wszystko dobroć Jego głosi.

Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny; ale możemy przypatrzeć się Jemu w dziełach Jego i w nich Go uwielbiać.

### 73. Ludzie małej wiary.

W Ewangelii na czwartą niedzielę po Trzech Królach powiedziano, że gdy Chrystus z uczniami wstąpił do łodzi, wielka burza podjęła się na morzu, a On spał. Przystąpili uczniowie ku Niemu i obudzili Go, mówiąc:

— Panie! ratuj nas, bo giniemy!

— Ludzie małej wiary! rzekł im Jezus, czego się boicie?

A wstawszy, rozkazał wiatrom i morzu, by ucichły. I stało się ucieszenie.

Jako młodzi nie znacie jeszcze wszystkich nieszczęść, jakie ludzi dotykają. Czasami bywają one bardzo straszne, że nieraz się zdaje, iż człowiek znikąd ani pociechy, ani ratunku nie otrzyma. Jeżeli Bóg zesze kiedy na was podobne zmartwienie, wielkie czy małe, nie rozpaczajcie napróżno, starajcie się wydobyć z niego, ile sił waszych i prosić Boga o pomoc i pociechę. Bóg wszystkich ludzi jest Ojcem; miłość Jego i mądrość wszędzie widoczna, zarówno w ździebelku malutkiem trawy, jak i w tych niepojętych przestworzach, które się nad głowami naszymi unoszą; mógłżeby więc o dzieciach Swoich zapomnieć?

Rozpacz swą zatem miarkujcie, gdy padnie na was zmartwienie: Bóg zasmuca i pociesza, a wyroki Jego i drogi są nieodgadnione. Poddać się im w pokorze, wyrzec ze skruszonym sercem: «Bądź wola Twoja, Panie» — to rozum prawdziwy, to jedyna pociecha i pokrzepienie. Kto nie dopełni tego, słusznie doń powiedzieć można:

«Człowieku małej wiary, i czegoż się boisz? Azaliż Bóg nie jest Ojcem twoim?»

## 74. Młodzieniec uratowany.

(Legenda z Herdera).

Miło jest znaleźć piękną duszę w młodym człowieku, milej jeszcze taką w nim utrzymać, ale najmilej uratować zepsutą.

Święty Jan, wracając z wyspy Pathmos, został, czem był dawniej, pasterzem swej trzody, wybierał dla niej stróżów, bacząc na ich przymioty. W tłumie ich postrzegł pięknego młodzieńca, któremu wesołe zdrowie na twarzy jaśniało, a z oczu przemawiała dusza pełna szlachetnego ognia.

— Tego młodzieńca, rzekł do biskupa, weź w swoją opiekę. Wierność twoja będzie mi za niego zakładem, a na to biorę za świadka Boga i całą tę rzeszę ludu.

Biskup wziął do siebie młodzieńca, nauczał go i widział najpiękniejsze owoce; gdy już mógł mu zaufać, zwolnił nad nim surowy dozór.

Ale wolność stała się zgubą dla młodzieńca: ułudzony słodkimi pochlebstwy, zaczął próżnować, szukał tylko przyjemności, a za nią ścigając, wpadał w coraz większe bezdroża. Raz ujrzał się zmuszonym do kłamstwa.

Wnet już potem nietylko kłamał, lecz stał się oszukańcem. Oszukaństwo gdy się powiodło, zrodziło w nim zarozumiałość, a ta odebrała mu wstyd i sumienie. Stąd wyrosła duma i chęć przewodzenia innym. Zebrał około siebie towarzyszy, których zepsuł, pociągnął z nimi w lasy i był naczelnikiem zbójców.

Gdy św. Jan znowu w te strony powrócił, pierwszym jego pytaniem do biskupa było:

— Gdzie jest mój syn?

— Umarł, odpowiedział starzec, i spuścił oczy.

— Jak i gdzie?

— Umarł Bogu; jest teraz, niestety! zbójcą.

— Odpowiesz mi za duszę jego, rzekł Jan. Ale gdzież on jest?

— Jest na tej tam górze.

— Muszę go widzieć.

I sam Jan św. zbliżył się do lasu. Wnet, jak sobie życzył, został pochwycony.

— Prowadźcie mnie, rzekł, do naczelnika waszego.



Zbliżył się do młodzieńca, lecz ten się odwrócił i znieść nie mógł tego widoku.

— Nie uciekaj, synu, od ojca, od bezbronnego starca. Jam cię Bogu poświęcił i muszę Mu odpowiedzieć za ciebie. Chętnie, jeżeli chcesz, dam życie za ciebie, ale odtąd opuścić cię nie mogę. Ja moją duszę Bogu w zakład za ciebie oddałem.

Placząc, objął młodzieniec starca w swoje ramiona, milczący zakrywał twarz swoją i zamiast odpowiedzi, łez strumienie wytrysnęły mu z oczu.

Jan św. upadł na kolana, ucałował oblicze młodzieńca, i jakby nowo zyskanego, wprowadził z gór, a płomieniem miłości serce jego oczyścił.

Długie lata żyli odtąd z sobą nierozdzielnie. I w pięknego młodzieńca przelała się cała dusza Jana.

I cóż to było, co serce młodzieńca, tak głęboko poznało i zniewoliło? Co go na nowo wynaleźć i zwyciężyć mogło?

Wiara, stałość, miłość i prawda.

*K. Brodziński.*

## 75. Uszanowanie synowskie.

(Z dzieła: «Małżeństwo Chrześcijańskie», przez biskupa Feliksa Dupanloup).

Plato tak pisał: «po Bóstwie, trzeba czcić przedewszystkiem rodziców naszych przez ciąg całego ich życia.

Jest to najpierwszy, największy, najniezbędniejszy ze wszystkich dług do spłacenia; należy obudzić w sobie przekonanie, że wszystkie dobra, jakie posiadamy, należą do tych, od których otrzymaliśmy życie i wychowanie, i że należy je obrócić bezwyjątkowo na ich usługę, zaczynając od dóbr majątkowych, przechodząc następnie do dóbr naszego ciała, a nakoniec do dóbr duszy, zwracając im w ten sposób z lichwą starania i prace, jakie łożyli na nas w dzieciństwie i podwajając nasze zabiegi dla nich w miarę, jak dolegliwości wieku czynią im takowe potrzebniejszymi.

Przemawiajmy zawsze do rodziców z religijnem poszanowaniem, gdyż do słów, tej lekkiej na pozór rzeczy, przywiązane są ciężkie kary, a Nemezys, czuwa nad uchybieniami. Dlatego należy ustępować ich gniewowi, dawać

wolny bieg objawom ich niezadowolenia, czy je okażą w słowach, czy w uczynkach, i wytłómaczyć sobie w myśli, że ojciec, który się sądzi obrażonym przez syna, ma niezaprzeczone prawo gniewać się na niego.

Po śmierci rodziców stawić im należy skromny, ale piękny pomnik. Nie należy ani przewyższać zwykłej wielkości pomników tego rodzaju, ani też pozostawać w tyle za tem, co przodkowie nasi robili dla swoich rodziców». (Platon: O prawach, ks. IV).

Jakkolwiek język Platona jest łagodny i piękny, jest jednak inny, piękniejszy, silniejszy i łagodniejszy jeszcze: posłuchajcie go zatem, tak, jak słyszały go po raz pierwszy dzieci Izraela na górze Synaj, na wiele wieków przed Platonem:

«Słuchaj Izraelu i chowaj przykazania, które ci daje Pan:

«Czcij ojca twego i matkę swoją, abyś był długowieczny na ziemi».

«Czcij ojca twego i matkę swoją, jak Pan Bóg ci przykazał, abyś żył długo i był szczęśliwym na ziemi, jaką ci da Pan Bóg twój».

«Czcij ojca i matkę swoją, gdyż to jest najpierwsze z przykazań, z którym Bóg połączył obietnicę».

«Czcij ojca twego i matkę swoją z całego serca i nie zapominaj nigdy boleści matki twojej».

«Pamiętaj, że bez nich nie byłbyś się urodził, i oddaj im wszystko to, co oni uczynili dla ciebie, tym sposobem ściągniesz na swoją głowę błogosławieństwo twojego ojca i ono spocznie na tobie na zawsze».

«Tym sposobem odświeżysz duszę matki twojej, a jako który zaskarbi jej miłość, w sercu swoim wiekuistej pociechy doświadczać będzie».

«Błogosławieństwo ojcowskie utwierdza domy dziatki, a przekleństwo macierzyńskie wywraca fundamenty».

«Kto czci ojca swego, będzie długo żyw, a kto jest posłuszny ojcu, pocieszy matkę».

«Syn mądry daje się karcić ojcu swemu, ale szyderca nie słucha ani rad, ani karcenia».

«O, synu mój! słuchaj pokornie ojca swego, który ci dał życie. Podaj ucho mądrości i woli ojca swego, i nie lekceważ słów matki twojej. One będą jakoby wieńcem łaski na twojem czole, jakoby złotym łańcuchem na twojej szyi».

Z jakąż to żywością, z jakim zachwycającym wdziękiem i majestatycznością języka Pismo Święte wyliczyło obowiązki synowskiej miłości!

Winienem wszakże szczególniej zwrócić uwagę na religijny charakter poszanowania, jaki przykazanie Boskie zaleca dzieciom względem rodziców.

Ojciec i matka są przedstawicielami Boga na ziemi, nie tylko dlatego że Bóg udzielił im swej dobroci, swej tkliwej pieczołowitości i pewnej części swej najwyższej mądrości dla wychowania ich dzieci, ale i dla tego, że zrobił z nich niejako Swoje osobiste wizerunki, Swoich bezpośrednich wysłanników, zasługujących na cześć we wszystkim taką, jakiej On Sam doznaje. To więc nadaje ojcowi i matce tak godną poszanowania władzę i pewien rodzaj Boskiego majestatu.

Stąd to wynika, że pomiędzy wszystkimi obowiązkami, włożonemi na nas przez naturę i religię, jest jeden górujący nad wszystkimi, który je wszystkie przeżyć powinien, a mianowicie uszanowanie synowskie, gdyż jest to uszanowanie samego Boga, uobecnionego w osobach ojca i matki. Uszanowanie synowskie nie jest niczem innym, i dlatego to, pomiędzy wielu rodzajami uszanowania na ziemi, niema świętszego. Jest to uszanowanie czci, uszanowanie miłości, i chociaż nie jest to uszanowanie uwielbienia, jest wszelako uszanowaniem religijnem.

«Bądźcie święci, gdyż i ja jestem święty», mówi Pan, i zaraz potem dodaje: «I niech każdy z was czci swojego ojca i swoją matkę».

«Człowiek, który boi się Boga, szanuje ojca swego i matkę swoją, i poddany im jest, jako panom życia swego».

«Dzieci! bądźcie posłuszne w Panu ojcom i matkom waszym, bo to jest sprawiedliwem».

«Bóg to wycisnął na ojcu piętno, nakazujące uszanowanie dzieciom jego, umocnił nad nimi władzę ich matki».

«Ten, kto czci ojca swego, doczeka pociechy z dzieci, a w dzień modlitwy swej wysłuchan będzie. Niechże więc uszanowanie dla waszego ojca przebija się we wszystkich uczynkach waszych, w waszych słowach i całej waszej cierpliwości».

Takiem winno być uszanowanie ojcowskie, jak znajdujemy je objawione w Boskiem przykazaniu, albo raczej,



że tak się odważyć powiedzieć, takim, jakiego wzór najdoskonalszy wziął Bóg w samychże najwyższych źródłach uszanowania dla ojcostwa wiekuistego i nieskończonego.

Nie dziwię się bynajmniej, że przykazanie to idzie na tablicach prawa bezpośrednio po tych, które dotyczą Boga samego. Mądry Filon myślał nawet, że Bóg napisał początek jego na pierwszej tablicy, i że obok przykazań, nakazujących uwielbienie dla Pana i uszanowanie dla jego Najświętszego Imienia, czytać się dawały pierwsze słowa przykazania, nakazującego uszanowanie synowskie.

## 76. O uszanowaniu należnem wiekowi sędziwemu.

Kiedy napotkacie starca, powitajcie go co prędzej, nie z lekkością, jak równego sobie, ale z uszanowaniem; myślcie sobie, że oddajecie hołd sędziwości. Bądźcie roztropni, nie naśladowcie nigdy dzieci źle wychowanych i ludzi, mających serce do tego stopnia zepsute, że sobie robią żarciki i urągają się z tych, których sam ich wiek czyni godnymi szacunku, choćby zresztą nie mieli w sobie nic takiego, coby dla nich szacunek nakazywało. Ich niemoce i ułomności są godne naszego politowania; z nich robić sobie przedmiot pośmiewiska jest okrucieństwem.

Gdziekolwiek znajdziecie starca, ustąpcie mu miejsca najzaszczytniejszego. Opowiem wam w tej materji historyczne zdarzenie, które wam pewną przyjemność sprawi.

Sparta była małą rzeczapospolitą, wszystkie cnoty były w niej w poszanowaniu. Ateny były drugą rzeczapospolitą, lecz w nich nieraz się chlubiono z najobrzydliwszych występków. W tem drugim mieście jednego razu dano zabawę; pewien starzec zapóźno przybył na nią do teatru, wszystkie miejsca były już zajęte; szukał dla siebie miejsca wszędy i długo, ale go nigdzie nie mógł znaleźć. Młodzi Ateńczykowie nietylko że mu nie ofiarowali małego nawet kącika, ale poczęli sobie robić z niego żarciki, i urągając się, przesyłali go jeden drugiemu. Gdy to spostrzegli posłowie spartańscy, zajmujący na widowisku miejsca honorowe, zawezwali biednego starca do siebie, i rozsunawszy się, zrobili mu między sobą miejsce. Czyn

ten był zarówno zaszczytny dla Spartańczyków, jak sromotny dla Ateńczyków!

Piękny także hołd oddała wiekowi sędziwemu Marya Teresa, cesarzowa. Pobożna ta pani obmywała corocznie ubogim nogi w Wielki Czwartek. Pomiędzy nimi, przez kilka lat znajdowała się niewiasta, sto ośm lat mająca. Lecz w dwu ostatnich latach słabość nie dozwoliła jej udać się do pałacu cesarzowej; prosiła przeto pewnej osoby, aby cesarzowej oświadczyła jej wielki smutek, że się nie mogła znajdować na tym pobożnym obrzędzie, nie tak dla zaszczytu, jakiby stąd dla niej wypłynął, jak raczej dlatego, że była pozbawiona szczęścia widzenia tak wielkiej monarchini. Cesarzowa, wzruszona poselstwem i uczuciami poczciwej staruszki, udała się osobiście do wsi, w której tamta mieszkała. Wszedłszy do lichej chaty, znalazła ją na łóżku, na którym ją trzymały różne słabości, towarzyszki nieoddzielne zgrzybiałego wieku.

— Smuciłaś się, żeś mnie nie mogła widzieć, rzecze do niej cesarzowa z szlachetną dobrocią i uprzejmością; pociesz się więc teraz, moja poczciwa, przybyłam cię odwiedzić.

Powiadam wogóle, że o tem dziecięciu, co zna uszanowanie dla sędziwego wieku, dobrze sądzić należy i niemal pewną jest rzeczą, że ono ma zacny charakter i że wielką robi nadzieję, iż kiedyś będzie człowiekiem uczciwym, uprzejmym i miłym dla wszystkich.

*Ks. P. Rzewuski.*

## 77. Cnota nakazuje odplacać dobrem za złe.

Odplacić się dobrem za złe jest najpiękniejszą, najszlachetniejszą i najtrudniejszą cnotą. Jeśli tyle będziecie mieli męstwa i odwagi, abyście oddawali dobre za złe, zaręczam, że wszystkie inne cnoty okażą się wam tylko igraszką.

Na pierwszy rzut oka zdaje się być prawie niepodobieństwem, żeby czuć jakąś skłonność do zobowiązania sobie tego człowieka, który nam robi przykrość: jednak starajcie się o to, czyńcie sobie aż do tego punktu przyrzeczenie, a wkrótce będziecie się radowali, wówczas nawet poznacie całą wartość zwycięstwa odniesionego nad sobą, bardziej siebie będziecie cenili i do tego nawet będzie-

cie mieli prawo. Więcej wam powiem: pomścicie się nad swym nieprzyjacielem w najszlachetniejszy sposób, w sposób, który jedynie jest dozwolony.

Kiedy usuniecie ze swego serca nienawiść, poczujecie się wówczas tyle wyższymi nad swego nieprzyjaciela, że już nie będziecie w stanie nienawidzić go. Jeśli serce jego nie jest zupełnie zepsute, to on wam odda sprawiedliwość, a nawet poweźmie dla was dobre uczucia, chociaż przedtem miał złe. Jeśli się on do was nie zbliży, to się w oczach ludzi pokaże tem godniejszym pogardy, a wy wiele zyskacie z porównania, jakie ludzie między wami zrobią.

Nareszcie, chcąc wam lepiej w umysł wrazić, jak wielką i piękną jest szlachetnością oddawać dobrem za złe, przywodzę apolog, w którym ta cnota dobrze jest odróżniona od poczciwości i ludzkości, a przytem parę przykładów wymienię.

Pewien ojciec, obciążony laty, postanowił rozdzielić swój majątek pomiędzy trzech synów. Podzieliwszy go na trzy równe części i przeznaczywszy po jednej dla każdego, przydał:

— Mam jeszcze nader kosztowny dyament i przeznaczam go dla tego z was, który się okaże najgodniejszym przez wykonanie jakiegoś wspaniałego i szlachetnego czynu, a do tego wykonania naznaczam wam trzy miesiące czasu.

Trzej synowie rozchodzą się co prędzej, lecz później w oznaczonym czasie wszyscy się zgromadzają; stawają przed sędzią i najstarszy tak mówi poczyną:

— Mój ojcie, podczas swojej nieobecności pewien człowiek był zmuszony okolicznościami powierzyć mi cały swój majątek; nie miał on ode mnie żadnego piśmiennego dowodu, że ma u mnie depozyt; ja jednak oddałem mu wszystko. Wierność ta nie jestże czemś godnem uwagi?

— Zrobiłeś, mój synu—odrzekł starzec—to, coś był zrobić powinien. Ktoby inaczej postąpił, powinienby umrzeć ze wstydu, bo uczciwość jest powinnością; twój czyn nosi cechę sprawiedliwości, ale nie jest czynem bohaterskim.

Drugi z kolei przedstawił sprawę swoją niemal w tych samych wyrazach:

— Podczas podróży znajdowałem się ponad brzegiem jeziora, w które wpadło dziecko przez swą nierozwagę; byłoby utonęło, lecz ja je wydobyłem w obecności miesz-



kańców wsi i ocaliłem mu życie. Mieszkańcy mogą zaświadczyć prawdę tego czynu.

— Dobrześ zrobił, mój synu — odrzekł ojciec — lecz w twym czynie nie masz jeszcze bohaterstwa, jest w nim tylko ludzkość.

Nareszcie ostatni z braci rzekł:

— Ojcze! spotkałem mego zawziętego nieprzyjaciela. Zabłąkawszy się podczas nocy, nie wiedząc o tem, zasnął on ponad brzegiem przepaści. Najmniejszy z jego strony ruch przy przebudzeniu się niezawodnie wtrąciłby go w nią; życie jego było w moich rękach, lecz postarałem się obudzić go z należytą ostrożnością i ocaliłem od nieszczęścia.

— Ach! mój synu — zawołał pocziwy ojciec, ściskając go wśród uniesień radości — tobie, tobie niezaprzeczenie należy się pierścień.

Przy końcu drugiego wieku Wenustien prefekt użył wszelkich sposobów, ażeby Sabina biskupa pociągnąć do odstępstwa od wiary, a gdy tego nie mógł dokazać, kazał mu uciąć obie ręce około łokcia. Lecz Bóg dotknął okrutnika zupełną ślepotą. Kiedy wszystkie użyte środki do przywrócenia wzroku okazały się bezskuteczne, poradzono mu, aby się udał do Sabina i prosił go o modlitwę. Na to rzekł prefekt:

— Tak wielkiej łaski czyż mogę się spodziewać od człowieka, któremu zrobił tak wielką krzywdę?

— On jest chrześcijaninem — rzecze doń radzący mu — a chrześcijanie mają zwyczaj odpłacać dobrem za złe.

Ośmielony temi słowy Wenustien, każe się prowadzić do Sabina. Biskup położył poobcinane ręce na jego oczach i prefekt zaraz wzrok odzyskał.

Kiedy Henryka IV, króla francuskiego, namawiano, aby surowo postąpił z niektórymi miastami podbitymi, które należały do świętej ligi, wyrzekł te piękne słowa: «zadowolenie, jakie czujemy z pomszczenia się, trwa tylko kilka chwil, a to, którego doznajemy z okazania łaskawości, nigdy się nie kończy».

Kiedy Teodozjuszowi cesarzowi wyrzucano, że był za zbyt dobrym i łaskawym dla swych nieprzyjaciół, odrzekł: «Ja radbym powskrzeszać umarłych, nie zaś żebym miał pozbawiać życia żyjących.

*Ks. Paweł Rzewuski.*

## 78. O wdzięczności.

Któż nie wie, że niema słabszej od człowieka istoty i że żadne zwierzę nie potrzebuje troskliwości tyle co on? Któż nie odgadnie, że Opatrzność, poniżając tak na pozór ten przedmiot najtkliwszych swych starań, chciała go uszczęśliwić i wywyżżyć, bo zaraz od pierwiastków istnienia, złączyła go z innymi ludźmi słodkimi więzy uczucia? Najsłabsze zwierzę tak mało potrzebuje matki! ledwie światło dzienne ujrzy, już chodzi, biega, lata, pełza lub skacze, a po krótkim czasie, bez pokarmu i przykładu matki się obchodząc, traci ją z oczu i z pamięci. Samo sobie wystarcza, nikogo nie potrzebuje.

Jakże odmienne i szlachetniejsze przeznaczenie człowieka! Iluż to on od urodzenia starań wymaga, jakże wiele osób zajętych odzieniem jego, pokarmem, wygodą, zdrowiem, bezpieczeństwem, nauką, postępowaniem; ile oczu na niego patrzy, ilu myśli jest przedmiotem, jak wiele serc miłością dla niego pała! Tym wszystkim jego potrzebom nawet matka i ojciec zadosyć uczynić nie mogą, muszą mieć pomocników, a im większy majątek, im większe jego potrzeby, tem większa obowiązujących go liczba.

Rzućmy wstecz wzrok nasz, cofnijmy się pamięcią do pierwszego dnia naszego życia, przejdźmy w myśli ubiegłe lata aż do tej chwili, a obok pielęgnowających nas rodziców ileż ujrzymy osób nami zajętych! Niektórym z nas przyjdzie na myśl naprzód troskliwa mamka z odebraną wprawdzie niesłusznie własnemu szczęściu miłością, ale przecież nie mniej od nas wdzięczności godną. Po niej przypomina się kochająca nas może nierozsądnie, ale zawsze serdecznie, piastunka, ta co naszą otaczała kołyskę. Nieco dalej staną nam w pamięci niektóre osoby z domowych i krewnych, które nad nami w dzieciństwie czuwały i pierwszych kroków strzegły. Dalej jeszcze ujrzymy dobroczynnych opiekunów, nauczycieli gorliwych, przychylnych przestrzegaczy, doradców rozsądnych, ła-skawych pomocników.

Słowem ujrzymy nieprzeliczony poczet osób, którym mniej lub więcej wdzięczność winniśmy, które kochać, szanować, prze całe życie mile wspominać należy, a skoro

sposobność się zdarzy, przysługi im nie odmawiać—ażeby uczucie w czyn zamienić.

Widok tyłu dobroczyńców, pasmo tyłu obowiązków, zamiast nas upokarzać lub trworzyć, powinno nas cieszyć, podnosić w oczach naszych naturę człowieka, wzmagać w nas przekonanie, że kiedy przez długi czas tak mało sami możemy, a tyle innych potrzebujemy pomocy, winniśmy, przyszedłszy do szczęśliwszej pory, pracować nad tem usilnie, ażeby nawzajem być innym pomocą, stać się także względem nich przedmiotem zasłużonej wdzięczności i nie zostać ową nieużyteczną istotą, do której nawet porównania w naturze znaleźć trudno, bo każda rzecz stworzona jest użyteczna, i co wzięła, oddaje.

Tych obowiązków wdzięczności, choć ich już tak wiele, każdemu z nas do końca życia przybywać będzie; nie uwolni nas od tej konieczności ani wiek dojrzałszy, ani nauka, ani praca, ani majątek, ani znaczenie; póki tylko człowiek mieszkańcem jest tej ziemi, póki go ta ziemia w łono swoje nie przyjmie, póty potrzebuje drugich, póty od nich przysługi, dobrodziejstwa odbiera. Istotę myśli tej apostoł zawarł w tych wyrazach: «*Przeszedł, dobrze czyniąc*».

Te krótkie, ale treściwe wyrazy bogdajby być mogły każdego z nas pogrzebową pochwałą.

Nie możemy w tenże sam sposób oddawać osobom, dobrze nam czyniącym. Niepodobna ani karmić tych, co nas karmili, ani piastować tych, co nas piastowali; ani uczyć tych, co nas uczyli.

Cóż więc pozostaje?

Wyplacić się w tenże sam sposób innym, pomocy potrzebującym, a względem tamtych wywdzięczyć się staraniami i uczuciem. Szczęśliwy z nas ten, co podobny do kłosa, za jedno ziarno sto podobnych odda.

Ileż z nas jest, którym rodzice pomarli wtenczas właśnie, kiedy najlepiej czuliśmy, cośmy im winni; ilu z nas przeszkadzają okoliczności do wyplacenia się osobom, od których odebraliśmy dobrodziejstwo! Ale czyż nam głos wewnętrzny nie mówi: — Żyjesz, czujesz, wzrosłeś z dobrodziejstw innych, ręce, która cię obdarzyła, takiego samego daru wrócić nie możesz; ale widzisz istoty, potrzebujące pomocy twojej, im ją nieś skwapliwie, udzielaj im z chęcią, oddaj im to, coś wziął od tamtych, a oddając, nie żądaj osobistej wypłaty i wdzięcz-



ności, pragnij tylko, żeby i one ten dług twój kiedy innym spłaciły.

*K. Hoffmanowa.*

## 79. O dobroczynności.

Nie ten jest dobroczynnym, co hojną ręką mnogie rozrzucać zwykł dary; w takim razie dobroczynność przystępną byłaby tylko bogatym, gdy przeciwnie, i ubogi nawet, prawdziwie dobroczynnym być może. Pomoc, udzielona bliźniemu, nie zależy na samym szafunku pieniędzy.

Dobroczynność, obok przyjemności, jaką nam samym sprawić jest zdolna, mieści się także w liczbie celniejszych obowiązków ludzkości, a każdy, co tylko posiada rozum i siły, tem samem posiada właściwe dobroczynności sposoby.

Nieraz jedno przyjazne ściśnienie ręki może pohamować gwałtowność czyjej rozpacz; jedno rozsądne a tkliwe wspomnienie może błędnego na lepszą wprowadzić drogę.

Dobra rada, przyjemne słowo są także jałmużną, często niemniej skuteczną jak pieniężny datek. Wsparcie w potrzebie nie na samych podarkach zależy, a podźwignienie chwiejnego umysłu, otarcie gorzkich łez opuszczonego przez objawione współczucie, przez dobrotliwe rozmowy jest równą zasługą, jak udział w innych zasobach, które posiadamy. Grosz ubogiemu rzucony tylko na chwilę zaradza jego potrzebom; ale udzielone mu światło i pomoc do podźwignienia się z ostateczności, na całe życie jego skutkuje.

Nie mniej pięknie i dobroczynnie jest zapobiedz upadkowi czyjemu, w jakikolwiek on objawić się miał sposób, a pociecha, która z podobnego uczynku w serce nasze wstąpi, warta jest ofiar i usiłowań, które dla niej podjąć wypadnie.

Kto nigdy bliźniemu pomocnej nie podał ręki, kto nigdy łez wdzięczności dla siebie płynących nie widział, ten nie zna prawdziwej ceny sił swoich, temu życie nie rozwinęło jednego z najpiękniejszych swych kwiatów. Wtedy nawet, kiedy zawody nas samych udręczają, dobroczynność staje się balsamem, którego zbawienne

skutki na nasze własne rany wpływają. Trzeba być zakamieniałym samolubem, aby nie zapomnieć chociaż na chwilę własnego cierpienia na widok tych, co od nas pociechę zyskali; ale u kogo dobroczynność ogranicza się na samej bezmyślnej jałmużnie, ten i słodczy mało w niej, albo nic wcale nie znajdzie.

Niejeden żebrak w usposobieniu swoim szczęśliwszym jest od tego, który mu chleba udziela. Od niego powinniśmy się nauczyć znoszenia swej doli, od niego brać przykład najzupełniejszego zaufania w Opatrzność. Lecz niejeden zrazi nas także zupełnem zezwierzęceniem, zupełnem zapomnieniem ludzkiej godności, — staraniem też naszym być powinno, aby upadlającą plagę żebractwa, ile możności, wczesnem udzielaniem stosownego światła i pomocy, oddalić.

Gdyby każdy ziemianin chciał być na stan kmiotków uważnym, mógłby nieraz małym ratunkiem, danym w stosownym czasie, zupełnie ich nędzy zapobiedz, — mógłby, starając się o światło ich umysłów, poprawić zarazem byt fizyczny i moralne oświecenie.

To jest dobroczynność prawdziwa, która najmocniej przedmiotem się swoim zajmuje, która najlepszych dobiera środków, aby swą pomoc utrwalić, — ta jedna jest odpowiednią potrzebom czułego serca i zaspokoić je zdoła. Wymaga ona wprawdzie więcej zachodu, niż proste rzucane jałmużny ubogim, potrzebuje zastanowienia i rzetelnej chęci, ale też najpiękniejsze wydać nam zdoła owoce.

W jakimkolwiek położeniu znajdować się będziemy, nie odmawiajmy sobie tej słodkiej pociechy stania się pożytecznymi bliźniemu; brak dostatecznych funduszków dla nas wymówką nie będzie, bo czego nie skuteczniemy pieniężnym zasiłkiem, to zasoby umysłu i chrześcijańskie serce zawsze w inny sposób podadzą nam środki do wspomżenia bliźniego.

Najdotkliwsze bywają te nieszczęścia, które same sobie szukać nie umieją ratunku, tym też należy się więcej względu od czułego serca, bo inne potrafią mocniej zainteresować i ująć sobie ogół, a u pospolitych ludzi wcale nie znajdują współczucia.

Cała dobroczynność wielu osób na tem zależy, że przyjmują udział w składkach publicznych, lub nie odmówią grosza żądającym jałmużny żebrakom. Ale szukać po-

dobnego sobie człowieka w odzieniu nędzy, pracować nad wskrzeszeniem uczucia godności ludzkiej, upadłego w próżniaczym życiu, i wznieceniem chęci wyjścia z ohydneho stanu, starać się o poprawę umysłu, zapobiedz upadkowi cnoty, zastanowić się nad rzetelnymi potrzebami tych, którym ciemnota nie dozwala ich poznać: to mało komu na myśl przychodzi, a to jest najlepszą i prawdziwą dobroczynnością!...

Nic tyle nie wpływa na charakter nasz własny, nic tyle nie łągodzi i nie usposabia do słodyczy w pożyciu, jak wyrobienie w sobie miłosierdzia chrześcijańskiego; stąd należy zalecać każdemu takie postępowanie, jako dla nas samych zbawienne, tak też mające zasługę wobec ludzkości. Chcąc pocieszać obcych, trzeba się nauczyć przedewszystkiem być względny dla blizkich; obcowanie z niedolą nada nam tę delikatność uczuć, tę słodycz dla drugich, która najlepiej ułatwi wszelkie stosunki, czyniąc nas godnymi powszechnej miłości.

*Z dzieła: «Ostatnie rady ojca dla syna».*

## 80. Wspomnienie o śmierci.

Śmierć nie jest ani karą, ani upośledzeniem człowieka, owszem, może on w niej widzieć wyniesienie swoje, kiedy sam jeden ze wszystkich istot na ziemi nie całkowitą w niej zgubę, lecz odmianę tylko bytu znajduje. Ona wiedzie go do rozwiązania wielkiej zagadki życia, której ostatecznego dla siebie słowa znaleźć nie może pod słońcem; wspomnienie jej nie jest przeznaczone jedynie, aby dumną nadzieję w nas budzić, — powinno raczej przez wzgląd na znikomość rzeczy ludzkich od zbytnej zmysłowości odwodzić, a niepewność chwili, w której nas śmierć zaskoczy, słusznie wzywać może do postępowania zawsze w ten sposób, żeby nie była nam groźną. Pamiętając też, jak wątłą jest nić każdego życia, mocniej strzedz się będziemy od wyrządzenia komu jakiej krzywdy, od uchybienia mu w powinności naszej, a zechcemy działać tak, by godzina śmierci, czy to dla kogo wybije, czy dla nas uderzy, zawsze sumienie nasze od zarzutu wolnem zastała.

Nie uwierzysz, Henryku, jak pragnę, abyś nie doznał nigdy tej zgryzoty, która w sercu osiada, kiedy śmierć



zabierze osobę, względem której byliśmy winnymi, a której zniknięcie teraz już wszelką nadzieję naprawienia tej winy odbiera.

Jest jakaś niespokojność, jakaś tęsknota, jakiś żal, o którym za życia owej osoby ani marzyć można było, a który, następując po niewczasie, spokojność nam tylko zatruwa. Lecz płonne smutki! nie wskrzesisz niemi umarłych!

Staraj się więc tak postępować z żyjącymi, żebyś nie potrzebował ich wskrzeszać, i w działaniach swoich miej też wzgląd na to, że śmierć na każdego z nas czyha, że zatem należy tak postępować, iżby nie mogła nas nigdy w chwili złego uczynku pochwycić.

Pamięć o tem powinna hamować wybuchy duszy i pychę w pomyślności, równie jak być pociechą w ucisku.

Widziałem ludzi, których myśl o śmierci, od wszelkiego działania odwodząc, czyniła zupełnie niezdolnymi; widziałem innych, w których tłumiała wszelkie szlachetne uczucie, wszelką chęć uczynienia czegokolwiek dla drugich, szczepiąc za to niepomiarkowaną żądzę użycia, obok trwogi, że zamało może użyją.

Strzeż się, drogi Henryku, aby to, co dla nas być ma zbawienną przestrogą, przeciwnego skutku nie wzięło, i pamiętaj zawsze, iż w godzinę śmierci najmilej liczymy nie chwile użycia, lecz chwile pracy i dobrych uczynków. Ja dziś już stoję u kresu, a widząc, jak codzień się zbliża chwila ostatnia, w tem długim konaniu tę tylko ulgę znajduję, że kreśląc ci moje uwagi, spodziewam się przez to coś dobrego ci uczynić.

Doświadczenie własne na nic się tu nie przyda, nie wraca ubiegłego życia; nie czekaj więc końca daremnie, gorzkiego sobie przekonania nie gotuj, lecz działaj zawsze z przeświadczeniem, że jest Oko, co patrzy na ciebie, że jest Sędzia, któremu zdanie rachunku nie powinno cię nieprzygotowanym zaskoczyć.

*(Ostatnie rady ojca dla syna).*

## 81. Rzetelność.

Nic nie wywiera tak zbawiennego wpływu na nasz charakter, jak mocne postanowienie w dotrzymaniu słowa, czyli rzetelność. Dlatego jednym z najpoważniejszych zadań wychowania jest uzwyczajanie ludzi do tego od

młodości. Stawić się na słowie w każdej choćby najmniejszej rzeczy, jest to oprócz zaszczytu, który człowieka najwięcej zdobi, rozwijać swój charakter i roztropność. Cnotliwy nie da słowa na czyn niecny; roztropny nie prędko się nań namyśli, aby nie żałował dotrzymania i niedotrzymania.

Zatem dawanie słowa z namysłem, w rzeczach najmniejszych, czyni nas bacznyimi na wszystko i roztroponymi. Pośpiesznie obiecujący przy najlepszych chęciach, często staje się kłamcą, ściąga na siebie urazę ludzi, jakby im zabrał rzecz, którą obiecał. Mała i lekkomyślna wina zrządza wielkie szkody innym i sobie wielkie przykrości. Pięknie jest być niewolnikiem słowa, zwłaszcza tego, które dajemy z prawdą rozumu i serca.

*K. Brodziński.*

## 82. Porządek i punktualność.

Porządek jest to ład, jest to rozum; gdzie w domu niema porządku, tam nie pytaj o szczęście i błogosławieństwo, bo niema głównej zasady, która wszystko jednoczy i utrzymuje. Nieporządek niszczy dzieło pilności, truje czas kłopotliwie, i wszystko niemięm czyni. Punktualność (zły to znak, że na to nie mamy wyrazu), jest córką porządku, ona zjednywa ludziom dobre imię i zaufanie, bo wszystko w czasie swoim i według zamiaru wykona. Ona czyni człowieka słownym, rzetelnym, takim, na którym zawsze polegać można. Ona łączy rozum z sumiennością, które razem dobrobytu i wziętości domowi przysparzają.

Doświadczenie uczy, że dzieci nie wszystkie przymioty serca i duszy po rodzicach dziedziczą, że gdy do rozumu przychodzą, unikają wielu wad, które, niestety, w rodzicach postrzegały. Ale porządek i punktualność, te powszechnie stają się nałogiem czyli drugą naturą dzieci, jeżeli wzór i baczność rodziców do tego je nałożyły. W wielu rzeczach człowiek sam sobie później poradzi, pozbędzie się złych i nabierze dobrych przymiotów pomiędzy ludźmi, ale najtrudniej jest włożyć się do porządku, gdy się kto w nieładzie domowym wychował. Przez nieład najlepsze kobiety, pełne skądinąd zalet, są klęską rodziny.

*K. Brodziński.*

## 83. Przysłowia i zdania moralne.

### *I. Przysłowia Sal. Rysińskiego:*

1. Co tobie nie miło, tego nie czyń drugiemu.
2. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota w domu nie mają.
3. Czapką, chlebem i solą, ludzie ludzi niewolą.
4. Co się prędko wznieci, niedługo świeci.
5. Gdzie zgoda, tam Pan Bóg mieszka.
6. Gdzie złe przypadki, tam przyjaciel rzadki.
7. Jednemu szydła gołą, drugiemu i brzytwy nie chcą.
8. Kociel garnkowi przygania, a oba smolą.
9. Kto słucha pochlebce, mądrym być nie chce.
10. Kto ojcu nie wycierpi, ten drugim oczy wylupi.
11. Kto dobrze robi, śmierci się nie boi.
12. Na pochyłe drzewo i kozy skaczą.
13. Nie odrazu Kraków zbudowano.
14. Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie.
15. Kto chce być dobrym opowiadaczem, trzeba żeby był pierwaj dobrym słuchaczem.
16. Tego co robić nie chce, mąka w ręce kole.
17. Trudno przeciwko wodzie płynąć.
18. Rozum bez cnoty, miecz w ręku szalonego.
19. Po groszu zbierając, zbierzesz; po szelągu ciskając, rozcziskasz.
20. Stary gospodarz, Pan Bóg, wie, komu czego potrzeba.
21. Opuszczeni od ludzi są w opiece u Boga.

### *II. Przysłowia A. M. Fredry:*

1. Cudze złe na słońcu, swoje w cieniu radzi stawiamy.
2. Nie zawsze z ochoty, bywa i z potrzeby cnota.
3. Łacniej językom, niżli umysłom rozkazać.
4. Co popłaca, z tem na targ uczęszczają.
5. Gdzie pochlebstwo w cenie, prawdy tam nie pytaj.
6. Kto się nie douczy, albo przeuczy, szkodliwszym bywa od prostaka.
7. Nie kto siła (wiele) umie, ale kto umie, co potrzeba, ten mądry.
8. Cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest, a swoje należy.



9. Cudzego życia pan, ktoby swoim wzgardził.
10. Kiedy sowa zjastrzębieje, wyżej lata niż sokół.

## 84. Zdania moralne.

### a) *Z pism Jana Kochanowskiego:*

1. Cnota—skarb wieczny, cnota klejnot drogi:  
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,  
Nie spali ogień, nie zabierze woda;  
Nad wszystkim inszem panuje przygoda.
2. Cnotę i w nieprzyjacielu i w nieznanym miłujemy.
3. Wielkość umysłu na wzgardzeniu rzeczy doczesnych zależy.
4. Służmy pocziwej sławie, a jako kto może,  
Niech ku pożytkom dobra wspólnego pomoże.
5. Dwie rzeczy człowieka szlachcą: obyczaj i rozum;  
obyczaj z cnót pochodzą, a rozum z nauk. Obie-  
dnie rzeczy w sobie mieć, rzecz nieprzepełniona  
człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz  
zostać, raczej przy cności niż przy nauce zostań;  
cnota choć sama będzie, chwalebna jest i poży-  
teczna.

### b) *Fredry:*

1. Prawdy a żartów jako soli używaj, bo często prze-  
solisz.
2. Gdy siła dobrze czynisz, mów o tem mało. Ile do-  
brym postępkim przyczynisz sobie sławy, tyle  
jej chępliwością ujmiesz.
3. Długo myśl, prędko czyń.
4. Milczenie skarb wielkiej ceny: milcząc nie urazisz,  
milcząc zbędzisz, milcząc dokażesz. Milczenia  
rzadko kto żałował, a mówności często.
5. Złotnik w cichości tysiączne kształtuje klejnoty; u ko-  
wala pełno huku, a roboty za szóstak. Tak je-  
dnego ciche sprawy zacniejsze bywają niż dru-  
giego, co z rozgłosem wiele niby robi.
6. Przy statku a skromności rada cnota gości.

### c) *Skargi:*

1. Dobrze miłować sąsiada, lepiej wszystkie sąsiady,  
a jeszcze lepiej wszystkie obywatel królestwa tego.

2. Pomyślenie jest jako ziarno; przyzwolenie na uczynek, jako źdźbło, a kłos z owocem jest dopełnienie uczynku.
3. Czego serce pełne jest, o tem język rad mówi.

*d) Fran. Karpińskiego:*

1. Serce, które tylko swoje nieszczęście czuje, warte jest, żeby cierpiało.
2. Śmierć zawczesna jest dla tych tylko, którzy umierają bez cnoty.
3. Nie wstydz się, gdy spotkasz krewnego ubogiego; ale wstydz się naówczas, gdy go nie poratujesz.

*e) Kl. Hoffmanowej:*

1. Wszystko, na czem przy urodzeniu nam zbywa, a czego wyrósłszy potrzebujemy, daje nam wychowanie.
2. Cnota — najlepsze szlachectwo; rozum — najlepszy majątek; zdrowie—najlepsza uroda.
3. Młodość i wiosna są prawdziwie porą do pracy: czego w nich nie zasiejesz, nie będziesz zbierał w jesieni.
4. Sercu winniśmy wiarę, pobożność i inne zalety; lecz z serca wypływają i błędy, nadużycia i wszelka nędza i niedola nasza. Rozum więc zawsze nad sercem panować powinien.

*f) Ad. Mickiewicza:*

1. Do rajy drzwi otwarte, ale rzadki zdoła Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.
2. Smutni! chorzy! wy zamiast cieszyć się i leczyć, Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.
3. Głupiec, jak wół we młynie, związane ma oczy. I ciągle się ruszając, ciągle w miejscu kroczy.
4. Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu, Cały świat służy jemu, a on tylko Panu.
5. W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi. W jakim? Gdy się Pokora u Mądrości radzi.

## 85. Pobudki pierwszych wynalazków.

Nie z sobą na świat nie przynosimy; człowiek nie otrzymał gotowem tego wszystkiego, co ludzkość obecnie posiada; ma tylko zdolność przyswojenia sobie wszystkiego. Potrzeba zmusza go do wynalazków. I dziś jeszcze w nowonarodzonem dziecku śledzić możemy te popędy i pobudki w najrozmaitszych ich okresach, które przebież musiały wszystkie, chociażby najucywilizowańsze narody, by zdobyć sobie dzisiejsze wysokie stanowisko. Jak się ma nowonarodzone dziecię do zupełnie wykształconego człowieka, tak się mają nasi przodkowie do dzisiejszych swoich wysoko w oświacie posuniętych potomków. A jakkolwiek nie wszystkie popędy występują obecnie z tą wyłącznością, co dawniej, bo przybyły inne nowe, wznioślejsze wymagania, które inaczej wpływają na ukształcenie ducha i ciała; to przecież te warunki życia, które charakteryzują zwierzęcą stronę człowieka, zachowały i dzisiaj wpływ swój przeważny.

Człowiek wobec innych tworów ma zupełnie odrębne stanowisko. Choć słabszy od zwierząt, umiejętnie jednakże zdolności używając, panem ich zostaje. Idąc za najobfitym w skutki, popędem samozachowawczym, potrafił go zaspokoić najróżnorodniejszemi pokarmami. Temi samemi szczękami rozmiążdża on pokarm roślinny i zwierzęcy, gdy tymczasem zwierzęta przeważnie używają albo jednego, albo drugiego. I owszem, człowiek nie może nawet żywić się ciągle i wyłącznie jedną i tą samą strawą. Skóra jego nie zmienia się z każdą porą roku, jak to ma miejsce u wielu czworonożnych, obdarzonych futrem, albo u ptaków pierzastych. Walka z przyrodą trudniejszą jest dla niego, niż dla zwierząt, bo pod względem organów cielesnych daleko słabszym jest od nich.

Ileż to trudów i starań wymaga dziecko, nim się samodzielnie poruszać zacznie!

Ażeby zaś słabość sił swych przemódz i znaczenie ich dziesięćkroć powiększyć, ma człowiek pomocnika w swoim rozsądku i rozumie. One to przedłużają jego ramię, one do nóg mu skrzydła przypinają, one wspierają jego zmysły. One uczą chwycić bystronogiego konia, ujarzmić



potężnego słonia i podejść chytrego lisa. Umysł jego nadto i fantazyja stwarzają państwo dobra i piękna, które dają obfity pokarm władzom jego duchowym.

Warunki szczęścia i dobrobytu dla każdego człowieka są inne; zwiększają się one wraz ze wzmożeniem się sił jego, tak, że do szczytu tego szczęścia dojść można tylko przy najwyższem wyteżeniu i rozumnem zastosowaniu wszystkich zdolności. I w tem jest właśnie owa pobudka, która jednostkom i ogółowi nie dozwala spocząć, ale zmusza do nieustannego działania, dążenia do celu, do doskonalenia się.

Wspomnieliśmy, że popęd samozachowawczy najpierwej i najdzielniej zmusza człowieka do czynności. *Głód* skłania go do szukania stosownego materiału do wyżywienia się; gdzie go natura nie przedstawia w dostatecznej ilości, albo też w formie, nie dającej się spożyć, musi człowiek dla dostania go wymyślić *sprzęty, broń, sposoby polowania*. Musi brać w rachubę ogień, mróz, działanie słońca i powietrza, jużto żeby surowe płody królestwa roślinnego i zwierzęcego uczynić jadalnemi; już też, żeby je przechować na czas niedostatku. Zmiany pogody, zarówno wielkie gorąco, jak i wielkie zimno, boleśnie działają na jego ciało i zmuszają go do zapobieżenia złemu za pomocą przykrycia — *odzieży*, albo za pomocą ścian ochronnych — *mieszkania*. A chociażby pierwsze środki pomocnicze tego rodzaju były jak najprostsze, to przecież otrzymać je można jedynie przez zużytkowanie przyrodzonego materiału, który ze swej strony wymaga najrozmaitszych narzędzi, by mógł być odpowiednio zastosowany.

Najpierwsze więc potrzeby, których doznaje człowiek pojedynczy, zmuszają go do pewnych wynalazków, przedstawiających mu środki do zrobienia sobie broni, sprzętów, odzieży, pomieszkania.

*Księga wynalazków.*

## 86. Spożytkowanie ognia.

Możność dowolnego używania ognia stanowi wyraźny dowód wyższej inteligencji człowieka. Przestrach musiał być pierwszym uczuciem, jakie widok tego żywiołu wywołał. Odrazu trudno było dostrzedz jego własności do-

broczynnych, bo objawy jego pierwotne znaczyły się śmiercią i zniszczeniem. Podczas strasznych burz wypadał z chmur piorun ognisty, który wypalał lasy i wszystko, co żyło, wypląsał. Gwałtowne zmiany kształtu ziemi miały zawsze za towarzysza ogień; wulkaniczne wybuchy wstrząsały tem, co się zdawało być niewzruszonym—powierzchnią ziemi; wszystkie ciała, których ogień się dotknął, ulegały zniszczeniu, zdala nawet morderczy ten żywioł bolesne rany zadawał.

Powoli jednak umysł człowieka przyzwyczaił się do tych wrażeń i spróbował użyć ognia do wystraszenia nierozumnych swoich nieprzyjaciół: płomieniem wyganiał dzikie zwierzęta, a dymem małe, ale zjadliwe owady (kmary, moskity i t. d.).

Ze wszystkich atoli skutków, jakie ogień na inne ciała wywiera, spostrzeżono i zastosowano najpierwej własność jego niszczącą. Kiedy nie miano jeszcze żadnych narzędzi, to chcąc mieć kawałek drzewa pewnej długości, koniec jego kładziono w ogień i palono aż dożądanego miejsca. Później spostrzeżono, że woda przez działanie ognia zamienia się w parę, że przedmioty mokre mogą być przy ogniu wysuszone; że mięso, które w stanie surowym łatwo ulega zepsuciu, odymione i wysuszone, przechowywało się dłużej; że naczynia, lepiące z gliny, które suszono na słońcu, daleko są mocniejsze, jeżeli je poddamy działaniu ognia. Takim sposobem powstała sztuka gotowania.

W najdawniejszych czasach, kiedy jeszcze nie znano środków wydobywania ognia, przechowywano ogień naturalny (z piorunu lub wybuchu wulkanu), podsycając go ciągle; a zwyczaj religijny wielu ludów, które ustanawiały osobnych kapłanów i kapłanki do strzeżenia świętego ognia (ogień Westy <sup>1)</sup> u Rzymian, Znicz u Litwinów i t. d.) dowodzą nam, jak ceniono siły przyrody nawet w późniejszej nieco epoce.

*Z «Księgi wynalazków».*

## 87. S z k ł o.

W pierwszych wiekach, u narodów starożytnych, możniejsi używali do okien w miejsce szkła, którego jeszcze

<sup>1)</sup> Westa, córka Rei i Saturna, była boginią ognia.

nie znano, alabastru, agatu i innych kamieni przezroczy-  
stych. Ubożsi zaś, nie mogąc zaradzić tej potrzebie, wy-  
stawieni byli na przykre zmiany powietrza. Tymczasem  
szkło do okien, na szyby użyte, zasłania od przykrych  
zmian powietrza, nie pozbawiając nas miłego światła.

Wynalazek szkła, będący jednym z najpiękniejszych  
wynalazków dowcipu ludzkiego, powszechnie przypisują  
Fenicyanom. Pliniusz <sup>1)</sup> utrzymuje, że kupcy fenicy,  
handlujący saletrą, zatrzymali się nad brzegami rzeki  
Belus, a zajmując się gotowaniem pożywienia, w miejsce  
kamieni, na którychby naczynia kuchenne postawić mo-  
gli, użyli do tego brył saletry; ta zaś, pomieszawszy się  
z piaskiem na brzegach rzeki leżącym, stopiła go w ogniu  
na szklistą masę; masa ta za ostudzeniem stwardniała  
i stała się przezroczystą.

Jakkolwiek podanie to Pliniusza zdaje się być wątpli-  
wym, niezaprzeczoną jednak jest rzeczą, że wynalazek  
szkła odległej sięga starożytności.

W owym jednak czasie wartość szkła wyrównywała  
wartości złota, ponieważ je w małej jeszcze ilości wyra-  
biano. Były już jednak sławne fabryki szkła w staro-  
żytności, a szczególnie też w Sydonie i Aleksandryi <sup>2)</sup>.  
Wynalazek ten stopniowo doskonalili Egipcyanie, Grecy,  
a następnie i Rzymianie starali się przeniknąć tajemnicę  
jego, zwłaszcza kiedy Egipt stał się prowincją rzymską.

Jak jednak wysoko ceniono szkło za panowania cesa-  
rzów rzymskich, pomiędzy innemi z tego się okazuje, że  
cesarz Aurelian, nałożywszy daninę na podbitych Egip-  
cyan, dozwolił w połowie uiszczać się z niej w wyrobach  
szklanych, które bez wątpienia starannie wykończone być  
musiały. Wyrabiano już podówczas ze szkła zwierciadła  
i naczynia, płacznicami zwane. Rzymianie wysoko się  
posunęli w udoskonaleniu tego wynalazku; dowodzą tego  
pomiędzy innemi starożytnościami, słupy szklane, któ-  
rych wielkość i grubość budzą podziwienie.

Obok tego starożytni posiadali już w znacznym stop-  
niu sztukę nadawania szkłu kolorów, wyrabiali z niego,  
jak świadczy Pliniusz, sztuczne hyacynty, szafiry, szma-

<sup>1)</sup> Pliniusz, zwany Starszym, jeden z najuczestniejszych Rzymian, urodzony w roku 23 po Chrystusie. <sup>2)</sup> Aleksandrya, greckie miasto w Egipcie, założone w roku 332 przed Chrystusem przez Aleksandra Wielkiego.



ragdy. Huty w mieście Aleksandryi wyrabiały kolorowe kielichy i inne naczynia ozdobne. Żelazną rudą farbowano szkło na czerwono i żółto w różnych cieniach kolorów; nawet i kolor niebieski nadać umiano.

Wynalazek szkła upowszechnił się pomiędzy narodami europejskimi, a saski fabrykant Schürer, w połowie wieku XVI, odkrył, że za pomocą kobaltu i różnych niedokwasów metalicznych, nadać można szkłu najpiękniejsze kolory.

W nowszych czasach francuz, nazwiskiem d'Acrel, udoskonalił dawniej upowszechniony, a później zaniedbany sposób nadawania koloru niebieskiego za pomocą rudy żelaznej.

Przez długi przeciąg czasu same tylko Włochy, a szczególnie też Wenecya, słynęły z najpiękniejszych wyrobów szklanych. Oprócz tego sławne były huty czeskie, których wyroby, odznaczające się pięknnością, doszły do naszych czasów.

Sprowadzeni z Wenecyi do Czech fabrykanci dostarczyli temu narodowi potrzebnych narzędzi i udzielali wiadomości nabytych z doświadczenia.

Niedługo jednak Czesi nietylko że wyrównali, ale nawet przewyższyli swoich nauczycieli w pięknych wyrobach szklanych. Szkło czeskie odznacza się szczególnie białością, twardością i doskonałym szlifowaniem.

Zwyczaj wprawiania szyb szklanych do okien powstał dopiero w 390 roku po narodzeniu Chrystusa, ale wiele jeszcze czasu upłynęło, nim się między narodami europejskimi upowszechnił. Większa część okien była dawniej zamkniętą drewnianemi okiennicami lub zaklejona papierem, tylko bogatsi mogli mieć szyby.

Niektórzy przypisują wynalazek użycia szyb do okien zakonnikowi nazwiskiem Bertralt, w Anglii roku 664. Inni znowu wynalazek ten przyznają Francuzom około roku 1180.

Szkło oprócz tego dostarcza nam naczyń czystych, wygodnych i przyjemnych, chroni od zepsucia różnego rodzaju napoje, przydatnem jest astronomii do obserwowania obrotów ciał niebieskich, a naukom przyrodniczym służy do rozpoznawania drobnych istot, które z powodu ograniczonego wzroku naszego nie mogłyby dla nas być widzialnemi.

*K. Milewski.*

## 88. K o m p a s.

W podróży, odbywanych po stałym lądzie, wielkie usługi czynią nam koleje żelazne, drogi bite i gościńce, wiodące z jednego miasta do drugiego, i doprowadzające nas do celu podróży. W górach potrzebujemy przewodnika, a w rozległych lasach i równinach i przewodnik łatwo może zabłądzić... cóż dopiero w podróży na morzu, gdzie widzimy tylko wodę i niebo! Tu kierować się możemy w dzień według słońca, a w nocy według gwiazd. Cóż jednak poczniemy, kiedy dzień będzie mglisty, a w nocy niebo, pokryte chmurami, zasłoni sklepienie gwiazdziste?

W starożytności, Fenicyjanie, ów lud handlowy, puszczali się na znane sobie dobrze morze Śródziemne, a nawet wypływali cieśniną Gibraltarską na ocean Atlantyki i na morze Bałtyckie; ale w tych wycieczkach stale trzymali się brzegów lądu w obawie zabłądzenia. Przez długi czas podróże morskie w ten sposób tylko się odbywały, choć ciekawość nęciła do puszczenia się w dalsze obszary.

Odważyć się jednak na coś podobnego uważano by za szaleństwo. Umożliwił to dopiero wynalazek kompasu, pozwalając kierować się nieomylnie na otwartym morzu lub w rozległej puszczy.

Wynalazek ten nastąpił w początku XIV wieku i zaszła się na urządzeniu igły magnesowej, mającej własność zwracania się jednym końcem ku północy. Chcąc jednak zrozumieć igłę magnesową, musimy poznać wogóle magnetyzm.

Magnetyzm wziął swą nazwę od kamienia magnesowego, t. j. od rudy żelaznej ciemno-szarego koloru i połysku niebieskawego albo czerwonego.

Kamień magnesowy znajduje się w obfitości szczególnie w okolicach północnych, w kopalniach żelaza w Szwecji i Norwegii, w środku pasma gór Uralskich, w Anglii, w Tyrolu, w Saksonii i Czechach.

Własnością magnezu jest przyciąganie żelaza, co już starożytni Rzymianie i Grecy dopatrzyli. Pliniusz tak opisuje wynalazek magnezu:

«Pewien pasterz, nazwiskiem Magnes, pasąc owce na

górze Ida w Małej Azji, spostrzegł, że koniec żelazny jego laski i gwoździe jego obuwia tajemną siłą przylegały do twardego gruntu, tak, że z niejakim trudem odrywać je musiał. Badając powód, znalazł kamień, który przyciągał żelazo, nazwany później od jego nazwiska magnezem».

Opis ten daje nam poznać charakter starożytnych, pragnących nadać tajemniczość wszelkim rzeczom, dla nich nowym. Magnes bowiem nie ma własności przyciągania, pozostając w gruncie, ale nabywa jej dopiero po wydobyciu, gdy czas pewien zostaje pod wpływem powietrza. Właściwie nazwa magnezu pochodzi od Magnezyi, miasta w Małej Azji, w którego okolicy magnez znajduje się w wielkiej obfitości.

Magnes przyciąga żelazo, o czym łatwo się przekonać zbliżywszy go do igły, pióra stalowego lub innego drobnego wyrobu żelaznego. Położywszy taki wyrób żelazny na papierze, tafli szkła lub cienkiej deseczce, gdy pod temi przedmiotami wodzić będziemy magnezem, to one posuwać się będą w kierunku wiedzionego magnezu. Siła zatem magnezu działa i przez inne ciała; tylko przez blachę żelazną nie można podobnych poruszeń dokonać.

Powyżej rzeczona siła magnezu dozwalała dawniej sztukmistrzom zadziwiać nieświadomych okazywaniem pływających stosownie do ich rozkazu blaszanych łabędzi lub innych sztuk taż siłą okazywanych.

Jeżeli podłużny kawałek magnezu włożymy w opłki żelazne, ujrzymy je przyciągnięte w ten sposób, że dwa jego końce przeciwne będą niemi oblepione, ku środkowi mniej, a w samym środku zupełnie ich nie będzie. Dwa te końce magnezu zwane są dwoma biegunami (północnym i południowym). Jeślibyśmy przecięli ten magnes na dwie połowy, wówczas każdy z dwu kawałków będzie miał takie bieguny, czyli największą siłę przyciągania okazywać będzie na końcach, a w środku żadnej.

Jeśli zawiesimy magnes, nitką przez środek przewiązany i inny do niego dotkniemy, to się przekonamy, że przez zetknięcie biegunami przeciwnymi, to jest północnego z południowym, magnesy przyciągną się; podobnie zaś, to jest dwoma południowymi lub dwoma północnymi, odepchną się.

Stąd powstała naukowa zasada, że w magnezie biegu-



ny przeciwne przyciągają się wzajemnie, a bieguny podobne odpychają.

Jeżeli do magnesu dotkniemy igłę, to ta przylgnie do niego; do tej igły możemy przyczepić inną, wprzód o magnes potartą, i tak tworzyć rząd igieł prawie bez końca. Każda bowiem z tych igieł, dotknąwszy się magnesu, staje się sama magnesem i posiada siłę przyciągania i udzielania jej innym przedmiotom żelaznym.

Żelazo ma w swem łonie także siłę magnesową, lecz bezczynną, jakby uśpioną. Siła ta, zbudzona dotknięciem magnesu, nabywa wszystkich jego własności, ma nawet dwa bieguny, kierujące się zawsze ku północy i ku południowi.

Chcąc zatem zrobić sztuczny magnes, potrzeba sztabkę żelaza potrzebować około trzydziestu razy jednym końcem magnesu, a następnie odwrotnym końcem magnesu potrzebować drugi koniec tejże sztabki, i tym sposobem utworzy się sztuczny dość silny magnes, mogący 30 do 50 razy tyle unieść, ile sam waży. Magnes przez takie magnesowanie żelaza nie traci nic ze swej siły, bo jej nie udziela, tylko ją obudzając w żelazie, zmusza niejako do działania.

Jeżeli igłę magnesową zawiesimy na nitce tak, że dowolnie będzie mogła pływać w powietrzu, to po wielu obrotach zatrzyma się, zwrócona jednym końcem ku południowi, drugim ku północy.

Ta zadziwiająca własność magnesu daje się spostrześć na wszystkich punktach naszej ziemi, w górach i kopalniach — i ona to bez wątpienia zawiera się w łonie samej ziemi, czyli że ziemia sama musi być magnesem.

I w rzeczy samej, krzyże żelazne na kościołach, obrócone w kierunku igły magnesowej, a także narzędzia w warsztatach ślusarskich zamieniają się czasem w magnes przez magnetyzm ziemi naszej.

Podczas zorzy północnej, a także podczas burzy, igła magnesowa objawia niezwykajne ruchy, a gdy piorun uderzy w okręt, to igła magnesowa zmienia swe bieguny i odtąd koniec północy wskazuje południe i odwrotnie.

Własność ta magnesu podała myśl urządzenia kompasu, według którego żeglarz wśród dnia pochmurnego lub ciemnej nocy mógłby kierować biegiem okrętu.

Wynalazek kompasu przypisują powszechnie uczone-  
mu w Neapolu, Flavio Gioja z Amalfi, w roku 1302.

Niema jeszcze historycznej pewności, czy Chińczycy są pierwotnymi wynalazcami kompasu; według jednak dawnych dowodów piśmiennych, misyonarz Marcus Paulus przywiózł kompas z Chin r. 1260. Tenże miał twierdzić, że Chińczycy podówczas nie wkładali igły magnesowej na sztyfcik, jak u nas, ale osadzali ją tylko na kawałku korka, który dostatecznym jest do utrzymania igły, pływającej na wodzie. Kierunek, który wskazywała, był jej magnetycznym południkiem. To urządzenie przy prostocie swojej jest nadzwyczaj trafne, gdyż woda ciągle na wszystkie strony równy poziom utrzymuje. Mimo to dwa jeszcze inne narody pragną mieć chwałę wynalezienia kompasu.

Francuscy uczeni przytaczają dawny poemat Gouyota z Prowancyi, który żył w r. 1200 po Chrystusie i wspomina o kompasie pod nazwaniem Marinette. Twierdzenie swoje popierają jeszcze tą okolicznością, że promień rury kompasowej, wskazujący północ, na kompasach wszystkich narodów jest opatrzony francuską lilią. Znak więc to ma być nieomylny, że pierwszy kompas przez Francuza był urządzony.

Nie wdając się w rozstrzygnięcie kwestyi, do tak odległej epoki należącej, dodamy, że dziś żeglarz z kompasem śmiało przebywać może obszerny ocean we wszystkich jego kierunkach z zupełną pewnością, że na tym bezgranicznym prawie obszarze nie zbłąka się ani na chwilę i nie zboczy z drogi, którą płynąć zamierzył.

Śmiałym tym żeglarzom z pomocą kompasu winniśmy liczne odkrycia dotąd dokonane. Portugalczycy przepłynęli ocean Atlantycki, odkryli wyspy Azorskie i Kanaryjskie, zwiedzili zachodnie brzegi Afryki; wynaleźli drogę morską do bogatych Indyi, Kolumb odkrył Amerykę; Magellan odbył podróż naokoło ziemi i zawiązał stosunki handlowe z najodleglejszemi częściami świata. Wskutek tego wynalazku otrzymujemy kawę z Zachodnich Indyi, herbatę z Chin i Japonii, bawełnę i ryż z Indyi Wschodnich, cynamon z wyspy Cejlon i wiele innych przedmiotów handlu morskiego, dających nam zdrowie i uprzyjemnienie życia.

*Stanisław Gargulski.*

## 89. P a p i e r.

Papier jest cienką błoną, ze szmat przerobioną.

Papier jest środkiem materyalnym handlu umysłowego, pośrednikiem naszych wyobrażeń, gońcem myśli, tłumaczem uczuć, oraz wiernym zachowawcą czynów i badań człowieka. Jest to jeden z nader ważnych wynalazków, ze względu na wpływ, jaki wywiera na nauki i ucivilizowanie narodów. Nad papier niemasz w świecie materji, któraby doznała więcej przemian pod ręką człowieka od pierwotnego stanu aż do zupełnego wykończenia.

Egipcyanie, a po nich wszystkie starożytne narody używały do pisania gatunku rośliny, zwanej papyrus.

Chińczycy, jakkolwiek początkowo wyrabiali go także z tej rośliny, w późniejszym jednak czasie oni pierwsi używali papieru zrobionego z jedwabiu. Jedni oznaczają wynalezienie jego na kilkaset lat przed Narodzeniem Chrystusa, drudzy na 60 lat później. To jednak pewne, że na Wschodzie dopiero około r. 750 przed Narodzeniem Chrystusa zaczęto używać papieru, robionego z bawełny; wprowadzili go do Europy Arabowie około X wieku po Nar. Chr. i ten aż do środka XIV wieku doskonalszy, powszechnie był używany.

Od tego czasu zaczął wchodzić w użycie papier, robiony ze szmat lnianych i konopnych czyli płóciennych.

Wynalazek ten jedni przypisują Grekom około 1170 r. po Narodzeniu Chrystusa, drudzy Arabom, inni Paksowi z Padwy r. 1301. Wielu jednak utrzymuje, i to zdaje się być najpewniejszym, że pierwszy papier ze szmat lnianych robiony był przez obywatela norymberskiego nazwiskiem Ulmano Strom.

Rozpowszechnienie onego nieprędko jednak mogło nastąpić, ponieważ w owych wiekach odzież płócienna w krajach południowych była jeszcze rzadką i drogą. Dopiero w drugiej połowie wieku XIV w Niemczech robiono zwyczajny papier z płócien. W XV wieku Holandia szczególnie zaczęła celować w wyrabianiu papieru.

Z początkiem wieku XVI Haller, drukarz krakowski, miał już swoją papiernię. Z tegoż czasu mamy wiele papieru ozdobionego znakami wodnymi, które wyobrażają



herby znakomitych domów polskich, co dowodzi, że panowie możniejsi mieli swoje papiernie lub je przynajmniej znacznie wspierali. Robienie papieru lnianego nie z Chin pochodzi, jak niektórzy utrzymują, gdyż Chińczycy dotąd nawet wyrabiają papier z surowych konopi, bambusu i kory morwowej. Papier lniany przewyższa wszystkie inne w mocy i trwałości; Francya, Anglia, Holandya i Szwajcarya mają ogromne fabryki papieru, dowodzące wysokiego stopnia przemysłu w tych krajach.

Najwyżej jednak w tym względzie stoją Holendrzy.

Persowie robią papier rozmaitych kolorów, tudzież złocony i posrebrzany. Pisząc list do znakomitej osoby, używają papieru koloru białego, ozdobionego złotymi kwiatami. Wielkość arkusza zależy od znaczenia osoby, do której się pisze.

Listy szacha perskiego, pisane do monarchów europejskich, zwykle mają 3 stopy długości. Listy sułtana tureckiego miały czasem do 7 stóp. Hanowie tatarscy pisywali listy od 2 do 9 stóp długie. Tamerlan, chcąc szczególnie ucześć sułtana Egiptu, posłał mu list, mający 70 łokci długości.

W r. 1786 Levrier wynalazł sposób robienia papieru z rozmaitych ciał roślinnych. Pierwsza machina do robienia papieru wynaleziona była w r. 1779 przez Dyonizjusza Roberta D'Essone. Niewiasta, nazwiskiem Manson, wynalazła w r. 1794 sposób robienia bardzo białego papieru z papieru zadrukowanego. Nakoniec znakomity mechanik Lejstensznejder stał się wynalazcą maszyny, która bez pomocy robotnika dostarcza wielkiej ilości arkuszy papieru.

W pewnej papierni w Whitwel, w hrabstwie Derbyshire, zrobiono przed laty arkusz papieru, mający 13,800 stóp długości, a 4 stopy szerokości, na adres do parlamentu; tym arkuszem możnaby nakryć pół morga ziemi. Zasługuje na uwagę ogrom formatu gazety «Times» z r. 1829. Arkusz tej gazety jest długi na dwa łokcie, a szeroki na półtora.

Znakomitsze gatunki papieru są następujące: papier włóknisty, robiony z włókna łądyg bobu, wynaleziony w r. 1813.

Papier nieprzebijający, który nie przepuszcza wody, wynaleziony został przez Mona r. 1802. Van Hauten w Rotterdamie wynalazł inny nieprzenikliwy papier ze

mchu wodnego, nie podlegający zepsuciu, trwały i zapobiegający próchnieniu drzewa. Jest to przedmiot nader ważny, zwłaszcza też dla budowli morskich i dzieł hydraulicznych. Wynalazca, który otrzymał przywilej na swój wynalazek, nadaje temu papierowi wszelkie potrzebne wymiary.

Papier safianowy wynaleźli Roeder i Boehm, mieszkańcy Strasburga r. 1806.

Papier bankowy przypisują Chińczykom. Piorwsze jego użycie przypada roku 1731, kiedy puszczone bilety bankowe w obieg w celu zaspokojenia kosztów wojennych.

Papier ze słomy, który margrabia Salisbury wynalazł r. 1800 i Seguin r. 1801, zdaje się być prostem tylko odnowieniem dawnego wynalazku Chińczyków. Tak nazwany papier syryjski, na którym można olejno malować, wynalazł Ponder r. 1809.

Papier na obicia używany został do Europy wprowadzony r. 1555 przez Holendrów z Chin i Japonii. Papier welinowy wynaleziony w r. 1700 przez Ambrożego Dido, naczelnego właściciela sławnej drukarni w Paryżu. Papier aksamitny był pierwszy raz wyrobiony w r. 1620 przez mieszkańca z Rouen, zwanego Franciszkiem.

Niegdyś powszechnie używany pergamin robi się z oślej lub baraniej skóry, a nazwisko swoje otrzymał od Pergamu w Azji, gdzie go najdawniej wyrabiano. Najdelikatniejsze pergaminy są zwykle najlepsze. W Rzymie wyrabiano tak cienki, że Cycero utrzymuje, iż widział całą «Iliadę» Homera przepisaną na pergaminie i zamkniętą w łupinie orzecha włoskiego. Pergamin welinowy, piękny, biały, cienki i jedwabisty, powszechnie był używanym w wieku XIV. Po wynalezieniu druku rzadko kiedy używają pergaminu do pisania.

*K. Milewski.*

## 90. Materyały piśmienne.

Najpierwsze materyały piśmienne, których narody starożytne, po wynalezieniu już sztuki pisania, używały, były skały i głazy. Wiemy z dziejów, że powszechnym było u ludów starożytnych zwyczajem kreślić na słupach czyny, które starano się uwiecznić. Kolumny Merkure-

go <sup>1)</sup> są bardzo sławne, utrzymują bowiem, że na nich ryte były prawa ówczesne. Na Krecie <sup>2)</sup> widziano starożytne pomniki kamienne, okryte napisami, przedstawiające ówczesne ceremonie, odbywane przy ofiarach korybantów, kapłanów bogini Cybeli. Za czasów Demostenesa chowano jeszcze prawo Tezeusza na kamieniach ryte. Co zaś podaje nam historia o kolumnach, które Atlas <sup>3)</sup>, miał powierzyć Herkulesowi, synowi Jowisza i Alkmeny <sup>4)</sup>, to wiemy, że napisy na nich wyryte obejmowały oznaczenie krańców świata podówczas znanego.

Było również dawnym zwyczajem pisać na ceglach i tablicach kamiennych. Najdawniejsze pomniki Chińczyków ryte były na twardych gładkich. Wiadomo, że dziesięcioro przykazań, które Mojżesz od Boga na górze Synai w Arabii dla synów Izraela otrzymał, były pisane na tablicach kamiennych. Na tego rodzaju tablicach Jozue napisał księgę swoją.

Później, zamiast kamienia zaczęto używać tablic z miedzi i ołowiu. Za czasów Hioba, pisywano na blaszkach ołowianych rylcami żelaznymi. Dalej, używano już liści rośliny papyrus, kory drzew, skór zwierzęcych, płótna i tabliczek drewnianych, woskiem powleczonych. Zwyczaj te dochowują się jeszcze w wielu krajach azyatyckich i afrykańskich.

Wynaleziono potem sztukę kreślenia na pewnych materjach, przy pomocy niektórych płynów kolorowych; do pisania zaś używano pędzla, który to zwyczaj do dziś dnia dochowują jeszcze Chińczycy.

Po pędzlu nastąpiło użycie piór, wyrabianych z trzciny, które opatrzone rylcami żelaznymi, zwanymi *stilus*, najpowszechniej używane były do pisania na delikatniejszych materyałach.

Używanie piór gęsi, atramentu i papieru w całej starożytności nie było znane.

<sup>1)</sup> Merkury, jeden z 12 wielkich bożków w mitologii Greckiej, był synem Jowisza i oprócz innych przymiotów był bożkiem handlu. —

<sup>2)</sup> Kreta dziś Kandya, jedna z największych wysp morza Śródziemnego. — <sup>3)</sup> Atlas, tytan, syn Japeta i Klimeny. Za to, że kusił się o zdobycie niebios, Zeus skazał go na dźwiganie sklepienia nieba. —

<sup>4)</sup> Alkmena była córką Elektyjona, króla Myceny (w Grecyi) i żoną Amfitryona. Jako matka Herkulesa wielokrotnie opiewana była przez poetów.



Dopiero w VII wieku po Chrystusie zaczęto trzcinkę do pisania zastępować piórem gęsiem.

Okolo tego także czasu nastąpił wynalazek inkaustu czyli atramentu, jakiego dziś używamy, a który zakonnikom reguły 6-go Benedykta przyznają.

Pierwszym papierem, jakiego cała przedchrześcijańska starożytność używała, były przygotowane do tego liście cibory papierowej (*Cyperus papyrus*). Liście te były niegdyś przedmiotem tak rozległego handlu, jaki prowadzi dziś kunsztownym, ze szmat wyrabianym papierem.

Gdy po zawojowaniu Egiptu przez Saracenów handel papierem, sprowadzanym z tego kraju, zupełnie ustał, w miejsce egipskiego papieru, musiano używać kosztownego pergaminu, co nadzwyczajnie podniosło cenę rękopisów. Dlatego to wiele rękopisów z VII, VIII i następnych wieków znajduje się zupełnie wyskrobywanych, aby pergamin do powtórnego użycia zdadnym uczynić. Z takiego to wyskrobanego pergaminu (falimpsesta) Angelo Majo miał wyczytać znakomite dzieło Cycerona «O rzeczypospolitej».

Różne jeszcze przeszkody opóźniały upowszechnienie sztuki pisania, które potrzebowało długiego czasu i miało wiele trudności do zwalczenia. Dla tejto przyczyny i postęp oświaty nie mógł być wczesnym i szybkim. Wiadomości ludzkie nie mogły zaraz się rozszerzyć ani też wydoskonalić, bo pierwsi ich wynalazcy nie mieli potrzebnych ku temu środków, aby je potomności przekazać w sposób łatwy i pewny. Zresztą, nie same tylko nauki i sztuki na tem cierpiały, przeszkody te wpływały i na ówczesne obyczaje. Człowiek bowiem do ukształcenia swego potrzebuje nauki, i jeżeli oświecenie rozumu nie wykorzenia z gruntu pierwotnych skłonności, przynajmniej do złagodzenia i poprawienia onych wiele pomaga. Śmiało zaś powiedzieć można, że żaden wynalazek nie dopomógł tyle do wyprowadzenia ludzi z pierwotnej ich dzikości, ile upowszechniona sztuka pisania, która, oprócz korzyści ogólnej cywilizacyi, połączyła jeszcze węzły społeczne ściślej z sobą ogniwy.

*K. Milewski.*

## 91. Proch strzelniczy.

Chińczycy, podług roczników swoich, zaczęli używać do wojny prochu roku 1232 po Chrystusie, chociaż go znali już na lat 700 przed Narodzeniem Chrystusa. Wynalazek ten przyjęli od nich nierównie później Arabowie. W Europie zaś wynalezienie prochu powszechnie przypisują Szwarzowi, zakonnikowi niemieckiemu, około 1354 r., który winien je był niespodziewanemu wybuchowi, jaki sprawiła mieszanina siarki, saletry i węgla. Gdy mieszaninę tę, dla dojścia i otrzymania innego zupełnie połączenia, tłukł w młóźnie, przerażony został jej nagłym wybuchem, z hukiem połączonym.

Wynalazek ten pociągnął za sobą ważną zmianę w całym składzie politycznym narodów, zmienił walkę sił fizycznych w uczonej kombinację wojenną, zabezpieczył narody ucywilizowane od napadu barbarzyńców i uczynił na przyszłość niepodobnem wprowadzenie nowo nierządów feudalnych.

Historyk Mariana <sup>1)</sup> utrzymuje, że Maurowie przy oblężeniu miasta Algieru przez Hiszpanów w roku 1342, niemalą wojsku chrześcijańskiemu zadawali klęskę kulami żelaznemi, które za pomocą palnej mieszaniny wyrzucali. W innym znowu miejscu dodaje, że pierwszy raz w tej wojnie zjawily się działa, z czego okazuje się, że Arabowie wcześniej niż Europejczycy znali użycie prochu, i że Szwarz nie był jego wynalazcą, lecz, że wynalazek ten rozgłosił i upowszechnił. Co się zaś tyczy Rogera Bakona, niezawodną jest rzeczą, że wiedział z pewnością, co wchodzi w skład prochu, gdy utrzymuje w dziele swoim, że proch składa się z saletry, siarki i pewnej jeszcze substancji, którą przed barbarzyńcami troskliwie ukrywać należy, tudzież, że przez zapalenie tej mieszaniny można naśladować grzmoty i błyskawice.

W r. 1819, pułkownik angielski Gibs znalazł sposób powiększenia siły prochu, mieszając do niego wapno niegaszone. W r. 1822, inny znowu Anglik, nazwiskiem Serulus, doszedł sztuki zapalania pod wodą. Obecnie

<sup>1)</sup> Mariana, historyk hiszpański wieku XVI.

proch strzelniczy coraz więcej udoskonalają, tak, że istnieje już proch t. zw. bezdymny.

*K. Milewski.*

## 92. Statki parowe.

Jakkolwiek piękną i wspaniałą wydaje się budowa okrętu żaglowego, przecież nie można go uważać za ostatni krok na tej drodze. Odkrycie siły pary, a następnie zastosowanie jej do poruszania statków, przekształciło zupełnie budownictwo morskie i stworzyło nową erę w żegludze.

Skreślenie dziejów pary, odkrycia jej siły, rozwoju, stopniowego zastosowania jej do poruszania machin, zbyt wiele zabrałoby miejsca; poprzestańmy na objaśnieniu rzeczy niezbędnych, dotyczących zaprowadzenia żeglugi parowej.

Wkrótce po wynalezieniu maszyny parowej zrodziła się myśl, by jej użyć do poruszania statków. Myśl tę urzeczywistnił Robert Fulton, Amerykanin, zbudowawszy mały statek parowy i puściwszy się nim na wody rzeki Hudsonu. Żegluga okazała się praktyczną, ale trudno uwierzyć, ile przeszkód napotkała, zanim wynalazca potrafił ją w życie wprowadzić.

Fulton przedstawił wynalazek swój cesarzowi Napoleonowi I-mu, ten odesłał Amerykanina do najuczestniejszych mężów Francji, aby dali swe zdanie o jego wynalazku. Po długich badaniach uczeni wydali wyrok, że myśl Fultona jest mrzonką niepraktyczną i niewykonalną.

Gdyby cesarz nie spuszczał się na niepraktyczne głowy akademików francuskich i przyjął projekty Fultona, byłby niezawodnie przy pomocy statków parowych dostał się do Anglii i pokonał tę najgroźniejszą swoją przeciwniczkę; dzieje wzięłyby zupełnie inny obrót, a Napoleon nie umarłby na skałach Świętej Heleny.

Zrażony wyrokiem akademii, wynalazca udał się do Anglii. Tam lepiej przyjęto ogromną ważność zastosowania pary do poruszania statków, a statek parowy, żeglujący już w roku 1813 na wodach Tamizy, okazał, że myśl Amerykanina jest praktyczną i wykonalną.

Machina statków parowych ma zupełnie tę samą budowę i skład, co inne maszyny, używane do obracania



kół w młynach parowych i innych zakładach fabrycznych. Piec obejmuje w sobie mocny kocioł, z blach żelaznych skuty, w którym zawsze pewna ilość wody znajdować się winna. Woda ta, utrzymywana w ciągłym gotowaniu, wydaje parę, która wchodzi do żelaznych cylindrów i porusza tłoki, dobrze przystające do ścian cylindra, podobnie jak w pompach zwyczajnych. Wypchnąwszy tłok do pewnej odległości, para uchodzi przez otwór, umyślnie na ten cel zrobiony. Tłok wraca na dawne miejsce, a wtem nowa ilość pary dostaje się z kotła do cylindra i nowe wywołuje poruszenie. Tym sposobem, przez ciągle wypychanie i zwrot tłoka, machina parowa wchodzi w ruch nieustanny.

Przymocowana do tłoku sztaba, przez poruszenie w górę i na dół, obraca korbę, przytwierdzoną do koła szalowego (rozpędowego), a to nadaje ruch kołom wiosłowym, lub śróbie okrętowej. Machina umieszczona jest w środku statku (jeżeli tylko w jedną jest zaopatrzony, gdyż przy wielkich statkach bywa ich kilka, w pewnych odstępach wzdłuż statków umieszczonych). Dwa wielkie koła, nurzające się do jednej czwartej części w wodzie, zaopatrzone są na okręgu żelaznemi łopatkami, które uderzając w wodę, posuwają statek naprzód z wielką szybkością.

Od czasów Fultona pracowano bez przerwy nad ulepszeniem statków parowych i doprowadzono do tego, że statki te mogły puszczać się na pełne morze, a w roku 1819 pierwszy parowiec przebył ocean Atlantycki.

Z czasem poznano niedogodność używania kół do poruszania okrętów; łamały się one często i łatwo; przytem podczas bitwy morskiej, jedna kula działowa, zgruchotawszy koło, mogła statek uczynić bezwładnym łupem nieprzyjaciela.

Ludzie więc, biegli w budownictwie morskiem, wpadli na myśl zastosowania śruby Archimidesa do poruszania statków parowych, a myśl ta uzyskała zupełne uznanie; zaraz też zaczęto śruby zaprowadzać na parowcach wojennych angielskich.

Na żelaznym walcu, biegnącym u spodu wzdłuż okrętu, znajdują się trzy lub cztery skrzydła, naśladujące przy obrocie ruch śruby lub świdra, który wierząc fale, popycha statek szybko naprzód.

Największy ze wszystkich statków wojennych w całym

świecie, okręt wojenny Wellington, poruszała śruba. Okręt ten miał 4,200 beczek objętości, 131 dział i 1,000 ludzi osady. Długość jego wynosiła 280 stóp, szerokość 60, wysokość z przodu 57 — w tylnej zaś części 65 stóp, a wewnątrz miało przeszło milion stóp sześciennych.

Mimo tego ogromu Wellington wydawał się dziecięciem przy parowcu Wielki Wschód (Great Eastern). Okręt ten handlowy i przewozowy, przeznaczony pierwiastkowo był do zaprowadzenia nieprzerwanych stosunków pomiędzy Ameryką i Australią. Długość jego wynosiła 692 stopy, szerokość 84. Mógł zabrać 12,000 podróżnych, poruszały go zaś śruby i koła pięciu machin, o sile 11,500 koni, a nadto, gdy wiatr sprzyjał, żagle.

Dzisiaj budują jeszcze większe statki, poruszane parą lub siłą elektryczną, wielkie wojenne okręty opancerzone (obite grubą blachą) i szybkie parowce pocztowe.

### 93. D r u k.

Sztuka drukarska najskuteczniej przyczyniła się do rozszerzenia oświaty. Wszystko, co mędrcy zbadali, bohaterowie uczynili, lub poeci napisali — to sztuka drukarska tysiące razy powtórzyć jest zdolną, a tem samem tysiące ludzi może rozweselić, nauczyć, uszlachetnić.

Wynalazek sztuki drukarskiej zawdzięczamy Janowi Guttenbergowi, urodzonemu w Moguncyi <sup>1)</sup> r. 1400. Mając lat 20, udał się on do Sztrasburga <sup>2)</sup> jako szlifierz, którego to rzemiosła uczył się za młodu i które miało mu zapewnić utrzymanie. W mieście tem Guttenberg powziął myśl, czyliby nie można wyrazów pisma wyrznąć na drzewie i następnie, potarłszy je czarną masą, w tyśiącach wycisków powtarzać.

Myśl ta nie była nową; u ludów starożytnych znajdujemy ją kielkującą. Chińczycy, Indyanie i Egipcyanie długi czas przed Narodzeniem Chrystusa wyrzynali hieroglify i obrazki na kamieniu i drzewie; u Greków i Rzymian znajdujemy głoski (litery) z drzewa i kości słoniowej, używane do nauki czytania. W czasach Karola IV (na lat 800 po Nar. Chr.) używano stępla drewnianego

<sup>1)</sup> Moguncya, miasto w W. Ks. Hesko-Darmsztadzkiem przy ujściu Menu do Renu — <sup>2)</sup> Strasburg, miasto i twierdza w Alzacyi.

lub metalowego z wyrnięciem nazwiskiem do wyciskania podpisu.

W Niemczech, w początku XIV-go wieku, używano drzeworytnictwa do robienia kart do gry, a następnie wyrzynano na drzewie obrazy Świętych i pod nimi wypisywano krótkie objaśnienie ryciny. Pokup był wielki na te ryciny, gdyż każdy łatwo mógł je pojąć; naród wogóle przejęty był duchem religijnym, a posiadanie biblii nie każdemu było dostępnem, gdyż książka ta, którą przepisywano, bardzo drogo kosztowała.

Z obrazów Świętych powstała w r. 1420 tak zwana «Biblia ubogich» (Biblia pauperum), złożona z 40 rycin, z krótkim opisem rzeczy, wyobrażonych rysunkiem.

Napisy na tych drzeworytach były bardzo niewyraźne i kosztowne; następnie były ulepszone, zawsze jednak trudne do czytania.

Po wielu próbach, po wielu usiłowaniach Guttenberg wpadł na pomysł rżnięcia oddzielnych liter z drzewa, któreby można składać w wyrazy i pomazawszy masą, odciskać na papierze za pomocą prasy.

Temu zastosowaniu należy przypisać wynalezienie druku.

Guttenberg wyjawiał myśl swoją zamożnemu mieszcza ninowi, Andrzejowi Drycen, który chcąc odnieść korzyść z tego pomysłu, dał pieniądze na pierwszą drukarnię 1440 r.

Jednakże litery z drzewa nie odpowiadały swemu przeznaczeniu; poczęto zatem rytować je na ołowiu i cynie.

W tym czasie Andrzej Drycen umarł, i brat jego drogą procesu zabrał na własność całą drukarnię Guttenberga, który przez to zmuszony był powrócić do Moguncyi.

Tu zawiązał spółkę z Janem Fustem i Piotrem Szefferem. Ich usiłowaniom zawdzięczyć należy ulepszenie, zaprowadzone w kształcie głosek, w urządzeniu prasy i w ulepszonej przyprawie masy drukarskiej. Zwłaszcza Szeffer uczynił wielki postęp na tej drodze wynalazkiem głosek lanych, co zrobiło je kształtniejszemi do druku i mniej kosztowało niż wyrzynanie.

Guttenberg nie posiadał własnego majątku, aby mógł swym kosztem odlewać głoski i założyć drukarnię; to też wydrukowawszy już 12 arkuszy biblii odlewanemi głoskami, a nie mogąc w czasie właściwym zapłacić dłu-



gu, musiał całą drukarnię Fustowi oddać na własność.

Tak więc został pozbawiony owocu pracy życia swego w porze, gdy ten dojrzewał.

Jednakże zasługa Guttenberga była ocenioną, bo kurfürst Moguncyi, Adolf II, nadał mu godność szlachecką i znaczną pensję dożywotnią.

Ale niedługo cieszył się uznaniem swej pracy, bo wkrótce potem r. 1468 spoczął snem wiecznym po dokonaniu pracowitego żywota.

W tym czasie Fust zawiązał znów spółkę z Szefferem, i obaj, korzystając z przyrzędów Guttenberga, drukowali psalterz w r. 1457 i biblię łacińską, z której 12 arkuszy było już zaczętych przez samego Guttenberga. Z tą biblią jeździł Fust do Paryża, gdzie wieść o wynalazku wielce wszystkich zajmowała.

Dotąd książki były przepisywane, co kosztowało przepisyującego wiele czasów i trudów. Książki też bardzo były drogie, np. biblia kosztowała około 1,000 talarów — Fust oddawał drukowaną za 60 talarów.

Zakonnicy oraz osoby prywatne, zajmujące się przepisywaniem książek, byli teraz pozbawieni swego zarobkowania; a nie mogąc pojąć sztuki drukarskiej, tak łatwo zastępującej mechaniczne przepisywanie, poczytywali ją za sprawę złego ducha. Wogóle poczęto skarżyć się, że tym sposobem bardzo wielu ludzi, trudniących się przepisywaniem, utraci sposób do życia.

I za dni naszych podobne skargi dają się słyszeć po każdym wynalazku, wprowadzonym w życie; widzimy jednak, jak błogie skutki wydał wynalazek druku i jak wielka liczba ludzi ma przez niego sposób do życia; toż samo daje się powiedzieć i o każdym wynalazku w przejściu pierwszych chwil przesilenia przemysłowego.

Wynalazek druku był w początku tajemnicą, a zajmujący się drukowaniem związani byli przysięgą, aby tej wiedzy nie rozpowszechniać. Tajemnica ta jednak nie długo się utrzymała, gdyż w r. 1463 wskutek zajść politycznych Moguncya zdobytą została przez kurfürsta Adolfa, a współpracownicy drukarscy, rozproszeni po różnych krajach, zakładali drukarnie w miejscach swego nowego pobytu.

W Krakowie pierwszy Ginter Zajner w r. 1465 zaczął

drukować, ale księgarze tamtejsi wiele dzieł drukowali także za granicą. Dzieła te były naprzód łacińskie, a pierwsze księgi słowiańskie drukował Świętopełk Fiol literami cyrylicy w Krakowie r. 1491. Pierwsze pisma, w kraju naszym drukowane, znane są pod nazwiskiem gockich czyli staro-niemieckich. Jednakże niektóre książki polskie były pod ten czas odbijane także literami łacińskimi.

Lecz drukarstwo przedstawiało wiele niedogodności w odciskaniu za pomocą prasy ręcznej. Wiele czasu i zajęcia wymaga takowe odciskanie, gdy przeciwnie, za pomocą maszyny czynność ta nierównie łatwiej i prędzej mogłaby przyjść do skutku. Myśl tę powziął Fryderyk König, wyzwoleniec sztuki drukarskiej w Lipsku; lecz nie posiadając własnego kapitału na wprowadzenie w życie swego pomysłu, zmuszony był szukać wspólnika zdolnego i przedsiębiorczego. Po wielu trudach i niepowodzeniach zdołał nakoniec wprowadzić w ruch tak zwaną prasę pośpieszną.

Prasy te są tak urządzone, że przy obsłudze kilku ludzi do nakładania arkuszy papieru i odbierania ich już odcisniętych, dostarczają dziennie do 10,000 arkuszy, z obu stron wydrukowanych.

W mniejszych drukarniach wystarczyć mogą ręczne prasy lub prasy pośpieszne na mniejszą skalę; jednakże w wydawnictwach gazet pośpieszne parowe prasy są konieczne.

Streszczając wynalazek druku, oznaczyć go możemy jak następuje:

drukowanie deseczkami . . . . .	} Koster w r. 1420.
drukowanie ruchomemi głoskami.	
drukowanie lanemi głoskami . . . . .	

Ale ulepszenia raz poczętych wynalazków nigdy nie mają końca. Odciskanie odbywa się już na prasach pośpiesznych, ale składanie czcionek przez zecerów drukarskich odbywa się ręcznie lub przy pomocy niedawno wynalezionej maszyny, która posiada przyrząd klawiszowy; za naciśnięciem odpowiedniego klawisza, głoski metalowe odlewają się i składają wyrazy, wiersze, kolumny, drukowane następnie przez prasę pośpieszną.

Myśli zatem ludzkie, ułożone w wyrazy, są w tysiącach egzemplarzy powtarzane i do wszystkich zakątków ziemi rozsyłane.

## 94. Machiny parowe.

To, co niegdyś wymagało niezmiernej pracy ludzkiej, dziś z trudnem do uwierzenia jej oszczędzeniem wykonywają maszyny poruszane parą. Siłą pięciuset ludzi kieruje jakby dziecko, a słabe jego ręce trudnią się ważnemi czynnościami.

Najcięższe roboty, jakimi są tarcie drzewa i kamieni, uskuteczniają się tym samym działaczem, który zarazem wyrabia płody najdelikatniejsze, kruszy metale i tworzy cacko, razem kuje kotwice i wybija liezbony.

Jan Watt głęboką swą nauką i znakomitym geniuszem w wynalazkach okazał praktyczną użyteczność umiejętności, podniósł władzę człowieka nad fizycznym światem i rozpowszechnił w społeczeństwie dobrobyt i obfitość.

W niektórych rękodzielniach maszyny parowe zastępują siłę 100,000 koni, stąd wynika oszczędzenie pracy, wyrównyujące na rok 15,000,000 rubli.

Pierwsze doświadczenie z parą w czasach starożytnych, o których wzmiankuje już historia, czynił matematyk Hero z Aleksandryi, żyjący na 217 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Sporządził on kulę, która za pomocą pary, wychodzącej z dwu rur przeciwnych, obracała się około swojej osi.

Przez długi czas nie słyszano o podobnych próbach i postępach w sztuce używania pary. Dopiero Salomon Caus i Jan Branca byli pierwszymi, którzy sporządzili rodzaj koła, obracanego parą zamiast wody.

Za panowania Karola II w Anglii żył margrabia Worcester, który w swoim zbiorze wynalazków, królowi przypisanym, mówi o sposobie podnoszenia wody w górę za pomocą pary, co kapitan Sowersy później do skutku przywiódł.

Lecz stopniowe doskonalenie maszyn parowych należy się kupcowi Newcomes około roku 1705, który łącznie z Cowlejem dodał do nich walec i pompę.

Maszyny parowe zrzuciły niesłychaną zmianę w przemysle w Anglii. Tak dalece pomnożyły one siły robocze, że na ich zastąpienie potrzebaby przeszło 2,000,000 ludzi. Maszyny przedłużyły nawet czas, gdyż nie potrzebują żadnego spoczynku, a oświetlenie gazem lub elektrycz-



nością zastępuje światło dzienne. Tą samą siłą, jaką niegdyś na jednej maszynie jeden człowiek pewną ilość przędzy wyrabiał, dziś dokładniej kierowaną i zręczniejszą użytą, stokroć tyle wydać zdoła. W wielu przędzalniach maszyny parowe tak dzielny ruch nadają, iż przędzą w dniu jednym wyrobioną możnaby przeszło dwa razy całą ziemię otoczyć. W równym stosunku zostało udoskonalone tkactwo. Nowe warsztaty, daleko mniej ludzi potrzebując, wyrabiają w jednej minucie postaw sukna 28 łokci długi i w jednym dniu wykończają 15,000 łokci.

Maszyny pomnażają plody umysłowe. Gdybyśmy znali tylko użycie rydla i motyki, potrzebaby było do uprawy ziemi zebrać całą ludność, której przecież połowa zajmuje się przemysłem, handlem, naukami i sztukami pięknymi.

Anglia szczyści się wynalazkiem maszyn parowych, tem odkryciem, które niezmierny popęd dało przemysłowi i stosunkom handlowym, a którego wszystkich korzyści jeszcze dokładnie obrachować nie można.

Podług dowodów niedawno znalezionych, Francuzi byliby mogli cieszyć się tą chwałą i korzyściami, a pozostał im tylko żal słuszny, że nie umieli ocenić geniuszu wynalazcy. Salemon de Caus z Normandyi, pierwszy w ciekawem dziele swoim «Przyczyny sił, poruszających rozmaite maszyny», wydanem w r. 1616, wykazał, że za pomocą pary wodnej można obracać młyny, poruszać wozy i uskutecznić działanie i ruch wielu maszyn w rzemiosłach.

Wielki ten człowiek, dawszy najpierwszy pomysł maszyn parowych, zamiast nagrody i chwały, w więzieniu życie zakończył.

James Watt w r. 1764 zaprowadził w Anglii ulepszenia w maszynach parowych i otrzymał na nie patent swobody. Oszczędził on dwie trzecie części pracy, której dawniej potrzebowano, uczynił nadto maszyny parowe nierównie prostszymi co do ich składu i silniejszymi co do ruchu. Watt zastosował najpierwej działanie pary wprost do poruszania maszyn, a pomysł ten, rozwinięty i udoskonalony przez niego i późniejszych jego zwolenników, zrzucił tę ważną zmianę, że para zastępuje w samej Anglii 4,000,000 ludności, a nadto uskutecznia prace, któreby żadnym innym sposobem wykonać się nie dały.

Uczony ten teoretyk, biegły inżynier i mechanik, wydoskonalił teorię wiatraków i innych machin z kołami, tudzież kierował pewną liczbą przedsięwzięć publicznych.

Wpśród tych badań naukowych i świetnych wynalazków doznał losu, jaki często spotyka ludzi z geniuszem, stał się bowiem ofiarą i narzędziem intrygi i zazdrości. Po śmierci jego wzniesiono mu pomniki w Birmingham i Handsworth.

Siły machin parowych zaczynają już używać i do mniejszych zatrudnień i robót domowych. Tak np. widzieć można u fabrykantów czekolady piękną mosiężną maszynkę, najwyżej siłę jednego człowieka wyrównywającą, która codzień prawie zajęta jest wałkowaniem masy czekoladowej wałcem żelaznym na płycie porfirowej; i wiele innych podobnych maszynek.

W większych miastach za granicą jest wiele bardzo machin parowych, z siłą 3 do 4 ludzi, których dzienne utrzymanie najwyżej 6 groszy kosztuje. Używają zaś ich albo do poruszania miechów przy piecach, do topienia kruszców, albo w niektórych ogrodach do pomp, urządzonych do skrapiania wielkich ogrodów. Rzeźnicy używają maszynki parowej do siekania mięsa i nadziewania kiełbas; drobnucho posiekane mięso, za pomocą korby i drążka rąbkowanego napycha się kończystą prasą w długie kiszki i tym sposobem przyrządzają się kiełbasy.

Zastosowaniem istniejących już maszyn parowych do rozmaitego użytku zajmowali się szczególnie Anglicy: Hall, Perkins, Albau, Thomson, James, Banks, Cochrane i Galloway. Głównie starano się uczynić maszyny parowe mniej niebezpiecznymi; szczególnie użyto w tym celu dobrych i troskliwie zaprowadzonych wentylów i przyrządów, wykazujących wysokość i siłę ciśnienia. Zrobiono tak ważne odkrycie, że kiedy np. w kotle jest tak mało wody, iż ogień może rozpaść część onegoż, nad powierzchnią wody wystającą, wtenczas metal staje się kruchszym, a kocioł łatwo pęka. Kiedy w kotle wody prawie niema, może on również pęknąć, bo rozpalony metal, rozkładając wodę na właściwe jej pierwiastki, to jest tlen i wodór, rozsadza kocioł. Wodór bowiem w postaci gazu wskutek gorąca nabiera wielkiej siły rozprzestrzeniającej, a kocioł, który zwykle pęka

przez zbytek pary, staje się tu nawet przy mniejszej jej ilości ofiarą tej siły rozpychającej.

## 95. B a l o n.

Jest to mocna tkanina wydęta w kształcie owalnym, którą do znacznej wysokości wznieść można dwojakim sposobem, to jest, albo rozrzedzając ciepłem powietrze, które się w niej znajduje, albo też wypełniając ją gazem, lżejszym jeszcze od powietrza atmosferycznego, to jest gazem wodornym:

Myśl urządzenia maszyny, za pomocą której możnaby się wznieść i żeglować po powietrzu, jest bardzo dawną, chociaż ją dopiero w ostatnich wiekach do skutku doprowadzono. Pierwszy, który powziął ten zamiar, był sławny Bakon <sup>1)</sup>. Radził on zrobić dwie kule miedziane bardzo cienkie, pozbawione wewnątrz powietrza.—Okolo r. 1630 biskup Wilkins opisał wóz, mogący podług niego bujać po powietrzu.

W r. 1809 zakonnik portugalski, Guzman, zrobił maszynę kształtu ptaka, opatrzoną rurkami i mieszkami, które wypędzając powietrze, miały zastąpić uderzenie skrzydeł.

W dwadzieścia lat po nim zaczęto pracować nad tym przedmiotem w sposób bardziej wyrozumowany. W roku 1755 Józef Gallien z Awinionu wydał dzieło, w którym zaleca użycie balonu z sukna lub skóry, wypełnionego powietrzem lżejszem od atmosferycznego.

Odkrycie gazu wodornego przez Cawendisha w roku 1766 mogłoby się było przyłożyć do dopełnienia zamierzonego celu, lecz Montgolfier w r. 1782 powziął myśl rozrzedzenia powietrza za pomocą ciepła. Dnia 5 czerwca 1783 r. puścił on pierwszy balon w Annanay, rodzinnem mieście swoim, w obecności licznie zgromadzonego ludu, podziwiającego tak piękne doświadczenie.

Zachęceni jego powodzeniem, Charles i Robert zrobili balon z kitajki, powleczony warstwami gumy elastycznej, rozpuszczonej w olejku terpentynowym, dla nieprzepuszczenia wilgoci. Balon ten wypełnili gazem wodornym, ważącym trzynaście razy mniej od powietrza atmo-

<sup>1)</sup> Franciszek Bakon Werulamski, jeden z największych myślicieli, urodził się w roku 1561 w Londynie.



sferycznego. Wzniósł on się w powietrze na polu marsowym w Paryżu wśród niezliczonego zebrania ludu.

Wezwany przez królewską akademię umiejętności, Montgolfier przybył do Paryża i zrobił balon z ogromnej wielkości kanwy, podklejonej papierem. Wtenczas to Pilatre de Rosier i Arlandes wsiedli w wiszącą pod nim łódkę i podsycając ogień w obszernej drucianej fajerce, zawieszanej na łańcuszkach, wzniesli się po kilka razy na 200 lub 300 sążni; lecz balon był początkowo przymocowany do ziemi sznurami. Nieustraszeni ci żeglarze powtórzyli to doświadczenie i wzniesli się w lesie bulońskim na 500 sążni, a przebywszy cały Paryż, zdziwiony tak nadzwyczajną podróżą, która nie trwała nad 17 minut, wysiedli przeszło o dwie mile od Paryża.

Powstał spór między stronnikami Montgolfiera a tymi, którzy radzili używać gazu wodorowego. Charles i Robert zrobili balon z kitajki gumowej, mający w części górnej przywiązany sznur, utrzymujący łódkę. Balon, wypełniony wodorem, wzniósł tych śmiałych żeglarzy nad obłoki. Utraciwszy pewną ilość gazu, balon opadł na ziemię, wtedy Robert sam wyszedł, a balon wzbiwszy się na nowo, wzniósł Charla blisko 1524 sążni w górę. Ziemia zniknęła mu z oczu, a słońce, przed kilku chwilami zaszło, ukazało mu się znowu pod widnokrzem. Wyziwy, wznoszące się z ziemi, przybierały postaci najdziwaczniejsze, światło zaś księżyca, który niedawno co wszedł na horyzont, przebijało się w różnych miejscach tego magicznego obrazu. Zbliżenie się nocy zniewoliło Charla do spuszczenia się na ziemię, co też skutecznił, wypuszczając gaz otworem, umyślnie na to zrobionym.

Wielką sławę żeglarza pozyskał Blanchard roku 1784: przebył on kanał La Manche, z miasta Douvre do Calais. W rok później nieszczęśliwy Pilatre de Rosier i towarzyszy jego, Romain, ośmielili się na taką samą podróż, ale spłonęli razem z balonem. Taki sam przypadek trafił się we trzy miesiące później w Anglii Arnoldowi, który spadł na ziemię i zabił się.

Uczeni francuscy długo myśleli nad sposobami wznoszenia się i zstępowania z powietrza bez utraty gazu i bez użycia ciężaru.

Żegluga powietrzna Testiego, odbyta w Paryżu 1786 r., trwała 12 godzin i obejmuje nader zajmujące szczegóły. Dostał się on w warstwy powietrza, w której unosiły się

igielki lodu. Wyrzuciwszy żagle, które mu przeszkadzały w spuszczeniu się na ziemię, uniesiony był w obłok burzliwy, który nim miotał trzy godziny w zupełnej ciemności. Mimo deszczu i śniegu spadającego, na tle błyskawic i huku piorunów, nie stracił odwagi. Połączany pręt, znajdujący się przy sferze jego, sypał gęste iskry, ale został strzaskany wystrzałem elektrycznym. Nakoniec burza ustała i gwiazdy zabłysły na widnokręgu. Ukazały się później pierwsze promienie jutrzeńki, zapowiadając powrót słońca. Wtedy żeglarz, spuściwszy się na ziemię, wysiadł zdrów o dwadzieścia pięć mil od miejsca swego wyjazdu.

W r. 1797 Garnrin w Paryżu próbował spadochronu użytego przez Blancharda. Spadochron jest to aparat, otwierający się w kształcie szerokiego parasola, utrzymujący małą łódkę, w którą wsiada żeglujący; zawieszony u balonu na linach, aby go można według woli odwiązać. Gdy balon wzbija się gwałtownie, natenczas spadochron otwiera się dla oporu powietrza.

Dotychczas wynalazek balonów nie przyniósł tych świetnych korzyści, jakich się w początkach spodziewano. Dopiero w bitwie pod Fleurus wzniosło się kilku inżynierów w celu uważania poruszeń armii nieprzyjacielskiej, o której donosili znakami; przyznano wtenczas w znacznej części wygraną temu nowemu rodzajowi obserwacyi. I w naszych czasach pracują ciągle nad udoskonaleniem żeglugi powietrznej, a w sztuce wojennej balony mają obecnie wielkie zastosowanie.

## 96. Koleje żelazne.

Koleje żelazne, czyli drogi kolejowe, tem się różnią od zwyczajnych gościńców, że mają wzdłuż położone równoległe szyny z żelaza wyrobione, po których toczą się szybko umyślnie do tego przyrządzone wozy na kółkach z lanego żelaza, zwane wagonami. Obwody tych kół opatrzone są albo krawędziami, wystającymi nieco od strony wewnętrznej wozu, albo też rowkami, wyłobionymi na całej ich powierzchni; służą one do ciągłego utrzymywania kół na kolejach płaskich lub wypukłych.

Za pomocą kolei żelaznych obszerne lądy, górzyste krainy, piaszczyste przestrzenie i błotne niziny stają się

wygodnemi drogami, bez względu na wiatry przeciwne i burze. Na tych kolejach materyały i przedmioty, do handlu służące, bez wielkich kosztów mogą być przewożone z najodleglejszych miejsc z nadzwyczajną łatwością. Przy pomocy kolei żelaznych rolnictwo, fabryki i handel czynią nadzwyczajne postępy: słowem, koleje zapewniają niezliczone korzyści narodom, które je u siebie zaprowadziły.

Na czele orszaku wozów posuwa się machina parowa, lokomotywa, za nią postępuje wagon, obładowany węglami, wodą i innymi potrzebnymi materyałami. Później dopiero jedzie za nim tyle pojazdów (wagonów) ile potrzeba do wygodnego pomieszczenia podróżnych wraz z ich rzeczami. Są też wagony do przewożenia zwierząt i towarów, te mają inny kształt.

Drogi z kolejami sztucznymi znane już były oddawna w Anglii i używane tam głównie, gdzie szło o przewiezienie końmi znacznych ciężarów na małą odległość; szyny składały się pierwiastkowo z kolei dębowych lub sosnowych, ułożonych w dwa rzędy równoległe, które, z powodu szybkiego zużywania się ich, zaczęto pokrywać płytami żelaznymi, wreszcie w r. 1738 zastąpiono je przez szyny żelazne lane, z brzegami zagiętymi ku górze, dla zapobieżenia wykolejeniu. Gdy jednak szyny podobnej budowy zanieczyszczały się łatwo przez kurz i piasek, zastąpiono je w r. 1789 szynami zupełnie gładkimi, a natomiast koła opatrzone wrębami od strony wewnętrznej, jak to po dziś dzień ma miejsce; nareszcie, zamiast żelaza lanego, zaczęto używać na szyny żelaza walcowanego.

Tysiączne fabryki poruszane już były siłą pary, statki parowe od lat dwudziestu przerzynały morza obu półkul, nim jazda na kolejach żelaznych przeszła z dziedziny teoryi na drogę praktycznego rozwoju.

Do początku obecnego stulecia jedynie znane i używane były maszyny parowe z kondensacją (zgęszczeniem pary wodnej za pomocą ciśnienia lub przez oziębienie). W tym stanie niepodobna było myśleć o zastosowaniu ich do jazdy, bo ogromna ilość wody, potrzebna do kondensacyi, obciążała je tak, że zaledwie same poruszać się mogły.

Dla rozwiązania tego zadania należało wynaleźć dźwignię, któraby przy niewielkiej objętości i ciężarze posia-



dała znaczną stosunkowo siłę. Te przymioty posiada machina o wysokiem ciśnieniu, lecz, że wynalazek jej datuje się dopiero od r. 1801, przeto i zastosowanie pary do przewożenia ciężarów od tej dopiero epoki zaczęło się rozwijać.

Po wynalezieniu machin o wysokiem ciśnieniu przez Amerykanina Ewans'a angielscy mechanicy, Trevithick i Vivian, spostrzegli, z jaką łatwością maszyny te użyte być mogą do przewożenia ciężarów; po kilku próbach wybudowali lokomotywę, przeznaczoną do ruchu na drogach zwyczajnych i otrzymali na nią patent wynalazku. Przyrząd ten przedstawiał wiele dowcipnych kombinacji przyrządów ruchu, lecz nie pokonywał trudności, nieodłącznych od jazdy siłą pary po drogach zwyczajnych: ogromne tarcie, zachodzące na powierzchni kół, stanowiło główną jego wadę.

Po długich próbach wynalazcy, straciwszy nadzieję przezwyciężenia wspomnianych przeszkód, porzucili projekt jazdy parowej; lecz pragnąc skorzystać w jakikolwiek sposób ze swego wynalazku, wystarali się o przywilej budowy lokomotyw, mających się poruszać po szynach żelaznych, a przeznaczonych do obsługi kopalń węgla, i w tym celu dodali niektóre przyrządy, mające zapobiedz mniemanemu ślizganiu się kół po szynach. Uprzedzenie to ówczesnych inżynierów opóźniło rozwój kolei żelaznych o lat dziesięć.

W roku 1813 inżynier Blackett przedsięwziął doświadczenia, w celu przekonania się, jak wielką ilość pary traci się przez ślizganie kół po szynach. Cały szereg tych doświadczeń okazał, że przy dostatecznym ciężarze lokomotywy, tarcie na najgładszych nawet szynach jest zupełnie wystarczające do wprawienia w ruch nie tylko samej maszyny, lecz najcięższych nawet pociągów.

Tak niespodziany rezultat uprościł znakomicie zadanie jazdy parowej i otworzył nową erę dla kolei żelaznych. Po roku od ogłoszenia wypadków z doświadczeń Blackett'a pierwsza lokomotywa «Rakieta», zbudowana w warsztatach Stephenson'a, rozpoczęła bieg po gładkich szynach w kopalniach węgla w Killingworth; nieco później Stephenson i Dodd ulepszyli pierwotny model, czyniąc go praktyczniejszym w użyciu.

Tu wspomnieć wypada, że jakkolwiek w Liverpoolsie wzniesiono wspaniałą posąg Stephensonowi, jako głów-

nemu wynalazcy lokomotyw, jednakże, nie odmawiając wielkich zasług człowiekowi, który pracą i geniuszem stanął w rzędzie najpierwszych inżynierów Anglii, przyznać należy, że w głównych częściach lokomotywy Stephenson'a nie różniły się od tych, jakie przed dziesięciu laty budowali.

Lokomotywy ówczesne nie robiły więcej niż sześć wiorst na godzinę. Francuz Séguin odkrył z łatwością, że główną przyczyną tego był kształt kotła. Siła maszyny parowej zależy od ilości pary, utworzonej w danym czasie, ta zaś ilość jest proporcjonalną do powierzchni ogrzewanej kotła; że zaś powierzchnia ta w kotłach Stephenson'a była niedostateczna, przeto zadanie powiększenia siły, a tem samem prędkości lokomotywy, sprowadzało się do tego, żeby wynaleźć środek na powiększenie powierzchni ogrzewalnej kotła, tak jednak, aby wymiary jego nie przechodziły pewnych granic.

Zadanie to najzupełniej rozwiązał Séguin przez wynalazek kotłów rurowych. W kotłach tych wpośród masy wody przechodzi wielka ilość rur (dziś 125) małej średnicy, któremi płomień i dym dostają się z ogniska do komina, tym sposobem cała powierzchnia tych rur i część powierzchni kotła stanowią powierzchnię ogrzewalną, która w lokomotywach zwykłych rozmiarów dochodzić może do 1000 lub więcej stóp kwadratowych.

Kotły rurowe, wprowadzone w Anglii w roku 1830, w połączeniu ze sztucznym ciągiem, stanowią główne ulepszenia lokomotyw, bez których niepodobna byłoby osiągnąć prędkości, jaką obecnie na kolejach żelaznych podziwiamy (do 15 mil na godzinę).

Jedną z najgłówniejszych epok w historii jazdy parowej jest budowa kolei żelaznej z Liverpoolu do Manchesteru. Była ona bowiem przekonującym dowodem, że po wymienionych ulepszeniach drogi żelazne przedstawiają najkorzystniejszy środek przewozu lądowego, tak pod względem kosztów, jak i oszczędności czasu. Aby pojąć stan środków przewozu przed kilkudziesięciu laty, wspomnijmy, że pominąwszy nawet transporty towarowe, odbywające po najlepszych drogach nie więcej nad 30 wiorst dziennie, podróźni, udający się z Londynu do Paryża, potrzebowali na to tygodnia czasu; z Londynu do Edynburga dwu tygodni, z Petersburga do Paryża 16—20 dni, przy największym pośpiechu.

Obecnie dwie pierwsze podróże skutecznie można wygodnie w kilkunastu godzinach, ostatnią zaś w dwa dni.

Liwerpul i Menezester, te dwa główne ogniska handlu angielskiego, nie miały przed stu laty innej komunikacji nad drogę tak przykrą, że przy wysokiej cenie transportów można było przewozić nią tylko takie towary, które przy małej objętości i wadze przedstawiały stosunkowo znaczną wartość. O przewozie ciężkich i tanich produktów, jak żelazo, węgiel kamienny, ani myśleć można było; pomimo ogromnych ilości węgla, jakie zużywały fabryki menezesterskie, obfite jego pokłady, położone o 15 wiorst od miasta, nie były eksploatowane dla braku środków przewozu.

Ale kompania liwepulska urządziła nietylko pociągi towarowe, lecz i osobowe, a ogromny ruch i świetne powodzenie tej drogi nadały popęd budowie innych linii, nietylko w Anglii, która w kilka lat pokrytą została siecią kolei żelaznych, lecz i na stałym lądzie Europy; najpierwej w Belgii. Ameryka poszła wkrótce za przykładem Europy; w ubiegłych 50 kilku latach koleje żelazne zrobiły tak wielkie postępy, jakie tylko wynalazek prawdziwie ważny i użyteczny dla ludzkości uczynić może.

We Francyi, Niemczech i w innych krajach Europy koleje żelazne nie dosięgły jeszcze tego rozwoju, jak w Anglii, Belgii i Stanach Zjednoczonych. Już i w innych częściach świata budują się koleje żelazne, nie mówiąc o koloniach angielskich i holenderskich w Australii, w Indyach Wschodnich i o Egipcie. Zbudowane są już koleje żelazne w Japonii i w Chinach, Afryka jest też już w wielu miejscach przerznęta kolejami żelaznymi.

Często wykonanie kolei żelaznej z korzystnymi spadkami jest możliwe tylko przy pomocy tunelów, a mianowicie, gdy kolej natrafia na góry, które łatwiej jest przebić, niż przekopać. Budowa tunelów jest bardzo kosztowna i dlatego dawniej unikano jej przez zbieżnia drogi; obecnie zaś, przekonawszy się, że kapitał nakładowy nie jest stracony, jeżeli linia ma najwłaściwszy kierunek, budują znacznie więcej tuneli. Niektóre z budowanych w ostatnich czasach, są bardzo długie; tak np. kolej żelazna z Sheffield do Menezesteru ma tunel długi blisko na 5 wiorst; kolej z Paryża do Lugdunu ma tunel Blaisy długi na 4 wiorsty, z Awinionu do



Marsylii  $4\frac{1}{2}$  wiorsty. Największym ze znanych tunelów jest przechodzący przez górę Cenis, na drodze żelaznej z Chambery <sup>1)</sup> do Turynu; ma on przeszło 12 wiorst długości. Ale jeszcze większym jest tunel przez górę św. Gotarda. Zaslugują też na uwagę tunele w Londynie pod rzeką Tamizą i w innych większych miastach.

Przez rzeki, strumienie lub wąwozy, kolej żelazna przeprowadza się za pomocą mostów; materiałem na nie używanym bywa drzewo, cegła, kamień, żelazo kute, wreszcie liny drutowe. Mosty z cegły i kamieni były dawniej powszechnie używane; w ostatnich zaś czasach zaczęto dawać pierwszeństwo mostom, w których żelazo lub blacha żelazna wchodzi jako główna część składowa.

Jednym z najpiękniejszych mostów żelaznych, budowanych pod kolej, jest most na Wiśle w Tczewie (Dirschau); ma on 2262 stopy długości i składa się z 6 przęseł po 377 stóp otworu. Tym także systemem zbudowane są mosty na Renie w Kolonii i pomiędzy Kelem <sup>2)</sup> (Kehl) a Strasburgiem. Największy z mostów żelaznych, zwany *Wiktorya Brydż* (most), znajduje się w Kanadzie; ma on blisko 1400 sążni długości i składa się z 74 przęseł.

Mosty wiszące, z powodu swej ruchomości, zdają się być najmniej właściwe pod kolej żelazną, pomimo to budują je w Anglii i Ameryce; a jako przykład można przytoczyć most wzniesiony o 242 stopy ponad Niagarą <sup>3)</sup>, długi na 800 przeszło stóp i zawieszony na linach z drutu żelaznego; tudzież inny, zbudowany w Kentucky <sup>4)</sup>, długi na 1200 stóp.

W Ameryce pod kolej żelazną budują często mosty z drzewa; jako przykład można przytoczyć most na drodze z Nowego Jorku do Buffalo, zbudowany r. 1850; ma on 787 stóp długości i oparty jest na 16 wiązaniach głównie z drzewa, wysokich na 187 stóp; zbudowany był w przeciągu niespełna 14 miesięcy.

W Europie mało budują mostów z drzewa, wyjąwszy

<sup>1)</sup> Chambery, miasto główne Sabaudyi, po przyłączeniu tego księstwa w r. 1860 do Francyi jest stolicą departamentu Alp. — <sup>2)</sup> Kehl, miasto w W. Ks. Badeńskiem. — <sup>3)</sup> Niagara, największy w świecie wodospad. — <sup>4)</sup> Kentucky; jeden ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północ., na wschód od rzeki Missisipi.

pod koleje żelazne tymczasowe, jakkolwiek w okolicach Newcastle <sup>1)</sup> i w Cornwallis <sup>2)</sup> w Anglii spotykamy bardzo piękne mosty i wiadukty w części z drzewa, w części z kamienia.

Jeżeli kolej przechodzi przez doliny, parowy lub ponad domami, zdarzają się częste przypadki, że usypianie grobli jest niemożliwe lub połączone z nadzwyczajnymi kosztami; w tych razach korzystniejsze są wiadukty, które tem się różnią od mostów zwyczajnych, że nie przechodzą przez wodę, lecz ponad stałym gruntem. Wiadukty są częste w Anglii, gdzie wolą omijać przeszkody, jak np. drogi komunikacyjne, doliny lub domy, przechodząc ponad nimi. Największy z wiaduktów znajduje się na kolei Sasko-Bawarskiej do przebycia doliny Hoeltsch; ma on 2,230 stóp długości, a w punkcie najbardziej wzniesionym ponad doliną 260 stóp wysokości. W Londynie i w Berlinie są wiadukty między domami i ponad nimi. Po tych wiaduktach biegną niezliczone pociągi kolejowe, przewożące ludzi i towary, nie przeszkadzając ruchowi ulicznemu. W ostatnich czasach zbudowano wiele kolei żelaznych, po których kursują pociągi, poruszane siłą elektryczną.

## 97. Zmysły.

Ciało jest narzędziem duszy, za pomocą którego ona nie tylko świat zewnętrzny poznaje, lecz także objawia działanie swoje. Do tego celu ciało jest opatrzone różnymi przyrządami, zastosowanymi do odpowiednich czynności: inny mamy przyrząd do widzenia, inny do słuchu, inny do mówienia i t. d.

Do poznania świata zewnętrznego służą *zmysły*. Zwykle rozróżniamy pięć zmysłów: 1) zmysł dotyku, 2) smaku, 3) powonienia, 4) słuchu i 5) wzroku. Każdy z tych pięciu zmysłów otwiera nam świat inny czyli znajomi nas z innymi własnościami rzeczy. Przez dotykamy przekonujemy się o istnieniu ciał rozmaitych, o ich formie, powierzchni i t. d. Przez smakowanie podajemy, które rzeczy są słodkie, kwaśne, przydatne do pożywie-

<sup>1)</sup> Newcastle (Niukesl), miasto portowe w Anglii. — <sup>2)</sup> Cornwallis, półwysep w południowo-zachodniej stronie Anglii.

nia i t. d. Przez powonienie czujemy ich własności chemiczne, t. j. ich cząstki składowe, już w niejakej odległości; słuch daje nam możność dowiadywania się o ciałach, wydających brzmienie i głos, wzrokiem nareszcie dostrzegamy tak blizkie jak i najodleglejsze przedmioty, jeżeli są dostatecznie oświetlone.

## 1. Zmysł dotykania.

Zmysł dotykania stanowią kończyny nerwów, znajdujące się na całym ciele, nagromadzone jednak najbardziej kupkami lub brodaweczkami na dłoni, na końcach palców i na końcu języka. Przy dotykaniu przenosi się świadomość o istnieniu rzeczy, o jej powierzchni, za pomocą nerwów do mózgu, który jest organem czyli narzędziem duszy. Głowa przeto, w której znajduje się mózg, nie bez przyczyny uważaną bywa za najprzedniejszą część ciała; jest ona zbiorowiskiem naszej wiedzy, lubo znowu sam mózg tylko jako narzędzie lub zmysł duszy uważany bywa.

Przez zmysł dotykania nabywamy doświadczenia o istnieniu każdej rzeczy, i dlatego, powątpiewając o tem istnieniu, dotykamy się palcami. Zwłaszcza w ciemności, dotykaniem jedynie rozeznajemy przedmioty, a dla pozabawionych wzroku zmysł ten jest jedynym przewodnikiem.

Zmysł dotykania może się doskonalić przez ćwiczenie, tak, iż zdolen jest rozpoznawać bardzo delikatne i drobne przedmioty. Ociemniali przez dotykanie poznają napisane głoski, kraje na mapie, barwy; lekarze poznają stan choroby i t. d.

## 2. Zmysł smaku.

Zmysł smaku znajduje się w jamie ustnej na końcu języka i na podniebieniu, a powstaje podobnie, jak dotykanie, z kończyn nerwów, które są widzialne w kształcie grzybków na języku. Zmysł ten podobny jest do poprzedniego, bo przy smakowaniu, jak przy dotykaniu, zbliżamy rzecz do samego zmysłu; różni się jednak tem, że dla smakowania przedmiot musi być w ślinie rozpuszczalny. Wrażenie przeto smaku otrzymujemy tym sposobem, iż w ślinie rozpuszczone cząstki przedmiotu, znaj-



dującego się na języku, sprawiają wrażenie na kończy-ny nerwu, które wrażenie to do mózgu przenoszą. Przedmioty nierozpuszczalne w ślinie, jak np. szkło, złoto, krzemień i t. d., nie mają żadnego smaku. Zmysł ten jest bardzo szacownym przewodnikiem przy poznawaniu tego, co zdrowiu służy lub co jest szkodliwym; osobliwie w czasach choroby niebezpiecznej sam bywa najpewniejszą wskazówką do poznania leków i pokarmów uzdrawiających.

### 3. Zmysł powonienia.

Zmysł powonienia, umieszczony w jamach nosowych, różni się od zmysłu smaku tem, że przedmiot woniejący nie potrzebuje być tak do niego zbliżany, jak przy smakowaniu lub dotykaniu, lecz znajdując się w znacznej odległości, bywa dostępny powonieniu, jeżeli cząstki lotne są rozpuszczalne w wilgoci nosowej i sprawiają wrażenie na nerw, rozpostarty w jamach nosowych.

Bezwonne są przeto wszystkie przedmioty, których cząstki nie ulatniają się lub ulotnione, nie są rozpuszczalne. Czyste powietrze, para wodna, chociaż lotne, są bez woni; inne wszakże wyziewy z ciał zwierzęcych lub roślinnych sprawiają wrażenie na zmysł powonienia i ostrzegają nas, czy miejsce pobytu naszego nie zawiera w powietrzu cząstek, szkodliwych dla oddechu.

Psy gończe miewają zmysł powonienia tak wielki, że wietrzą w znacznej odległości dzikie zwierzę, są nawet w możności rozróżnić, jakie to zwierzę—do tego stosują szczerkanie i idą śladem, którądy zwierzę się przemknęło. Węchem poznają też ludzi znajomych i odzież do nich należąca, węchem trafiają do domu.

Dzicy ludzie, przebywający zwykle na wolnem powietrzu, także mają węch niepospolity; ludzie ucywilizowani, spędzający większą część dnia w izbach zamkniętych, a zwłaszcza zażywający tabakę lub palący cygara, jako też używający różnych pachnidła, niebacznie przytępiają zmysł powonienia.

### 4. Zmysł słuchu.

Zmysł słuchu ma osobny przyrząd, składający się z ucha zewnętrznego i wewnętrznego; zewnętrznej części ucha

łatwo przypatrzeć się można; oddzielona jest od wewnętrznej błoną, zwaną bębenkiem.

Nerwy słuchu, podobnie, jak nerwy innych zmysłów, wychodzą z mózgu, po parze do każdego ucha, i przenoszą do mózgu wrażenia, odebrane w uchu.

Za pośrednictwem słuchu odbieramy wrażenia głosu, szelestu, huku i wogóle brzmień i dźwięków wszelkich. Każde brzmienie powstaje tym sposobem, że ciało, wydające je, wprawione zostało w ruch drgający. Drganie to wprawia w podobne drganie otaczające powietrze i tym sposobem powstaje brzmienie, udzielające się coraz dalszym warstwom powietrza i dochodzące do naszego ucha.

Ważność tego zmysłu pokazuje się najdobitniej w tem, że na słuchu polega mowa ustna, za pomocą której odbieramy sami i udzielamy innym wiadomości. Głusi są zwykle niemymi, nie dlatego, żeby nie mieli narzędzi mownych, lecz dlatego, że nie słyszą głosu. Od wydoskonalenia słuchu zależą wreszcie śpiew i muzyka, które tak wiele się przyczyniają do złagodzenia obyczajów i do uprzyjemnienia życia.

Zmysł ten, raz obudzony przy urodzeniu, nie opuszcza człowieka nawet wówczas, kiedy inne zmysły są w uśpieniu: w śnie, w omdleniu i letargu słyszymy i niekiedy przychodzimy do przytomności, usłyszawszy nazwisko swoje.

Mamy także władzę naprężenia słuchu, i dlatego zmysł ten, przy odpowiedniej wprawie, może być bardzo wydoskonalony.

## 5. Zmysł wzroku.

Zmysł widzenia, czyli wzrok, ma także osobny przyrząd, który zowiemy okiem. Oczy znajdują się w kościanych jamach ocznych i mogą być za pomocą mięśni w różne strony zwracane. Brwi, powieki i rzęsy chronią oczy od zbytniego światła, potu i kurzu.

W skład oka wchodzi kilka błon, soczewka, tak zwany płyn szklisty i siatka nerwowa. Między błonami zasługuje na uwagę tak zwana tęczówka, podług której nazywamy oko czarnem, piwnem, niebieskiem i t. p. W błonie tej znajduje się otwór, nazwany źrenicą, przez który promienie światła dostają się do oka; otwór ten przy

rażącym światło zmniejsza się, a rozszerza przy zmierzchu lub ciemności. Przez zmniejszenie otworu w tęczęwce nie może zbyt wiele promieni światła wchodzić do oka, a tem samem mu szkodzić; kiedy zaś promienie światła są słabe, źrenica rozszerza się, aby większa liczba promieni wejść mogła. Soczewka służy do utworzenia obrazu na siatce nerwowej z tych przedmiotów, które mamy przed oczyma.

Oko jest narzędziem widzenia, a światło jest środkiem; ażeby przedmiot jaki był widziany, musi albo sam świecić, albo być oświetlonym. Promienie ciała świecącego lub oświetlonego wchodzą przez źrenice i soczewkę oczną i tworzą na siatce nerwowej maleńki obrazek przedmiotu. Postrzeżenie tego obrazka dzieje się w mózgu za pośrednictwem nerwów ocznych. Jeżeli nie tworzy się na siatce obraz wyraźny, lub kiedy obrazek niedokładnie na samą siatkę pada (co ma miejsce, kiedy przedmiot jest zbyt oddalony lub zbliżony do oka), wtedy dostrzeganie przedmiotu jest niedokładne.

Wzrok osłabia się przez zbytne natężanie, czytanie lub pisanie nieustanne, osobliwie pism nieczytelnych, drobnych, przy robotach nad drobnymi przedmiotami, lub przy niedostatecznym oświetleniu, jako też przy zbytciemnym oświetleniu, przy jaskrawem świetle. Przejścia także szybkie od światła do ciemności natężają i osłabiają wzrok; przeciwnie, przez stopniowe ćwiczenie wzroku można go wydoskonalic, a nawet słaby naprawić.

*Antoni Łuczkiwicz.*

## 98. D u s z a.

Bóg, stworzywszy człowieka, tchnął weń ducha nieśmiertelnego: poczem powstał człowiek żywy i widzi piękny świat, słyszy śpiew ptactwa, szum lasów, mruczenie strumyków. Człowiek umarły ma ręce, a nie porusza niemi, ma oczy, a nie widzi niemi, ma uszy a nie słyszy przez nie. Albowiem uleciał duch z ciała, który patrzył przez oczy, słuchał przez uszy. Ciało bez ducha jest nieczułym trupem, który gnije i w ziemię się obraca. Dusza w złączeniu z ciałem nadaje życie człowiekowi. Jak Bóg duchem swoim cały świat napęlnia i porusza, tak dusza napęlnia i porusza całe ciało.



Duch od Boga stworzony, rozumny i nieśmiertelny, w żaden sposób widzianym być nie może. Jak Bóg jest niewidzialny, tak i dusza ludzka jest niewidzialną.

Ciało ma zmysły, dusza ma wyobraźnię, pamięć i rozum. Oko widzi różę, gdy na nią patrzy; dusza zaś widzi tę różę przy zamkniętych oczach czyli umie sobie jej obraz utworzyć, to jest umie sobie różę wyobrazić. Dusza wyobraża sobie złego psa, niewinne jagnię, wyobraża sobie ptaka, rybę, owada, gada, zwierzę, roślinę, człowieka.

Pamięcią przypomina sobie dusza rzeczy, które widziała wczoraj czy przed rokiem, przypomina sobie wiosnę przyjemną, łoskot, grzmot, wczorajsze zabawy, rozmowy i nauki. Pamięć zachowuje wszystkie rzeczy w duszy i wydobywa je napowrót, kiedy chce.

Rozumem rozróżnia dusza kamień od chleba, kwiatek od pokrzywy, gruszę od jabłoni, wróbla od szczygła; rozumem rozróżnia ptaka od owadu, zwierzę od rośliny, roślinę od kruszczu.

Rozumem rozpoznaje dusza prawdę i kłamstwo. Rozumem pojmuje nauki; rozumem pojmujemy nawet, że świat się sam nie stał, ale był Bóg, który go stworzył. Wyobraźnia, pamięć i rozum są władzami duszy.

Dusza ma wolną wolę. Gdy mam wolę, czyli gdy chcę, mogę śpiewać lub milczeć, patrzeć w niebo lub na ziemię, wyciągnąć rękę lub schować ją.

Nikt mi nie zabroni myśleć o ojcu albo matce, o bracie albo o siostrze. Gdy mam taką wolę, mogę skaleczyć się nożem, ale ponieważ wiem, że to boli, przeto nie używam tej mojej wolności. Wolno mi grzeszyć lub dobrze czynić, ale nie grzeszę, bo obraziłbym Boga. Wolno mi mówić prawdę, lub kłamać, ale nie kłamię, bo wiem, że kłamstwo jest grzechem. Wolno mi nieusłuchać, lub rozgniewać rodziców, lecz nie obrażam ich, bo wiem, że Bóg w czwartem przykazaniu powiedział: «Czeij ojca twego i matkę swoją». Wolę swoją stosuję więc do przykazań boskich, do woli rodziców, nauczycieli i wszystkich dobrych ludzi. Grzeszy, kto nadużywa swej wolności.

Prócz woli, ma dusza jeszcze miłość i żal, wesołość i smutek. Miłością kochamy rodziców, braci, siostry i Boga. Ku złym ludziom mamy żal. Miłość sprawia wesołość, żal sprawia smutek. Wesoły człowiek jest szczęśliwym, smutny nieszczęśliwym. Jest jeszcze w duszy bo-

jaźń, strach i sumienie, które nas przestrzega, gdy co złego uczynić chcemy. Człowiek cnotliwy, stosujący wolę swoją do woli Boga, ma czyste i spokojne sumienie; człowiek występny, czyli nie stosujący woli swej do woli Boga, ma sumienie nieczyste, skalane i wciąż się lękające.

Jak ciało pracą siły nabiera, tak dusza nauką dzielności nabiera; jak ciało czystością i starunkiem pięknego kształtu czyli urodziwości dostaje, tak dusza miłością i cnotami piękności i zacności nabywa. Ciało rośnie pokarmem, dusza naukami; ciało okrywa się pięknymi szatami, dusza zdobi się pięknymi uczynkami; w ciele jest moc, w duszy jest mądrość.

*E. Estkowski.*

## 99. I n s t y n k t.

Instynkt jest to zdolność, która cechuje charakter, obyczaje i zwyczaje zwierząt. Czysty instynkt, to jest nie połączony z żadną prawie umysłową rozważą, najwięcej daje się widzieć w owadach: istnienie ich tak jest krótkie, że natura nie mogła czasowi powierzyć wyuczenia ich, zjawiają się więc na ziemię już wyuczone, już, że tak powiem, świadome swej roli, nie potrzebując ani nauki, ani przykładu dla dopełnienia swego przeznaczenia.

Patrząc na zabiegi, pracę, wzajemne walki i obronę tych licznych gromad, dziwić się należy, że ten obraz nie uległ żadnej zmianie od początku świata. Wszystkie rodzaje zwierząt prowadzą walkę o byt, a jednak żaden nie zginął, żaden nie stał się mniejszym od drugiego. W tym chaosie zniszczenia i odrodzenia, w tej rozmaitości sił i instynktów daje się spostrzegać panująca harmonia i czuwająca inteligencja.

Przezorność instynktu jest niekiedy w jednym owadzie dwoista: i tak, gąsienica niszczy ulubione sobie drzewo, snuje dla siebie całun, w którym przeobraża się w poczwarkę, zmienia kształt, ukazuje się z błyszczącymi skrzydłami motyla. W czasie tego długiego snu, zmyślność jej przeobrażała się wraz z ciałem, rzekłbyś, że jakiś mistrz nauczał zamkniętą w skorupie, jak ma postępować. Nie potrzebuje żadnej ostrożności, żadnego doświadczenia, żadnego przyzwyczajenia do tego nowego dla siebie życia; owad, wprawdzie pełzający i gryzący, od-

razu rozwija skrzydła, rzuca liście, dawniejszy swój pokarm, przelatuje z kwiatka na kwiatek, a z ich soków wysysa dla siebie nektar, którego dawniej nie znał. Jego charakter, smak, zwyczaje zmieniły się zupełnie, żyje teraz jak pszczoła, jak ptaszek, kiedy dawniej posiadał instynkt gąsienicy.

Czy są dwa instynkty w jednym stworzeniu?...

Co się działo z drugim, kiedy pierwsze było czynnem, czy nowa organizacya nadała mu nowe wykonanie? Co nam do tego! Wszystkie przypuszczalne tłumaczenia tego zjawiska, czy będą moralne, czy fizyczne, dowiodą tylko jednego faktu, to jest «przezorności».

Instynkt zatem jest przezornością — i to odwieczną. Oczy naszych dzieci będą widziały ten sam proces przeobrażenia się motyla, jak go niegdyś widziały oczy Platona, gdy się nazwał godłem nieśmiertelności.

Ale instynkt coś więcej tworzy niż zabiegi, walki i charakter zwierząt; zawiera on ogólne prawa, które działają na całą materję organiczną; takim jest macierzyńska miłość — energiczne uczucie, gotowa siła, która otacza wszystkie słabe stworzenia przy urodzeniu.

Wprawdzie prawo to postępuje stopniowo od owadu do człowieka, dozwala pewnych wyjątków, ale są to wyjątki, a nie zboczenia natury. Jeśli braknie gdzie starań matki, zastępuje je przyroda. Spójrzmy tylko na ryby: wyrzucają one ikrę tysiącami ziarenek, rozsiewają swoje nasiona jak rośliny, i ta mnogość ocala ich rodzaj, jakby troskliwość macierzyńska. Tam znowu widzimy ptaka (kukulkę), którego ilość Opatrzność chciała ograniczyć; znoszenie jaj co jakieś dziesięć dni nie pozwala mu wysiadywać swoich piskląt, stąd sztuka robienia gniazda nie potrzebna mu; ale nie rzuca na trawę jedynego jajka, które zawiera jego potomka, szuka cudzego gniazda, jakby znał jego użytek, — daje matkę swemu pisklęciu, jakby przeczuwał macierzyńskie uczucie. Kombinacye te nie pochodzą od niego, ale są w nim; odznaczają się one w każdym ptaku tego samego gatunku, dowodzą nie jego inteligencyi, ale żądania natury, co chciała swój utwór zachować. Tymto sposobem wyjątek potwierdza ogólne prawa, poznajemy w nim też samą myśl.

Z równą przyjemnością zwracamy uwagę na cuda instynktu, jak na ową przezorność, która się z nim łączy.



Sam instynkt zostaje dla nas nigdy nie wytlómaczony; lot komara, zmyślność pająka, praca osy dla osłony kulebki potomstwa, którego nigdy nie ujrzy, zdumiewają umysł ludzki. Wszakże zbiór tych faktów, udział ich w harmonii świata, instynkt, prawo powszechne natury, wprowadzając równowagę i ustalając trwałość, dowodzą pewnej duchowej przyczyny; tę gdy odkryjemy, wszystko się łatwo da wytłómaczyć.

*Z Aimé-Martin'a.*

## 100. S u m i e n i e.

Z wiadomością dobrego i złego, sprawiedliwego i niesprawiedliwego, budzi się sumienie. Jest to pierwsza odzywająca się w nas energiczna władza duszy.

Nie zawsze człowiek jest niewinnym, choć go sumienie usprawiedliwia, nie zawsze jest występny, choć go sumienie obwinia. Bądź baczna, młoda matko, na tę chwilę, w której powinnaś wyzwolić rozum swój z pomroki, podnieść duszę swoją, ażebyś ją całą mogła przelać w duszę twojego dziecka.

Nie dopuszczaj, aby obca, a nie twoja myśl weszła do tego przybytku. Idzie tu o występki lub cnotę, o spokój lub zgryzotę całego życia; cokolwiek w tym przybytku wyryjesz, pozostanie niezatartem, jak na twardej stali. Pierwotne wychowanie działa na sumienie, sumienie zaś może być dobrem wówczas tylko, gdy jest oświecone przez rozum.

Sumienie — to zabójca wszystkich złych skłonności naszych, sprawia ono bądź niebiańskie uniesienia, bądź piekielne męki; nieugięte przed fortuną, władzą i rozkoszą, korzy się tylko przed skrucą i cnotą.

Wiara od niego zależy. Sumienie i wiara są jak dwaj ślepi, stąpający omackiem po drodze fanatyzmu, przesądów, bałwochwalstwa, póki na koniec nie dojdą do Boga. W Nim jednoczy się rodzaj ludzki, bo potrzeba wiary, bo uczucie piękna, bo rozmyślanie nad nieskończonością wznoszą nas wiecznie do Niego.

Zaiste, jasno widzimy z każdego objawu wewnętrznego, że dusza przeziiera przez zmysły, błyska w materii cielesnej, jak iskra w ciemnościach.

Pragnie ona być widzianą, poznaną, objawiając swą

istność przez uczucie cnoty, wielkość przez myśl o Bogu, roztacza na to ziemskie życie cudowną światłość, której ognisko jest w niebie.

Sumienie — to władza duszy.

Sumienie, to światło, co swe promienie zwraca do Boga.

*Tegoż.*

## 101. T a n i e c.

U wszystkich najdzikszych nawet ludów, taniec jest sztuką, która przed wszelkimi innymi nasamprzód się ukazuje.

W Grecyi taniec poprzedził przedstawienia sceniczne. Rzeczywiście, człowiek posiada dwa tylko sposoby wyrażania swoich uczuć: mowę i ruchy. Jak w głosie człowieka są brzmienia, malujące radość lub boleść, tak samo w jego ruchach rozpoznać możemy wyraz uczucia. Z różnorodnego brzmienia powstała muzyka, z ruchów wynika taniec. Te zatem dwie sztuki musiały koniecznie poprzedzić inne, a ponieważ pierwszym uczuciem człowieka musiała być wdzięczność dla Stwórcy, pierwsza więc muzyka, jako też pierwszy taniec, były religijnymi.

Hebrajczycy, którzy mniemali, że sam Bóg nadał im prawa i obrzędy religijne, jakie pełnili, wprowadzili taniec do obchodów świątecznych: Mojżesz i Marya, jego siostra, po przejściu morza Czerwonego i po klęsce, jakiej uległo wojsko egipskie, tańcząc, przewodniczyli chórom mężczyzn i kobiet; słowa ich śpiewów podaje nam druga księga Mojżeszowa.

Dziewice w Silo tańczyły podczas święta Tabernakłów (kuczek), gdy zostały porwane przez młodzież z pokolenia Benjamina. Dawid tańczył przed Arką Przymierza, gdy ją Lewici prowadzili z domu Obedeona do Betelem; a w kilku psalmach wzywa on lud, aby tworzył chóry tańczące na cześć Najwyższego.

Można przypuścić, że nazwa chóru, którą zatrzymała ta część kościołów, gdzie duchowieństwo śpiewa, pochodzi od owych dawnych tańców religijnych. Jeżeli mamy wierzyć Scaligerowi, to pierwsi biskupi tylko dlatego nazywali się proesules, że przewodniczyli tańcom na uroczystościach świątecznych. Zwyczaj takowy zach-

wywał się aż do XII wieku. W tym czasie, niektórzy biskupi zalecają księżom zaniechać tańców w kościołach, na cmentarzach i procesjach.

Jednakże w połowie zeszłego wieku, starcy przypominali sobie, że jeszcze widzieli w niektórych kościołach w dzień Wielkiejnocy, jak kanonicy, wzięwszy za ręce dzieci z chóru, śpiewali kantyczki i tańczyli.

Wiemy, że tańce, obchodzone przez Egipcyan podczas tajemnic, wyobrażały obroty ciał niebieskich i harmonię świata; że tańczyli dokoła ołtarzy, naśladując bieg planet około słońca.

U dawnych Greków żadna uroczystość religijna nie obeszła się bez tańców. Platon w swojej Rzeczypospolitej chce, aby pracodawca ustanowił tańce, uważając je nie za prostą rozrywkę, ale jako środek do nabrania zręczności ruchów i powabu ciała, o czym wypada pierwszej jeszcze pomyśleć, niżeli o ukształceniu umysłu.

To zdanie, dziwne dzisiaj, opierało się na pojęciu, jakie starożytni mieli o piękności, które im nie pozwalało przypuścić, żeby jaki czyn podły, lub błędne mniemanie wyjść mogło z ciała dobrze ukształconego, mającego ruchy swobodne i powabne.

Gdy przedstawienia teatralne ustaliły się w Atenach, wkrótce Grecy uczuli, że im braknie nowej formy do wyrażania wypadków życia i namiętności ludzkich, i dodano do nich taniec jako przydatek.

Później stanowił on całą treść przedstawienia.

Sokrates i Platon w «Dyalogach» wspominali o tańcu dramatycznym, co my dzisiaj nazywamy baletem pantomicznym. Arystoteles w poetyce mówi o tancerzach, którzy, stosując się do muzyki, naśladowali obyczaje, namiętności i czyny ludzkie. Lecz w Rzymie, dopiero w wieku Augusta sztuka tancerska doszła do wysokiej doskonałości.

Pewien król Pontu, wezwany przez Nerona do Rzymu, widział tam tańczącego sławnego mimika i prosił imperatora, żeby mu go ustąpił, gdyż mu się przyda za tłumacza do krajów barbarzyńskich, których nie znał języka, a jest przekonany, że tancerz za pośrednictwem giestów zupełnie da im się zrozumieć.

Z tego widzimy, że naówczas taniec był innym niż ćwiczenia, którym tę nazwę dzisiaj dajemy; innym niż nasze balety, złożone z ruchów rąk i nóg i nie niezna-



czących kroków, tylko z mniejszą lub większą doskonałością wykonanych.

We Włoszech, w epoce Odrodzenia, starano się przywrócić sztuce tancerskiej dawną jej świetność i wykonywano różne akcye. We Francyi oddawna balet był w użyciu. Henryk IV sam lubił tańcować; Richelieu kazał przedstawiać balety alegoryczne. Ludwik XIV występował kilka razy publicznie, ostatni raz w balecie Flory, miał natenczas 31 lat; lecz nareszcie zaniechał tej rozrywki, wskutek wierszy, które Racine napisał.

Wiemy, z jakim przepychem przedstawiane są dzisiaj balety; dekoracye, maszynerya, światło, muzyka, wszystko to się przyczynia do złudzenia! Głównym jednakże przedmiotem baletu powinien być taniec, powinien on wyrażać akcye, gdyż jest niejako niemą deklamacją. Inaczej będzie nudnym i zniechęci widzów.

Akcya baletu musi być prosta i jasna, aby widzowie zrozumieli jej rozwinięcie i przeprowadzenie bez pomocy słów.

Twórca baletu, tak samo jak autor opery, musi porozumieć się z autorem muzyki, bo tej zadaniem jest uwydatnić część dramatyczną przedstawienia i nadać mu właściwy charakter.

Co do tańców pokojowych, oprócz tych, które każdemu narodowi są właściwe, ogólnie przyjęte zostały kontredans, walc, polka i galop, a u nas jeszcze mazur. Kontredans jest pochodzenia angielskiego: countrydance (taniec wiejski). Rozpowszechnił się we Francyi na początku zeszłego wieku, stamtąd przybył do nas.

Zbyt wyszukane tańczenie salonowe nie jest teraz w użyciu: na balach zwykle się chodzi albo galopuje; tancerz salonowy zeszłego stulecia byłby dzisiaj anomalia.

Nie można jednakże powiedzieć tego o kobietach; one szczerze tańczą, bo lubią tańce namiętne; często nawet tę rozrywkę doprowadzają do umęczenia.

Niechaj się młody wiek bawi, nie mamy nic przeciwko temu do powiedzenia, ale niechaj nie zaniedbuje ostrożności, niechaj się kieruje rozsądkiem. Z tańca bowiem wynika wiele smutnych następstw. Przy nagłych zmianach temperatury, nie dość uwzględnionych przy zmęczeniu całonocnem, zdrowie łatwo na uszczerbek jest wystawione, a tego nie okupi najświetniejsza zabawa.

## 102. Nauka, cel jej dwojaki.

Nauka jest najpotężniejszym środkiem do osiągnięcia przeznaczenia człowieka.

Cel każdej nauki może być dwojaki.

Można nabywać jakieś wiadomości dla chleba, dla zarobkowania, dla kariery lub przez dyletantyzm, czy to w młodszym, czy w późniejszym wieku; wtedy idzie o to tylko, ażeby jak najprędzej dojść do biegłości i doskonałości. Taki cel ma praktyczne uczenie się języków nowożytnych; rachunków — do użytku w rachunkowości; muzyki — aby być muzykantem z profesyi; medycyny — dla jej praktykowania. Taka nauka nie jest kształcąca. Nie zależy jej na tem, aby wpływać na umysł, ani też, by człowiek stawał się przez nią lepszym lub gorszym, lecz byle rzecz umiał.

Nauka zaś istotna powinna nietylko wiedzę pomnażać, ale oraz kształcić wszechstronnie giętkość umysłową, podawać pojęcia estetyczne, wyrabiać trafność sądu i służyć tym sposobem karności wychowującej za podstawę do wyrobienia zasad moralnych.

Ale i rozszerzenie zakresu wiedzy jest dla osiągnięcia tego celu koniecznem. Na zarzut, że prawdziwa wartość człowieka nie tyle polega na wiedzy, ile raczej na dobrej lub złej woli jego, można nawet w razie potwierdzenia łatwo odpowiedzieć, bo właśnie ta zła lub dobra wola ma swoją podstawę nie w pojedynczych wiadomościach, lecz w całym zakresie myśli człowieka, w całej jego wiedzy, w połączeniu i wspólnej organizacyi wszystkich pojęć, które sobie przyswoił.

Dlatego też ani jakość przedmiotów, ani sposób ich wykładu nie są obojętnymi i przy dokładnem zbadaniu natury rzeczy muszą być wyraźnie określone.

Prawdziwa nauka powinna się starać o rozbudzenie i rozwój jak największej działalności duchowej i wszystko czynić, coby ją mogło pomnażać i uszlachetniać, a wystrzegać się wszystkiego, coby ją zmniejszało lub pogorszało.

Pogorszenie tej działalności mogłoby nastąpić, gdyby np. przy zanadto wielkiem ślęczeniu nad książkami, siły fizyczne ucierpiały; dlatego też starać się należy o od-

mianę ruchu fizycznego i umysłowego; dalej, gdyby uczono jednostronnie, np. mechanicznie i na pamięć, lub gdyby się nie uwzględniało wieku i stopnia wykształcenia ucznia, stawiając zanadto wielkie wymagania, co mogłoby spowodować zupełne odrętwienie umysłowe. Wreszcie możliwym jest owo pogorszenie, gdyby uczono tylko pobieżnie i powierzchownie, więcej dla ostentacji i blichtru. Nauka, w podobny sposób udzielana, sprzeciwiałaby się wprost właściwemu celowi wychowania i nadałaby temuż kierunek zupełnie fałszywy.

*Z Pedagogiki Hückla.*

### 103. Sposób nauczania Sokratesowego.

Za czasów Sokratesa młodzi Ateńczycy, omamieni sławą Peryklesa, Temistoklesa i innych i pełni bezrozumnej ambicji, przysłuchawszy się przez niejaki czas nauczaniu Sofistów, którzy obiecywali uczynić ich wielkimi politykami, rozumieli, że już do wszystkiego byli sposobnymi i zapragnęli najwyższych godności.

Jeden z nich, nazwiskiem Glaukus, nie mający lat dwudziestu, tak się był zapalił żądzą kierowania sprawami rzeczypospolitej i zarobienia sobie na sławę, że ani przyjaciele, ani krewni nie mogli wybić mu tego z głowy. Jednemu tylko Sokratesowi, który go kochał dlatego, iż był bratem Platona, udało się odwieść go od tego nierozumnego zamysłu.

Spotkawszy się z nim pewnego dnia, tak go swą rozmową zajął, że Glaukus pilnie się jej przysłuchiwał.

— To waść masz chęć — mówił Sokrates — rządzić rzeczępospolitą?

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec.

— Nie mogłeś lepszego obrać sobie zawodu — dodał Sokrates — bo jeśli się waści poszczęści, będziesz mógł być pożytecznym swoim przyjaciołom, dom swój wzniesiesz, granice państwa rozszerzysz. Sława waszmości rozejdzie się po całej Grecji, a być może, że zajdzie aż do barbarzyńskich narodów.

Taki pochlebny wstęp podobał się bardzo paniczowi, chętnie więc słuchał dalej.

— Ponieważ waszmość pragniesz zjednać sobie znaczenie i chwałę, tedy rzecz oczywista, że chcesz stać się rzeczępospolitej użytecznym.



— Zapewne.

— Proszę, powiedzże mi waść pierwszą usługę, jaką chcesz rzeczypospolitej wyświadczyć?

Gdy Glaukus, tem zapytaniem zmieszany, z odpowiedzią się ociągał, rzekł Sokrates:

— Zapewne chcesz się przyczynić do powiększenia dochodów w celu wzbogacenia kraju?

— Właśnie to powiedzieć chciałem.

— To waść znasz zapewne wszystkie źródła dochodów kraju, abyś natychmiast potrafił, gdy jedno ustało, drugie utworzyć?

— Dalibóg—odpowie Glaukus—żem o tem jeszcze nie pomyślał.

— To mi waść wymień przynajmniej wydatki rzeczypospolitej, ponieważ, jak wiesz, ważna to jest rzecz ograniczać zbyteczne.

— Przyznaję, że i w tym względzie nie lepiej jestem oświecony, jak w pierwszym.

— Trzeba nam tedy na później odłożyć zamiar wzbogacenia rzeczypospolitej, kiedy waść ani jej dochodów, ani wydatków nie znasz.

— Ale przecie—rzekł Glaukus—jest jeszcze inny sposób, o którymś zamleczal; można wznieść rzeczpospolitą zniszczeniem nieprzyjaciół.

— To prawda—odpowiedział Sokrates—lecz do tego trzeba czuć się na siłach, gdyż inaczej własne moglibyśmy utracić. Ten więc, co o wypowiedzeniu wojny zamysła, powinien znać dokładnie siły jednej i drugiej strony. A znasz też waść potęgę naszego kraju na morzu i na lądzie, jako też i naszych nieprzyjaciół? Bardzo mię ucieszysz, jeżeli mi bliższej w tej mierze udzielisz wiadomości.

— Jeszczem jej nie zasięgnął—odrzekł zawstydzony Glaukus.

— Widać więc—odpowiedział Sokrates—że nie tak prędko będziemy mieli wojnę, jeżeli waszmości hetmaństwo polecą, bo waść wiele się jeszcze poprzednio nauczyć musisz, nim będziesz mógł w pole wyruszyć.

Znalazłszy go w innych rzeczach równie nieukiem:

— A, bój się waść Boga—dodał Sokrates—jakże możesz tak dalece się zaślepiac i pragnąc godności, która by cię dla niedołężności twojej do niesławy i hańby przywiodła!

Glaukus skorzystał z tej lekcyi, wziął się szczerze do nauk i nie wprzód przystąpił do służenia rzeczypospolitej, aż się w nich naleyście wydoskonalił.

*A. Popliński.*

## 104. Co to jest język?

Ponieważ dziecię nie rodzi się z wiadomością języka, musi być on utworem narodu, osobny szczep lub pokolenie stanowiącego.

Siła twórcza ducha człowieczego najprzód się w tem objawia, że głos swój na wyrazy urabia, któremi myśl swoją wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców zlewają się w tę siłę twórczą, do tego pierwszego dzieła duchowego dążą, więc i język musi być odblaskiem ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całej potęgi ducha.

Wszystkie genjusze z tego plemienia złożyły dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to złożył w języku. I stąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofia, że człowiek zdumiewa się nad nią i prawieby sądzić był skory, że sam Bóg człowieka języka nauczył.

Zaprawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był tu nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednosczepeowego objawiający się. I tem to dziełem najszczytniejszem, tą mądrością czysto narodową, tą spuścizną po talentach i geniuszach wszystkich wieków istnienia naszego, któż śmie pogardzać, albo nie ma obowiązku szanowania tego skarbu ducha?

Już Kopezyński, skądinąd tak łagodny, zżymał się na ten rokosz krajowców przeciw językowi narodowemu podniesiony:

— Nad ten gruby przesąd, powiada, że urodzony polak może umieć po polsku i bez gramatyki, jest jeszcze szkodliwsze mniemanie, że mowa nasza nie zasługuje nawet na imię języka, ponieważ jakoby jest grubą, ubogą i nieprawidłową.

Co za gramatyczne bluźnierstwo! co za dziecinna niewiadomość ojezystych rzeczy! Któż cię to uzuchwalił taki wyrok zmyślić i ogłosić?... wyrok, który jest najwięk-

szą tamą doskonalenia u rodaków języka i utwierdzenia cudzoziemskiego o nim przesądu? Jak się godzi sądzić sprawę nieznaną? Jak przystoi tak okrutny na sławę narodu wydawać wyrok, dla którego najznakomitsze w kraju osoby, przez pogardę własnego, wołą mówić i pisać językiem cudzoziemskim?

*K. Libelt.*

## 105. O potrzebie znajomości języka ojczystego.

W początku nauk, jeżeli te nauki mają być przydatne narodowi na ich czele stać powinna umiejętność języka.

Wszystkie działania ludzkie, małe czy wielkie, mają pewne prawa, bez zachowania których dobremi być nie mogą: a cóż sądzić o mowie, jako najpiękniejszej i najpospolitszej sprawie człowieka?

Mając wrodzoną duszy wyniosłość, dążącą do działania coraz doskonalszego, wstydzilibyśmy się zostać na najniższym stopniu mowy, pełnej grubych błędów, prostactwa i ciemności.

Chcielibyśmy raczej piąć się do owego stopnia wymowy, na którym ludzie, znający i zachowujący prawa językowe, tłómaczą się poprawnie, jasno i pięknie.

Cóż jest za sposób pozbycia się złych, a nabycia dobrych mówienia sposobów?

Oto postrzeżenie i naśladowanie tych, którzy lepiej mówią i piszą.

Wszystkich spostrzeżeń ani jeden, ani nikt razem uczynić nie może; jest to dzieło lat długich i towarzystw, które w porządną naukę obrócili, a wystawione w krótkim zbiorze przed oczy naśladowców, daje poznać i wady i zalety języka—prawidłami zaś, wyciągnionemi z przykładów, uzbraja czytelnika do chronienia się złego, a do naśladowania dobrego.

*Ks. O. Kopczyński.*

## 106. Wpływ pór roku na zdrowie ludzkie.

Wszystkie żyjące istoty podlegają wpływowi pór roku. Różne przemiany życia roślinnego zależą od czterech okresów, na które rok się dzieli.



Wywierają one niemniejszy wpływ na jednostki ze świata zwierzęcego.

Różnica, jaka panuje między chorobami na wiosnę i na jesieni, musi uderzyć każdego lekarza. Ogólny stan zdrowia przedstawia zupełnie odmienny obraz w tych dwu epokach rocznego biegu.

Z końcem zimy występują zapalenia przyrządów oddechowych, katary, zapalenia płuc, zapalenia gardła. Wszystkie te choroby powracają peryodycznie z tą samą punktualnością, jak ładne dni, sprowadzające motyle i komary.

Po lecie, prędko przemijającym, pojawiają się zapalenia przyrządów trawienia, biegunki, gastryczne gorączki i febry (zimnice).

Bylibyśmy zatem skłonni podzielić rok ze względów lekarskich na dwie pory: na piękną i szkodliwą, zimną i gorącą porę roku. Stan zdrowia ludności przemienia się istotnie dwa razy tylko do roku w ściśle odmienny sposób: po upale letnim i po zimowym mrozie.

Kiedy dorosłe osoby cierpią pod wpływem zmian powietrznych, o ileż więcej ulega im delikatna organizacja młodzieży!

Główną okolicznością w zdrowiu dzieci i młodzieży jest łatwość, z jaką podlegają chorobom podczas peryodycznych odmian pór roku.

A jednak rodzice wcale się tego nie domyślają.

Gdy ku końcowi zimy dostajemy zapalenia płuc, lub ku końcowi lata zapalenia kiszek, wtedy nie domyślamy się nawet dalekiej przyczyny, która stan zdrowia naszego zakłóciła. Prawie zawsze przypisujemy to katarowi, który niesłusznie z początku lekceważymy, lub zwykłej niedyspozycji żołądka, z której często powstają długotrwałe katary kiszek i żołądka.

Zastanówmy się nad wnioskami, które z takich powstają zapatrywać. Gdy zasłabniemy w porze roku, kiedy panują choroby płuc, wtedy nie traćmy drogiego czasu na błądzenie po fantastycznych przypuszczeniach, lecz natychmiast spytajmy, czy to nie jest katar płuc lub zapalenie. Podczas pięknej pory roku, np. w sierpniu, zwróćmy uwagę na podrażnienie kiszek, pilnujmy więcej niż kiedykolwiek zakłóceń żołądka i kiszek, i ostrożniej niż zwykle wybierajmy pokarmy lekko strawne.

By się obronić od słabości, jakie zmiany pór roku z sobą

przynoszą, koniecznie należy pilnować diety, a nawet stosownie do pory odmieniać ją. Za zbliżeniem się wiosny należy unikać zbyt obfitych i zbyt pożywnych pokarmów, by się ochronić od nadmiaru soków; pod koniec lata trzeba pamiętać o zbliżających się zapaleniach kiszek, unikać błędów dyetetycznych i używać łatwo strawnych pokarmów i chłodzących napojów.

## 107. Wpływ powietrza, światła i ruchu.

Weźmy doniczkę kwiatów, które pięknie wzrosły na tarasie, codziennie oświecanym promieniami słońca, postawmy ją w pokoju, w którym powietrze nie będzie odświeżane, którego słońce nigdy nie oświeca i przyjrzyjmy się po jakimś czasie, jak roślina ta wygląda. Listki jej pożółkły, łodygi ściemniały, kwiat stracił świeżość i zapach. Daremniebyśmy dawali tej roślinie, pozbawionej powietrza i słońca, najtłustszą ziemię, daremnie podlewalibyśmy ją najtroskliwiej, musi ona zmarnieć.

Z kwiatkami obdarzonymi duszą, które dziećmi nazywają, dzieje się zupełnie tak samo, jak z kwiatami ogrodowymi. Gdy powietrze, które je otacza, jest zepsute, gdy słońce nie rzuca na nie nigdy swych, ożywczych promieni, wtedy chudną i blednieją, ciało ich staje się wątłe, a członki cienkie, białe soki w nich przeważają, a chociaż jeszcze nie są skrofułami, prowadzą jednak do nich. Funkcye życia przemieniają się i podlegają rozkładowi i słabości.

Codziennie to zauważyć można w biednych rodzinach, zamieszkujących ciemne izby.

Wpływ czystego powietrza i promieni słonecznych stanowi konieczny warunek silnego zdrowia.

Jedną część otaczającego nas powietrza jest niezbędną do życia. Ta część jest to tlen (kwasoród). Powietrze, którym oddychamy, składa się z mieszaniny tlenu ze znaczną ilością azotu, mniejszą ilością pary wodnej i jeszcze mniejszą kwasu węglanego. Tlen sprowadza zmiany w krwi, zachodzące przy oddychaniu; kwas węglany pochodzi po największej części z tego, co ludzie i zwierzęta z siebie wydychają.

Przyjrzyjcie się pasterzom w stronach górzystych, którzy tylko czarnym chlebem żyją, robotnikom na równi-

nach, winiarzom, którzy grube tylko pożywają pokarmy, a zdziwicie się nad siłą i żywotnością, jaką we wszystkich swych czynnościach rozwijają. Udajcie się następnie do wielkich miast fabrycznych, a litość w was wzbudzi widok ludzi z bladym obliczem i wychudzonemi członkami, widok wybladłych młodych dziewcząt i pokurczonych suchotniczych dzieci, wychodzących z wielkich fortac nowożytnego przemysłu.

A jednak klasa robotnicza w wielkich miastach żywi się mięsem i dobrym pszennym chlebem...

Lecz żyje ona w ogólnych warsztatach i izbach, gdzie powietrze i słońce w niedostateczny dostaje się sposób, podczas gdy nasi gospodarze w mieszkaniach swych noce tylko spędzają, szczególnie w pięknej porze roku, a przez dni całe wystawieni są na dobroczynny wpływ czystego powietrza i promieni słonecznych.

Ale i te dzieci naszych wieśniaków, które nie mogą jeszcze rodzicom swym w pole towarzyszyć, wiele cierpią wskutek nieczystości mieszkań. Sądzymy, że to jest jedną z głównych przyczyn, dla których skrofuły pojawiają się tak często nawet u wiejskiego ludu.

Lecz nietylko w mieszkaniach biednej klasy ludu, dzieci bywają wystawione na brak powietrza i światła. Często bogate rodziny, schlebając egoizmowi i próżności, obracają najzdrowszą część mieszkania na zbytki, zabawy i przepych, podczas gdy ich dzieci skazane są na ciemne i ciasne pokoje pod strychem. Salon bywa częścią mieszkania najparadniejszą, najobszerniejszą, najlepiej położoną i najwięcej mającą powietrza. O położenie sypialnego pokoju nie troszczymy się bynajmniej. Dla dzieci jest on niby dość dobrym! Wszakże tu nie przyjmują odwiedzin i nie wydają wieczorów.

Pamiętajmy o tem, że w sypialnym pokoju przebywa się  $\frac{1}{3}$  część życia, potrzeba więc dbać o to najwięcej, aby pokoje te były koniecznie słoneczne i łatwo się przewietrzające.

Koniecznie należy codziennie odświeżać powietrze w pokojach zamieszkiwanych. Niema nic niezdrowszego jak przebywanie wśród powietrza, zepsutego kilkogodzinnem oddychaniem.

Łóżka nigdy nie powinny być osłonięte firanką, a zetknięcie z powietrzem w pokoju nie powinno być przerwane.



Czyste powietrze i światło są to potężne, przez Boga nam udzielone środki wzmacniające, które ani złota, ani potu człowieka nie kosztują.

Brak umiarkowanego ruchu jest nam nie mniej szkodliwy, jak brak powietrza i światła.

Ruch pobudza nasze siły żywotne i pomnaża czynność wszystkich naszych organów. Nieruchomość sprawia zatrzymanie się soków, zmniejsza parowanie skóry, zgęszcza krew i skład jej zmienia.

Można wywołać skrofule u psów i u większej części zwierząt, gdy się je przez dłuższy czas trzyma w ciasnem zamknięciu, gdzie są pozbawione czystego powietrza i słońca.

Dzisiejsze wychowanie zdaje się mieć, niestety, na celu, by duchowe ukształcenie zapanowało nad siłami fizycznymi. Zdrowie naszych pokoleń znacznie na tem cierpi.

Starożytność przedstawia nam obraz zupełnie odmienny. Przypomnijmy sobie, jak wielką wagę kładziono wówczas na gimnastykę, taniec i wogóle na wszystkie ćwiczenia ciała. Musimy przyznać, że podobne postępowanie przyczyniało się do kształcenia ciała, które służyło greckim rzeźbiarzom za podziwiania godne modele na Wenere, Apolina, Herkulesa. Modele takie dzisiaj znikły już zupełnie.

Na miejscu będzie tu także wspomnieć o fakcie, który wywiera wielki wpływ, na przyszłość młodych ludzi pod względem ich zdrowia. Chcemy mówić o wyborze stanu i o zbyt małej troskliwości, z jaką zwykle wybór ten robią, aby odpowiadał temperamentowi młodego człowieka.

Zapominają, że dla wielu jest to kwestya życia.

Gdy z młodego człowieka, limfatycznego i chorobliwego, robimy urzędnika, wtedy strzeżmy się suchot, które go prawie niezawodnie między dwudziestym a trzydziestym rokiem na inny świat wyprowadzą.

Zróbmy z niego raczej żołnierza, lub marynarza; powinien on wejść na drogę, która mu zapewni wiele ruchu na wolnem powietrzu i słońcu. Będziemy wtedy mieli daleko większą pewność utrzymania go przy życiu, a on cieszyć się będzie dobrem zdrowiem.

Jest to punkt, na który rodzice niedostateczną zwracają uwagę; wielka liczba młodych ludzi umiera, jako

ofiary lekkomyślności i braku zastanowienia się w wyborze stanu.

*Dyetyka dziecięca.*

## 108. P a l m y.

Palmy należą do roślin jednoliścieniowych, wśród których oddzielną stanowią rodzinę. Pnie, cz. kłodziny tych pięknych drzew, są zazwyczaj proste, wysmukłe, a u niektórych gatunków dochodzą do dwustu stóp wysokości.

Wśród palm rzadko znajdują się gatunki z pniem, opatrzonym gałęzmi, wszystkie prawie uwieńczone są na samym wierzchołku pękami liści bardzo wielkich i rozmaicie porzszczypanych, pod którymi wyrastają dwa grona kwiatów, zamieniających się później w owoce, już to mięsisto soczyste, już to opatrzone w suchą i twardą łupinę, jak na palmie kokosowej.

Dotąd poznano już około 300 gatunków palm; najwięcej z nich znajduje się w Ameryce południowej i w Azji podzwrotnikowej; afrykańskie palmy, prócz daktylowej, mało są jeszcze znane; w Europie rośnie tylko dość powszechna nad brzegami morza Śródziemnego *Palma kartowata*, dorastająca zaledwie sześciu stóp i *Palma daktylowa*, znajdująca się w Hiszpanii południowej.

Palmy należą do najużyteczniejszych roślin; ich pnie dostarczają materiału na mieszkania i rozmaite sprzęty, liście służą do pokrycia dachów, pęki liściowe niektórych gatunków są jadalne, a wiele z nich dostarcza doskonałych owoców, jak palma daktylowa i kokosowa, lub smacznego napoju, zwanego winem palmowem. Prócz tego z *Palmy woskowej*, *Wachlarzowca* i *Kopernikówki* woskodajnej, wypływa wosk, równający się pszczolemu.

*Sagowiec* dostarcza znanego powszechnie sága, wyrobianego z rdzenia tej palmy, a wiele gatunków palmy słoniowej daje twarde ziarna, z których wyroby uchodzą często za wyroby z kości.

Niektóre palmy tworzą wielkie lasy, jak np. Maurycyja, inne rosną pojedynczo, lub tworzą niewielkie gaiki.

K. P.

## 109. P s z e n i c a.

Zboże to zachowuje długo zdolność wschodzenia, bo ziarna pszenicy znalezione przy mumiach egipskich, a będące tam przynajmniej od 2,000 lat, zasiane, wzeszły i plon wydały.

Ponieważ pszenica bielszą i delikatniejszą daje mąkę od żyta, przeto między pożywnymi zbożami ona bywa wyłącznie uprawiana w zachodniej i południowej Europie.

U nas, gdzie zwyczajnym włościan pokarmem jest chleb żytni, pszenica bywa zasiewaną w małej części tylko do użytku miejscowego, a w daleko większej części na sprzedaż. Nadto, nie wszystkie grunty wydać ją mogą, bo wymaga lepszej ziemi, niż inne zboża.

Wszelako, gdzie tylko natura gruntu dozwala, pszenica bywa uprawiana, i zarówno w południowych, jak w północnych stronach naszego kraju, obfite wydaje plony.

Pszenica sandomierska oddawna nabytą ma sławę i jej przymioty tak są wydatne, że botanicy osobny gatunek w niej uznali, p. n. *triticum polonicum*. Odznacza się ona między innymi bardzo długimi ościami, w tem korzystnymi, że odstraszaają szkodzące ptactwo.

Czas dojrzewania pszenicy jest różny, stosownie do klimatu: we Francji południowej zaczynają żniwo w pierwszych dniach czerwca; u nas w początku sierpnia.

Równie też i płodność jej jest względna i zależy od klimatu, natury ziemi i samejże uprawy. Włochy długo słynęły z piękności swego zboża. Rzymianie, w czasie kwitnącego u nich rolnictwa, gdy ich ziemia pyszniła się, jak mówi Pliniusz, widokiem wielkich wodzów, laurami uwiecznionych, pługi po niej ciągnących, mieli ilość pszenicy wystarczającą. Później, gdy obywatele rzymscy, oddawszy się zbytcom, uprawę ziemi powierzyli niewolnikom, płodność ziemi zmniejszyła się i zboże sprowadzać musiano z Sycylii i Afryki.

Pliniusz mówi, że cesarzowi Augustowi ofiarowano 400 ździebelek, wyrosłych z jednego nasienia. W naszych czasach nasienie pszenicy, w Brest zasiane, wydało 155 kłosów. Lecz takie przykłady płodności są bardzo rzad-



kie; zwykle na dobrym gruncie jedno nasienie pszenicy wydaje 50 do 60 ziarn, a najmniej 10.

Nieocenione są korzyści samego nasienia pszenicy; sło-  
ma z niej niemniej ważne przynosi pożytki. Odmianę  
pszenicy z kłosem białym bez ości uprawiają umyślnie  
na gruntach kamienistych, szczególnie w Toskańskim  
i robią z niej kapelusze słomkowe.

Pszenica podlega wielu chorobom, jakimi są: *węgiel*,  
czyli *śnieć*, pochodząca od gatunku grzybka pasorzytne-  
go, tworzącego się w owocu; *rdza* jest to inny gatunek  
grzybka, powstającego na liściach.

*Sz. Pisulewski.*

## 110. B u k.

Rzadkie to u nas drzewo, i równie jak jodła znajduje  
się tylko w południowej, górzystej części kraju, a także  
w zachodniej, lecz nieobficie.

Buk żyje do 400 lat, rośnie wysoko, choć w pierwszych  
latach tępo. Liść ma okrągławy o ładnym połysku. Drze-  
wo jego jest zdatne do takich rzeczy, które wilgoć i wo-  
dę wytrzymać muszą, jako to: na rury, łodzie, klepki  
i t. d., używają go też stolarze meblowi. Na opał jest  
jednym z najlepszych, a popiół z niego jest używany  
w hutach szklanych i dobry daje potaż.

Kora i liście buku są przydatne garbarzom. Ziarna  
zaś wiele mają tłustości i w wielu miejscach na olej są  
wybijane.

Lasy bukowe rosną w Sandomierskiem, Krakowskiem,  
w Karpatach, stąd w krakowiakach i piosnkach ruskich  
są wspomniane.

## 111. L i p a.

Jadnem z największych drzew naszych, dochodzącem  
do niezmiernej wysokości i więcej niż ośmset lat żyć mo-  
gącem, jest lipa.

Liść lipy jest miękki, duży i w kształcie serduszkowym.  
Kwiat białozielonkowaty i w kupkach rosnący, rozkwita  
w lipcu i miłą woń wyziewa.

Użytek z lipy jest bardzo wielki i rozmaity. Drzewo

lipowe białe, miękkie, przydatne jest do najdelikatniejszych robót. Rzeźbiarze wyrzynają z niego posągi. Kora, znana pod imieniem łyka, służy gospodarzom na powrozy, maty, wozy i t. d. Litewski chłop używa tego łyka na chodaki, czyli tak zwane łapcie (trzewiki).

Węgle lipowe najzdadniejsze są do prochu strzelniczego, a zarazem i do farby czarnej.

Liście są dobrą paszą dla bydła, kwiat służy na herbatę i jest pomocny na choroby piersiowe. Kwiat ten jest także najprzydatniejszym pokarmem dla pszczół, z którego one najbielszy i najwonnejszy miód, tak zwany lipiec, zbierają. Nakoniec, z owocu lipowego, w jesieni zebranego, wyciskają olej nie tylko obficie, ale i w dość dobrym gatunku.

## 112. K a w a.

Drzewo, kawą nazwane, pochodzi pierwiastkowo z Arabii Szczęśliwej, skąd przez Holendrów sprowadzone do osad zamorskich, potem do Indyi Wschodnich, na wyspy Antylskie i Martynikę, znamienie się rozmnożyło.

Drzewo to jest średniej wielkości, ma pień pojedynczy, prosty, ośm do dwunastu stóp wysoki; długie cienkie zwieszające się gałęzie; liście zielone, podobne do laurowych. Kwiat ma biały, do jaśminu podobny.

Mięsivo owocowe lepkie i bez smaku, zawiera w sobie dwa ziarna, zewnątrz wypukłe, w środku płaskie. Ziarna te przedziela mały, przez środek owocu przechodzący rowek, a zewnątrz otacza je błonka chrząstkowata. Z tych to właśnie ziarn, należycie zebranych i przysposobionych, gotuje się napój, z upodobaniem we wszystkich prawie krajach używany.

Drzewo kawowe wydaje owoce w przeciągu lat dwudziestu do trzydziestu, potem usycha i niszczeje.

Rozmaite są gatunki kawy: najlepsza pochodzi z Mokki w Arabii i najwięcej jest ceniona. Dla oszczędności zaczęto do kawy dodawać nieco cykoryi, zwyczaj ten stał się powszechny.

Jakkolwiek kawa przyjemnym być może napojem, dzieciom jednak rzadko dawać ją należy; mleko dla nich nierównie jest zdrowsze.

### 113. M o d r z e w.

Modrzew jest drzewem pierwszorzędnej wielkości, dochodzi przeszło do 100 stóp wysokości. Na piaskach się nie udaje; przytrafia się na płaszczyznach w klimacie umiarkowanym, w krajach zaś zimnych wyrasta na górach wyżej, niż jodły i świerki.

Modrzewie rosły niegdyś obficie w naszych okolicach, dopóki zanadto wielkie i nierozważne z nich użytkowanie prawie do szczytu tego pięknego drzewa nie wytępiło.

Wszakże natrafia się jeszcze gdzieniegdzie; to w Białowiezkiej puszczy na Litwie, to na górach Karpaczkich i pobliskich im okolicach, jako to: w wielu miejscach około Krakowa, Sandomierza i Radomia. Atoli we wszystkich okolicach dawnej Polski pozostałe nazwy miasteczek i wsi, jako to: Modrzejów za Olkuszem, Modrzejewice około Radomia i t. d., tudzież stojące dotąd wielkie zabudowania z drzewa modrzewiowego, jako to: kościoły, domy wiejskie, śpichrze, mogą posłużyć za dowód, jak bardzo to drzewo było u nas rozrodzone i jak jest trwałe.

Istotnie, jeśli gdzie przestać trzeba na budowie drewnianej, żaden gatunek drzewa w tym względzie z modrzewiem porównać się nie może.

Jako dowód trwałości modrzewia do budowy domów mieszkalnych, posłużyć nam mogą dotąd stojące kościółki, z których niejeden istnieje od pierwszych wieków chrześcijaństwa. Na belki i podwaliny modrzew jest wyborny, bo żywica nietylko wskroś go przejmuje, ale przez powolne występowanie rozlewa się po całej jego powierzchni, a tym sposobem i owady go nie psują i wilgoć nań nie działa.

Że u nas i w tych czasach wielkie i zdatne do tego celu natrafiają się modrzewie, przekonać się możemy stąd, iż belki, użyte przy budowie teatru Wielkiego w Warszawie, wyrobione są z modrzewiu krajowego.

Drzewo modrzewiowe ma jeszcze i tę dogodność, że się nie paczy i dlatego, zanim płótno malarzkie weszło w użycie, dzieła sztuki wielu sławnych w starożytności malarzy, na deskach z modrzewia wyrabiane, przechowały się dobrze do naszych czasów.



Modrzew prócz tego wydaje terpentynę, znaną pod nazwą weneckiej. Otrzymuje się ona przez nawiercanie lub nacinanie pnia; wypływa tylko w porze letniej, jest płynna i przezroczysta, a dla oczyszczenia precedza się przez sito włosiane. Drzewo mocne i zdrowe może wydawać co rok 7 funtów terpentyny, co trwa przez lat 50. Młode i nadto przestarzałe drzewa wcale jej nie wydają.

Na igłach i młodych pędach modrzewiu występuje w maju i czerwcu, szczególnie po upałach i mocnej rosie, wilgoć lepka i słodka, która po skrzepnięciu jest krucha i w handlu pod nazwą *manny bryansońskiej* znana.

Modrzew dostarcza jeszcze pewnego gatunku gumy, rozpuszczalnej w wodzie, którą w Rosyi zowią *gumą orenburską*.

Wreszcie kora modrzewiu użytą być może do garbowania skór, a grzyb, który się niekiedy na niej rozrasta, używany był jako środek leczniczy.

*Sz. Pisulewski.*

## 114. Ż y r a f a.

Żyrafy należą do zwierząt najwyższych co do wzrostu, i niema ani jednego, któryby dorównywał im swoją wysokością. U dorosłego bowiem zwierza często wzrost dochodzi do 18-tu, a nawet 20-tu stóp; jest więc najmniej trzy razy wyższy od człowieka dobrego wzrostu. W budowie swej ma różny a dziwny stosunek wszystkich części ciała, bo gdy głowa jest niewielka, szyja niezmiernie wysoka, nogi tylne są znacznie krótsze od przednich a krzyż ku tyłowi spadzisty.

Mimo tego żyrafa dla swej wysmukłej budowy ciała, pięknej barwy siwo-białawej, nieregularnymi centkami upstrzonej, jest równie okazałą jak wysoka.

Głowa podobna do końskiej, czarne, duże oczy osłonięte są powiekami, wargą górną nie rozdwojona, z szyi zaś spada siwa i brunatno-żółta grzywa, ogon krótki; dwa rogi grube, krótkie, pokryte szerscią, stoją na środku czoła, przed nimi zaś trzeci róg czyli garb grubszy, ale nierównie od nich niższy. Samice, znacznie mniejsze od samców, mają kolory jaśniejsze.

Dla wypoczynku i przeżuwania żyrafa kładzie się,

jak inne przeżuwające zwierzęta. Pokarm bierze długim, czarnym językiem, a że dla wielkiej wysokości trudno jej brać żywność z ziemi, chcąc więc ją dostać, nie klęka, ale odstawia to prawą, to lewą nogę, dopóki łbem nie sięgnie do ziemi. Żywi się jak koza i owca, trawą, ziołami i liśćmi, szczególnie lubi wierzchołki dzikiej moreli.

Wychowywana w niewoli, wymaga dużo mleka, ryżu, jęczmienia, a jako wielki przysmak, daje się jej chleb, owoce i gałązki akacyi.

Żyrafa żyje stadami w Afryce południowej i wschodniej. Najwięcej przebywa w żyznych i obfitych w wodę okolicach, ale napasłszy się w nich do syta, umyka w pustynie, gdzie czuje się bezpieczniejszą: mając widok odsłonięty, łatwiej może dostrzedz niebezpieczeństwo i szybko ucieczką go uniknąć.

Najwięcej lęka się lwa, ale przypadkiem spotkawszy się z nim, śmiało staje do walki i bijąc przednimi nogami, często zmusza go do ucieczki. Jeżeli jednak lew z tyłu wpadnie na żyrafę, wtenczas niema dla niej żadnego ratunku, staje się pastwą srogiego nieprzyjaciela.

Chód tych zwierząt na pierwszy rzut oka zdaje się być ociężały, gdyż z przyczyny wielkiego i ciężkiego przodu ciała nietylko nie mogą się unosić należycie siłą mięśni, ale nadto nachyleniem szyi w tył utrzymywać muszą równowagę ciała. Za poruszeniem przedniej nogi porusza się naprzód i szyja i tak chwieje się ciągle to w tył, to naprzód.

Ponieważ robią kroki szerokie, przeto chód ich zdaje się być bardzo prędki; na szybkim jednak koniu łatwo je można dogonić, mając bowiem słabe, małe i ciasno zamknięte płuca, prędko się męczą. Stare nie mogą zność niewoli i zwykle wkrótce zdychają, a jak niektórzy utrzymują, zamarzają się dobrowolnie głodem. Młode prędko się obłaskawiają, stają się bardzo łagodnymi i nie okazują chęci do ucieczki.

Młodych miewają tylko po jednym.

Tak jak u nas na jelenie, tak Afrykanie polują na żyrafę równie dla smacznego mięsa, jak i dla skóry, ten sam przynoszącej pożytek, co z jelenia.

Co do historii tego zwierza, Rzymianie poznali go dopiero w czasie pierwszych podbojów w Afryce. Najpierwszy Juliusz Cezar sprowadził żyrafę do cyrku, gdy wyprawił z niej widowisko dla ludu.

Najdawniejsze jej miano było Zurapha: Rzymianie nazywali ją *Camelopardalis* czyli wielbłądo-pantera, gdyż w postaci jej upatrywali podobieństwo do wielbłąda, a w plamistej skórze do pantery. Od owego czasu już żyrafy nie widziano w Europie, aż dopiero w r. 1486 zwierzę to przysłane było z Egiptu do Florencyi. Obdarowany niem ksiązę Medyceusz, pozwolił żyrafie chodzić po całym pięttrze swego pałacu i odbierać od dam przysmaki w owocach i ciastach.

W XVI wieku sprowadzono żyrafę do Konstantynopola, lecz dopiero w ostatnich czasach stała się przedmiotem szczególnej ciekawości, a moda, zawsze umiejąca ze wszystkiego korzystać, potworzyła mnóstwo przedmiotów à la Giraffe. Powodem do tego były dwie żyrafy, kupione przez baszę Egiptu i przysłane do Europy. Były one przez ubogich arabów złowione i za młodu wykarmione mlekiem wielbłądziem.

Jedna z nich, darowana królowi francuskiemu, przybyła do Paryża w czerwcu 1826 r. wpośród ogromnego zgielku całej ludności. Miała dwa lata życia, a już 11 stóp wysokości. Wypijała dziennie do pięciu garncy mleka, a najchętniej jadła liście róży i akacyi. Niezmiernie łagodna, ludzi się nie bała, ale nie lubiła głaskania i dotykania. Dozorcę swego, Araba, znała bardzo dobrze. — Drugą dostał król angielski.

## 115. S ł o Ń.

Na czele wielokopytnych stoi wspaniały słoń, do 15 stóp wysoki. Ma on grube nogi, dwa długie kły, z których pochodzi znana kość słoniowa, i zamiast nosa długą trąbę, którą może liście zrywać, ludzi podnosić, drzewa i słupy wyrywać i wodę nabierać.

Słoń posiada wielką rozagę, układa paki z towarami, dźwiga ciężary, wlecze belki i wykonywa różne roboty, a gdy się jaka przeszkoda nawinie, nie stanie, jak wół, i nie czeka, tylko sam usuwa wszystko, co mu zawadza, np. kamienie lub drzewo i nieraz wraca i ogląda, coby można poprawić.

Przytem słoń jest łagodny, wdzięczny i do pana swego przywiązany, gdy doznaje dobroci jego; lecz skoro mu krzywdę czynią, może się rozzłościć.



Jeden kornak indyjski (dozorca słoń), który słońowi ogromnie dokuczał, został zabity przez rozgniewane zwierzę. Żona zabitego, wybiegłszy z domu i w rozpacz, nie myśląc, co robi, rzuciła się z dzieckiem pod nogi srogiego zwierza, wołając:—Zabiłeś mi męża, zabijże i nas.—Słoń natychmiast udobruchał się, stanął spokojnie i oczy mu jakby łzami zaszyły, widocznie był żalem przejęty. Wyciągnawszy trąbę, schwycił nią małego chłopca i posadził go sobie na karku, chcąc przez to wyrazić, że go chce mieć za pana i dozorcę.

Słonie lubią wodę, o tem wiedzą dozorczy i prowadzą je do rzeki. Wszedłszy w nią, słoń nabiera wody w trąbę i polewa się, aby myjącemu go dozorczy pracę ułatwić.

Muzykę lubi także, a jeszcze bardziej mocne napoje. Podać słońowi zakorkowaną flaszkę, to on trąbą swoją i wystającym na końcu jej palcem korek zręcznie wyjmie, a wino lub arak do kropelki wypije, jak jaki pijak; ale pokazać mu flaszkę a nie dać, gdy na nią pracą zasłużył, to się rozgniewa, bo pamięta, co mu się obiecuje.

Dawniej ustawiano na słońiach wieżyce drewniane, z których żołnierze w czasie bitwy rzucali strzały i kamienie na nieprzyjaciela. Dziś w Indyach bogacze hodują słonie dla parady i dla korzyści, używają ich także do polowania na tygrysy i inne dzikie słonie.

Słoń nieprzyjaciela swego powala trąbą, depce nogami, przebija kłami i rzuca w górę.

Łowiąc dzikie słonie, myśliwi otaczają je i pędzą w coraz ciaśniejsze zagrodzenia, aż wejdą po jednym w tak wązki ganek, z belek wystawiony, że się w nim obrócić nie mogą. Z przodu matnia jest zamknięta, a z tyłu inne słonie popychają się i tłoczą. Wziąwszy tedy dwa słonie domowe, przywiązują myśliwi do nich jednego jeńca dzikiego i zakładają mu powrozy na nogi, a przegrodziwszy belkami inne słonie, otwierają pierwszą klatkę i aresztanta, otoczonego dwoma chowanemi słońiami, prowadzą jak złoczyńcę do domu; gdy niechce iść dobrowolnie, ćwiczą go towarzysze trąbami i nie lada jakie kułaki mu dają, póki nie usłucha.

W kilka dni słoń się oswoi, a później sam pomaga łapać i prowadzić swoich dzikich kolegów.

Słoń afrykański ma większe uszy i jest dzikszy, dlatego nie chowają go wcale.

## 116. Sobol.

Futro sobole należy do rzadszych i kosztowniejszych. Żaden kraj nie posiada ani tak pięknych soboli, ani takiej ich ilości co Syberya, w której gęstych lasach najliczniej na nie polują. Sobol, zwierzątko chytre, zwinne i szczególnie bystrym słuchem obdarzone, stroni od mieszkań ludzkich i najchętniej przebywa nad pustemi brzegami rzek, w zaroślach, gdzie nawet promień słońca przedrzeć się nie może, żyje w jamach ziemnych, lub w wydrążeniach starych drzew, żywi się leśnymi owocami, rybami, a w zimie mięsem wiewiórek i młodych zajączków, które z nadzwyczajną chwyta zręcznością.

Sobol ma zwykle długości stóp 2, wysokości stopę 1, postać ma okrągłą, głowę szeroką, szyję krótką, nogi niskie, pięcioma ostremi pazurami zakończone, ogon puszysty, prawie połowę tak długi, jak całe zwierzę. Futro sobolowe, tak wysoce cenione, odznacza się cienkością, miękkością i połyskiem włosa, niemniej trwałością skóry.

Sierść sobolowa tak jest osadzona w skórze, że na wszystkie strony z równą łatwością układać się daje. Dzieli ją na trzy gatunki: pierwszy ma włos długi na półtora lub dwa cale, świecący, ciemny, a czasem srebrzysty; drugi gatunek krótszy, wełnisty, szarawej barwy i bez żadnego połysku, zwany podsadem; nakoniec tuż przy skórze wznoszący się krótki, mięciuchny puszek. Barwa soboli zbliża się od brunatnej do zupełnie czarnej.

Północne okolice Azji i Ameryki obfitują w sobole: te z nich, które wschodnią zamieszkują stronę, piękniejsze mają futra od tych, które ku zachodowi żyją. Najpiękniejsze i najdroższe jednak, których włos tak jest czarny i świetny, jak krucze skrzydła, chwytają w Syberyi nad rzeką Olekma, z tej strony Bajkału i w okolicach Nerczyńska. Polowanie na sobole zaczyna się z pierwszemi śniegami. Strzelcy, opatrzeni w strzelby, łuki, łyżwy i kilkodniową żywność, wybierają się pojedynczo na łowy; każdy bierze z sobą psa gończego i za jego węchem idzie w najciemniejsze lasy, przeciska się w najgłębsze zarośla, a gdy tylko spostrzeże sobola, już

biedne zwierzę, choć na drzewo się wdrapie, lub w pień spróchniały się wsunie, nie ujdzie z życiem.

Gdy po śniegu brnąć wypadnie, strzelec przywiązuje do nóg łyżewki, to jest podeszwy wielkie drewniane, które ułatwiają mu drogę; w czasie gołoledzi wdziewa buty kołkami podbite, by się na śliskiej drodze utrzymać.

A jednak bywają pory, gdzie niepodobna zwykłym sposobem zastrzelić sobola. Wtedy zastawiają na nie rozmaite pułapki, najczęściej zaś w znajomem przejściu zakopują łuk naciągnięty; skoro zatem sobol, przebiegając, dotknie wyprężonej cięciwy, strzała wypada i ubija go na miejscu. Zręczny i czynny strzelec może z dobrym psem ubić do czterdziestu soboli w przeciągu miesiąca; ale ileż to znieść musi trudu, ile niewygody, ile nocy wśród mrozu, na śniegu, pod gołym niebem, przy słabym płomieniu zmarzłych gałęzi! Łatwo bowiem pojąć, że myśliwi na noc do mieszkań nie wracają.

Nazbierawszy pewną ilość futer, strzelcy opuszczają las; przy wyjściu z nich spotykają zwykle czekających już w chatach przekupniów, którzy od nich skóry kupują: płacą najczęściej tytuniem, płótnem i suknem grubym, solą, masłem i innymi nieodzownie potrzebnymi przedmiotami i dokładają niewielką sumkę pieniędzy, która po pięciu miesiącach polowania musi wystarczyć na wyżywienie myśliwca i jego rodziny przez resztę roku.

Następnie sobolowe skóry przechodzą w ręce garbarzy; potem wyprawione układają podług gatunków, wiążą w pęki, z których każdy 40 skórek liczy, i wysyłają na jarmarki. Cena takich pęków rozmaita bywa: od tysiąca rubli do 5—6 tysięcy, a czasem i więcej.

Najlichsze futra sobolowe wywożą do Chin, gdyż Chińczycy, biegli w farbowaniu, mało cenią piękną barwę.

Z rąk kupców skóry sobolowe przechodzą do kuśnierzy i tu dopiero przybierają postacie, w jakich my je znamy; z całkowitych skórek zszywają płaty, znane pod nazwą błamów, których na podszycie szub i salop używają; grzbiety służą na kołnierze lub przody, szyje i łebki na damskie boa, niemniej nóżki i ogonki, z których również tę część stroju wyrabiają. Im staranniej dobierane futerka, tem są kosztowniejsze; na boa wychodzi 100 do 120 ogonków, ale też za to trzeba za nie przeszło 1,000 rubli zapłacić.



Ogromna suma! nieprawdaż? A jednak, gdy policzymy, ile to rąk przyłożyło się do przygotowania jednego takiego przedmiotu, przyznać wypadnie, że nie nadto opłaca taką fraszkę ten, kto ma na to.

O bytności w Polsce soboli nie może być wątpliwości, kiedy o nich prawa mówią i cenę jako krajowych zwierząt oznaczają.

W podaniach naszego ludu i w pieśniach mamy wyraźne ślady soboli w Polsce, a nawet i łowów na nie. Wiemy, że w pieśniach ludu te tylko porównania i wspomnienia zwierząt lub ptaków natrafiają się, które są istotnie krajowe. W starożytniej myśliwskiej pieśni obok pospolitych dotąd zajęcy i sarn, widzimy sobola; nie taką przeto musiał być osobliwością, jak dzisiaj:

Aż tam biegnie sobol, sobol,  
Towarzyszu mój!  
Niech sobola uchwycą,  
Towarzyszu mój!

Sobol jednakże miał zawsze wysoką wartość. Że w liśturach szlachta, w sobolach panowie, w kunach żydzi, a w baranach drobna szlachta chodziła, stąd przypowieść XVI wieku: «Lisie pomknij się, kuno przed stół, sobolu za stół, a ty, baranie, za piec».

Stąd także przysłowie, rozróżniające futra: «Lis grzeje, kuna chłodzi, soból zdobi».

*P. K.*

## 117. S t r u ś.

Struś właściwy jest największy pomiędzy ptakami dotąd znanymi; dochodzi 8 stóp wysokości, z której sama szyja zajmuje 3 stopy.

Nie może latać dla braku doskonałych lotek w skrzydłach i sterówek w ogonie, bo te, jakie ma, używane do strojów ludzi i tak wysoko cenione, zacząwszy od duków są miękkie, wiotkie i tak mają rozpięchłe pojedynczo włosy, iż nie mogłyby stawiać potrzebnego oporu powietrzu. Wreszcie zważywszy na wielką budowę strusia, 70 do 80 funtów ważącego, spostrzeżemy, że i skrzydła jego są za małe i że do wykonania ruchów, mogących utrzymać go w powietrzu, nierównie silniej-

szych potrzebaby mięs, niż te, jakie ten ptak ma rzeczywiście.

Głowa strusia jest w stosunku do ciała mała, łysa, z wierzchu przyplaszczona, pokryta tęgą, nierówną skórą; czaszka cienka, słaba, oczy jajowate, rzęsami opatrzone. Nogi pokryte są skórą łuskowatą i gołe aż nad kolana, a stopy ich dzielą się na dwa palce, naprzód obrócone, podszwami z twardej skóry opatrzone. Pierze na strusiu zwykle jest białe, w niektórych tylko miejscach czarne, młodych zaś strusiąt i samic popielato-siwe. Ostatnie są za młodu całe pierzem okryte, ale gdy to pierwszy raz opadnie, głowa i szyja, spód skrzydeł i boki pozostają nadal nagie. Najdłuższe i najszaconiejsze pióra są w skrzydłach i w ogonie.

Właściwą i jedyną ojczyzną strusia jest Afryka i przyległe jej wyspy, jako też część Azji. Ojczyzna słonia, nosorożca, hipopotama i t. p. największych zwierząt ssących, jest także ojczyzną największego z ptaków, którego by nazwać można słoniem skrzydlatym.

Struś najbardziej lubi zamieszkiwać gorące, piaszczyste, odludne pustynie, gdzie prawie nigdy deszcz nie pada; co zdaje się potwierdzać zdanie Arabów, że struś nigdy nie pije.

Żyje licznymi stadami, zdaleka podobnymi do kawaleryi, i nieraz gdy strusie w gromadzie biegły, przstraszały karawany podróżnych. W dzikich i niepłodnych pustyniach życie zdaje się być przykre dla niego, ale za to strusie używają tam nieograniczonej swobody, a któraż pustynia w tych warunkach nie byłaby rozkoszną! Dla tego to drogiego daru natury uciekają przed człowiekiem, który, znając z nich użytki, ściga je w najdzikszych ustroniach, żywi się ich jajami, ich krwią, tłuszczem, mięsem, stroi się w ich pióra i może nawet ma nadzieję podbić je kiedyś pod swe panowanie. Dzieci ludów afrykańskich używają oswojonych strusiów do jazdy, podobnie jak u nas kozłów; siadają na nie, a wtedy ptak leci ze swym jeźdźcem, gdzie mu się podoba.

Struś żywi się owocami i roślinami, a niemożność latania nagradza bardzo szybkim biegiem, w którym rozszerzonymi skrzydłami wybornie sobie dopomaga. Jest bojaźliwy i płochy, ucieka i kryje głowę w piasek lub w krzak, a to jak się zdaje, żeby najdelikatniejszą część ciała uchronić od niebezpieczeństwa; samica tylko, gdy

się znajduje koło piskłat, cokolwiek jest odważniejsza i używa pazurów na ich obronę.

*E. Leśniewski.*

## 118. K o Ń.

Z Estetyki Lemcke'go.

Koń odpowiada wszelkim warunkom pięknej zwierzęcej budowy, wszystkie członki ma proporcjonalne; wszystko w nim wyraźne, całkowicie wykonane. Tułów odpowiednio rozciągnięty, nogi silne a smukłe. Lekko wklęsła szyja oddziela się pochyło w górę od ciała, od niej znów silnie uwydatniona głowa, ogniste oczy, i ruchliwe, ostro wycięte, w samą miarę długie uszy. Nos odznacza się czerwono zabarwionymi nozdrzami, któremi koń parska. Wargi wydatne, miękkie. Pomimo że kości nie wystają śpiczasto i kończasto, jak u bydła domowego, ustrój cały jest wyraźny, tułów ożywiony; piersi, żebra, żołądek, grzbiet, boki spływają bez dziur, załomów i ostro kończastych rysów; poziom tułowiu urozmaicony lekkimi wyniosłościami. Koń, nie odpowiadający tym warunkom, jest brzydki.

Brzydkim więc jest zwierzę, u którego szyja w równej bieży linii z tułowiem, albo się nachyla; brzydkim, którego głowa uciepiona do szyi pod kątem zbyt rozwartym, nie mówiąc już o grzbiecie, nieforemnie zakłętym lub nad miarę wypukłym. Osieł jest brzydszy od konia już dlatego, że głowa i szyja mało się podnoszą nad poziom tułowiu.

Mówiąc o tułowiu, pragnę wskazać na przejście, jakim powiązała natura ziemię ze zwierzęciem. Dała mu kopyto. Na gruncie nieustrojowym staje nieustrojowa podwalina, a na niej dopiero wznosi się ustrój.

Rozwiana grzywa i ogon czynią konia w biegu żywszym, lotniejszym. Toż samo wydłużona szyja i głowa zyskują podczas biegu estetyczną przeciwwagę w podniesionym, bujającym ogonie, którego brak jeleniom, sarnom i t. d., naówczas bowiem cała waga ciała rzucona jest naprzód w kierunku biegu.

Niezliczoną ilość razy rozwodzono się z pochwałami konia. Wyjmujemy z księgi Hioba parę zdań: «Szydzi on z zatrwożenia i nie stracha się; nie umyka przed



orężem, jakkolwiek ziele przeciwko niemu kołczan, błyszczący pika i włócznia... Kiedy gra trąba, mówi: nuże! wietrzy zdala walkę i jękliwe stękania ksiąząt».

Wspaniały obraz, skreślony ręką wieszczą bojaźliwego pokolenia!

Każda rasa koni (a jest ich tyle) może być mniej lub więcej piękną. Od zwyczajnego jednakże konia żądamy tylko, ażeby mógł unieść silnego mężczyznę lekko i wytrwale na równinie i wyniosłości, w każdym rodzaju biegu. Siła i szybkość — oto warunki dobrego konia. Jedna bez drugiej nie ma wartości.

Siłę konia mierzymy zwykle wagą siedzącego na nim człowieka. Nie jest to miara estetyczna, ale praktyczna. Silny koń powinien okazać się także pięknym.

Jak wiadomo, szlachetne rasy wschodnie, a także i sztuczna rasa koni łowieckich dostarczają okazów, wymaganiom estetycznym najodpowiedniejszych.

Osiel posiada wyżej wskazane usterki przeciwko pojęciu piękna. Tak samo proporcya głowy, szyi i ciała jest u niego nieodpowiednią. Głowa za wielka i za ciężka, uszy bez miary wydłużone. Jedność ustroju została więc nadwerżoną przez zbyt znaczne rozwinięcie pojedynczych członków, a waga całości przenosi się na części.

Miara piękności u Arabów jest następująca: równa długość od pyska przez głowę i kark aż do pępka i od pępka przez grzbiet aż do nasady ogona.

*Bronisław Zawadzki.*

## 119. G r a d.

Porównywając piękne płatki śniegu z nieforemnymi bryłkami gradu, łatwo się przekonamy, jak dalece jedne różnią się od drugich. Dodajmy do tego, że śnieg pada zwykle w zimie, a grad niekiedy wśród największych upałów, a łatwo pojmujemy, że każdy z nich musi mieć odmienny początek.

Że bryłki gradu są zwyczajnym lodem, wie o tem i dziecko, ale jakim sposobem tworzą się te bryłki, to i dla uczonego człowieka odpowiedź na to niełatwa. Bo zważmy tylko. Bryłki gradowe są lodem, ale i dla powstania lodu potrzeba przecież zimna... Czemuż więc ten

grad tworzy się tak często właśnie wśród upałów letnich? Czemu nie bywa podczas mrozów?

Że u nas nie bywa go w zimie, to rzecz tę tak sobie wytłómaczyć możemy. W zimie, ponieważ powietrze ciągle przejęte jest zimnem, więc gdy się utworzy chmura, choć nie bardzo wysoko, drobniutkie kropelki pary marzną i jak nam to już wiadomo, dopiero w czasie spadania czepiają się ich inne podobne, z czego robią się piękne płatki gwiazdkowate. Niema tu zatem czasu, żeby owe kropelki pary wprzód zlały się z innymi i żeby tym sposobem pierwszej robiły się większe krople wody, a dopiero te krople nagle w lód się zamieniały. Dlatego nie mogą się tu tworzyć większe bryłki lodu, lecz lekkie delikatne płatki, czyli co na jedno wychodzi, nie bywa wtenczas gradu, lecz śnieg.

Podczas ciepła, kropelki zgęszczonej pary, jeżeli nie są zbyt wysoko, oczywiście nie marzną, mogą zatem z sobą zlewać się w spore krople, jakie zwykle z deszczem opadają. Gdy takie duże krople nagle się zmrożą, wtedy nie robią się z nich płatki, ale bryłki lodu. A że te bryłki, spadając na ziemię, stanowią właśnie grad, więc też dla wytłómaczenia gradu idzie tylko o to, ażeby zrozumieć, jakim sposobem wśród gorącego lata krople wody, utworzone w powietrzu, w lód zamienić się mogą.

Woda, kiedy paruje, chłodzi te rzeczy, z którymi się styka. Nalejmy wody w butelkę, owińmy ją mokrą szmatą, wynieśmy na wolne powietrze i machajmy w tę i ową stronę; szmata oczywiście wyschnie, czyli inaczej mówiąc, woda z niej wyparuje; spróbujmy zaraz tej wody w butelce, a przekonamy się, że będzie chłodniejsza niż wtenczas, gdyśmy ją tam wlewali.

Dlatego to skrapiają w izbach podłogi, żeby ochłodzić powietrze. Dlatego też, gdy umaczamy rękę, choćby w chłodnej wodzie, i zaraz jej nie otrzemy, to ręka sama obsycha, co znaczy, że gdy ta woda bez przeszkody wyparuje, to będzie w rękę chłodno. Im woda paruje prędzej, tem więcej ziębi; a tembardziej, jeżeli to prędsze parowanie pochodzi od wiatru. Jakoż palec, zmaczany w wodzie, potrzymajmy na wolnem powietrzu, a przekonamy się, że najwięcej ziębi z tej strony, z której wiatr ciągnie. Gdybyśmy palec umaczali w jakim innym płynie, który prędzej paruje od wody, to w palec byłoby daleko zimniej.

Wiemy, że i wyskok, czyli jak mówią spirytus, prędzej paruje od wody; ale jest inny płyn, nazwany eterem, który paruje niemal w mgnieniu oka. Gdy puścimy na rękę parę kropel takiego eteru, to zniknie on w jednej chwili, a na ręce, gdzieśmy go naleli, będzie tak zimno, jak gdyby od lodu. Bo też trzeba wiedzieć, że uczeni, zwiększając różnemi sposobami parowanie wody, umieją przywieść ją do tego, że marznie nawet i w czasie gorąca, czyli że lód zrobić się może i podczas lata.

Wystawmy sobie, że w dniu gorącym bardzo dużo pary unosi się w powietrzu i że z tej pary zrobiła się w górze bardzo gęsta chmura. Ta chmura ma oczywiście dwie strony: jedną, odwróconą ku ziemi, a drugą ku słońcu; tę więc ostatnią promienie słońca szczególnie ogrzewają, a do tamtej tak łatwo przedrzeć się nie mogą.

Cóż się więc dzieje?

Oto kropelki zgęszczonej pary, będące w chmurze od góry, skutkiem takiego gorąca, zamieniają się nagle znowu w niewidzialną parę i ulatniają wysoko, do czego też przyczynia się i wiatr, mocno podówczas wiejący. Gdy taka para wzbija się do góry, to znajdzie się tam w powietrzu zimniejszym, utraci więc coś z ciepła, jakie z sobą uniosła, zetnie się w kropelki i znowu utworzy chmurę.

Ta chmura górna nie pozwala słońcu dogrzewać tak mocno tej, która została poniżej, a że mimo to ciągle jest szybkie parowanie, bo i wiatr ciągle tam wieje, i przez pozbycie się takiej ilości zgęszczonej pary powietrze się rozrzedziło, więc też przez takie silne parowanie kropelki, w bliskości będące, tak się oziębiają, że nietylko skupiają się z sobą, tworząc większe krople, ale co większa, krople te zaraz w lód się zamieniają.

Uczeni domyślają się, że i inne okoliczności przyczyniają się do utworzenia gradu.

Bryłki gradu bywają zazwyczaj wielkości grochu, czasem wszelako dochodzą wielkości orzecha laskowego, włoskiego, a nawet i jaja kurzego. Ze taki grad pokłada zboże, tłucze okna, kaleczy ludzi, rani, a nawet zabija pomniejszych zwierzęta, to wszystko łatwo sobie wystawić.

Ponieważ grad tworzy się tak nagle, więc też i gradobicie zazwyczaj trwa tylko kilka minut, rzadko dłużej nad kwadrans. Mimo to, w tym krótkim czasie spada



częstokroć taka ilość lodu, że pokrywa na kilka cali wysoko ogromną przestrzeń ziemi.

Ludzie dawno już nad tem przemyśleli, jakby się uchronić mogli od tego nieszczęścia. Myśleli, że znajdą przeciw temu sposób, stawiając wysokie żerdzie z powrótłami, spuszczone do ziemi, lub pręty żelazne takie, jakie widzimy na domach przeciwko piorunom.

Omyliła ich jednak nadzieja; nie był to sposób dostateczny. Jeżeli jednak dotąd nie umiemy jeszcze ochronić się od szkód z gradobicia, to przecież spodziewać się można, że kiedyś przy boskiej pomocy lepiej się to poszczęści. Bo nauka może bardzo wiele, a czego my nie wiemy, tego przez naukę dojść mogą ci, co będą po nas, tak jak i my wiemy już niejedno, czego nie wiedzieli ci, co byli przed nami.

Jedynym wszakże zabezpieczeniem się od klęski, jaką grad wyrządza, jest zapisanie się do «Towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia», gdzie za niewielką roczną opłatą można być pewnym, iż szkody poniesione w polu od gradu zostaną wynagrodzone.

*Z dzieła: «Zjawiska napowietrzne».*

## 120. Obłoki, deszcz i strumienie.

(Z dzieła: «Woda...» Jana Tyndalla).

Każde zjawisko w przyrodzie poprzedzają pewne zjawiska, będące jego przyczyną, a po każdym następują inne, stanowiące skutek. Umysł ludzki nie zadawalnia się nigdy postrzeżeniem i badaniem pojedynczego, oddzielnego objawu, ale wszystkie fakty przyrodzone stara się wiązać z poprzednimi i następnymi zjawiskami.

Rozpoczynając więc badanie rzek, zwiększymy jego znaczenie, jeżeli weźmiemy pod uwagę nietylko obecne ich objawy, ale zarazem ich przyczyny i skutki.

Idźmy w górę rzeki ku jej źródłu. Jeżeli zaczniemy od jej ujścia i śledzimy ją coraz wyżej, widzimy, że wzdłuż jej przebiegu tu i owdzie wpadają do niej poboczne strumienie, zwiększające obfitość jej wód. Rzecz jasna, że powyżej ujścia każdego strumienia rzeka nasza coraz mniejszą się staje. Zwęża się ona najprzód w rzeczku, dalej jeszcze w strumień; następnie strumień ten widocznie powstaje ze spływu kilku strumyków coraz węż-

szych, aż prawie w drobnouchne niteczki zmienionych. Te ostatnie są źródłami rzeki, zwykle z pośród gór wypływającemi.

W taki sposób Severn wypływa z gór Walijskich, Tamiza z pagórków Kotswoldu, Dunaj z gór Czarnego Lasu, Rodan i Ren mają swe źródła w Alpach, Ganges w Himalaj, Eufrat w bliskości Araratu, Garonna w Pirenejach, Elba w górach Olbrzymich czeskich, Missouri w górach Skalistych, Amazonka w Andach peruwiańskich, a nasza Wisła ma swe źródła na Baraniej górze w Beskidzie.

Ale bardzo widoczną jest rzeczą, żeśmy tu jeszcze nie doszli do istotnego źródła rzek. Skąd pierwotne strumyczki biorą swą wodę? Krótki pobyt w górach przekonowywa nas, że strumyki te zasilane są przez deszczę. Podczas suszy strumyczki maleją a nawet wysychają całkowicie. Podczas deszczów, zamieniają się w spienione i rwące potoki. Zazwyczaj na stokach gór strumyki sączą się, jak drobne nitki wodne; niekiedy wszelako można wyśledzić i rzeczywiście ich źródło. Tak np. Albula w Szwajcaryi odrazu tryska ze stoku góry znaczną masą wody. Ale i wtedy przekonać się łatwo, że podobne źródła zasilane są wodami deszczowemi, które przez grunt lub skałę przenikając w głąb ziemi i tam się gromadząc, następnie gotowym już, lub przez siebie zrobionym otworem wydostają się na powierzchnię.

Ale na tem poprzestać nie możemy. Skąd się bierze deszcz, tworzący te górskie strumienie? Spostrzeżenie daje odpowiedź na to pytanie. Deszcz z pogodnego nieba nie spada; spuszcza ją go obłoki.

Ale czemże są one? Czy nie znacie czegoś, coby do nich podobnem było?

Odkrywacie natychmiast pewne podobieństwo pomiędzy niemi a zgęszczoną parą parowozu. Przy każdym tchnieniu maszyny wybiega w powietrze obłok. Przyjrzyjcie mu się uważnie, a spostrzeżecie, że obłok ten tworzy się dopiero w pewnej, niewielkiej wysokości nad kominem. Patrzcie baczniej jeszcze: pomiędzy kominem a obłokiem widzicie zupełnie jasny przestwór. Przez ten jasny przestwór przechodzi właśnie musi to, z czego się obłok tworzy. Czemże więc jest ta rzecz, która w pewnej danej chwili jest przezroczystą i niewidzialną, a w następnej, jako gęsty, nieprzezroczysty obłok widzieć się daje?

To *para wodna* z kotła parowego. Wewnątrz kotła jest ona przezroczystą i niewidzialną, lecz ażeby taką pozostała, potrzeba właśnie tego stopnia ciepła, jakie się wewnątrz kotła znajduje. Skoro para zmiesza się nad gorącym kominem z zimnem powietrzem, przestaje być parą. Każda cząsteczka pary przez oziębienie zgęszcza się w daleko mniejszą cząsteczkę wody. Tym sposobem powstałe cząsteczki ciekłe tworzą rodzaj *wodnego pyłu*, niezmiernie delikatnego, mnożącego się w powietrzu i nazywanego *obłokiem*.

Patrzcie dalej na ów warkocz, wylatujący z komina biegnącego parowozu; widzicie, jak on coraz bardziej rzadnieje, nakoniec rozplywa się całkowicie? Robiąc wielokrotnie podobne spostrzeżenia, przekonamy się, że szybkość znikania warkocza zależy od stanu atmosfery. Jeżeli czas jest wilgotny, obłok długo i leniwie unosi się w powietrzu; przy suchej pogodzie szybko jest przez nie pochłaniany. Cóż się z nim stało? Zamienił się znowu w istotną niewidzialną parę.

Im powietrze jest suchsze i cieplejsze, tem większa ilość obłoków w podobny sposób rozpuścić się w niem może. Gdy obłok się tworzy, masa jego daleko jest większa, aniżeli powietrze utrzymać ją może w niewidzialnej postaci. W miarę jednak jak obłok miesza się stopniowo z większą ilością powietrza, rozpuszcza się on w niem coraz więcej i wreszcie ze stanu niezmiernie rozdrobnionej cieczy przechodzi w stan przezroczystej pary, czyli gazu.

Zamknijmy szczelnie pokrywę czajnika i pozwólmy parze przez dziobek tylko uchodzić: zobaczycie obłok, zupełnie podobny do wychodzącego z komina parowozu. Przepuszczajcie tę parę, w miarę jak z czajnika wychodzi, przez płomień lampy wysokowej, ciepło jej natychmiast parę rozpuści i para ta już się nie skropli. Przy pomocy umyślnie na ten cel zbudowanego kociołka i rurki można doświadczenie to uczynić wyraźniejszym, ale nie więcej uczącem, niż przy użyciu zwykłego czajnika.

Spojrzyjcie na okna sypialni, kiedy na dworze bardzo jest zimno; spływa po nich często woda, pochodząca z zagęszczenia pary własnych płuc naszych. Jeszcze widoczniej podobne zgęszczenie okazują szyby wagonów kolejowych podczas zimy.

Należcie latem zimnej wody do suchej szklanki; ze-



wnętrzna jej powierzchnia natychmiast pokryje się rosą. W gorący dzień nie widzicie pary waszego oddechu, ale w zimie z ust wychodzi mały obłoczek, utworzony wskutek zgęszczenia pary wodnej, z płuc pochodzącej.

W sali balowej możemy zauważyć, że dopóki drzwi i okna są zamknięte, a pokój gorący, powietrze jest przezroczyste; ale skoro drzwi lub okna zostaną otworzone, powietrze zaraz nieco się zaciemni mgłą, powstałą ze zgęszczenia pary wodnej, salę tę napełniającej. Jeżeli powietrze zewnętrzne bardzo jest zimne, to napływ jego do sali może nawet wywołać utworzenie śniegu. Podobne zjawisko widziano w salach balowych krajów, bardzo zimny klimat mających i w podziemnych stajniach w Erzerum, kiedy za otwarciem drzwi wpadało do nich zimne powietrze poranku.

Powietrze, przy największej nawet suszy, zawiera zawsze nieco pary wodnej. W powietrzu pokojowym, parę rozpuszczoną można zawsze zamienić w biały szron; dosyć tylko napełnić naczynie mieszaniną potłuczonego lodu i soli, a mieszanina taka, od samego lodu zimniejsza, zgęszcza parę wodną, a nawet ją zamraża. Powierzchnia naczynia pokrywa się zmarzniętą powłoką śniegową, tak dalece grubą, że ją zeskrobać i w kulkę ulepić można.

Dla wytworzenia obłoku, wylatującego z komina parowozu lub kotła parowego, potrzeba *ciepła*. Ogrzewając wodę, zamieniamy ją naprzód w parę, a para ta przez ostudzenie zamienia się w obłok.

Ale czy mamy w przyrodzie źródło ciepła, mogące wytworzyć obłoki w powietrzu?... Bez wątpienia.—Źródłem tem jest słońce.

Otóż idąc w górę naszej rzeki, od jej ujścia ku rzeczywistemu źródłu nieprzerwanym łańcuchem zjawisk, dochodzimy do słońca.

Są jednak rzeki, które mają źródła nieco odmienne od wyżej wzmiankowanych. Nie powstają one ze strumyków, sączących się na stokach gór, ani dają się dośledzić aż do swego właściwego źródła. Od ujścia np. Rodanu idźcie w górę jego aż do Lionu (Lugdunu), gdzie rzeka zbacza ku wschodowi. Okrążając Chambéry, dojdziemy wreszcie do jeziora Genewskiego, z którego Rodan wypływa. Moglibyście więc uważać jezioro to za źródło Rodanu. Ale udajcie się na drugi koniec jeziora, a zobaczycie, że Rodan je przepływa i że jezioro jest właści-

wie tylko jego rozszerzeniem. Śledźcie dalej w górę bieg rzeki, a przekonacie się, że z prawej i lewej strony wpadają do niej mniejsze strumienie, z gór wybiegające. Idźcie wciąż dalej, a dojdziecie do niezmiernej masy lodu: to początek lodnika, wypełniającego dolinę Rodanu; z jego to podnóża rzeka wypływa. Lodnik Rodanu jest więc jego źródłem.

Ale i tu jeszcze nie dosięgliśmy prawdziwego początku rzeki. Przekonywamy się wkrótce, że te pierwsze wody Rodanu pochodzą ze stopienia lodu. Wchodzimy na lodnik i idziemy ku wyższej jego części. Po niejakiem czasie lód niknie i dochodzimy do śniegu. Nawykły do górskich podróży dojść może do samego szczytu tego wielkiego śniegowego obszaru, a jeżeli szczyt przejdzie i zacznie spuszczać się po przeciwnym stoku, spostrzeże, że na pewnej wysokości śnieg znowu się kończy, a nowy lodnik, zwany *Tryflem*, rozpoczyna się. U podnóża tego ostatniego tryska inna znowu rzeka, mniejsza od Rodanu.

Widzimy więc, że śnieg górski daje początek lodnikowi, bo w ten lub ów sposób w lód się zamienia.

Ale skąd się śnieg bierze? Spada on jak deszcz z obłoków, a te znowu, jak widzieliśmy, powstają z pary, wytworzonej przez słońce.

Bez ciepła słonecznego nie mielibyśmy pary wodnej w powietrzu, bez pary — obłoków, bez obłoków śniegu, a bez śniegu lodników. A jakkolwiek dziwnem to na pozór здаwać się może, niemniej jest prawdą niezaprzeczoną, że zimny lód alpejski ma swój początek w ciepłym słońcu.

*Karol Jurkiewicz.*

## 121. Dno morskie.

Patrzymy na tyle życia i różnorodności na ziemi, roślinnością odzianą i przez żyjące twory zamieszkałą; ale to tylko trzecia zaledwie część powierzchni kuli ziemskiej; reszta, daleko większa, jest zalana wodami.

Czyż te ogromne wodne przestwory są martwe? Nie maż w nich tak samo, jak na osuszonej części lądu, zwierzęcego i roślinnego życia?

O nie! tam świat inny, pełen życia i cudów jak nasz,

choć niepojęcie odmienny. W podwodnych głębinach oceanu są również góry, wzgórze, doliny i płaszczyny, tak samo bogatą i urozmaiconą roślinnością pokryte, zamieszkałe przez tysiączne żyjące stworzenia. Tam są trawniki o krzewiastych roślinach, wśród których gniazdo buduje sobie ryba; tam gaje i sady, w których płasają wodni mieszkańcy, tam zarośla i lasy, gdzie się w gęstwinie kryje przed olbrzymim łupieżcą słabszy, strwożony groźną napaścią.

Zwierząt morskich daleko jest większa mnogość i różnorodność aniżeli lądowych, roślinność zaś stosunkowo mniejsza.

Jakby na dopełnienie tego braku, istnieje w toniach morskich trzecia liczna rodzina, zwierzkoczewów, pośrednicząca pomiędzy dwiema poprzednimi, żyjąca zarazem życiem roślinnym i zwierzęcym, życiem połączonym, dziwnym, niepojętym.

Wogóle jednak rośliny morskie przedstawiają taką różnorodność kształtów, iż krajobraz podwodny nie mniej jest ciekawym do zbadania, nie mniej urozmaiconym, jak najbogatsza roślinnością podświetlona kraina.

Nie dojrzyć tam najmniejszego podobieństwa z lądowymi, ani kształtem, ani budową, ani rozwojem.

Najprzód nie mają wcale korzeni. Jedne pływają, inne jakby przyklepione tylko powierzchownie do skały, nie zakorzenione, nie biorą z niej wcale życia i dlatego nie wybierają właściwego dla siebie gruntu. Czy to będzie skała wapienna, czy granitowa opoka, dla nich to obojętne, bo z niej nic nie wezmą; rosną więc nieraz na jakimś przedmiocie, na muszli, na koralu. Nie można też do nich zastosować nazwy liścia lub łodygi. Budowa ich jest tylko im właściwa: organy zaokrąglone lub podłużne, albo szeroko rozpostarte. To jakby pasy skóry pokarbowane, grube i trwałe, to niby włókna splecione, cienkie, błoniaste.

Inne jakby małe, przezroczyste balony, jak materye poukładane w regularne fałdy, jak kawałki trzęsącej się galarety, jak wstążki z szyldkretu, jak wachlarze z zielonego papieru. Powierzchnia ich to gładka, nawet połyskująca, to brodawkami opryszczona lub porośnięta włosami. Pokrywa je jakiś pokost lepki, albo pyłek solny, lub kredowy osad.

A dziwniejsze jeszcze sprawiają wrażenie kolory, którymi są ubarwione: oliwkowy, szary, żółty, czarniawy



mniej lub więcej, ciemno i jasno-zielony, blade lub mocno różowy, karminowy, purpurowy i t. d.

Niektórzy badacze, opisujący podwodne cuda oceanów, mieszczą te rośliny w trzech wielkich działach, podług barw najczęściej w nich przeważających: czarne lub brunatne, czerwone i zielone. Pierwsze są najliczniejsze, w mniejszych lub większych głębokościach stanowią najgłówniejszą część lasów podwodnych. Czerwone znajdują się zwykle niezbyt głęboko i na skałach w pobliżu brzegów. Zielone są pod wierzchem i zwykle pływające.

Krzysztof Kolumb w pierwszej swej podróży, a po nim wielu żeglarzy, spotykali na morzu wyspy trawiaste, bardzo rozległe, unoszące się ku powierzchni i niekiedy na daleką odległość prądami porywane. Starożytni uważali te miejsca, gdzie takie wyspy pływające napotykali, najczęściej w okolicy wysp Azorskich, jako ostateczne granice możliwej żeglugi.

Wiadomo, iż wody oceanu w pewnej głębokości mają jednakowy stopień ciepła w wszystkich klimatach bezwzględnie. Dziwnem zatem i trudnem do wytłómaczenia zjawiskiem jest różnica między roślinami morskimi, stopniowana tak samo, jak w roślinności lądowej. Równie jak na lądzie tak i w głębi morza roślinność jest coraz bogatsza w miarę przybliżania się ku równikowi.

Przejrzyjmy dno oceanu północnej półkuli ziemskiej, a opuszczając podwodne puszcze z olbrzymich roślin utworzone, pod cieniem których spoczywają wieloryby, kupią się gromady psów morskich i tłumy śledzi, łososiów i tuńczyków, podążajmy ku stronom, kędy gorętsze słońce na powierzchni lądów tak niesłychanie bogatą roślinnością ziemię przystroiło; zanurzymy się w przezrocze kryształów morza Indyjskiego, a wzrok nasz olśni widok niespodziany, czarowny.

Klomby krzewów z gałęziami szczególniejszego układu, różnorodne polipy, sękowate, rozłożyste, z organami palczastymi lub kielichowatymi. Barwy trudne do określenia: naprzemian zielona, brunatna lub żółta, purpura lub szafir na masach zgniłych, a na tych porosty, niby najdelikatniej z kości słoniowej rzeźbione, perłowego koloru. Na czystym piasku dna tysiące gwiazd morskich i innych żyjątek dziwnych kształtów, barw rozmaitych. Wokoło krzewin koralowych uwijają się prawdziwe morskie kolibry, małe rybki, pocentkowane czerwono lub

błękitno, złocisto lub srebrno-zielone, meduzy jakby zakłęte duchy błędzą po zaczarowanym świecie, poruszając niebieskawemi dzwoneczkami bez żadnego odgłosu; tanaida wysuwa się niby wąż, jak wstęga srebrzysta, mieniająca się w różane i lazurowe odcienie. Wszystkie kolory tęczy migocą, znikają i znów się ukazują, mieszają się z sobą w najfantastyczniejszy sposób, z szybkością niepojętą w ruchach, coraz to nowy dają widok cieni i światła.

A niech najmniejszy powiew zamąci wód powierzchnię, wszystko znika, jakby zaczarowane.

Kiedy słońce do dziennej mety dobiegnie, ostatnie promyki jego znikną na zachodzie i cienie nocy zstąpią w wód głębiny, wtenczas ów czarodziejski ogród nowym zajaśnieje blaskiem. Miliony iskier tańczą w ciemnościach; to mikroskopowe skorupiaki z własnością świętojańskich robaczek; przepyszne pióra morskie we dnie czerwone, w nocy zielonawym płomykiem błyszczące; srebrne tarcze, prawie sążniste w średnicy, majestatycznie pływają w pośrodku rójów gwiazd iskrzących. Wszystko, co przy dziennem świetle tonie w ogólnej jasności, teraz wyróżnia się we wszystkich tęczyowych barwach. Wszędzie jasne światelka tryskają, różnokolorowe płoną ognie.

To najcudniejsze iluminacye, jakby z «Tysiąca i jednej nocy».

Zastanawiając się nad całością wielkiego obrazu, jaki nam daje świat podwodny, gdzie rośliny nie mają ani korzeni, ani liści, ani kwiatów, a zwierzątka gwiazdzistym kształtem i kolorami za kwiaty uchodzić mogą, rozważając powstawanie koralu zwierzokrzewów i utworzonych z nich jakby wysp okrągłych, — z drugiej strony ogarniając myślą długie czasy, w przeciągu których morza pochłoneły niejedne lądy, gdy inne z ich głębi się wyłoniły,—umysł człowieka pojąć musi potęgę, ważność i bogactwo tego żywiołu, przed którym poezya ludów wschodnich czołem uderzyła, mieniając go najpierwszem i wiecznem źródłem wszech rzeczy.

*Gor...*

## 122. Prądy morskie.

Morze podlega biegowi poziomemu i ciągle postępującemu, podobnemu do nurtu szybko i ciągle płynącej rzeki. Taki bieg nazywany prądem morskim. Okręty, po morzu płynące, trafiwszy na prąd morski, mogą nim szybko i nawet bez pomocy wiatrów płynąć, jeżeli bieg prądu jest w kierunku ich drogi, albo w biegu swoim spóźnić się i zatrzymać, jeżeli bieg prądu jest przeciwny sile wiatrów, na żagle wywartej; albo też być uniesione z prawdziwej swojej drogi i zapędzone w miejsca, z których im wyniść trudno — i dlatego prądy morskie, gdy są żeglującym nieznane, mogą być dla nich niebezpieczne.

Prądy morskie dzielić można na prąd powszechny, ledwo nie na wszystkich oceanach i morzach czuć się dający, i na prądy szczególne, w pewnych tylko miejscach panujące. Z tych ostatnich jedne są stateczne, to jest zawsze w jedną stronę tylko płynące; drugie peryodyczne, które naprzód płyną w pewną stronę, potem zwracają swoje nurty w stronę przeciwną i tę przemianę kierunku w pewnym oznaczonym czasie zachowują i odbywają.

Wody morskie, osobliwie między zwrotnikami, płyną ciągle od wschodu ku zachodowi i ten bieg nazywany prądem powszechnym i statecznym. Doświadczają go żeglarze po całym prawie Oceanie Wielkim, między brzegami Meksyku i brzegami chińskimi, a szczególnie czuć się daje przy wyspach Moluckich, Filipińskich i Japońskich, na oceanie Indyjskim przy wyspach Maldywskich, tudzież między Madagaskarem i stertą <sup>1)</sup> Dobrej Nadziei.

W tem ostatniem miejscu prąd ten jest tak mocny, iż okręty do Indyi płynące, przy silnych wiatrach ledwo się przezeń ku Madagaskarowi przeprawić mogą, kiedy powracające z Indyi do Madagaskaru bez pomocy nawet wiatrów szybko są pędzone do sterty Dobrej Nadziei.

Na oceanie Atlantyckim, zacząwszy w pewnej odległości od brzegów Afryki, prąd ten panuje aż do brzegów Brazylii; na morzu Meksykańskiem, między Kubą i Jukatanem i przy brzegach Kanady. W niektórych miej-

<sup>1)</sup> Sterta, rafa morska.



scach tegoż oceanu prąd ten jest niesłychanie szybki i gwałtowny, jak np. w cieśninie Magiolańskiej przy wyspie Św. Trójcy, kanał, którym ten prąd z wielkim gwałtem wypada do Golfu Peria, został nazwany Paszczą Smoczą. Ten prąd jest jeszcze znaczny na morzu Lodowatym Północnym przy Nowej Ziemi i nim od wschodu ku zachodowi pędem przechodzą wielkie bryły lodu przez cieśninę Wajgacz.

Znakomitsze są prądy szczególne, różniące się w kierunku od prądu powszechnego, ale także stateczne. Na oceanie Atlantyckim, począwszy od sterty Spartel przy cieśninie Gibraltarskiej, przy brzegach zachodnich Afryki, morze płynie od północy ku południowi aż do Salé; stamtąd zwraca się cokolwiek ku zachodowi aż do sterty Zielonej (Cap vert), gdzie się zaczyna słynny prąd, pędem bieżący od zachodu ku wschodowi ponad brzegi Gwinei, aż do wyspy Fernando Poo, leżącej pod trzecim stopniem szerokości północnej. Tym prądem porwane okręty od Sierra Leona przychodzą we dwa dni do Królestwa i portu Benin, przebiegłszy przeszło 100 mil geograficznych; kiedy z Benin do Sierra Leona wracając, płyną przez sześć lub siedm tygodni i to jeszcze oddalić się muszą od brzegów Afryki, żeby minąć ten prąd, który się na 15 blisko mil od brzegów Gwinei na ocean ku zachodowi rozchodzi. Żeglarze wielką mają trudność wydobycia się z tego prądu, nawet przy mocnym i pomyślnym wietrze północno-wschodnim, który ich ku wyspie Św. Tomasza pędzi; a często bywa, że prąd gwałtownie płynący od tej wyspy ku Fernando Poo cofa ich nazad.

Prąd ten słynny jest z okropnych klęsk, jakie tam poniosły okręty albo ogłodzone długim pobytom, albo pędem tego prądu na brzegi rzucone i rozbite; dziś atoli obeznani z tem niebezpieczeństwem żeglarze łatwiej go unikają.

Na oceanie Wielkim, przy brzegach zachodnich Ameryki, począwszy od Peru, morze płynie od południa ku północy; oddaliwszy się atoli od lądu, prąd ten dalej na oceanie ustaje. Na oceanie Indyjskim około Sumatry jest prąd, którym wody od południa ku północy płyną do morza Bengalskiego. Podobny prąd od południa na północ niesie wody morskie od brzegów zachodnich Nowej Holandyi ku Jawie; Holendrzy, żeglując do tej wyspy, płyną naprzód na południe ku nowej Holandyi;

a wpadłszy na ten prąd, pędzeni jego biegiem ku północy, przybywają do Jawy.

Długą byłoby rzeczą wyliczać prądy peryodyczne, które na oceanie w różnych miejscach przy brzegach lądu i wysp panują. Znaczniejsze są na oceanie Indyjskim: naprzód przy wyspach Maldywskich, gdzie przez sześć miesięcy, to jest od września do lutego, morze mocnym prądem płynie od wschodu na zachód; przez drugie sześć miesięcy, to jest od lutego do września, prąd ten bierze kierunek przeciwny i płynie od zachodu na wschód. Powtóre, przy wyspie Ceylon, od środka marca do października, morze wielkim prądem płynie z północy na południe, od października do marca znowu płynie z południa na północ. Brzegi Chin południowych, Kochinchiny, Malakki, wielu wysp oceanu Wielkiego, ku morzu Indyjskiemu zbliżonych, brzegi wschodnie Afryki odznaczają się prądami peryodycznymi, które żeglarze w swych dziennikach opisują.

*Jan Śniadecki.*

## 123. Ż e l a z o.

Ten kruszec jest najpospolitszy lecz najużyteczniejszy, jak to sobie każdy sam powie, gdy spojrzy na wszystkie roboty żelazne u chłopca, u rzemieślnika, żołnierza, w polu, w domu, w fabrykach, w pałacach, w kościołach. Żelazo rzadko kiedy znajdujemy w stanie czystym. Ale jakaż to łaska Boża, że nigdzie człowiekowi nie trudno o żelazo, bo nawet w piasku, w błotach i bagnach rudy żelazne znaleźć można. Owe brunatne żyły w piasku, ów proszek żółty i czerwony pochodzi z rozpuszczonego żelaza.

Ruda żelazna, jeżeli jest koloru i blasku złota, ma w sobie wiele siarki; poznać ją po tem, że twarda i skry wydaje na stali; jeżeli się zaś kruszy, nie jest rudą żelazną, tylko miedzianą, a jeżeliby się taki złotawy kamień dał krajać nożem i giąć, tedy niech się cieszy, kto go znalazł; miałby czyste złoto.

## 124. M a r m u r y.

W skałach pierwotnych leży wielkimi masami węglan wapnia, z grubszych i drobniejszych ziarn złożony, marmurem pierwotnym nazwany.

Marmur taki niekiedy sam jeden tworzy pierwotne skały. Najpospolitszy jego kolor jest biały, lecz bywa także szary, czarny, żółty i czerwony i albo ma te kolory jednostajne, albo rozrzucone w postaci plam, kropek, żyłek i t. d. Odłam ma ziarnisty, ale ziarna są niekiedy tak drobne, że odłam przechodzi w zbity i zadziorowy. W ostatnim przypadku masa tego marmuru zdaje się być ciągłą i jednostajną, to jest żadnych ziarn w swoim składzie nie ukazującą. Mineral taki jest dosyć twardy i nie bardzo kruchy, po brzegach prześwieca, w ogniu i kwasach ulega takim samym zmianom, jak i wszystkie węglany wapnia.

Ojczyzną jego są wyspy Paros i Antyparos na Archipelagu, góra Athos w Grecyi, góry przyległe miastu Karrara w Toskanii, Alpy Szwajcarskie, Tyrolskie, Karynekie, góry Karpackie w Węgrzech, Saksonia, Czechy, Szwecya, Norwegia, Francya, Anglia, góry Uralskie w Syberyi i t. d.

Nazywają go także marmurem posągowym, ponieważ w dawnych wiekach z niego najwięcej wyrabiano posągów, popiersi, ozdób do świątyń i innych wspaniałych gmachów w starożytnej Grecyi i Rzymie. Najczęściej w tym celu używaną była odmiana jego biała, z koloru i kształtu swej masy do cukru lub soli bardzo podobna. Starożytni sławni rzeźbiarze greccy przekładali marmur z wyspy Paros nad wszystkie inne i na nim twory geniuszu swego potomności zostawili.

Rzeźbiarze dzisiejsi używają natomiast marmuru białego z okolic Karrary w Toskanii, którego ziarno jest drobniejsze, niżeli w złomkach marmurów starożytnych,



a już przez to samo marmur karraryjski jest zdolniejszy do przyjęcia łagodnych rysów i ostatecznych wykończeń dzieła.

Marmur biały z postępem czasu nabiera na powierzchni swojej koloru zielonawego, przeto wyrobione z niego starożytnym kształtem naczynia, posągi lub inne rzeczy i sztucznie zielonawą farbą powleczone, podawane bywają za dzieła dawnych rzeźbiarzy. Odmiana tego kamienia w biało-różowym kolorze jest rzadsza od wszystkich innych i drogo się płaci; stąd i ten kolor nadają mu niekiedy sztucznie.

Marmury, stanowiące przechodowe i warstwowe skały, w masie swojej zawierają mnóstwo skamieniałych istot morskich, których żadnego śladu w marmurze pierwotnym nie widać. Marmury przechodowe i warstwowe mają niezliczone kolory, najczęściej pomieszane i tworzące rozmaite desenie. Że zaś w ich składzie mnóstwo się znajduje szczątków skamieniałości, a każda z nich ma właściwy sobie kolor, przeto po wyszlifowaniu marmuru, różnokolorowe plamy, wstęgi, kropki, żyłki i t. d. ukazują się na jego powierzchni.

Z takich skamieniałości najczęściej bywają w marmurach ułamki koralu białych, madreporami zwanych, i różne muszle, których rodzaj po części już zginął lub które w stanie życia dotąd się jeszcze w morzach utrzymują.

Marmury takie znajdują się w bardzo wielu krajach europejskich. Przez szlifowanie nadać im można piękny połysk. Używają się na wspaniałe budowy, naczynia, gzemsy, kolumny i t. d. Kolumna, utrzymująca posąg Zygmunta III na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, wyrobiona jest z takiego marmuru, pod Chęcunami w gubernii Kieleckiej wyciętego. Marmur czerwony, z którego wyrabiają posadzki, ma w sobie znaczną ilość gliny i czerwonego niedokwasu żelaza.

Marmury florenckie i arabskie mają tak piękne desenie na sobie, że po wyszlifowaniu oprawiają się naksztalt

obrazów w ramki i służą do ozdobienia ścian. Pierwsze są koloru żółtawego z brunatnymi plamami, wyobrażającymi widoki rozwalin miast, fortec, wież, zamków i t. d.; drugie mają w swoich masach naturalne plamy czerwone, wyobrażające girlandy, krzaki, drzewa, lasy, często-kroć tak wyraźne i dokładne, że patrząc na nie, zaledwie uwierzyć można, iż nie są płodem sztuki, lecz igrzyskiem zawsze cudownej natury.

Marmur z Blajbergu w Karyntyi zawiera w masie swojej ułamki skamieniałych muszli morskich z rodzaju żaglików (*nautilus*). Muszle takie mają naturalny blask perłowej macicy, który nawet w ich skamieniałych ułamkach nie zaginał; przeto marmur blajberski po wyszlifowaniu lub rozbiciu, naprzeciw światła trzymany, odbija w sobie różne mieniające kolory, jak w opalu szlachetnym.

Do marmurów ze skał warstwowych należy kamień litograficzny, mający kolor jednostajnie żółtawy i bardzo drobne ziarno z muszlowym odłamem. Kamień ten w masie swojej jest tak mocno zbity, że się daje gładzić i pięknie polerować. Na wygładzonej powierzchni jego rysują i piszą z nierównie większą łatwością, aniżeli na blaszce miedzianej, a wykończony na nim rysunek za pomocą osobnej prasy na papierze wyciskają i to zowie się litografowaniem.

Senefelder, Bawarczyk, jest wynalazcą tej nowej sztuki rysownictwa, którą do Anglii dopiero roku 1801 wprowadzono. Czystość, piękność i dokładność litografowanych robót zależy po większej części od dobroci kamieni, która pod względem żądanej przez artystę twardości i jednostajności, bywa nader rozmaita.

Najlepsze kamienie litograficzne znajdują się w Papenheimie koło Ratzbony, i na nich ukazały się pierwsze próby tego wynalazku. Z wprowadzeniem sztuki litografowania do Polski, Francyi, Anglii i t. d. doświadczano w tym celu krajowych kamieni, których jednakże przymioty dotąd nie wyrównały zagranicznym. Zwyczaj-

ną ich wadą są żyłki szczelin i miejsca z grubszym ziarnem.

Kamienie do litografowania przeryniają na tablice kwadratowe lub prostokątne na 3 lub 4 cale grube, dowolnej długości i szerokości. Tę powierzchnię, na której ma być rysunek wykonany, doskonale gładzą i polerują. Po odbiciu pewnej liczby egzemplarzy, rysunek ścierają piaskiem, a kamień nanowo polerują pumeksem i inny na nim rysunek rozpoczynają. Tym sposobem jeden kamień może służyć artyście na długi przeciąg czasu.

*Ant. Waga.*



# POEZJA.

## 125. Jezus i dzieci.

Już zmrok wieczorny szarawym cieniem  
Świętego miasta mury otoczył,  
Gdy Jezus, strudzon dziennem uczeniem,  
Przed mnogim tłumem na stronę zбочzył.

Siedział i myślał: myślał o niebie,  
Z którego zstąpił, aby ludzi zbawić,  
Myślał o Ojcu, któremu siebie  
I swą krew wszystką w ofierze miał stawić.

Wtem kilka świętych matek zbliża się do Niego,  
Prowadząc swe dziateczki: jedno, dwoje, troje,  
I proszą Go nieśmiało, by zlał na nich swoje  
Święte błogosławieństwo. Lecz uczniowie Jego,  
Widząc jak zmordowany, matki odpędzali,  
I drobnutkim dziecinkom iść precz rozkazali.

Matki i dzieci zląknione,  
Drżąc, odchodziły na stronę.

Lecz Jezus je zatrzymał, a pieszcząc dzieciny,  
Z niebiańską łagodnością te rzekł uczniom słowa:  
«Pozwólcie! niech maluczcy do mnie przystęp mają,  
Gdyż mówię wam: ci nieba uciech nie doznają,  
Którzy, jak one, nie będą bez winy.»

## 126. Wskrzeszenie Łazarza.

(Z «Legendy Wieków» Wiktora Hugo).

Chrystus w onczas nauczał w Judei. Widziano,  
Jak niewiastę uleczył srodzę opętaną,  
Jako uzdrawiał głuchych i trąd zastarzały.  
Kapłanów rzesze na to pokątnie szemrały.

Gdy do grodu świętego wracał z ziemi owej,  
W Betanii zmarł Łazarz, człek cnoty surowej,  
Brat Maryi i Marty. Marya na nogi  
Chrystusa złała niegdyś nard wonny i drogi,  
Całując je, włosami swojemi otarte.  
Chrystus kochał Łazarza, Maryę i Martę.  
Ktoś rzekł Mu: «Łazarz umarł.»

Nazajutrz nad ranem,  
Kiedy tłumy narodu stanęły przed Panem,  
Jął On zakon wykladać, księgi i symbole,  
Jako Job i Elias; rzekł przez parabolę:  
«Ten, kto w ślady me idzie, aniołem się staje.  
Ów pątnik, co w skwar dzienny przez nieznanne kraje  
Idzie, nie widząc studni ni gospody wkoło,  
Gdy nie wierzy, pod wieczór schyli smutnie czoło,  
Znużony, bez oddechu pada. A ten zasię,  
Co wierzy mocno we mnie, może w tymże czasie  
Iść dalej; siły jego w trójnasób urosną!»

I po chwili milczenia, rzekł do uczniów głośno:  
«Dziś Łazarz, nasz przyjaciel zmarł. Więc idę oto  
Obudzić go.» A ucznié rzekli: «My z ochotą  
Pójdziemy, gdzie Ty pójdiesz.»—Z grodu Salomona  
W Betanii się staje, gdy dzień trzykroć skona.  
I szedł Chrystus. A często rzesza ta widziała,  
Gdy kroczył, szatać jego była taka biała  
I promienna, jakoby pierś nieba otwarta,  
Na spotkanie Jego pierwsza wyszła Marta.  
I do stóp Mu przypadłszy, rzekła, tłumiąc łkanie:  
«Łazarz nie zmarłby wcale, gdybyś był tu, Panie!»  
I potem jęła z płaczem: «Duch uleciał... przeto  
Spóźniłeś się!» Pan odrzekł: «Co ty wiesz, kobieto?  
Czyż żniwiarz tajnie żniwa tu powierza komu?»

Maryja była zasię pozostała w domu.

Marta więc zawołała; «Przyjdź, Pan wzywa-ć przecie!»  
 Gdy przyszła: «Czego płaczesz?» rzekł On tej kobiecie.  
 Marya u stóp Chrystusa jęła: «Żywot w Tobie!  
 O, gdybyś był tu, brat nasz dziśby nie był w grobie!»

Jezus na to: «Jam Żywot i Światłość. Zaiste,  
 Kto za mną z wiarą idzie, szczęście ma wieczyste;  
 Kto wierzy we mnie, z grobu zmartwychwstanie jeszcze.»  
 A Tomasz Dydym słyszał słowa Pańskie wieszczę.

I Chrystus, przy swym boku mając Piotra z Janem,  
 Do Żydów rzekł, co w mnóstwie przyszli niesłychanem:  
 «Gdzieżeście go złożyli?» I rzekli Żydowie,  
 Wskazując na dal: «Pod borem, w ciemnym tym parowie,  
 Przy tym oto potoku, co mknie w dół ze skały,  
 Grób jego.»

Chrystus płakał. A tłumy wołały:  
 «Patrzcie, jak On go kochał! Lecz rzecz niepojęta,  
 Jak Ten, co moc ma taką, iż szatany pęta,  
 I wygania ich, jak głoszą od lat już wiela,  
 Śmierci porwać dozwolił swego przyjaciela?»

Marta Chrystusa wiodła do grobu. Na grobie  
 Spoczywał kamień. Marta mówiła: «My obie  
 Wierzimy w Ciebie, Panie, jak Piotr z Janem; ale  
 Od dni czterech on leży tam, w tej oto skale.»

A Jezus rzekł: «Niewiasto, milcz! Za chwilę małą  
 Padniecie na twarz wszyscy przed Wiecznego chwałą.»  
 I dodał: «Niech ten kamień ciężki z grobu spadnie!»  
 Kamień zdjęto, a wtedy grób ujrzano snadnie.

Jezus oczy ku niebu wznosił i szedł wspaniale,  
 Gdzie owity całunem trup spoczywał w skale,  
 Jakoby wór ze złotem lichwiarza. Piorunem:  
 «Łazarzu!» Chrystus zagrzmiał, schylon nad całunem.

I oto umarły powstał: nogi mu się chwiały,  
 Bowiem, zwyczajem Żydów, był w całunach cały,  
 Przytulił więc do muru skrępowane ciało,  
 Chrystus rzekł: «Rozwiążcie go i niech idzie śmiało.»

I Żydów tłum nawrócił taki cud widomy.  
 A wtedy się zebrałi u pretora Romy  
 Kapłani, jak w prorocत्वach stało to od wieka,  
 «Chrystus, mówili, z grobu wywołał człowieka;  
 Grób rozwarł się, tłum Żydów sam ci to opowie,»  
 «Tak, więc na śmierć Chrystusa!» — wołali Żydowie.

*Przekład Kl. Pod.*



127. Jerycho <sup>1)</sup>.

Przez lat czterdzieści szli drogą pokuty,  
Przez lat czterdzieści milczeli pod młotem,  
I pierś ich w ogniu, jako pancierz kuty,  
Jeno się głuchym skarżyła łoskotem,  
Aż własnem ciałem stali się pancerni:  
Kruszył się na nich oszczep nakształt cierni.

I ducha swego nie trwonili w słowach,  
Siedział on w głębi zasklepiiony twardo,  
I ledwie czasem z rękoma na głowach,  
W cieniu siadali milcząco i hardo.  
A gdy ich boleść do żywa dojadła,  
To z chmurnych oczu ledwie łza im spadła.

Nie frymarczyli oni łzą, ni skargą,  
Nie rwali dłoni, nie miotali włosem,  
Ale zaciętość stała przed ich wargą,  
Każdy drżał w sobie skamieniałym głosem,  
A na dno duszy swej to tylko składał,  
Co w strasznych grzmotach groźny Bóg wygadał.

I z tą potęgą tajonego wnętrza,  
Jako tułacze przyszli do Jerycho;  
Stoma wieżami ono się napiętrza,  
Cielesnej siły zbudowane pychą,  
A w swoim łonie kryje lud plugawy,  
Lud zzwierzęcony, bez jutra, bez sławy.

Izrael, widząc kraj polisty, śliczny,  
Wyborny Liban, rozłóg za rozłogiem,  
Podniósł krzyk wielki, straszny, jehowiczny:  
«Chwała naszemu Bogu, miecz nad wrogiem!»  
Krzyk ten, z głosami trąb zmieszany razem,  
Uderzył w mury miasta, jak żelazem.

---

<sup>1)</sup> Jerycho, dziś Recha, zwane w biblii miastem palm, na zachód od Jordanu, należało do pokolenia Benjamina.

Nie dotrzymały one tego ciosu:  
 Runęły baszty, rozwarły się bramy —  
 Izrael zdobył je potęgą głosu,  
 Z wzniesionym mieczem poszedł przez rozłamy,  
 I nie zostawił już nic w grodzie onym,  
 Prócz krwi i węgla stosu.

K. U.

## 128. Boże Narodzenie.

Północ—wybiegła gwiazda, siejąc światła strugi,  
 Błękit nocny zapłynął promiennemi smugi,  
 Rój aniołów obliczem dotknął ziemi progu,  
 «Hozanna!» wkrąg zabrzmiało zrodzonemu Bogu.

W stajence Betleemu leży Boże Dziecię,  
 Garść siana mu pościółką, ze żłoba okrycie;  
 Dziewica Jego Matką, starzec opiekunem,  
 Cichy pokłon pasterzy—narodzin zwiastunem.

Lazur goreje luną; niebiosa rozwarte,  
 Złotoskrzydłe cheruby, serafiny w ruchu...  
 Tajemnicy odwiecznej już zasłony zdarte...  
 Gołąbka ponad ziemią buja skrzydłem białem.

Wielbią Ojca; świat słucha o Synu i Duchu,  
 A ziemia głosi: «*Słowo już się stało ciałem!*»

B.

## 129. Chleb.

(Podług podania klasztoru Oliwskiego).

Kazimierz panował, ze szczepu Piasta  
 Ostatni potomek męski,  
 Gdy pada klęska na wioski, miasta,  
 Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parnem,  
 Z długiego słabła pragnienia,  
 Nie wypłaciła jesieni ziarnem  
 Wziętego wiosną nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,  
 Że Polak, co z łaski nieba  
 Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,  
 Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków swemu ludowi  
 Królewskie śpichrze otworzył;  
 Lud błogosławił temu królowi,  
 Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,  
 On widząc powszechną nędzę,  
 Gdzie nie mógł swego dorzucić ziarna,  
 Hojnie posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,  
 Wisły przepasana wstążką,  
 Czołem się w wodach Bałtyku myła,  
 Stopę oparłszy o Szląsko.

A tak powszechny był niedostatek,  
 I wszędzie równe potrzeby,  
 Że nie do wszystkich dojść mogły chatek  
 Pańskie pieniądze i chleby.

W onym to roku powszechnej nędzy,  
 Gdy z głodu naród umierał,  
 Był panek: zdzierstwem wiele pieniędzy  
 I ziarna wiele nabierał.

I choć zamożny z łońskiego <sup>1)</sup> zbioru,  
 W kmiecią siermięgę się przebrał,  
 Do Oliwskiego chadzał klasztoru,  
 Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,  
 Chleb niosąc w zawoju szaty,  
 Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta  
 Z przydrożnej wybiegła chaty.

<sup>1)</sup> Przeszłorocznego.



I woła: «Ratuj! jam z głodu chora,  
 Pan Bóg ci będzie odpłatą,  
 Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru  
 Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, posil niebogę,  
 Jeżeli serce masz człeka;  
 Ja stara jestem, ranną mam nogę,  
 Droga do miasta daleka.»

«Babo! rzekł panek, pokój daj święty,  
 I nie zatrzymuj mię w drodze.»  
 I znów litością niby przejęty,  
 Dodał: «Zawiodłaś się srodze:

«Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty,  
 «U nas bo kamień jest rzadki,  
 «A mam na rzece budować mosty,  
 Co płynie wedle mej chatki.»

Na to niewiasta: «Człeku! tyś skłamał,  
 Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;  
 Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,  
 Boże! w kamienie mu zamień!»

Ledwico rzekła, panek postrzega,  
 Ze chleba bochen ocieżył;  
 Ciężarem swoim ramię przylega,  
 Na twardy kamień bo stężył.

Struchlał, czołem na ziemię padł,  
 Inne prowadził już życie;  
 Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,  
 Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym ganku  
 Wisi ten kamień na ścianie;  
 I głośna powieść o skąpym panku  
 I o cudownej krąży przemianie.

*Adam Górczyński.*

### 130. Błogosławiony Sadoch.

Kędy przeleci Tatarzyn dziki,  
Szlak swój naznacza krwi Polskiej falą,  
Co noc to szerzej łuny się palą,  
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.  
Już na popiołach zielsko zarasta,  
Już kości trupów w polach bieleją,  
A jeszcze nowe wioski i miasta  
Kapią się we krwi i popieleją.

Wróg swe zagony dalej zapuszcza,  
Morduje, łupi, więzi, bezcześci,  
A jak donoszą codzienne wieści,  
Że już w Lublinie pogańska tłuszcza.

Niepłonne wieści popłoch rozszerza,  
Zwiastuny nieszczęść lecą przed wrogi,  
Imożna szlachta, i kmieć ubogi,  
Tłumem się sparli do Sandomierza.

Bo w Sandomierzu pewniejsze wsparcie:  
Zamek kamienny, wysokie wieże,  
Gruby ostrokół warowni strzeże,  
A zbrojny zastęp stoi na warcie.

Nad Sandomierzem poranek płynie;  
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,  
Że w całym mieście, w całej krainie  
Z żadnej się piersi głos nie dobędzie.

Tak głucho w mieście w porannej chwili,  
Że ci, co bramy zamkowej strzegą,  
Mogliby słyszeć szelest motyli  
I liczyć bicie serca własnego.

Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi,  
Dzwonek kościelny, milczenie budzi.

Rój Dominika zakonnych braci  
Niedawno jeszcze w tych stronach gości,  
A już sercami narodu włada;  
Już lud cudowne rzeczy powiada  
O białych szatach, świętej postaci,  
Nauce, cnotach i pobożności.

I teraz nawet Pańscy kapłani,  
Znosząc odważnie postrach powszedni,  
Co się wokoło rozchodził wszędy,  
W bezludnem mieście zostali jedni,

I w swoich celach modłom oddani,  
Sprawują śmiało święte obrzędy.

Dzwonią na jutrznię i całą duszą  
Na ranne modły do chóru śpieszą;  
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,  
Z okiem pobożnie utkwionem w ziemię,  
Młodszy na przedzie, starsi za niemi,  
A dalej starzec, ich przełożony.

Imię mu Sadoch, i lat już wiele,  
Jak nosi szatę swego zakonu,  
Jak niesie modły do niebios tronu  
I ostrą włosień nosi na ciele.

Z młodu wiódł żywot nie mniej surowy,  
Bo, dzieląc Jacka z Czesławem trudy,  
Przebiegał bosy pogańskie ludy  
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.

A choć mu teraz prace i lata,  
Zbieliły brodę, zorały czoło,  
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło,  
Ogłaszać wiarę na krańce świata.

Ale starszyzna wolą niepłonną,  
Dała mu w rządy ludność zakonną,  
Czterdzieści dziewięć zakonnych celi;  
Tyle w nich braci; w ustawach ściśli,  
Może ni jednej światowej myśli,  
Może jednego grzechu nie mieli;  
Bo pod świętego starca rozkazem,  
Zajęci pracą swojego stanu,  
W postach, modlitwie, ostrej pokucie,  
Tłumili każde ziemskie uczucie,  
A duch każdego był świętym w Panu.

I otóż wszyscy, z świętym wyrazem,  
Zasiedli w chóru ciemnym sklepieniu;  
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba  
I wszystkie usta zabrzmiały razem:  
«Boże! Ty pośpiesz ku wspomózeniu,  
Panie! ratunku Twego nam trzeba.»

I dalej modły wyznawców Pańskich,  
W jedno donośne spłynęły brzmienie;  
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,  
Jak gdyby jednej piersi westchnienie.

Bo ich uczucia w jedno się złąły,  
Jedna w nich żądza niebieskiej chwały.



Zmilkła na chwilę cała gromada,  
I wedle ustaw, najmłodszy z grona  
Czyta tych Świętych Pańskich imiona,  
Których pamiątka dzisiaj przypada.

Miał już zakończyć... Cóż to? błąd oka?  
Zdjęła go trwoga, przytomność traci,

Widzi w swych ręku cud oczywisty:  
W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:

«Dziś w Sandomierzu męka Sadocha,  
A z nim czterdziestu dziewięciu braci.»

Przeczytał słowa. «Cóż to on gada?»

Woła z podziwem cała gromada,  
I wszyscy śpieszą oglądać głoski,  
I wszyscy widzą wielki cud Boski.

Wtem znikły z karty wyrazy wieszce,  
Jak sługi Boże poginać miały,

I znowu w chórze modły zabrzmiały,  
Jeszcze gorętsze i szczerze jeszcze.

Po modłach Sadoch z twarzą radosną,

Do najmłodszego przyszedł kapłana,

I pełen skruchy padł na kolana,

I świętą spowiedź odprawił głośno.

Potem każdemu bratu koleją,

Rozwiązał grzechy, udzielił rady,

Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją

I świętym chlebem Pańskiej biesiady.

I znów przed Zbawcy klękli obrazem;

Jak niegdyś Chrystus za dusze zbójcze,

Święci wyznawcy wołają razem:

«Nawróć ich, Ojcze! przepuść im, Ojcze!»

I otóż wieczór, już po nieszporze;

Sadoch ze swemi w środku kościoła

Kłęczy na ziemi, do Maryi woła,

I pieśń Maryi nuci w pokorze:

«Zawitaj, królowo! o! Matko i Pani!

Zawitaj, o! nasza nadziejo!

Do Ciebie Adama synowie wygnani

Z ziemskiego padołu, ze łzawej otchłani

Wzdychają i gorzkie łzy leją.

Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,  
 I burze szaleją, i gromy w nas biją,  
 Zwróć ku nam Twe oczy! o zwróć miłosierdzie!  
 Ku wsparciu nam pośpiesz, Maryo!»

Wtem z trzaskiem wrota kościelne pękły;  
 Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,  
 Wyrznawszy w zamku naród przelękły,  
 Wpadł z dzikiem wrzaskiem na dom modlitwy.

Jedni już łupią ołtarze Boże,  
 Drugich zbójecka wściekłość rozżarza,  
 Zaczerwienione krwią ludzką noże  
 Wpychają w serce sługom ołtarza.

Tryskają z piersi krwawe fontanny,  
 I białe szaty szkarłatem broczą;  
 Święci pod noże idą ochoczo,  
 I kończą pieśnią Maryi Panny:

«A owo po ziemskim wygnaniu tułaczem,  
 Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,  
 Niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,  
 Niech Jego najświętsze oblicze obaczym.

Twe Dziecię nam ukaż, o! Matko!  
 Na łonie Jezusa światłością odziani,  
 Odetchną strapieni, umarli ożyją,  
 Lecz módl się za nami, o! Matko! o! Pani!

O! słodka Dziewico, Maryo!»

*Wł. Syrokomla.*

### 131. Smok Wawelski.

Kiedy z grzbietu twardego Wawelskiej opoki,  
 Chciano zamek monarszy wynieść pod obłoki,  
 Znała w gruncie zachwiane rozpękły się skały;  
 Wyszła na jaw potwora — i ludy zadrżały.  
 Nic groza srogich niebios w swym gniewie zaciekła,  
 Nic równie okropnego nie wydały piekła:  
 Syk padalca, złość żmii, krwią nadętę oczy,  
 Paszczę lwa, kadłub wilka, ogon miała smoczy;

A buchający z nozdrzy oddech zaraźliwy,  
 Przeistaczał w pustynie najżyźniejsze niwy.  
 Codzień, gdy wyszła z pieczar, głodem przyciśnięta,  
 Ginęli w ciężkich mękach ludzie i zwierzęta;  
 Codzień, piekące w gardle chcąc zalać pragnienie,  
 Krwi hojnie wytoczonej chłonęła strumienie.

Już lud przez nieustanne nękany rozboje,  
 Drogim z bydła okupem dni ocalał swoje;  
 Już z trzód nieprzeliczonych padał wół po wole,  
 Już leżały odłogiem nieuprawne role:

Wtem Krakus, gdy kres nadszedł oplakanej chwili,  
 W której haracz potworze ziemianie znosili,  
 Kazał rzucić przed jamę bydłęta udane,  
 Węgłem, siarką i smołą obficie wypchane.

Smok, którym sprośność głodu pomiatała dzika,  
 Mniemane ciała zwierząt z chciwością polyka.  
 Wnet poczuł zgubny podstęp—wściekłość go ogarnia,  
 Ryk okropny straszliwa wyciska męczarnia;  
 Nadaremnie, chcąc ogień w swem ugasić łonie,  
 Paszczą, żarem zionącą, nurty Wisły chłonie,  
 Napróżno błąd postrach rozsiewa dokoła:  
 Wre siarka, płoną węgle, roztapia się smoła.

Wtenczas wyszedł mąż dzielny, na dni swe niepomny;  
 Dłoń jego pewną dziryt uzbroił niezłomny,  
 Pierś obcą wszelkiej trwodze pancierz okrył twardy;

Na ten widok smok wściekły cofa się ze wzgardy.  
 Już miotając ogniami, co w nim wiecznie płoną,  
 Roztworzył krwawej paszczy otchłań niezgłębioną;  
 Już okiem roziskrzonem lekką zdobycz tropił,

Wtem Krakus ostry dziryt w gardle mu utopił;  
 Ryknął z gniewu, z wściekłości, wszystkie zebrał siły,  
 Leci—wtem nowe ciosy w piersiach mu utkwily.  
 A gdy go dzielność męża, gdy boleść zajątrza,  
 Roztłony sztucznie pożar przenika mu wnętrza.

Jeszcze resztę sił zbiera potwora obrzydła,  
 Lecz ją ciężkie bez ruchu powściągają skrzydła:  
 Martwieje długi ogon, zatacza się szyja,  
 Tak osłabioną Krakus żelazem dobija.  
 Zaczerniła się ziemia od brudnej posoki,  
 A całą milę wstrętne przywalały zwłoki.

*Fr. Wężyk.*



## 132. Duma o Leszku Białym.

Od dworaków opuszczona,  
 Helena w stroju niedbałym,  
 Gdy syna trzyma u łona,  
 Co go zwano Leszkiem Białym,  
 Tak szerzy skargi płaczliwe  
 Na swe losy nieszczęśliwe:

«Ty się śmiejesz, dziecię lube,  
 Bo nie znasz twojej niedoli,  
 Nie znasz spisków na twą zgubę:  
 Oto z stryja twego woli  
 Wydarłać państwo niecnota,  
 A jam wdowa, ty sierota!

Zrodzony, byś berłem władał,  
 Dziś przewrotnych ludzi winą  
 Wszystkoś na świecie postradał,  
 Tułasz się, biedna dziecino!  
 Ja cię przytulę do łona,  
 Lecz skądże inna obrona?»

«Powściągnij łzy tve, królowo,  
 Zawołał Goworek stary <sup>1)</sup>,  
 Byłem ojcu radą zdrową,  
 Synowi dochowam wiary,  
 Póki dłoń ta mieczem władnie,  
 Żadna nań trwoga nie padnie.»

Pod czułym starca dozorem  
 Wzrastał w siły Leszek Biały  
 I szedł chlubnym Piastów torem:  
 Był sprawiedliwy i śmiały,  
 Zręczny w rycerskich gonitwach  
 I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje  
 Wzbudził nienawiść dworaków;  
 Przyszli na Leszka podwoje,  
 Mówiąc imieniem rodaków:

<sup>1)</sup> Goworek, wojewoda sandomierski.

«Oddal Goworka, korona  
Znowu ci będzie zwrócona.»

Królowa w modrzewim dworze  
W skromnej siedziała komnacie,  
I w skromnym była ubiorze,  
Nie miała złota na szacie.  
Przy niej, poselstwem zdziwiony,  
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary  
Tak ich zdumienie przerywa;  
«Przyjm, ksiązę, ludu ofiary,  
Panuj, kiedy lud cię wzywa;  
Niech kraj na tem nie szkodzi,  
Że mnie zawiść prześladowe.

Ja stary, władzy nie chciwy,  
Do skromnej ojców zagrody  
Wrócę, wygnaniec szczęśliwy;  
Ty długie uśmierz niezgody,  
A rządząc krajem potężnym,  
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

Jeśli za to, żem pracował,  
Los mi usłyszeć zostawi,  
Że tego, com ja wychował,  
Naród polski błogosławi,  
Nie umrę w cieniu mej strzechy  
Bez słodkiej w sercu pociechy.»

Wtem, gdy płakała królowa,  
Gdy we łzach wszyscy przytomni,  
Ksiązę odpowie w te słowa:  
«Leszek nigdy nie zapomni,  
Co winien sobie, krajowi,  
I co winien Goworkowi.

«Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,  
Gdym się tułał opuszczony,  
Dla mnie wygnańcem umierał.  
Nie chcę państwa ni korony,  
Nad blask, co berło udziela,  
Wyżej cenię przyjaciela.»

Nagrodziły nieba hojnie  
 Tę szlachetność, tyle męstwa;  
 Leszek, zwycięzca na wojnie,  
 Odzyskał wydarte księstwa.  
 Stary Goworek przy zgonie  
 Oglądał Leszka na tronie.

*J. U. Niemcewicz.*

### 133. Stary Zegar.

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła:  
 Dłoń ludzka w małej skrzynce bieg czasu zamknęła  
 I dzwonek dała mu w rękę.  
 W małej mosiężnej skrzynce żyje myśl nielada:  
 Coś porusza skazówkę, coś szypi, coś gada,  
 Coś dzwoni jedną piosenkę.

Zegar! ileż on zmierzył i minut i godzin!  
 Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,  
 I różnych doli człowieka!

A w zimnem jego sercu żelazna sprężyna,  
 Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,  
 Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając skazówką długich lat ogromy  
 Na krótkie mgnienie oka, na czasu atomy,  
 Mruczy i zrzędzi, jak stary:

«Nie gońcie za motylem, nie próżnujcie gnuśnie!  
 Do roboty! do czynu! bo hańba, kto uśnie,  
 Kto swej nie spełni ofiary!»

Zegar bije sekundę—to rodzi się dziecię;  
 Zegar bije sekundę—ktoś umarł na świecie!  
 Świat być w spoczynku nie może:  
 Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,  
 Z nowemi dążeniami, z myślami nowemi  
 Idą Twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,  
 Mówiliby: «To godzi, a to się nie godzi»

I strzegli starych cnót ziarna.  
 Wzbudź ich!—a który spełnił swoje powołanie,  
 Wedle sprawiedliwości błogosław mu, Panie,  
 Bo ich zasługa nie marna!

*Wł. Syrokomla.*



## 134. M a t k a.

Na zachodzie gasną zorze,  
 Dzień w obłokach dogorywa,  
 Anioł Pański o wieczorze  
 Do modlitwy cichej wzywa.  
 Płynie z wiatrem podzwonienie:  
 Tajemnicze, ciche głosy,  
 Stare drzewa, polne kłosy  
 Ślą wieczorne pozdrowienie.  
 Ptak w zielone gniazdo leci,  
 Liść mu szumi, cieką wody,  
 Świętojański robak świeci  
 I rzeźwiące wieją chłody.

Niestrudzony swemi laty,  
 Nim wieczorna spadnie rosa,  
 Idzie księżyc na niebiosa,  
 Na zwyczajne nocne czaty.  
 Już rozjaśnił blade czoło;  
 Krocząc zwolna po obszarze,  
 Liczy gwiazdy, niby wkoło  
 Rozstawione nocne straże.  
 Czas po dziennym spocząć znoju;  
 Sen przybędzie nieproszony:  
 Sen, jak woda w leśnym zdroju,  
 Płynie twardy, niezmacony  
 Ludziom pracy i pokoju!

Od złej woli, od przygody,  
 Od pożaru, nagłej szkody  
 Człek zabiega, ile może,  
 Resztę składa w ręce Boże.  
 Zaporami drzwi i wrota,  
 Jak należy opatrzone;  
 Ukończona już robota,  
 Więc i światła pogaszone.  
 O! już teraz gospodyni  
 Śmiało sobie wczas uczyni.

Tyle ruchu było w domu,  
 Teraz życia ani znaku;  
 W głos odetchnąć niema komu,  
 Cicho, senno, jak po maku.

Tylko jeden kąć izdebki  
 Nieprzerwany szelest rodzi,  
 Jak gdy biegun u kolebki,  
 Jednostajnym krokiem chodzi  
 W odmierzonej pewnej drodze  
 Tam i nazad po podłodze.

W późnej nocy, w sennej ciszy  
 Oko czuwa, oko słyszy,  
 Oko matki, pierś matczyzna,  
 Jak stróż Anioł strzeże syna!

W tychto nocach niewygody,  
 W tych godzinach bez spoczynku  
 Daje matka w upominku  
 Swoje trudy bez nagrody,  
 Pierwszą miłość dziecku swemu.  
 Miłość—tarczą przeciw złemu;  
 Miłość—gwiazdą, co w pomroku  
 Drogę życia mu rozświeci;  
 Miłość—rózdką, co przy boku,  
 Gdy już wszystkim liść obleci,  
 Na ostatniej już pościeli  
 Jeszcze skon mu rozweseli!

Któż zwyczajną liczbą zmierzy,  
 Ile matka łez wyleje,  
 Ile razy snu odbieży,  
 Nim odkarmi swą nadzieję?  
 Życie matki ciągłym trudem,  
 A tak wątła pierś kobieca!  
 Jakaż władza, jakim cudem  
 Płomień życia w niej podnieca?

Czyś ty w serca tajemnicę  
 Patrzał kiedy, jak w krynicę?  
 Czyś ty zbadał, jak się rodzą  
 Łzy boleści i w co godzą?  
 Czyś ty krążył w życia kole?  
 Czyś ty zbadał, kędy wchodzi  
 Skryte zioła, co nam słodzą  
 W jednej chwili długie bole?  
 Czyś ty widział te źrenice,  
 Te radości błyskawice,

Co nam troski i niedolę  
Jakby cudem rozpogodzą!

Patrz! już nie śpi robak mały;  
Bliźnie gwiazdy z pod powieki  
Wdzięcznem czuciem rozjaśniały,  
Jakby w zamian tej opieki,  
Którą w matce przez noc miały;  
Coraz milej, coraz szczerzej  
Oczy w matkę się wpatrują,  
A z usteczek otworzonych  
Drobne słówka wylatują,  
I rączęta, jak bliźnięta,  
Pośród pieszczot nieuczonych  
Szyję matki obejmują!

O! już teraz nie chcesz pytać,  
Jakim cudem trwa to życie;  
W licach matki możesz czytać  
Tweje zagadki rozpowiecie;  
W tej przed chwilą smutnej twarzy,  
Na tej skroni troską bladej  
Żadna boleść się nie skarży,  
Bezsensowności starte ślady.

*Zakrzewski.*

### 135. Najpierwsze szczęście.

Gdy raz pierwszy dziecina  
Słabe wzniosła powieki,  
Głos muzyki dalekiej  
Powtarzała dolina.  
Drżało światło jutrzeńki,  
Słowik śpiewał w ukryciu  
Najpiękniejsze piosenki  
W najpiękniejszym dniu w życiu.

Blaskiem zorzy rumianej  
Rozjaśniały się ściany,  
Coraz więcej promieni  
Dziecku w oczach się mieni.  
Kędy rzuci oczyma,  
Na kim oko zatrzyma,  
Wszyscy w świecie koleją  
Wciąż się przed nim słaniają,



Ci na palcach się czają,  
Ci się patrzą i śmieją.

Coś mu dzwoni nad główką,  
Coś, co cieszy serduszko,  
Więc nadstawia swe uszko,  
Chwyta słówko, oj, słówko,  
Głos rodzimy, jedyny,  
Samem brzmieniem zachwyca  
I dobywa na lica  
Pierwszy uśmiech dziecińcy.

Ranny wietrzyk przewiewa  
I roznosi na fali  
Słodką, lubą woń drzewa,  
Bzu i leśnej konwalii.  
Matka daje uśmiechy,  
Ludzie miłych słów dźwięki,  
Gaj wonności oddechy,  
Miły słowik piosenki.  
To i wszystko, co w świecie  
Najpiękniejsze, jedyne,  
K'czemu śmieje się dziecię  
W pierwszą życia godzinę!

O! ukochaj na wieki  
Ten głos pieśni dalekiej,  
Te poranka wonności,  
Te uśmiechy miłości.  
O! zatrzymaj w swem oku  
Obraz matki kochanej,  
Ciemne chatki twej ściany,  
Srebrne wody potoku!  
Niech w twej myśli dziecięcej  
Nie powstanie nic więcej,  
Tylko matki oblicze,  
Jak słoneczko pogodne!  
Tylko pieśni słodczyce,  
Tylko tchnienie swobodne!

Niech te cuda prawdziwe,  
Za którymi nic niema,  
Twoje serce zatrzyma  
Zawsze jasne, jak żywe.

To i będzie ci znośnie,  
 Życie czyście przebieży;  
 A jak burza cię chłóśnie,  
 To cię tylko odświeży.

T.

### 136. Wieczór Kochanowskiego w Czarnolesiu.

W ustronnem Czarnolesiu, od zgiełku daleki,  
 Pod lipą gałęzistą, co przetrwała wieki,  
 Siedział bard zasmucony, trzymał lutnię w rękę  
 I chciał smutek odpędzić odgłosem jej dźwięku.  
 Chciał zabrząknąć wesoło, ta zacznie opacznie;  
 Zgodził ją wreszcie z sercem i tak śpiewać zacznie:  
 «Gdzieżeś słońce, coś światła lało na nas zdroje?  
 Znikło, jak wiek mój młody, jak szczęsne dni moje;  
 Znikło... tylko rumiane pozostało zorze,  
 Co już ziemi pokrzepić i ogrzać nie może...  
 W porannej życia chwili mógłżem się spodziewać,  
 Że dziś zamiast pociechy, będę łzy wylewać?  
 Zdawało się, gdym jeszcze dzielny był młodzianem,  
 Że świat słucha mych skinień, żem ja jego panem...  
 Zniknęło omamienie, przyszła troska z wiekiem,  
 Wkońcu się pokazało, żem słabym człowiekiem.  
 Nie pragnąłem bogactwa i zawsze mawiałem,  
 Że ten tylko szczęśliwy, kto przestał na małym;  
 Skromną ojców dziedzinę uprawiałem z żoną,  
 Nie zazdroszcząc bogaczom, którzy w zbytkach toną;  
 I dotądby mi błogo upływało życie,  
 Gdyby nie ty, Urszulo, ukochane dziecię!  
 Niebiańskiem, prawda, szczęściem błysnęłaś na chwilę,  
 Ale i ziemskie zgasło przy twojej mogile.  
 Jakaż tu cichość! słowik tylko nuci w krzaku.  
 Musiałaś i ty stratę ponieść, nieboraku!  
 Głos by twój nie przenikał, nie byłby rzewliwy,  
 Gdybyś nie znał, co smutek, gdybyś był szczęśliwy.  
 Ale jednak twa żalność mej zrównać nie może,  
 Ja utraciłem dziecię nadobne i hoże,  
 Co już tyle rozsądku, tyle czucia miało,  
 Które ja tak kochałem, co mnie tak kochało!  
 Tyś szczęśliwszy, puściłeś dzieci w przestwór świata,  
 Jużes o nie spokojny, nie wiesz, co ich strata;

Inny cię może smutek, inna troska gnębi;  
 Lecz cios z utraty dziecka tkwi w sercu najgłębiej.  
 Żono! jakże ja tobie zazdroszczę tej siły!  
 Gdy nam znikła Urszula, łzy ci się puściły,  
 Ale wszystkie swe myśli utopiłaś w niebie.  
 Chciałem, kochana żono, naśladować ciebie.  
 Próżne usiłowania: mnie ogień pożerał,  
 Ja nurzałem się w przepaść, gdy Bóg ciebie wspierał.  
 Przecież rozum wziął górę, srogi szal przeminał  
 I na mnie promień łaski z górnych źródeł spłynął.  
 «Pocóż tyle rozpaczysz?—rzekłem pocieszony—  
 I w jakieżto Urszula moja poszła strony?  
 Do Ojca najlepszego, co nas wszystkich wzywa,  
 I mamże łzy wylewać, gdy ona szczęśliwa?  
 Oschną te łzy na kwiatach, niech oschną i moje,  
 Myślą o Panu światów cierpienie ukoję;  
 Pan dotknął śmiertelnika; święta woła Pana,  
 Wejrzał znowu na sługę, zgoiła się rana.  
 Pan od nas lubie dziecię powołał do siebie,  
 Pan uległych swej woli może złączyć w niebie.  
 Co widzę? mą Urszulę z wianeczkiem na głowie,  
 Jaśniejącą w światłości niosą Aniołowie,  
 Jaki wyraz na twarzy! o! jakże szczęśliwa!  
 I ojca stroskanego do siebie przyzywa.  
 Ach! poczekaj, dziecino, jeszcze chwilę,  
 Niech łez kilka uronię na twojej mogile,  
 Niechaj myślą o tobie z żoną się napieszczę,  
 Niech Panu z długów moich wypłacę się jeszcze,  
 A potem...» Tu bardowi struny się zerwały,  
 Znikły wdzięczne marzenia, łzy tylko zostały.

*S. Jachowicz.*

## 137. Poranek w stepie Kirgizkim.

Dniało.....

Poranny wietrzyk szumiał po trawie;  
 W słupach się wzniosły muszki brzęczące,  
 Zaklekotały wdali żórawie,  
 A promień, którym błysnęło słońce,  
 Jaśniał po całej stepów przestrzeni  
 I na miliony rozbrył promieni.



I wszystkie krople błyszczącej rosy  
 Ogniem życiem dyamentu grały,  
 I wszystkie ptasząt zbudzone głosy  
 W jednego hymnu ton się zlewały.

Chcąc czuć ten obraz wielki, wspaniały,  
 Trzeba kapłanem być tej świątyni,  
 Trzeba się rodzić synem pustyni!

Jeździec powitał pienia wschód słońca...  
 Z szerokich piersi nuta lecąca,  
 Dźwięczna, doniosła, jak srebrny dzwonek,  
 Odbiła w niebo,—i jak skowronek,  
 Zawisła w górze, aż drżąca cała,  
 Spadając zwolna tony niższemi,  
 Jak deszcz wiosenny zeszła ku ziemi  
 I gdzieś w dalekiem echu—skonowała.

Ó, dziwna nuto pieśni Kirgizkiej...  
 Melancholijna—jak te płaszczyzny,  
 Dzika—jak krwawej zemsty pociski,  
 Rzewna, jak tęskność do pól ojczyzny.  
 Gdy cię pierś męska z siebie wylewa,  
 Cała natura wytęża słuchy:  
 Niebu się zdaje, że to step śpiewa,  
 Ziemi, że nuca niebieskie duchy;  
 A śniąc od wieków w łonie kurhanów,  
 Dusze praojców, naddziadów, stanów,  
 Słyszac znajome i bujne dźwięki  
 Rodzinnej, tęsknej stepów piosenki  
 Budzą się ze snu;—i śpiew zbłąkany  
 Z ust do ust echem sobie podają,  
 Coraz lżej... ciszej... bo im kurhany  
 Starsze, tem słabiej, wolniej śpiewają,  
 Aż dźwięk ostatni staje się ciszą...

*Gustaw Zieliński.*

### 138. Łódź w Pieninach <sup>1)</sup>.

Znasz ty Boga na niebiesiech,  
 A krainę znasz po Bogu?  
 Lud po dołach i po lesiech,  
 I pług Piastów na rozłogu?

<sup>1)</sup> Pieniny, część Karpat ponad rzeką Dunajcem.

I czy znasz, ty bracie młody,  
 Te spienione górskie wody,  
 Z tym oddechem, z tym uśmiechem,  
 Jakim Bóg je tylko darzy  
 I o których serce marzy?

Jeśliś miłość pił u zdroju  
 Żywych uczuć,—a w przyjaźni  
 Poznał człeka, a lud w znoju,  
 A skarb duszy w wyobraźni;  
 Jeśliś kochał, walczył, wierzył,  
 Poznał prawdę, stwierdził w czynach,  
 Przebrnął morze, świat przemierzył, —  
 Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.

Jak cudowna modra żmija,  
 Hen! Dunajec <sup>1)</sup> się przewija;  
 Jak odwieczne grają dumy,  
 Tak tam szumią jego szумы.

Jak dwa mury, w pion dwie skały:  
 W górze niebo, w dole woda,  
 Łódka szybka, jak myśl młoda,  
 A na łódce sternik śmiały.

Stara orłów to dziedzina:  
 Tutaj Czorsztyń <sup>2)</sup>, tam Niedzica <sup>3)</sup>,  
 Nowotarska, hen! dolina,—  
 Nad Tatrami łąskawica.

A tu stoi łódź u brzegu:  
 Góral wita cię z uśmiechem;  
 Nie myśl długo, skocz z pośpiechem  
 I płyn, bo już łódka w biegu:

---

<sup>1)</sup> Dunajec, rzeka w Galicyi, wypływająca z Tatr. Ma dwa główne źródła: *Czarny* Dunajec, wytryskujący ze skały w dolinie Kościeliskiej, i *Biały* Dunajec, płynący z borów Zakopanego; oba łączą się pod m. Nowym Targiem. — <sup>2)</sup> Czorsztyń, zamek w Karpatach, na granicy Węgier i Galicyi, w obwodzie Sądeckim, o pięć mil od Nowego Targu. Zbudowany nad Dunajcem na wyniosłych skałach czerwonych, pionowo prawie wznoszących się. — <sup>3)</sup> Niedzica, zamek w Karpatach, na Spżu, w dzis. Król. Wegiersk.

Gdy cię chwycą modre tonie  
 I na przepaść łódka zbieży,  
 Silniej drgnie ci serce w łonie,  
 Mocniej dusza twa uwierzy  
 W skarby ziemi, w skarby nieba,  
 W siebie, w Boga i w człowieka;  
 I uczujesz, że potrzeba  
 Wierzyć, kochać było z wieka  
 Ziemię, Boga i człowieka.

Modre tonie i kipiele  
 Gdy zagrają wkoło ciebie,  
 Tak ci porwą duszę śmieie,  
 Jakbyś skrzydła miał i w niebie  
 Miał się oprzeć na tej łodzi,  
 Jakbyś w chmury z tej powodzi  
 Miał wylecieć z łódką społem  
 Nie żeglarzem, lecz aniołem.

Skarby chowa ziemia lacka  
 I piękności, co Bóg stworzył;  
 Dziwnie cudne ziemskie cacka  
 Dał nam Pan Bóg, abyś ożył  
 Wielkim duchem w ojców ziemi  
 I szedł torem za lepszymi!

*W. Pol.*

### 139. Wigilia Bożego Narodzenia.

Jakiż blask od kuchni świeci!  
 Istne piekło, gwar i krzyki:  
 Jak szatany mkną kuchciki,  
 Miotła iskier w komin leci.

Dom się, widzę, dobrze zbroi:  
 Kadź z rybami wielka stoi,  
 Tuż przed kuchnią i dzik leży,  
 Co go sągiem nie przemierzy.  
 Tuż przy dziku legł pies karny,  
 A na kołku cztery sarny;  
 A pośrodku między niemi  
 Kozioł rogiem sięga ziemi;  
 Będzie tego i na jutro,  
 Jak to wszystko w kuchni utrą.



«Pochwalony!» «—A, witamy  
 «Gości naszych u tej bramy!  
 «Witaj bracie i sąsiedzie!  
 «W ruchu cała dziś drużyna,  
 «Więc zasiądźcie u komina.  
 «Do apteczki nie powiedzie  
 «Dziś gospodarz, bo na niebie  
 «Gwiazdy jeszcze nie zabłysły;  
 «Więc wybaczcie, dziś post ścisły,  
 «I nie witam dziś po chlebie,  
 «Bo gdy taka w niebie rada,  
 «To dopełnić nam wypada  
 «Tych obrządków za drugimi  
 «Jak obyczaj niesie ziemi.»

Jak obrządek każe dzienny,  
 Snopy wnosi nam gumienny,  
 Bo trza chleba do wesela —  
 I sam siankiem stół zaściela,  
 W pamięć żłobu Zbawiciela;  
 I po kątach snopy stawia,  
 I coś zcicha błogosławi.

Plastry miodu w wielkiej krobi  
 Stary bartnik sam sposobi,  
 Bo we dworze, to nie w lesie.

Stadnik wie dzie sam żrebiątko,  
 Pastuch pierwsze to cielątko,  
 Owczarz pierwsze jagnie niesie;  
 A klucznica aż trzy kosze,  
 Gęś i kaczkę i kokosze,  
 Jeszcze w puchu z pisklętami,  
 Byście tu nie byli sami;  
 Bo niech Dziecię to nadobne  
 Chwali nawet pisklę drobne.

Więc ogrodnik jabłka wonne  
 Składa u stóp Pani Matki;  
 A pierniczki, te zakonne  
 Tłuczenniczki i opłatki,  
 Składa gwardyan sam na tacy;  
 Bo i *sacra* i *arcana*  
 W dniu tym wielkim Chrysta Pana  
 Mają starzy ci Polacy.

Krzyż wszystkiemu na początek,  
Bo od Boga wszego wątek!

Więc od krzyża i od słowa  
Ksiądz rozpoczął,—za nim głowa,  
Głowa domu słowo bierze.  
Przy opłatku się przeprasza  
Z całym domem w ojców wierze,  
Boć to bratnia uczta nasza;  
A że z wieka będzie po wiek  
Ta gromada wielki człowiek,  
Więc poczyna te biesiady  
Pan z opłatkiem od gromady.

Zadudniło coś na moście:  
Ktoś przed gankiem z bata pali, —  
Więc drzwi w oścież.—Goście! goście!  
Coraz pełniej w wielkiej sali.

Przełamali się pospołu  
I stanęli koło stołu, —  
A trzy krzesła, polskim strojem,  
Koło stołu stoją próżne;  
I z opłatkiem każdy swoim  
Idzie do nich spłacać dłużne:  
I pokłada na talerzu  
Anielskiego chleba kruchy;  
Bo w tych krzesłach siedzą duchy,  
Co z ojczyzną są w przymierzu.  
My ich widzimy, oni siedzą  
Razem z nami tu za stołem;  
Bo o dniu tym w sercu wiedzą,  
Więc go święcą z nami społem.

Nikt nie pyta, o kim mowa,  
Wszyscy wiedzą, co się święci  
I dla kogo serce chowa  
Wierną pamięć w tej pamięci.  
Łżą się uczta rozpoczyna,  
Niemo liczy się drużyna,  
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,  
Z nieobecnych i poległych.

Jak mgła czarna, tak przechodzi  
Myśl tej wielkiej głębi ducha;  
Ale Bóg się w ziemi rodzi,  
Więc powraca znów otucha.

Za oknami na dziedzińcu  
 Słysząc szepty i poswarki,  
 I migają się latarki,  
 I chłopięta stoją w wieńcu;  
 Aż już w blasku niespodzianie  
 W samym oknie szopka stanie:  
 I kolęda zabrzmie głośno  
 Pieśnią wielką i radośną.

Tedy wraca znów pociecha  
 I do serca, i do domu;  
 Gdy ten żłobek wita strzecha,  
 Jest i Boga witać komu.

Ach! bo jakież to nadzieje  
 Gwiazda światu zapowiada:  
 Bóg się rodzi, moc truchleje  
 I ciemnościom ziemi biada!

«Bóg się rodzi, moc truchleje,  
 «Pan niebiosów obnażony;  
 «Ogień krzepnie, blask ciemnieje:  
 «Staje w ziemi nieskończony  
 «I wzgardzony—staje z chwałą;  
 «I śmiertelny nad wiekami!  
 «A słowo ciałem się stało  
 «I mieszkało między nami!»

Jako wielki bezmiar morza,  
 Są posiane nasze łany;  
 Jak szeroko rosną zboża,  
 Tak szeroko śpiew ten znany:  
 W każdej chacie, w każdym dworze,  
 W każdym zamku i klasztorze  
 Grzmi po ziemi pieśń wesela  
 I witają Zbawiciela.

*W. Pol.*

## 140. Walka Polaków z Tatarami.

Dzielne było natarcie: tatarskie szwadrony,  
 Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,



I futra wywrócone, ogromne ich łuki,  
 Płeć śniada, wąsy zwiśle a czarne, jak kruki,  
 Ich nasepione rysy, przymrużone oczy,  
 W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy;  
 Cały ten widok wreszcie, w dzikość okazały,  
 Pożar stepów wokoło, świszczące już strzały,  
 Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,  
 Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.  
 Pędem burzy lecieli, lecz nim przyszło zblizka  
 Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,  
 Gdy wpółobręcz wpadali wstawionem prawidłem,  
 Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem.  
 «Ała—hu!»—wrzasły hordy i tysiączne roty  
 Na opasanych strute wypuściły groty.  
 «Hura!»—krzyknęła wiara i lotem sokoła  
 Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.  
 Dochodzą już, dochodzą zbitym w rzędy tłumem —  
 Lasem dzid najeżonych — z hukiem, trzaskiem, szumem;  
 Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa;—powstał kurz, a ściana  
 Przebitych bisurmanów wali się złamana.  
 Tratują ludzi konie; koncerze, kopije  
 Kołą pod kopytami niewiernych, jak żmije.  
 Zapał głowy ogarnął, stał błyska, krew broczy,  
 Śmierć budzi się, zdmuchując wywrócone oczy!  
 Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle  
 Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.  
 Czas ginać hufcom polskim; młody wódz je zbiera.  
 Zachęca je, szykuje, obraca, naciera:  
 Dopiero mieszanina, każdy oskoczony,  
 Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,  
 Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,  
 Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,  
 Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,  
 Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

A. Malczewski.

## 141. O Bączalskim

dygnitarzu rzeczypospolitej Babińskiej.

.... Był Stanisław Bączalski — dobry szlachcic *item*,  
 Miał zameczek w Bączali, gnieździe rodowitem.

Wziął krew z acną po ojcu, z matki cnotę wyssał,  
Pieczętował Gozdawą, cześnikiem się pisał;  
A zresztą dobry humor, fantazyja i zdanie,  
I koncept i piosneczka, jak na zawołanie.

Że podeszły już laty i że nie miał żony,  
Nie zagrzał w domu miejsca;—lecz w gościnie wiecznej,  
Na skrzypeczkach wygrywał, aż się rwały struny,  
I kochany od wszystkich i wszystkim serdeczny.

Co Bączalski, to pono do korda nie tęgi,  
I jeden tylko z rodu nosił się w kirysie;  
Ale w rozum wierzyli i w przyjaźń i w księgi,  
I jeśli nie uczeni — bywali trefnisie.

Przed wiekami, jak słychać, bywał to ród liczny,  
A i bardzo pokrewny i bardzo dziedziczny;  
Ale któraś tam z babek wyrzekła niebacznie,  
Gdy jej wnuki w modlitwie bardzo dokuczili:  
«Bogdaj się po jednym tacy już rodzili!»

Jako rzekła, tak odtąd działo się w tym domu,  
Ot i sprawa rodziny nie tajna nikomu.

Bywali i wymowni i trefnisie sławni,  
Więc na figle mądrości i żarty wyprawni;  
I każdy miał i koncept, fantazyę i zdanie,  
Więc i wierszyk i piosnkę miał na zawołanie.  
A że dowcip Bączalskich był nie jadowity,  
I nigdy dobrej sławie już szwanku nie zadał,  
Więc do onej Babińskiej rzeczypospolitej,  
Dziwnie się panu Pszonce <sup>1)</sup> pan Bączalski nadał.

Gdzie Bączala! gdzie Babin! Lecz nic nie pomoże!  
I czy najlepsza sanna, czy straszne rozdroże,  
Pan Bączalski, o dobro republiki czuły,  
Zjeżdża na dzień sejmiku i na kapituły,  
I na sądy babińskie, strojny i opięty:  
Ne quid haec respublica capiat detrimenti <sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Pszonka, za czasów Zygmunta Augusta, był założycielem żartobliwej rzeczypospolitej w Babinie, gdzie między innymi dawano tytuły wprost przeciwne zdolnościom i usposobieniom. — <sup>2)</sup> Żeby w czem rzeczpospolita nie poniosła szkody.

Parę lat już ubiegło, jak bywał w Babinie,  
 Już nie jeden żart jego był przypawił śmiechu,  
 Już nie jedna piosneczka w całej Polsce słynie,  
 I od dworu do dworu idzie po kielichu.  
 Jednak mimo zasługi i bratniej miłości,  
 Nie był jeszcze otrzymał w Babinie godności.

Raz tedy rzekł pan Pszonka po dobrem śniadaniu:  
 «Wyprowadzić mi konia dobrego na staniu!  
 Obaczmy przy koniu, panowie junaki,  
 Kto się najlżej wyniesie na koń bez kulbaki?»

I chodzili o lepsze junakowie z rodu,  
 I ten się wyniósł z tyłu, a ten skoczył z przodu,  
 Ten z pomocą, a drugi bez pomocy grzywy;  
 Słowem, wielkie robiono i cuda i dziwy.

Patrząc na to Bączalski, już się był zasapał,  
 Bo na koniu jak żywy nigdy on nie siedział;  
 Jak przystąpić do konia, i o tem nie wiedział.  
 Więc za grzywę rękoma tak się mocno złapał,  
 Że o ziemię zaledwo konia nie obalił;  
 A potem dawszy susa, pod koń się powalił.

A pan Pszonka zawołał, kontent z całej duszy:  
 «Niech nam żyje Bączalski, babiński koniuszy!»

*(Z poematu «Stryjanka»). W. Pol.*

## 142. Garsć pszenna.

Stary Szczepan, wójt od wieka,  
 Był jedynym wójtem w świecie,  
 A takiego, jak on człeka,  
 I ze świecą nie znajdziecie.  
 Głowa tęża, dusza prawa,  
 Tak za swoją stał gromadę,  
 Że gdy kręta przyjdzie sprawa,  
 On najlepszą dawał radę;  
 I co w świecie rzecz nieznaną,  
 Lub należy do rzadkości,  
 Że lubiony był od pana  
 I lubiony w całej włości.

Tak wszystkiemu czyniąc zadość,  
 Był, jak ojcem swojej wioski.



Ale starość — to nie radość,  
 Przyszedł w końcu wiek dziadowski.  
 Już o kiju suwa kroki,  
 Oko blaskiem już nie pała,  
 W plecach urósł garb szeroki,  
 Mądra broda pobieliała.

Więc przed swymi tak się biedzi:  
 «—Czas odpocząć mi nareszcie!  
 «Rada w radę—i sąsiedzi,  
 «Już innego wójta weźcie!  
 «Moja głowa trzech nie zliczy.  
 «Bo zwyczajnie stara, siwa.»

A gromada jak zakrzyczy:  
 «—Dolaż nasza nieszczęśliwa!  
 «Cóż to waści, panie bracie!  
 «Przykro ojczyć w swej chudobie?  
 «Czy nam zguby pożądacie?  
 «Z taką mową idźcie sobie!  
 «A dopóki ręka Boska  
 «Trzyma waści w równej mierze,  
 «Póty cała nasza wioska  
 «Wójta sobie nie wybierze.»

W prośby, groźby on i oni;  
 Rzeczy wzięły rzewną postać,  
 I dowiedli, jak na dłoni,  
 Że on wójtem musi zostać.

Lecz starości gdy dogonim,  
 Życie ludzkie jak na włosku:  
 Więc im radził po ojcowsku,  
 By następcę wybrać po nim,  
 Bo się potem swar obudzi,  
 Walka pocznie się złowroga,  
 I zgorzenie dobrych ludzi,  
 I obraza Pana Boga.

«—Na to zgoda!»—zawołali.  
 «Szczepan mówi święte słowa!  
 «Ale na co szukać dalej?  
 «Jest tu dziatwa Szczepanowa,  
 «Ma trzech synów, dzielne chłopcy,  
 «Każdy wart być na urządzie,  
 «Im wioskowy ład nie obcy,

«Niech z nich jeden wójtem będzie.  
«Ale który?»

Ot i spory,  
Już się teraz poważnili.  
Jeden mówi, że Hrehory,  
Drugi mówi, że Wasili,  
Insi znowu z włości grona  
Piszą karby na Szymona.  
Ojciec widzi, że mozoła,  
Że do gwarnej przyjdzie zwady,  
Siwe włosy zgarnął z czoła,  
I tak mówi do gromady:

«—Jest tu lepszych gospodarzy,  
«I w wyborze ciężka bieda,  
«Lecz jeżeli wam się marzy,  
«Że się który syn mój przyda,  
«Wasza łaska w tem widocznie.  
«Lecz do wójta droga długa!  
«Nim gromadzie służyć pocznie,  
«Niech pokaże, co zasługa.  
«Ot widzicie! właśnie pora  
«Poznać, jakie w którym czyny:  
«Pan na wiosnę szle Hrehora  
«Do Królewca na wiciny;  
«Wasil rusza w pańskiej sprawie  
«Aż w Krakowskie, panie bracie!  
«Szymon został przy mnie w chacie.  
«W Ukrainę szlę Szymona,  
«Niechaj soli nam dostawi,  
«Bo w miasteczku nazbyt droga.  
«Wiem, że każdy z nich się sprawi,  
«W tem już łaska Pana Boga.  
«Ale który z cudzej strony  
«Większą korzyść nam przyniesie,  
«Będzie wójtem postawiony,  
«Będzie ojczyć w naszej strzesze.  
«Za rok może o tej porze,  
«Bóg mi życia nie odbierze,  
«Wszystkich trzech zbadamy szczerze,  
«Nie omylim się w wyborze!»

I gromada w serce bierze  
 Pana wójta złote słowa.  
 Już wiesz, dziatwo Szymonowa,  
 Żeć gromadzkie oko strzeże!

Właśnie za rok teźże pory,  
 Już z Królewca statki płyną,  
 I najstarszy syn, Hrehory,  
 Już powrócił z swą wiciną.

I zebrała się gromada,  
 Dano miodu, dano piwa;  
 I Hrehory opowiada  
 Troje cudów, troje dziwa:  
 Jaki byt u Niemców miły,  
 Jaki przepych niesłychany,  
 A najbardziej mu się wbiły  
 Kapelusze i kaftany.

«—Co tu mówić o siermiedze?  
 «Krój dziwaczny, niesłychany,  
 «Zaraz po niej znacznie nędzę!  
 «Skróćmyż świty na kaftany;  
 «A słomiane kapelusze  
 «Pańszczyźniany ubiór chłopa!  
 «Już u Niemców, przyznać muszę,  
 «Zaraz znaczna — Europa!»

Stary ojciec słucha skromnie,  
 Na kominku popiół grzebie,  
 I z westchnieniem rzekł do siebie:  
 «Ten nie będzie wójtem po mnie!»

Wraca Wasil z pod Krakowa:  
 Opowiada tonem zucha,  
 A gromada wszystkie słowa  
 Najważniej zdala słucha.

«—Co to! — mówi — mowa jaka!  
 «*Proszę pana*, jakie pieśni!  
 «Každy nuci krakowiaka,  
 «Gdy my piejem tak boleśnie.



«Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?  
 «Kaźde słowo, kaźda nuta,  
 «Tak goryczy łąż zatruta,  
 «Że aż echo wzdycha od niej!  
 «Wiecie bracia, co poradzę?  
 «Rzućmy nasze piosnki stare,  
 «W krakowiaka tańczmy miarę,  
 «A ja rej wam poprowadzę.»

Stary ojciec słucha skromnie,  
 Na kominku popiół grzebie,  
 I z westchnieniem rzekł do siebie:  
 «Ten nie będzie wójtem po mnie!»

Wraca Szymon z Ukrainy,  
 Opowiada dziwne dziwy;  
 Lecz ze swymi tak szczęśliwy!  
 Ukraińca nie znać z miny.

«—Dobrze—mówi—w tamtej stronie,  
 «Milę dojrzy choćby ślepy,  
 «Ciągłe stepy, ciągłe stepy,  
 «Niedojrżane okiem błonie!  
 «Lecz jak spojrzy w kraj daleki,  
 «Wnet zatęskni się wędrowiec  
 «Do swych sosen, do swej rzeki,  
 «Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,  
 «Że chociażby w Ukrainie  
 «Nasypano góry złota,  
 «Popędziłaby tęsknota  
 «Do swej wioski—ku rodzinie.  
 «Jedna tylko rzecz nie lada,  
 «Czego sobie stamtąd życzę,  
 «To pszenica! z niebem gada!  
 «A kłosiska, gdyby bicze!  
 «Więc tamecznych plonów cuda  
 «Uzbierałem mieszek spory;  
 «Ej, spróbujmy! nuż się uda,  
 «Ukraińskie mieć nam zbiory!  
 «A każdemu z was, sąsiedzi,  
 «Dam po garści na początku...»

Ojciec słuchał w swym zakątku,  
 Westchnął zamiast odpowiedzi:

W tem westchnieniu zamiast słowa,  
 Wrzała chlubna myśl wójtowa,  
 Myśl ojcowska—znać ją z twarzy:  
 Syn mej wiosce korzyść zdarzy.  
 I zawołał z uniesieniem:

«—Z głupich ust, głupia nowina!  
 «Kto niemieckiem chce odzieniem  
 «Pokryć ciało Słowianina,  
 «Kto ku obcym skłonił dusze,  
 «O pilścianej czapce marzy,  
 «Kto słomiane kapelusze  
 «Znalazł sobie nie do twarzy,  
 «W obce stroje niech się stroi.  
 «Niechaj zdrów zakrywa oczy, —  
 «Latem czoło skwar uznoi,  
 «A w jesieni deszcz przemoczy!  
 «Głupi, jeszcze więcej głupi,  
 «Kto rozumie, że szczęśliwy,  
 «Że swojskiego ducha skupi  
 «W jakiejś piosnce z cudzej niwy,  
 «Kto pogardza grunt ojcowski,  
 «Kto ku cudzym rzeczom skory!  
 «Nie przyniosą nic dla wioski,  
 «Ni Wasili, ni Hrehory!  
 «Lecz kto w obcej będąc ziemi,  
 «Miał ku swoim chęć nie marną,  
 «Kto pszeniczne zebrał ziarno  
 «By je krzewić między swemi;  
 «Kto o świecie mówi skromnie,  
 «Kto zateśnił po swej stronie,  
 «Ten zostanie wójtem po mnie:  
 «Będziesz wójtem ty, Szymonie!»

A gromada, ze słów rada,  
 Daje okrzyk, bije w dłonie,  
 Plon z pszenicy przepowiada:  
 Będziesz wójtem ty, Szymonie!

*Wł. Syrokomla.*

## 143. Śniadanie w domu pana sędziego

(wyjątek z «Pana Tadeusza» Adama Mickiewicza).

Wszczął się najprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,  
 Jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły.  
 Był to znak, że wracali goście z polowania,  
 I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,  
 Roznoszono potrawy, sztuce i butelki.

Mężczyźni, jak weszli, w swych zielonych strojach,  
 Z talerzami, szklankami chodząc po pokojach,  
 Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,  
 Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:  
 Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,  
 Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,  
 Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane  
 I z porcelany saskiej złote filiżanki;  
 Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.  
 Wiadomo czem dla kawy jest dobra śmietana:  
 Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka z rana,  
 Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,  
 I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie  
 Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,  
 Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy, piły kawę,  
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę:  
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,  
 W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru;  
 Półgąski tłuste, kumpie, skrzydliki ozoru.  
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym  
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.  
 Wkońcu wniesiono zrazy na ostatnie danie;

Takie bywało w domu sędziego śniadanie.



## 144. Grzybobranie

(z poematu «Pan Tadeusz» Adama Mickiewicza).

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,  
 Po jej kobiercach, nawskroś białych pniów brzozowych,  
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych  
 Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,  
 Niby tańce, i dziwny ubiór — istne duchy,  
 Błądzące po księżycu. Tamei w czarnych, ciasnych,  
 Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;  
 Tamten pod kapeluszem, jak obręcz szerokim,  
 Ten z gołą głową — inni jak gdyby obłokiem  
 Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony,  
 Ciągące się za głową, jak komet ogony.

Każdy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,  
 Tylko oczyma kręci, na dół spuszczeniemi;  
 Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny, kroczy  
 Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy;  
 Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony,  
 Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.

Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,  
 Ani mówią do siebie, ani się witają,  
 Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.

Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,  
 Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,  
 Błąkają się spokojnie, ciche, lecz posepne.

Któżby zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,  
 Owi milczący ludzie, są nasi znajomi?  
 Sędziowscy towarzysze — z hucznego śniadania,  
 Wyszli na uroczysty obrząd grzybobrania.

Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować  
 Mowy i ruchy swoje, aby je stosować  
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.  
 Dlatego, nim ruszyli za sędzią do lasu,  
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne:  
 Służące do przechadzki opończe płócienne,  
 Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,  
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze.  
 Stał biali wyglądają jak czyścowe dusze.

Grzybów było w bród. Chłopy biorą krasnolice,  
 Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice;  
 Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,  
 Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.  
 Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy  
 I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,  
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,  
 Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory,  
 Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku,  
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;  
 Lecz nie są bez użytku; one zwierza pasą,  
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.

Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi  
 Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłymi brzegi  
 Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,  
 Niby czareczki różnem winem napełnione;  
 Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;  
 Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;  
 Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,  
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,  
 I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona  
 Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona,  
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,  
 Od ludzi nie ochrzczone — a jest ich bez liku.

Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy;  
 A kto się schyla ku nim, gdy błąd swój obaczy,  
 Rozgniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;  
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera,  
 Roztargniona, znudzona, dokoła spoziera  
 Z głową w górę zadartą; więc pan rejent w gniewie  
 Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie...

Naokoło puszciami ciągnęły się lasy  
 Litewskie, tak poważne i tak pełne kraszy:  
 Czeremchy opłatane dzikich chmielów wieńcem,  
 Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,  
 Leszczyna, jak menada z zielonemi berły,  
 Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły.

A niżej dziatwa leśna, głóg w objęciu kalin,  
 Ożyna, czarne usta tuląca do malin.  
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,  
 Jak do tańca stające panny i młodzieńce.

Wtem dzwon zadzwonił. Echem z głębi cichych lasów,  
 Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;  
 Odgłos to był szukania i nawoływania,  
 Hasło zakończonego na dziś grzybobrania.

## 145. Papuga i wróbel.

Za pałacem, wśród ogrodu  
 Stała ogromna altana,  
 W siatkę z drutu oplataną;  
 W niej ptactwo różnego rodzaju,  
 Które wymieniać rzecz byłaby długa.

Lecz rej wodziła papuga,  
 Bo w kraśne pióra okryta  
 I z gadulstwa znamienita,  
 A stąd najbardziej zuchwała,  
 Że kilka słów francuskich na pamięć umiała,  
 I ciągle je powtarzała.

Dudki, pawie i gawrony  
 Uwielbiały z wielkim krzykiem,  
 Że ród papug tak uczony,  
 Iż obcym gada językiem.

A ona,

Wielką dumą napuszona,  
 Z żadnym się już w rozmowę nie wdawała ptakiem;  
 Z jednym tylko szpakiem  
 Czasem przywitać się raczy;  
 Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy,  
 I ten, słuchając pilnie przez czas długi,  
 Nauczył się wymawiać kilka słów papugi;

Stąd łaska i uprzejmości  
 U owej hardej jejmości,  
 Co siadłszy na pierwszej grzędzie,  
 Chciała rozkazywać wszędzie.

Wszystkie ptaki,  
 Jaki taki,



Spuściwszy główki na dół i pisnąć nie śmiały,  
 Chyba by głosić papugi pochwały.

Aż wtem, wróbel mały,  
 Choć niepozorny z postaci,

Ani z miny,  
 Ni z czupryny,

Ale szerszy i śmielszy od ptaków swych braci,  
 Zadarłszy dziobka do góry,  
 Rzecz do niej: — Moja pani,  
 Skąd te fochy u wasani?

Wyrzekłaś się danego głosu od natury,

I z nas jeszcze chcesz tu szydzić,

I przewodzić nudnym krzykiem,

Papłając cudzym językiem?...

Ot! powinnabyś się wstydzić,

Bo to brzydkie są narowy

Zapominać własnej mowy!

Wiem ja dobrze, że słowiki

I skowronki, i czyżyki

Bardzo piękne mają głosy;

Jednak im nie zazdroszczę, ni sarkam na losy;

Ale sobie świergocę jak moi ojcowie,

Starzy wróblowie.

I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,

Aby ci prawdę powiedzieć.

Miał rację wróbel, choć szary i mały;

Oby tylko te słowa, z serca wyczerpane,

Nie padły jak groch na ścianę

I z wiatrem się nie rozwiały!

Znać obcych narodów mowy

To rzecz arcy-użyteczna

I konieczna;

Ale Polak do Polaka,

Używać w listach, albo do rozmowy

Francuskiej mowy,

Wielki to grzech moda taka!

*Konst. Gaszyński.*

## 146. Wilk i lis.

Chcąc pokazać swą dobroć i przymioty wsławić,  
Niedźwiedź ucztę dla zwierząt postanowił sprawić.  
Zaprosił więc sąsiadów do siebie nie mało,  
Wydał obiad. Na niczem gościom nie zbywało,

Każdy użył wszystkiego, jak tylko mógł użyć;  
Chwalono go. Ażeby więcej się zasłużyć  
I zabawić przyjaciół z szczególniejszej łaski  
Począł tańczyć. Choć brzydko, dawał lis oklaski,  
Chwalił lekkość, układność i minę powabną,  
Wielką zdolność do tańców i postawę zgrabną.

Wilk, który na tej uczcie blisko lisa siedział,  
Chwalącemu niedźwiedzia te słowa powiedział:

«Źle tańczy, za co chwalisz, nie pojmuję wcale.»

Lis na to: «Jadłem obiad, a przeto go chwale.  
Tyś prostak, postępować nie umiesz w tej mierze:  
Chwalmy, choć brzydko tańczy, może da wiecezrę.»

*Ks. Bernatowicz.*

## 147. Osieł.

Tak się raz osieł dąsał,  
Tak się ze zwierząt natrząsał,  
Taki był pyszny, wspaniały,  
Że go inne nie poznały:  
Pojąć nie można było,  
Co mu się zrobiło.  
Nareszcie wszystkim koniecznie dowodził,  
Że się magnatem urodził.

Dwie godziny o tem gadał.

Powiadał,

Jakich to miał przodków sławnych,  
Jak niezmiernie dawnych;  
Wyliczał lata za laty,  
Jak się ciągnęły jego antenaty,  
Jak się ciągnęły do góry,  
Coraz w większą sławę rosły,  
Jakie to były rozumne figury,  
Co to były za osły!

A lis mu na to:—Jakżeś nierozsądny!  
 Zawsze swoich chwalisz przodków:  
 I ty nie jesteś z wyrodków,  
 I z ciebie osieł porządny.

*Fr. Morawski.*

### 148. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał:  
 Kontent więc, iż uczony nic nie odpowiadał,  
 Tembardziej jeszcze krzycheć przeraźliwie począł.  
 Nakoniec, zmordowany, gdy sobie odpoczął,  
 Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:  
 «Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny.

*Ignacy Krasicki.*

### 149. Paw i orzeł.

Paw się dał, lśniące pióra gdy wspaniale toczył;  
 Orzeł górnje bujając, gdy go w locie zoczył,  
 Rozśmiał się i przeleciał. Wrzasnął paw; w śmiech ptacy;  
 — Nie znają się, powtarzał, na rzeczach prostacy. —  
 — Znają się, rzekł mu orzeł, wdzięk cenić umieją,  
 Ale gardzą przesadą i z dumnych się śmieją.

*Ignacy Krasicki.*

### 150. Jastrząb i krogulec.

Wzbite w przezroczyście szlaki,  
 Walczyły z sobą dwa ptaki,  
 Śmiałe, wyniosłe, nie znające trwogi:  
 Jeden krogulec, drugi jastrząb srogi.  
 Gniew ich był nieukojonny:  
 Biły się dzioby, rozdzierały szpony.

Ciekawy wiedzieć o bitwy przyczynie,  
 Co między niemi sprawiło różnicę,  
 Patrząc, aż o to tylko szło jedynie,  
 Który z nich dwojga ma zjeść gołębicę.



To, co się działo między ptaki temi,  
Nieraz się pono przytrafia na ziemi.

*J. U. Niemcewicz.*

### 151. Lew, niedźwiedź i komar.

Z krajów szczęśliwych, gdzie ni mniej, ni więcej,  
Zima trwa dziesięć miesięcy,  
Niezgrabny niedźwiedź, znudzwszy się w borze,  
Ni pytany, ni proszony,  
W cieplejsze przywłókł się strony.

Było to właśnie w tej porze,  
Gdzie dni pogodne i ciepłe wieczory  
Zażywają wszystkie twory;  
Gdzie skrzydlate robaczki, ujęte rozkoszą,  
Tłumem się w koło unoszą.  
Wolno się bawić każdemu...

Nie tak się zdało gościowi nowemu,  
Jął więc machać łapami i rzucać się cały.  
Wtem go spotkał lew wspaniały.

«Na kogóż, pyta, tak okropna kara?  
I któż śmiał waszą niezgrabność obrazić?»

Niedźwiedź odpowie: «Zabijam komara;  
Śmiał po uchu mojem łązić.

A jam rozumiał, rzecz lew otwarty,  
Że tygrysy lub lamparty  
Gotujesz się wpół rozdzierać.

Możesz-że gniew twój wywierać  
Nad robakiem, co nawet nie wie o swym błędzie?

Na mnie gdy komar usiedzie,  
Zemsty to mojej bynajmniej nie wznieci;

Wstrząsnę grzywą i uleci.  
Lecz każdy podług siebie postępuje:  
Pastwi się dziki, wspaniały daruje.

*J. U. Niemcewicz.*

### 152. Osieł—bohater.

O jakiejś wielkiej bitwie była raz rozmowa,  
Zaczął osieł chwalić siebie:  
Byłem, rzekł, byłem w tej strasznej potrzebie,  
Tam to się laurem okryła ma głowa!

Koni zabrakło, jam ciągnął armaty;  
 Z trzaskiem pękały granaty,  
 Nieprzeliczone kul mnóstwo leciało,  
 A ja naprzód szedłem śmiało.  
 Ach! cóż to było w tej strasznej godzinie!  
 Tu ranni jęczą, krew strumieniem płynie,  
 Ja nic nie zważam.»

Wtem ktoś powie z boku:  
 «Wiemy, mężu, odwagęś miał niepospolitą,  
 Na jedną stopę nie cofnąłeś kroku,  
 Bo z tyłu kijem cię bito.»

*Antoni Górecki.*

### 153. W r o n a.

W nabożnym kraju, na Żmujdzi,  
 Raz przy drodze na kościółku,  
 Siadła wrona na wierzchołku.  
 Ktokolwiek tędy przechodził z ludzi,  
 Wnet Boży domek uszanowano:  
 Czapka do ręki,  
 Ten zgiął kolano,  
 Tamten nabożne zaczął piosenki.

A wrona wszystkim kłania się i kłania;  
 «Pan Bóg wam, prawi,  
 Pobłogosławi,  
 Za te dowody uszanowania.»  
 Skądże, spytacie ta grzeczność wrony?  
 Ach! czyż to jeden, co trafem siędzie  
 Na wielkich skarbach, lub na urzędzie,  
 Myśli, że jemu biją pokłony!

*Józef Massalski.*

### 154. Filozof i chłop.

Wielki jeden filozof, co wszystko posiadał,  
 Co bardzo wiele myślał, więcej jeszcze gadał,  
 Dowiedział się o drugim, który na wsi mieszkał.  
 Nie omieszkał

I kolegę odwiedzić,  
 I od niego się dowiedzieć,  
 Co umiał i skąd była ta jego nauka.  
 Znalazł chłopu nieuka;  
 Bo i czytać nie umiał, a więc książek nie miał.  
 Oniemiał.

A chłop w śmiech:

«Moje księgi—rzekł—wszystkie na dworze:

Wół, co orze,

Sposobi mnie do pracy, uczy cierpliwości;

Pszczola—pilności;

Koń—jak być zręcznym;

Pies jak wiernym i wdzięcznym;

A sroka, co na na płocie ustawicznie skrzeczy,

Jak lepiej milczeć, niżli gadać nie do rzeczy.

*Ign. Krasicki.*

## 155. Osieł i słowik.

(Z Kryłowa).

Oślisko, usłyszawszy w gęstwinie słowika,

Ociężała się przemyka

I rzece: «Słuchajno kumie!

Kto żyje, gada i gada,

Że nikt ci sprostać nie umie,

Żeś w śpiewie majster nie lada.

Lecz ja, nie bacząc na ogólne wrzaski,

Choć się to wszędzie rozniosło,

Chcę sam rozsądzić z arcywielkiej łaski,

Czy dobrze znasz twe rzemiosło.»

Na to, jakby poczuciem artysty dotkniętem,

Słowik się popisować zaczął swym talentem:

Zaszczebiotał, zaświstał, ciągnie i przelewa

Z tonu w ton, cichy, mocny, rzewny i wspaniały;

To drobnemi nutkami napełnia gaj cały,

Aż mu echem wtórują i kwiaty i drzewa;

Wreszcie potężnemi tony

Zabrzmiał—i uciął zmęczony.

Osieł ze łbem spuszczoneym do samej ziemi,

Z uszami nawpół zwisłemi,



Rzecz: «No, no, to ujdzie!... według mego zdania,  
Można cię słuchać nawet bez ziewania...  
Tak... tak... to ujdzie... nie najgorsza nuta...  
Ale szkoda, że nie znasz naszego koguta!  
On—to majster! nie łatwo jemu być kolegą,  
Jeśli chcesz lepiej śpiewać, bierz lekcje od niego.»

Gdy sąd taki biednego słowika ukole,  
Drgnął, zerwał się i frunał, za trzydzieste pole,  
I pomyślał zapewne: «No tam już nie wróć!»

Zbaw nas, Boże, od takich sędziów w każdej sztuce.

*J. Chęciński.*

## 156. Wejście kompanii do kaplicy Częstochowskiej.

(Fragment z dziennika do Częstochowy, Olsztyna i Ojcowa).

Do świętej Częstochowy ciemną pędzim nocą,  
Tylko skry parochodu w zygzaki migocą,  
Nic nie widać... a jednak niepojęta władza  
W pierś chrześcijańską takie przecucie sprowadza,  
Że kieruje w przestrzeni, odzianej pomroką,  
Ku murom Jasnej Góry utęsknione oko...

Och! po tem drganiu serca, co rozbija łono,  
Co mi skłania ku ziemi skroń upokorzona,  
Po zwilżonych źrenicach, po błogiej radości,  
Po nadziei, co we mnie nowym ogniem gości,  
Po tem rzewnem westchnieniu, co z piersi ucieka,  
Gdzie gród Matki Chrystusa odgadło zdaleka,  
Czuję, żem nie odtracon z gromady jej dzieci,  
Że i dla mnie najświętszem miłosierdziem świeci;  
Że gdy u stóp ołtarza w pokorze i skrusze  
Z win człowieczej niedoli oczyszczę mą duszę,  
Królowa niebios siłę i odwagę wznowi  
Do pracy ku Jej chwale, bliźnich pożytkowi!

\*

\*

\*

Nad wieżycą, na wzgórzu umajonem trawą,  
Pierwsze barwy jutrzeńki wybiegły jaskrawo,

Z kaplicy Matki Bożej blask świętych promieni  
 Strzelił w niebo i z słońcem spotkał się w przestrzeni,  
 I z brylantowych światel ponad klasztor cały  
 Zwiśł wspaniałą koroną wiekuistej chwały.

\*

\*

\*

Pod lazurowe stropy brzmia skowronków pienia,  
 Z niemi się chór pielgrzymi łączy z oddalenia,  
 Po mgłach rannych, po kwiatkach, po kryształach rosy  
 Biegną przed tron Maryi pobożne odgłosy,  
 Słysząc je coraz bliżej, aż zdala z za wzgórza  
 Różnobarwny się szereg powoli wynurza.  
 Nad nim wznoszą się krzyże, falują sztandary  
 Czcą Stwórcy, Bożej Matki i Chrystusa wiary —  
 Tysiące głów odkrytych, i młodzi i starzy,  
 Wszyscy znużeni drogą; pot spływa po twarzy,  
 Miesza się znój pielgrzymi z pyłem ich odzieży;  
 A jednak, gdy korona Częstochowskiej wieży  
 Punkcikiem na tle niebios wyjrzała im zdala,  
 Każdą pierś jakaś iskra ożywcza zapala,  
 Zgrzybiałemu starcowi, podeszłej matronie  
 Sił przybywa, nadzieja opromienia skronie,  
 Ton pieśni potężnieje i pobożna rzesza,  
 Im bliżej Jasnej Góry, tem więcej pośpiesza;  
 Aż po jej murawie, jak potok rozlana,  
 Z jednym wspólnem westchnieniem, pada na kolana,  
 Wita przybytek święty, wyciągając dłonie,  
 I w dziękczynnej modlitwie całą duszą tonie.

\*

\*

\*

Wkrótce dwaj zakonnicy, Maryi odźwierni,  
 Wychodzą przeciw tłumowi, co się zdala czerni;  
 W imię Matki narodów pozdrawiają gości  
 Wyrazem Jej wszechmocy, łaski i miłości.  
 Pielgrzymi wznoszą ku nim rozjaśnione czoła,  
 Zbliżają się z pokorą, gromadzą dokoła,  
 Bo w pierw, niż im przybytku podwoje otworzą,  
 Kapłan łagodnie dziatwę napomina Bożą,  
 Jak ma z ziemskiego kału serce otrząśnięte  
 Ponieść z całą ufnością przed Oblicze święte.

\*

\*

\*

Począł mówić, a z dźwiękiem najpierwszego słowa  
 Gromadę wiernych cisza zaległa grobowa.  
 Zda się, że i chór ptasząt zamilkł uroczyście,  
 Że ucichł brzęk owadów, że nie gwarzą liście,  
 Że i natura sprzyja podniesieniu ducha  
 Ludu, co w ukorzeniu słów zbawiennych słuca,  
 Mówcy, co w jego piersi święty balsam leje,  
 Pokrzepiając wiarę, miłość i nadzieję.

\* \* \*

I długo mówił kapłan; śnać niebios potęgą  
 Jego głosem do gruntu sere pocziwych sięga,  
 Bo w perłach łez zajaśniał żal czysty, głęboki,  
 Bo się tysiące westchnień wdarło pod obłoki.  
 «Bracia!—rzekł na ostatku—bracia! dzieci moje!  
 «Za chwilę was wprowadzę w tych murów podwoje,  
 «Gdzie wasi praojcowie, gromadząc się społem,  
 «Przed cudownym obrazem kornie bili czołem.  
 «Lecz wpierw przebaczcie sobie wzajemne niechęci,  
 «Rzućcie wszelkie urazy z uczuć i pamięci,  
 «Bo Matka Chrystusowa pogardza sercami,  
 «W których bratnia nienawiść miłość ku niej plami,  
 «Bo się do łaski Syna swojego nie wstawi  
 «Za tymi, co dla równych sobie nie łaskawi.»

\* \* \*

Jeszcze tych słów nie skończył, a lud rozrzewniony,  
 Już wspólnem przebaczeniem brzmi na wszystkie strony.  
 Z piersi w pierś płynie uraz wzajemnych zagłada;  
 Dziecię do nóg rodzicom ze łkaniem upada,  
 Starzec młodzieńca w drżące przytula ramiona,  
 Sierota dobroczyńcy ciśnie się do łona,  
 Brat bratu, siostra siostrze rzuca się na szyję,  
 Rzekłbyś, że w całym tłumie jedno serce bije,  
 Że go promienne zgody, od słońca jaskrawsze,  
 W braterskim uściśnieniu spoily na zawsze!

\* \* \*

Wtem poważna harmonia, jak trąba anioła,  
 Co przed tron Ojca ojców w dzień sądu powoła,  
 Rozlała się w przestrzeni, zwiastując ludowi,  
 Że progi świętych murów w tej chwili pozdrowi.



Wnet pieśń tysiącem głosów zabrzmiała na nowo:  
 «Zawitaj, Matko nasza, zawitaj, Królowo!»  
 Tłum, jak pędzone wichrem różnobarwne fale,  
 Mija trzy wstępne bramy, ciśnie się w dom Boży,  
 Pada na twarz i zanim cześć Maryi złoży,  
 Jeszcze raz śle do niebios rozrzewnione modły,  
 Wdzięczny, że go w te strony szczęśliwie przywiodły.

\*

\*

\*

I znów cisza nastąpiła... Gdyby pielgrzym nowy  
 Zapraǳnął wejść w tej chwili do Pańskiej budowy,  
 «Stój!—rzekłby mu głos duszy—bij czołem u progu,  
 «Bobyś zuchwale deptał modlących się Bogu;  
 «To kobierzec serc wiernych usłany w pokorze,  
 «Tylko Matka Chrystusowa stąpać po nim może!»  
 Lecz otóż się otwarły drzwi świętej kaplicy,  
 Otóż spragnioną dziatwę wiodą zakonnicy,  
 W parę chwil już kościołek, gdzie obrócisz oczy,  
 Pełen ludu, a jeszcze rój wiernych się tłoczy...  
 Czyż im zabraknie miejsca? Rozstąpią się mury?  
 Tak! rozstąpią! rozstąpią! i wszyscy się schronią  
 Jak stworzenie przed Stwórcy wszechmogącą dłonią,  
 Jak ptacy pod niebieską strzechę każdej strzechy,  
 Jak pod krzyż Zbawiciela żebrzący pociechy,  
 Jak pokutnicy, błędu rzuciwszy bezdroże,  
 Pod większe, niż ich winy, miłosierdzie Boże!  
 I nie zabrakło miejsca dla pobożnych dziełek,  
 Przy opiekuńczem łonie Matki wszystkich matek.

*Jan Chęciński.*

## 157. Kołek bronowy.

(Fraszka żołnierska).

Z pod Saragossy wojak stęskniony  
 Wraca powitać ojezyste strony;  
 Darł się jak tygrys, rąbał jak mistrze,  
 Toż za to dźwiga pustki w tornistrze,  
 Na grzbiecie mundur skiereszowany,  
 Na piersi krzyżyk, pod nim dwie rany;  
 Na czole szramę i kulkę w biodrze,  
 Ot, los wojaka obdarzył szczodrzel!...

Wraca radośnie, lecz coś niesporo,  
 I choć sękatą zbrojny podporą,  
 Z czasu do czasu syknieniem wyzna,  
 Że ta lub owa dolega blizna,  
 Że kiedy w biodrze hiszpańska kula,  
 Trudno udawać biegaczów króla!

Syknie i wolniej omija łąny,  
 Chyba, że zoczy kościółek znany,  
 Starą dzwonnice, pochyłą wieżę,  
 Albo znajome sioło dostrzeże.  
 Wstrzyma się chwilę, bije mu serce,  
 Już zapomina i o żołnierce,  
 I że dolega noga pobita —  
 Tylko ze łzami te pola wita,  
 Co swem powietrzem, co wonią swoją,  
 Ciała i ducha boleści goją.  
 Stanie poduma, Boga pochwali  
 I pokrzepiony wędruje dalej.

Słońce zachodzi, noc niedaleko,  
 Rodzinna strzecha za trzecią rzeką,  
 Jeszcze do domu niemało drogi,  
 A już do reszty ustają nogi;  
 Trzeba posiłku, spoczynku trzeba,  
 W tornistrze niema kawałka chleba,  
 Ale w pobliżu bieleje wioska;  
 Ponad chatami Opatrzność Boska,  
 W chatach mieszkają dobrzy ludziska,  
 Toć nie odmowią mu przytuliska!  
 A choć i takich spotkać się zdarzy,  
 Co odprawiają z niczem nędzarzy,  
 Przemyślny wiarus spokojny o to,  
 Trafić do serca jego robotą,  
 Przyjaznem słówkiem, żartem na dobie,  
 Niewinną psotą zjedna ich sobie;  
 I choć na wstępie zagrożon klęską,  
 Zawsze w ostatku wyjdzie zwycięsko:  
 Umiał się przedrzeć przez Pireneje,  
 To mu nie łatwo tracić nadzieję!

Więc trochę prędzej naprzód się zbliża,  
 Aż na rozdrożu, około krzyża,

Odkrywszy głowę, jak wszyscy wierni,  
 Spostrzegł na ziemi, że się coś czerni.  
 Zwykle co w myśli, to przed oczyma,  
 Chleb u głodnego pierwszeństwo trzyma;  
 Toż wojak, sądząc, że łaska nieba  
 Zsyła mu w porę krajanek chleba,  
 Schylił się żwawo; lecz zawiedziony,  
 Pochwyił w rękę kołek od brony.

Posmutniał biedny. «Ha!—myśli sobie —  
 Także i z tego użytek zrobię;  
 Chleb byłby lepszy, już to rzecz pewna,  
 Ależ go upiec trudno bez drewna,  
 I to się przyda, pod chleb podpali.»  
 Więc do tornistra.—I ruszył dalej.

Doszedł do wioski, do pierwszej chaty,  
 Prosi o nocleg wiarus wąsaty,  
 Ale na wstępie coś gospodyni  
 Niezbyt pocieszna nadzieję czyni,  
 Coś jej nie wzrusza stary kaleka;  
 Na ciężkie czasy przed nim narzeka:  
 Bolesnym skargom rozpuszcza wodze,  
 Jak mąż daremnie pracuje srodze,  
 Jak się i ona krwawo mozoli,  
 Jednak nie zdoła przemódz niedoli;  
 Aż zakończyła w sposób najgładszy:  
 «—Panie żołnierzu, niech Bóg opatrzy!» —

Ale się żołnierz uludzić nie da,  
 Pozna gdzie dobrze, pozna gdzie bieda.  
 Spojrzał po izbie—i jakoś wcale  
 Nie mógł uwierzyć w udane żale:  
 A suty ogień, co grzał z kominka,  
 A przy tym ogniu garnek i rynka,  
 A z rynki zapach głodnemu miły  
 Kłamstwo gosposi całkiem zdradziły.  
 «Ha!—rzecze zatem—kiedy w komorze  
 «Strudzony kąta znaleźć nie może,  
 «Toż go obdarzcie wytechnienia chwilką,  
 «Dajcie u ognia ogrzać się tylko;  
 «Więcej nie żądam, bo na złe czasy  
 «Noszę w tornistrze własne zapasy.



«Siedzi w nim sztuczka!... w skorym zapędie  
 «Przyporządziwszy, rosół z niej będzie!...»  
 I raz powziąwszy koncept do głowy,  
 Wyjął z tornistra kołek bronowy.

«—O, święty Jezu! to z każdej strony  
 «Wygląda jakby kołek od brony!...  
 «I z tego rosół?...»

«—Czekajno, matko,  
 «Jak się oplucze, oskrobie gładko,  
 «Trochę posoli, trochę opieprzy,  
 «To i w Hiszpanii nie bywał lepszy!...»  
 Więc gospodynię ciekawość zdjęła,  
 A zmyślny wiarus dalej do dzieła.  
 Aż mu z pośpiechu ręce się trzęsą;  
 Płuca, żyłuje nibyto mięso,  
 Nalewa wodą, do ognia stawia  
 I bardziej jeszcze ją zaciekawia.

Po chwili w garnku burzy się, pieni.  
 Żołnierz tymczasem szuka w kieszeni,  
 Szuka w tornistrze aż mimowoli  
 Gospościa pyta: «Czego brak?»

«Soli!»  
 «—No bieda ciężka, słowo nie płoche,  
 «Ależ znów soli znajdzie się trochę.»  
 I miarka soli wleciała w wrzątek,  
 Żołnierz pomyślał:—niezły początek!  
 Więc po przestanku przebiegła sztuka  
 Znowu w tornistrze szuka i szuka.  
 «Czegóż wam braknie?»

«At!... nic!... widzicie,  
 «Różnie się rosół jada w Madrycie;  
 «Raz z kartoflami jedzą z ochotą,  
 «Niekiedy z grochem, lub kluski gniotą,  
 «Ale że kluski zajęciem straszą,  
 «Więc w Saragocie najlepszy z kaszą!»  
 «—A to jak u nas!... jeno nam bieda  
 «Nawet od święta rosółu nie da!  
 «Nie pomnę smaku... pustka w komorze!  
 «No, aleć i kasza znajdzie się może...»

I zabawiwszy wcale niedługo,  
 Wsypała garstkę jedną i drugą,

Aż żołnierzysko pokręcił węża  
 I znów warząchwia kołek potrząsa,  
 Miesza przyprawę w tę, w ową stronę,  
 Wreszcie rzekł: «—szkoda że nie kraszone!  
 «Na Pirenejach sposób jedyny,  
 «Dodawać smalcu albo słoniny,  
 «Lecz w Pampelunie ta moda zgasła,  
 «Jak niema szperki, dodają masła...»

«—Oj! biedaź, bieda! ciężkie to czasy!  
 «U nas się rosół je bez okrasyl!...  
 «Ale że krówkę mamy w oborze,  
 «To krzynę masła wynajdę może.» —

I wynalazła; aż żołnierzysko  
 Zasalutował przed pełną miską!  
 Okrasil owoc ciężkich obrotów  
 I rzekł: «Bóg zapłać, rosół już gotów!»

Gospościa patrzy: «—O, Matko nasza!  
 «Dyćże to rosół rychtyg jak kasza!  
 «Jeno że trochę pachnie żywicą.»

«Żołnierze chętnie takim się sycą;  
 «Tylko widzicie, że w stronach owych  
 «Czasem nam brakło kołków bronowych!...»

*Jan Chęciński.*

## 158. Szkolne czasy.

Stańcie mi przed oczami w waszej białej szacie,  
 Groźne, a raczej drogie mych mistrzów postaci!  
 Pozwólcie po staremu niech dusza zamarzy,  
 Niech raz jeszcze do waszych przypatrzę się twarzy.  
 Och! niejedną twarz waszą, tak dobrze mi znaną,  
 Zakryto w czarny kaptur, piaskiem zasypiano,  
 I postać, niegdyś w szkole przewodzącą dumnie,  
 Zakopano w mogile w jedlinowej trumnie,  
 Requiem zaśpiewano w ton grobowy, długi  
 I rozwiął wiatr cmentarny ślad waszej zasługi.  
 Gdzie wy, ojcowie ducha? W dalekim klasztorze  
 Pozostało was dwu albo trzech może,

W chórze lub mniszej celi wiodąc ciche życie...  
A reszta—z górnych Niebios za nas się modlicie.

Dziś byście nie poznali małego pieszczocha,  
Którego i ksiądz prefekt i każdy z was kocha:  
Był dzieckiem—dziś w cierpieniu twarz stała się starą;  
Był wiernym—świat mu serce zaraził niewiarą;  
Był jednym z pierwszych uczniów—wszak pomną koledzy—  
Dziś miota się po falach niezgłębionej wiedzy,  
Łamiąc ręce w rozpacz, —bo uznał w swej dumie,  
Pierwszych liter mądrości że dotąd nie umie.

Wyście mnie zapomnieli—ale ja was pomnę:  
Wasze twarze, postacie, w sercu mam przytomne,  
Oddźwięk waszego głosu, co mi się przysłyszy,  
Przypomni kartę książki moich towarzyszy  
I cały szereg pytań przed oczy mi stanie,  
I który z nas nie umiał, kto umiał zadanie, —  
I myślę w głębi ducha: Boże! jaki przedział!  
Dziś bym ja na pytanie dobrze odpowiedział;  
Śmiech, co mi się zdawało trudnem i zawiłem!  
Lecz wtedy miałem mądrość—bo szczerzej wierzyłem.

Oto z pierwszego planu spogląda surowo  
Stary ksiądz Matematyk z rozczochraną głową;  
Na jego białej szacie jest plama dwojaka,  
Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka;  
Lecz za to jego serca nie skaziła plamka  
Na dziesiątym, na setnym ułamku ułamka;  
Nieugięty jak Kato, jak cyfra w algiebrze,  
Nikt od niego litości w stopniach nie wyżebrze.  
Na tablicy i w życiu kreślił prostą linię,  
I pomiędzy ojcami miał prawą opinię.  
Może go nie lubili—jednak, jak słyszałem,  
Kilka razy miał zostać ich prowincyałem;  
Lecz jak weźmie na kredkę, jak przez cyfry zbada,  
Że trójkąt do trójkąta jakoś nie przypada,  
To zmarszczy się i rzecze, uchylając szyję:  
«Kto tu piwa nawarzył, niechaj sam wypije!  
«Nie umiem mojej łódki kierować na świecie;  
«Później wam będę służył, jeżeli każecie!»  
Poszanowano w starcu jego upór szczerzy,  
Kazano mu wykładać: dwa a dwa jest cztery!



W to graj, stary prostaku! z minusem i z plusem  
 Bezpieczniej małe dziecię nazwać asinusem  
 Niż trzymać w klubach starszych, albo staczać spory  
 Z wielebnemi magistry, lektory, doktory.

Tem lepiej dla doktorów, ale dla nas biada,  
 Kiedy ksiądz Matematyk algebrę wyklada.  
 Ciężył na naszych sercach jakby głąz kamienny,  
 Pierwiastek kwadratowy, pierwiastek sześcienny:  
 Wyciągnij, jeśliś łaskaw—wyciągnij go sztucznie!  
 Mnie liczył ksiądz profesor między słabe ucnie,  
 A jednak szczerze kochał; a że lubił łowy,  
 Czasem odwiedzał w święta nasz zakątek domowy;  
 Ze strzelbą z moim ojcem przechadzał się borem,  
 Lub w szachy na pacierze grał z definitorem.  
 Więc wtedy mawiał do mnie: «Ej, źle, panie Janie,  
 «Źle poszło centum bovum, źle poszło równanie!  
 «A tu najpierwsza w świecie liczbowa nauka:  
 «Nikogo nie oszukasz, nikt cię nie oszuka!»

A jednak mimo liczby, kwadraty, sześciiany,  
 Często ksiądz Matematyk bywał oszukany.  
 Wiedząc, że trochę grosza po bracie dziedziczy,  
 Nieraz przyszedł do niego żebrak tajemniczy  
 I prosił o jałmużnę lub kredyt otwarty,  
 Wziął pieniądze, przehulał albo przegrał w karty.  
 Lecz ksiądz teologiczną formułę miał na to:  
 «—Bóg mi za to zawdzięczy stokrotną zapłatą!  
 «Weź kredkę i porachuj—toć rachuba prosta:  
 «Jałmużna do nagrody jako jeden do sta.»

I rad z dobrego czynu, rad ze swej formuły,  
 Czują i czystą duszę krył w pozór nieczuły,  
 W liczbach zakładał mądrość, i wagę, i miarę;  
 Ale nie liczył pulsów, jak gra serce stare, —  
 A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci,  
 Co się w liczbach pomylił, to mu Bóg dopłaci.

Druga postać—ksiądz Rusak. Był to kleryk młody,  
 Lubił czytywać pieśni, sielanki i ody,  
 Wrzał młodzieńczym zapałem, kiedy nam wspomina  
 Nieśmiertelne utwory ojczyzny Puszkina.

Słuchała go z zapałem cała młodzież nasza,  
 Gdy w odzie wielkość Boga Dzierżawin ogłasza,  
 Lub w Żukowskim, gdy z grobu jedzie postać blada  
 I w nocy wśród zamieci Świetlanę wykrada.

Przedmiot wtedy był nowy—niedawnośmy jeszcze  
 Nadnewskie pobratymcze czytywali wieszczę:  
 Więc i słuchać nas brała chęć niepospolita,  
 A zwłaszcza, że ksiądz Rusak tak biegle ich czyta!  
 Sam zresztą ksiądz profesor był człek doskonały,  
 Niedawno jeszcze w habit oblókłszy się biały  
 I dobrze jeszcze ławkę pamiętając szkolną,  
 Znaczno było, że lubił gromadkę swawolną.

Bywało... często bywa... źle idzie nauka,  
 Ksiądz Rusak nagrymasi, nafuka, nastuka,  
 Zawsze u niego groźba na ustach gotowa,  
 Lecz księdzu prefektowi nigdy ani słowa;  
 I w zdaniu nie pokrzywdzi, w słowie nie pomiata,  
 Więc go dzieci lubiły, jak starszego brata.

Insza sprawa ksiądz Fyzyk: czoło nachmurzone,  
 Czarny, suchy i wiecznie chory na śledzionę;  
 Mówił przez nos, przeciągle,—ale z nim nie żarty:  
 Z historyi naturalnej zada cztery karty,  
 I naucz się, ktoś mądry, taką długą chryję;  
 Co tam jada skowronek? co tam jeleń pije?  
 I to za nic bywało, że ja mu dowiodę:  
 Skowronek jada muszki, jeleń pije wodę;  
 Lecz on z książki nie spuści oka ni na chwilę —  
 Gadaj mu słowo w słowo, jak w księdzu Jundzille!  
 Kto dobrze nie odpowie, lub hałas przysporzy,  
 Do dziennika zapisze i jeszcze coś gorzej.

I ksiądz Francuz nie lepszy: ospowaty, łysy,  
 Niesie pod jedną pachą francuskie wypisy,  
 Pod drugą sarnią nóżkę, a w niej z pod kopyta  
 Czwooro konopnych sznurków jak kwiatków wykwita.

Głowę na bok przechyli i przy ławce stanie  
 I zada jakie trudne z wypisów pytanie;  
 A niechaj-no, broń Boże, omyłkę przydybie  
 W jakim rozkazującym czy łączącym trybie,  
 Albo kto się w rozbiorze gramatycznym stropi,  
 To mu łapę wysmaga sznurkami z konopi!

Lecz choć w nas nie przestrzegał paryskiej wymowy,  
 Pletliśmy po francusku jak hiszpańskie krowy;  
 Ale człowiek z rozkoszą i dziś przypomina,  
 Jak czytał: Moliere, Kornela, Rasyna,  
 Umiał się w pięknym miejscu zastanowić ściślej,  
 Wziąć do młodego serca Fenelona myśli.

Za to Wolter... och! z pyszna miał się w samej rzeczy;  
Choć żaden go nie czytał, lecz każdy złorzeczy!

Ksiądz Historyk powolny, Bogu winien ducha,  
Czyta całą godzinę, a nikt go nie słucha.

Ciągle myślał o ptaszkach—miał ich pełną celę;  
A czy Nil wpada w Eufkrat, czy tam w Dardanelle,  
A jak tam sobie idzie dziejowa nauka,  
Czy kto króla Popiela w Babilonie szuka,  
Hannibal zbił Scypiona, Scypio Hannibala,  
Nasz dobry ksiądz Historyk na wszystko pozwala,  
I tylko czasem ostrzej bierze się do młodzi,  
O świętej Inkwizycyi gdy mówić przychodzi.

Ksiądz Historyk znał dzieje i znał kartę świata,  
Ale błędna myśl jego Bóg wie gdzie ulata:  
Mówiąc, jak Leonidas padł przy Termopilach,  
On myślał o kanarkach, czyżykach i gilach.

Raz się długo zamyślił nad zburzeniem Troi;  
«—Czy widzicie?—rzekł—szczygieł kanarka się boi!  
«Zuch kanarek!... och! gdzie tam!! Achilles chcę mówić,  
«Nie da się stary wróbel na plewy ułowić.  
«Chociaż Grecy ufali jego męskiej cnocie,  
«Zamknął się w swojej klatce... chcę mówić: w namiocie.  
«Otóż tedy Achilles... widzicie panowie,  
«Zamknął się... co tam było? niechaj sequens powie.»

Ksiądz Katolik, co dawał katechizm w sobotę,  
Kłócić się z różnowierce miał wielką ochotę;  
Teolog dogmatyczny, jak wpadł na dogmata,  
To rzadko kiedy mówił o stworzeniu świata.

Zamiast przykazań Bożych, on napadał żmiją  
Na sektę Aryanów, którzy dziś nie żyją;  
Długo lubił rozprawiać, w czem papieża władza,  
W czem się sobór nicejski z trydenckim nie zgadza.

Rzucał dziwne pytania od chwili do chwili,  
Chciałby się z kim posprzeczać, lecz wszyscy wierzyli;  
Jużci za jakieś figle lub ciężkie bezprawia  
Tygodniowy rachunek w sobotę odprawia...  
A ręka była ciężka—w sercu krew nie woda:  
Więc biada, kogo cenzor pod rękę mu poda!  
Zdaje się że weselszy, im silniej uderzy,  
Zwalcza hydrę piekielną, jakby święty Jerzy.



Dziś pokój jego prochom! dla wiary chciał plonu,  
 Chciał wskrzesić średniowieczne podania zakonu;  
 A nie spojrział w krąg siebie, że choć fala grzmoce,  
 Święty Kościół Piotrowy trwa na swej opoce,  
 Że po burzach wiosennych nastaje czas żniwa  
 I nie krwią, lecz miłością walka się odbywa.

Nie tak pojmował Kościół i ludzkości losy  
 Ksiądz Niemiec, człowiek dobry, szczupły, czarnowłosy,  
 Co na nas, drobną trzodę uczniów i słuchaczy,  
 Nim się namyśli gniewać, to naprzód przebaczy;  
 A kiedy chce którego upomnieć surowie,  
 Najeży się, namarszczy—potem nic nie powie;  
 A gdy trzeba ofuknąć, to nakoniec rzecze:  
 «—Ucz się, mój aniołeczku! bo młodość uciecze,  
 «A pod starość i pamięć i zdolność się zmienia,  
 «Chcesz się czegoś nauczyć, idzie jak z kamienia.  
 «Ja sam przed laty, dzieci, pragnę być otwarty,  
 «Chciałem sobie na starość umieć zagrać w karty,  
 «Lecz choć długo się uczę i próbuję różnie,  
 «Czerwieni od żółędzi jakoś nie odróżnię.  
 «Ucz się, ucz, aniołeczku!... A teraz, panowie,  
 «Kto balladę z Goethego na pamięć mi powie?  
 «Goethe był wielki pisarz, on miał w głowie olej,  
 «Panie Janie Dęboróg, na waćpana kolej!»

*W. Syrokomla.*

## 159. Ignacy Krasicki w Dubiecku.

Książę biskup warmiński <sup>1)</sup> rzadko w Polsce bywał,  
 Bo na swojej stolicy w Heilsbergu siadywał;  
 A choć krzesło miał w Rzeszy, a drugie w senacie,  
 Nie ozwał się inaczej, tylko: «Panie bracie!»  
 Grzeczny, miły, dowcipny, a jak król dostojny,  
 Pogodny jak słońce, a jak ziemia hojny.

<sup>1)</sup> Książę biskup warmiński miał swoją rezydencję w księstwie Warmińskim, należące do Rzeczypospolitej Polskiej, w którym był udziałnym księciem Heilsbergu, a stąd krzesło i głos w duchownym senacie Rzeszy Niemieckiej. Do tej stolicy biskupiej była także przywiązana godność senatora w duchownym senacie Rzeczypospolitej Polskiej.

Choć wierszem komu przyciął, każdy to przebaczył,  
 Gdy się tylko pokazał, lub przemówić raczył.  
 A dopieroż pomyśleć sobie te radości,  
 Gdy do ziemi rodzinnej dworno zjechał w gości,  
 Do Dubiecka po latach, jak do swego gniazda,  
 Gdzie mu jasno świeciła nad kolebką gwiazda!

Co to szczęścia tam było nad Sanem w tym dworze,  
 Gdy do nóg rodzicielki upadł syn w pokorze!  
 I choć kapłan, senator, płakał jako dziecię  
 I o tem tylko wiedział, że mu dała życie.  
 Z Świętej Lipki <sup>1)</sup> warmińskiej przywiózł matce dary,  
 A bratu złożył sygnę od Papieża stary,  
 Co się przeszło lat tysiąc przespał w rzymskim grobie,  
 Aż go znowu jak klejnot wzięto ku ozdobie.  
 I jak trafił w myśl matki, dawszy jej świętości!  
 I jak bratu dogodził pamiątką rzadkości!  
 Tak każdemu z kolei dary wybrać umiał,  
 I każdego i chęci i myśl wyrozumiał.  
 A nawet stare sługi wzięły po gościńcu,  
 Kiedy pod starą lipą zasiadł znów w dziedzińcu,  
 Gdzie niegdyś u stóp matki igrał jako dziecię.

Są i miejsca i drzewa tak szacowne w świecie,  
 Które tylko w miłości człek ocenić zdoła,  
 Kiedy w pamięć wspomnienia młodości przywoła.

Na dziedzińcu zamkowym stara lipa stała,  
 Co od kilku już wieków tu orędownała,  
 I połowa tej lipy kryła dworzec stary,  
 A druga nad dziedzińcem trzymała konary,  
 Błogosławiąc swym cieniem i chłodem dziedzinie,  
 I tym bogom domowym i wszystkim drużynie.  
 Po trzech stronach dziedzińca ciągnęły się mury,  
 Z czwartej ku południowi opadał brzeg z góry,  
 A u stopy urwiska San się węzem zwinął  
 I w tę stronę po błoniach wzrok daleko płynął,  
 Aż się trącił o góry i lasy bukowe,  
 O Sanowe wybrzeża i derby świerkowe.

<sup>1)</sup> Parę mil od miasteczka Końska znajduje się w katolickiej Warmii miejsce, łaskami i odpustami na całą Warmię słynne, zwane Świętą Lipką.

Gdyś wjechał w dziedziniec, toś pod lipy cieniem  
 Ujrzał się już odrazu jakby pod sklepieniem,  
 A ta jedyna lipa za cały las stała  
 I połowę dziedzińca prawie ocieniała;  
 A że wyżej nad drzewa okolicy wzrosła  
 I poważnie ku niebu swe czoło podniosła,  
 Panując i nad zamkiem i całą przestrzenią,  
 Stąd w całej okolicy nazwano ją «Ksienią».

Kto Krasickich Dubiecko, ten znał już i Ksienię.  
 I w dziedzińcu zamkowym zielone podcienie,  
 Gdzie całym pokoleniom wiek swobodnie spływał,  
 I pod którym przez lato cały dom siadywał.  
 Tu stawały powozy i wierzchowe konie,  
 Tu się po polowaniu wystrzelały bronie,  
 Tutaj konie rankami przejeżdżał koniuszy,  
 Tu słowik z ponad Sanu przemawiał do duszy,  
 I tu obiady letnie, śniadania wiosenne,  
 Tu powitanie gościa i tutaj strzemienne.

Ksienia była i domem i niby osobą,  
 I dla wszystkich przytulkiem, wszystkiemu ozdobą.  
 W pniu jej żyła ukryta i kuna i łaska,  
 Którą stary kredencierz chwycił na żelazka;  
 Na jej jednym konarze od strony ogrodu  
 Siadywały pod wieczór zwykle wszystkie pawie;  
 A na drugim, co wybiegł daleko od wschodu  
 I wygiął się ku słońcu aż kabłąkiem prawie,  
 Stało kilka pni starych na pamiątkę roju,  
 Co tu osiadł przed laty i Ksienię przystroił;  
 A ile dziątek małych bywało w pokoju,  
 Tyle zazwyczaj rojów stary ul wyroił.

Kiedy Ksienia okwitła i pszczoła zagrała,  
 To już i woń i lubość taka uderzała,  
 Że żal było odejść z ciemnego podcienia,  
 I naówczas mawiano: «że się modli Ksienia».

A gdy puszczyk się ozwał na niej nocną porą,  
 Co gdzieś w suchym konarze miał gniazdko pod korą,  
 To całemu domowi za wyrocznię służył,  
 Bo dzieciom kolebeczki, starym trumny wróżył.

Wiewióreczki lubiła sama pani domu;  
 Więc gdy wiewiórkę chwycić zdarzyło się komu,



Przynosił ją do zamku, a ułaskawiona  
 Żyłła sobie na lipie z rąk codzien żywiona.

Stąd cały rój wiewiórek płaśał w cieniu Ksieni,  
 I miło było spojrzeć w górę po zieleni;  
 Bo ażeby jakie człeka ogarnęły smutki,  
 To gdy usiadł pod drzewem i patrzył na płasy,  
 Które nad nim stroiły zwinne bałamutki,  
 Musiał się rozweselić i pokręcić wasy.

A jak w końcu listopad Ksienię obrał z wieńca,  
 I dzieci do pokoju zapędził z dziedzińca,  
 To bolały serdecznie, wyglądając z sieni:  
 «O! jakże to tam zimno! Biedna nasza Ksieni!»

Kiedy biskup warmiński do Dubiecka zjechał  
 I do sanockiej ziemi wdzięcznie się uśmiechał,  
 Wieść ta i wszystkie serca, i dwory zaległa  
 I w całym województwie nagle się rozbiegła;  
 Bo to, odkąd w Sanockiem San wywinął węża,  
 Nie było sławniejszego z tej ziemi już męża,  
 A do tego dygnitarz w duchownym senacie,  
 Więc każdy sobie mówił: «Jedźmy panie bracie!»

Więc *viritim* też szlachta na konia usiadła,  
 I jak gdyby na sejmik do Dubiecka spadła.  
 Gęsta ręka, mosanie! Stawaj, gdzie kto może:  
 Kto domowi był bliższym, mieścił się we dworze;  
 Ba, dalej i za dworem, gdzie kto mógł po mieście,  
 I na obu probostwach, i wikaryach obu,  
 I u mieszczan dubieckich, i u żydów wreszcie,  
 A był taki, co przespał nawet koło żłobu.

Gospodarz wszystkich równo przypuszczał i witał;  
 A gdy biskup każdego ścisnął i wypytał  
 O przyjaciół i krewnych, o żonę i dzieci,  
 To chociaż naczecz serca, łza już w oku świeci;  
 A choć szlachcie z językiem, zabrakło mu słowa,  
 I płaczem się kończyła serdeczna rozmowa.

W ślady szlachty dopiero zdaleka i zblizka  
 Ściągały się świeczniki przy pomocy Bożej:  
 A więc pan wojewoda Ossoliński z Liska,

Ba, dalej z Baligrodu pan Bal podkomorzy,  
I biskupi przemyscy i pan Mniszek z Laszek;  
Więc nie brakło prezency, zabaw i igraszek.

Niby pokój miasteczko było umiecione,  
Wszystkie domy jak z płatka czysto wybielone:  
W każdym domu możniejszym i stół, i kapela,  
I przyjęcie od serca, i kupsko <sup>1)</sup> wesela.

Książę Biskup miał w zamku codzienną mszę poranną  
Przed relikwiarzem matki i Najświętszą Panną,  
Co od wieków słyneła w tym domu łaskami,  
I na tej mszy bywali tylko krewni sami.

Po mszy wracał do siebie i godzin trzy prawie  
W ciszy innej zupełnie poświęcał zabawie,  
Bo albo listy pisał, lub wiecznie dyktował,  
Gdy go szatny ubierał, a fryzyer pudrował.

Potem czytał mu lektor; a gdy czas dobiegał,  
Marszałek o przybyciu biskupa ostrzegał,  
A kiedy się odbyło krótkie powitanie,  
Dla samego biskupa dawano śniadanie.

Potem się zaczynały ranne odwiedziny:  
Książę biskup obchodził dokoła mieściny,  
I tu stanął przed drzwiami, tam w okno zapukał,  
Każdemu coś powiedział, każdego odszukał.

Raz, gdy wszyscy wieczorem byli zgromadzeni  
Na dziedzińcu zamkowym pod skrzydłami Ksieni,  
I przy świetle kagańców trwała w noc biesiada,  
Błysła tysiącznych świateł na Sanie gromada;  
I od gór, kędy rzeka na błonie wychodzi,  
Aż pod zamek dubiecki, gdzie się kręto zwija,  
Stanął San w jednej chwili w kagańców powodzi,  
I przeciągnął się nocą, jak ognista żmija;  
I w tejże samej chwili na połaci całej  
Wszystkie góry tysiącem ognisk zagorzały.

Nie sztuka mieć Sobótkę gdzieś o świętym Janie,  
Ale miejże Sobótkę tak na zawołanie!

<sup>1)</sup> Kupsko—wyrażenie ludowe, zamiast: dużo.

Więc każdy się zadziwił: «A to okazałe!  
«A to cuda! to dziwy! a to już wspaniale!»

«Ej, zbytki, panie bracie! to nie po naszymu!»  
Rzekł z cicha książę biskup panu Antoniemu;  
Ale brat go upewniał, że nie jego dzieło,  
I że nie wie, skąd wszystko tak się cudem wzięło.

A skąd tem większa radość była gości,  
Bo *hic stat*, — jak to mówią, — już w okazałości!  
Choć autor *anonimus*, każdy mu się zdumiał.

Jeden tylko pan Mniszek całą rzecz zrozumiał.  
Bo trzeba wiedzieć o tem, że ucztę wyprawił  
Przed tygodniem pan Mniszek w prześlicznym gaiku,  
Na której książę biskup długo w wieczór bawił,  
I gdzie było wykwintów i gości bez liku,  
Gdzie i świątynię sławy wspaniale wzniesiono.  
I cyfrę, *cujus festum*, w gwiazdy oświecono,  
I strzelano z moździerzy za każdym wiwatem,  
Tak, iż wszyscy mówili, że «już stało na tem.»

Ale pan podkomorzy był innego zdania:  
A kiedy z uczyt wracał, myślą się ugania,  
Jakby ten cały festyn i szlachcie zohydzić,  
I partyę starościńską przed światem zawstydzić.

I rzecze Żurowskiemu: «Mój mości cześniku!  
«Z cyfrąś księcia wyjechał? To koncept kucharski.  
«I z klucza strzelać kazał jakby na prazniku?  
«Alboż i ten monument? — ani to, ni owo!  
«I biskupa gdzieś w lesie trzymać z gołą głową?  
«Ta to książę poetów, ozdoba Parnasu,  
«Jakiej jeszcze nie było za naszego czasu;  
«A on poplótł mu wieńce! a z czego? — z choiny!  
«I oświecił mu cyfrę i trochę grabiny!  
«Otóż, panowie bracia! czas honor ocalić:  
«A kiedy światłem mamy *lumen terrae* chwalić,  
«To niech je każda góra Sobótką pochwali,  
«A że ziemia Sanocka, to niech San się pali.»

«Dobrze! — krzyknął Żurowski — to myśl wyśmienita!  
«Damy sto beczek smoły, a z starostą kwita!»



I jak się kilku szlachty z cicha zawinęło,  
 To i sto beczek smolnych gdzieś się w kącie wzięło;  
 I ktoś wszystkiem zarządził, w punkcie pozapalał,  
 I tysiącem kagańców cały San się zalał,  
 I rozgorzały góry od razu jednego,  
 Od samej Nienadowy aż hen do Winnego!

A gdy się rzecz wykryła, sprawa bardzo prosta,  
 Że pan Bal poszedł w górę, a na dół starosta.

*W. Pol.*

## 160. Psalm (VIII).

Wszehmocny Panie, wiekuisty Boże!  
 Kto się Twym sprawom wydziwować może?  
 Kto rozumowi, którym niezmierny  
 Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,  
 Wszędy jest zacne, święte Imię Twoje.  
 A sławy niebo ogarnąć nie może  
 Twej, wieczny Boże!

Niech źli, jako chcą, Ciebie mierzą sobie,  
 Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie,  
 Ku większej hańbie i ku potępieniu  
 Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota  
 Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota;  
 Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne  
 Koło miesięczne.

A człowiek co jest, że ty niestworzony  
 Wszystkiego Twórcą i Pan niezmierny  
 Raczysz go pomnieć? Czem jest syn człowieczy  
 Godzien Twej pieczy?

Takeś go uczcił, takeś uwielmożył,  
 Żeś go z anioły ledwo nie położył:  
 Postawiłeś go panem nad zacnemi  
 Czyni swojemi.

Daleś w moc jego wszystkie bydła polne,  
 Daleś i leśne zwierzęta swawolne;  
 On na powietrzu ptactwem, nad wodami  
 Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!  
 Kto się Twym sprawom wydziwować może?  
 Kto rozumowi, którym niezmierny  
 Ten świat stworzony?

*Jan Kochanowski.*

## 161. Potęga Najwyższego.

Psalm XCIII.

Pan chce królować, odział się zacnością,  
 Okrył się męstwem wszystkich i dzielnością;  
 Pan, przez którego krąg nieporuszony  
 Ziemi stworzony.

Stolica Jego od początku świata  
 Jest założona, a On wszystkie lata  
 Upredził; ale i wieków nie stanie,  
 A On zostanie.

Niech huczą rzeki, niechaj głośnie wały  
 Swym groźnym szykiem uderzają w skały;  
 Groźniejszy morza i wszech nawałności  
 Bóg z wysokości.

Chybić nie może, co Ty kiedy swoim  
 Słowem wyrzeczysz; przeto w domu Twoim  
 Wieczna powaga, wieczna cześć zostanie,  
 Prawdziwy Panie!

*Jan Kochanowski.*

## 162. O Opatrzności Boskiej.

Opatrzny Boże na niebie i ziemi!  
 Znać to, żeś Ojciec, my dziećmi Twojemi!  
 Codzień Ci jakieś powinniśmy dzięki,  
 Za dar widomy z niewidomej ręki.

Słońce i księżyc za Pana Cię znają,  
I zawsze Ci się najlepiej sprawiają,  
Dzienną i nocną odbywając stróżą:  
Ma im być dobrze, bo tak dawno służą!

Ty opatrnością Twoją nieodwłoczną  
Ubogiej ziemi dajesz barwę roczną;  
Ziarno wśród mrozu grzejesz parą tajną  
I siłę jego umacniasz rodzajną.

Do Ciebie czy głód, czy cierpi pragnienie,  
Oczy podnosi wszelakie stworzenie;  
Twoim nakładem, z Twej jedzą komory  
Wszystkie powietrzne, ziemne, wodne twory!

Podróżny, Twoją ręką prowadzony,  
Na dobrą drogę wyjdzie obłądzony;  
Twojem staraniem zguba nam nie wróci,  
Bo żal Ci, gdy się Twój człowiek zasmuci.

Dajesz pogodę i deszcz w swojej porze,  
Bydłętaś nasze zrachował w oborze;  
A gdy o każdym pamiętasz stworzeniu,  
I dzieci nasze znasz po ich imieniu.

Opatrzny Boże na ziemi i niebie!  
Nas nie odstępuj w wszelakiej potrzebie;  
Bo gdy co zrobim naszą tylko siłą,  
Zaraz to poznać, że Ciebie nie było.

*Fr. Karpiński.*

### 163. Miłość bliźniego.

Prawo to święte na ziemi i niebie:  
«Kochaj bliźniego, jak samego siebie!»  
Gdy Bóg stanowił, dał się ludziom dociec,  
Że dla swych dzieci napisał je ociec.

Niech mnie, jako chce, mój bliźni szkaluje,  
Niechaj mnie krzywdzi, niech mnie prześladowuje;  
Oddać wet za wet na cóżbym się silił?  
On bratem moim, on to się pomylił.



Niewinność moja jeśli przy mnie stanie,  
Z wiatrem się ludzkie rozejdzie gadanie;  
A zamiast swarów, wzajemnej przygany,  
Daruję bliźnim i będę kochany.

Pod jednym żyje naród ludzki Panem,  
On się każdego z nas zatrudnia stanem,  
Daje nam pokarm, z jego stołu jemy,  
Czeladka Pańska! za cóż się kłócimy?

«Kochajcież Boga nad wszystko dobrego,  
«Kochajcież bliźnich, jak siebie samego.» —  
Te dwa naczelne Boskie przykazania  
Postanawiajmy pełnić do skonania.

*Fr. Karpiński.*

## 164. Prawdziwa moc w Bogu.

Komu Ty, Panie, nie pobłogosławisz,  
Kogo Ty, Panie, bez wsparcia zostawisz,  
Choćby mógł więcej od zwyczajnych ludzi,  
Próżno się trudzi.

Wesprze się jeno, aby się osunął,  
Dźwignie się w górę, aby w przepaść runął,  
Mocarz — a padnie wśród największej mocy  
Bez Twojej pomocy.

Zbierze lud mnogi, pół świata uzbroi,  
A pół drugie zwojował; posiędzie  
Władzę nad światem i do woli swojej  
Wszystko mieć będzie.

Wszystko na ziemi krom Ciebie ogarnie,  
Ludy, narody pod stopy swe zgarnie,  
Nadstawią grzbietu wały oceanu,  
By swemu Panu.

Szerokoskrzydła nieść go będzie sława,  
Ni go powstrzyma zastęp niebosiężny,  
Co dmom <sup>1)</sup> Samumskim lat tysiące dawa  
Opór potężny.

<sup>1)</sup> Dma—znaczy tyle co powiew, podmuch.

Jak dma libijska strach wypuści z siebie,  
 Jako szarańcza na państwa naleci!...  
 I jako Samum zgubi się, zagrzebie  
                                           W własnej zamieci.

Lub jak szarańcza, wiatrem uniesiona,  
 Na morskiem łonie żywota dokona;  
 W ostatku głosem ozwie się mądrości:  
                                           *Próżność próżności.*

Komu Ty, Panie, nie pobłogosławisz,  
 Kogo Ty, Panie, bez wsparcia zostawisz,  
 Choćby mógł więcej od zwyczajnych ludzi,  
                                           Próżno się truzdi!  
                                           *Tomasz Olizarowski.*

## 165. Rada dziecięciu.

(Z Wiktora Hugo).

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga,  
 Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat;  
 Zacnych uszanuj, wielbij i czcij Boga,  
 Pielęgnuj w duszy niewinności kwiat.

Chowaj prostotę, nie szukaj bogaczy,  
 Nie szukaj możnych—lada wiatr ich zmiata;  
 Najwięcej bowiem w oczach Bożych znaczy  
 Błyszcząca jak śnieg niewinności szata.

Ileż to razy niebotyczne wieże  
 W gruzy runęły? wierz mi, moje dziecie,  
 Podczas gdy oko Najwyższego strzeże  
 Małego majtka na masztowym szczycie!

Unikaj, ku złemu kędy wiedzie droga,  
 Idź prawym szlakiem od pierwszych swych lat,  
 Zacnych uszanuj, wielbij i czcij Boga,  
 Pielęgnuj w duszy niewinności kwiat.

*J. M.*

## 166. Wiek młody.

O, wieku młody! tyś wiosną człowieka!  
 Na tobie ziarno przyszłości on sieje,  
 Twoim on ogniem resztę wieku żyje.  
 Biada, kto młody na świat patrzy staro,  
 Zimnemi piersi, obojętnem okiem,  
 I nic nie znając, nic poznać nie żąda,  
 Nic nie uczuwszy, nic uczuć nie pragnie.  
 Lecz błogo, błogo, gdy z duszą młodzieńczą  
 Wynijdzie na świat chciwy świata człowiek;  
 Wszystkiego żąda, wszystko chciałby w chwili  
 Pożreć i objąć, pojąć i zrozumieć.  
 O! wówczas życie—to podróż wesoła:  
 Co chwila nowe objawia się kraje,  
 I coraz świeże wabią go obrazy;  
 Świat rąk tysiącem serce mu oplata,  
 Tysiącem myśli głowę mu uwieńcza,  
 Tysiącem żądz duszę mu kołysze.  
 O! wówczas młodość jest słodką godziną;  
 Człowiek się uczy, pragnie i spodziewa;  
 A czegoż więcej do szczęścia potrzeba?  
 Pragnienia tylko, zapалу, nadziei!...

*J. I. Kraszewski.*

## 167. Rodzina.

Jak niebo szerokie, deszcz leje potokiem,  
 Świat cały pod niebem wre morzem głębokiem,  
     Straszliwa potopu godzina.  
 I jedna już tylko w otchłaniach nicości  
 Pamiątka przeszłości, nadzieja przyszłości,  
     Buja w arce Noego rodzina.

I wszystkie skazanej ludzkości boleści,  
 Żal, rozpacz, zwątpienie i przestрах niewieści  
     Miotają jej syny i córny.  
 I obok litości, gniew na tych, co sami  
 Niewiary, swawoli i pychy grzechami  
     Kaźń świata ściągęli nań z góry.



Sam Noe, z pokojem cierpienia na czole,  
Przeniknął ich myśli, zrozumiał ich bole,

I stanął w pośrodku i rzecze:

«Pan stworzył, Pan zniszczył; cześć Panu nad Pany!

«Łzy wasze nie grzechem, lecz sąd wam nie dany

«Na braci, na plemię człowiecze.

«Zgrzeszyli, zginęli;—lecz dla was z ich kaźni,

«Nie gniewu, nie wzgardy, lecz Pańskiej bojaźni

«Pobudka niech będzie jedynie.

«Bo wyście wybrani odrodzić świat nowy,

«A jako w swem ziarnie plon wszelki światowy,

«Tak Ludzkość zawarta w Rodzinie.

«Z praocjów spuścizną w plemienu Adama

«Grzech skaził świat stary; i oto ta plama

«Potopem się zmywa ze świata.

«Spuścizną niech po was odziera synowie,

«Co światu nowemu zwrot Łaski zapowie:

«Wiarę w Panu i miłość dla brata.

«Chłonące świat wody w głąb ziemi wnet wsiękną,

«I ziemia, jak była, odrodzi się piękną,

«Lecz duch Boży niech w was się odrodzi.

«I patrzcie! Pan słowu mojemu poręcza.»

Rzekł Noe i wskazał ku niebu, a tęcza

Jak wstęga spłynęła ku łodzi.

*A. E. Odyniec.*

## 168. Bóg naszą nadzieją.

«Bóg naszą nadzieją! Bóg naszą nadzieją!»

Z tem hasłem przepłyniesz przez świata bezdroże;

Gdy wichry zahuczą i wiatry zawieją,

Ty śmiało powtarzaj: «Bóg naszą nadzieją!»

Niech wichry się srożą, niech burze szaleją!

Nie upadł, kto w Tobie zaufał, o Boże!

Bo z świętem tem hasłem «Bóg naszą nadzieją»,

Przepłyniesz przez świata burzliwe bezdroże!

*Lud. de Perthes.*

## 169. Sen Anioła.

O rannym świcie  
 Na matki łonie  
 Złożyło dziecię  
 Spłakane skronie.  
 I sen uroczy  
 Na jego oczy  
 Spływać zaczyna,  
 I—śpi dziecina.

O! śpij, dziecino!  
 Niech ci w tej chwili  
 Rajską dziedziną  
 Sen się przymili!  
 Niechaj na ziemi  
 Skrzydły swojemi  
 Miłość z nadzieją  
 Łzy twe owieją!

Znów się, niebożę,  
 Śmiejesz na poły,  
 Ty witasz może  
 Braci anioły.  
 Uprośże sobie,  
 Niech cię w tej dobie  
 Złotemi pióry  
 Wzniosą nad chmury;

Biedny aniele  
 Wydziedziczony!  
 Ty za wesele  
 Mir nieskończony  
 Przyjąłeś z nami,  
 Żywot z troskami  
 I śmierć w podziele,  
 Biedny aniele!  
 Bo na tej ziemi,  
 W nędzę bogatej,  
 Pod stopki twemi  
 Uwiędną kwiaty.  
 Tu łzawe echo  
 Nazwiesz pociechą,  
 A płacz i łkanie  
 Za pieśń ci stanie.  
 A tam zaś społem  
 Drobnemi stopy  
 Z stróżem aniołem  
 Niebieskie stropy  
 Przejdź, — a na progu  
 Pokłoń się Bogu  
 I z Patronami  
 Módl się za nami. —

*J. N. Jaśkowski.*

## 170. Matka i dziecię.

W noc mroźną i ciemną u progu kościoła  
 Usiadła niewiasta — ach! szkielet niewieści!  
 Tuliła do łona dziewczynkę — anioła,  
 Karmioną nie mlekiem, lecz łzami boleści.

Dziecina ta spała; — w podarte ją szmatki  
 Dłoń, sama skostniała od zimna, osłania.  
 Nie pierś ją uśpiła, lecz cichy jęk matki,  
 Nie ruchy kolebki, lecz matki jej łkania.

I nagle dziecina załkała też we śnie:  
 Śni jej się, że matka zostawia ją samą,  
 Podniosła rączęta i jęczy boleśnie:  
 «Mnie straszno, mnie zimno, nie rzucaj mnie, mamo!»

Lecz matka nie słyszy! — Znosiła, co mogła —  
 Głód, nędzę, pogardę i życie tułacze;  
 Lecz boleść matczyzna nad siłą przemogła,  
 I teraz — nie słyszy, że dziecko jej płacze.

Bo Pan się zlitował — i ona usnęła  
 Snem, w którym już niema ni łez, ni zgryzoty.  
 Dziecina się z kolan na kamień zsunęła, —  
 Lecz kamień-że będzie piastunem sieroty?

Wy ludzie szczęśliwi, gdy Bóg wam dozwoli  
 Zobaczyć los taki — mieć serce i złoto:  
 Nie dajcie tak matce usypiać w niedoli!  
 Nie dajcie się dziecku przebudzić sierotą!

J.

## 171. Anioł Stróż.

Niedobre, nieczule dziecię!  
 Ziemskie matki twej zasługi,  
 Prośby jej na tamtym świecie  
 Strzegły długo wiek twój młody  
 Od pokusy i przygody;  
 Jako róża, anioł sadów,  
 We dnie kwitnie, w noc jej wonie  
 Bronią senne dziecka skronie  
 Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki  
 I za pozwoleniem Bożem  
 Zstępowałem do tej chatki  
 Cichy, w cichej nocy cieniu,  
 Zstępowałem na promieniu  
 I stawałem nad twem łóżem.

Gdy cię noc ukołysała,  
 Ja nad marzeniem namiętmem  
 Stałem jak lilija biała,  
 Schylona nad źródłem mętmem.



Nieraz dusza mnie twa zbrzydła;  
 Ale w złych myśli nacisku  
 Szukał dobrej, jak w mrowisku  
 Szukają ziarenek kadzidła.  
 Ledwie dobra myśl zaświeci,  
 Brałem duszę twą za rękę,  
 Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,  
 I śpiewałem jej piosenkę,  
 Którą rzadko ziemskie dzieci  
 Słyszą, rzadko i w uśpieniu,  
 A zapomną w odecknieniu.

Jam ci przyszłe szczęście głosił,  
 Na swych rękach w niebo nosił;  
 A tyś słyszał niebios dźwięki,  
 Jako pijanych ust piosenki.—

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,  
 Przybierałem wtenczas postać  
 Obrzydłej larwy piekielnej,  
 By cię straszyć, by cię chłostać;

Tyś przyjmował chłostę Boga,  
 Jak dziki męczarnie wroga.  
 I dusza twa w niepokoju,  
 Ale z dumą się budziła,  
 Jakby w niepamięci zdroju  
 Przez noc całą męty piła.

I pamiątki wyższych światów  
 W głąb ciągnąłeś, jak kaskada,  
 Gdy w podziemną przepaść wpada,  
 Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,  
 Oblicze tuląc w me dłonie;  
 Chciałem, i długo nie śmiałem  
 Ku niebieskiej wracać stronie,  
 Bym nie spotkał twojej matki.  
 Spyta się, jaka nowina  
 Z kuli ziemskiej, z mojej chatki?  
 Jaki sen był mego syna?

*A. Mickiewicz.*

## 172. Znikome wielkości świata.

Ziomku! co się dziwujesz Watykanu szczytom,  
 Wnieś tylko oczy ku niebu błękitom;  
 Spójrzuj, czy widzisz, jak w gmachu bez końca  
 Niezliczone błyszczą słońca?  
 Naucz mnie, przed kim mam zginać kolana,  
 Przed dziełem człeka, czy tych światów Pana?

Ludzie! o ludzie! gdzież te wasze dziwy,  
 Palmiry gmachy, ogrody Niniwy?  
 Wszystko leży pod ruiną.  
 A rzeki płyną,  
 Gwiazdy świecą, ziemia rodzi, —  
 Słońce wschodziło i wschodzi.

O, Ty! co istność mą od Ciebie wziąłem,  
 Boże wielki, przyjmij pienie:  
 To lazurowe sklepienie  
 Jest Twoim wiecznym kościołem!  
 Niech duma człeka w przedsięwzięciach hardych,  
 Silne na brylantach twardych  
 Wyniesie wieże ze stali.  
 I te czas zwali.

A co moc Twoja stworzyła,  
 Nie skruszy gromów, ani wieków siła;  
 Dopóki każesz, trwać będzie,  
 Bo Ty jesteś wszystkim... wszędzie!

*Ant. Górecki.*

## 173. Modlitwa za rodziców.

Kiedy w porannej rozmyślań godzinie,  
 Do Ciebie, Boże, modły moje wnoszę,  
 Nad inne tklawiej jedna w niebo płynie, —  
 I dłużej, rzewniej Cię proszę,  
 Ze łzą miłości wnosząc to błaganie,  
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

A prośbę taką Ty przyjmiesz tam, w niebie,  
 Ojcu i matce łask użyczysz Twoich;  
 Bo modły dziecka miłe są u Ciebie,  
     I błagań wysłuchasz moich;  
 Przed tron Twój, Boże, wznoszę więc błaganie,  
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Oni to, Boże, wiedli mnie do Ciebie,  
 A gdy Cię całem sercem ukochałem,  
 Boże mój, Ojczy, który jesteś w niebie,  
     W nich ja Twój obraz widziałem.  
 I z większą jeszcze czcią wzniosłem błaganie,  
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Węzeł miłości, co mnie łączy z nimi,  
 Tyś sam wlał w serce, niepojęty Boże!  
 Tyś sam zjednoczył węzłami świętymi,  
     Jakich nikt zerwać nie może;  
 Więc z wiarą w Ciebie wznoszę to błaganie,  
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Niech własne dziecko nieba im przychyli  
 I dni ich życia niech szczęściem otoczy,  
 A serce nasze w każdej życia chwili  
     Święta niech miłość jednoczy.  
 O Boże wielki! przyjm moje błaganie:  
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

*S. Duchńska.*

## 174. K ł o s.

Często, gdy Opatrzności szukamy po niebie,  
 Stopa nasza najwyższy cud natury grzebie:  
 Tu ziarnko trafem w zgniłą ziemię zarzucono;  
 Wnet je matka natura bierze na swe łono,  
 Ogrzewa je, przekształca jej czujna opieka;  
 Ziarnko zmieni się w mączkę, dalej w kroplę mleka.  
 Wnet zapuszcza korzonek i nitki rozwodzi,  
 Które ssą matkę zmarłą, aż roślina wschodzi,  
 Co jakby srebrnym rylcem lekką ziemię ryje,  
 Aż główkę szafirową wśród nocy wykryje.



Od rzeszy lekkich wiatrów całowana wkoło,  
 Ośmielona, wznosi się, kołysze wesoło;  
 A natura jak Anioł budowę prowadzi:  
 Zakłada wewnątrz ściany, urządza i gładzi,  
 Cztery buduje piętra, podstawia filary,  
 Splata łuk, aby przyszłe udźwignąć ciężary.

Gdy kłos widzi nad sobą ususzona ziemia,  
 Matka dziwnej budowie potomstwo rozplenia.  
 Z jednego mnóstwo tworzy; wnet kolebki dzieli,  
 Śpią jedne nad drugimi w jedwabnej pościeli;  
 Tak leżą słodkiem mlekiem karmione od matki,  
 Aż silniejsze i śmielsze podnoszą się dziatki.  
 Teraz pora szczęśliwsza:—z wesołą prostotą  
 Kwitną, igrają, w szatę ustrojone złotą,  
 Szczęśliwe;

Lecz się razem gromadzą ich wrogi:  
 Muchy, ptaszki, robaczki chcą niszczyć plon drogi.  
 Lecz matka nie zapomni zbroi i puklerza,  
 I las dzid ostrych wkoło swych dzieci najeża.

Tak natura swe dzieci kocha i ochrania,  
 Co rok w polach powtarza ten cud zmartwychwstania;  
 A człowiek, co go zdobi rozum i nauka,  
 Mówi, że Opatrzności nadaremnie szuka!

*Kazimierz Brodziński.*

## 175. Sieję proso na zagonie.

Sieję proso na zagonie, czyż je będę żać?  
 Przecież z wiarą rzucam w ziemię ziarno, bądźcobądź!  
 Może w miejsce bujnych plonów, da mi szczerze pole  
 Same habry i ostróżki, lub marne kąkole;  
 Lub co gorsza, może jeno piołuny i głóg  
 W nagrodę za trud podjęty przeznacza mi Bóg;  
 Lecz ja w ziemię pochylony, cicho i w pokorze  
 Moje proso na zagonie sieję w Imię Boże.

Może wichur z burzą zwieje mych zasiewów ślad,  
 Może wzeszłe, słońce spłucze, lub wybije grad;  
 Może, gdy tchną latem z nieba słoneczne upały,  
 W marny popiół i perzynę zmienią plon mój cały,  
 Może nocą, gdy powieje z łona ziemi chłód,  
 W niwecz pójdzie znój oracza i podjęty trud;

Lecz nie bacząc, jakie straty przyszłość zrządzić może,  
Moje proso na zagonie sieję w Imię Boże!

Jakże nie siać, gdy mi zagon łąą użyźnił Bóg;  
Kiedy boleść pruła żywot, by żelazny pług;  
Gdy zawodów długie pasmo i ciężkie niedole  
Do przyjęcia ziarna zwolna sposobiły rolę;  
Jakże nie siać, gdy tajemny wciąż mi szepcze głos,  
By nie bacząc, czy je skrzepi chłód niebieskich ros,  
Czy mu zalśnią o poranku na błękiecie zorze,  
Czyste ziarno na zagonie składać w Imię Boże!

Ja też sieję moje proso, sieję bądźcobądź,  
I nie pytam, czy plon bujny przyjdzie sierpem żąć,  
I nie lękam się mozołu, ni trudu, ni pracy,  
Ale sieję, jak śpiewają w polu rankiem ptacy:  
Z pełną wiarą i nadzieją, że zbudzony wczas,  
Dźwięk ich pieśni pójdzie w niebo z ranną rosą wraz,  
O! Bóg dobry, szczerym chęciom siewcy dopomoże:  
Ja też proso na zagonie sieję w Imię Boże!

*S. Duchyńska.*

## 176. Skarb człowieka.

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz,  
I czy uwierzysz, człeku, czy zmierzysz:  
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,  
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki.

A nie to wielkie, co bywa dumne,  
Ani to wielkie, co ludziom szumne;  
Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć,  
Przed czem w pokorze czołem uderzyć.

Jeno to bywa w człeku bezpieczne,  
A jako dzieło Boże jest wieczne.  
I nie ta ziemia przed inne sławna,  
Kędy jest wiele mnogości zdawna:

Lecz onej ziemi przed inne chwała,  
Kędy ta czeladź Pańska dojrzała,  
Kędy człek poznał Boga na niebie,  
A świętą prawdę daną za siebie.

A w' onej ziemi to znów najpierwsze,  
 Co ci od pieluch było najszczerze:  
 Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,  
 Więc one wdzięczne, stare dąbrowy,  
 Więc i mogiły, gdzie ojców kości...  
 Toć twoje skarby, toć twe miłości.

*W. Pol.*

## 177. C m e n t a r z.

(Elegia z Nikitina).

Zgasły promienie jasnego dzionka,  
 Po sinem niebie księżyc się błąka,  
 Wiejski kościółek widać z pomroki,  
 A na cmentarzu spokój głęboki.

Żadnego gwaru nie słyhać z dali,  
 Żaden się ogień we wsi nie pali,  
 A matka ziemia do siebie garnie  
 Wszystkie tęsknoty, wszystkie męczarnie.

Snem wiekuistym śpią w ziemi starzy;  
 Dawna gromada wiejskich nędzarzy;  
 Śpi wasza dola, dziady, naddziady!  
 Pokój wam, kości sielskiej gromady!

Wiatr śmierci zawiął nad waszą głową  
 Ciszej, niż gasi świeczkę woskową;  
 A krzyż swój krwawy dzielnymi siły  
 Wyście donieśli aż do mogiły.

Pokój wam, pokój, stare niezgody!  
 Wieczna łzom pamięć! Wiek idzie młody,  
 Nową swobodą, nową nadzieją,  
 Pola i lasy niech wam zawieją!

Płonie iskrami jutrzeńka błada,  
 Już się w dziczyznę głuchą przekrada;  
 Wesóło pieją na polnym łanie,  
 Słyhać na stepie jej powitanie.

*Wł. Syrokomla.*



## 178. Wiejski kościółek.

Jakież to wdzięczne wita mię ustronie!  
 Śród lasu łąka, przez łąkę rzeczułka,  
 Wzgórek lipami wieńczone ma skronie,  
 Nad wieńcem liści błyszczą krzyż kościołka.

Tutaj konają świata dźwięki próżne;  
 Jakoś na duszy ochoczo i lekko;  
 Szały namiętne, zapędy bezdrożne,  
 Zostańcie za mną daleko, daleko!

Aż wtem śród wiernych zabrzmiał hymn niedzielny;  
 Głos mój połączę z tych prostaczków pieniem:  
 «O, święty Boże! święty nieśmiertelny!  
 Zmiłuj się!» — Łzy mi pociekły strumieniem.

Och! bo tak wiele, upłynęło wiele,  
 Jak ucho moje tych pień nie słyszało,  
 W ustach współbraci i w takim kościele:  
 Młodszem wspomnieniem serce zapłakało.

Bo któż bez żalu może w przeszłość patrzeć?  
 Kto wolen cierpień goryczy tajemnych?  
 W obliczu Pana ktoby nie chciał zatrzeć  
 Łzami na karcie życia rysów ciemnych?

I Pan przemówił do mnie w owym śpiewie  
 Wiarą, nadzieją i miłości mocą;  
 Pan mnie uczynił liściem na tem drzewie,  
 Co świeżym wiankiem połyska nad nocą.

*L. Siemieński.*

## 179. Cicha noc w łużyckich górach.

Boże słońko do gospody  
 Zaszło, do snu złożyć skroń;  
 Mgły wilgotne wstają z wody,  
 Z łąk wieczorna wieje woń.

W wieńcu gwiazd,  
 W płaszczu chmur  
 Cicha noc  
 Schodzi z gór.

Zadumany, cichy, senny,  
 Otulony w srebrnej mgle,  
 Księżyc uścisk swój promienny  
 Rozmarzonej ziemi śle.

W błogich snów  
 Rajski kwiat  
 Cicha noc  
 Stroi świat.

I w wzburzone moje łono  
 Błogo tchnie jej cichy czar;  
 Ciche wiatry chłodem wioną  
 Na rozdartej piersi żar.

Z trosk i dum,  
 Czarnych tucz <sup>1)</sup>,  
 Źdroje łez  
 Płyną z ocz.

Ach! kiedyż mi będzie dano  
 Ujrzeć cichy noce wschód  
 I księżycę twarz rumianą  
 W przezroczy ojczystych wód?

Serca ból  
 W Wiśle zmyć,  
 I z jej fal  
 Spokój pić?

*Roman Zmorski.*

## 180. Jaskółeczka.

(z W. Hanki).

Jaskółeczka lata rada,  
 Dzionek zapowiada;  
 Ze snu budzi, wzywa ludzi,  
 Sławić Bożą moc  
 Za przebytą noc.  
 Z pól na sioła, hasa, woła,  
 Śmiga w dół i wyż:  
 «Jużem wstała, pośniadała,  
 «A ty jeszcze śpisz?»

<sup>1)</sup> Tu wzięto w znaczeniu burza.

Jaskółeczka lata rada,  
 O wiosence gada:  
 Kraśna zorza z poza morza  
 Wiedzie młody dzień,  
 «Wstań-no!» puka w sień...  
 Z pól na sioła, hasa, woła,  
 Śmiga w dół i wyż:  
 «Jużem wstała, pośniadała,  
 «A ty jeszcze śpisz?»

Jaskółeczka lata rada,  
 Gniazdko sobie składa;  
 Co gdzie zgarnie, gospodarnie  
 Na budowę mknie,  
 Nie próżnuje, nie!  
 Z pól na sioła, hasa, woła,  
 Śmiga w dół i wyż:  
 «Jużem wstała, pośniadała,  
 «A ty jeszcze śpisz?»

*W. Korotyński.*

## 181. Trzej towarzysze.

Trzej towarzysze szli, i niemały  
 Spór wiedli; jeden był księżyc biały,  
 Jasne słoneczko towarzyszył wtóry,  
 A trzeci, deszczyk z wiosennej chmury.

Rzekł biały księżyc: «Niemasz nade mnie!  
 Kiedy w podpełniu wzejdę nad ciemnie,  
 Łan, błon, dąbrowa staje w jasności,  
 I jak w dzień widna droga dla gości.»

A słońce: «Druhu! bajesz daremnie,  
 Ja jasne słońce; niemasz nade mnie,  
 Kiedy zarankiem w niedzielę wstanę,  
 Stoją promienne, stoją ogrzane  
 Pola i sioła; a u przydroża  
 Krzyż się czerwieni i cerkiew Boża.»

A deszczyk szemrze: «W pola, dąbrowy,  
 Idę ja, idę, deszczyk majowy,



Roszę pszenicę, drzewko i ziele,  
 Wesełą gaje, łany wesełą,  
 Zielenią, kwitną, wonią przyjemnie;  
 Niemasz nade mnie, niemasz nade mnie!

*Aug. Bielowski.*

## 182. S p o c z y n e k.

(Myśl ze Św. Chryzostoma).

Patrz na źródło wody świeżej:  
 To się w wązki strumień ściska,  
 Pnie się w górę, z góry tryska,  
 I spienione dalej bieży.

Wirem kręci się, to wzdyma,  
 To się kamień podmyć sili:  
 Czysty potok nigdy nie ma  
 Odpoczynku ani chwili.

Patrz! w spoczynku woda zgniła  
 Jak zabójczą porą zionie;  
 Pleśń zielona ją pokryła,  
 A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka! twa otucha:  
 Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!  
 Świętem życiem wrzeć koniecznie,  
 Bo spoczynek — to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,  
 Już zgnilizna brzydka wpadnie,  
 Już robactwo cię owładnie,  
 Uśniesz, nakształt wód kałuży.

*Wł. Syrokomla.*

## 183. Skowronek i dzwonek.

Najrańszy śpiewak — to nasz skowronek,  
 I dnia zwiastunem jest mały dzwonek,  
 Kiedy śpią jeszcze dzwony stolicy,  
 Ptaszek pieśń nuci Bogarodzicy.



Dopóki wierzy w balsam, we kwiecie!  
 Jeśli go spłoszysz, grzech tobie dziecię!  
 Nie goń motyla!

Gdyby żył tyle, co my żyjemy,  
 I gdyby wiedząc to, co my wiemy,  
 Ssał miód z badyła,  
 Niech nie doczeka przyszłej jutrzhenki!  
 Skradnij się dziecię; nie żałuj ręki...  
 Zabij motyla!

*Wł. Syrokomla.*

## 185. Pacierz staruszka.

Gończe złotego słońca, różana jutrzhenko!  
 Jużes to w chatki mojej zajrzała okienko?  
 O, jak ślicznie z twej twarzy bije promień czysty!  
 Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!  
 I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,  
 Nucąc sobie, świat biały witasz, jaskółeczko!

Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,  
 Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.  
 Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa,  
 Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,  
 Każdy kwiat się rozwija i kształt bierze żywy.  
 I mnie się zdaje, że mój włos odmłodził siwy.

Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,  
 Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.  
 Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę  
 I łąkom się zielonym przypatrywać będę.

Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,  
 O! jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem!  
 Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,  
 Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia.

Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi  
 Opiewa słodko radość, co mu serce więzi.  
 Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych,  
 Po dolinach czystymi strugi przeplecionych;  
 Harują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,  
 Każdy hucznym wesele okazując rykiem.



Długoż, ach, długoż jeszcze, Stwórco mój łaskawy,  
 Patrząc będę na dziwne Boskiej ręki sprawy,  
 I świadkiem Twej dobroci?... Już dziewiąty schodzi  
 Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi  
 Po białej zimie wiosna; a gdy myśl skrzydłata,  
 Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,  
 I plac ów, dwoma kresy otoczony, mierzy,  
 Co się między mym grobem i kolebką szerzy;  
 Cała ta niezmierna perspektywa okiem,  
 Dni jasnych, dni fortunnych upływa potokiem.

Ach! jak serce me pała, wiekuisty Boże!  
 Ta radość nadzwyczajna, którą ledwo może  
 Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,  
 Które hojnym strumieniem biegną po mem łonie,  
 Znam dobrze, jak są małe, jak słabe podzięki,  
 Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z Twej ręki.

Płyńcie hojnym potokiem, płyńcie oczy moje,  
 Wytaczajcie obfite łez rzęsistych zdroje.  
 Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,  
 Że mi wszystkie tak zesły, jak rozkoszne lato.

Ile dni, tyle pociech; a lubo je która  
 Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,  
 Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,  
 Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,  
 Po małej chwili nikną, a swemi przechody  
 W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.

Nigdy letniego słońca bystremi pożogi  
 Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;  
 Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów nie skaził;  
 Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził;  
 Nigdy, srogami brzucha zmęczony przymory,  
 Nie wlaźł wilk krwawożerca do mojej obory,  
 Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.  
 Nigdy w mej chatce długo zły wróg nie zabawił.  
 Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,  
 Była bogata chatka, poczciwa czeladka.

A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,  
 Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła?  
 Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,  
 Uczył bezpiecznie stawiać stopki niemowłęce;

Drugie, skacząc na łonie, z uciesznym pośpiechem  
Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem.

Teraz, gdy już pod Twoją opieką urosły,  
Stwórcu mój! i niepłonne owoce przyniosły,  
Ciesząc się z trosk podjętych i złożonej prace,  
Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakolące.

Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,  
Jak oto te gruszki, oto te orzechy,  
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,  
Okolo chatki mojej we dwa rzędy sadił.  
Teraz, gdy roztoczyły szerokie ramiony,  
Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.

Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną  
Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną;  
Tyś bieg radości trwałych, niestety, przerwała,  
Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.

Pomnę, ach, pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie  
Złożyłaś na pół martwą głowę na mem łonie,  
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał  
I z tobą razem z srogich frasunków umierał.

Już to dwunasta wiosna mija od tej daty,  
Jak twój grób łzami zlewam i sypię nań kwiaty;  
Lecz wkrótce dzień wesoly, dzień przyjdzie fortunny,  
Co me kości położy obok twojej trumny;  
A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,  
I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

*A. Naruszewicz.*

## 186. Potęga słowa.

Pięknieżto róża jaśnieje na krzaku,  
Cudna twa piosnka, wiosenny śpiewaku!  
Lube, rozkoszne tchnienie wiosny zrana,  
Kiedy się wznosi, jako woń do Pana:  
Ale dźwięk ludzki nadewszystko słyńie,  
Kiedy się w pieśni na słowa rozplynie.

W milczącej piersi cudny głos się rodzi,  
Zwolna i cicho do serca przechodzi;  
Tam skrzydła bierze, swobodnie ulata,  
Idzie w pospółstwie do ziemskiego świata,

Przebywa usta, dziwnie postać mieni,  
 I już w powietrznej zawieszon przestrzeni...  
 I szuka serca do uczuć wymiany;  
 Szczęsny—w przybytek zdąża pożądanym,  
 Zwiększa rozkosze i troski łagodzi,  
 I lzę wyciska—nią cierpienia słodzi;  
 Ochładza ogień wśród piersi zamknięty  
 I chyży polot daje myśli świętej.

I śmiało, śmiało do niebios podwoi  
 Wznosi się słowo cudem siły swojej;  
 Do tronu Boga przybliżyć się może,  
 Boś je sam cudem wyprowadził, Boże!  
 Zanim wśród światów obrało mieszkanie,  
 Z ust Twych zabrzmiało, wiekuisty Panie!

I zajaśniały słoneczne promienie,  
 I znikły wieczne wśród przestrzeni cienie,  
 I ruch gwiazdziste rozpoczęły światy,  
 W górach, dolinach zawoniały kwiaty.  
 Tak słowem Boga świat zajaśniał cały,  
 W tem słowie odbłask potęgi i chwały.  
 Tem słowem natchnął Bóg mieszkańców ziemi,  
 Usta zabrzmiały dźwięki rozlicznymi,  
 Nieznane życie wśród piersi powstało,  
 Żywotem Boskim obdarzyć nas miało:  
 Niechże więc słowo, słowo—Boskie tchnienie,  
 Niesie cześć Bogu, a ludziom zbawienie!

*Stan. Jachowicz.*

## 187. Hymn do słońca.

Witaj, monarcho świecących się światów,  
 Witaj na nieba uroczystem łonie!  
 Pod tobą złote rozlewa się błonie,  
 Za tobą cieką strumienie szkarłatów.  
 Gdzie stąpisz, duchy z rozkazu Jehowy  
 Niosą twe berło i tron bursztynowy.

Skoro wschodowi złote przypniesz skrzydła  
 I skroń podniesiesz z bogatą koroną,  
 Świat ukrzepiony targa nocy sidła,  
 Sen spycha z oczu i duch bierze w łono;



Firmament lica smutne wypogadza,  
 Ocean groźne wody ułagadza.  
 Jeleń twym blaskiem bieży złocić rogi,  
 Wąż zimne piersi na szczyt niesie drzewa,  
 Delfin perłowe na dnie rzuca drogi,  
 Orzeł piórami w obłoki powiewa;  
 Ziemia zielona białe spija rosy,  
 Grają barwami opalu niebiosy.

Wszystko ożyło: król świata zawitał,  
 Jego świtaniem dzień każdy zaświtał,  
 Niebios muzyką drży śmiertelnych dusza,  
 Zda się myśl jedna, świeża, światem wzrusza;  
 Ale te hymny dziękczynne po globie  
 Komu brzmią, słońce, czy Panu, czy tobie?

*T. Olizarowski.*

## 188. Pieśń o Kruszwicy.

Gdy dumne piaski suchą nawałnicą  
 Pędzą na Gopło, ty twojemi wały  
 Bronisz jezioro od rzeszy zuchwałej,  
 Strażniczko Gopła, Kruszwico!

Gopło cię ściga jakby oblubieniec,  
 I w dłoni, strojnej srebrną rękawicą,  
 Z wysp szmaragdowych podaje pierścieniec,  
 Małżonko Gopła, Kruszwico!

Nieraz żeglarze szum Gopła podchwyca  
 I w modlitewne ułożą piosenki;  
 Twe echo w niebo posyła te dźwięki,  
 Kapłanko Gopła, Kruszwico!

Gopło twe stopy otacza skarbnicą,  
 Złotem swych rybek i swych muszli tęczą.  
 Schylone fale, drząc przed tobą, klęczą,  
 Królowo Gopła, Kruszwico!

Gopło, to ołtarz ulany w kryształy,  
 Na jego brzegach kwiaty kadzielnicą,  
 Nad nim się wznosisz jakby posąg biały,  
 Bogini Gopła, Kruszwico! *Deotyma.*

## 189. Modlitwa za sierotę.

(z Lermontowa).

Zdrowaś Maryo! dzisiaj z modlitwą  
Przed Twem obliczem, cudną jasnością,  
Nie o zbawienie, ani przed bitwą,  
Ani ze skruchą, ani z wdzięcznością,  
Z schylonem czołem ja staję!

Nie o mą duszę cierpiącą proszę,  
Bo na niej dawno z cierni korona,  
Ale me modły gorące wznoszę  
Za nią,—jej imię na ustach kona...  
I Twej ją pieczy oddaję!

Ach! otocz szczęściem jej duszę piękną,  
Wiedz ją w burzliwej życia zawiei,  
Daj młodość jasną, starość spokojną  
I nie odbieraj nigdy nadziei!

A w każdym smutku, w każdej radości,  
Czy dzień na niebie, czy noc dokoła,  
Dla jej ochrony, Matko miłości,  
Najpiękniejszego zsyłaj anioła!

*M.*

## 190. Wiosna.

Ustrojona w wonne szaty,  
Uśmiechnięta i urocza,  
Z wód ma srebrny pas bogaty,  
Kwiaty wplotła do warkocza,  
I tak zesła tu ku ziemi,  
Wiosna z jasnych nieb przestworza;  
I wokoło życie pleni  
Zmartwychwstania jutrznia Boża.

I skowronek hymnem dzwoni,  
I chór ptasząt hymnem wróży,  
I hymn szepce kwiat na błoni,  
I grzmi hymnem wicher burzy,

I bór modli się zdaleka,  
Srebrne wody drżą miłośnicie,  
Jeden tylko hymn człowieka,  
Łzę nabrzmiały... nawet w wiośnie.

Kwiatek gdy wonny z kielicha  
Leje w piersi raję czary,  
On w bezwiednym żalu wzdycha,  
Bo ma w piersi smutek stary.  
Gdy płonące życiem słońce,  
Na wieczorny podmuch blednie,  
Modły jego tęskne, drżące,  
I zasępią się bezwiednie...

Gdy promienna zorza świta,  
Pan ku ziemi chyli czoło,  
Ziemia we mgłach upowita,  
Nagle budzi się wesoło,  
I otrząsa się powoli  
Z łez perłowych na świtanie,  
I w promiennej aureoli  
Nuci szczęściem na zaranie.

Człowiek tylko do pacierza  
Miesza łzawę zwątpień słowa,  
Blaskom świtu nie dowierza,  
Bo on może grom dlań chowa.  
I gdy zewsząd mknie do nieba  
Niezmacony śpiew radości,  
Jemu blasków w duszy trzeba,  
Bo w niej jego «wszystko» gości!...

Gdy powietrzna czeladź Boska  
W Panu składa swe nadzieje,  
On niepewny wciąż się troska,  
Czy też zbierze co posieje?  
I z obawą patrzy wkoło,  
Gdy bogactwem lśni natura,  
I w zadumie nosi czoło,  
I pieśń jego wciąż ponura.

A dlaczego tak jest Panie?  
Ty wiesz tylko w swej mądrości,  
Więc jej zadość niech się stanie,  
Aż się wiosna w nas rozgości,



A nim zstąpi tu na ziemię  
 Twe królestwo, Mistrzu świata,  
 Niech w nas wiara nie zadrzemie,  
 Choć się z kwieciem cierń tu splata.

*Kl. Pod.*

## 191. Złoto, kadzidło i mirra.

Gdy niedostatki nas gniotą,  
 Gdy zbytki zgubić nas mogą,  
 Chryste, zrodzony ubogo,  
 Ty pobłogosław nam złoto!

Gdzie wieśniak ginie bez chleba,  
 Gdzie jęczą w łachmanach chorzy,  
 Tam złota wiele potrzeba,  
 Tam niech się złoto przysporzy.

Kiedy występku ohyda  
 Ma złota, ile zamarzy,  
 Królu, potomku Dawida!  
 Daj go na chleb dla nędzarzy.

Gdzie niemasz pola do pracy,  
 Gdzie wątłe siły żywota,  
 Błagamy, jako żebracy:  
 Daj złota, Boże! daj złota!

Kadzidło—to symbol chwały,  
 Należy tylko Jehowie,  
 A przecież w człowieczej głowie  
 Dymy aromat rozlały.

Bogactwo, wziętość lub władza  
 Piętno zatarły w nas boże,  
 A dym kadzidła przeszkadza,  
 Że człek być człekiem nie może;

Złącz nas w braterskie ogniwo,  
 O, Chryste! o, Boże z nieba!  
 Daj nam zasługę prawdziwą,  
 Której kadzideł nie trzeba!

Gdy piekiel pycha obrzydła  
Z Tobą się mierzy zuchwale,  
Przeżegnaj garstkę kadzidła,  
Niech służy ku Twojej chwale!

Mirra — to symbol cierpienia,  
W niej pobłogosław łyż nasze!  
Gdy cierń nam serce opasze,  
Niechaj się wiara nie zmienia.

Niechaj nadzieja pokrzepi,  
Niech miłość wskrzési nadzieję,  
Że jutro będzie nam lepiej,  
Że się nam słońce zaśmieje.

Ośmiel nas — że mamy prawo  
Zaufać Tobie, jak Ojcu! —  
I Tyś w oliwnym ogrójcu  
Pocił się łzawo i krwawo!

Gdy cierpień wpiją się miecze,  
Gdy pęka serce sieroce,  
Chryste! zbolwały człowiecze!  
Błogosław mirry owoce!

*Wł. Syrokomla.*

---

# DODATEK

zawierający wiersze zalecone przez Okrąg Naukowy  
do uczenia się na pamięć.

---

---

## 192. Pies i pszczoły.

«Jest to cnota nad cnotami  
Trzymać język za zębami»,  
Stare powiada przysłowie;  
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:  
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka!

Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,  
Wielki bazarz, wielki plotka,  
Przytem lizus doskonały,  
Proszony, czy nieproszony,  
Latał na wszystkie strony,  
Wiedział wszystkie wady, sprzeczki,  
Wszystkich skrytości dociekał,  
Słowem, u wszystkich ogryzał kosteczki,  
A potem wszystkich oszczekał,  
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;  
Cały porządek przewrócił.

Wtem raz szczególna ciekawość go wzięła,  
Jakaś pokusa go bodzie  
Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie.

Naprzód ostrożnie bierze się do dzieła:  
Obchodzi, wacha, skrada się, przemyka;  
Ale zaledwie nos wtyka,



Cała pszczoł gromada  
Z strasliwym brzękiem wypada.

Wyżeł w nogi, lecz te w złości  
Tak go cięły bez litości  
    To po brzuchu,  
    To po uchu,  
To po pysku, to po grzbiecie,  
Że już nie wiedział o świecie.

Wtem mu jedna w nozdrze wpadła,  
I tem mu dojadła;  
Szarpie się, rzuca i wyje,  
Nosem ziemię ryje,  
Jęczy, na wszystkie strony  
Wykręca się i wywija,  
Wreszcie leci, jak szalony,  
I łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,  
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,  
A wszystkich czerni szkaradnie,  
Prędzej czy później w taką łapkę wpadnie,  
Że będzie wzdardą i pośmiechem świata.  
Taka to wścibskich zapłata.

*Franciszek Morawski.*

### 193. Orzeł i żóraw.

«Witaj — rzekł orzeł — żórawiu, z podróży!  
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży;  
Usiądź, żórawiu, na bliższych zagonach,  
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach:  
    Ci, co tak daleko lecą,  
    Zwykle korzystają nieco;  
I z twojej pewnie będąmi mieli łaski  
Nowe poprawy, nowe wynalazki:  
    Jak żywność chować,  
    Gniazda budować,  
    Wroga unikać,  
Jak się czubić.. i jak zmykać.»

«Stój! — przerwie żóraw — stój, stary gaduło!  
 Cóż ci się we łbie usnuło,  
 Że się każdy trudzi lotem,  
 By was uczyć za powrotem?  
 Przeleciałem cudze kraje,  
 Bo tak nasze chcą zwyczaję,  
 A nie po to, by się męczyć,  
 Wszystko śledzić, siebie dręczyć;  
 Lecz mądrzej chodzę, rezolutniej krzyczę,  
 To umiem, tego uczyć ci się życzę,  
 A poznasz wkrótce, że te wasze baśnie»...

«Nie kończ! — orzeł wrzaśnie;  
 Niech cię sępy porwą w sztuki  
 Za te myśli i nauki!  
 Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,  
 Kto pamięć o nich na chwilę utracą,  
 Kto, niebaczny na przykłady,  
 Przynosząc z sobą pozbierane wady,  
 Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawi!»

O, jakże wiele jest u nas żórawi!

*Aleksander hr. Fredro.*

## 194. Wiosna.

Wiosna! wiosna!  
 Wieść radosna  
 Z ciepłym tchnieniem wiatrów płynie,  
 I sasanki  
 Już na wianki  
 Rozwięły się dziewczynie.

Wstań skowronku,  
 W złotem słońku  
 Wykąp piórka twoje szare;  
 I skrzydlaty,  
 Nad te chaty,  
 Nad te ziemie wyleć stare!

Wyleć z pieśnią!  
 Ludzie prześnią,

Świtu chwilę uroczystą;  
 Więc do Pana  
 Choćby z rana  
 Głos za niwę wznieść ojczytą.

Dobra niwa,  
 Jak poczciwa,  
 Pierś rolnika, co ją orze;  
 Tylko trzeba,  
 By mu z nieba  
 Przyświecało światło Boże;

Niem ogrzane,  
 Ziarnko wsiane,  
 Zdrowym kielkiem w górę strzeli;  
 I wnet potem  
 Żniwem złotem  
 Starą ziemię uweseli.

Leć więc, ptaszę,  
 Prośby nasze  
 Niech piosenka wzniesie drżąca:  
 Słońca, Boże!  
 Na niw zboże  
 I dla myśli ludu — słońca!

*Marya Ilnicka.*

## 195. Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek,  
 A w dolinie srebrzy rosa, *metafora*  
 I ja śpiewam jak skowronek,  
 I ja lecę pod niebiosą.

Lecę—gonię wspomnień mare,  
 Z kwiatów życia wieniec plotę; *m.*  
 Piękność, miłość, czucie, wiarę | *m.*  
 Na ogniwa spajam złote.

Świat odbija moja dusza,  
 Jak zielony brzeg krynica; *pod.*  
 Wszystko piękne tkliwie wzrusza,  
 Wszystko tkliwe ją zachwyca.



Łza na krótko oko ciemi,  
 Częściej płoną w niem rozkosze;  
 Bo co ziemskie, rzucam ziemi,  
 Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Brzmia śpiewacy polni, leśni,  
 Pierś podnosi rzewność błoga:  
 I przyrodę wielbię w pieśni,  
 A w przyrodzie wielkość Boga.

Brzmia śpiewacy—i na przemian,  
 To na dole, to na górze,  
 To dla niebian, to dla ziemian,  
 Wtórzą dla mnie—dla nich wtórzę.

Myśl mej pieśni nie przekwita,  
 Jako niebo, serce, wiosna,  
 Wiecznie świeża, rozmaita  
 I dziewicza i miłosna.

Coraz w gaju śpiew ucicha —  
 Wolno bujam kilka chwilek,  
 I z wonnego róż kielicha  
 Piję balsam, jak motylek.

Znowu lecę między ziółka,  
 Między gaje, łąki, wody:  
 Biorę miody, i jak pszczołka,  
 Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym znienacka  
 Coś mnie draśnie lub ukole,  
 Widzę w koło piękne cacka  
 I jak dziecię koję bole.

Nie wyrzekam nigdy zbyt, nie,  
 Błogo w lubym żyję błędzie:  
 Wiosna kwitła, więc odkwitnie,  
 Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.

Czara życia nie wciąż miodna:  
 Gdy cykutę spełnić trzeba,  
 Chrześcijanin, spełnię do dna  
 I wesoło spojrzę w nieba.

Duch nie zgaśnie przez skonanie—  
 A dla ziemi, u mogiły,  
 Kilka piórek pozostanie,  
 Co ku niebu mnie nosiły.

*Józef Bohdan Zaleski.*

## 196. Trzech budrysów.

(Ballada litewska).

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,  
 Na dziedziniec przyzywa i rzece:  
 «Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,  
 A wyostrzcie i groty i miecze.

«Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie,  
 Trzy wyprawy na świata trzy strony:  
 Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,  
 A książdz Kiejstut napadnie Teutony!

«Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,  
 Niech litewskie prowadzą was Bogi;  
 Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:  
 Trzej jesteście i macie trzy drogi.

«Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,  
 Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu,  
 Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,  
 I u kupców tam dzięki jak lodu.

«Niech zaciągnie się drugi w księcia Kiejstuta cugi,  
 Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;  
 Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku  
 I kapłańskie w brylantach ornaty.

«Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci,  
 Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,  
 Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,  
 I mnie stamtąd przywiezie synowę.

«Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki kochanki,  
 Wesolutkie, jak młode koteczki,  
 Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,  
 Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

«Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym  
[człowiekiem,  
Laszkę sobie przywiozłem za żonę,  
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie  
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę»

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;  
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.

Idzie jesień i zima, synów niema i niema —  
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,  
A pod burką wielkiego coś chowa:  
«Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?  
— Nie, mój ojce, to Laszka synowa.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,  
A pod burką wielkiego coś chowa.  
«Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubek bursztynu?»  
— Nie, mój ojce, to Laszka synowa.

Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci,  
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;  
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał  
Prosić gości na trzecie wesele.

*Adam Mickiewicz.*

## 197. Kulig.

My sobie jedziem kuligiem,  
I w noc i we dnie  
Wesołe, szalone, przednie.

Maska twarz kryje—a kto chce wiedzieć,  
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć  
Śmiechem i krzykiem.

Szczera ochota  
Otwiera wrota.  
Bo Krakowianki i pielgrzym stary,  
Żydzi, cyganki uderzą w pary;  
Wróżki, dyabli, nie oszusty  
W puhary.



Lecim saniami,  
 I jadą z nami  
 Wrzawa, śmiech pusty;  
 Czy znasz ty polskie zapusty?

*A. Malczewski.*

## 198. T a t r y.

Jak potopu świata fale,  
 Zamrożone w swoim biegu,  
 Stoją nagie Tatry w śniegu,  
 By graniczny słup zuchwale!

Biodra Tatrów las osłania,  
 Ponad niemi stoi chmura,  
 A po halach wiatr przegania  
 Uronione orle pióra,

Świat to chłodny, a Łomnica  
 Świeci naszej ziemi do dnia,  
 Nad Tatrami jak pochodnia,  
 A na pełni jak gromnica.

Każda skała z tobą gada,  
 Wiatr, co w równiach ledwo wieje,  
 Z nóg tam ścina—deszcz, co pada,  
 To już w turniach śniegiem sieje.

A powyżej... wyżej jeszcze,  
 Pływa sobie orle wieszce,  
 Co wyleci i zawiśnie,  
 Na błękitie bez obłoku.

Widne stamtąd jego oku.  
 Nasze puszcze i ziemice,  
 Krakowskiego zamku gmachy,  
 I węgierskich gór winnice.

Czeladź górską też nie podła,  
 Lud wysmukły niby jodła,  
 Niby górski potok szybki,  
 Jak ptak lekki, jak pręt gibki.

Wiecznie niby dziarski młodzian  
 Strój ma lekko ukasany,  
 Topór jasno nabijany,  
 A sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,  
 Strojny, dbały i budowny,  
 Zna się dobrze i na ziołach,  
 I na gwiazdach, na pogodzie,  
 Śmiały w skałach i na wodzie,  
 A radniejszy niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,  
 Więc też luźno człek nie chodzi;  
 Gdy opędzi ziemię snopkiem,  
 Idzie w równie za zarobkiem.

Do topora lud to sprawny  
 I do kosa jaki sławny!  
 Jaki wesół i ochoczy,  
 Gdy na kośbę w równie rusza!  
 Jak przyśpiewa i wyskoczy,  
 Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,  
 U nas w polu już pociecha:  
 Ale w górach ledwie taje,  
 I zaledwo jar nastaje.

A na świętki, na zielone  
 Szumią majem świeże lasy,  
 Owce w góry wypędzone,  
 W halach schodzą się juhasy,  
 Stary baca rej im wodzi,  
 Pies liptowski strzeże owiec,  
 A przez lato juhas zbrodzi  
 Każdy potok i manowiec. ✕

*Wincenty Pol.*

## 199. Przybycie do szkoły i egzamin.

Czem w polu zasiew, czem zawiązka w kwiecie,  
Tem w życiu męża szkolne sześciolecie.

Trudno dziś skupić te drogie obrazy,  
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,  
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!  
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!

Pomnę, raz pierwszy, gdym jechał do szkoły,  
Jaką się trwozę w sercu przezwycięża,  
A ojciec prawi w gawędzie wesołej,  
Jak to chłostali Jezuici księża.

Przed rozognioną wyobraźnią dziecka  
Stał Jezuita i spoglądał srogo,  
Ukrywał kańczuk pod wełnianą togą,  
A w jego rękach gramatyka grecka.

Ujrzałem mury, gdzie klasztor i szkoła,  
Kędy mię wiedli; z bojaźliwą trwożą  
Wszedłem za ojcem za furtę klasztorną...  
Na korytarzach nie było nikogo;

Przyległe cele godziną wieczorną  
Grzmiały stem głosów; znacznie, żeśmy w szkole —  
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednej z tych celi;  
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita  
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli.

Całkiem nie taki jak ów Jezuita,  
Co w czarnej szacie i z groźbą na twarzy  
Od kilku nocy w moich snach się marzy.

Snać, iż wyczytał przestרח z mojej miny,  
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,  
Potem znienacka zapytał z łaciny:

Ja mu pijarską gramatykę prawię,



Jakby przed ojcem, odważnie tak samo:  
 Bo wzrok łaskawy rozbudził mą weneę —  
 Odmieniam terra, konjuguję amo,  
 Książdz prefekt chwali: bene puer! bene!

A ojciec wesół, że syn tak rozbiera  
 Nomen, pronomen, verbum, et caetera.

Ja odpowiadam przytomnie i lotnie;  
 Przebiegł tablice Pitagoresowe,  
 Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,  
 I rzekł poważnie, całując mię w głowę:  
 «Wybornie, chłopcze,—będziesz w drugiej klasie!»

Ojciec wesoły, że mu w jednej chwili  
 Koszt całoroczny i honor ocalał,  
 Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli,  
 «Proszę aspana»... i łzami się zalał.

*L. Kondratowicz.*

## 200. Morskie Oko.

O, wielki poemacie natury! któż może  
 Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wiecznym?  
 Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę  
 I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?  
 Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?  
 Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?  
 Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze  
 I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?  
 O, wielki poemacie! ciebie tylko można  
 Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,  
 Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna  
 W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,  
 Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna  
 I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

*Asnyk.*

201. Rzeki, wpadające do Wisły <sup>1)</sup>.

Nazajutrz, w świtu różowej godzinie,  
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,  
Ażeby zwołać pod szklany przysionek  
Swoje lennicze bogi i boginie.

Wielki szum powstał w górach i dolinie,  
Dążą lennicze bogi i boginie.

Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,  
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,  
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,  
Prądnik, jak rzeźki krakowiaczek, hasa.

Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,  
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,  
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki  
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Biegną Dunajce, dwaj bracia górale,  
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą;  
Jeden z nich w białe okręca się fale,  
Drugi się czarną owinął opończą.

Za niemi lekko idzie modro-oka,  
Brzeg płaszcza Wisły niosąca, Wisłoka.

A teraz, patrzcie! idzie mąż wspaniały,  
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą  
Druzgoce lasy i przebija skały,  
Po jego falach echa Karpat idą.

Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,  
W głębi puszczy szumnych, jak wyrocznia, huczy.

<sup>1)</sup> Wszystkie rzeki i sama Wisła są tu uosobione w postaci bogów i bogiń.

Dalej w dolinie wijąca się kręto,  
 Od tataraku swoich jezior wonna,  
 W więzach z kamieni, żali się Kamionna:  
 Zda się, że słyszysz królownę zakłątą.

Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem,  
 Tancerka ledwie tykająca ziemi,  
 Bystrzyca płąsa stopami bystreimi

Za nią, poważna, szafirowo-lica,  
 Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.

A teraz, z drogi! Oto z wielkim szumem,  
 Nadchodzi Narew, cała upowita  
 W płaszcz tkany złotem, ciemno-szmaragdowy;  
 Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,  
 Zarzuca ciemny fałd opony swojej  
 Na modrą suknię, co spływa z królowej.

Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?  
 A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,  
 Bug kłoso-nośny; codziennie on w wieniec  
 Stałków ładownych pszenicą się stroi;  
 Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!

Tam Bzura dźwiga szaty obciążone  
 Kiściami pereł; nosi krucze włosy,  
 Perłami spięte, i z pereł koronę.

Tam wre i szumi wartko-lotna Drwęca,  
 Która w winnice i róże i kłosa,  
 Kwitnące czoła swych brzegów okręca.

Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,  
 Pod siecią gajów cicho się pierścieni.

Ossa pod słońcem zapala błyskliwie  
 Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie  
 Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,  
 Ujrzy na straży posepną Motławę,  
 I radującą się wiecznie Radunię —



Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą  
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.

I one dzisiaj tu idą i niosą  
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.

Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,  
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,  
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?  
Księgęby spisał, kto wiernemi farby  
Chciałby malować cały dwór lenniczy,  
Niosący Wiśle swoje płynne skarby.

*Jadwiga Łuszczewska.*

## 202. Z ludowych tematów.

Próżno ty się miotasz w polu wichuro,  
Próżno ludzi straszysz pieśnią ponurą;  
Przyjdzie wiosna, wonne kwiaty rozsiej,  
Porozprasza wszystkie smutne zawieje.

Przyjdzie wiosna, uśmiechnięta królewna,  
Jak sen piękna, niby anioł powiewna,  
Spójrzy na świat błękitnemi oczyma  
I wnet pierzchnie czarownica zła zima...

Przyleciały już bociany wróżbity,  
Zajaśniały rozchmurzone błękity;  
Płyną polem jakieś wonie wiośniane,  
Wstają ze snu ludzkie serca stroskane...

Więc napróżno ty się miotasz, wichuro,  
Próżno ludzi straszysz pieśnią ponurą,  
Nie zatrwoży ich twój lament żalсны,  
Oni czują, że już blizki dzień wiosny...

*Or — Ot.*

## 203. W lesie.

Wolno i sennie chodzą  
 Po jasnym tle błękitu  
 Żółcisto białe chmurki  
 Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy  
 Po słońca blask z ukosa  
 Jaskółka śmiga czarna,  
 Sunąca przez niebiosą.

Po łące, cichej, jasnej,  
 W srebrne objętej ramy,  
 Przez opalowy strumień  
 Żółte się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska  
 Na ciemnej drzew zieleni,  
 Lub przez konary rzuca  
 Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,  
 Po łąk zielonym łąnie,  
 Przejrzyste, zwiewne idzie  
 Błękitne zadumanie.

*Kazimierz Tetmajer.*

## 204. Czatyrdah.

(Sonet A. Mickiewicza).

Drząc, muślemcin całuje stopy twej opoki,  
 Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu! <sup>1)</sup>  
 O minarecie świata! o! gór padyszachu! <sup>2)</sup>  
 Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki, •

<sup>1)</sup> Góra najwyższa w Krymie. — <sup>2)</sup> Padyszach, nazwa najwyższego sułtana u Mahometan.

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki  
 Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu.  
 Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu  
 Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,  
 Czy szarańcza plon zetnie, czy gjaur pali domy;  
 Czatyrdahu! ty zawsze głuchy, nieruchomy.

Między światem i niebem, jak drogman stworzenia,  
 Podesławszy pod nogi ziemię, ludzkie, gromy,  
 Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

## 205. Wiecznie to samo.

Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala,  
 I wciąż obrazy odnawia te same;  
 Wiecznie jutrzienka swe ognie zapala,  
 Z mgieł purpurowych tworząc słońcu bramę;

Wiecznie te same czary wiosna niesie,  
 Blaski i wonie, kwiaty i zieloność,  
 Te same chóry śpiewnych ptasząt w lesie,  
 Tę samą tęsknych pragnień nieskończoność;

Tą samą serca poją się rozkoszą  
 I wiecznie snują nić tej samej przędzy;  
 Wiecznie te same skargi się podnoszą  
 Z ciemnej otchłani rozpacz i nędzy:

A jednak jasność jutrzienki, wdzięk wiosny,  
 Ziemia i morze, i niebios sklepienie,  
 Młodość, tęsknota i zachwyty miłosny,  
 Rozkosz i boleść, walka i zwątpienie,  
 I każda śpiewna kochanków rozmowa  
 Wiecznie jest nowa!

*Asnyk.*

## 206. Dałam ci moc.

Dałam ci moc nad sercem ludzi,  
 Moc, której próżno przeczą,  
 Gdyż ona łączy i zachwyty budzi  
 Wstrząsając piersią człowieczą.



Piękności czar — ten nie przeminie,  
 On wieczną jest potrzebą;  
 I ludzki duch wciąż po nim płynie,  
 W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar ten zawsze będzie  
 Nad światem dźwżyć władzę,  
 I swoją woń rozsiewa wszędzie  
 Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha  
 Wśród świata cię nie ziębi:  
 Najlepszy siew twojego ducha  
 W serc cichej wejdzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę  
 Niepamięć nie pogrzebie;  
 Lecz, choćbyś dał całą duszę,  
 Nie żądam nic dla siebie.

Nie żądam nic od biednej rzeszy,  
 Zmęczonej życia znojem:  
 Ty rzucaj blask, co ją pocieszysz  
 I sercem nakarm swoim.

Idź sobie w grób, nieznany światu,  
 Bez żądy sławy próżnej,  
 Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,  
 Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu  
 Nie pragnij tu oglądać:  
 Dałam ci moc nad sercem ludu —  
 Nie możesz więcej żądać!

*Asnyk.*

## 207. Nie mów.

Nie mów! — chociażbyś miał ginąć z pragnienia,  
 Że wszystkie źródła wyschły już bijące:  
 Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,  
 A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów—choćbyś umierał z tęsknoty, —  
Że niema czystej miłości na ziemi:  
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,  
Za ognikami zdążając błędniemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał  
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:  
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał  
I inne serca poił swą słodyczą.

*Asnyk.*



## SPIS RZECZY.

### PROZA.

#### *a) Powiastki, legendy, obrazki.*

	<i>Str.</i>
1 Wieki, legenda grecka, p. Antoniego Mierzyńskiego . . . . .	3
2 Piast, legenda polska, p. Zofię Węgierską . . . . .	8
3 Cuvier i jaskółki . . . . .	10
4 Rzeczka bez nazwiska, p. Luc. Siemieńskiego . . . . .	15
5 Piotr wielki pracownikiem . . . . .	18
6 Klemens Janicki, obrazek na tle dziejowem, p. J. S. . . . .	20
7 Grota Łokietka w Ojcowie, p. Anczyca . . . . .	26
8 Wieczność, legenda . . . . .	30
9 Ochrony Warszawskie . . . . .	35

#### *b) Igrzyska, zwyczaje i uroczystości świątodziejowe.*

10 Igrzyska Olimpijskie, p. Ant. Poplińskiego . . . . .	37
11 Tryumfy w Rzymie . . . . .	40
12 Igrzyska cyrkowe i gladiatorowie rzymscy . . . . .	44
13 Rycerstwo. . . . .	51

#### *c) Proza właściwie dziejowa.*

14 Walka Dawida z Goliatem, p. Kl. Hoffmanową . . . . .	54
15 Budowa i poświęcenie świątyni Salomona (teżje) . . . . .	57
16 Miecz Damoklesa . . . . .	60
17 Archimedes . . . . .	62
18 Zburzenie Kartaginy (z Dziej. pow. Szlosera). . . . .	65
19 Dąbrówka, p. Ad. Naruszewicza . . . . .	66
20 Przyjęcie chrztu, przez Włodzimierza (z hist. Sołowjewa) . . . . .	69
21 Zdobyte Jerozolimy przez Krzyżowców, p. Leona Rogalskiego . . . . .	73
22 Kazimierz Wielki, p. Ad. Naruszewicza . . . . .	75
23 Mikołaj Wierzynek, p. J. A. Starzę. . . . .	76
24 Bohaterstwo «królka litewskiego», p. Mich. Balińskiego . . . . .	79
25 Wielka wojna północna . . . . .	81
26 Henryk IV . . . . .	84



## II

d) *Życiorysy.*

	<i>Str.</i>
27 Św. Kazimierz, p. ks. Prokopa . . . . .	85
28 Św. Teresa, autobiografia tłóm. p. Kl. Hoffmanową . . . . .	88
29 Marcin Kromer, p. W. L. Anczyca . . . . .	93
30 Łomonosow . . . . .	97
31 Benjamin Franklin . . . . .	101
32 Grzegorz Piramowicz, p. Ant. Wieniarskiego . . . . .	104
33 Ks. Gabr. Baudouin, p. ks. Nowodworskiego . . . . .	113

34	<i>e) Anegdoty historyczne.</i>	117
----	---------------------------------	-----

f) *Opisy, podróże, zjawiska przyrody.*

35 Warszawa za Władysława IV, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	121
36 Trzęsienie ziemi w Karakasie, p. Strojnowskiego . . . . .	124
37 Lwów, p. Władysława Zawadzkiego . . . . .	127
38 Rzeszów i jego okolice, p. Aug. Bielowskiego . . . . .	129
39 Dolina śmierci, p. Gor... . . . .	132
40 Upas, p. Gor... . . . .	133
41 Sandomierz, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	135
42 Grota bazaltowa na wyspie Staffa . . . . .	137
43 Gniezno, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	139
44 Rzeki znikające, p. Ad. Wiślickiego . . . . .	140
45 Jezioro kwieciste . . . . .	142
46 Łowicz i Arkadya, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	142
47 Zofijówka, p. tegoż . . . . .	145
48 Jezioro smołowe na wyspie Trynidad . . . . .	147
49 Ogrody pływające w Meksyku, p. T. . . . .	149
50 Wyspy pływające, czyli spławy na stepach, p. W. Pola . . . . .	151
51 Alhambra . . . . .	152
52 Wieliczka, p. Kl. Hoffmanową . . . . .	155
53 Źródła mineralne, p. L. Tatomira . . . . .	161
54 Żmujdz, p. Lud. z Pokiewia (Jucewicza) . . . . .	163
55 Kijów, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	165
56 Etna, p. Strojnowskiego . . . . .	166
57 Halicz, p. J. B. . . . .	171
58 Warotryski samorodne w Islandyi, p. R. . . . .	172
59 Polesie, p. J. I. Kraszewskiego . . . . .	174
60 Vasco de Gama . . . . .	177
61 Odkrycia podbiegunowe, p. J. Franklina . . . . .	182
62 Tunel pod górą Cenis . . . . .	188
63 Tunel podmorski w Calais . . . . .	191

g) *Listy.*

64 Jasia do rodziców, p. J. S. . . . .	193
65 Z. Krasińskiego do syna Władysława . . . . .	196
66 Jana do rodziców (o spółkach w Delitsch) . . . . .	197
67 Kl. Hoffmanowej . . . . .	199
68 Ign. Krasickiego . . . . .	201
69 J. U. Niemcewicza do Jana Śniadeckiego . . . . .	201
70 Z. Krasińskiego do dzieci . . . . .	202
71 Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego . . . . .	203

### III

#### *h) Ustępy religijno-moralne.*

	<i>Str.</i>
72 Opatrzność p. Łyszkowskiego . . . . .	203
73 Ludzie małej wiary, p. K. B. . . . .	205
74 Młodzieniec uratowany, p. K. Brodzińskiego . . . . .	206
75 Uszanowanie synowskie (z dzieła «Małżeństwo chrześcijańskie», przez F. Dupanloup'a) . . . . .	207
76 O uszanowaniu należnem wiekowi sędziwemu, przez ks. P. Rze- wuskiego . . . . .	210
77 Cnota nakazuje odpłacać dobrem za złe (tegoż) . . . . .	211
78 O wdzięczności, p. Kl. Hoffmanową . . . . .	214
79 O dobroczynności (z dzieła «Ostatnie rady ojca dla syna») . . . . .	216
80 Wspomnienie o śmierci (z tegoż dzieła) . . . . .	218
81 Rzetelność, p. K. Brodzińskiego . . . . .	219
82 Porządek i punktualność (p. tegoż) . . . . .	220
83 Przysłowia i zdania moralne . . . . .	221
84 Zdania moralne. . . . .	222
85 Pobudki pierwszych wynalazków . . . . .	224
86 Spożytkowanie ognia. . . . .	225
87 Szkoła, p. K. Milewskiego . . . . .	226
88 Kompas, przez S. Gargulskiego. . . . .	229
89 Papier, p. K. Milewskiego . . . . .	233
90 Materyały piśmienne (p. tegoż) . . . . .	235
91 Proch strzelniczy (p. tegoż) . . . . .	238
92 Statki parowe . . . . .	239
93 Druk. . . . .	241
94 Machiny parowe, p. K. M. . . . .	245
95 Balon, p. tegoż. . . . .	248
96 Koleje żelazne, p. N. . . . .	250

#### *i) Ustępy rozumowe w ogólności i dydaktyczne.*

97 Zmysły, p. Ant. Łuczkiwicza . . . . .	256
98 Dusza, p. E. Estkowskiego . . . . .	260
99 Instynkt (z Aimé Martin'a) przekład Sadowskiej . . . . .	262
100 Sumienie, tegoż . . . . .	264
101 Taniec . . . . .	265
102 Nauka, cel jej dwojaki, p. Hückla . . . . .	268
103 Sposób nauczania Sokratesowego, p. A. Poplińskiego . . . . .	269
104 Co to jest język? p. K. Libelta . . . . .	271
105 O potrzebie znajomości języka ojczystego, p. ks. O. Kopczyńskiego . . . . .	272
106 Wpływ pór roku na zdrowie ludzkie (z «Dyetetyki dziecięcej» Bednara), przekład M. Kwietniewskiej . . . . .	272
107 Wpływ powietrza, światła i ruchu (z tegoż dzieła). . . . .	274
108 Palmy, p. K. P. . . . .	277
109 Pszenica, p. Sz. Pisulewskiego . . . . .	278
110 Buk . . . . .	279
111 Lipa . . . . .	279
112 Kawa . . . . .	280
113 Modrzew, p. Sz. Pisulewskiego. . . . .	281
114 Żyrafa . . . . .	282
115 Słoń . . . . .	284
116 Sobol, p. P. K. . . . .	286

	<i>Str.</i>	
117	Struś, p. E. Leśniewskiego . . . . .	288
118	Koń (z Lemcke'go), przekład Br. Zawadzkiego . . . . .	290
119	Grad . . . . .	291
120	Obłoki, deszcz, strumienie (z J. Tyndalla), przekład K. Jurkiewiczza . . . . .	294
121	Dno morskie, p. Gor... . . . .	298
122	Prądy morskie, p. Jana Śniadeckiego . . . . .	302
123	Żelazo . . . . .	304
124	Marmury, p. Ant. Wągę . . . . .	305

## P O E Z Y A .

125	Jezus i dzieci . . . . .	309
126	Wskreszenie Łazarza (z «Legendy Wieków» Wiktora Hugo) przekład Kl. Podw. . . . .	310
127	Jeryho, p. Kornela Ujejskiego . . . . .	312
128	Boże Narodzenie, p. B. . . . .	313
129	Chleb, p. Adama Górczyńskiego . . . . .	313
130	Błogosławiony Sadoch, legenda, p. Syrokomlę . . . . .	316
131	Smok Wawelski, p. Fr. Wężyka . . . . .	319
132	Duma o Leszku Białym, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	321
133	Stary zegar, p. Syrokomlę . . . . .	323
134	Matka, p. Zakrzewskiego . . . . .	324
135	Najpierwsze szczęście, p. T. . . . .	326
136	Wieczór Kochanowskiego, przez S. Jachowicza . . . . .	328
137	Poranek w stepie Kirgizkim, p. G. Zielińskiego . . . . .	329
138	Łódź w Pieninach, p. W. Pola . . . . .	330
139	Wigilia Bożego Narodzenia, p. W. Pola . . . . .	332
140	Walka Polaków z Tatarami, p. A. Malczewskiego . . . . .	335
141	O Bączalskim, dygnitarzu R. p. Babińskiej, p. W. Pola . . . . .	336
142	Garść pszenna, gawęda, p. Syrokomlę . . . . .	338
143	Śniadanie w domu pana sędziego, wyjątek z «Pana Tadeusza» Adama Mickiewicza . . . . .	344
144	Grzybobranie, tegoż . . . . .	345
145	Papuga i wróbel, p. K. Gaszyńskiego . . . . .	347
146	Wilk i lis, p. ks. F. Bernatowicza . . . . .	349
147	Osieł, p. Morawskiego . . . . .	349
148	Mądry i głupi, p. Krasickiego . . . . .	350
149	Paw i orzeł, p. tegoż . . . . .	350
150	Jastrząb i krogulec, p. J. U. Niemcewicza . . . . .	350
151	Lew, niedźwiedź i komar, p. tegoż . . . . .	351
152	Osieł — bohater, p. Ant. Góreckiego . . . . .	351
153	Wrona, p. Massalskiego . . . . .	352
154	Filozof i chłop, p. I. Krasickiego . . . . .	352
155	Osieł i słowik, (z Kryłowa), p. Chęcińskiego . . . . .	353
156	Wejście kompanii do kaplicy Częstochowskiej, p. J. Chęcińskiego . . . . .	354
157	Kołek bronowy, fraszka żołnierska, p. tegoż . . . . .	357
158	Szkolne czasy, wstęp z «Jana Dębora», przez Syrokomlę . . . . .	361
159	Ignacy Krasicki w Dubiecku, p. W. Pola . . . . .	366
160	Psalm VIII, p. J. Kochanowskiego . . . . .	372



	<i>Str.</i>	
161	Potęga Najwyższego, p. tegoż . . . . .	373
162	O Opatrzności Boskiej, p. F. Karpińskiego . . . . .	373
163	Miłość bliźniego, p. tegoż . . . . .	374
164	Prawdziwa moc w Bogu, p. T. Olizarowskiego . . . . .	375
165	Rada dziecięciu (z Wiktora Hugo), p. J. M. . . . .	376
166	Wiek młody, p. J. I. Kraszewskiego . . . . .	377
167	Rodzina, p. A. E. Odyńca . . . . .	377
168	Bóg naszą nadzieją, p. L. de Perthes . . . . .	378
169	Sen Anioła, p. J. N. Jaskowskiego . . . . .	379
170	Matka i dziecko, p. J. . . . .	379
171	Anioł stróż, p. A. Mickiewicza . . . . .	380
172	Znikome wielkości świata, p. A. Góreckiego . . . . .	382
173	Modlitwa za rodziców, p. S. Duchiąską . . . . .	382
174	Kłos, p. K. Brodzińskiego . . . . .	383
175	Sięję proso na zagonie, p. S. Duchiąską . . . . .	384
176	Skarb człowieka, p. W. Pola . . . . .	385
177	Cmentarz, elegia, p. Syrokomlę . . . . .	386
178	Wiejski kościółek, elegia, p. L. Siemieńskiego . . . . .	387
179	Cicha noc w Łużyckich górach, p. R. Zmorskiego . . . . .	387
180	Jaskółeczka, p. W. Korotyńskiego . . . . .	388
181	Trzej towarzysze, p. A. Bielowskiego . . . . .	389
182	Spoczynek, p. Syrokomlę . . . . .	390
183	Skowronek i dzwonek, p. W. Pola . . . . .	390
184	Wiośnianka, p. Syrokomlę . . . . .	391
185	Pacierz staruszka, p. A. Naruszewicza . . . . .	392
186	Potęga słowa, p. S. Jachowicza . . . . .	394
187	Hymn do słońca, p. T. Olizarowskiego . . . . .	395
188	Pieśń o Kruszwicy, p. Deotymę . . . . .	396
189	Modlitwa za sierotę (z Lermontowa), p. M. . . . .	397
190	Wiosna, p. Kl. Podw. . . . .	397
191	Złoto, kadzidło i mirra, p. Syrokomlę . . . . .	399

## SKOROWIDZ SYSTEMATYCZNY DO POEZJI

### *a) Obrazy opisowe, ustępy epopei i powieści epickich:*

125 Jezus i dzieci str. 309. — 126 Wskreszenie Łazarza str. 310. — 127 Jericho str. 312. — 128 Boże Narodzenie str. 313. — 136 Wieczór Kochanowskiego str. 328. — 139 Wigilia Bożego Narodzenia str. 332. — 140 Walka Polaków z Tatarami str. 335. — 143 Śniadanie w domu pana sędziego str. 344. — 144 Grzybobranie str. 345. — 156 Wejście kompanii do kaplicy Częstochowskiej str. 354. — 159 Ignacy Krasicki w Dubiecku str. 366.

### *b) Legendy, śpiewy historyczne, gawędy:*

129 Chleb str. 313. — 130 Błogosławiony Sadoch str. 316. — 131 Smok Wawelski str. 319. — 132 Duma o Leszku Białym str. 321. — 133 Stary zegar str. 323. — 134 Matka str. 324. — 137 Poranek w stepie Kirgizkim str. 329. — 138 Łódź w Pieninach str. 330. — 141 O Bączalskim str. 336. — 142 Garść pszena str. 338. — 157 Kołek bronowy str. 357. — 158 Szkolne czasy str. 361.

c) *Ustępy dydaktyczno-epickie, bajki:*

145 Papuga i wróbel str. 347.—146 Wilk i lis str. 349.—147 Osieł str. 349.—148 Mądry i głupi str. 350.—149 Paw i orzeł str. 350.—150 Jastrząb i krogulec str. 350.—151 Lew, niedźwiedź i komar str. 351.—152 Osieł — bohater str. 351.—153 Wrona str. 352.—154 Filozof i chłop str. 352.—155 Osieł i słowik str. 353.

d) *Psalmy, hymny, ody, tryolety:*

160 Psalm VIII str. 372.—161 Potęga Najwyższego str. 373.—162 O Opatrzności Boskiej str. 373.—163 Miłość bliźniego str. 374.—164 Prawdziwa moc w Bogu str. 375.—166 Wiek młody str. 377.—168 Bóg naszą nadzieją str. 378.—171 Anioł stróż str. 380.—172 Znikome wielkości świata str. 382.—173 Modlitwa za rodziców str. 382.—176 Skarb człowieka str. 385.—179 Cicha noc w łużyckich górach str. 387.—180 Jaskółeczka str. 388.—187 Hymn do słońca str. 395.—188 Pieśń o Kruszwicy str. 396.—189 Modlitwa za sierotę str. 397.—190 Wiosna str. 397.

e) *Ustępy epicko-liryczne:*

135 Najpierwsze szczęście str. 326.—167 Rodzina str. 377.—169 Sen Anioła str. 379.—170 Matka i dziecię str. 379.—177 Cmentarz str. 386.—178 Wiejski kościółek str. 387.—183 Skowronek i dzwonek str. 390.—Pacierz staruszka str. 392.

f) *Ustępy dydaktyczno-liryczne:*

165 Rada dziecięciu str. 376.—174 Kłós str. 383.—175 Sieję proso na zagonie str. 384.—181 Trzej towarzysze str. 389.—182 Spoczynek str. 390.—184 Wiośnianka str. 391.—186 Potęga słowa str. 394.—191 Złoto, kadzidło i mirra str. 399.

## D O D A T E K

## ZAWIERAJĄCY WIERSZE ZALECONE PRZEZ OKRĄG NAUKOWY

	<i>Str.</i>
192 Pies i pszczoły, p. Franciszka Morawskiego . . . . .	401
193 Orzeł i żóraw, p. Aleksandra hr. Fredrę . . . . .	402
194 Wiosna, p. Maryę Ilnicką . . . . .	403
195 Śpiew poety, p. Józefa Bohdana Zaleskiego . . . . .	404
196 Trzech budrysów (ballada litewska), p. Ad. Mickiewicza . . . . .	406
197 Kulig, p. Malczewskiego . . . . .	407
198 Tatry, p. Wincentego Pola . . . . .	408
199 Przybycie do szkoły i egzamin, p. L. Kondratowicza . . . . .	410
200 Morskie Oko, p. Asnyka . . . . .	411
201 Rzeki, wpadające do Wisły, p. Jadwigę Łuszczewską . . . . .	412
202 Z ludowych tematów, p. Or-Ota . . . . .	414
203 W lesie, p. Kazimierza Tetmajera . . . . .	415
204 Czatyrdah, (sonet A. Mickiewicza) . . . . .	415
205 Wiecznie to samo, p. Asnyka . . . . .	416
206 Dałam ci moc, p. tegoż . . . . .	416
207 Nie mów, p. tegoż . . . . .	417







938

241 —

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

090887

